

Jerzy Putrament

Wakacje

Warszawa 1956

Niedziela.....	1
Droga do puszczy.....	17
Zwycięstwo i klęska.....	37
Trzeci koszmar.....	52
Utopowie i Rumbakstagi.....	60
Parę wybawień.....	82
W Gorzyżkach straszy.....	98
Klucz.....	110
Jądro ciemności.....	125
Rozróbka na całego.....	147
Zawierucha.....	169
Przyłapali!.....	185
Najtrudniejsze.....	199
Remanent tajemnic.....	213
Ostatki.....	229

Niedziela.

1.

Rudawski – usłyszał wreszcie Zdzisław. Było to jedyne znajome nazwisko z całego tuzina: jego własne. Wstał i ruszył powoli do białej linii, przekreślającej w poprzek czarną elipsę bieżni. Był bardzo zdenerwowany i dlatego wszystkie wrażenia, których doznawał, ulegały swoistemu przesortowaniu. Jedno rosło, olbrzymiało, nabierało jaskrawości tak ostrej, że bolały oczy. Tak było z kasztanami, których najbujniejsza, czerwocowa zieleń wydawała mu się tak soczysta, że aż czerwonawa. Inne nikło, pętało się gdzieś na skraju świadomości, ledwo dostrzeżone, nie mające żadnego znaczenia: koniec roku, wakacje, przyjaciele, bliskość ostatniej klasy, niepokojąca kiedy indziej wizja matury.

Na ciemniejszej od zieleni kasztanów murawie siedziały grupki kibiców. Ich mundurki, koszule, twarze wydawały się Zdzisławowi tak podobne do siebie, że aż męczące. Po prostu dlatego, że nie znał nikogo z nich.

Pojął to i bezprzedmiotowe dotąd zdenerwowanie stało się ostrym postanowieniem.

„Ach, dobrze – powiedział sam sobie – nikt mnie tu nie zna, nikomu na mnie nie zależy! No, to ja im pokażę! Ja im pokażę!”

Ale dziarskość tej decyzji nie przytłumiła nieustannego szeptu niepokoju, bezsłownego, bezkształtnego, ziębiącego tylko sam środek jestestwa, gdzieś w okolicy serca. Szedł przez boisko z rozwartymi szeroko oczami i powtarzał w duchu: „No, czekajcie!”

Czekali na niego, owszem, współzawodnicy, sędziowie, trenerzy. Tu wreszcie pierwsza znajoma twarz. Wlazło, podstarzały łysiejący trener ekipy Kopernika, wyskoczył sprzed stolika sędziowskiego, podbiegł do Zdzisława.

Nie ucieszył, się zbytnio Rudawski. Był w takim nastroju, że i ten dowód bądź co bądź troski o niego przyjął ironicznie.

„Stary piernik asekuruje się na wszelki wypadek – pomyślał. – Jeśli wygram, powie: ja go wychowałem. Jeśli przegram, powie: jego wina, robiłem co mogłem, nawet tę niedzielę poświęciłem, dla niego jednego przecież!... A co on, ten cały Wlazło, może pomóc? Powie zaraz swoje ulubione, że oddech regularny...”

Wlazło chwycił Zdzisława za rękę i rzeczywiście zaczął od oddechu.

– Pamiętaj, długie, długie oddechy – szeptał. – Tlen do mięśni, jak najwięcej tlenu! I poza tym, mój drogi, nie idź na zwycięstwo! Nie na rekord! Broń Boże!. Idź na zakwalifikowanie się, rozumiesz? Do finału wchodzi trzech, no, to możesz być trzeci. Słyszysz? Trzeci! Słyszysz?

Zdzisław kiwnął głową, z trudem broniąc się przed wzgardliwym machnięciem ręki.

– No, to pamiętaj: oddechy, o trzecie, trzecie Trzymaj się, ja będę tutaj! W razie czego...

Co w razie czego? – zapytałby go chętnie Zdzisław. Pobiegnie za niego? Czy słowo takie szepnie, że pchnie go jak sprężyna naprzód?

– No, koledzy! – krzyknął jakiś młody gość w półwojskowym ubraniu. – Ośmiusetmetrowcy, na start!

Zdzisław przyśpieszył kroku, chcąc się urwać Wlazłu, ale ten dreptał obok i jeszcze coś bełkotał, ze skóry wyłażąc, żeby się na coś przydać jednemu ze swoich pupilów.

– Kto najgroźniejszy z tych tam? – na odczepne rzucił mu Zdzisław, żeby choć taki mieć z niego pożytek.

Ale tego właśnie Wlazło nie wiedział. Rozłożył ręce, zmieszany, i mętnie się tłumaczył. Rudawski niewiele słyszał, ściągał dresy.

Startujący jeden po drugim wyskakiwali z różnokolorowych trykotów, przebiegali dwa i trzy kroki przytupywali nogami jak żrebaki po wyrwaniu się ze stajni. Zdzisław oglądał ich, znowu niespokojny, bardziej nawet niż dotąd: każdy z nich był długonogi wysoki, o płucach, zdawało się, jak miechy. Jak można marzyć o pokonaniu takich i tylu rywali!

Jeden z nich tymczasem podskoczył do Zdzisława – Jak się macie, cześć!

Był to Talarek, główny konkurent na zeszlotygodniowych eliminacjach dzielnicowych. Zdzisław pobił go o ładne dziesięć metrów, ale tamten był drugi, toteż zachował prawo startu dzisiaj.

– No, teraz to się trzymajcie! – powiedział Talarek. – Jestem w piekielnej formie. Muszę się wam zrewanżować!

Zdzisław uśmiechnął się dosyć szczerze, Poczul krótką falę pewności siebie: ostatnim nie będę na pewno!

Zaraz potem jednak poraził go nowy szok. Na przyciągniętych skądś paru ławkach grupka dziewczyn. Serce ścisnęło mu się paskudnie. Oto druga z lewej. Bardzo jasne, krótko strzyżone włosy, ironiczny uśmiezek szerokich czerwonych ust. Obrzydliwa, zarozumiiała Pawłowska. Czego tu szuka? Przecież już lata za Politechniką, choć w tej samej, dziesiątej klasie...

„Dobrze, pokażę wam! Czekaście, czekaście, poczekaj!”

Gość w półwojskowym ubraniu odczytuje jeszcze raz nazwiska, ustawia po kolei na łukowatej, białej linii startu. Zdzisław jest jedenasty, bliżej zewnętrznej bandy, Talarek obok, ostatni. Teraz oto najpotworniejsze piętnaście sekund. Zdzisławowi dygocą zęby, drżą ręce, łydki, kolana. Nic nie myśli, nic nie pamięta, tylko się boi. Nie on jeden, oto jakiś niewysoki blondasek chwieje się i jakby stumetrowkę miał biec, klęka na starcie, podpira się rękoma.

– Gotowi! – mówi starter. Podnosi rękę z pistoletem. Trzy sekundy, jeszcze gorsze. Strach, że się spóźni. Strach, że się wyrwie za wcześnie. Potworna długość tych sekund. Czy zasną?... Czy stanął mu zegarek?

Strzał jest wyzwoleniem. Od razu z linii robi się tłum. Ci od zewnątrz robią skok do przodu i w lewo, żeby jak najszybciej znaleźć się przy wewnętrznej bandzie. Zdzisław też skręca, ale przed nim wyskakuje jeszcze paru, ktoś go trąca w bok, czyjeś kolce zahaczają o łydkę.

Zamieszanie trwa parę sekund i już na pierwszej krzywej z tłumem robi się rząd wyciągnięty na dwadzieścia parę metrów. Zdzisław wylądował gdzieś w środku. Przed nim biegnie jakiś czarnowłosy dryblas z numerem ósmym.

Po nieznośnej torturze oczekiwania jakim szczęściem jest sam bieg! Nie teraz przyjdzie Zdzisławowi to stwierdzenie, znacznie później.

Teraz tylko bieg. Tak jasny, tak spokojny jest umysł. Wszystko się widzi, wszystko się rozumie, co dotyczy biegu. I nic się nie widzi poza czarną elipsą bieżni, może zamazane kłęby zieleni kasztanów, może różowawe kółka ludzkich twarzy.

Krok jest długi, tempo, zdaje się, ostre. Cały wysiłek w tej chwili polega na utrzymaniu tego tempa, żeby się nie oderwać od czarnowłosego dryblasza. Ale krzywa się kończy i przy wejściu na pierwszą prostą zza pleców Zdzisława wyskakuje piegowata, rudawa twarz Talarka.

Chwila przerażenia: „Więc możliwa jest szybkość jeszcze większa?” Talarek mija Zdzisława, zbliża się do ósemki. Za nim sunie jeszcze jakiś chłopak z numerem dwudziestym dziewiątym. Za tym wysuwa się z kolei niewysoki blondasek, ten, który podpierał się na starcie.

Wtedy coś targa Zdzisławem. Widzi sam siebie jakby z boku. Wyskakuje o krok w prawo za blondasem. Ten czarnowłosy jest zaraz obok, z lewej. Patrzy przelotnie na mijającego go rywala. Zdzisław dostrzega tylko jego już zarumienione, zgrzane policzki, syczący oddech.

Ten pierwszy zryw tylko rozkręca Zdzisława. Dwie sprzeczne podniety – że ci jego minęli i że on sam też potrafi mijać innych – pchają go teraz naprzód. Jeszcze dziesięć metrów i blondasek zostaje znacznie z tyłu. Z lewa jeden po drugim zrywają się ci, co prowadzili dotąd. Na drugiej krzywej Zdzisław ze zdumieniem dostrzega, że przed nim jest tylko dwudziesty dziewiąty i Talarek.

Tu dopiero refleksja: „Jestem trzeci, wystarczy na finał”. Druga: „Na krzywej nie wolno mijać, bo się biegnie po zewnętrznej, nadrabiając parę metrów drogi”. I trzecia: „Frajer jestem, co robię najlepszego?”, bo w trakcie tych mądrych rozważań znowu odskoczył o metr od bandy i przyśpieszając, skracając krok, zrównał się z dwudziestym dziewiątym. Talarek obejrzał się, Zdzisławowi się zdało, że widzi w jego oczach niepokój.

„Boisz się, kotku – pomyślał. – Masz rację!” I nie wracając do bandy, po zewnętrznym torze parł naprzód. Talarek nie dawał się, zaciekle machał rękami, kolana podrywał wysoko, jak stumetrowiec. Krzywa się kończy i na ostatnich jej metrach Zdzisław łamie opór Talarka, kilku długimi krokami mija go wreszcie i dochodzi do bandy.

Jest pierwszy! Co ważniejsza, nie czuje wcale zmęczenia. Długi krok, którym pobił wreszcie Talarka, wydaje się jakby stworzony dla jego płuc, jego serca. Lekko, równo ciągnie naprzód. Prosta wydaje się krótka, oto sędziowie, trenerzy, gapie. Zachwycone oblicze Wlazły. Oklaski. Twarze dziewcząt. Biała plama czupryny, tej, tej...

Odwraca się, patrzy na resztę rywali. Najbliższy jest chyba o piętnaście metrów. Talarek jeszcze dalej. Uskrzydla to Zdzisława jeszcze bardziej. Przed ławkami przyśpiesza kroku.

Przez całą krzywiznę unoszą Zdzisława kroki lekkie i długie. Wbiega na przedostatnią prostą i znowu się ogląda. Najbliższy chyba o dwadzieścia metrów, z nim walczy blondasek, ktoś jeszcze dochodzi.

Jakby iskierka niepokoju. Jeszcze dłuższy krok. Ale nie bardzo to wychodzi, nogi stały się cięższe. Przedostatnia prosta wydaje się o wiele dłuższa niż obie poprzednie. Cholera z nimi, te dwadzieścia metrów też dobre!

I w chwili tej rezygnacji ze zwycięstwa bezapelacyjnego tuż z tyłu słyszy czyjś zasapany oddech. Znow się odwraca, nic nie pojmując. Może trzy kroki za nim sady niewysoki blondasek, trochę dalej jakiś nieznajomy, jeszcze o metr z tyłu Talarek.

Strach, inny, bezlitosny, Zdzisław zrywa się znowu, jak przed minutą mijany na tym samym miejscu Talarek. Unosi do góry kolana, łokciami z całej siły macha do tyłu. Ohydne, obrzydliwe uczucie: jak we śnie, cały jego wysiłek nie zda się, by choć ruszyć z miejsca.

Rozwiera usta, głowę odrzuca do tyłu. Wykrzywiona w rozpaczliwym grymasie twarz. Jaka dzika niesprawiedliwość: przed półminutą byle machnięcie nogą unosiło go naprzód jak na skrzydłach. A teraz cała ta napięta do ostatka wola, wyprężone na kamień mięśnie, serce, któremu nakazało się nie czuć zmęczenia — wszystko to nie zdaje się na nic.

Oto z prawej wysuwa się blondasek. Sięga Zdzisławowi do pół głowy: Ani spojrzy, tylko porusza harmonijnie rękami, tylko wyciąga nogi. I zaraz drugi, ten z numerem dwadzieścia dziewięć.

Są na ostatniej prostej. Jak potwornie daleko do mety! Biała kreska na bieżni, taśma niegrubsza od nitki.

Trzeci, trzeci! To przecież wystarczy. Kto tak mówił? Trzech wchodzi do finału. Jest trzeci. To dobrze, to świetnie!

Powtarza to sam sobie, żeby zagłuszyć ból niedobry i odpędzić wdzierające się zewsząd potworne zmęczenie.

Płuca nagle robią się małe i puste. Jakby czyjaś ogromna dłoń zacisnęła mu nos i usta. Dusi się wprost, choć rozwarł te usta, aż pękają ich kąciaki. W głowie dudniący szum. Serce zbuntowało się wreszcie, może rozerwie się na strzępy, tak gwałtownie łomoce zachłyśnięte brakiem powietrza.

I co najgorsze – nogi drewnieją, stają się sztywne, ciężkie, nieruchawe. Jeszcze podnosi kolana, aż na wysokość piersi, ale spadają bezwładnie w dół, siły mu brak, by je machnąć do przodu. Wydaje mu się, że jeszcze biegnie, ale naprawdę to niewiele więcej tego jest niż zwykłego dreptania.

Jak potwornie długa ta ostatnia prosta! Blondas już przy mecie, dwudziesty dziewiąty tuż za nim. Jak daleko jeszcze? Dwadzieścia metrów? Jest trzeci, trzeci. to przecież świetnie, to wystarczy, Wlazło miał rację, mądry, mądry staruszek. Byle wytrzymać!

Oczywiście, że nie wytrzymał. Właśnie blondasek targnął taśmę wyrzuconą naprzód piersią, właśnie kilkudziesięciu gapiów przy mecie zaczęło uderzać dłońmi o dłonie (widział to tylko, nie słyszał), gdy znowu z prawej strony doszły go kroki, sapanie, gdy mignęła mu czyjaś buraczkowa koszulka. I zaraz zielona, i jeszcze zielona, i niebieska.

Mijali go, jakby stał w miejscu. A on się posuwał, owszem, zataczał się, w lewo, w prawo, do przodu. W tej chwili już nie myślał o niczym. „Byle nie ostatni” – głupie półzdanie strzeliło mu jeszcze do głowy, ale nie bardzo już rozumiał, co to znaczy.

Ta prosta jest w ogóle bez końca. Nie ma białej taśmy, nie ma krechy na bieżni. Z tyłu wynurza się jeszcze jeden – Talarek. Nagle mdłości. Zdzisław nic nie pojmując zatacza się w lewo, wpada na zielen boiska, leci w dół.

– Doktor, doktor! – krzyczy ktoś. Kilku mężczyzn podbiega do Zdzisława. Jeden odwraca go na plecy, drugi chwytą pod ramiona.

– To mój, mój!... – krzyczy Wlazło całkiem bez sensu i ściska z całej siły napiętek leżącego, myśląc pewnie, że mierzy mu puls.

– Nic mu nie jest – mówi zażywny młody jegomość. – Odejdźcie, niech się wysapie. No, kolego, głowa do góry!

Przytyka mu do nozdrzy flaszeczkę. Zdzisław rzeczywiście targa głową do góry, jakby dostał w nos celny cios pięścią. Siada.

Jeszcze szum w głowie jest potężny. Słabość głębsza niż dotąd. Chciałby tak leżeć, o niczym nie myśleć. Spać. A jeszcze lepiej – zapaść się w ziemię.

Zaczyna bowiem rozumieć, co się stało. Ciężki, słodkawy i mdły smak znużenia w ustach i gardle nie wystarczy już, żeby zasłonić świadomość poniesionej klęski, tym straszliwszej, że poprzedzonej mirażem zupełnie wyjątkowego zwycięstwa.

Na razie najgorsze w tej klęsce jest współczucie. Oto Wlazło stoi nad Zdzisławem, boi się usta otworzyć. Jeszcze paru gapiów, trochę dalej. Ci zresztą nie zostaną długo. Dudni właśnie megafon: „Zawodnicy na sto dziesięć metrów przez płotki...”

Zdzisław czym prędzej wstaje. Nie chce zostać sam na sam z Wlazłą. Gapie już pobiegli bliżej mety. Boi się, że gimnastyk przypomni mu o trzecim miejscu. Jeszcze bardziej się boi, że tamten wspaniałomyślnie o swojej racji zapomni.

Więc wolno rusza do mety. Nie patrzy na nikogo, przerażony, że wszyscy patrzą na niego. Gdy doszedł do swoich dresów, zobaczył, że miejsce zajęła cała grupka nowych zawodników, szykujących się tu do pchnięcia kulą. Cały poczerwieniał, gdy przyszło mu przecież tknąć jednego z nich w ramię i mruknąć „przepraszam”.

Ale tamten odsunął się, ani nie spojrzawszy na Zdzisława. „Kularze” od niechcienia wymieniali uwagi na temat zawodów. Jeden powiedział:

– Na osiemset metrów czas kiepski, dwa piętnaście!

– Co ty mówisz?! – krzyknął inny. – A wyglądało, że będzie rekord juniorów!

– Z tym rekordem poczekamy na ciebie.

– Ale ten frajer! No, ten, co się tak wyrwał! Spuchł potem jak gąbka. Aż pogotowie go zabrało! – Przepraszam! – powiedział jeszcze raz Zdzisław, znowu przerażony, że się zdradzi rumieńcem.

Rozstąpili się obojętnie. Słyszał jeszcze, jak jeden mówił :

– Najgorsze, jak się komuś za wcześniej wyda, że wygrał. Rozumiesz? Nie lekceważ przeciwnika, nie lekceważ przeciwnika!

Wlazło się jeszcze dołączył. Bąkał coś, żeby nie rozpaczać, że na jesieni znów będą zawody, że styl nienajgorszy...

– Przepraszam pana profesora – powiedział Zdzisław. – Pójdę już. Czuję się nie bardzo...

– Co ty powiesz? To może... tego... dorożkę? Zdzisław z trudem się od niego wykręcił. Na szczęście ogłoszono właśnie start pierwszej serii na sto dziesięć.

Przeciął więc parę luźnych grup gapiów, jak jeden mąż wpatrzonych w lewo, w stronę startu. Wzrost został z tyłu i teraz to już nikt rzeczywiście nie martwił się o Zdzisława, nie przejmował się nim, nie myślał.

Wyszedł na ulicę, kręto zbiegającą w dół, w kierunku wielkiego stadionu CWKS. Musiały tam być też jakieś zawody w to niedzielne przedpołudnie, bo dwa potoki ludzkie – na chodniku i na jezdni – płynęły hałaśliwie z góry i na prawo. Tu się dopiero poczuł naprawdę zagubiony i najzupełniej samotny.

To nie było nawet takie złe. Stał pod rozżarzonym od zieloności drzewem, nie mając siły, żeby się przepychać do góry. Czuł się bardzo sponiewierany. I właśnie ta wielka samotność stanowiła najskuteczniejsze źródło ukojenia. Nikt go nie zna, nikogo jego klęska nie obchodzi.

Śmiech tuż obok. Ledwo zdążył się odwrócić, udać, że bardzo uważnie przygląda się rozkwitającemu za drucianą siatką krzewowi. Ohydna Pawłowska, oczywiście! Roześmiana do rozpuku, wymachująca swoją rozkudłaną łepetyną. I oczywiście pod rękę z jakimś opalonym mydłkiem w czapce koloru mlecznej czekolady.

Zdzisław daje nura w tłum przechodniów, byleby zejść tej parze z oczu, nie słyszeć tego chichotu, tego gruchania czekoladziarza.

To wreszcie udaje mu się znakomicie. Gruchająca parka splywa sobie na dół, nawet nań nie spojrzawszy. Więc nie bez leciutkiego rozczarowania rusza wreszcie.

– Dokąd?! – krzyczy ktoś i ciężka łapa chwyta go za ramię.

2.

Był to tylko Edzio Kucykiewicz, zwany Kucykiem. Wyższy o parę palców od Zdzisława, aż zgarbiony z tego nadmiaru wzrostu, o rzadkich jasnopopielatych włosach, białorzęsy, z noskiem nieludzko zadartym i podbródkiem przedzielonym na dwoje. Był roześmiany i „fajny” ponad przeciętną normę.

– Dokąd?! – krzyczy znowu. – Co jest, do jasnej nieprzemakalnej! Gonię cię już minutę, a ty jak Zatopek...

Zdzisław nie zdobył się nawet na uśmiech i srodze za to zapłacił.

– Co jest?! – wrzasnął Kucyk. – Dąsy? Fochy? Fumy? Aha, rozumiem! – Trzasnął dłonią w czoło, aż huknęło. – Hrabia wychodzi ze stadionu, z marszem na świetlanym skądinąd obliczu. Więc się dokonało jakichś nadzwyczajności? Co? Woda sodowa już ciurknęła do główki? No, frajer ciężki, co jest, gadaj! Mistrz Warszawy? Arcymistrz?

Chwytał Zdzisława pod ramię, przymilnie zajrzał w oczy. I gadał, bez przerwy i zmiłowania. Aż do góry, aż na Wiejską głądził domagając się od Zdzisława hołdów na cześć swojej znakomitej spostrzegawczości i bezlitosnej logiki. Na szczęście potok śpieszących na zawody przerzedził się, ze sto metrów szli swobodnie chodnikiem, aż koło Alei znowu wpadli w ścisk, całkiem inny, i to wreszcie odmieniło Kucykowi temat.

W Alejach był kolejny kiermasz książki. Od rogu poczynając ciągnęły się jeden przy drugim kioski z klasykami, literaturą naukową, techniczną, beletrystyką współczesną. Inny tłum tędy przeciągał, bardziej wystrojony od tamtego i mniej pośpieszny. Kobiety, które tam dreptały szybko, uczone łokci swoich towarzyszy – tu szły dostojnie, oglądając trochę kioski, więcej siebie nawzajem. W nabrzmiałych od zieleni drzewach poukrywane głośniki huczały „Kukułeczkę”, Przed kwadranssem przez jezdnię przeszły samochody-polewaczki i teraz powietrze było pełne pary, jak w oranżerii.

Inni tu byli ludzie, inna atmosfera. Kucyk zapomniał wreszcie o Zdzisławie, przypomniał o sobie.

– Ty wiesz – mówił zwykłym swoim głosem, to znaczy pół krzyczał – że wreszcie dotarłem do Nowego. Za nic się nie dawał, krył się, wyjeżdżał nawet. Ale go przyłapał!

– Bujasz – stwierdził spokojnie Zdzisław.

– Słowo! – krzyknął Edzio, stanął nawet, wypiął się, niezwykle oburzony, łyskając oczami, wymachując pięścią. – Co ty sobie wyobrażasz? Ja – bujać! Za kogo ty mnie masz właściwie? Ja, przewodniczącą komisji kulturalnej...

– Dobrze, dobrze! – Zdzisław klepnął go po ramieniu. – Co dalej?

Edzio jakoś szybko zmienił ton, dał spokój swemu reprezentacyjnemu wyprostowaniu, znów się zgarbił, znów mu figlarnie błysnęły oczka.

– Więc rozumiesz – ciągnął – przyłapałem go i zaraz mu mego „Szydłwacha pokoju”. „Arcymistrz będzie łaskaw ocenić. 1 to szybko!” Rozumiesz? Zdzisław tylko głową kiwnął. Kucyk czekał przez chwilę na bardziej namacalne dowody jego zainteresowania. Nie doczekał się, kończył sam:

– Oczywiście, przeczytał. To fajny chłop. I wiesz co powiedział?

– No?

– Że znakomite! – krzyknął Edzio. Spojrzał kątem oka na Zdzisława. – Że bardzo dobre! – dorzucił. – Że wcale nienajgorsze – powiedział jeszcze po krótkiej chwili. – Nie wierzysz? – znowu krzyknął zniecierpliwiony milczeniem kolegi.

– Ale skądże znowu!

– No więc. – Edzio uspokoił się i przez minutę szli milcząc, gapiąc się tylko na kioski.

Jeden z nich, zawalony jakimiś malinowymi książkami, przyciągnął ich uwagę. Za ladą stały trzy ładne dziewczyny z bladawym młodzieńcem w okularach. Edzio ścisnął Zdzisławowi ramię, szepcząc:

– Popatrz, popatrz, ciekawa! Ta w środku.

– Co? Ach, ta? „Władza”? Znam ją. Owszem, ciekawa.

– Co ty powiadasz? Jak jej? Władzia? Musisz mnie przedstawić! No, chodź!

Zanim Zdzisław zrozumiał, było już za późno na cofanie się. Stali przed ladą. Trzy dziewczyny nie szczędziły im najrozkoszniejszych uśmiechów. Ta w środku – szczupła, wysoka, o małej okrągłej twarzy, bardzo czarnooka – aż się wychyliła.

– Proszę bardzo, koledzy sobie życzą?... Zdzisław zagryzł wargi, niemniej malinowy ni okładka książki. Rękę już wsadził do kieszeni, żeby na odczepnego coś kupić. Rozglądał się za czymś tańszym. Kucyk trącił go nieznacznie, w sensie: „Frajer, co robisz, zaraz się wykręcimy”.

– Może „Władzę”? – czarnooka wyciągała już do nich tom w malinowej okładce.

Edzio wziął książkę, zerknął na okładkę.

– Co? Konwicki? Tadeusz? – rzucił niedbale. – Znam go. Dał mi darmo tę kobyłę. Z dedykacją. To morowy kumpel, tylko mu sodowa woda...

Dziewczyny parsknęły śmiechem, jedna aż siadła na taborecie. Błady młodzieniec w okularach poruszył się niezgrabnie za ladą.

– Kolega sądzi, że naprawdę woda?... – przeciągnął z wileńska i urwał zmieszany.

– No, bo pewnie! – powiedział Edzio. – Cwaniak to on był zawsze. Ale teraz...

W tej chwili kukająca od kwadransa we wszystkich lipach Alei „Kukułeczka” nagle umilkła. Przez parę minut rozmowy ludzkie w tej względnej ciszy wydawały się wrzaskami. Ale zaraz głośniki huknęły znowu:

– Uwaga, uwaga! – krzyczała afektowana spikerka. – Przypominamy naszym drogim gościom, że w tej chwili zaczyna podpisywać egzemplarze swojej powieści „Władza” znany pisarz młodego pokolenia, Tadeusz Konwicki...

Dziewczyny znowu parsknęły śmiechem i na pół sekundy Kucyk się zdetonował. Ale już po chwili ciągnął jak gdyby nigdy nic, z przytępieniem tym hałaśliwszej, że sztucznie przywołanej radości:

– Co jest? Tadzio tutaj? Chodź! – Chwycił Zdzisława za rękę. – Chodź szybko, muszę się ze starym przywitać, boby się jeszcze pogniewał...

Nie byłby to zły manewr, gdyby nie spikerka, która z bezlitosnym pośpiechem kończyła:

– ... a więc wszyscy do „Czytelnika”, kiosk trzydziesty szósty...

Edzio ciągnął za sobą Zdzisława, ale rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na czarnooką szczupłą sprzedawczynię. I zbladł, zamilkł. Wszystkie trzy patrzyły na chłopców bardzo osobliwie. Młody człowiek po prostu schował twarz w chustce do nosa.

Nic dziwnego. Nad kioskiem jak wół stało „36”. Teraz wypadki potoczyły się wartko. Edzio puścił Zdzisława i dał nura w potok ludzki. Rudawski rozpaczliwie zerknął na dziewczyny i też zrobił krok, gdy nagle młodzieniec zawołał:

– Chwileczkę, kolego!

Musiał wrócić. Konwicki pisał coś na tytułowej stronie książki, zaraz machnął nią raz i drugi, wysuszył napis i podał ją Zdzisławowi.

– Przepraszam was bardzo za fatygę – powiedział i zarumienił się. – Może przekażecie to waszemu koledze? Nazwiska nie znam, ale zostawiłem miejsce, niech sobie sam... albo wy... Dziękuję...

I znowu trzy gracje czytelnikowskie – krótkonosa i czarna, długonosa i czarna, i trzecia, szatynka o dziecinnym obliczu – uśmiechały się jedna przez drugą, żegnały Zdzisława, witały ciągnących na apel radiowy nabywców. Ci ostatni najbardziej ułatwili mu odwrót.

Wmieszał się w tłum, oszołomiony i wściekły. „No, dam temu łobuzowi!” – przyrzekał sam sobie. Co za namiętność, nałóg, choroba łgarstwa! I jak go od tego oduczyć? Chyba powszechnym, stałym, zorganizowanym pościgiem i pogardą. Nie puścić płazem ani jednego, choćby najdrobniejszego wybryku. Za ten dzisiejszy, na przykład, wart jest naprawdę...

Nie bardzo wiedział czego. Zatrzymał się, machinalnie zerknął na dedykację. W książce stało: „Morowemu kumpłowi z podziękowaniem za ostrą i zasłużoną krytykę”.

Rudawskiemu zrobiło się znowu jakoś nieswojo, ale mściwe nastroje trochę osłabły. Ruszył przed siebie, popychany i potrącany przez gęstniejące ciągle zbiegowisko. Głośniki huczały teraz jakimś obertasem. Upał stawał się parną dusznością.

Zdzisław doszedł do kiosku z gwiazdami filmowymi, gdzie ścisk był nie do pokonania. Musiał zejść na jezdnię. Przystanął, żeby się zastanowić, gdzie ma szukać tamtego łobuziaka.

W tejże chwili Edzio wyskoczył spoza budki z lodami, zaciekle oblizując walec żółtej słodyczy. Oczywiście, ani śladu zmieszania. -

– No, nareszcie! – krzyknął. – Myślałem, że już nigdy stamtąd się nie wyłubudasz, fajtłapo!

– No, wiesz! – nie wytrzymał Zdzisław. – Najpierw mnie pakujesz w dziwą sytuację, potem jak głupiego zostawiasz, a sam w nogi...

– Boś głupi! Boś głupi! – krzyknął znów Edzio. – Czemuś nie uciekał? Żadna sztuka! Gibały masz lepsze ode mnie. Nikt cię na sznurku...

– Zamknij się raz nareszcie! Za ciebie, za twoje nałogowe łgarstwo musiałem ludziom w oczy patrzeć!

– Nic nie musiałeś. Chciałeś, to masz! – Dostrzegł „Władzę”. – No, przecież mówię, że frajer! Toś się musiał wykupić? Ale frajer pompka! Ale balon! A ten Konwicky też dobra świnia! Złapał frajera, to mu przynajmniej swoją książkę... Byle handel szedł! Ech!...

Zdzisław bez słowa podał mu „Władzę”.

– A mnie to po co? Nie reflektuję.

– Weź, twoja.

– Wypraszam sobie. Ani mi się śni bulić za to forsę!

– Weź, ci mówię. Prezent.

– Bujda.

– Zobacz. Sam Konwicky. Z dedykacją.

– No, wyobrażam sobie, jak mnie ujadł! Ale ja mu, ja mu...

Otworzył, przeczytał, zamilkł. Szli kilka kroków, przepychając się w kierunku placu Unii. Na Rozdrożu, jak zwykle, ustawiono estradę i właśnie jakaś orkiestra zaczynała koncert muzyki ludowej. Ścisk tu był jeszcze większy niż przy gwiazdach filmowych.

Zdzisław skręcił w prawo.

– Zostajesz? – rzucił. – No, to cześć!

— Czekaj, czekaj! – zawołał Kucyk. – Przecież nie powiedziałem ci o najważniejszym.

– Co znowu?

– Dziś o drugiej zebranie.

– Rzeczywiście! Nie przyjdę.

– Ależ, Zdzisziu, taka ważna sprawa! Musisz!

– W niedzielę? O drugiej? Nie mogę. Ty zawsze jak coś wymyślisz – to ni w pięć, ni w dziewięć.

– Słowo daję! Dziś koniecznie. O drugiej. Już wieczorem będzie za późno. Biegam właśnie, szukam. Myślisz, że to łatwe? No, ciebie, wiedziałem, że na boisku. Andrzejka pewnie też w klubie się znajdzie. Najgorzej z tym Wojtkiem. Chodź, pomóż, może się tu gdzieś szwenda.

– A co za sprawa?

– Bardzo ważna, mówię ci. Chodzi o wakacje.

Zdzisław się zmarszczył. Chciał już się żegnać znowu, gdy Kucyk ścisnął mu ramię.

– Tss! – szepnął. – Chodź, chodź prędzej! Pociągnął go za bliski kiosk z wodą sodową i piwem. Schowali się za stosem skrzyń z pustymi butelkami. Zaraz zresztą wyjrżeli ostrożnie.

3.

Niedalej niż o trzy metry, w ostatnich rzędach zapatrzonego na estradę tłumy stał tyłem do nich trzeci członek ich „kołchozu”, Wojtek Bień. I chociaż z niedawnego oświadczenia Kucyka wynikało, że nader pilnym zadaniem było odszukanie tegoż Bienia, Edzio nie rzucił się doń, na odwrót, trącił Zdzisława w bok i znacząco przyłożył do ust wskazujący palec.

Wyglądali ostrożnie zza budki. Bień, uznany w „kołchozie” za mistrza elegancji i czołowego uwodziciela, był dziś co się zowie w pełnej gali. Niezbyt wysoki, niższy o dobre siedem centymetrów od Kucyka i z pięć od Zdzisia, usiłował ten ciężki mankament nadrobić przy pomocy butów na potężnej gumowej podeszwie i fryzury wydętej w przepiękną, wzorową mandolinę. Trzeba powiedzieć, że dawało to pewien efekt: wyglądał całkiem okazale i to raczej Zdziś przy nim wydawał się pośledniejszy.

Ale nie tylko ten żmudnie wypracowany wzrost zdołał Bienia, także ogólna elegancja. Do swoich potężnych butów sprawił odpowiednie skarpetki: przeważnie czerwone, w grubą zieloną kratę. Nogawki granatowych spodni zwężyły się wytwornie w dół i wokół kostki już się niemal opinały szczelnie. Szczyt elegancji stanowiło jednak wdżianko, zastępujące i koszulę, i marynarkę. Była to tak zwana „saharka”, to znaczy coś długiego, zapinanego z góry na dół i wypuszczanego na spodnie, za to z bardzo krótkimi rękawami. W kolorze było to bardzo dopasowane do spodni i skarpetek: żółto-fioletowe.

Sami rozumiecie, że te wspaniałości stroju przesłaniały inne elementy Bienia. Twarz jego wydawała się w tym kontekście byle jaka, zadartonosa, tu i ówdzie upstrzona przekleństwem młodości, węgami, nie stworzona bynajmniej do wywoływania silnych wstrząsów wśród otoczenia płci odmiennej.

Ale te braki przyrodzone kompensował Bień wzmożoną aktywnością. I to właśnie było przyczyną zasadzki, zaordynowanej przez Kucyka, którego czujne oko w lot dostrzegło, że tamten jest w trakcie kolejnej operacji zdobywczej.

Wyglądali więc zza budki. Na estradzie orkiestra rżnęła na całego, pięć głośników okolicznych wydymało jej rumor do rozmiarów zaiste międzyplanetarnych. Dlatego to, co się działo przed chłopcami, przypominało nie znane im osobiście, nieme filmy. Widziało się najmniejszy gest, najsubtelniejsze miny. Nie słyszało się nic.

Bień zrazu stał do nich tyłem. Niby podniósł brodę, niby przyglądał się orkiestrze, ale drobne ruchy głową na prawo i na lewo świadczyły, że poza obertasami co innego bardziej go interesuje. Jakoż po chwili dostrzegł o dwa kroki od siebie jakąś niewysoką blondynkę o czuprynie starannie zrobionej na pełny bałagan. Widzieli, jak oglądał ją ciskanymi ukradkowo spojrzeniami. Wydawała się jakby dlań stworzona. Miała też puszczoną wolno koszulinę, sięgającą jej niemal do kolan. I ~v kolorze było to dopasowane: czarno-czerwone! I obcasy świetnie uzupełniały jej sylwetkę – bo ich nie było,

Oględziny tedy wypadły pomyślnie. Edzio szczytną Zdzisława w łokieć: Bień zaczął działania zaczepne. Niby przypadkowo, niby rozmarzony, a może potrącony – przesunął się o pół kroku do blondynki. Ćwierć minuty stał na miejscu, zezując straszliwie. Blondynka się nie cofnęła. Więc znowu niby przypadkowo zachwiał się, ciągle wpatrzony w orkiestrę, i znów o krok się przesunął.

Potem stanął. Wydawało się im, że nie rusza się z miejsca. A przecież właśnie w tej chwili jego nieruchome prawe ramię leciutko tknęło lewe ramię blondynki.

Zdzisio brwi uniół. Kucyk tylko się uśmiechnął, tknął łokciem w bok swego sąsiada i palec wycelował w Wojtkowe stopy.

Ujrżeli coś, co było jakąś finezyjną odmianą tanów, które w podobnych okolicznościach urządzają różne ptaki z rodziny kurowatych. Rajskie na przykład albo indyki.

Zagapiony w orkiestrę, nieruchomy jak posąg, Wojtek był przecież w nieustannym, intensywnym ruchu. Jego stopy niedostrzegalnie sunęły z lewa w prawo. Palce przesuwaly się w prawo, potem stawały i ten sam ruch z kolei rozpoczynały pięty.

Zamarli obaj. Nie mieli tyle doświadczenia z tej dziedziny. W ich zapatrzeniu się było coś z tego entuzjazmu, który wywołuje w młodzieży odkrywanie tajników życia.

Oto i całe nieruchome ramię Bienia nawiązało kontakt z lewym bokiem blondynki. O, zgrozo! Obejrzała się na swego sąsiada i zrobiła ćwierć kroku naprzód!

Zdziś z Kucykiem spojrzeli na siebie. Kucyk nawet splunął. Znaczyło to: „Puść ją w trąbę, frajerze!” Ale Bień nie posłuchał tej niemej rady.

Znów zaczęły pracować wytrwałe stopy. Zwolna posągowały chłopiec znowu się znalazł koło tamtej. Teraz jednak był ostrożniejszy, nie naciskał na nią tak gwałtownie. Zapalił tylko papierosa.

Za to ona wykazała znaczne ożywienie. Obejrzała swego prześladowcę. Potem po prostu zaczęła się kręcić zerkając na prawo i lewo. Bień wykorzystał to jej ożywienie, nachylił się, zapytał o coś!

Kucyk ścisnął Zdzisława za ramię, pokiwał głową. Tym razem znaczyło to: „Tak się zdobywa kobiety!” Był raczej melancholijny. Spojrzeli po sobie: rzeczywiście, daleko im do tamtego!

Bień tymczasem co się zowie nie zasypiał gruszek w popiele. Oto już i papierosy wyciągnął. Pokręciła głową. Nachylił się, widzieli jego profil: koniuszek warg do góry, podbródek naprzód, zmarszczki koło oczu, słowem najrozkoszniejszy uśmiech. Potem się wyprostował, brzuch wciągnął, pierś wypiął. O dziwo, sprawił nawet coś takiego, że nos z profilu zaczął się wydawać prawie orli.

Blondynka ciągle się wierciła. Bień widać nie bardzo dobrze rozumiał tego powody. Oto znowu się nachylił i nawet usiłował wziąć ją pod rękę. Pokazywał drugą ręką w kierunku Belwederu.

Patrzyli, ze smutkiem kiwali głowami. Daleko im do niego! Zdzisław chciał znowu sobie pójść, ale Kucyk znów się nie zgodził.

Jeszcze spojrzeli. Bień ciągle trzymał ją pod rękę i ciągle pokazywał zawrotną perspektywę spaceru. Nie wyrwała się, tylko kręciła głową. I nagle zaczęła machać ręką.

Jakiś ogromny marynarz w oficerskim mundurze przeciskał się do nich z dwoma porcjami lodów. Bień spostrzegł go, gdy tamten już wyciągał do blondynki jej porcję. Przerazenie ścisnęło im gardła i niewiele brakowało, a też by się rzucili do ucieczki.

Zostali przecież. Gorączka poznawcza kazała im się uczyć i tej najtrudniejszej operacji wojennej, którą jest odwrót.

Bień błyskawicznie zrobił tylko jedno: puścił ramię blondynki. Potem znów brodę uniósł do góry i wycelował w orkiestrę. A jednocześnie stopy jego rozwinęły działalność tym bardziej gorączkową, że niedostrzegalną.

Z zaciśniętymi pięściami obserwowali tę scenę. Czy blondynka zasypie? Nie, nie zasypała. Oblizując z entuzjazmem lody, paplała coś do olbrzymiego marynarza, zadarłszy głowę tak, że swą ostrzyżoną fryzurą szorowała po własnych plecach.

Bień niepostrzeżenie odsunął się o pół metra. I znowu niby się zachwiał, niby go ktoś potrącił. Już był o parę metrów. Odruchowo pokręcił ramionami, głową targnął do tyłu, żeby uporządkować mandolinę. I poszedł, jakby nigdy nic.

Skoczyli za nim. Kucyk zaaranżował sprytny manewr: wybiegli na jezdnię i chyłkiem wyprzedzili Bienia. Potem wrócili na chodnik, wmieszali się w tłum i ruszyli mu na spotkanie.

Szedł całkiem spokojny. Ani śladu poniesionej właśnie klęski nie dostrzegli w jego obliczu. Na odwrót, pogwizdywał coś przez zęby i raz po raz puszczał zabójcze spojrzenia.

Przywitał ich ze spokojną godnością człowieka zadowolonego z własnej drogi życiowej. Obiecał przyjść na drugą. Zaproponowali mu, żeby się dołączył. Szli szukać czwartego, Wawerki.

Odmówił grzecznie, twierdząc, że się tu z kimś ma spotkać. Zdziś już chciał zapytać, czy nie z ostrzyżoną blondynką... Kucyk uszczypnął go jednak w pośladek.

Ruszyli więc po czwartego sami. Przecięli resztę Alei, gdzie żółkło kilkanaście ogromnych lip, spalonych dzięki „pomysłowemu” soleniu jezdni. Na Bagateli kwitły różowe kasztany i złociły się jakieś dekoracyjne krzewy przed odnowioną fasadą Prezydium Rządu. Plac Unii spokojniejszy niż w tygodniu. Skręcili do Klubu Prasy Międzynarodowej. I tu było mniej ludzi niż zwykle. Ale w drugiej salce, w głębokim metalowym fotelu znaleźli tego, kogo szukali. Był zresztą sam jeden, obłożony tylko tuzinem miesięczników rosyjskich, niemieckich i francuskich, od „Woprosów żywotnowodstwa” aż po „La nouvelle critique”.

Andrzej Wawerko już swoim wyglądem zasługiwał na przydomek profesora. Był to najmniejszy z całej czwórki, szczupły jasny blondynek w okularach. Gdy weszli, spojrzął na nich machinalnie, ale zaraz jakby nigdy nic wrócił do czytania. Musieli dopiero klepnąć go po ramieniu.

4.

Parę minut po drugiej zebrał się „pod umówionym jaworem” na Polu Mokotowskim. Czerwcowy upał bezlitośnie prażył połamane krzaczki, rozrastające się bujnie pokrzywy, piołuny, dzikie powoje, lebiody, osty. Trzy duże domy, ni stąd, ni zowąd zbudowane w samym środku tej pustej przestrzeni, tym silniej podkreślały jej rozmiary. Daleko, nierównymi klockami sterczały bloki przy Polnej. Na lewo wyskakiwało postawione na sztorc pudełko Ministerstwa Kolei. Jeszcze dalej bielił się przymglony masyw Pałacu Kultury.

Siedzieli na trawie, Kucyk rozwalony, Andrzej grzecznutko, trzymając ręce na kolanach. Na boisku „Ogniwa” był jakiś mecz, co chwila buchały stamtąd fale zbiorowych uniesień czy rozczarowań. Przez Aleję Niepodległości raz po raz śmigwały samochody albo turkotały hałaśliwie motocykle, wszystkie w jednym kierunku, z lewa na prawo, za miasta.

Dopiero parę minut po drugiej przyszedł ostatni, Wojtek.

– Jak tam łowy? – nie wytrzymał Zdzisio. Wojtek spojrzał na niego chłodno i to wystarczyło za odpowiedź. Usiadł.

– No, co macie? – rzucił sucho.

Edzio nieznacznie zrobił ironiczną minę, nie odważył się jednak na żadne komentarze. Przystąpił zaraz do referatu.

Oto jak wyglądało to w streszczeniu. Za tydzień wakacje. O ile wiadomo Kucykowi – żaden z kompanów nie ma jeszcze wakacyjnych zobowiązań czy konkretnych planów spędzenia lata. Wobec tego on, Kucykiewicz, dzięki swej energii, pomysłowości, stosunkom, wystarał się o zupełnie nadzwyczajną okazję i tę oto przedkłada do rozważenia szanownemu zgromadzeniu.

Urwał, zrobił półminutową reprezentacyjną pauzę, aby dać tamtym okazję do ponagleń. Istotnie, Andrzejek nie wytrzymał:

– No, Edziu, no, gadaj!

Kucyk rozkwitł. Oto rozbłysły mu siwe oczka, nosek zadarł się jeszcze bardziej, ćwierćśmieszek nadał rysom odcień dobrotliwej przenikliwości. Podniósł palec na wysokość oczu i strzelił zapytaniem:

– Chłopy, co to jest jacht?

Oczywiście Andrzej dał się na tu natychmiast nabrać. Wyrecytował błyskawicznie:

– Jest to okręt, żaglowy lub parowy, lub motorowy, nie mający przeznaczenia ani transportu towarów, ani ludzi, ale służący do celów rozrywkowych...

– Bardzo dobrze! – klepnął go po ramieniu Edzio. – Nie potrzebuję dodawać, że normalnie w warunkach kapitalistycznych na takie rozrywki stać wyłącznie milionerów lub członków rodziny królewskiej. Tak, Andrzejku? – Andrzejek z zapalem kiwnął głową. – Otóż, oświadczam uroczyście, że mogę wam zaofiarować takie właśnie spędzenie wakacji. Na jachcie.

Zdzisław spojrzał na Wojtkę, Wojtek na Zdzisława. Najgłębsze podejrzenie rysowało się na ich obliczach. Tylko bezgrzeszny Andrzejek złożył ręce jak do modlitwy i zapytał swym cienkim głosikiem~n:

– Oj, Edziu, czy to możliwe?

– Możliwe, mój kochany! – odparł czym prędzej Edzio, aby utrzymać ten wątle pełgający płomycek entuzjazmu. – Nie tylko możliwe, ale i pewne! Od nas tylko zależy, od naszej uchwały! Rozumiecie? Jacht! Nie morski, oczywiście, bo to za duża machina. Ale prawdziwy jacht! Wykładany mahoniem! Rozumiecie?

Tym razem wszyscy zmilczeli. Bo rzeczywiście, wyglądało to na bajkę. Jacht był rzekomo zbudowany jeszcze przed pierwszą wojną dla jakiegoś zwariowanego junkra na Mazurach. Miał on dużo pieniędzy, stąd te wszystkie luksusy mahoniowe. Cztery miejsca sypialne – jakby specjalnie dla nich obliczone. Kuchenka! Żagiel! – tu Kucyk zerknął do notesu.

– Czterdzieści metrów żagla – czytał. – Grot, fok. Rozumiecie? – popatrzył na nich. Nie ruszyli palcem, czytał więc dalej: – Ożaglowanie Marconiego. Jacht niekilowy. Rozumiecie?

Nie, nie rozumieli. Ta jakaś nutka niepewności w retorycznym skądinąd zapytaniu Edzia zmieniła jednak nastroje tamtych dwóch nieufnych, dała im szczuplutki nadzieję, że może przecież to wszystko nie jest zwykłym łgarstwem Kucykowym.

Andrzejek zaś spytał wprost:

– Nie kilowy? To jaki? Funtowy? To by chyba było przestarzałe...

– Nie, nie funtowy – odparł Kucyk i zajrzał do notesu.

– No, to jaki? Co tam masz napisane?

– Do cholery, mam! Tylko jak przeczytam, to mi jeszcze bardziej nie uwierzycie.

– No, no? – nie wytrzymał już i Zdzisław.

– Nie kilowy, ale mieczowy – powiedział Kucyk i zarumienił się. – Słowo daję, nie kłamię, o, patrzcie! Popatrzli. Istotnie, nagryzmołone było „mieczowy”.

– Dobrze – powiedział Zdzisław. – To pewnie jakiś termin techniczny. Mów lepiej, czyj to jacht i skąd ty do niego?

Kucyk odetchnął: ta gadana forma nieufności była przecież lepsza od niedawnego milczenia. Opowiedział całą historię, choć musiał przyznać, że nie była bardzo naturalna.

Jacht po wojnie trafił do rąk pewnego nadleśniczego, zwariowanego na punkcie żeglarstwa. Ten odremontował wojenne uszkodzenia i przez sześć lat używał go nie tylko jako rozrywki, ale i jako środka komunikacji, bo mieszkał nad jednym z wielkich jezior mazurskich.

Otóż w tym roku nadleśniczego biorą na jakieś dwumiesięczne kursy do Warszawy. Wzięby jacht ze sobą, ale sprowadzenie go tutaj zajęłoby za dużo czasu. Zresztą taki nałóg z pewnością przeszkodziłby mu w nauce na tym kursie.

– To daleki kuzyn mojej matki – oświadczył Kucyk. – Zajechał do nas, zrozpaczony, że musi się zabierać z Mazur akurat w lecie. No, ma się rozumieć, zacząłem go rozpytywać, czemu tak rozpacza. No, to on o jachcie. No, to ja mu współczuję. No, to on mnie pyta, czy ja też, z tym żeglarstwem...

– No, to ty, że oczywiście! – złośliwie wtrącił Zdzisio.

– A co miałem robić? Dobry jesteś! Taka okazja! I to dla was, dla was przecież! No, to ma się rozumieć, mówię, że owszem. A on, czy znam się. No, to co miałem powiedzieć?

Obejrzał zgromadzenie. Milczeli. Zapalił się więc:

– Wy rozumiecie? Taka okazja! Jacht. Cztery miejsca sypialne! Akurat cztery! Mahoń! Rozumiecie? I niekilowy, niekilowy! Mieczowy!

Ta mieczowość podziałała chyba najsilniej. Andrzejkowi niepostrzeżenie aż się usta rozwarły. Tylko Wojtek, poruszony niemniej od innych, przełamał czarowną wizję pełnego żagli okrętu, pytając rzeczowo i brutalnie:

– Wszystko to pięknie. Ale skąd forsa?

– Jaka forsa? – zakrztusił się Edzio.

– No, jaka forsa! Taki jacht utrzymać...

– Jest przecież utrzymany! A on, ten znajomy, nie chce od nas grosza. Ofiarowuje wszystko gratis. Byleśmy nie uszkodzili...

– No, ale jeść trzeba, nie? Dwa miesiące

– Rzeczywiście, jeść! I tak jeść musisz, choćbyś w domu pozostał. Więc dadzą ci parę złotych, co? A zresztą, jak znajdziemy się na miejscu, to się zawsze coś wykombinuje.

– Ciekawym...

– Ryby łapać będziemy, co, chłopcy?

– Umiesz?

– To żadna sztuka.

– A skąd wędkę?

– Zdzisio pożycz. Ma przecież wuja stukniętego na tym punkcie.

– A pozwolenie masz?

– Jakoś się wykręcimy. Zresztą... – Jagody! – krzyknął Andrzejek.

– Rzeczywiście, daleko zajedziesz na jagodach! – Bardzo daleko! – zaperzył się Wawerko. – To witaminy! I grzyby możemy zbierać, choć to mniej pożywne. I w ogóle, byle do lasu... Przecież był taki czas, że cała ludzkość żyła tylko z tego, co w lesie. Okres myślistwa i zbieractwa, może nie? I dziś jeszcze, w dorzeczu Amazonki albo Orinoko!

Wojtek głową kiwał bardzo ironicznie. Jeden jedyny z tych wszystkich wiedział, co to za rozkosze to całe zbieractwo. Pochodził przecież ze wsi! Nie umiał jednak przeciwstawić ich książkowemu zapałowi swego prozaicznego doświadczenia.

– Mieszczuchy jesteście... – zdążył tylko powiedzieć i to go zgubiło do reszty.

Rzucili się nań wszyscy trzej. Co to znaczy ten jego sceptycyzm? Czy przypadkiem nie oznacza drobnomieszczactwa najgorszego, bo wynikającego ze swoistej deklasacji? Czy nie wie, że na wsi elementu drobnomieszczackiego jest szczególnie dużo? A jeżeli wie, to dlaczego puszy się swoim

chłopskim pochodzeniem? Wypomnieli mu nawet uleganie amerykańskiej modzie jako przejaw ideologicznej wątpliwości.

Oczywiście, nie mógł ich przekrzyknąć, machnął ręką. Kucyk natychmiast skorzystał z jego poddania się, aby sprawę przeforsować.

– Więc postanowione! – krzyknął. – Jedziemy!

– Zaraz, zaraz – zastrzegł się Zdzisław. – Po co ten pośpiech? Mamy tydzień czasu.

– Jaki tydzień? Ten nadleśniczy dziś o wpół do czwartej wyjeżdża!. Zaraz muszę do niego zadzwonić. Bo jakbyśmy nie, to się nie bójcie, znajdzie dosyć takich, że mu jeszcze zapłacą! Wobec tego mamy – spojrzał na zegarek – dokładnie dziesięć minut czasu! Więc co, chłopcy? Boimy się tych ryb i jagód? Andrzejek już się zerwał.

– Czytaliście przecież – krzyknął – o tym doktorze! On przecież cały Atlantyk, na tratwie... I bez grosza przy duszy, bez jedzenia, bez wody... Ryby łapał i sok z nich... A my... aż wstyd...

Już byłby koniec dyskusji. Wstaje Kucyk, zebranie chce zamknąć. Tylko że Wojtek jeszcze się nie poddał. Wstaje także i rzuca niewinnie:

– No, a kto ten jacht poprowadzi? Umiecie żeglować?

Przez parę sekund trwa przykra cisza. Kucyk widzi zmieszanie w oczach tamtych dwóch, śpieszy więc:

– Wielka mi sztuka! Przez tydzień można się poduczyć.

– Tydzień, akurat! Najkrótszy kurs trwa trzy tygodnie.

– No i co? Jest nas tylu! Każdy się poduczy kawałka kursu. Ty, Andrzejku, więcej naukowo, rozumiesz? A Zdzisław po linii sportowej. Zgoda?

– No, a ty?

– A ja tak ogólnie. Po linii organizacyjnej.

– A on?

Popatrzeli krytycznie na Wojtkę. Pośpieszył im z pomocą:

– A ja niczego się nie nauczę. Tylu was będzie znawców, że poradzicie sobie z jednym pasażerem.

– No i w porządku! – krzyczy głośno Kucyk, żeby skończyć z dyskusją. – Czołem, chłopcy, biegnę telefonować!

Ruszają we trójkę w prawo, w stronę Rakowieckiej. Tylko jeden Kucyk mieszka z przeciwnej strony Pola, od Wawelskiej. On to, rzecz prosta, wykombinował to miejsce obrad, żeby pośrodku, choć aż trzech musiało nadrabiać drogi dla jego wygody.

Na boisku Ogniwia właśnie skończył się mecz i wielki potok ludzki sunie teraz przez wysypisko śmiecia, na przełaj, przez chwasty i doły, byle do tramwaju, do domu, na obiad. Oto i połowa niedzieli.

5.

Jej koniec spędził Andrzej w domu. Mieszkał przy jednej z uliczek między Aleją Niepodległości i Puławską. Dziwaczna to była uliczka. Bliżej Puławskiej wyrosły przy niej sadziki z przytulnymi willami, bliżej Niepodległości przetrwało parę zaułków z ohydny brudnymi ruderami, godnymi zapadłego miasteczka, i kilka wielkich, ale też brudnych kamienic czynszowych ze słodkich czasów przedwojennych,

Partery tych domostw budowało się wyłącznie na nędzne sklepiki o jednym oknie i drzwiach ze schodkami. Teraz te sklepiki były wszystkie niemal zamknięte, ich właściciele zamieszkali w nich właśnie. Okna wypełniały już nie pudełka szuwaksu, nie świece, nie słoiki z ogórkami, ale wielkie donice z agawami, pelargonią, fikusem. Drzwi za to były zawsze półotwarte i na schodkach wysiadywały całe rodziny, wytrącone z dziedzicznego handlowania.

Byłe sklepikarki czasem robi~ na drutach, częściej plotkowały. Byli sklepikarze chleli i klęli. Niezliczona dzieciarnia kręciła się im między nogami, ucząc się od rodziców i pięknego języka polskiego, i ogólnej filozofii życiowej, i zwłaszcza stosunku do tak zwanej rzeczywistości.

A pośrodku, między tymi dwoma biegunami przedwojennej Warszawy, między willami i ruderami leżało paręset metrów zwykłego kartofliska. Dopiero przed trzema laty zaczęła się tam budowa na

większą skalę. Między innymi postawiono ogromny sześciopiętrowy gmach z czerwonej cegły, pełen niezliczonych, jednakowych okien, pozbawiony za to jakiegokolwiek fantazji, fanaberii, najskromniejszego urozmaicenia. Te nieludzkie koszary przeznaczono dla studentów jednej z nowych wyższych uczelni.

Naprzeciwko wzniesiono parę bloków mieszkalnych i tam wreszcie przeprowadzili się z na pół piwnicy na Starym Mieście rodzice Andrzeja.

Jakie to było święto półtora roku temu! Andrzejek przeżył je przede wszystkim poprzez szczęście matki. Bo sam – to wcale nienajgorzej czuł się w dawnej półsuterenie.

Miała trzy kroki na cztery. Wchodziło się do niej po zwykłej desce, na której przybito parę poprzecznych deszczulek zamiast schodów. A przed tym jeszcze trzeba było znaleźć niedostrzegalną ścieżkę między potłuczoną cegłą, nie zabłądzić, w porę skręcić za pierwszym załomem muru i nie wpaść w dwumetrową przepaść otwartej piwnicy.

Powrót do domu o zmroku stawał się wielką pasjonującą przygodą i wtedy nawet zaduch mieszkania i kopcąca lampa naftowa miały swój urok – tak niewielkiego trzeba było wysiłku wyobraźni, by się ujrzeć w eskimoskim igloo.

I w ogóle ówczesne Stare Miasto, a już zwłaszcza pustynia getta nadawały się do dziecinnego życia, jak chyba żadna inna forma miejskiej zabudowy. Pierwszego lata powojennego matka posyłała go do getta na zbiórkę opału. Chodził z paru brzdącami – jeden skończył ledwo trzy i pół roku. Mieli wózek na czterech kółkach, stawiali go u podnóża kolejnego ceglanego pagórka, sami uzbrojeni w kawały zagiętego drutu drapali się do góry. Na szczycie czekał ich piękny widok: jak okiem sięgnąć, takie same pagórki i pagórki. Tylko jedna wyspa: kościół i kilka topoli. Co za przestrzeń dla życia pełnego przygód! Co za teren dla zyskownych odkryć! Dwie i trzy godziny łazili po tłuczce ceglanej, czasem po prostu na czworakach. Przeszło dwa lata od zburzenia getta i nieubłagane życie co nieco zdążyło z tymi ruinami poczynić. Najniecierpliwsze z kwiatów, mleczce, powylażyły zielonymi gwiazdkami z byle szpary. Tu i ówdzie trochę gliny siarczyło dla całej kolonijki trawy. Na samym dole pięły się lebiody i łopuchy. Nawet gładkie szare witki pośpiesznych osin zaczynały strzelać między pagórkami.

Dzieci łaziły po tych wspaniałościach przyrody, nie dostrzegając ich jednak. Przyziemna konieczność doraźnego zysku nakazywała im dziobać drutem między cegłami, zgarniać ledwo okrzeple grudki darni, szukać kawałów, kawałków, kawałeczków choćby najmniejszych nie zbutwiałego do reszty drewna. Nie dostrzegali przecież wspaniałej dzikiej przyrody na Północy także i poszukiwacze złota, zgięci nieustannie nad płukanym w rzeszocie miałem kamiennym.

Andrzej na tyle już znał życie, że nie widział żadnej istotnej różnicy między przeżyciami jednych i drugich. Tych z północy i tych ze wzgórz ceglanych. Jaki dumny był Michał od tej sprzątaczkii, kiedy udało mu się znaleźć całą nogę od taboretu! Jak mu zazdrościli wszyscy! A ten najmniejszy, Jaś, ten miał szczęście: w ciągu jednego dnia on właśnie trafił dwukrotnie na futryny okienne i raz nawet na dużą deskę od drzwi!

Tak że on, Andrzej, nie miał szczególnego powodu do narzekań w sprawie mieszkaniowej; gorzej było z jedzeniem. Zwłaszcza to pierwsze powojenne lato, zanim wrócił ojciec zaplątany po powstaniu w jakichś niemieckich obozach. Bywały dni, gdy się po prostu chodziło na żebry, byleby wykombinować te pół kilo chleba czy trochę kartofli.

I choć z tym poprawiło się już następnego roku, wojna i powojenna nędza nie znikły z życia Andrzeja. One właśnie stworzyły największe i najtrwalsze jego zmartwienie.

Andrzej łapie się na myśli: dziś trzecia niedziela czerwca. Zapomniał o tym! Skręca z Niepodległości, szybko mija posklepikowe rudery. Dziś niedziela, więc kobiet na ulicy więcej niż zwykle, mężczyźni wcześniej pijani, dzieci hałaśliwsze. Oto stoi dwóch wyrostków w jego wieku chyba, ale wyższych. Stoją podpici! Czekają na niego. Andrzej rumieni się, grzecznie schodzi im z drogi, idzie na drugą stronę. Rechocą, ale na tym poprzestają.

Ta trzecia czerwcową niedziela każe mu szybciej niż zwykle biec po wąskich nie zamiecionych schodach na trzecie piętro. Dopada do drzwi. Rodzice już siedzą przy stole, toteż dopiero po obiedzie może się zabrać do tego, co się robi w nieparzyste niedziele miesiąca.

Odczekał, aż ojciec pójdzie się położyć w ich pokoiku, aż matka z naczyniem przejdzie do kuchni. Staje przy framudze drzwi, bierze drewniane pudełko do szachów. Oto nastąpi zaraz coś, co zadecyduje, czy następnych parę dni będzie przyjemnych, czy smutnych. Wyprostowuje nogi, tył głowy przyciska do drzwi, pudełko stawia na głowie tak, by przylegało jednym z boków do framugi. Wtedy podnosi drugą rękę z ołówkiem, szybko kreśli linię wzdłuż pudełka, odskakuje, odwraca się. Parę sekund brak mu odwagi. Przełamuje się, podchodzi.

Zimne ukłucie: znowu nic! Kreska dzisiejsza – dłuższa, nierówna, bardziej nerwowa od poprzedniej – nie legła wyżej ani o milimetr. Na odwrót, jest nawet nieco niższa.

Od jakiegoś czasu rośnie bardzo słabo. Ma blisko siedemnaście lat, a wzrostu tyle co dwunastolatek. Był parę razy u lekarza, badano go, mierzono, ważono, prześwietlano. Lekarz rozłożył ręce... Ba, z sercem nieszczególnie, więc i sport nie bardzo wskazany. Tak, ogólny rozwój, gimnastyka, dużo powietrza. Dał jakieś zastrzyki, które zresztą nic dotąd nie pomogły.

Pasja czytania, uczenia się – nie tego zazwyczaj, co się zadaje w szkole – która sprawiła, że przyklejono mu przezwisko „profesora”, jest jedną z form ucieczki przed grożącą mu karzełkowatością. Rosnąca osobowość Andrzeja szuka w ten sposób jakiegoś odwetu na niesprawiedliwym życiu. I stąd także wielka potrzeba przyjaźni, bliskości innych chłopców. W „kołchozie”~ z Pola Mokotowskiego Andrzejek działał chyba najwięcej dla zespolenia tej czwórki, najczynniej i najskuteczniej paraliżując odśrodkowe wybryki Zdzisława czy zwłaszcza Wojtka, którzy nie mogli się pogodzić z dyktatorskimi zamaskami Kucyka.

Niejasna nadzieja, że może tym razem parę milimetrów zarobi, przysła. Andrzejek czuje wzbierającą falę ogólnego zwątpienia, smutku, osamotnienia.

Sam to zresztą pogłębia. Rodzice idą do kina. Nie, nie pójdzie z nimi. Ojciec macha ręką:

– Znowu nos w te książki! Ach, ty, profesur!

Ale właśnie że książki mu nagle brzydą. Rozkłada kolejno popularny podręcznik biologii, atlas roślin, parę mapek geograficznych – wszystko po kolei zgarnia ze stołu, ciska na półki. Usiłuje rozmyślać o czekającej ich już za tydzień wielkiej przygodzie wakacyjnej. Ale i to się teraz wydaje ni to niemożliwe do spełnienia, ni to po prostu nieciekawe. W „Trybunie Ludu” znajduje partię szachów, rozstawia figury na szachownicy, robi parę ruchów. Zaraz jednak partia wydaje mu się płaska, nieciekawa. Zerka okiem na zakończenie: oczywiście, remis. Figury grochocą lecąc do pudełka.

Oto już nic nie ma do roboty. Rozmyśla: „Może kogoś odwiedzić?”

Nikogo nie odwiedzi. Komu potrzebny jest taki pęta? Kładzie się na tapczanie, bezmyślnie patrzy w sufit. Zасыpia.

Obudzili go dopiero wracający z kina rodzice. Ojciec jest w świetnym humorze – film bardzo mu się podobał, co chwila śmieje się przypominając sobie bohaterские wyczyny Fanfana Tulipana.

Andrzejek zrywa się z tapczanu. Chwilę jest zupełnie nieprzytomny. Następną chwilę jest szczęśliwy: przypomniał sobie o czekającej ich wyprawie. A jeszcze po sekundzie szczęście przyska bez śladu: wróciła do pamięci parszywa nierówna kreska na framudze drzwi.

Dlatego nagle mdło mu się robi od ojcowskiego gadania. Wychodzi z pokoju, idzie do kuchni, staje przy oknie, gapi się na ogromną czerwoną ścianę domu akademickiego. Nieskończone różańce jednakowych okien ciągną się jakieś dwadzieścia metrów przed nim. Zmierzch dopiero zaczął się sączyć i tylko parę okien rozbłysło niedorzecznym żółtawym światłem. Nieduże klitki pokoiów, trzypiętrowe łóżka w każdej i sześciu studentów. Tłoczą się koło niewielkiego stołu przy oknie, leżą na łóżkach, grają na harmoniach, kręcą gałki radiowych aparatów, opowiadają coś sobie, śmieją się. Raz po raz zapalają się nowe okna.

I wszędzie to samo. Oto kilkadziesiąt okien. W każdym jest jeden od muzyki, inny od śmiechu, jeden czy dwóch zmęczonych, jeden, co się zakuwa. Patrzy Andrzejek i znowu mu się robi mdło na duszy.

W dodatku po cichu wchodzi matka. Oczywiście, domyśliła się, dlaczego uciekł z pokoju. Idzie teraz bez słowa, obejmuje Andrzejkę, szepce coś do ucha, jakąś pociechę, jakieś współczucie, jakieś usprawiedliwienie tamtego, hałaśliwego.

Ale ten szept wydaje się Andrzejkowi nielepszy niż owe śmiechy. Zaciska zęby, kiwa posłusznie głową, byleby skrócić ten czuły moment. I gdy matka, już uspokojona, na chwilę zwolni uścisk – wysuwa się spod jej ramienia, jakby nigdy nic idzie do drzwi.

– Chwilę się przejdę – mówi. – Głowa mnie boli.

– Kolacja – zaczyna matka innym, zmartwionym tonem. – Za pół godziny...

– No, to za pół godziny wrócę – rzuca śpiesznie. Wymyka się cichcem z mieszkania. Szybko zbiega ze schodów. Dopiero poza zasięgiem ojcowskiego widzimisię przytomnieje na tyle, że uświadamia sobie bezcelowość tego spaceru.

Dokąd ma pójść? W stronę ogródków i will czy w stronę sklepików i ruder? Oczywiście, sobie na złość, by ukarać swoje niepokonalne tchórzostwo, skręca w lewo, ku Niepodległości.

Zmierzch tymczasem okrzepł na tyle, że i latarnie rozbłysły, gdy dochodził do pierwszej rudery.

Już z daleka zobaczył coś, co jeszcze bardziej podnieciło jego zdenerwowaną decyzję.

Kilkanaście postaci kręciło się między byłymi sklepikami. Parę bab stało przy jednej z bram, gromada wyrostków wyległa na jezdnię, zagapiona. Nieliczni przechodnie, skręcający tu od Niepodległości, też zwalniali kroku, przystawali, zwracali głowy w tym samym kierunku i dopiero po chwili ruszali znowu.

Przyśpieszył kroku. Wrzaski, natrętna tkliwa gramofonowa melodia i wrzaski. Jaskrawo oświetlony jeden taki właśnie posklepikowy pokój. Ponad cytrynową, brudną kotarą czyjaś rozkudłana głowa. Krzyk. Czyjaś pięść wymachująca nad kimś niewidocznym spoza kotary.

Wrzask, obrzydliwy, brudny. Wyrostki na ulicy boją się podejść bliżej, baby z bramy też się nie kwapią do zaglądnienia. Andrzej czuje bardzo wyrażenie napięcia, trwożną ciekawość tych gapiów. Lęk przed tym światem jest w nim coraz ostrzejszy. I tym bardziej zdecydowanie idzie przed siebie.

Jak w przykrym śnie: oto zbliża się do ośrodka nieznanego niepokoju. Jeszcze trzy kroki, a minie go, zacznie się oddalać. Ale te trzy kroki są najcięższe, najtrudniejsze.

Tym razem, właśnie jak we śnie, w tych ostatnich krokach skupił się strach najostrożniejszy. Rymnęły nagle oszklone drzwi, otworzyły się na oścież. Wyrostki z ulicy, jak zdmuchnięci, odskoczyli do tyłu. Baby – i te ruszyły w głąb bramy. Przechodnie tym szybciej poszli swoją drogą.

Tylko Andrzejek przystanął, właśnie jak we śnie, kroku nie mogąc uczynić, jakby mu skamieniały nagle nogi. Staął, zapatrzył się.

Młody, dwudziestopięcioletni chłopak, z bardzo bujnymi, ufryzowanymi na babskie fale włosami, o czerwonej, przepitej gębie, wyciągnął potężne łapsko, chwycił kogoś i...

Inny wrzask, przejmujący, jakby tłuczonym szkłem krajano ci rękę. Wskoczyła na ganek dziewczyna, targnięta przez ufryzowanego dryblas. Włosy miała rozczochrane, sukieneczną pękniętą przy ramieniu, z twarzy widziało się tylko usta rozwarte od krzyku.

Dryblas targnął ją za rękę, pchnął. Wyleciała z ganku, zahaczyła nogą o przedostatni schodek i bezwładnie, twarzą w dół runęła na koślawe kocie łby bruku.

Wrzask babski w bramie. Nawet krzyk: „Milicja!” Dryblas chmurnie się obejrzał i te stulity grzecznie usta., dłońmi podparły brody, udały, że to ich nic, nie obchodzi.

Dryblas wolno zszedł ze schodków. Dziewczyna krzyczała ciągle. Dwa kroki zrobił, trzeciego starczyło mu już, by ją kopnąć w bok. Umiłkła.

– Co pan robi, panie?... – zaczął jeden z przechodniów.

Dryblas odwrócił się. Przechodzień był przyzwoicie ubrany, miał miękki kapelusz, krawat, był średniego wzrostu, w okularach.

Dryblas nagle ku niemu skoczył: – Twój interes?

Przechodzień zrobił gwałtowny w tył zwrot i z nieoczekiwaną – jak na kapelusz i okulary – szybkością zaczął nawiewać. Wyrostki pędem rzucili się za nim, gwizdząc, rechocząc, ciskając kamieniami.

Andrzej stał jeszcze, najbliżej dryblas. Ogromna, nieludzka nienawiść wypełniła mu piersi, usta, oczy. Widział sam siebie, jak podchodzi do pijanego łobuza, jak go chwyta jedną ręką za kark, jak ga przyciska do ziemi i tym pyskiem, ohydny śmierdzącym pyskiem pijanego bydlaka, tłucze, tłucze bez przerwy bez zmiłowania, o ziemię, o bruk, o kamień,

Widzi sam siebie, jak biegiem, gwizdem, telefonem sprowadza na miejsce milicję, jak chwytają chuligana, wykręcają mu ręce, ciskają do 1Lrytego samochodu z zakratowanym okienkiem.

Stoi bez ruchu, bez słowa. Chuligan odwraca się, dostrzega leżącą, przypomina coś sobie, jeszcze podskakuje, jeszcze wyrzuca z siebie jedno brudne słowo i kopie jeszcze raz.

Andrzejek widzi to, widzi, jak uderzona, przyciska twarz do ziemi, milcząc, już posłuszna, już nauczona lokalnej sprawiedliwości.

Andrzejek stoi. A gdy dryblas odwróci głowę, spojrzy kątem oka, nie otworzy nawet jeszcze swojej zaplutej gęby – Andrzejek już rusza z miejsca, jakby nigdy nic, nie za szybko, nie za wolno, grzeczniutko, cichutko, jak myszka.

I tak się dłużą te kroki, tak są ciężkie! Zanim wyjdzie z zasięgu pijackiego spojrzenia, zanim wkroczy między nie tynkowane bloki, spoci się cały i za największy sukces uzna to, że nie przyśpieszy, nie rzuci się do ucieczki, że do końca zachowa lekki krok niedzielnego spacerowicza.

Przy kolacji matka raz po raz dopytywała się, czy nie chory. Nie smakowały mu kartoflane placki, ulubiona przecież jego potrawa. Matka rękę kładła mu na czole, kazała wystawiać język, wzdychała.

Ledwo doczekał się końca, ledwo wytrzymał ostatnią godzinę pokolacyjną, kiedy ojciec nastawiał radio na muzykę i nos wtykał w gazetę.

Gdy sobie poszli, szybko zgasił światło, próbował zasnąć. Nie wyszedł ten manewr. Po kolei lazły mu do głowy kreska na drzwiach, pijany bydlak i dom akademicki.

Bo studenci tymczasem szaleli. Coraz to inne okno buchało światłem: mieszkańcy wracali z niedzielnych rozrywek i wszyscy po kolei rzucali się do głośników. Sufit nad Andrzejem od natłoku światła z naprzeciwka przybrał bladożółty odcień. Od hałasu dygotały szyby.

Poddał się, zapalił lampę przy tapczanie. Żadna z napoczętych książek nie wydała mu się zdolna rozproszyć tego nadmiaru goryczy. Zapiisał tylko sobie w notesie: „O żeglarstwie teoretycznie”. Potem sięgnął po „Trybunę”. Z wysiłkiem brnął przez wyważone zdania wstępniaka, przez oficjalne komunikaty, wyliczanie dostojników obecnych na takich a takich uroczystościach, wiadomości o kolejnych sukcesach gospodarczych, inne nieodzowne elementy pierwszej strony niedzielnej gazety.

Uparł się, że przeczyta ją „od deski do deski” i – zaśnie. Na drugiej wyptynęły artykuły o uzbrajaniu Niemiec Zachodnich, o próbach wykorzystania hitlerowskich generałów, oficerów, specjalistów. O nawiązywaniu do nie ukończonych hitlerowskich doświadczeń nad nowymi rodzajami broni masowej zagłady. Potem było sprawozdanie z procesu grupy zrzuconych na Ziemię Odzyskane dywersantów. Potem korespondencja z szachowego turnieju. Potem, już na trzeciej stronie, kawałek jakiejś powieści.

Tu dopiero zbawcza senność nawiedziła Andrzejka. Ale nie zdążyła mu głowa opaść, jak należy, na poduszkę, gdy za oknem buchnął wrzask większy niż dotąd. Wydało mu się, że w tym chaosie dźwiękowym zaczyna poznawać czyjś głos. Wydało mu się nawet, że to ten ufryzowany!

I wtedy przyszło nań zwątpienie najgłębsze. Więc zwąchał się tamten pijany bydlak z setkami tych monotonnych, beztroskich hałasowiczów. Więc ich niedbałe, dokuczliwe lekceważenie sąsiedztwa i tamta chamska przemoc to jedno?

Więc wszystko się łączy. Okrutna niesprawiedliwość życia, które kazało mu z drżeniem znaczyć kreski na framudze drzwi, rodzi tych oto, z naprzeciwka, którzy gwizdzą na pracę, spokój, sen otoczenia, śpiewają, po prostu ryczą. I coś dziwnego, że z tego szerokiego, nieuświadomionego chamstwa rodzi się chamstwo świadome; dumne, butne, zaczepne, chamstwo tamtego z kędziorkami.

Skulony pod prześcieradłem, nie wiedząc, jak uciec od wzbierającego za oknem hałasu, Andrzejek przeżywa najsilniejsze jak dotąd poczucie własnej słabości. Cóż może zrobić? Sam nie poradzi nic. Ale przecież i ta wielka siła, na którą, zdawało się, mógł liczyć najbardziej – też właśnie zawiodła.

Mówi się w szkole: ZMP, władza ludowa, partia. To niby ta siła, która bierze za pysk ciemnotę, brutalność, chamstwo, która broni słabszego przed ludzkimi drapieżcami, daje mu szansę przetrwania w walce z życiem.

Ale ci przecież, ci z naprzeciwka – na pewno w trzech czwartych to zetempowcy! Chodzą na zebrania; dukają wyuczone frazesy, skwapliwie i bezbłędnie wypełniają w ankietach rubryki o swojej treści ideowej. I nie tylko sami gwizdzą na otoczenie, ale jeszcze się zwąchują z jawnymi chuliganami!

Leżał, zatykał uszy. Wtedy jednak nie tylko hałas uliczny huczał mu w głowie, ale i krew w skroniach, przyspieszona zaciśnięciem jakiejś żyłki. Więc na chwilę zdejmował dłonie z uszu. I tym gwałtowniej wdzierał się wówczas głos ufryzowanego bydlaka. Andrzejek nie miał już wątpliwości. Nie zapomina się nosowego odcienia takiego wrzasku, nie zapomina się słownictwa. Nie dlatego, że takie szczególne. Dlatego, że takie jednostajne w swym brudzie.

Nagle Andrzejek coś zrozumiał i aż usiadł na tapczanie. Przecież ten wrzask monotony i nieustanny coś innego oznacza, niż się zrazu zdawało. Przecież dopiero teraz Andrzejek przebudził się na dobre. I jest już prawie dwunasta.

Zrywa się z tapczanu, podbiega do okna. Wielka czarna ściana domu z naprzeciwka tylko w paru miejscach na dole przedziurawiona jest prostokątami oświetlonych okien. W każdym kilka wychylonych sylwetek. Ten i ów coś krzyczy, macha rękami.

A na jezdni, dziesięć metrów od domu stoi jeden, tylko jeden człowiek. Nie omylił się Andrzejek, stąd, z trzeciego piętra widać trzy półokrągłe błyszczące linie na jego włosach. Ufryzowany stoi, głowę zadart, krzyczy do najbliższego oświetlonego okna na pierwszym piętrze.

Krzyczy ciągle to samo. Jedno brudne słowo przyrosło mu do języka. Ci z okna przyglądają mu się niemal z zainteresowaniem, jeden oparł się o parapet i głowę wychylił, jakby oglądał w Zoo zabawnego zwierzaka na dnie wycementowanej jamy. Inni są mniej pobłażliwi, co pewien czas rzucają rzeczowe porady:

– Nie hałasujcie!

- Ano, zabieraj się stąd, obywatelu!
- Idź pan spać, idź pan spać, jak się wypisisz, daj pan znać!

Ufryzowany stoi rozkraczony. Te dobre rady podniecają tylko jego furię, choć nie wzbogacają wyobraźni. Ryczy ciągle to samo:

- Ja ci... tego i owego! Ja ci... tego i owego!

Głos ma potężny, owszem. Z każdym nowym jego okrzykiem nowe okna zapalają się w czarnej ścianie, Nowe sylwetki na pół rozebranych młodzieńców wynurzają się spoza żółtych żaluzji. Każde nowe okno zaczyna od tego samego: jest zdziwione, nie rozumie. Po chwili, zrozumiałwszy, włącza się do dyskusji, i każde następne jest bardziej niecierpliwie, bardziej oburzone. Nie ma już w nich bezinteresownych obserwatorów.

Skończyły się dobre rady, zaczyna się co innego. – Te! – krzyczy jakiś chłopak na trzecim piętrze. – Zamknij się! Spać nie przeszkadzaj!

- Te, bikiniarz! – wrzeszczy inny, na samej górze.

– Dostyc tego chuligaństwa! – woła teraz cały pokój i nagle z pojedynczych motywów tej niezgranej orkiestry zaczyna się rodzić jakby melodia. Jeden pokój skanduje: „Do-syc te-go chu-li-gań-stwa! W innych usłyszeli skandowanie i ostatnie słowo i nagle całe drugie piętro wrzasnęło:

- Chuligan!

Ufryzowany jakby w pysk dostał od tego krzyku Zachwiał się, zatoczył do tyłu. Na parę sekund jego monotony wrzask umilkł. Nachylił się, gmerał ręką w nie sprzątniętej kupie tłuczki ceglanej.

Zaraz się wyprostował z półceglą w ręku, wrzasną: znowu, podbiegł celując w najbliższe okno.

Owszem, zakłębiło się w nim, odskoczyli chłopcy w piżamach, światło zgasło.

Ale teraz to było jedyne ciemne okno w ogromnej ścianie. Wszystkie inne już się paliły, wszędzie były twarze. I teraz wszystkie jak na komendę wrzasnęły: – Chuligan!

Potęga tego krzyku była taka, że Andrzejkowi się wydało, jakby poruszyła się firanka w jego oknie. Ufryzowany stanął. Krzyczał tylko jedno, najbrudniejsze jego zdaniem słowo. Ale zagłuszony nieustannie skandowanym okrzykiem całego domu nie odważył się podejść bliżej, rękę z półceglą opuścił, potem zaś krok i jeszcze krok zrobił do tyłu. Odpychany przez nienawiść tych paruset, stanął wreszcie pod domem Andrzejka, o krok w lewo od jego okna. Stał i jeszcze krzyczał.

Wtedy coś tknęło Andrzeja. Zerwał się z parapetu, skoczył do kuchni. Pod zlewem stało puste wiaderko na śmieci. Podstawił je pod kran, pół minuty czekał drżąc z niecierpliwości, aż się napęłni. Wreszcie chwycił je, nie czując ciężaru pobiegł do siebie. Wielki krzyk domu akademickiego trwał, chuligan na dole też pokrzykiwał nie umiejąc uznać się za pokonanego. Andrzejek wychylił się z okna i jednym zamachem lunął z wiadra na fryzowany łeb tamtego.

Błysnęła spadająca bez szmeru płachta wody. Urwał się krzyk – bo ogromny dom wybuchł jednym potężnym śmiechem. I jak splukana nieczystość znikł, już bez słowa, ufryzowany chuligan.

Droga do puszczy.

1.

Ledwo wleźli do wagonu: koniec miesiąca, początek turnusu wczasowego, i to najważniejszego, lipcowego, sprawiły, że dworce warszawskie stały się podobne do olbrzymich tramwajów w godzinach powrotu z pracy.

Wleźli jednak, dzięki przemyślności Kucyka. Gdy zajechał pociąg, gdy przy każdym wejściu potworzyły się wymyślające gwałtowne wiry, Kucyk kazał reszcie stanąć z bagażami przy pierwszym oknie wagonu, sam zaś dał nura w najgorszy ścisk. Mimo to udało mu się wpaść na korytarz wagonu dopiero, gdy przedziały zalane już były przez tłumy zręczniejszych od Kucyka podróżników. Szybko spuścił szybę.

– No, dawajcie po kolei, raz, dwa...

Ciągnął do góry tłumoki, ciskał na korytarz. Wreszcie kazał i tamtym dołączyć. Z trudem przepychali się przez stertę koszyków z kurami, które ni stąd, ni zowąd wywożono akurat z Warszawy.

Nie byli zadowoleni z Kucyka. Zdzisław powiedział wprost:

– Takeś rozkazywał, że myślałem o całym przedziale!

– Jeszcze może druga klasa, sypialny? Dobry sobie! Żeby nie ja, tobyście na zderzakach musieli jechać!

– Tu niewiele lepiej.

Rzeczywiście, z takim trudem zdobyte przez Kucyka miejsce polegało na metrowym odcinku korytarza, na którym trzeba było ułożyć toboły i jakoś się umieścić samemu. Mieli plecaki – tylko sam Kucyk paradował z nowiutką walizką, o której mówił dumnie, że z prawdziwej tektury. Gdy Andrzejek po godzinie jazdy oparł się o nią, bezlitośnie go zepchnął krzycząc, że nie wytrzyma. Na plecakach bali się siadać, bo każdy miał tam szklanki z celuloиду i inne kruche przedmioty.

Stali więc zepchnięci jeden przy drugim. Od drzwi nacierali na nich trzej żołnierze jadący na urlop i parę przekupek od tych koszy z kurami. Z głębi wagonu Wojtka popychała zażywna jejmość, sama zresztą wypierana z miejsca przez wytwornego eleganta, walczącego zaciekle o stojącą przy nim jasnowłosą i nader energicznie rozmalowaną piękność.

Wojtek bronił się jak lew przed naporem pękatej jejmości. Kucyk od czasu do czasu popychał go w pierś, ale ta forma pomocy sąsiedzkiej nie była zbyt skuteczna.

– Byle do Olsztyna! – sapał Kucyk. – Zobaczycie, tam będzie całkiem luźno. Tam się przesiadamy. Przecież to wszystko jedzie nad morze, a my skręcamy na wschód.

Letni wieczór zaczął ich dopędzać pod Mławą i do wymarzonego Olsztyna przybyli już przy zapalonych latarniach. Istotnie, większość pasażerów została w pociągu. Ale gdy wyleźli na peron, zobaczyli tam tłumy niemniejsze niż w Warszawie. Czekali przez godzinę na pociąg w stronę Ełku i co dziesięć minut przychodziły pociągi z Gdyni, Sopotu, Elbląga. Co dziesięć minut wylaziły tłumy ludzi znad morza, którzy nie chcieli tam spędzać wakacji.

Kucyk biegał wśród wysiadających, rozpytywał i wracał do reszty coraz bardziej przybity. Wszyscy zapowiadali się na Szczytno, Ruciane, Pisz, Ełk, Suwałki.

Miał rację, nieborak. Gdy wreszcie wtoczył się na peron potrzebny pociąg – to, co się tam rozegrało, przypominało z grubsza Matejkowską bitwę pod, niedalekim zresztą, Grunwaldem.

Kucyk usiłował wprawdzie w tej bitwie odegrać dosyć wygodną rolę Zyndrama z Maszkowicz czy samego Witolda, to jest wedrzeć się do środka po głowach pozostałych. Niebawem jednak zepchnięto go na dół i do wagonu musiał się wślizgiwać jak wąż, między nogami śpieszącej na wczasy tłuszczy.

Andrzejek w ogóle by nie wszedł, gdyby nie Kucyk. Przerażony tym, co się dzieje, nie ufając swoim wątląm barkom, odszedł o parę metrów – czekał, aż się trochę ten ścisk uspokoi.

Gdzie tam! Już głośniki huknęły swoje: „Proszę wsiadać, drzwi zamykać!”, a przy tych drzwiach trwała jeszcze ciągle bitwa pod Grunwaldem w swej najokrutniejszej fazie dobijania niedobitków.

– Andrzejek przeraził się, gdy powtórna zapowiedź uświadomiła go, że na Szczytno, Ełk, Białystok odchodzi właśnie ich pociąg. Skoczył do drzwi, ale był za mały, plecak zaś na nim za duży. Lada pchnięcie niecierpliwego silniejszego konkurenta już mu groziło przewróceniem się na plecy.

Był zrozpaczony. Krzyczał nawet:

– Kucyk! Kucyk!

Nagle szurgnęła najbliższa szyba i Kucyk wyciągnął doń rękę.

Nie dałby sam rady, zwłaszcza że plecak! Chwycił Andrzejka za rękę, próbował ciągnąć. Nie podołał. Dyżurny kierownik ruchu w czerwonej czapce już pokazywał maszyniście sygnał odjazdu, Andrzejek zaś stał jeszcze na peronie, wyciągając bezradne dłonie do okna.

Na szczęście sąsiedzi Kucyka w lot ocenili powagę sytuacji. Wychyliło się pół tuzina twarzy, dziesiątek rąk chwycił Andrzejka i ten się poczuł lekki jak dziecko.

Pociąg już ruszał, gdy Andrzejek wylądował na czyichś kolanach, brzuchach, nogach. Dojeżdżali do dyżurnego i ten krzyczał, że nie wolno przez okno, że kara...

Maszynista na szczęście tego nie słyszał. Pociąg rozpedzał się, został z tyłu tragiczny peron, znikły ognie Olsztyna. Młoda noc lipcowa zaglądała przez okna.

Nie widzieli jej. Ścisk w korytarzu był potworny. Na szczęście trafili w sam środek potężnej armii kilkudziesięciorga studentów z Gdańska, jadących na jakiś tam obóz za Rucianem. Było to

towarzystwo zgrane z sobą po prostu do niemożliwości. Mimo potwornych warunków podróży ani na minutę nie straciło humoru. W drugim końcu korytarza zaraz zaczęto śpiewać – oczywiście „Kukułeczkę”. Tu, koło nich, trwało jeszcze jakiś czas podniecenie na skutek cudownego uratowania Andrzejka. Ponieważ zazwyczaj lubimy tych, którym okazaliśmy jakąś przysługę – Andrzejek zaraz się stał ogólnym pupilkiem. I oczywiście odbywało się to wszystko w ramach akcji „dnia dziecka”.

– Popatrz, Krystyna! – wołał rozrostły, długowłosa blondyn ciągnąc za rękę krótkowłosa czarnulę w workowatej wiatrówce po kolana. – Widzisz, jakiego szkraba uratowaliśmy?

– Gdzie, gdzie? – wyciągała modną, ćwierćmetrowej długości szyję „wzmiankowana” Krystyna. – Co, ten tutaj? Jaki milusi!

– Chłopaczku! – wołała inna, o ponadplanowo rozbudowanym biuście. – A jak ci na imię? Andrzejek? Śliczne, śliczne imię. Masz tu cukierka!

Andrzejek wcisnął się w kąt za plecami Wojtka. Był czerwony z wściekłości. Niestety, to rozpałało tylko budzące się właśnie macierzyńskie uczucia koleżanek-studentek, które głaszały go po głowie, pytały o wiek, niemal wybuchały entuzjazmem na wieść, że umie czytać.

Wojtek, acz rozumiał, co się dzieje w duszy kolegi, nie okazywał przecież żadnych starań, aby mu przyjść z pomocą. Na odwrót, zachowywał się niemal jak dozorca przy klatce z najciekawszym w Zoo zwierzęciem. Wydymał pierś, co chwila otrząsał dumnie włosy targaniem głowy do tyłu, palił raz po raz papierosy, słowem czynił wszystko, by i na niego panienki zwróciły nieco uwagi, i to tej dorosłej.

Gdzie tam! Ani nań spojrzwały! Więcej szczęścia miał Edzio, bo sprytniej wybrał płaszczyznę zainteresowania.

– Tak, tak! – wołał, gdy z korytarza przepychała się kolejna amatorka obejrzenia „cudownie uratowanego” szkraba. – Tutaj ten mały! Ledwośmy go wciągnęli przez okno! A dyżurny o mało go za piętę nie złapał, bo nieprzepisowo...

– Co za biurokrata! – oburzał się najbliższy student.

– Właśnie! – krzyczał Edzio. – A koledzy dokąd? Bo my na wielkie jeziora. Mamy żaglówkę!

– Co wy powiadacie? Jaki typ? Hetka? Edzio wymijająco machnął ręką.

– Mahoń! Z kliwremi Czterdzieści metrów żagla! Słuchacze buchali zachwytem.

– Co to, obóz? – wypytywał jakiś ciekawski. – Elpeżet? Espe?

– Ale , obóz! – dumnie rzucił Edzio. – Nasza własna! Na włóczęgę!

– Popatrz, popatrz, Krystyno! – kiwał głową długowłosa blondyn. – Czterdzieści metrów! I na włóczęgę! A my tylko te krypy i na obozie! Co wieczór apel. Co rano gimnastyka! Nie mamy szczęścia.

Edzio prostował się dumnie, spozierał na kompanów.

– A kto kapitan? Wy? – dopytywał się blondyn. – Kończyliście jakieś kursy? Macie żeglarskie stopnie? Pewnie sternik, co?

Edzio wołał nie zagłębiać się w szczegóły tego problemu, bo zaraz krzyknął swoim, żeby wyciągali kolację.

W porę o tym przypomniał. Cała armia gdańskich studentów dała spokój wypytywaniom, zaczęła się grzebać w plecakach, teczkach, walizkach. Wagonowy zaduch nabrał zaraz marmoladowych, cebulastych, kielbasowatych zapachów. Ze wszystkich stron wyciągnęły się ręce z pajdami chleba obłożonymi zimnym mięsem, serem, dżemem. I wszystkie się kierowały pod nos Andrzejkowi. Nawet z połowy korytarza wołano: „Przekażcie temu dziecku, co przez okno...” – i jechały z rąk do rąk placki, babki, domowe keksy.

– Jedz, jedz! – pocieszano Andrzejka. – To nic, żeś taki mały. Będziesz jadł, to urośniesz.

– A ile on ma lat? – niewinnie spytała Krystyna.

To była najgorsza chwila. Edzio szybko rzucił:

– Dwanaście!

– Patrzcie, patrzcie! Dwanaście, a już taki duży!

Andrzejek o mało się nie rozbeczał. Na szczęście pociąg stanął: Szczytno. Studenci runęli na peron po napoje. „Kukułeczka” z tamtej połowy wagonu stała się „Maryniką”. Na peronie zebrał się tłum zagapiony na wesołych studentów.

I tak hałaśliwie, rozśpiewani, roześmiani, ruszyli dalej. Jasno oświetlony korytarz czynił tym ciemniejszą noc lipcową za oknami. Pociąg pędził przez uśpione wioski. Niebawem zaczęły się zjawiać gładkie czarne płachy jezior, z okrągłych krzaków powyrastały lasy.

– Chłohcy, zwolna ku wyjściu! – rzucił Edzio spojrzawszy na zegarek. – Niedługo wysiadamy.

- Gdzie? – spytał student.
- Stobiec.
- Ach, ten przystanek! Macie tam kogoś?
- Z grubsza biorąc.
- To dobrze. Bo inaczej...

Znowu buchnęła „Marynika” i student nie dokończył. Bardzo powoli przepychali się przez góry ładunków. Studenci wciągali brzuchy, studentki zagarniały spódnice. Andrzejek szedł ostatni, budząc jeszcze pożegnalną falę czułości. Każda z mijanych dziewczyn wpychała mu do kieszeni albo i wprost do buzi czereśnię, pierniczek, czekoladkę. Dźwigał oburącz swój plecak, toteż nie mógł się nawet bronić.

Pociąg w Stobcu przystawał na ćwierć minuty – kto nie zdążył wysiąść, ryzykował jazdę dwadzieścia kilometrów dalej. Ostatnie pół godziny stali już w wagonowym przedsiönku. I tu zresztą ścisk był potężny, choć ludzi mniej. Studenci złożyli ogromne ilości jakichś skrzyń i zostawili paru ludzi do ich pilnowania.

Andrzejek, u kresu sił po tej wagonowej próbie nerwów, został przy oknie, twarz przytulił do brudnej szyby, byle nie widzieć oczu kolegów. Oświetlone biegnącymi prostokątami okien, pędziły mu na spotkanie nieskończone tłumy niezbyt wysokich sosen, pojedyncze potężne dęby, zagajniki spiczastych świerków i znowu sosny i sosny. Ani domu, ani poletka! Dziwne jakieś uczucie, którego nie potrafił jeszcze nazwać, zrodziło mu się w duszy. Edzio trącił go w ramię.

– Zaraz wysiadamy! – krzyknął. – Nie śpij! Andrzejek przywarł do szyby, szukając pierwszych światełek czy choćby zabudowań. Nic nie było, tylko sosny biegły niezmiennie, niepowstrzymane. Rumor hamulców targnął pociągiem, szorowanie żelaza, przechył w kierunku jazdy.

– No! – Edzio chwycił plecak. – Chłopcy, na nas już czas!

Pociąg zwolnił i „Marynika” buchnęła ze zdwojoną siłą. Kawaler czarnowłosej Krystyny przepchał się do przedsiönka.

– Wysiadać! Pomogę wam, szybko!

Stanął pociąg i już Edzio był na dole. Rzucano mu plecaki. Wojtek i Zdzisław skoczyli także. Andrzejka chwycił pod pachy rośli blondyn i wyciągnął do Edzia.

Dziesięć oświetlonych rozśpiewanych okien. Twarze studentów. Gdzieś z daleka gwizdże konduktora. – Szybko, szybko. Wszyscy wysiedli?

– Do widzenia, do widzenia! – Rękami, chusteczkami, gazetami machają weseli współtowarzysze podróży. – Trzymajcie się! Pomyślnych wiatrów!

– Ano, drużyna, na cześć żeglarzy „Opoczyńskiego!” – krzyczy blondyn.

Pociąg rusza i z okien wagonu bucha: „Oj, tańcowałibyśwa, ale mała izba...”

– Cześć, cześć! – woła Edzio, też macha chustką, biegnie nawet za pociągiem.

Ale ten przyspiesza, śmigają im przed oczami inne wagony, grzeczne, spokojne, ciemne, rozspane. Ostatni przelatuje w całym pędzie, miga czerwona latarnia.

I raptem robi się ciemno. Edzio odwraca się, uderza kolanem o jakiś słupek. Andrzejek wyciąga przed siebie ręce.

– Wojtek! – woła Zdzisław. – Wojtek!

– No, co znowu? – odburkuje tamten o krok od Zdzisława.

Jest ciemno. Tylko jedna żółtawa latarnia pali się przy daszku jakiegoś domku. Jest bardzo mizerna, ma zakopcone szyby.

Owszem, gwiazdy są także, bujne, tłumne, dalekie, jak ognie ogromnego miasta, do którego zniża się stratosferyczny samolot.

Jest cicho. Pociąg dudni, ale już tak daleko, że cisza dokoła wydaje się jeszcze potężniejsza.

Odruchowo skupiają się przy sobie, dotykają jeden drugiego ramionami. Słuchają.

Pociąg dogasa, już nie dudniąc, już tylko szurgocąc. Gdzieś z naprzeciwka absolutna ciemność nagle wybucha bliskim krzykiem, jakby skrzekliwa baba z niepokojem kogoś zawołała.

Żaden nie odważy się stchórzyć, żaden nie pyta: „Kto to?” Wojtek tylko szepce:

– Lelek.

Nie bardzo wiedzą – czy znaczy to, że można się uspokoić, czy że wprost przeciwnie. Edzio przytomnie pierwszy. Rusza z Wojtkiem przed siebie. Oswoili się trochę z ciemnością i dostrzegają co najmniej dwa jej stopnie: ciemność nieba i wszystkiego poza tym.

Ruszają do domku z tą jedyną latarnią. Ale wszelkie próby dostania się do środka zawodzą, Prócz chłopców na stacji nie ma żywej duszy.

Znów się skupili. Edzio wreszcie się załamał i zrezygnował ze swego dyktatorstwa:

– Chłopcy, co robić? Wojtek mruknął pierwszy: – Gdzie ten twój nadleśniczy?

– W Warszawie. Wczoraj przyjechał.

– Ale gdzie mieszka? Adres chyba masz?

– Co za pytanie! Stacja Stobiec, wieś Stobiec, poczta Kielmyżki.

– No, to gdzieś tu musi być. Wieś od stacji daleko?

– Ja wiem? On mówił, żeby w dzień, ale sami wiecie, tyle lataniny...

– Tośmy ładnie wpadli. Gdzie Stobiec, nie wiadomo, na stacji nikogo. – Zdzisław aż się uniósł: – Jak zwykle, nabiłeś nas w butelkę! Co teraz mamy robić? Nocować tu? Pod gołym niebem?

Niestety, nie było innej rady. Siedli wszyscy na kamiennej ławie, ustawionej przy domku, pod dachem.

– To nic, chłopcy, to głupstwo – pocieszał ich Edzio. – Noce teraz są takie krótkie. Ani się obejrzymy, jak zaświta...

Siedzieli, czekali. Wolno zatapiała ich niezmierna lipcowa noc. Po chwili zza toru pociągnęła fala chłodu pachnącego dziwną ostrą wonią, od której w głowie zdawało się kręcić jak od mocnego piwa. Zapięli koszule pod szyją. Ręce chowali pod pachy. Ciemność studziła im ciała i myśl o warszawskiej przedwyjazdowej spiekocie wydawała się dziwaczną fantazją.

Bardzo wolno spływała ta leśna lipcowa noc. Zabrzęczało coś nad uchem i cieniutka igielka ukłucia targnęła Andrzejem.

– Co z tobą? – niecierpliwie zachnął się Wojtek.

– Coś kłuje! – jęknął. – Tak piszczy...

– Głupiś, to komary.

Andrzejkowi przypomniały się Londonowskie opowieści o Alasce i moskitach. Zamknął oczy i pierwszy raz ogromna ściana studenckiego „domu wariatów” nie wydała się bardzo przykra.

– Śpijcie, śpijcie! – przekreślił się Edzio.

– Długo jeszcze do tego świtu? – cierpko spytał Zdzisław.

– Za trzy dwunasta! – powiedział Kucyk, który miał fosforyzujący zegarek. – Śpijcie, bo właśnie pora duchów...

Andrzejek wlaź na ławę, kolana podciągnął pod brodę. Słowa Edzia wionęły nań nową falą chłodu. Oczywiście nie wierzył w żadne tam duchy. Ale różne są rodzaje takiej niewiary. Inaczej się nie wierzy o trzeciej po południu na rogu Marszałkowskiej i Alei, inaczej o północy pośrodku tych niezmiernych lasów. Tam zwyczajnie się o tym nie myśli. Tu trzeba sobie po cichutku powtarzać: „To wszystko głupstwo, nie ma żadnych duchów”. I zawsze lepiej przysunąć się trochę bliżej Wojtka, trochę dalej od końca ławki.

Oczywiście nie mógł zasnąć. „Za trzy dwunasta” – powiedział Kucyk. Trzy minuty chyba właśnie minęły. Mimo woli skurczył się jeszcze bardziej. Otworzył oczy, bo mu się wydało, że słyszy jakieś skradanie się za torem. Nic nie widzi w tej ciemności. Nagły wrzask w lesie! Zerwali się wszyscy.

– Spokój! – gniewnie rzucił Wojtek. – Mówiłem przecież. Lelek. Ptak taki.

Ułożyli się znowu. „Dwunasta... – myślał Andrzejek. – Wszystko to głupstwo. To lelek...”

I nagle uświadomił sobie, że coś słyszy. Zrażony hecą z lelkiem, nie śpieszył z nasłuchiowaniem. Usiłował myśleć o czymś przyjemniejszym. O kresce na drzwiach, która nagle podskoczy o pół centymetra... O nie dokończonej książce podróżniczej z wysp Galapagos...

Gdy jednak te przymuszone rozmyślenia urwały się na chwilę, to, co mu się niby przesyłało, wróciło bardziej wyraźne. Było to jakieś znajome, ale paskudnie znajome pomrukiwanie. Bardzo silne, ale bardzo dalekie.

Znowu otworzył oczy. Noc była teraz bezgraniczna, nieruchoma, klarowna, zimnawa. Patrzył przed siebie, ponad wierzchołki sosen. I nagle zrozumiał, skąd zna to, co słyszy. Był to po prostu samolot. Choć nie zwyczajny.

Po powstaniu wywieźli go z matką do Niemiec. Tamtejsze noce wypełniało takie właśnie uporczywe zawodzenie. Zanim stawało się piorunem, jasnością i śmiercią – długo, natrętnie mroziło duszę swoim zbliżającym się jazgotem.

Nie wytrzymał, znowu się zerwał. Tak jaskrawe były te wspomnienia sprzed lat dziesięciu, że zapragnął biec, szukać jakiejś piwnicy, jakiegoś choćby dołu!

– Co z tobą, do cholery! – sarknął Wojtek.

– Samolot! – szepnął Andrzejek. – Słuchaj, słuchaj...

– No, więc co, że samolot?

– W nocy...

– No, to co, że w nocy? Nocnych ćwiczeń nie mają? – z irytacją rzucił Kucyk.

Samolot zbliżał się powoli.

– Dziwny jakiś! – jeszcze się bronił Andrzejek.

– A co się ty tam znasz! – dobił go Zdzisław, wielki spec od mechaniki. – Zwyczajny dwumotorowiec...

Samolot leciał wprost na nich i mimo tych wszystkich uspokajań ani jeden z chłopców nie próbował już zasnąć. W pewnej chwili Zdzisław wstał nawet, odszedł parę kroków od domku, głowę zadart.

– No, co tam? – spytał Kucyk.

– Rzeczywiście dziwne – mruknął tamten. – Tak blisko się wydaje, a nie widać świateł pozycyjnych.

– Może to złudzenie, że tak blisko? Noc taka cicha...

– Może...

Samolot huczał w tej nocy jak ogromny, leniwy trzmiel. Stali we czwórkę z zadartymi głowami, szukając go w powodzi po letniemu białych gwiazd.

– Pewnie pasażerski. Może z Berlina na Moskwę. Ale co z tymi światłami?

– Czekaj, podleci bliżej, to zobaczysz.

Samolot nagle jakby włożył tłumik na motory. I jednocześnie jakby się zbliżył jeszcze bardziej. Zdzisław zrobił nawet krok naprzód.

– Może wypadek? Motory nawalają? – powiedział.

Wnet jednak motory zagrały z całą siłą. W nieprzeniknionej nocy ryk ten wydał się jeszcze gwałtowniejszy i bliższy. Ale już nie rósł, na odwrót, zaczął się oddalać.

Stali parę minut, dopóki nie znikł całkiem, dopóki nie wróciła wszechobecna cisza.

– Pomyliła mu się droga? – spytał Andrzejek.

– To niby ze wszystkimi tymi radarami, tak? – zadrwił Zdzisław.

– No, więc co? Co to było?

– Może ćwiczenia? – zaryzykował Wojtek.

– Tak czy owak – przeciął Kucyk – trzeba spać, chłopcy. Nic tu nie wymyślimy.

Andrzejek znów się wyciągnął na ławce, oparł się o Wojtkę. Myślał to, co i reszta zapewne. Tajemniczy nocny samolot bez świateł zawraca ni stąd, ni zowąd. Oczywiście, spadochroniarze, dywersanci. Wyobrażał sobie ich dokładnie: barczyste draby w wysokich butach, na głowie spłaszczony nieco hełm, w ręku taki pistolet maszynowy. Jeden ma nawet granat zatknięty za pas i czarny plaster pod okiem, i długie żółte paznokcie. Przecież to ten sam wypędzał ich we wrześniu ze Starówki. Kolbą stuknął jeszcze starą Chmurzyńską, która nie mogła podołać swojej maszynie do szycia. Andrzejek schyla się, żeby podnieść tę maszynę. Na szczęście ten z plastrem nie widzi. Jest wiatr, głodno, bardzo zimno...

2.

Tak zimno, że nie może dłużej wytrzymać, otwiera oczy. Co się dzieje? Gdzie, gdzie jest? Kto są ci obok? Gdzie matka! Gdzie, gdzie ich wywieźli ci w hełmach?

Zrywa się na równe nogi. Rude pnie i czarnozielone czupryny sosen naprzeciwko. Z lewa niewielkie poletko, dymiące niebieską gęstą mgłą. Z tyłu, nad domkiem też sosny. I w prawo las, tylko tam przejazd przez tory i w głębi nieduży piętrowy dom z cegieł.

Jaka dziwna pora dnia! Światło jest niebieskawe, zimne. Domy stoją bez cieni i on sam, Andrzejek, też jak widmo nie rzuca cienia na peron.

Zła pogoda na tych Mazurach! Mówiono mu przecież przed wyjazdem, że tu ciągle deszcze. Niebo jest mętne, niskie, ponure. Krople gęsto pokryły kawałek wkopanej w ziemię szyny. Czyżby przed chwilą lało? Ze zdziwieniem ogląda swoje suche ubranie. Potem przypomina sobie niedawne gwiazdy, wśród których szukał niewidzialnego samolotu. Nic nie rozumie.

Reszta śpi. Kucyk zadął głowę do tyłu, usta otworzył, chrapie. Zdzisław i Wojtek śpią skurczeni. Twarze blade, niezdrowe. Zimno piekielnie. I jeszcze ta plucha!...

Po raz drugi wizja czerwonej ceglastej ściany „domu wariatów” śmignie przez pamięć Andrzejkowi. Właściwie nie jest w domu tak źle. Książki. Ciepło.

– Aaa! – krzyczy straszliwie Kucyk. Andrzejek rzuca się ku niemu, targa za rękę, ściąga niemal z ławki. Kucyk siada, przeciera oczy.

– Bierz siekierę! – mówi całkiem wyraźnie do Andrzejka. – No, na co czekasz? Nie rozumiesz, że równouprawnienie!

– Edziu, co z tobą? – szepce przerażony Andrzejek.

Kucyk wstaje, milczy chwilę. Potem ogląda niebo, las, tor ginący we mgle, która wypełzła tymczasem z poletka.

– Pobudka! – krzyczy. – Wstawać, lenie! Już wpół do trzeciej!

Pomrukując, broniąc się, twarze chowając w plecaki, Zdzisław i Wojtek zostają wreszcie wyciągnięci z sennej kryjówki. Ziewają straszliwie.

– Nic, wyśpicie się później! – Kucyk jest nieubłagany. – Plecaki brać, za mną!

Z domku w lesie wychodzi człowiek w starym zdartym na szmatę mundurze kolejarskim. Niesie wędkę i wiaderko. Patrzy na nich bez zdziwienia, pokazując ręką w prawo: tam wieś Stobiec.

Wychodzą na lichą, pełną wybojów szosę, wysadzaną młodymi jarzębinami.

– Skręćcie przy pierwszej drodze w lewo! – woła za nimi kolejarz. – A tam za traktorem... Jakaś poręba i zaraz ta droga. Młode sosenki, całe w kropelkach rosy. Pajęczyna wygląda na oszroniałą. Wysokie łądygi niebieskiego przekwitającego właśnie lubinu..

Zwolna chłód przestaje dokuczać, podnieca tylko do szybszego marszu. Jakieś dziwne zapachy wypełniają usta przy każdym wdechu. Jest w tym świeżość żywicy, są wonie nieznanych kwiatów i traw, jest przede wszystkim oszołamiający aromat powietrznej czystości.

Kucyk wysunął się na czoło. Piach drogi tłumi kroki. Skręcają za kępę młodych świerków i Kucyk nagle skacze do tyłu.

Widzą wszyscy: coś ciemnorudego, jak wiewiórka, ale rozmiarów młodego cielaka, skoczyło na drogę i teraz nawiewa długimi sprężystymi susami.

– Sarna, ty, bohater! – klepie go po ramieniu Wojtek.

– Sarna? – Andrzejek wyskakuje naprzód. – Prawdziwa!

– Nie, podrabiana.

Andrzejek nie słyszy szyderstwa. Patrzy na daleki zagajnik, w którym zniknęło ogniste zjawisko. Zbyt kocha przyrodę, zbyt daleko był od niej. Jest w tym spotkaniu coś ze wzruszenia, które nawiedza kabotynekę na widok „żywego” jej filmowego bożyszczka.

Popychają go wreszcie, idą i oto proza zaczyna zacierać przelotną wizję. Młode zagajniki sosnowe, gęste jak szczytka, kawałki strzelistego starodrzewu, w którym spacerować można jak w parku, poręby pokryte sadzonkami sosny niewiększymi od krzaczków sałaty.

– Puszczą Piska... – mówi Kucyk.

– ... największy zwarty obszar leśny – nie wytrzyma Andrzejek, który przeczytał przed wyjazdem taką jedną broszurkę. – Przeważa drzewostan sosnowy, z niewielką domieszką świerka i drzew liściastych, w szczególności dębu...

– Patrzcie, patrzcie, jak wykuł! – sarka Kucyk. – A o żeglarstwie także?

– Nie bój się, wszystko, co do mnie należy. Stronę teoretyczną...

– A ty? – Kucyk odwraca się do Zdzisława. – Co z tą sportową? Nic, zaraz się przekonamy...

Idą dalej. Droga rozwidła się co chwila, ale zawsze jest któraś bardziej wyjeżdżona i tę wybierają. Dawno ziać znikł, jego miejsce zajmuje zmęczenie.

Las urywa się nagle. Sosnowe krzaczki i wiśniowe sady przy domkach. Ogrodzenie, trochę nędznego żyta na wspaniałym, żółtym piaseczku.

Psy witają ich prawdziwym koncertem. Dochodzą do pierwszej z zagród.

Niestety, jest pusta. Dom prawie nie tknięty, tyle że okna powyrywane. Wiśnie dojrzewają właśnie, rozrosły się bujnie w bezańskim ogródku. Są jednak drobne i kwaśne. Kucyk spluwa czym prędzej.

Następna zagroda trochę na uboczu. Andrzejek z trudem dowlókl się do niej. Te dwieście metrów cięższe się okazały od całej poprzedniej drogi.

Z trudem wywołali z chaty kobiecinę. Ziewając powiedziała wyuczonym głosem:

– Mleka nie ma, jajek nie ma.

– Ależ my... – zaczął Kucyk.

– Pokoje też wynajęte.

– Ależ, proszę pani, my tylko zapytać... która tu zagroda Frankowiaka?

Kobieta spojrzała na nich ze zdziwieniem.

– Frankowiaka? Zagroda?

Andrzejkowi nagle zrobiło się słabo. Usiadł ciężko na kłodzie. Straszna myśl, że Kucyk znowu coś napłatał...

– No, tak! – ciągnął Edzio. – Tego nadleśniczego!

– Ach, pana nadleśniczego? Ależ to wcale nie tutaj!

– Jak to, przecież wieś Stobiec!...

Okazało się, że owszem, Stobiec, ale Frankowiak miał rezydencję o parę kilometrów dalej. Musieli podnosić Andrzejka pod ręce. Edzio z Wojtkiem wzięli nawet jego plecak i nieśli we dwóch, jak wiadro wody. Zdzisław holował samego Andrzejka.

Ten zaś szedł, prawie nic nie widząc. Co chwila pytał tylko, o której pociąg na Warszawę. Edzio solennie obiecywał, że wnet się dowie. Ale Andrzejkowi nie wystarczały te zapewnienia. Chciał już, już zabierać się z powrotem, jeszcze dziś, jeszcze przed wieczorem...

Był nieludzko zmęczony. Dobiła go wieść o tych paru kilometrach. Nie czuł żadnego wstydu, błagając ich o ułatwienie mu natychmiastowego powrotu. Przekonywał, że bez niego będzie im lepiej, swobodniej, będą mogli więcej pływać, więcej zobaczyć...

Odpowiadali mu z roztargnieniem. Też zaczęli przystawać. Pagórek, dolinka, znowu pagórek. Na prawo poręby wypełnione siwymi obłokami mgły. Po tem droga skręciła koło świerkowego zagajnika w gęstwinę dębów i grabów. Było tu zimno i mroczno, szcękając zębami, przyśpieszyli kroku.

Za to gdy wyszli z tej wilgotnej ciemności, przywitało ich wreszcie słońce. Kilka wielkich dębów, brama, dalej świerkowa aleja i czerwony murowany domek, otoczony zalewem jakichś biało kwitnących krzaków. I jednocześnie buchnęło kilka szczekań.

Edzio przystanął, puknął się w czoło:

– Psiakrew! Na śmierć zapomniałem! Przecież mi opowiadał, że poluje na dziki. Że ma psy specjalnie tresowane!

– Ładne rzeczy! – Przystanął i Wojtek. – Na dziki? Przecież to najzawziętsza rasa!

Andrzejek zobaczył obok jakąś wysoką kupę sosnowych igieł i po prostu usiadł. Była bardzo wygodna, miękka, wydała mu się nawet jakby ogrzana, w każdym zaś razie cieplejsza od tego paskudnego poranka.

Prawie zasnął. Wydawało mu się wprawdzie, że coś mu łązi po nodze. Dziwny, ostry zapach. I jedno, i drugie nic nie znaczyło wobec ogromnego znużenia. Dopiero krzyk:

– Ludzie, co on robi!

Chwyciły go zaraz bezlitosne ręce, zaczęły trząść nim, a potem walić po siedzeniu. Podniósł wrzask: – Jak śmiecie! Puśćcie, puśćcie, świnię! Aj!

Coś przenikliwie ostrego ugryzło go właśnie w siedzenie, w nogę, pod pachą.

– Ściągaj mu wiatrówkę! – krzyczał Wojtek. – Prędszej! Usiadł, fujara, na mrowisku!

Gdy nareszcie przepłoszyli mrówczanych napastników i ruszyli ku czerwonemu domkowi, psy wybuchły ze zdwojoną energią.

– Może są uwiązane? – powiedział Wojtek. – Nie biegają przecież! Ale zawsze para kijków nie zawadzi... Szli powoli, rozglądając się na boki, szukali broni. Andrzejkowi mrówki przepędziły jakoś sennie. W zwartym szyku wkroczyli na podwórze.

Na prawo był tu domek, cały w biało kwitnących krzakach. Na lewo ceglana obora i drewniana stodoła. Na wprost jeszcze jakiś mały domeczek i ogród.

A w środku były psy. Nadzieja Wojtka, że są na uwięzi, okazała się jak najbardziej płonna. Że nie wybiegły na spotkanie, to wynikało z ich dobrego przeszkolenia taktycznego: czekały nadejścia wroga na z góry upatrzonych pozycjach.

Za to gdy czwórka chłopców wkroczyła na podwórze, została natychmiast poddana ich koncentrycznemu atakowi. Ze wszystkich stron skoczyły na intruzów jednakowo rudoszare, nieduże, zaciekle psiska. Ich ruchliwość, hałaśliwość, furia sprawiły, że chłopcom zaczęło kręcić się w oczach.

– Ludzie! – krzyknął Edzio. – Ich tu z tuzin!

Machali zaciekle kijami, odwróceniem do siebie tyłem, twarzami do psów – według schematu prasłowiańskiego Światowida, tego pierwszego na świecie symbolu idealnej kolegalności.

Psy skakały na wysokość piersi, ale w chwili, gdy koniec kija niepokojąco zbliżał się do ich rozwartych pysków, czyniły zręczny w tył zwrot w powietrzu, opadały na ziemię i podrywały się znowu. Tylko jeden, całkiem zresztą odmienny od nich, czarno-biały, kłapouchy spaniol siedział sobie spokojnie przy furtce i gapił się na cały ten rejdach.

Mniej więcej w pięć minut po rozpoczęciu tej homeryckiej utarczki otworzyły się drzwi domu i stara, wysoka, dosyć otyła, zgarbiona kobieta wyjrzała na podwórze.

– Proszę pani! – z rozpaczą krzyknął Edzio. – Chciałbym prosić...

– Łobuz! – krzyknęła gniewnie kobieta.

– Co proszę? – zdetonował się Kucyk. – Pani się myli, słowo daję...

– Łobuz! – nie ustawała kobieta. – Chuligan!

– Ależ, proszę pani...

– Łobuz, do nogil Chuligan, do budy! Pieszczotka, no, chodź tu, mała, no, chodź, Ślicznotka, no chodź! . Psy obejrzały się na kobietę, pokręciły niezdecydowanie ogonami. Jeden jeszcze szczekał, inne zwolna zaczęły się ku niej przesuwać, otaczając ją ruchliwą, zwartą masą. I okazało się wtedy, że jest ich całej parady cztery, piąty spaniol, nadal zachowujący pełną neutralność.

Chłopcy, nie ufając zbyt tej zmianie taktyki, stali ciągle w swoim szyku obronnym. Tylko Edzio z urzędu niejako rozpoczął pertraktacje.

– Mleka nie ma! – ucięła pierwsze jego słowo powitania. – Jajek też!

Dopiero gdy podał swoje nazwisko i powołał się na „pana Frankowiaka”, udało się przystąpić do spraw bardziej rzeczowych. Pokazała stodołę za nimi: tam się można przespać.

– A ta łódka? Jest łódka. Jak się prześpicie, to wam dam te wszystkie manatki. Tam, w wozowni. A znacie się, panowie, na tym?

– Ależ, proszę pani! – krzyknął Edzio.

– Bo ja się nic nie znam. A tu poza tym nikogo.

– Oczywiście, oczywiście. Zresztą, to przecież nic takiego.

Popatrzyła na Edzia przeciągle, krzyknęła jeszcze na swoje Chuligany, Pieszczotki, Ślicznutki. Ruszyły za nią do domu, z podziwu godnym pośpiechem zapominając o przybyciu w ich królestwo całej armii nieznanym.

Odwrócili się i oni. Stodoła wypełniona była po okap nie zleżałym jeszcze, wonnym sianem. Zdjęli plecaki, zaczęli leżeć, czepiając się belek, na górę.

Andrzejkowi nogi albo grzęzły, albo ślizgały się w tej masie. W końcu chwycił go za rękę Kucyk, Wojtek zaś musiał podesadzić.

Na górze tonęło się w tym sianie jak w puchu. Pierwszy runął Edzio – i już zaraz nie było go widać. Andrzejek siedząc na belce wyciągnął kocyk, rozesłał go starannie, ale gdy tylko się położył, kocyk sam się owinął dokoła niego, a z nim razem długie, kłujące, dokuczliwe żdźbła suchej trawy.

Mimo to nie miał już siły, żeby próbować wybrnąć z tej grząskiej przepaści. Starczyło mu przytomności tylko na stwierdzenie, że już nie jest zimno.

3.

I znowu się obudził, ale tym razem od zaduchu. Otworzył oczy: nad nim dziwaczna płatanina siana i parę promieni słońca. Spróbował się poruszyć, odgarnąć koc, pod którym formalnie dusił się z upału. Ale tylko pograżył się jeszcze o dziesięć centymetrów.

Z wielkim trudem wydostał się wreszcie na wierzch tego siennego trzęsawiska. Wołał po kolei kompanów, ale ich nie było. Niespokojnie spojrzął na dół: jak się wydostanie na klepisko? Wydało mu się tak dalekie...

Zamknawszy oczy, żeby nie dostać zawrotu głowy, zaczął jednak złączyć chwytając się jakichś kijów wystających z siana i długo wymachując nogami, zanim nie natrafił na jakiś występ. Była to długa karkołomna podróż.

Wyszedł wreszcie za stodołę. Kępa młodych świerków odgradzała tu podwórko od niewielkiego polećka, porośłego chwastami, i wysokiego lasu za nim.

Niewiele miał czasu na podziwianie przyrody, znowu bowiem wyskoczyły zza stodoły rudoszare psy i rzuciły się do niego.

Przeżony odwrócił się, pobiegł. Dopędziły go zaraz. Pierwszy skoczył mu do twarzy i kłapnął rozwartą gorącą paszczą tuż przy jego nosie. Drugi oparł łapska o ramiona i zaczął mokrym chropowatym jęzorem lizać mu twarz, uszy, szyję.

Obydwa napastniki były niesłychanie szczęśliwe z tego spotkania. Po pierwszym, nieoczekiwanym przywitaniu rozpoczęły istny taniec dokoła Andrzejka. Machały ogonami, kręciły pyskami, przytupywały przednimi łapami, wydawały nawet osobliwe pojękiwania, starając się wyrazić swoją niezwykłą radość z powodu przybycia tak znakomitej osobistości. Co chwila jeden z nich dawał susa, celnie godząc wyciągniętym jęzorem w Andrzejkowe policzki.

I tu okazała się wielka słabość Andrzejka. Wszystkie te karesy napawały go obrzydzeniem i strachem. A przecież nie tylko nie dawał klapsa w te wyciągnięte pyski, nie tylko nie uciekał przed tymi pieszczołami, ale nawet jakby się nadstawiał.

– Pieski, pieski! – mówił jak umiał najśłodziej. – No, chodźcie tu, mądre pieski, mądre pieski!

I nie ruszał się z miejsca, byleby ich nie zrazić. Diabli wiedzą, jak długo by to trwało, gdyby nie stara kobieta, która wynurzyła się ze ścieżki obok świerkowego zagajnika, niosąc dwa ciężkie kosze ze świeżo naciętym jakimś ziołem.

– Chuligan! – krzyknęła zaraz. – Łobuz!

Psy rzuciły się ku niej i Andrzejek mógł rękawem otrzeć sobie twarz.

– Dokuczają? – zapytała kobieta i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: – E, teraz to głupstwo. Teraz to dużo tutaj różnych takich... To już psy same nie wiedzą, co robić, kogo gryźć, a do kogo się łąsić. Przedtem to jak złapały w lesie kogo na rowerze, to ścigały i godzinami pilnowały, że się ruszyć nie mógł. A teraz! – Machnęła ręką. – Łobuz, tutaj!

– Ale też pani doskonale potrafi je odróżnić! – bąknął Andrzejek z dość nikczemnej chętki zaskarżenia sobie jej względów przez pochlebstwo.

– Że co? – nie zrozumiała. – Ach, to takie proste!

– Kiedy one jak dwie krople wody..., Wszystkie rudoszare... Z wyglądu...

– Z wyglądu – tak. Ale z charakteru – całkiem inaczej. Chuligan więcej serdeczny. A Łobuz taki powierzchowny, dziś to mu w głowie, jutro co innego...

Andrzejkowi oczy same wylazły na wierzch i nawet otworzył usta. Pomyślał: kpi sobie z niego pani Frankowiakowa.

– Mówię nieraz synowi – ciągnęła – z ludźmi to łatwiej jak z psami, nie zauważą twojej złości czy oszukaństwa. A pies to wszystko wyczuje. A już najgorzej niesprawiedliwość.

Wzięła kosze z ziołem. Andrzejek grzecznie skoczył jej pomóc, ale nie pozwoliła.

– Pan jeszcze taki... – urwała. – Miejski człowiek.

Weszli na podwórze. Kłapouchy spaniol siedział ciągle przy bramie.

– Ot, przed nią – pokazała nań Frankowiakowa – miejcie się na baczości. Tamte – machnęła ręką – tamte to głupstwo. Co w głowie; to i na języku! Zapalone, gorące, ale serca złote. A ta Sulamita!...

– Nie może być? – zachnął się Andrzejek. – Taka spokojna, taka mała! Cóż ona może zrobić?

– Różne rzeczy – powiedziała zagadkowo Frankowiakowa. – A do tej łodzi, prosto, ścieżką w dół. Zresztą słyhać, jak pańscy koledzy... -- urwała i otoczona rozgdakanyim ptactwem, weszła do sieni.

Andrzejek ruszył między dwoma parkanami d spróchniałej furtki. Stroma pochyłość, porośla starodrzewem dębowym, zatopiona leszczyną. Ścieżka zakosem zbiegała na dół. Istotnie, znaleźć kompanów było nietrudno.

– Ciężka fujara! – huczał Wojtek, zirytowany wyraźnie ponad normę.

– Sam fujara! – pomysłowo replikował Edzio. – I on, i on też fujara! Kazałem mu, kazałem się w, uczyć, tak czy nie? No i co?...

Błyskawica osobiwej satysfakcji przebiegła przez świadomość Andrzejkowi. Oczywiście, Zdzisio n odrobił, jak zwykle, zadanego. Za to on, Andrzejek wykuł przeciwz swoją stronę teoretyczną na żelazo-beton!

Wobec tego dał się ponieść stromej ścieżce. Trzy kroki, dwa krzaki i zakręt. Andrzejek nagle przystanął. Zakręt, krzaki się urywały, pusta przestrzeń i...

Długie jezioro otwierało się przed Andrzejem, długie, niezbyt szerokie, jak ogromna, powolna rzeka. Tamten, brzeg naprzeciwko był bliższy; równy, sosnowy las porastał go regularną zieloną masą, pokreskowaną w dole czerwienią pni. Na prawo jezioro oddalało się w głąb, występy lasu biegły tam jeden za drugim, coraz bardziej niebieskawe i zamglone, aż się stawały niewiele tylko ciemniejsze i stalsze od zwisającego nad nimi ogromnego letniego nieba.

Andrzejek raz i drugi odruchowo westchnął. Stał chwilę nic nie słysząc. Potem spojrzał bliżej.

Tuż przy brzegu ściana niebieskawozielonej trzciny. Osłonięta nią od jeziora, leżała maleńka zatoczka. „Ta” łódź wypełniała ją niemal po brzegi.

„Co za ogrom! – pomyślał Andrzejek. – Toż to prawdziwy transatlantyk! Jak my sobie z nią poradzimy?”

Przebieg wydarzeń na „transatlantyku” wskazywał, co prawda, że z tym radzeniem jest nienajlepiej. W momencie pojawienia się Andrzejka cała reszta stała koło wejścia do kabiny wymachując sobie nawzajem pięściami pod nosem.

– Trzeba być ostatnim fujarą! – ryczał Wojtek. – Sam fujara, sam fujara! – Edzio wybrał ten oszczędnościowy sposób obrony.

– Chłopczy! – zawołał Andrzejek. – Co tu się dzieje? Słyhać was w Białymstoku!

– Jego się spytaj! -- krzyknął Wojtek.

– Nie, jego! – Edzio wycelował w Zdzisława.

– Co mnie się czepiasz, ja swoje zrobiłem! – Rzeczywiście, trymowanie foka i ustawianie kipów! Ofiara!

– Ty i tego nie zrobiłeś, organizator!

– Czekajcie, czekajcie, może nasz profesor... – Wojtek popchnął obu do tyłu. – No, Andrzejek, wykładaj swoją stronę teoretyczną!

Andrzejek dosyć wesoło wlaźł do łodzi, wciągnięty krzepką dłonią Wojtka. Czuł wielką. przewagę nad resztą: przeciwz obkuł się znakomicie!

– Wyczyłeś się? – podejrzliwie skomentował jego uśmiech Edzio. – No, to wal.

– Wam w życzeniu co? Typy ożaglowania? Wektory? Róża wiatrów?

– Wal po kolei. I tak wszystko jedno...

– Statki żaglowe dzielą się na rejowe i suche – zaczął bębnić Andrzejek. – Te ostatnie się dzielą na łacińskie, gaflowe, Marconiego...

Wojtek pokiwał głową i Andrzejkowi wydało się to zachwytem. Przeskoczył:

– Rumbów jest trzydzieści dwa. Nord, Nord ten Ost, Nord Nord Ost, Nord Ost ten Nord, Nord Ost...

– Patrzcie państwo, cóż za potentat myśli! Ciebie od razu do Pekapegie! Tyle wykuć!

– Kiedy to bardzo proste – skromnie uśmiechnął się Andrzejek. – Wystarczy tylko zapamiętać ogólny schemat. Rozumiesz, co drugi rumb ma dodatek „ten”, a to po holendersku znaczy „ku”. Więc „Nord ten Ost” znaczy „Północ ku Wschodowi”... i tak dalej.

Wojtek już nie tylko kiwał głową, ale i cmokał z zachwytem. Andrzejek się rozanielił,

– Może jeszcze coś? Może coś z wektorów? Rozumiecie, statek się posuwa najlepiej wtedy, gdy płaszczyzna żagla ustawiona jest na linii dzielącej na dwoje kąt między kierunkiem jazdy i kierunkiem wiatru...

– No, tak – podsumował Wojtek. – Teraz już nie zginiemy! Nord ten Ost! I ożaglowanie, tego, makaronowe.

– Marconiego – poprawił Andrzejek. – Rozumiesz?

– Taak! – Wojtek nagle przeskoczył w ostry ton rozkazu: – No, a to – co to jest? Co za sznur?

Pod nos Andrzejkowi podsunął spory zwój grubego sznura.

– To nie sznur! – oświadczył bardzo pewnie Andrzejek. – Na jachtach w ogóle nie ma sznurów. Na jachtach są liny.

– No, to co za lina?

Andrzejek się zaczerwienił.

– Nie wiem. Może fał? A może szkot?

– A może Irlandczyk?! – ze złością krzyknął Wojtek. – Co mi z tego! Do czego to służy, chciałbym wiedzieć!

– Mój drogi, czego ty do mnie! Ja przecież teoretycznie, tylko teoretycznie. To on... – wskazał na Zdzisława. – To on po linii sportowej...

– Ha, ha, ha! – ryknął Edzio nienaturalnie głośno. – Po linii sportowej! Kipowanie trymów! Wyostrzenie w podmuchach! A to – co to jest?

I tak jak Wojtek, podsunął Zdzisiowi pod nos kawał polakierowanego kija o kształcie nogi od krzesła.

– Odczep się! – warknął Zdzisław – Mówię ci przecież, ja po linii sportowej! Przeczytałem całą książkę o regatach! Wypchaj się, mówię ci! A ty sam co zrobisz?

Tę kontrofensywę poparli natychmiast Andrzejek z Wojtkiem, toteż zakończyła się ona błyskawiczną klęską Kucyka. Gdy usiłował się powołać na swoje prace ogólnoorganizacyjne, został potężnie wyśmiany.

Nie posunęło to jednak sprawy naprzód. Znaleźli się w straszliwej sytuacji: przepiękne słońce, ogromne jezioro, wspaniała żagłówka. I pełna bezradność. Po dalszej godzinie wymyślenia wzajemnego doszli do wniosku, że w każdym razie trzeba łódź obejrzeć dokładnie.

Po kolei włązili do kabiny. Była niewysoka, tylko Andrzejek nie musiał się w niej schylać. Po obu stronach, przy ścianach mieściły się piętrowe łóżka, dosyć wąskie, ale z materacami. Pośrodku był stół z odginanymi skrzydłami. Na wprost drzwi niskie szerokie okienko.

Podobało im się to wnętrze. Wyglądało bardzo serio. Nawet zapasek był taki jakiś okrętowy.

– Słowo daję, chłopcy – zaczął jakby nigdy nic Edzio – fajnie tu! Mam projekt: bierzemy manatki i przenosimy się na pokład. A potem stopniowo się we wszystkim rozeznamy. Co?

Andrzejek od razu go poparł. Tylko Wojtek zrzędził jeszcze, zarzucając Kucykowi bałaganiarstwo i niesłowność.

– Kiedy, słowo daję, chłopcy... Dla was przecież! Kiedy taka okazja, jakże mogłem ją puścić! No, i zresztą, cóż się stało takiego? Myślicie, że to taka wielka mądrość z tym żeglowaniem? Mówię wam, trochę wysiłku, sami do wszystkiego dojdziemy. Wielkie mi rzeczy, kawał kija, kawał płótna, kawał sznura...

– Liny! – poprawił Andrzejek.

Uspokoili się nareszcie i ruszyli po graty. Właśnie ściągnęli ostatni plecak z góry wonnego siana, gdy znowu wrzask psów targnął powietrzem.

Niebawem zresztą głosy ludzkie dołączyły się do tego koncertu, i, o dziwo, przytłoczyły alty i tenory dzikowej ekipy Frankowiaka. Były pełne najwyższego oburzenia.

Wojtek wyskoczył ze stodoły pierwszy, ale zaraz targnął do tyłu.

– Kobieta! – szepnął łysnąwszy oczami i zaczął szukać czegoś w plecaku.

– No, i co, przecież słyszymy! – odparł nie bez racji Kucyk.

Wyszli na podwórze, Wojtek ostatni, zaciekle przyglądając grzebieniem rozmamłane włosy. Widok, który ujrzeli, niewątpliwie zasługiwał na ten wysiłek.

Ku domostwu Frankowiaków posuwały się trzy elegancko ubrane panie wrzeszcząc wniebogłosy i wymachując kijami pod adresem sfory Chuliganów i Pieszczotek. Z tyłu szedł jakiś pan w szortach, smutnie spuściwszy głowę.

– To skandal! – krzyczała jedna.

– To bezprawie! – krzyczała druga.

– Do Ministerstwa Lasów napiszę! – krzyczała trzecia.

Były mniej więcej na środku podwórza, koło studni, gdy Frankowiakowa wyjrzała z sieni. Dwoma energicznymi zawołaniami uspokoiła psy. Z paniami było gorzej.

Okazało się zresztą, że ich żale nie były bezpodstawne. Od paru dni rozbiły obozowisko o paręset metrów od zagrody. I od pierwszej nocy zaczęły się dziać z nimi straszne rzeczy.

– Miałyśmy mleko! – krzyknęła najstarsza z elegantek, z czarną chustką zamiast biustonosza. – Postawiłam na noc w jeziorze, dobrze przykryte. Z rana przychodzę, słoik pusty! Ludzie mówią, że to psy pana nadleśniczego. To skandal!

Frankowiakowa pokiwała ze współczuciem głową.

– Może to i psy. One są takie inteligentne.

– A z tymi konserwami! – krzyknęła następna, więcej krótkonoga. – Ledwośmy napoczęły puszkę. Przymknęłam blaszane nadcięte wieko. Wracam po kwadransie, wieko odgięte, konserwy wyjedzone. Nie do wiary!

– A tak, a tak... – Frankowiakowa trochę się zapaliła. – One takie sprytne, chwytają puszkę łapami, a zębami za wieczko! To mądre psy! Na dziki tresowane!

Trzy gracje w modnych kostiumach skamieniały na pięć sekund, a potem odwróciły się gwałtownie do swego małowódnego towarzysza.

– Panie dyrektorze! – krzyknęła pierwsza. – Panie Kazimierzu! – krzyknęła druga. – Kazik! – krzyknęła trzecia i tupnęła nogą. Mężczyzna, podpędzony tymi żądaniem mas, wysunął się wreszcie naprzód. Był zdetonowany.

– Widzi pani, rzeczywiście, to nie bardzo w porządku. No, ja rozumiem, mleko... Było tylko przykryte kawałkiem deski. Ale z tymi konserwami to już włamanie... Właściwie mówiąc...

– Nie włamanie, tylko odchylenie – poprawiła go chłodno pani Frankowiakowa. – Puszka była przecież już otwarta.

– Nie, to skandal! – wrzasnęła ta, co miała prawo tytułować mężczyznę Kazikiem, i potrząsnęła z furią swoją fryzurą a la koński ogon. – Następnym razem ustawimy dyżury i na gorącym uczynku...

– Tak, tak! – zawołała z radością pani Frankowiakowa. – Psy to nic, ale mamy krowy, to one i na gorącym potrafią! Dwa lata temu też tu trzy panie przyszły. Ale krzyczały! Bo smażyły właśnie szczupaka, a ta nasza Krasula jak nie wyskoczy z krzaków, jak nie chwyci, prosto z patelni! I do lasu, galopem! Nie dopędziły jej!

– Reniu -- powiedział półgłosem mężczyzna. – Może byśmy..., tego... Wyście tam coś postawiły...

– Głupstwo, kaszę mannę. Ty się tu nie wykręcaj!

– One takie dziwne, te nasze krowy – ciągnęła pani Frankowiakowa. – One wszystko jedzą. Rok temu to nawet na bieliznę się rzuciły. Tamte panie wyprały i powiesiły przy namiocie. Takie ładne. Różowe, nylonowe. A Krasula ze swoimi pościagały i w krzaki...

Tu dopiero pękła zawziętość kobiet. Wszystkie trzy zrobiły w tył zwrot i rzuciły się z dzikimi okrzykami z powrotem. Za nimi podreptał zrezygnowany mężczyzna. Chłopcy otoczyli panią Frankowiakową i hucznie gratulowali jej sukcesu. Popatrzyła na nich nie bez wewnętrznej dumy.

– Bo u nas tu wszystkie zwierzęta robią się takie mądre. Myślicie, że to nieprawda ze szczupakiem i bielizną? Spytajcie, kogo chcecie! Takie się już porobiły i psy, i krowy. Ale wy się nie bójcie. One wiedzą, kogo można, kto tu nie swój. Tylko ta – to nigdy nie wiadomo...

Tknęła palcem w stronę spaniolki, która grzecznie sobie siedziała przy furtce nie wtrącając się do rozmowy. Ale w tejże chwili, widząc palec gospodyni skierowany w swoją stronę, Sulamita zerwała się i tuląc ogon pod siebie, boczkim, chyłkiem wymknęła się z towarzystwa w stronę nadjeziornych zarośli.

Frankowiakowa od razu spoważniała i prawie biegiem ruszyła do domu.

– No, pewnie, nie zamknęłam spiżarki! – krzyknęła na odchodnym; – Wszystko przez te panie! Ale ja tej, tej Sulamicie...

Chłopcy zeszli na dół, wciągnęli na jacht plecaki, pokłócili się trochę przy rozdziale „miejsc sypialnych”. Załatwili to wreszcie przez losowanie. Andrzejkowi wypadła dolna prawa koja. Kucyk przeprowadził nacjonalizację środków żywności i poukładał resztki domowych zapasów w szafce mieszczącej się w przedniej części kabiny. Ministrem aprowizacji mianowano Zdzisława, który zgodnie z umową wziął sprzęt rybacki od wuja i zapowiedział, że nazajutrz przystąpi do pełnienia swych funkcji.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta przeklęta żaglówka. Zjedli co nieco i popędzani przez Kucyka wrócili do piekielnej łamigłówki z żaglami, linami, drągami i kijami, mającymi jakieś dziwne nazwy i tajemnicze przeznaczenie.

Właśnie zaczęli kłócić się na nowo, gdy z góry, ze stromego brzegu, porośłego dębami i leszczyną, rozległo się wołanie pani Frankowiakowej:

– Sulamita! Sulamita!

– Nie ma jej tutaj! -- wrzasnął Kucyk.

Krzaki się rozchyliły i pani Frankowiakowa zeszła po stromej ścieżce aż nad wodę. Popatrzyła na chłopców, na straszliwy bałagan na pokładzie.

– Panowie wiedzą, jak to się robi – powiedziała dziwnym, półpytającym, półstwierdzającym tonem.

– Ależ tak, proszę pani! – zawołał czym prędzej Kucyk.

– Bo jakby nie wiedzieli, to lepiej się do tego nie zabierać. To trudne sprawy. Jezioro duże, głębokie... A i łódź niezwykajna. Nie wiadomo skąd. Ludzie mówią, że zaczarowana...

4.

Grzecznie się zaśmieli, gdy zaś odeszła, spojrzeli po sobie przeciągle i milcząco. Pierwszy, oczywiście, ocknął się Kucyk.

– Wiecie co, chłopcy? Mam taki pomysł, żeby na razie... tego, stąd odjechać na wiosłach...

– A to co znowu?

– Niedaleko, za te trzcinki. Po co pani Frankowiakowa ma się martwić? Zobacz, jak my się znamy... jeszcze gotowa... tego... ze strachu, że napsujemy... I tam się nauczymy. Słowo daję, masz przecież ten podręcznik, Andrzej, nie? Wyciągaj z plecaka!

W jachcie było tylko jedno, szerokie i krótkie wiosło. Objechali z wolna występ trzciny, znaleźli się na pełnym jeziorze. Woda przy nich była gładka, jakby pokryta warstewką oliwy. Bliżej środka jeziora przebiegały po niej szybkie zwiewne podmuchy, gęsia skórka pokrywała ją, uciekała, nikła i znowu błyszcząca naoliwiona powierzchnia jeziora przesycała się słonecznym blaskiem.

Oslonięci od przystani zwartym murem trzciny, zabrali się do żagla. Jeden z jego brzegów obszyty był grubym sznurem. Wojtek, który długo coś kalkulował; na boku, nagle wstał, podszedł do masztu, wziął koniec jednej z lin, które zwisały z jego szczytu, wziął ostrokątny koniec żagla, przymocował linę do tego końca i...

Patrzyli nań, rozdziawiając gęby, pełni jakiejś bezsensownej nadziei. Wojtek zadarł głowę, obejrzał szczyt masztu, potem chwycił inną linę, odczepił, pociągnął...

Krzyknęli! Ostry kąt żagla drgnął jak żywa istota, popęztał z pokładu na maszt.

Wojtek uskrzydłony ich krzykiem targnął mocniej. Jak ogromny biały ptak żagiel frunął do góry. Zdzisław aż podskoczył, w ręce klasnął, klepnął Wojtkę po plecach, krzyknął. Andrzejek odetchnął z ulgą, uspokojony o losy żaglówki, rozejrzał się po jeziorze.

Ruch tu się robił niezgorszy. Z bliższego końca, spoza bardziej zielonej kępy drzew jedna po drugiej wychylały się maleńkie – tak wyglądało – żaglówki. Ich trójkątne żagle odcinały się pięknie na ciemnej zieleni brzegu. Pierwsza oderwała się od tego szeregu i szła dosyć szybko naprzód. Bliżej pokrzykiwali jacyś młodzieńcy, machający kajakowymi wiosłami. Z innej strony, od tego dalszego końca jeziora ciągnął jakiś maleńki, oślepiająco pomarańczowy żagielek. Jeszcze gdzieś daleko burkotało parę motorówek.

Słońce przygrzewało coraz potężniej i Andrzejkowi przez piersi po raz pierwszy przepłynęła fala tego spokojnego lenistwa, które nazywamy nastrojem wakacyjnym. Szczęśliwy, że kompani nie zapędzają go do roboty, wyciągnął się na dziobie łodzi, zagapił się przed siebie.

Oto tamten ciąg żaglówek wylazł cały, rozwinął się na wielkiej niebieskiej przestrzeni wodnej. Ta, co szła z przodu, zbliżyła się niezmiernie, była może o pół kilometra od nich. Coś dziwnego w jej wyglądzie zastanowiło Andrzejka. Dopiero po chwili zrozumiał: niosła na maszcie czarną flagę.

Szereg bardzo przelotnych stanów ogarnął świadomość Andrzejka. Byłoby przesadą nazwać je myślami. Wspomnienia przeczytanych książek o piratach, korsarzach, bukanierach, flibustierach i tym podobnych rozbójnikach morza: Dziwne skojarzenia z nocnym samolotem, zresztą zaraz odepchnięte.

I najdłużej trzymające się właśnie owo rozleniwienie wakacyjne: każdy tu wariuje po swojemu. My też zaraz ruszymy, Wojtek to zuch!

Obejrzał się na tego zucha. Pod masztem trwała zaciekle walka z żaglem. Wojtek ciągnął swoją linę, cały czerwony. Żagiel sięgał już szczytu masztu, ale coś tu nie bardzo wychodziło, bo był jakiś luźny, oklapły jak przedziurawiony balon. Podmuchy wiatru wydymały go wprawdzie na chwilę, ale zaraz beznadziejnie zwisał. Trójka majstrujących przy nim chłopców bardzo energicznie usiłowała rozwiązać tę dziwną zagadkę.

– Draż, weź ten draż! – krzyczał Zdzisław do Edzia, popychając potężny drewniany kij, do którego był przszyty dolny skraj żagla.

– Sam weź, nie widzisz, że jestem zajęty! – Edzio ciągle pochylał się nad zwojem lin, usiłując je rozplątać.

– Ludzie, ruszcie się! – prawie pojękiwał Wojtek czerwony z wysiłku. Stał pod masztem, z całej siły trzymając linę, która wciągnęła na szczyt żagiel. Największe – zdaniem Andrzejka – zwycięstwo Wojtka okazało się zwycięstwem pyrrusowym. Wciągnął wprawdzie żagiel na maszt, ale teraz musiał z całej siły go trzymać, żeby im nie runął na głowy.

Andrzejek poczuł wyrzuty sumienia i skoczył na pomoc.

– Bierz tu! – syknął przez zęby Wojtek. – Ledwo, ledwo trzymam!

Andrzejek chwycił wskazaną linę. Dla dwóch praca ta nie była zbyt trudna, na myśl jednak, że w ten oto sposób mieliby spędzić resztę wakacji, dziwna czczość ogarnęła jego duszę.

– Ahoj! – dobiegł ich krzyk z jeziora. – Na pokładzie, ahoj!

Czerwoni z wysiłku, obejrzeni się. Żaglówka z czarną flagą była o jakieś sto metrów. Widać już na niej ludzi. Jeden, chudy wysoki dryblas z głową obwiązaną czerwoną chustą, stał na dziobie i trzymając się stalowej linki, wołał właśnie do nich. Z tyłu siedziało jeszcze kilkoro, w tym parę dziewczyn. Ci wszyscy co chwila wybuchali chóralnym śmiechem.

Zdzisław, znany z orlego wzroku, rzucił swój draż, wpatrzył się w nadciągającą żaglówkę.

– Ahoj! – krzyknął chudy drażal w czerwonej chuście. – Na pokładzie! Co się dzieje? Huragan was potargał?

– Cha, cha, cha! – huknęła reszta pirackiej załogi.

– Cholera! – szepnął Zdzisław. – Może na wiośle?

– Co się stało? – podniósł się Edzio. – Trzeba dalej od tej hołoty!

– Także coś! Z byka spadłeś?

– Kiedy... nie widzisz? – zaczerwienił się Zdzisław i nagle zeskoczył z burty, dał nura do kajuty. – Co mu?... – spytał Edzio.

– Ahoj, na pokładzie! – znowu krzyknął chudy pirat, całkiem już z bliska. – Co z wami? Brał was kto na abordaż?

– Cha, cha, cha! – krzyknęła piracka załoga.

– Ahoj, na pokładzie szkuneru! – bezlitośnie błaznował chudy. – Co robią ci dwaj katorżnicy uwiązani do fału? Wieszają ich będziecie? Co, buntowali się? Jeśli tak, to wieszają, wieszają...

– Cha, cha, cha! – W tym refrenie znakomicie się rozróżniały głosy i Andrzejkowi ścierpła skóra. Przecież tak śmiać się może tylko jedna istota na ziemi, jedna, jedyna, okropna, ohydna...

Drżąc ze strachu, zerknął na piracką żaglówkę. Mijała ich właśnie, elegancko pochylona, z napiętym półkoleście żaglem. Chudy dryblas krzyczał jeszcze, pokazując koniec sznura:

– Może na hol was wziąć? Nie krępujcie się, możemy podwieźć...

Nowa salwa śmiechu. Andrzejek patrzy na pół tuzina twarzy. Jedna i druga dziewczyna. I oto to, czego się bał. Ta szeroka twarz, ten zadarty nos, ta rozwiana jasna czupryna. Ohydna Pawłowska siedzi na burcie pirackiej łodzi obok opalonego dryblasa w czekoladowej czapce i pokłada się ze śmiechem, patrząc na te gimnazjalne oferty, na tych niedołęgów, na te fujary, ofiary, fajtlapy...

– Co oni z żaglem zrobili?! – krzyknęła jedna z dziewczyn. – Patrzcie! Dalibóg! Nie wprowadzili likliny do szlicu! Ale żeglarze! I nie zaknagowali fału!

Śmiech buchnął straszliwy. Wojtek dopiero teraz się obejrzał, dostrzegł te twarze...

Nagle lina wyrwała się z rąk Andrzejkowi. Krótki szurgot, łopotanie, ogromny rozgrzany błam. płótna owija mu głowę, ręce, całe ciało.

Jaka to ulga nie widzieć tych gęb, rozwartych od szyderczego śmiechu!

5.

Wolno się gramolił z tej płóciennej powodzi. Niełatwo było wysunąć rękę, nogę, głowę wreszcie i znowu zobaczyć przepiękny świat boży.

Nic się ten świat nie zmieniał: słońce prażyło po dawnemu, po dawnemu biegały po jeziorze chropowate wietrzyki, nieruchomo stały zielone szeregi sosen i sennie szeleściła łaskotana podmuchami trzcina.

Po dawnemu szły wyciągniętym szeregiem białe żagłówki, trzepotały wiosłami kajaki, buczały dalekie motorówki. I na szczęście, niedobra piracka łódź przez te parę minut zdążyła odlecieć o jakieś sto metrów. Tylko śpiew szedł od niej: „Chłopcy, na nas już czas”. I ta piękna melodia, że płynęła spod czarnej szmaty na maszcie, zdawała się nieczystą, oślizgłą szmirą.

Andrzejek nienawistnie spojrzął za piratami, dostrzegł pomarańczowy żagielek, o wiele bliższy, i zapomniał zaraz o jeziorze: zbyt żalosne było pobojuwisko na własnej łodzi.

Żagiel, lecąc im na głowy, przykrył połowę jachtu białym całunem. Edzio wygrzebał się właśnie spod niego i siedział przy sterze, niezbyt mądrze się gapiąc na Andrzejka. Reszta załogi znikła w kajucie.

– Co się stało? – wybąkał wreszcie Kucyk. – Kto mnie zdzielił? To świństwo!

Okazało się, że razem z żaglem zleciał i drąg, do którego ten był przymocowany. Edzio z właściwą sobie gracją tak się ustawił, że oberwał drągiem po głowie.

Andrzejek obejrzał tę głowę. Z grubsza była cała. Tyle zresztą przeżyli katastrof, że jedna pęknięta czaszka też by już pewnie nie zrobiła na nim wrażenia. Zawołał resztę.

Zdzisław głowę wysunął, zobaczył, że piraci są daleko, wylazł. Za nim ukazał się Wojtek.

– Co ona powiedziała? – pytał Andrzejek. – No, ta pani. Że jakaś linka?...

– Tych linek tu tysiąc i jedna – burknął oprzytomniały już Edzio. – Dwie godziny straciłem i nawet jednej nie potrafiłem rozplątać.

– Nie, ona coś takiego... że jakaś wiklina? I że jakaś chwała? Że coś księgować?... Co to było?

Nie pamiętali. Siedzieli w kucki przy tym żaglu, nie widząc słońca, jeziora, lasu. Byli na samym dnie ogromnej, młodzieżczej rozpaczki, gdy jezioro znowu przemówiło do nich.

– Co tam, chłopcy? – spytał jakiś głos. – Coś wam nie idzie?

Był to mały niebieskawy kajaczek z pomarańczowym żaglem. Siedział w nim bardzo stary, pewnie czterdziestoletni mężczyzna, w ciemnych okularach i czystej białej furażerki o pięknie zaprasowanych kantach.

– E tam! – Edzio machnął ręką. – Głupstwo!

– Spadł wam grot, widziałem. Czy fał się przetarł? – Nic się nie przetarło! – burknął Edzio. – Tak, w ogóle...

Kajaczek tymczasem dobił leciutko do łodzi. Gość puścił ster, wlaź na jacht.

– Czekajcie, obejrzymy to sobie. Ależ macie cud! Jaka kabina! Pokażcie mi ten żagiel, Nie, fał w porządku. Węzeł tylko nie tego...

Odwiązał koniec linki, przywiązał jakoś inaczej. Potem wziął żagiel, jego brzeg obszyty grubą liną włożył w rowek, który biegł wzdłuż masztu.

– No, ciągnij, marynarzu – rzekł do Zdzisława. Zdzisław pociągnął. Żagiel znowu polazł do góry, ale inaczej, wolniej i równo.

– Mocniej, mocniej, jeszcze, wybierać! Bom oprzyj o maszt, o, tak, tu, szakłę! No, i cała parada. Żagiel siedział teraz na maszcie jak przyklejony. I cała łódź jakby ożyła, jakby dusza wstąpiła w tę płataninę desek, drągów, sznurów. Lekki podmuch zahaczył o żagiel, przechylił go w prawo.

– Dziękuję wam, obywatelu! – powiedział uroczyście Edzio i nawet wstał.

– E, głupstwo. Może wam jeszcze coś pokazać? Bo wy, jak widzę...

– Nie, nie, wszystko w porządku. Tylko z tym żaglem...

– Bo myśmy się wszystkiego poza tym nauczyli – wtrącił Andrzejek. – Wszystkie typy ożaglowania. Łaciński, gaflowy..., Także i rumby. Nord ten Ost, Nord Nord Ost...

- A skąd macie ten jacht?
- A tu jeden pan, nadleśniczy...

Andrzejek urwał, skarcony ostrym spojrzeniem Edzia. Jegomość w białej furażerze nie słuchał go zresztą, wszedł do kabiny i przez chwilę odczytywał małą mosiężną tabliczkę nad drzwiami, której nawet nie zauważyli.

– Atalanta, Angerburg, tysiąc dziewięćset trzynaście. Oho! W moim wieku! Ale to dobra robota. A ten nadleśniczy skąd ją ma?

Edzio powiódł wzrokiem po załodze i nikt nie odpowiedział. Zresztą, po prawdzie, skąd mieli wiedzieć?

– Nie wiemy, proszę pana – streścił to milczenie Kucyk. – Tyle że podobno zaczarowana – dorzucił, aby osłabić cały ten nieprzyjemny chłodek.

– Taak – przeciągnął jegomość.

Wstał, przeszedł parę kroków, zatrzymał się przy czymś takim, jak dwie deski, wystające z dna łodzi, pomiędzy którymi sterczało na sztorc coś płaskiego żelaznego pomalowanego na czerwono.

– Piękny jacht – powtórzył. – Drogo kosztuje. I tak łatwo go rozbić. Macie sternika?

– Oczywiście! – zawołał Edzio. – To ty, chłopcze?

– Ja? – oburzył się Kucyk. – Ja kapitan. A sternik to tamten.

Pokazał na Zdzisława. Jegomość jakoś kwaśno się uśmiechnął.

– Znacie się na podstawowych manewrach? Zwrot przez sztag? Przez rufę?

– Ależ tak! – zawołał Kucyk.

– I z mieczem obchodzić się umiecie?

– Oczywiście!

Jegomość popatrzył na Edzia, pokiwał głową.

– No, skoro tak, nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć wam dalszych sukcesów, jeszcze większych niż dotąd. A jeśli tak dobrze znacie się na mieczu, to go spuśćcie przynajmniej. Przecież was dryfuje!

Pociągnął za jakiś sznurek i nagle czerwone żelastwo runęło na dół, między owe dwie deski. Przelazł przez burtę, ulokował się w kajaczkach.

– Dziękujemy panu! – zawołał Andrzejek. Tamten pomachał ręką, jednym ruchem sprawił, że mu się żagiel wydał jak ćwiartka skórki z pomarańczy i bezszumnie ruszył przed siebie.

Zdzisław aż się wychylił za burtę, śledząc każdy jego ruch przy żaglu i sterze.

Czekali, aż odpłynie o sto metrów, i zaraz się starli z sobą.

– Co ci przyszło do głowy – zawołał Andrzejek. – Poduczylibyśmy się wszyscy!

– Spokój! – wycedził przez zęby Kucyk. – Wiem, co robię. Jakbym się zgodził, toby jeszcze się wprosił do łodzi.

– No, to i co? Taki uprzejmy pan...

– Byłeś dzieciuch i jesteś. – Kucyk splunął za burtę. – Ja wiem, co to za jeden? Widziałeś, jak węszył wszędzie, jak się rozpytywał? A skąd, a dlaczego... No, właśnie.

Andrzejkowi przez myśl przebiegło wspomnienie ostatniej północy i już się nie mógł spierać. Westchnął tylko:

– Tak ładnie popłynął... z tym żaglem.

– Tak to i ja potrafię – rzekł nagle Zdzisio. Spojrzeli nań ze zdumieniem. Wstał, odsunął Edzia od steru, wziął szkot do ręki, pociągnął.

Łopocący niemrawo żagiel wypełnił się wiatrem. Andrzejek popatrzył na trzciny, na czerwieniący się wśród drzew dach domu Frankowiaka.. Trzciny były tuż, tuż, dom o jakieś sto metrów. Wiaterek, leniwie przebierający mu włosy, jakby ustał. „Przechwala się Zdzisław – pomyślał. – Nic z tej żeglugi”. I popatrzył na żagiel.

Żagiel był teraz wydęty, bom sterczał pod kątem prostym do burty. Jakiś niezwykły spokój panował na jeziorze, wiatr, jako się rzekło, znikł gdzieś, fale też jakby się wygładziły, ani przechyły, ani wahnienia! Chciał ironicznie pogratulować Zdzisławowi, odwrócił się, krzyknął. Bliskie trzciny uciekły już o dwieście metrów. Ta cisza bezwietrzna, ten spokój okazały się szybkością.

– Zdzisiu! – krzyknął. – Płyniemy!

Ten wzruszył ramionami, jakby przez całe życie nic innego nie robił. Andrzejek zaraz zresztą o nim zapomniał.

Tak niezwykle było to połączenie pozornej nieruchomości z prawdziwym pędem, ciszy z szybkością, że duszę mu oszołomiło uniesienie bardzo podobne do tego, które lot przynosi we śnie. Wydało mu się, że znikła odległość, znikły trudności, znikło niemal ziemskie ciężenie – tak proste, łatwe i lekkie wydawało się teraz wszystko. Wstał, ruszył na dziób jachtu, uczeplił się stalowej linki („sztagu” – przypomniał sobie pouczenie z książeczki), łączącej szczyt masztu z dziobem, wychylił się nad wodę, łapiąc policzkami, ustami, całą twarzą uciekający, zdawałoby się, przed jachtem wiaterek, słońce, wielki pachnący świeżo skoszonym sianem oddech jeziora i lasów.

Ten właśnie las z naprzeciwka pędził im na spotkanie. Oto z monotonnej zielonej, ciemnozielonej, prawie granatowej ściany dalekich sosen zaczęły się wynurzać pojedyncze kłębiaste drzewa. Wysoki brzeg w którymś miejscu łysnął żółtą łysiną piasku, spadającą stromo nad jeziorem. Z długiej linii czegoś szaroniebieskiego nad wodą wyrosły zwyczajne trzciny.

Jeszcze może z pięć minut tak pędzili. Minęli czerwoną boję, przeskoczyli koło występu trzciny, ani się obejrzeni, jak żółte gołe osypisko przesunęło się do tyłu. Trzciny znowu podbiegły pod jacht, wiatr pędził go wprost na nie.

– No, teraz trzeba zawracać! – krzyknął Edzio. – Sternik, w tył zwrot!

Andrzejek z trudem odwrócił wzrok od ziem nieznanych wynurzających się z niebieskiej dali. Zdzisio, który dotąd spokojnie siedział przy sterze, teraz zaczął się jakoś niespokojnie kręcić targając drążkiem to w jedną, to w drugą stronę. Łódź pędziła jednak przed siebie, nie zwracając uwagi na te próby.

– No, sternik! – wrzasnął Edzio. – Zawracaj!

– Kiedy... – zaczął Zdzisio. – Sam nie wiem...

Jeszcze targnął sterem. Teraz coś strasznego stało się na jachcie. Wielki drąg żagla, bom, sterczący pod kątem prostym do burty, nagle skoczył do tyłu, śmignął koło nosa Zdzisiowi, wyrznął Edzia po głowie, zdzierając mu czapkę i ciskając ją o kilkanaście metrów do wody. Wojtek odruchowo padł na dno łodzi, dlatego ocalał. Andrzejek stał na dachu kajuty przed masztem. Skoczył teraz do Kucyka przerażony.

Był to ułamek sekundy: furkot żagla, cios bomu, targnięcie. Zdzisław, zbieleły, puścił ster, łódź gwałtownie skręciła, zamiast bliźnich trzciny znowu przed nimi otwarta przestrzeń jeziora.

Skaczą do Kucyka wszyscy trzej. Ten prostuje się wreszcie. Na szczęście bom w przelocie musnął mu tylko głowę. Zdarta czapka pływa sobie po wodzie. Parę minut trwają próby jej wydobycia.

– Dziękuję za łaskę – bąka Kucyk. – Jeszcze raz tak mnie zdzielicie, a całkiem zdurnięję. I co to za maniery, ciągle mnie i mnie. Precz z kultem jednostki! Ustanawiamy dyżury w obrywaniu po łbie!

Śmieją się niepewnie, zaskoczeni potęgą żywiołów, które im się dostały do ręki. Andrzejek patrzy dokoła, nic nie pojmując. Gdzie ta cisza, ten rozpęd, to uniesienie? Wiatr się zerwał, łopoce w żaglu, drobna fala bije o burtę.

– No, sternik, zawracać – mówi Kucyk.

Zdzisio wolno bierze ster, nie bez lęku spogląda na żagiel, jak na wierzgającą znieścacka kobyłę. Żagiel zaraz się wydyma. Ba, wydyma się tak bardzo, że zaczyna przechylać łódź. Zdzisław próbuje dziobem wycelować w daleki trójkąt dachu Frankowiakowej siedziby. Pierwszy jednak podmuch wiatru jest tak ostry, że wszystkie luzem leżące na dnie przedmioty lecą w lewo. Andrzejek chwieje się, chwytając masztu i nawet krzyczy, wyłapaną właśnie czapka Kucyka ponownie z dachu kabiny leci do wody.

– Co ty! – krzyczy Wojtek. – Chcesz nas utopić?

Zdzisław puszcza szkot, puszcza ster, też chwytając burty. I natychmiast jacht prostuje się, żagiel zaczyna mówić „kłap-kłap”, fale lekko kołyszą. Szczury łądowe nie uwierzą oczywiście, ale powyższa historia powtarza się bez większych zmian ze trzydzieści razy. Ponaglany przez Edzia sternik bierze ster, naciąga żagiel, wiatr wpada do żagla, naciska, przechyla łódź, wszyscy zaczynają krzyczeć, Zdzisław puszcza szkot i ster, łódź prostuje się. Wreszcie po dobrej godzinie Zdzisław zyskuje votum nieufności. Po kolei próbują swoich szans Wojtek, Edzio, nawet Andrzejek. Niestety, mechanizm, tej operacji nie ulega zmianie. Tyle że najbardziej uparty, Wojtek, tak długo broni się przed krzykami reszty, że łódź przechyla się aż do zaczerpnięcia burtą pół wiaderka wody. Wtedy i on ulega, puszcza przekłety ster i szkot.

Jeszcze raz wypychają do steru Zdzisława. Ten pierwszy raz w życiu musi bardzo gwałtownie udowodniać reszcie własną niezdarność. Podpatrzył wprawdzie, jak tamten jegomość odbijał od jachtu, ale zwrotów przy tym nie było.

– Pech! – konkluduje Zdzisio. – W tę stronę jakoś mi szło. Z powrotem zaś, sami widzicie...

Andrzejkowi tymczasem przypomina się „Odyseja”.

– Wiecie! – krzyczy. – Sprawa prosta. Trzeba poczekać, aż wiatr się zmieni.

– Z byka spadłeś? – wściekły warczy Wojtek.

– Może na wiośle? – proponuje Zdzisio.

Wojtek chwytając jedyne krótkie podobne do łopaty wiosło, zaczyna wściekle miesić wodę. Po dziesięciu minutach łódź odplywa o jakieś dwadzieścia metrów od trzciny.

Wybucha krótka kłótnia: czy ta metoda ma jakiś sens? Kucyk szybko oblicza – w takim tempie do Frankowiaków dojdą nie wcześniej niż pojutrze z rana.

Wiaterek wesoło dmie im w twarz, żagielek klaszcze, Wojtek na czas dyskusji przestał machać wiosłem i gdy wreszcie kłótnia się kończy, jacht jest znowu przy trzinach. Dwadzieścia zarobionych wiosłem metrów diabli wzięli.

Ten drobny fakt załamuje wszystkich. Siedzą na jachcie w pozach rozbitków z Meduzy. Wolno słońce toczy się nad jeziorem, mija daleką niebieską zatokę, przechodzi na przeciwległy brzeg.

– A właściwie cośmy się tak uparli, żeby tam wracać? – pyta Zdzisław. – Przegryźć i tu możemy. Pani Frankowiakowa nie zapraszała nas przecież na obiad.

6.

Podczas gdy jedli, wiaterek przybrał na sile i Atalanta, cofając się, z wolna wlała w trzciny, Wysokie, siwozielone, o wąskich ostrobrzegich liściach, przechylały się przez burtę do jachtu. Słońce grzało coraz mocniej, złoto-czarne osy brzęczały w zaroślach i ten dźwięk rozgrzany, razem z trzciniowym rytmicznym rozchwianiem, kołysał nieodparcie do snu.

Zdzisław rozplątał linę przy maszcie. Wielka sterta płótna spadła na dach kajuty, ciepły powiew przebiegł im po włosach. Fala, rodząca się na środku jeziora z niedostrzegalnych zrazu podmuszków, dochodziła tu do trzciny dosyć rozrosła, podnosiła jacht. Opadał zaraz z pluskiem, znów lał do góry i na bliskim już brzegu co dziesięć sekund wzbierało kolejne tupotanie fali.

Andrzejek ledwo sobie uświadomił regularność i współzależność tych ruchów i odgłosów, gdy głębokie ziewnięcie zwało mu szczęki. Wyszedł z kabiny, położył się na wzburzonych fałdach rozgrzanego żagla. Słyszał jeszcze gderanie Wojtka, żeby resztę nie zjedzonych zapasów schować do szafki, i trzeźwą propozycję Zdzisława, żeby sam to uczynił. Zamknął oczy. Słońce czerwono się żarzyło przez powieki. Podniósł ramię, zasłonił oczy i zaraz zasnął.

Obudził się od potężnego kichnięcia. Ostatnie pięć sekund śniła mu się błyskawicznie jakaś szkolna historia, jakieś domowe przytulności. Zerwał się na nogi z krzykiem. Jak tu obco!

Słońce zostało tylko różową chmurką nad niskim grzebieniem drzew tamtego brzegu. Wielka płachta jeziora była teraz różowa bliżej zachodu, liliowa w środku, prawie niebieska przy ich brzegu. Hucząca przez cały dzień gdzieś daleko motorówka stała się bardzo bliska, biegła koło boi płaska, jak czarny ruchliwy kret. Cienkie, ale długie kilometrowe ściegi orały za nią trójkolorową barwność jeziora, tworzyły geometryczne, rozedrgane wzory, pęki fal, które zderzały się z brzegiem, wracały, przecinały nowe pęki fal, przeistaczały powierzchnię wody w gigantyczny liliowy kalejdoskop.

Tylko sekunda tego zachwytu. O wiele silniejsze okazało się zimno. Skoczył szukać swego plecaka. Inni byli przezorniejsi, spali w kabinie. Na stole leżały tłuste papierzyska, dokładnie wyczyszczone z jedzenia. Wojtek widać zapasy sprzątnął do szafki.

Budzili się teraz po kolei, ziewali, przeciągali się. Trudno im przychodziło wyzwolić się z urojonej rzeczywistości snu.

Ale zaraz znalazło się coś, co jak wiadro wody zmyło z nich całą senność.

Kucyk ziewnął i z niesmakiem wskazał na papiery.

– Ale co za świństwo! Rozmamłane to wszystko jak w jakiejś knajpie! Dlaczegoście nie sprzątnęli?

- A sam nie możesz? – wychylił się Zdzisław. – Weź, tam szafka, zanieś. Dość tego kultu jednostki!
- To już Wojtek zrobił! – wyrwał się Andrzejek. – Tu tylko puste papiery.
- Wojtek? – zdziwił się Zdzisio.
- Ja? – jeszcze bardziej zdziwił się Wojtek.
- No, któryś z was. Tu tylko...

Zdzisław zlązł ze swej koi. Osłupiały spoglądał na stół, potem skoczył do szafki. Była pusta! Dobre pół godziny wrzała teraz piekielna awantura. Ścierali się w słownych pojedynkach według znanej zasady turniejowej: każdy z każdym. Podejrzewali siebie po kolei o głupi kawał schowania reszty aprowizacji. Przez czas jakiś wisiało nad nimi oskarżenie, że któryś z nich po prostu zjadł te zapasy. Ale wystarczyło z grubsza policzyć, co tu zostało na stole – prawie cała kura, dwa kotlety, pół kilo kiełbasy, kilka domowych bułek – aby tę hipotezę raz na zawsze odrzucić.

Więc klócili się dalej. Kucyk nawet zarządził rewizję wszystkich plecaków. Niestety czy na szczęście – okazały się puste. Nie pozostało nic innego, jak przyjąć do wiadomości ten cios straszliwy i pójść spać bez kolacji.

- Rzeczywiście, zaczarowany statek! – podsumował Kucyk.

Zmierzch już był pełny, tylko na zachodzie blade niebo. Wiatr po południu zapchał ich dość głęboko w trzciny. Łyse urwisko było niedaleko. Trzciny odcinały je prawie od jeziora, tworząc coś w rodzaju naturalnego portu. Zdecydowano więc jacht ulokować tam właśnie.

Wypchnęli się jakoś na pełne jezioro i zaciekle grzebiąc wiosłami, dobili do zatoczki.

Tu dwa odkrycia. Ciężki żelazny hak na stalowej lince okazał się kotwicą. Edzio cisnął ją do wody. Zatoczka była płytka, jacht zaraz siadł na mieliznę, nie mogli dobić do brzegu. Podczas tych wysiłków Andrzejek zauważył, że w płaskiej skrzynce, wystającej sztorcem z dna łodzi, podskakuje dziwnie owo żelastwo, nie wiadomo czemu nazwane mieczem. Dostyc bezmyślnie pociągnął przymocowaną obok linkę. Szło bardzo ciężko, ale nagle drgnęło coś, żelastwo wychyliło się ze skrzynki, jacht zaś skoczył o parę metrów naprzód.

Trochę radości z tych odkryć minęło jednak, gdy ułożyli się do snu. Nadmiar wrażeń i świeżego powietrza sprawił, że wspomnienie obiadu stało się dziwnie mgliste.

- No, chłopcy! – powiedział Kucyk głosem, w którym coś drgnęło. – Może jutro wiatr się odmieni.
- Głupstwo! – mruknął Wojtek. – Jakby się nie odmienił, to pójdziemy piechotą. Gdzieś tu jakaś wioska się znajdzie. Mleczko...
- Zamknij się! – warknął Zdzisław, najczulszy z nich wszystkich, jeśli chodzi o jedzenie. – Nie rozumiem, jak można tak drażnić... To się nazywa troska o człowieka!
- Masz rację! – odciął się Wojtek. – Po co chodzić po mleko, skoro ty masz wędki. Nałowisz nam rybek na śniadanko i spokój w domu.
- Kucyk! – szepnął Andrzejek. – Czy to słusznie, że my tak wszyscy mamy spać?
- Bo co?
- Bo tu las obok. Diabli wiedzą... z tym jedzeniem...

Kucyk poskrobał się w głowę, ziewnął.

– Żeby pilnować? Czego niby? Komu skradziono ostatniego talara, nie potrzebuje bać się złodzieja! Śpij, szkrabie.

Łatwo tak było powiedzieć. Nie uspokoiło Andrzejka Kucykowe lenistwo. Dziwne zniknięcie żywności kojarzyło mu się z zagadkową uwagą Frankowiakowej na temat jachtu i z tajemniczym wczorajszym samolotem. Po chwili wydało mu się, że na pokładzie ktoś się skrada. Przelamując nagły lęk, wyrzwał na świat boży.

Teraz była już pełna noc. Bładość nad zachodem przesunęła się na prawo. Kilka ognisk błyskało gdzieś bardzo daleko i czyjś nielitościwy potężny głos ryczał: „Wio, koniku”!

Oczywiście, kroki na pokładzie okazały się przesłyszaniem. Jedynymi intruzami były komary, których roje ciągnęły znad brzegu, lądując na Andrzejkowej twarzy. Klepał się zaciekle, potem nawiał do kabiny i starannie zasunął drzwi.

Reszta już spała. Wyciągnął się w swojej koi, długo leżał próbując różnorodnych sposobów nawoływania snu. Zabłąkany samotny komar niweczył wszystkie te wysiłki swoim natrętnym piskiem.

Może po godzinie takiej tortury znów się coś poruszyło w ciemności. Jakby stwór nieznany wciągnął pytająco powietrze, węszył, prawie kichnął.

Andrzejek siadł. Wszystko ucichło. Znow się położył. Tym razem szybciej przyszło nowe chrobotanie. Przez chwilę paskudny lęk ścisnął Andrzejkowe serduszko. Potem zostało z tego tylko obrzydzenie: to pewnie szczury!

Oto rozwiązanie zagadki z jedzeniem. Był tak dumny ze swego odkrycia, że chciał zaraz budzić tamtych. Przemógł się, dał spokój. Dopiero teraz wolno zaczęło nadchodzić nań senne zapomnienie.

Przyśniły mu się wyspy Galapagos. Słońce bezlitośnie praży, wielkie bryły szarej spękanej lawy utrudniają posuwanie się naprzód. Jakieś kolczaste krzaki, wielkie kaktusy, kłujące agawy. Jest to królestwo półtorametrowych jaszczurów o przerażających pyskach i łagodnych sercach. Oto jeden się przyczał za głazem. „Chodź tu, no, chodź!” – woła nań Andrzejek i nawet cmoka jak na kundla. Jaszczur kiwa przecząco głowę i próbuje uciec. Andrzejek chwytą go za ogon. Ale jaszczur ucieka sobie w najlepsze. Ogon ma rozciągliwy jak guma. Oto trzy, oto pięć metrów. Oto zrobił się ogromny. Oto odwraca głowę, pysk, paszczę! To przecież smok! Z paszczy bucha mu gorący oddech. Aach!

Otwiera oczy. Ciemność. Nie ma lawy, nie ma agaw. Ale smok jest!

Ciężar na piersi, gorący zgnity oddech! Aaa! Zamyka oczy, zrywa się z koi. Aaa!

Budzą się wszyscy trzej. Kucyk zapala latarkę. Zdzisław też coś krzyczy.

Andrzejek stoi blady jak śmierć.

– Był tu! – krzyczy. – Chciał mnie zadusić!

– Kto?

– No, jaszczur przecież...

Kucyk wyciąga rękę, kładzie mu na czoło.

– Kładź się, nic ci nie jest. Pewnie robaki.

– Ależ, słowo daję. Taaki! – rozwiera ręce. Potem zaraz milknie, posłusznie lezie do swojej koi, naciąga kocyk. Edzio jeszcze coś zrzędzi. Latarka gaśnie.

Wstyd chwilę tylko jest silniejszy od strachu. No, dobrze, wyspy Galapagos to sen. Ale przecież to potem, po przebudzeniu się! Ten ucisk na piersi! Ten oddech gorący! Nawet klaśnięcie zamykanej paszczy!

Z pół godziny przekonuje sam siebie, że przywidzenia mogą być aż tak dokładne, jeśli się zdarzają w krótkiej, sekundowej przerwie między snem i jawą.

Potem znow przychodzi mu na myśl szczury. Podobno się gnieźdzą na wszystkich okrętach. W „Przekroju” była taka straszna historia, z tą latarnią morską obłożoną przez szczury. Czyżby były tak duże, jak to, co na piersi... Tak śmiałe?...

Bardzo wiele czasu upłynęło, nim wreszcie zmęczenie poradziło sobie z tymi wątpliwościami.

Zwycięstwo i klęska.

Zdzisław ocknął się pierwszy: ciężar odpowiedzialności okazał się niezłym budzikiem. Musiał przecież nakarmić załogę. I sam zresztą był potwornie głodny.

Choć dla warszawiaka łapanie ryby na wędkę jest synonimem syzyfowej pracy, Zdzisław był pod tym względem warszawiakiem nietypowym. Był bowiem absolutnym optymistą w zakresie rybołówstwa.

Wynikało to z powodów ściśle rodzinnych. Miał wujka zapalonego wędkarza, który przy każdym spotkaniu rozkoszował się opowiadaniem swoich rybackich przewag. Zdzisław tyle się tego nasłuchał, że wyrobiło się w nim przekonanie o nieuchronności łapania ryby. Wyobrażał sobie tę czynność tak: bierze się robaka, wkłada na haczyk, zarzuca do wody i wyciąga rybę. Wujcio parę razy proponował mu nawet, że go z sobą zabierze nad Wisłę, tak się jednak składało, że żadna z tych propozycji nie doszła do skutku.

Gdy stanęła sprawa wakacji na Mazurach, zgodnie z poleceniem kotchozu Zdzisław poszedł do wujka, żeby się tej sztuki wędkarskiej poduczyć i zabrać sprzęt. Wujcio jednak właśnie pojechał w teren. Wujenka, krzywym okiem patrząca na szaleństwa małżonka, które ją pozbawiły towarzystwa do oglądania filmów, tym życzliwiej potraktowała wizytę Zdzisia.

Zaprowadziła go zaraz do wielkiej szafy w murze.

– Masz, kochany Zdzisiu, wybieraj, wybieraj, nie krępuj się. Jak młody bzikuje, to mu sam pan Bóg kazał.

Otworzyła szeroko szafę i Zdzisławowi dech zaparło. Dziesiątki wędek, siatek, siateczek, kijów, bambusów, trzciniek, drągów, stało sobie grzecznie w dwuszeregu.

– A widzisz! – powiedziała z powściąganą dumą wujenka. – A jak ja twojej mamusi mówię, że ma brata pomyłonego, to mi nie wierzy. Ty popatrz, kijów, kijów samych ma ile! A to, myślisz, jest wszystko? Ty popatrz tutaj!

I wyciągnęła z górnej półki pięć eleganckich niklowanych pudełek. Otwierała je po kolei. Całe tuziny dziwacznych przedmiotów z drutu, włóczki zwyczajnej, celulozoidu, ptasich piórek. Nie mając pojęcia, do czego to służy, Zdzisio wziął jedną z takich sztuczek w palce. I zaraz krzyknął, rzucił: we włóczce schowany ostry jak igła haczyk wbił się mu w miąższ kciuka.

– Tak, tak, mój kochany! – mściwie krzyknęła wujenka. – Ty myślisz, że to takie niewinne? To wszystko, żeby biedne rybki męczyć! Ja mu mówię: czekaj, Zygmunt, ty jeszcze za to na tamtych świecie odpowiesz. Nie może być, żeby takie okrucieństwo uszło bezkarnie. No, rozumiem, jak głód przy ciśnie, trudno! Ale i wtedy trzeba humanitarnie. No, jak z kurą, ciach siekierą i spokój. Ale żeby tak męczyć?...

Kciuk nieprzyjemnie swędził i Zdzisław tym chętniej zgodził się z wujenką, że torturowanie rybek jest niedopuszczalne.

– Tak, że ty bierz, co chcesz! – krzyknęła wyciągając nieoczekiwany wniosek z zaistniałej właśnie jednomyślności poglądów. – Bierz, nie krępuj się!

Zdzisław stał oszołomiony. Patrzył na kijki, kije, kijowiska. Do czego służy to wszystko? Co z tego wybierać? Górną półkę wypełniały książki. Wyłącznie o rybactwie! Wziął jedną z nich, przerzucił kartki. Jakieś rysunki przypominające ćwiczenia z wektorami: tu strzałka, tam strzałka. Zaczął czytać: dłuższy wywód o różnicy między przynęcaniem i zanęcaniem. Następny rozdział poświęcony był problemowi jakiegoś „przyponu”. Zakreśliło mu się w głowie. Przecież to trudniejsze od trygonometrii... Wujenka czekała niecierpliwie. – No, co bierzesz?

– Kiedy sam nie wiem... Może ja kiedy indziej? – dorzucił pojednawczo. – Kiedy będzie wujek. Bo się jeszcze pogniewa...

– Ja mu się pogniewam! – krzyknęła zaraz wujenka. – Cieszyć się powinien, że jego, konia starego, zabawki na coś się młodemu przydadzą!

– A jak w razie czego zepsują? – nieśmiało zapytał Zdzisław.

– Tak mu i trzeba!... – krzyknęła i potrząsnęła pięścią. – Za moje młode lata!

Głos się jej lekko załamał, odwróciła się, wyszła Postawiony w ten sposób w roli mściciela krzywd kobiety, Zdzisław nie mógł się już wycofać. Stał, przebierał wędkę. Pojęcia zielonego nie mając, co służy do czego, brał po kolei bambusy, leszczyny, trzciniki, nawet coś błyszczącego z poniklowanych rurek stalowych. Zdecydował się wreszcie na taką jakąś sześciokątną: była krótsza od innych, więc łatwiejsza do dzwigania. Miała zresztą przyczepioną nitkę nylonową i pływak, i haczyk, wszystko, co jest niezbędne do łowienia ryby.

Wujenka była niepokieszona, że wybrał tak mało „zabawek”, i gwałtem wepchnęła mu jeszcze jakiś pokrowiec z kilkoma krótkimi kijami bambusowymi, parę jakichś metalowych płaskich rybek i całe pudełko tych właśnie sztuczek z drutu i włóczki.

– Na pstrągi! – mówiła. – To jedno wiem z pewnością. A pstrągi to dobra, bardzo smaczna ryba!

– Ależ one w górach!

– Tego to już nie wiem. Ale jeśli pstrągi biorą, to i inna ryba też musi. Karp na przykład. Też bardzo smaczna ryba. Na przykład na szaro...

Tyle oto z teorii i praktyki rybołówstwa znał Zdzisio w momencie wyjazdu na Mazury. Nie wydawało mu się to zajęcie bardzo pasjonujące, nie zapalił się bynajmniej do niego. I jeśli mimo wszystko postanowił zrobić użytek z wujowego sprzętu – sprawiła to tylko twarda konieczność nakarmienia siebie i towarzyszy.

Z niezliczonych opowieści wujowskich zapamiętał jeden szczegół: ryby się łapie wcześniej, możliwie przed wschodem słońca. Obudził się, zerknął na zegarek: druga. Ziewnął, poczuł ziąb, chciał się odwrócić na drugi bok, gdy przypomniał sobie: nie mamy co jeść!

Zerwał się, głową wyrznął w niski dach kabiny. Szybko wciągnął sweter: było bardzo zimno.

Na zewnątrz ta sama bezbarwna jasność, co wczoraj, gdy wychodzili ze Stobca. Z trzech stron otaczała Atalantę ściana gęstej jak wata, mokrej jak gąbka i zimnej mgły. Z czwartej strony poprzez jej niebieskawy welon przezierало coś dużego, czarnego.

Brzeg i las – przypomniał sobie Zdzisław.

Było cicho. Powietrze ani drgnęło. Jakieś ptaszyny, zziębnięte pewnie niemniej od chłopca, przerzucały się gdzieś we mgle dygocącymi półśłówkami.

Pierwsza rzecz – przypomniał sobie – robaki! Wziął blaszankę po konserwach. Atalanta stała o metr od brzegu, bez wysiłku skoczył w grząski przybrzeżny piach. Łysy brzeg nawisał nad nim dziesięciometrową stromą i żółtą ścianą. Przypomniał sobie niejasne obrazki z dzieciństwa na wsi: ledwo kopnęło się łopateczką ziemię – i te ohydne czerwone, wijące się jak żmije...

Przewyciężył wstręt, wziął kawał kija, raz i drugi wbił w żółciutki piasek przy brzegu. Żadnych robaków! Jeszcze i jeszcze. Nic. Niebawem wykopał ćwierćmetrowy dołek, nie znalazłszy ani jednego.

Zwalczył z trudem zniechęcenie. Odszedł o metr. O dziesięć i piętnaście. Po półgodzinie całe wybrzeże podziobane było kijem. I najmniejszego robaczka choćby na lekarstwo!

Mgła rozjaśniła się lekko, sosny u góry wynurzały swoje brązowe opalone pnie i ciemnozielone czupryny. Ptasich głosów przybyło, nabrały one pewnej pogody. Tylko robaków jak nie było, tak nie było.

Zdzisław wlaź na urwisko. Na szczycie trochę igliwia, darń i dużo kory. Kopano się tam trudniej. Skutki były takie same.

Wyprostował się wreszcie, zgrzany, zmęczony, nie czując już przedświtowego chłodu, czując tylko wzbierający potworny apetyt, który po dalszym kwadransie stał się już po prostu głodem.

Wreszcie zrezygnował z robaków. Wrócił na pokład, wyciągnął z pokrowca wędkę. Parę minut eksperymentował doczepianie sztucznych muszek. Wreszcie, jak furman batem, zamachnął się wędką i cisnął muszkę na ołowianą powierzchnię wody.

Muszka spadła, owszem, zanurzyła się, pływak zaś drgnął i wyprostował się. Zdzisławowi piknęło w sercu: czyżby już ryba?... Chwilkę czekał na konkretniejszy dowód, gdy jednak przez minutę pływak się nie poruszył – nie wytrzymał i wyciągnął wędkę.

– Co, już jest?! – krzyknął za jego ramieniem Edzio.

Zdzisław odwrócił się zaskoczony.

– Ciągnij, ciągnij! – krzyczał Edzio i sam się uczeplił wędki.

We dwóch wyciągnęli z mokłą i oklapłą muszkę włóczkową.

– Taak – przeciągnął Edzio. – A myślałem...

– Czemu nie śpisz? – zapytał Zdzisław, niechętnie czując za plecami jego czekanie, niecierpliwość, nadzieje.

– Kiedy, wiesz, z tą żywnością tak wyszło... Bądź co bądź ja, organizator...

Po kwadransie daremnego czekania na choćby najlżejszy ruch pływaka Zdzisio zwierzył się „organizatorowi”, że nie ma pewności, czy aby ta przynęta jest najbardziej właściwa. Edzio ogromnie się tym przejął i natychmiast zrobił pobudkę, wysyłając resztę załogi po dżdżownicę.

Ranek zwolna wyrastał. Oto w górze, nad głowami mignęło parę żółtawych odcieni. Bardziej niebieska zrobiła się mgła nad jeziorem, gdy zaś po kolejnej minucie gapienia się na zaczarowany pływak Zdzisław odruchowo podniósł głowę – zaczerpnął powietrza, jak w przerażeniu.

Mgła bowiem pękła, wyleciała w górę i znikła. Pięćset metrów jeziora wynurzyło się z niej gładkie, nie tknięte jeszcze pierwszym dzisiejszym wietrzykiem, zielonkawe, żółtawe, prawie niebieskie. Tylko nad tamtym brzegiem leżał skłębiony kopulasty śnieżnobiały obłok, przebity tu i ówdzie ciemnym szczytem dębowym.

I tak co minuta, co pół minuty przybywało lipcowego dnia nad jeziorem, coś nowego wynurzało się z nocy, coś się zmieniało co chwila, coś rosło. I tylko jedno zostało absolutnie takie samo, niezmiennie, nieruchome: pływak Zdzisiowej wędki.

Gdy poprzez sosny, nawisłe wysoko nad urwiskiem, tysnęły pierwsze złotawe odbłaski dzisiejsze go słońca, Kucyk nie wytrzymał i tknął ramię Zdzisława.

– Wiesz co? Tamtym nic nie wychodzi, kopia i kopia, jak traktorzyści, już chyba zorali po pół hektara. Ty także nic... Może inne przynęty?

– Całe pudełko już wypróbowałem. Sam widzisz., Znużonym ruchem pokazał długi szereg różnobarwnych włóczkowych i pierzastych muszek, schnących na burcie łódki po przydługiej bezowocnej kąpieli.

– Wiesz co? – ciągnął Kucyk. – Ja się nie znam na wędce, oczywiście, nie chcę uczyć uczonego... - Zdzisław ponuro się skrzywił. – Ale słyszałem.. wiesz...

– No, wykrztuśże nareszcie!

Kucyk obejrzał się i szepnął Zdzisiowi na ucho: – Podobno nie tylko na robaki... podobno na chleb także!

– No, to co? Zżarł przecież któryś z was!

Kucyk skrzywił się, machnął ręką.

– Właśnie znalazłem... Ty nie pomyśl tylko... Po prostu matka w ostatniej chwili, do kieszeni wiatrówki... I na śmierć zapomniałem...

Zdzisiowi rewelacja ta niespodziewanie odwróciła nastrój. Konflikt między integralnym optymizmem na temat połowu ryb, wyniesionym z wujkowych opowiadań, i jak najbardziej ponurą rzeczywistością został przez tę kromkę chleba rozwiązany. Oczywiście – powiedział sam sobie – nie biorą się, bo przynęty niedobre. To na pstrągi, te zaś są w górach. A na chleb, jak sobie przypomina...

– Owszem – odparł Kucykowi. – Na chleb się biorą...

– Co na przykład?

– Na przykład leszcz. Albo karp.

– Nie może być! – prawie krzyknął Kucyk. – Karp po żydowsku! To coś wspaniałego!...

Skoczył do kabiny i po chwili wrócił z kromeczką czarnego, dość już stwardniałego chleba, przykrytego dwoma plasterkami kielbasy.

– Bierz, bierz! Jeśli karp, to przecież dla wszystkich starczy! One takie grube, te karpie!...

Zdzisio wahał się chwilę, jak to nasadzić na haczyk, co zrobić z kielbasą. Kucyk szybko go przekonał: im większy kasek, tym większa ryba się złakomi. A kielbasa też się przyda, zawsze to smakowiciej. Ryby przecież lubią mięso, skoro przepadają za robakami.

Tak oto resztę żywności głodująca załoga dosłownie wyrzuciła za burtę. Połowa kromeczki z plasterkiem ledwo trzymała się haczyka. Zdzisio cisnął ją o pięć metrów od łodzi. Pływak, jak zwykle, drgnął ze dwa razy. Kucyk krzyknął:

– Jest! Ciągnij!!!

Zdzisław posłusznie wyciągnął pusty haczyk. Widok ten obu ich natchnął potężną radością. Przynęta znikła! Nareszcie ta martwa, obojętna, nieruchoma tafla wodna jakoś odpowiedziała na ich wysiłki.

– Biorą! – krzyknął Edzio. – Szybciej dawaj następną!

Następny kawałek chleba, ciśnięty zbyt energicznie, zerwał się jeszcze w powietrzu. Był to z jego strony akt łaski. Zdzisio chciał już cisnąć wszystko do diabła, tym bardziej że Wojtek zbuntował się tymczasem i oświadczył, że dłużej grzebać się nie będzie. Ale w dramatycznym momencie kłótni jego z Kucykiem z brzegu buchnął triumfalny krzyk Andrzejką:

– Chłopcy, jest! Jest, jest!

Biegł do nich dźwigając na wybrudzonej dłoni: maleńkiego zwijającego się rozpaczliwie robaczka.

I stąd dla Zdzisia jeszcze godzina zajęcia, które już się stało torturą. Otoczony coraz bardziej niecierpliwymi spojrzeniami kolegów, trzymał w ręku idiotyczny kij z nylonową nitką. Słońce wygramoliło się wreszcie ponad sosny, perłowy obłok, leżący na tamtym brzegu, rozproszył się, znikł bez śladu, na zielonych polankach, poprzedzielanych pagórkami i kępami lasu, wyciągnęły się w górę słupy niebieskiego dymu, nad ledwo widocznym dachem Frankowiaka też smakowicie zadymił komin przypominając bohaterskiej załodze Atalanty o tak elementarnych rozkoszach, jak skwiercząca wesoło wiejska jajecznica, kawa z mlekiem, owiana wonnym oddechem pary, a choćby gruba pajda czarnego chleba a garncem. ciepłego mleczka prosto od krowy.

Takie skojarzenia musiały się nasuwać załodze zmieniając jej spojrzenia z pełnych nadziei na zniecierpliwione, gniewne, ironiczne wreszcie.

Przyptyw głodu gwałtowniejszy niż poprzednie

sprawił w końcu, że i Zdzisio nie wytrzymał. Poderwał wściekły wędkę, cisnął ją na dno łódki.

– Wszystko to bujda z tymi rybami – oświadczył kategorycznie.

2.

Znowu wybuchła kłótnia – ciągle jeszcze o tajemnicze zniknięcie zapasów. Wojtek pozwolił sobie na ironiczne uwagi pod adresem Kucyka i ten nie omieszkał oskarżyć go o potajemne pożarcie wszystkiego. Andrzejek próbował lansować swoją wersję o szczurach, co jednak nie zdobyło powszechnego uznania. Trwałaby dłużej ta narodowa zabawa w rozróbkę, gdyby nie względy atmosferyczne.

Oto mianowicie dzionek okrzepł na tyle, że przebudził się wreszcie wiaterek z innego kierunku: wzdłuż tego wydłużonego jeziora, a nie w poprzek. Nie dokończywszy kłótni, nie wyjaśniewszy tajemnicy, wybiegli na pokład ożywieni nadzieją, że u Frankowiaków dostaną coś do przegryzienia. Wojtek wyciągnął kotwicę, zepchnęli jacht na głębię, nawet miecza nie omieszkali spuścić, Zdzisio chwycił szkot i ster.

Szybko oderwali się od trzciny. Sternik próbował znowu wycelować dziobem łodzi w trójkątny dach Frankowiaków. Przez jakiś czas wydawało się, że wszystko jest w porządku. Potem jednak jacht zaczęło znosić w prawo. Zdzisław ze złością targał sterem, ale wtedy wiatr uciekał z żagla i ten zwisał oklapły i nieruchomy. Po kilku sekundach sternik ściągał żagiel bliżej siebie, ale wtedy właśnie jacht skręcał w prawo.

Wreszcie stanęli pośrodku jeziora, na wprost niedostępnej zagrody. Bardziej zgłodniałymi proponowali nawet spuścić żagiel i dobijać do brzegu przy pomocy owej łopatkki. Pewnie zwyciężyliby w końcu, gdyby nie nowe, straszne wydarzenie.

Oto spoza dalekiego występu trzciny, z tyłu, wynurzył się biały trójkąt żagla. Obejrżeli się jeden i drugi, zaniepokojeni. Jak najbardziej słusznie.

Bo nad żaglem trzepotała paskudna czarna szmata. Oczywiście, wybuchła między nimi gwałtowna sprzeczka. Jedni wołali: do brzegu, choćby na wiosłach! Drudzy woleli po prostu uciekać. Zdzisław stracił głowę i pięć minut bezcennego czasu. Kretyńska łódź piratów była o jakieś sto metrów i chudy dryblas wołał już swoje „ahoj”, gdy Zdzisio w przyprawie nieartykułowanej paniki, spotęgowanej przekonaniem o pechu, który go nieuchronnie ściga (patrz bieg i ryby) – po prostu ściągnął żagiel i skręcił ster.

Atalanta przechyliła się lekko i ruszyła bezszelestnie naprzód, prosto przed siebie, w „siną dal”, zamkniętą kilku wielkimi kępami zieleni.

– Ahój! – krzyknął zaraz dryblas. – Gdzie uciekacie? Ano, poczekajcie na nas!

Wojtek, nie patrząc na innych, od razu wlaź do kabiny. Andrzej siadł na dnie, schylił się. Kucyk tylko został przy sterniku.

Zdzisław kurczowo trzymał żagiel. Wiatr, zdawało się, przybrał na sile, przechylił jacht i ten leciał naprzód, zostawiając za sobą pniące się kotłowisko.

– Patrzcie, patrzcie, jak zasuważą! – dobiegło do nich czyjeś zdanie od piratów.

– Chłopcy, stawiamy fok! – krzyknął dryblas. – Dać im bobu!

Obejrżeli się. Łódź z czarną flagą była o jakieś pięćdziesiąt metrów. Szła ostro, przechylona także. Na jej wystającej burcie siedziało kilka opalonych postaci wychylając się nad wodę, żeby zrównoważyć przechył.

– Trudno! – szepnął Kucyk widząc jak na dziobie u tamtych wyskoczył do góry i zaraz się wydał wąski trójkątny żagiel. – Puśćmy ich może naprzód, niech idą do diabła!

Ale Zdzisław pokiwał tylko głową.

– Cholera ją wie! – pokazał nosem na Atalantę. – Sam już nie wiem, co z nią robić. Patrz, patrz, jak się przechyla! Żebym to ja wiedział, jak ich puścić naprzód...

– A może skręcić?

– Dziękuję! Żeby ci, jak wczoraj, tym drażniem po głowie?

Kucyk zafrasowany umilkł. Lecieli naprzód w bulgocie ostro ciętej wody. Pierwsza kępa zieleni nadbiegła z prawa. Była to wyspa porośla wysoką olszyną. Stadko kajaczków dobiło do niej właśnie i spaleni na malinowo wczasowicze wyłazili na brzeg.

– Ludzie! – krzyknął jeden z nich. – Jak Boga kocham, patrzcie, regaty!

- Gdzie, gdzie regaty?! – wrzasnął zaraz chór kobiecy.
- Patrzcie, jak ta czarna flaga zasuwa! Ale nabije tych z przodu!
- Co dziwnego, ma więcej żagli!
- Nic nie nabije!
- Zakład!

Kucyk obejrzał się na Zdzisia. Słyszeli świetnie tę rozmowę. Jednocześnie błysnęło im w oczach coś nowego, niepodobnego do rezygnacji, która dotąd ich przepępiała. Zdzisio ściągnął ku sobie żagiel. Łódź jeszcze trochę się przechyliła. Kucyk za przykładem piratów siadł na nawietrznej burcie, podał się do tyłu.

– Chodźcie tu, halo! – zawołał na tamtych.

Wyleźli. Teraz już było można.

Piraci też słyszeli podziw stadka kajaków. Nie krzyczeli już, nie szydzili. Jakieś mądre manewry musieli czynić, bo ich żaglówka powoli przesuwała się jednak do przodu.

Wyspa z kajakami została z tyłu. Jezioro zwęziło się bardzo, podobniejsze do wielkiej rzeki, pełne wysepek, ściśnięte wysokimi brzegami. Domki na lewym, parę domków na prawym. Na lewym komin fabryczny i osiedle. Ludzi coraz więcej, rybacy z wędkami, kobiety, plażowicze, łodzie wiosłowe, całe tłumy kajaków.

Wszystko to w mig dostrzegało rozpaczliwą ucieczkę Atalanty przed piratami. Krzyki biegły donośne. Znakomita większość „stawiała” na ścigających, nie wiadomo po czym poznając ich mistrzostwo, a może po prostu zgodnie z prawem psychologicznym, które widzowi nakazuje życzyć zwycięstwa temu, kto jest z tyłu: bo wtedy będzie bardziej dramatycznie.

Piraci dochodzili coraz bliżej. Może dwadzieścia metrów dzieliło ich teraz, gdy jezioro zwęziło się jeszcze bardziej. Na lewym brzegu, wysokim, pełnym gęstego sosnowego lasu, stał jakiś wielki budynek, a przy nim duża przystań z kajakami i żaglówkami.

Tu był już niemal tłum. Zachwycone wrzaski ścigały obie łodzie.

Piraci doszli wreszcie. Słysząc było teraz każdą ich komendę, każde niemal westchnienie. Chłopcy siedzieli jednak na burcie: bohaterski opór dał im już prawo spojrzeć prosto w oczy choćby samej ohydnej Pawłowskiej, której zresztą nie było widać.

Cieśnina wnet się skończyła, jezioro skręcało gwałtownie w lewo. Na domiar złego połowę jego szerokości wypełniły tratwy.

Nie wystarczyło tu tylko trzymać się kurczowo steru: wiatr pędził ich prosto na brzeg. Zrozpaczony Zdzisław zaczął się bezradnie oglądać. Piraci mijali ich właśnie z prawej, zawietrznej strony. Tam też dojrzywała konieczność manewru, słysząc było dziwną dyskusję.

- Zmieniaj hals! – krzyknęła niskim głosem jakaś dziewczyna.
- Zaczekaj, musimy wyjść na fordewind! – odpowiedziała inna.
- A idźcie z waszym fordewindem! – warknął sternik. — Nie będę ryzykował wywrotki.. Mijam ich i robię zwykły sztag.

Kucyk spojrział na Zdzisia.

- Rozumiesz?
- Fordewind – pełny wiatr. Sztag – lina przymocowana do... – zaczął recytować Andrzejek.
- Zamknij się! – zgasił go zaraz Zdzisio. – Podpatrzę u nich i koniec! – szepnął Kucykowi.

By to uczynić, musiał odwracać głowę. Piraci minęli ich o ładne dziesięć metrów. Ludzie na brzegu powitali to hucznymi oklaskami.

Brzeg był o pięćdziesiąt metrów, tratwy o trzydzieści, gdy sternik piratów zaczął swój dziwny manewr. Ściągnął gwałtownie żagiel. Zdzisław też. Tamten coś zrobił ze sterem. Zdzisław też. Ale tu właśnie stało się coś niezmiernie szybkiego.

Łódź piracka jak fryga zakręciła się na miejscu, dziób jej minął tratwy, poleciał do tyłu, znów się odwrócił wycelowany w kierunku objawionej przed chwilą przystani, ale z żaglem nie na lewej burcie, lecz na prawej.

Z Atalantą zaś stało się coś całkiem innego. Ściągnięty przez Zdzisia żagiel śmignął im koło nosa, z ogromnym łopotem przeleciał na prawą burtę, jacht zadrżał, lekko skręcił w lewo, prosto na przystań, most nad jeziorem i tłumy ludzi.

Ci właśnie wrzasnęli nagle. Oklaski. Zdzisławowi pot grubymi kroplami wystąpił na czoło, reszta załogi po prostu. wpadła w panikę.

Bo to oni tym razem byli przedmiotem owacji. Manewr sternika pirackiego, bardzo malowniczy, wydawał się może szczytem elegancji, ale taki zwrot o prawie trzysta sześćdziesiąt stopni kosztował jednak jakieś pół minuty. Tymczasem Zdzisio w swoim manewrze nie robił żadnego zwrotu, żagiel tylko przeleciał im nad głowami i szybkość jachtu raczej nawet wzrosła.

W rezultacie pędzili wprost przed siebie, piraci zaś szli za nimi znowu o jakieś trzydzieści metrów. Teraz, oczywiście, klócili się ci ostatni.

– Frajer ciężki! – krzyczała jedna z dziewczyn do sternika. – Przecież byle jołop zrozumie, hals trzeba zmienić, bez żadnego zwrotu! Nawet ci, ci, te fujary to zrobiły, a ty...

Sternik coś jej odpowiadał, chudy dryblas usiłował ich uspokoić, hałas, awantura...

Zdzisław tymczasem, zęby zaciskając, sterował prosto na przystań. Porwany tą walką, nic poza tym nie rozumiejąc, o mało nie spowodował katastrofy. Szli całym pędem na przystań. Byli od niej może o dwadzieścia metrów, gdy Kucyk zorientował się, że grozi im zwyczajne rozbicie się o pomost. Krzyknął:

– Hamuj! Hamuj!

Zdzisław zbladł. Jak ma hamować? Spróbował ściągnąć żagiel, ale ten był wydęty wiatrem jak worek, nie poddawał się jednej ręce sternika.

Wtedy Zdzisław, całkiem tracąc głowę, puścił ster, oburącz uczeplił się nieposłusznego szkota i targnął nim z całej siły.

I oto znów stał się cud! Rozpędzona Atalanta zrobiła zwrot niemal w miejscu, minęła dziobem przystań może o metr i ustawiła się do niej tyłem. Żagiel oklapł, lekka fala podzuciła ich raz i drugi da góry.

Na pomoście tłum ludzi. Ktoś krzyczy:

– Cumę, dajcie cumę!

Obejrzeni się nie pojmując.

– Aleście wystawili tamtych! – woła inny.

– Ale dobiecie! Na fordewindzie żeby tak przycelować! Co, Krystyna? -- długowłosa blondyn aż klepnął po ramieniu krótko ostrzyżoną czarnulę.

– No, z tą cumą! – niecierpliwił się pierwszy. Andrzejek wreszcie przypomniał sobie przeczytaną stroniczkę, pobiegł na rufę, spod siedzenia Zdzisiowi wyciągnął grubą linę i rzucił ją gościowi na przystań.

3.

Przyciągnięto ich do brzegu. Długowłosa blondyn z czarnowłosą Krystyną rzucili się im w objęcia.

– Serwus, chłopcy! – krzyczał blondyn. – Jechaliśmy przecież razem w pociągu. Jeszcześmy tego szkraba uratowali! Aleście majstry w żeglarcel Ta zmiana halsu w bagsztagu! Co za ryzyko! I jaka precyzja! A to dobiecie! Świetnie, sterniku, świetnie! – trząśł Zdzisławowi prawicę.

Ten był tak oszołomiony, że nie zdobył się nawet na uśmiech. Kucyk pierwszy otrząsnął się z napięcia tych dziwnych regat. Tłum i powszechna uwaga wyzwoliły w nim nawyki organizatorsko-propagandowe. Zaczął pokrzykiwać:

– No, pewnie, moja szkoła! – I klepnął Zdzisia po ramieniu. – Jakby tego halsu nie zmienił, tobym go dopiero wziął za hals! A gdyby nie dobił, tobym jego dobił! Ha, ha, ha! No, załoga, na moją komendę w dwuszeregu biegiem zbiórka! Co jest, łabudy! Wojtek, przestań się krygować! Może trzeba ci pomadki do ust, co? Koleżanka pożyczty!

Wojtek rzeczywiście kręcił się w kabinie, zaciekle szcnotkując włosy z tyłu do przodu, aby im dodać tego artystycznego chaosu, który tak nieodparcie działa na kobiece wyobraźnię.

Blondyn nachylił się do Zdzisława.

– Bardzo dobrze, żeście tych tam nabili. Cóż to za kabotyny! Czarna flaga, trupie czaszki, też pomysły!

Półgłosem to mówił, bo piraci właśnie wyłazili. Byli wściekli. Milczeli, nie odpowiadali na docinki z brzegu i ludzie na pomoście też milczeli uśmiechając się tylko ironicznie za ich plecami. Zresztą z głębi ktoś krzyknął:

– Mikołajki, zbiórka!

I tłum z pomostu ruszył do tyłu.

– Co tu się dzieje? – spytał Edzio blondyna. – Co to za miejscowość?

– Jak to? Sami nie wiecie, gdzieście wylądowali? To Momajny, wielki ośrodek wczasowy. A że ścisk? Niedziela, pełno wycieczek z okolicy. Statkami poprzyjeżdżali, z Giżycka, z Mikołajek, z Pisu...

Wojtek wreszcie zakończył swoje trudy kosmetyczne. Stali jeszcze chwilę. Uniesienie walki zwolna im mijało, natomiast coraz silniej wołał w ich duszach zwyczajny głód. Przyznali się blondynowi, że chcieliby coś przegryźć. Ofiarował się dać baczenie na jacht: sam i tak musiał tu dyżurować czekając na powrót całej eskadry kajaków.

Spuścili więc żagiel, kabinę zamknęli na klucz, poszli na miasto.

Cóż to zresztą za miasto! Nad przystanią parę piętrowych kamieniczek: nadleśnictwo. Potem przejazd kolejowy, na zapasowym torze długi towarowy pociąg, pełen dzieci i suszącej się bielizny: wczasy kolejarskie. Potem ni to ulica, ni to szosa. Parterowy dworzec. Budka „Ruchu”.

Tu jakiś sympatyczny człowiek poinformował ich, że jest wprawdzie w Momajnach gospoda ludowa, ale wobec niedzieli i tłumów wycieczkowych prawdopodobieństwo dostania posiłku jest tam znikome.

Ruszyli więc dalej, do jakiejś kooperatywy, gdzie podobno były szanse uzyskania czegoś do zjedzenia.

Przewidywania te sprawdziły się tylko częściowo. Chleba nie było. Nie było też ani mięsa, ani wędlin, ani cukru. Właściwie mówiąc, z produktów teoretycznie jadalnych były tylko świece i kapary w occie...

Głód w nich był już tak potężny, że Kucyk nie zrezygnował.

– Co to są kapary? – spytał.

Sprzedawczyni pokazała im szklany słoik, wypełniony zielonymi kulkami rozmiarów i kształtów nasion nasturcji.

Zdzisławowi oczy rozbłyły.

– Jakie to w smaku? Dobre?

Sprzedawczyni nie próbowała. Mówiła tylko, że używa się tego do przystrajania gotowanego mięsa.

– Coś w rodzaju ozdóbek na choinkę! – podsumował Kucyk. – No, co, chłopcy, bierzemy?

Andrzejek wyrzwał na ulicę, dostrzegł cały tłum ciągnących tu ludzi i wrzasnął czym prędzej:

– Bierzemy, bierzemy!

Sprzedawczyni powiedziała, że to ostatni, i zapakowała słoik. Potem zaś zapatrzyła się na fryzurę Wojtka. Coś ciepłego drgnęło w jej kobiecym obliczu. Nachyliła się do chłopców, szepnęła:

– Mam jeszcze cztery jasne. Ostatnie!

Tu decyzja przyszła błyskawicznie. Pierwsi z wycieczkowiczów dobijali właśnie do spółdzielni, już od progu wołając o piwo.

Chłopcy wzięli każdy po butelce. Chylili je do gardła, ciągnęli oporny ciepły gorzkawy płyn. Jedyne, co dodawało mu smaku – to były zawiedzione, pełne pretensji okrzyki tych, co się spóźnili.

Wyszli znów na ulicę. Słońce wydało im się jaskrawsze. I wisienki były bardziej zielone, i pies zaszczekał jakoś głośniej. Co gorsza, głód także jakby wydał się im w żołądkach. Szli, zaciskali wargi. Rozglądali się po domach. Niestety, innych sklepów nie było. Przy kiosku Zdzisław ni stąd, ni zowąd chciał kupować gazety. Starli się ostro z Kucykiem, który oponował przeciw takiemu marnotrawstwu. Poparty przez resztę Edzio przeprowadził z kolei nacjonalizację pieniędzy i mianował sam siebie skarbnikiem.

– Co robić, chłopcy – powiedział zaraz, aby udobruchać Zdzisława. – Spróbujmy tej gospody.

Wrócili przez tory, wyszli na inną uliczko-szosę. Tam, niedaleko sosnowego lasu ulokował się piętrowy domek gospody.

Niestety, sympatyczny gość z kiosku miał rację. Już na ganku tłum stał gęsty, ciskając do środka. rozmaite wyzwiska. Z pootwieranych okien buchał gwar setki podnieconych głodem mężczyzn, buchała „Marynika” i...

Zdzisio aż zbladł, podskoczył do furtki, pociągnął nosem.

– Słowo honoru! – krzyknął. – Bigos, na pewno! A może nawet gulasz!

W milczeniu ruszyli naprzód. Dziwne rzeczy z ich wygłodniałymi jestestwami wyczyniać zaczęło nędzne jasne piwo z okolicznego browaru. Wdarli się na ganek. Jedno spojrzenie Wojtkowych oczu poparte lekkim naciskiem Zdzisia i Kucyka starczyło, żeby stojący u wejścia starszy pan w okularach grzecznie odsunął się na bok i tylko warknął coś pod nosem na temat dzisiejszych porządków.

Ale wewnątrz gospody inna była sytuacja, inne kłopoty. Hakokształtny jej lokal, z bufetem w tym krótszym skrzydle, wypełniała tłuszcza, którą długie czekanie na posiłek pozbawiło wielu cech ogólnoludzkich, między innymi litości i strachu. Tu nie pomagały ani prośby, ani groźby. Ani rozmiary Kucyka, ani mięśnie Zdzisława, ani fryzura Wojtka, ani bezbronność Andrzejka.

A przecież coś się działo w tej gospodzie, coś pulsowało podskórnym, jakieś tam perspektywy przed gęsto stłoczoną ludzkością migotały. Ze ścisłu przed bufetem dobiegały chłopców urywki rozmów podniecających bardziej niż najpiękniejszy film.

– Tę sałatkę proszę! – krzyczał jakiś szczęśliwiec.

– A tam w kącie! – krzyczał inny. – Przecież to jajko, jak Boga kocham. Panie radco, jajko to czy nie, bo niedowidzę!

– Nie gwarantuję! – piszczła bufetowa. – Uczciwie mówię, to remanent z ubiegłego tygodnia!

– Złociutka moja, dawaj, dawaj ten remanent!

Przez zbity tłum gości od czasu do czasu, wszakże nie za często, przedzierała się maleńka ruchliwa kelnereczka. Dźwigała nad głową po pięć talerzy z niedbale chlapniętymi na nich kulkami gotowanej kapusty i kawałkami mięsa. Oto źródło upojnych zapachów, które dodały chłopcom siły do zwycięskiego przedarcia się aż tutaj.

To zwycięstwo było jednak znowu pyrrusowe. Bliskie sąsiedztwo niedostępnych rozkoszy – jak poucza nas historia Tantara – należy do najokrutniejszych tortur. Chłopcy stali na odległość wyciągniętej ręki od tych wszystkich bigosów i gulaszów. Oczy im ciemniały z pożądania, w głowach szumiały jasne piwa i głód, żołądki gniewnie burczały, kolana zaczynały bezsilnie podrygiwać.

Po dziesięciu minutach doszli do takiej prostracji, że stało się możliwe to, co właśnie nastąpiło. Mianowicie na ramię zmarkotniałego całkiem Kucyka spadło nagle czyjeś łapsko.

– Halo, chłopie, chodźcie tu, niech was cholera! Kucyk obejrzał się i zdębiał.

To ten chudy dryblas! Nie zdjął nawet czerwonej chusty.

– Chodźcie tu, oblejemy tę hecę! – krzyknął dryblas. – No, jazda!

Spojrzeni wszyscy w jego stronę. Widok był zaiste szatański. O dwa kroki od nich, przy ścianie stał stolik otoczony półtuzinem krzesełek. Na stoliku zaś talerze, talerze! Szklanki, szklanki! I butelka. Bardzo duża, właściwie butla.

Zdzisiowi ścierpło coś w ustach. Talerze na stoliku nie były bynajmniej puste. Czarowny bigos blade zielenił się na jednym, na drugim zaś niebieskawo łyskały trzy dzwonek marynowanego śledzia.

4.

Zanim liczne urzędy i organizacje powołane do przestrzegania moralności wśród młodzieży szkolnej zabiorą się do naszych bohaterów, z całym naciskiem przypomnijmy im te właśnie okoliczności łagodzące. Ten bigos i te śledzie! I wypite poprzednio piwo! I nie zjedzone śniadanie. I takąż, to znaczy nie zjedzoną kolację. I emocję wyścigu. I uniesienie niepojętego zwycięstwa. I wreszcie to, co się stanie potem.

Tak więc chudy dryblas z szatańskim gestem odsłonił przed załogą Atalanty upajającą perspektywę stolika z jedzeniem. Z sześciu krzeseł cztery były zajęte, o dwa inne pozostali przy stoliku piraci toczyli właśnie zaciekłą bitwę z napierającymi zewsząd, zgłodniałymi jak wilki w lutym wycieczkowiczami.

– Prędszej! – krzyknął dryblas. – Nie widzicie co się dzieje?

Ostatnia wątpliwość śmignęła przez głowę Zdzisiowi: „Z ohydą Pawłowską przy jednym stoliku?” I to zostało jednak odparte. Po pierwsze – pomyślał – teraz już można. Teraz, to znaczy po tych regatach. Po drugie, jeden rzut oka starczył, by stwierdzić, że teje właśnie ohydnej przy stoliku zabrakło.

Troje ludzi przywitało ich, gdy popychani przez dryblasa dobrnęli wreszcie do ściany. Był tam nieszczęśliwy sternik, niewysoki szatyn o jak najbardziej niepirackim, dobrodusznym spłaszczonym nosku.

– Sami widzicie – rzekł dryblas. – Oto Gary Kaczykuper.

– He, he! – powiedział ponuro Gary podając im rękę.

– Zyskał ten zaszczytny tytuł po dzisiejszych regatach, w których oberwał tu ten właśnie przydomek!

– No, wypchaj się raz wreszcie!

– Imię zaś jego pochodzi z żywiołowej namiętności do zmywania garów na statku, do czego ma z pewnością więcej powołania niż do sternictwa.

Gary wyrznął dryblasowi łokciem w dołek i ten zaraz usiadł.

– A oto jego najmilsza, Eliana, czyli Zajączek.

Niewysoka blondynka, rzeczywiście z bardzo zajęczym, to znaczy dużym, ale łagodnie zaokrąglonym na końcu noskiem i takimże podbródkiem, słodko się do nich uśmiechnęła.

– A tu stańcie na baczność! – zawołał dryblas. – Oto Małgorzata, kobieta-szatan, kapitan pirackiego statku!

Ta była wyższa od Eliany, barczysta, o szerokiej twarzy, prastłowińskim zadartym nosie, szarorudawych włosach.

– Jak się macie, chłopcy! – powiedziała przepitym barytonem. – Niech was cholera z tą zmianą halsu! Który to?

Wypchnęli Zdzisia. Obejrzała go błyskawicznie.

– Siadać! – rzekła i ściągnęła go na krzesło obok siebie. – Gdzie szkolony? U kogo? Groch? Juka? Sum? Na jakim kursie? Liga? Elpeżet? Azetem? Czekaj, czekaj! Nic mi nie mów. Sama wiem, po tym dobieciu poznałam. Pol, może nie? Pol cię musiał uczyć. W którym roku?

Zdzisio siedział z otwartymi ustami. Zrozumiał z tego tyle tylko, że mu się coś zarzuca.

– Ależ bynajmniej! – bąknął. – Słowo daję, że nie!

– Idź, idź! Gdzie teraz takiego znajdziesz, żeby dobijał z fordewindu! Teraz to same buchaltery, boją się! Bo i pewnie, ile jachtów rozpieprzono w ten sposób! Tylko Pol tak jeszcze robi, ale przecież on nie szkoli, po wojnie ani jednego kursu nie miał, wielka figura teraz, w głowie mu się przewróciło. Więc gdzieś go przyłapał?

Zdzisio znowu się wypierał. Nie dała mu wiary. Wtedy wyrwał się Kucyk:

– To ja, to ja go szkoliłem! Przed samym wyjazdem! Widzicie, jaki uczeń!

Kobieta-szatan spojrzała krytycznie na Kucyka. Na szczęście dryblas rozsadził resztę załogi po dwóch na krzesła, powyciągał kieliszki, szklanki, ponalewał.

– No, niech was cholera! – krzyknął. – Na przyszły raz tak was nabijemy, że się nie pozbieracie! Cyk!

Przyznajmy się: i Kucyk, i Zdzisio, i Wojtek wykonali tę komendę bez żadnego widocznego oporu. Jeden Andrzejek zawahał się przerażony tym wszystkim, co na temat alkoholu wyczytał w gazetach. Kobieta-szatan dostrzegła to zaraz:

– Chłopak się boi? – burknęła. – Ma rację chłopak. Przecież to dziecko jeszcze. Ile masz lat, skrzacie? Dwanaście?

Proszę Wysokiego Sądu, czy znajdzie się na tej ziemi jakikolwiek siedemnastoletni mężczyzna, który na taką przemowę odpowie inaczej niż wychyleniem szklanicy do dna?

Ojej, jakie to było ohydne! Jaki zapach okropny! I to piecze przecież jak jodyna! Andrzejkowi łzy popłynęły ochoczo. Zamazała się sala, jasne półkola zatańczyły szybko, zakrztusił się, kaszlnął.

– Masz, masz, skrzacie! – krzyknęła kobieta-szatan.

Otarła mu szybko oczy i podsunęła pod nos widelec z dzwonkiem śledzia, jednym z trzech.

Słodką, radosną, podniosłą rzeczą jest pierwszy kąsek po całej dobie absolutnego postu! Andrzejek pożarł tego śledzia, znalazł kromkę chleba, dostrzegł szczątki bigosu na talerzu, z trudem się pohamował.

– No, na pohybel! – krzyknęła Małgorzata. – Odjazd!

Powtórzyli operację. W dziesięć sekund później wybuchły im języki. Kobieta-szatan tłumaczyła zawile, że przezwisko zawdzięcza swojej absolutnej wszechwiedzy. Że wystarczy jej raz spojrzeć, a

już wie! Powoływała się na Zdzisia – że od razu zgadła, kto go kształcił w żeglarstwie, i na Andrzejka – że ani chwili nie wahała się w określeniu jego wieku. Kucyk zaczął strasznie się śmiać. Andrzejek wyciągnął swoją legitymację, gdzie jak wół stało, że ma lat prawie siedemnaście. Zdzisio pokładał się ze śmiechu, tłumacząc Kaczykuperowi, że ni be, ni me w żeglarstwie. Wojtek jeden siedział spokojnie i dawał się grzecznie karmić z widelca wielkonosej Elianie.

Andrzejkowi udało się wreszcie wytłumaczyć groźnej kapitance, że siedemnastka na legitymacji oznacza jego wiek, a nie prawo jazdy tramwajem tego numeru. Uszczęśliwiony, sam sobie nalał jeszcze kieliszek. Wypił najzupełniej sam, bez żadnego wstrętu, i zaraz spałaszował nie dojezdzonego przez kogoś bigos.

Potem jakoś radośnie zrobiło mu się na sercu. Wstał. Jaki miły widok roztaczał się przed jego oczami! Ta urocza gospoda! Ten tłum ludzki dokoła! Taki zwarty, gorący, przytulny! Oto pierwszy z brzegu, starszy pan, może aż trzydziestoletni. Ma okulary przepięknie stłuczone w jednym miejscu i tak milusio nadłamane w innym. I spojrzenie ma tak przyjemne. I kelnereczka, która przechodzi koło tego pana, tak dowcipnie mu odpowiada, że się nie pali!

– Ha, ha, ha! – wybucha śmiechem. – Nie pali się, bo przecież to dla niepalących! Ha, ha, ha!

– Wstyd, hańba – syczy jakiś stary przyk. – Przecież ten smarkacz się upił!

– Ha, ha, ha! – Andrzejek śmieje się jeszcze głośniej. – Słyszycie, ludzie! Jakiś smarkacz się upił!

Tu śmiech bucha powszechny. Przy stoliku aż się pokładają. Istny szatan obejmuje Andrzejkę za szyję i płacze ze szczęścia. Chudy dryblas usiłuje podrzucić go do góry. Coraz więcej twarzy dookoła, za szybko się trochę przesuwają, nos jednego przeskakuje nad usta innego. Jest to bardzo zabawne. Śmiech targa Andrzejkę, słowa i obrazy, porąbane atakami tego śmiechu, coraz bardziej chaotycznie przedostają się do jego świadomości.

Oto twarz, którą widział przecież. Wysokie czoło, niewielkie ostrawe oczka i milusi uśmiezek. Ciężki podbródek. Za ciężki. Już nie ma uśmiechu, coś smutnego w tej twarzy. Biała pięknie wyprasowana furazerka. Któż to jest?

Chudy dryblas tłumaczy Kucykowi:

– Nasz jacht to nie byle co! Ze stajni Goeringa! Bo ten miał swoją przystań! Kabina wyłożona palisandrem! Światło elektryczne! Było, oczywiście...

– E, drobiazg! – przerywa mu Kucyk. – Nasz jacht od samego Hitlera! Mahoń! i do tego zaczarowany...

– Od Hitlera?! – krzyczy z radością Andrzejek. – Nie może być! A toś cwany lis! Nic nam...

Dostaje zaraz kopniaka pod stołem i z jękiem urywa. Kucyk, jakby nigdy nic, opowiada historię o zniknięciu zapasów. Znowu twarz z ciężkim podbródkiem. Miła przecież, zyczliwa. Choć już nie ma uśmiechu, choć tylko te oczka biegają tak jakoś...

Wionęło od okna. Rozgrzany zapach igliwia na chwilę odchylił bigosowy zaduch. I jakby się przejaśniło w głowie Andrzejkowi: przecież to ten z pomarańczowym żagielkiem!

– Proszę pana! – krzyczy. – Proszę pana! Pan widzi, jakeśmy się nauczyli! Pan nam wczoraj żagiel pokazał, a dziś nabiliśmy tych szatanów!

Donośny ma głosik, całe towarzystwo patrzy teraz na pana w białej furazerce i ten niechętnie się krzywi.

– Nie wierzy pan? Ależ, daję słowo... Wskoczył zza stolika, bo był pewien, że się słowo daje jak monetkę, z ręki do ręki. Ruszył więc do tamtego. Ale pan w furazerce wstał, gniewnie wziął Andrzejkę za ramię i pchnął z powrotem.

– Prześpij się przed tym, smarkaczu! – powiedział i ruszył do drzwi.

Andrzejek wrócił do kobiety-szatana. Chwilę był zdetonowany. Potem usłyszał strzępek rozmowy, która go znów rozpodziła.

– Słowo daję! – krzyczał Kucyk. – To ja, ja go przeszkoliłem!

– A wyście sami gdzie byli na kursie? – zapytała kobieta-szatan.

– Byłem, na sześciu kursach byłem! Nie wierzycie? Ha, ha, ha! – Zaczął liczyć na palcach: – Pierwszy – przodowników zdrowia. Drugi – przodowników oświaty. Trzeci – przodowników kultury. Czwarty – ogólnoorganizacyjny. Piąty – instruktorów przeszkolenia przodowników zdrowia. Szósty... psiakrew, zapomniałem...

Tu piraci wybuchnęli zgodnym oburzeniem. Najbardziej pieklił się chudy dryblas, którego zwano Dżaki Jakotaki.

– Wszystko dobrze! – krzyczał. – Nabiliście nas jak w kaczy kuper, trudno świetnie! Tylko, pies was trącał, czemu udajecie niewiniątka? Czemuście wtedy, na środku jeziora, grali ostatnie ofermy? Czemuście udawali, że żagla nie umiecie wciągnąć?

– Ależ, słowo daję, najświętsze słowo... – jęczał Zdzisio.

– Słowa nie dawaj, cholera! – krzyczał Dżaki. – Na to nie pozwolę, żeby mi w żywe oczy...

– Kiedyż, słuchajcie, pierwszy raz na żaglówce...

– Co, z tą techniką wyostrzania? Pierwszy raz, takeście nawiewali...

Zdzisio wybuchnął śmiechem.

– Bo się bałem, rozumiecie? Boście mieli na pokładzie tę... no, tę...

– Ha, ha, ha! – zarechotał Andrzejek i ni stąd, ni zowąd zaśpiewał falsetem na melodię „Chiquita”:

Ohydna Pawłowska,

ohydna Pawłowska...

– Co za Pawłowska? – oburzył się Dżaki. – Nie zawracajcie głowy!

– No, ta, co z tym studentem... – wtrąciła Eliana, – Oni już pojechali, nic się nie bój! – I pogłaskała po rękę nie Zdzisława, ale nie wiadomo czemu Wojtka.

Dżaki jednak nie uspokoił się.

– Zmianę halsu też pierwszy raz? Ty za kogo mnie masz? Za durnia? Co? Ja ci pozwoliłem, żeby mnie za durnia...

– Ależ, proszę pana! – jęczał Zdzisio. – Doprawdy! Ja tylko podpatrzyłem, co ten pan... – Machnął ręką w stronę Kaczykupa. – I wszystko. co on... On ściągnął sznurek...

– Jaki znowu sznurek?

– No, ten, co drąg przy żaglu...

– Małgorzato, słyszysz? Sznur przy drągu! Ten langaż, co? Błąznuje facet!

– Tak, zdaje się, że za wiele sobie pozwala!

– Kiedyż, słowo daję... On za ten...

– Szkot! – wrzasnęła kobieta-szatan. – Jak mi jeszcze raz powiesz „sznurek”, to... – chwyciła butlę.

– Szkot! – powtórzył nieszczęsny Zdzisio. – I ja za ten sam, za tego samego szkota...

– Aha, tylko że on ze strachu zwrot przez sztag! A ty po prostu zmianę halsu! Nawet bez przechodzenia na fordewind! Ryzykując wywrotkę! Ryzykując, że wam żagiel pójdzie w strzepy, wanty pękną, całą krypę diabli wezmą! Oto, coś zrobił! A teraz udajesz durnia!

Nagła bladeść załała twarz nieszczęsnego sternika. To mocno spóźnione uświadomienie sobie, że był o krok od katastrofy, przyprawiło go o dygot rąk i zębów. Zaczął się jękać:

– Słowo naj... naj... Ten pan ściągnął i ja ściągnąłem... Tego sz... szkota... On ściągnął ster i ja ść... ściągną...

– Kto ściągnął, jolopie, kto? – Kaczykuper zerwał się i zaczął wygrażać pięścią. – Ty mi powtórz, kto ściągnął?

– Pan sza...

– Do zwrotu przez sztag? Ja pchnąłem ster, ty łgarzu! Żagiel ściągnąłem, ster puściłem. Obywatelko kapitanie, wobec tej potwarzy żądam powołania komisji, przeprowadzenia śledztwa, sprawdzenia w dzienniku okrętowym. Żądam...

– Dość! – syknęła kobieta-szatan. – Siadać! Dżaki, ty rozumiesz? Ci smarkacze nas nabili, wiesz jak? Przez nieporozumienie! Chłopaczkowi się pomyliło w podpatrywaniu. Zamiast ster puścić, pociągnął go ku sobie! I tego starczyło, żeby nas nabić!

Andrzejek cały czas cieniutko się podśmiewywał. Teraz jednak żalosne nutki w tej oto samokrytce kobiety-szatana wyzwoiliły w nim potężne zasoby już nie śmiechu, lecz ryku. Skończyło się to paskudną czkawką. Reszta pobytu w gospodzie posiekana była co dwadzieścia sekund okropnym spazmem. I poza tym dziwna mgła zaczęła mu spowijać umysł.

Widział na przykład Wojtka. Doskonale dostrzegał jego krępy zadarty nos, ciemne włosy, mięsistą szyję. Widział nawet istic zajączą bezradność na twarzy wielkonosej Eliany, zwłaszcza gdy odwracała

się do Wojtka. Słyszał, że ktoś woła: „Płacić!” Że ktoś inny mówi: „Macie czas!” Wszystkie te sprawy działały się w najbliższym jego sąsiedztwie, ale całkowicie poza jego wolą, uczuciem, osądem.

Dziwił się tylko – czemu się tak przejmują? Cóż z tego, że butelka pusta? I dlaczego Wojtek zaczyna nagle obejmować Garego, krzycząc na całe gardło: „My stawiamy!” Wyciąga pugilares, który leci prosto na talerzyk z masłem.

Zdzisio z Kucykiem zaczynają klaskać jak na zebraniu, gdy kelnereczka od Wojtka, nie od piratów przyjmuje pieniądze.

Zebranie – czkawka – znika. Pieniądze – czkawka – znikają. Kelnereczka – czkawka – znika. Czkawka – czkawka – nie znika. Ba, staje się coraz silniejsza.

– Dać mu wody! – krzyczy kobieta-szatan. Andrzejek dzwoni zębami o szklanekę. Targają nim bezlitosne spazmy. I na dnie duszy wzbiera coś jeszcze gorszego. Zaduch stęchłego bigosu. Przecież jadł czyjeś nie dojezione resztki...

Wstaje, zataczając się rusza do drzwi.

– Andrzejku! – ktoś woła za nim.

Musi biec, a nie może. Pełno ludzi, grubych, opasłych. Jakaś kobieta pachnie fiołkami. Tak strasznie, tak obrzydliwie! Gdzie te drzwi, ludzie, gdzie te drzwi? Stare zwierzęta zawsze szukają samotności, gdy przychodzi na nie pora umierania. Andrzejek nie ma wątpliwości, że ta właśnie pora nadeszła i dla niego. Te fiołki! Te potworne fiołki!

Ach.! Drzwi! Ganek. Schodzi. Ktoś biegnie za nim. Słońce tak potężne, że wszystko dokoła wydaje się obramione pomarańczową obwódką. Ach, fiołki!

Wielki, słoneczny dzień przechylił się właśnie ku zachodowi, gdy Andrzejek przebudził się w kępie przekwitłych jaśminów pod gospodą. Ale upał wzbierał jeszcze między sosnami i słońce nie opadło niżej ich szczytów.

Gospoda szumiała obok. Jej huczący rwetes przyprawił Andrzejka o pierwsze uczucie: o przerażenie. Czym prędzej wydostał się z krzaków, pełen obrzydzenia do siebie, czując się brudny, winny, jak w najdalszych wspomnieniach dzieciństwa, wyskoczył na ulicę, chyłkiem skręcił w krzaki, ruszył w kierunku jeziora, drząc na myśl, że kogoś napotka, zanim się zetknie z ogromną wszechocyszczającą wodą.

Gdyby ktoś mu powiedział, że człowiek może czuć się aż tak źle – nie uwierzyłby. Śpieszył, ale to było nędzne zataczanie się od krzaczka leszczyny do krzaczka jarzębiny, od kępy pokrzyw do kępy przekwitłego głogu. Głowa mu – jak to się mówi – pękała. Czuł wyraźnie trzy rozbołałe linie, które przecinały ciemię i skronie z przodu do tyłu, z lewa na prawo. W ustach piekło coś obrzydliwego, jak bezlitosny pieprz, wymieszany z rycyną. O sercu, o żołądku, o duszy – szkoda mówić. Było tam jeszcze gorzej niż z tą rycyną.

W pewnej chwili powiedział sobie, że zrobi jeszcze kilka kroków, do tamtej koślawej sosny, po czym wyciągnie się i wyzionie ducha. Może by i dotrzymał tego postanowienia, ale przy sośnie otworzyła mu się niespodzianie perspektywa między krzaczkami. Ujrzał długi i wąski zielony tunel, a w jego końcu jezioro, bardziej niż zwykle niebieskie, i parę jachtów. Atalanta była pierwsza z prawa. Na pokładzie ktoś leżał w postawie skrajnej żałosci.

Na ten widok w duszy Andrzejka zagrało coś silniejszego niż pragnienie wiecznego odpoczynku. Odepchnął się od koślawej sosny i na pół biegnąc, odbijając się od pni i krzaków, hamując rozpęd chwytaniem się gałęzi – runął ku jezioru tą coraz wzrastającą stromizną.

Byłby jak pocisk wleciał do wody, gdyby nie litościwy jałowiec, który mu się nawinał na ostatnim dziesiątku kroków. Wpadł twarzą w tego jeża roślin, rękami go zagarnął – tysiąc ostrych ukłuć jak cios ognistej miotły.

Dopadł do jeziora, chwycił oburącz rozgrzaną przybrzeżną wodę, tarł policzki, czoło, usta, usta przede wszystkim, płukał rozpaczliwie okropny smak poobiedni. Ten zresztą, jak dziegieć, uporczywie się trzymał gardła, podniebienia, języka.

Gdy wreszcie wkroczył na pokład, czuł się ciągle obrzydliwie, ale przeświadczenie o bliskiej nieuchronnej śmierci trochę w nim przybladło. Zaraz zresztą musiał się zająć cudzymi sprawami.

Źle się działo na Atalancie. Jak rażeni strzałami Fojbosa synowie Nioby, leżeli u drzwi zamkniętej kabiny pozostali członkowie załogi. Kucyk i Wojtek spali, Zdzisio właśnie otworzył ołowiane oko. Ujrzał Andrzejka i zaraz dziwnie zzieleniał, podniósł się na rozchwiane nogi, pobiegł w krzaki.

Zmierzch się zaczynał, gdy tę samą wędrowkę odbył Wojtek. Słońce sięgało horyzontu, ludzie z przystani znikli, ostatni statek wycieczkowy trąbił gdzieś niedaleko. Wojtek wrócił, obudził się Kucyk i można było przejść do tej niezbędnej części każdego zebrania, które zowie się podsumowaniem.

Kucyk spał najdłużej, może dlatego poglądy miał najbardziej różowe. Zwłaszcza na swój własny temat. Zaczął się nawet przechwalać.

– Nie wiedziałem, żeście tacy delikatni. Jakieś głupie parę kieliszków – i już was nie ma! No, Andrzejek, rozumiem, chuchro. Myśleliśmy nawet, żeś uciekł popołudniowym pociągiem do Warszawy. Ale żeby i ty, sportowiec, i ty, kawaler! Nie rozumiem, czego się was uczy w tej szkole!

– Ohyda! – krzyknął Zdzisio i splunął za burtę. – Po coś przystał na tę popijawę? I to ma być zetempowiec?

– Po pierwsze, dlaczegoś nie protestował? Co, gwałtem cię zaciągnąłem? A po drugie, ty mi tym zetempostwem oczu nie mydl! Minęły czasy faryzeuszowskie, gdy o kieliszek wódki zwoływano zebrania! Teraz nowy kurs, rozumiesz?

– Że niby pijaństwo się propaguje, co?

– Propaguje, nie propaguje. Ale nie jesteśmy Armią Zbawienia! Kieliszek, jeśli komu nie szkodzi...

– Ciekawym, komu to nie szkodzi? Wszyscyśmy...

– O, przepraszam, ja nie!

Zdzisia w tym miejscu zatkało: rzeczywiście, tamten dotąd się trzymał. Kucyk w lot zauważył tę swoją przewagę i nuż się chwalić. Że ma głowę do takich spraw, że w ogóle jest mocny. Że jak kto nie może, to niech się nie pcha.

Andrzejek skromnie z nim się zgodził.

– Bo to tak okropnie potem. Myślałem, że umrę. Jakby mi kto pieprzu z rycyną nalał do ust. Tobie dobrze, Kucyk, ty możesz!

– Idź ty, pieprz! Jak zjełczałe masło z mianą kaszą! – skrzywił się Wojtek. – Ja wprost podziwiam Kucyka! Wszystko to... – tego i nic!

– A po mojemu to jeszcze gorzej – zwierzył się Zdzisio. – Jakby kogel-mogel, tylko że jedno żółtko zepsute. Że też Kucyk to wytrzymał...

Kucyk siedział wpatrzony w płomienisty zachód i wsłuchany w te chwalby. Duma na jego obliczu walczyła z czymś jeszcze. Ale przy tym koglu-moglu duma znikła błyskawicznie, to inne zaś zabarwiło mu twarz na żółtozielonkawo. Zdołał powiedzieć tylko:

– Bo trzeba mieć silną wolę...

Nie dokończył zdania. Wstał, skoczył do burty, znikł w krzakach z szybkością wprost zdumiewającą. Gdy po kwadransie wrócił, ciągle ziemistozielony, spojrzał tak ponuro na otoczenie, że wszystkie kpinki, przygotowane na jego przywitanie, odłożono do lepszych czasów. I słusznie: dowiedzieli się zaraz o rzeczy bez porównania gorszej.

– Dobrze – burknął Kucyk. – Dosyć tego. Układamy plan dalszego działania. Kto chce zabrać głos?

Pierwszy punkt został przyjęty bez dyskusji: jutro rano ruszyć w dalszą podróż, możliwie daleko od gospód i piratów. Uchwalono, że nocować się będzie, gdzie wypadnie, gotować zaś na przemian.

– Trzeba tylko coś kupić – powiedział Zdzisio. – Kaszy, chleba, jakichś konserw...

I wtedy Wojtek bezmyślnie sięgnął do tylnej kieszeni spodni.

– Co z tobą?!... – krzyknął zaraz Andrzejek. Wojtkowi same się usta rozwarły. Gwałtownie wyciągnął rękę z kieszeni. Była pusta.

Kilka minut szukali wszyscy wszędzie, na sobie i w łodzi. Potem zaczęli przypominać mozolnie szczegóły. Wojtek bliski płaczu zaklinał się, że pugilares z pieniędzmi doniósł do łodzi.

– Ale skąd! Fujara! – krzyknął Zdzisio. – Doskonale pamiętam! Jakeś płacił, spadł ci do talerzyka z masłem! A tyś tak zręcznie go podniósł, że ci pod stół... kelnerka resztę przyniosła, toś ty do kieszeni... No, popatrz, do tej, do prawej...

Rzeczywiście, jeden zielony papierek i trochę absolutnego dwuzłotowego drobiazgu uratowało się w prawej kieszeni. Ale Wojtek upierał się przy swoim:

– Owszem, wpadł do masła! Ja go wyczyściłem serwetką i do kieszeni... Przyszliśmy na jacht, to wyciągnąłem, bo mi przeszkadzał. I na stolik... A że było chłodno, wyszedłem na słońce...

– No, to ktoś ściągnął! – krzyknął Andrzejek.

– Ależ skąd! Spałem przecież u drzwi! Musiałby złodziej przełazić przeze mnie!

– Gadaj zdrów! – zawołał Kucyk. – Więc co, zaczarowany jacht? Pugilaresy same się ulatniają, co?

– No, a jedzenie? – burknął Andrzejek.

Kucyk okrutnie go wyśmiał. Jedzenie – to czyjś głupi kawał. Ale z pugilaresem...

- Wszystko to zawracanie głowy! – podsumował. – Żeś się urznął jak szczeniak, to fakt. Żeś zasnął pod drzwiami, to też fakt. Ale żebyś pieczołowicie wykiadał pugilares przed zaśnięciem – to bujda!
- Kiedy był w maśle... – z obrzydzeniem rzekł Wojtek.
- Bujda! Za mną, chłopcy!
- Dokąd?
- Szukać na trasie. Albo w gospodzie.
- Rychło w czas!

Poszli jednak posłusznie. Andrzejkowi polecono starannie zbadać końcowy odcinek drogi powrotnej niefortunnego skarbnika. Zmierch był już całkiem poważny. Schylony nad ścieżką Andrzejek przez dobre dziesięć minut błędził wzrokiem od jednej łodygi pokrzywy do drugiej, od puszki po konserwach do kretowiska.

Potem się wyprostował i wpadł w mimowolną zadumę. Patrzył na zbiegającą do jeziora ścieżkę, na przystań, na drzemiącą samotnie Atalantę. Wieczór lipcowy zwolna zatapiał świat niebieskawym wygwieżdżonym półmrokiem. Z boku i z tyłu nieprzekonywająco błysnęły elektrycznością okna nadleśnictwa.

Andrzejek dał spokój poszukiwaniom. Wolno ruszył do jachtu. Był może o pięćdziesiąt metrów, gdy dostrzegł, że na przystani ktoś się szwenda. Był to niewysoki szczupły gość, pewnie jakiś wyrostek.

I oto zdumienie: wyrostek podszedł do Atalanty, obejrzał się, przełożył nogę za burtę i wlaź na jacht.

Andrzejek skamieniał na chwilę, a potem żwawo ruszył naprzód.

Nie zdążył. Wyrostek wszedł do kabiny. Był tam może pięć sekund. Nagle ciszę wieczorną rozdarł straszliwy krzyk przerażenia i bólu. Z czarnej przepaści kabiny wyskoczył tajemniczy wyrostek i paru susami wy dostał się z jachtu na ląd. Andrzejek był już przy nim, gdy tamten się obejrzał i ze zdumiewającą szybkością znikł we wzbierającej nocy.

6.

Andrzejek nie ścigał go, zanadto był zaskoczony tym wszystkim. Zrazu chciał biec do kabiny. Ale po ucieczce tamtego przystań okazała się całkowicie bezludna. Przykra niemoc ogarnęła Andrzejka.

Nie podszedł do jachtu. Z bezpiecznej odległości dziesięciu metrów przyglądał się otwartym drzwiom kabiny. Były ciemne i ciche. Nic się tam nie poruszyło, nie błysnęło.

Nareszcie doczekał się Kucyka i tamtych. Szli, zaciekle się kłócąc. Cisza wieczorna była tak duża, że nie oddalili się jeszcze od gospody, a już wiedział: nie znaleźli.

Na ich widok skoczył bełkocząc pośpiesznie najnowsze wiadomości na temat zaczarowanej łodzi. Stanęli jak wryci.

– I zaraz jak nie krzyknie! – krzyczał. – Jak nie wyskoczy! Rozumiecie?

– A ty, ma się rozumieć, na jacht i za kark łobuza! – z diabelską ironią wtrącił Kucyk.

– Nie zdążyłem – westchnął Andrzejek. – Ale on tak krzyknął, tak krzyknął! Coś tam go musiało przerazić! – Pokazywał na czarny otwór kabiny.

Nie dali się wziąć na to przerażenie. Na odwrót, dopiero wsiedli na Andrzejka. Wydarzenie to bajecznie ułatwiało wszystkim znalezienie wyjścia z tajemnicy pugilaresu. Krzyknięto więc chórem, że Wojtek miał rację, że pugilares został w kabinie i że oto, dzięki niebywałemu fajtlapstwu Andrzejka, jakiś złodziejasek po prostu przyszedł i ukraść całą kołchozową gotówkę.

– Prawie tysiąc złotych! Bójcie się Boga! – wrzasnął Wojtek i złapał się za głowę.

Andrzejek próbował oponować, ale bez trudu został zakrzyczany. Jego opowiadanie o wrzasku złodzieja przywitano jako halucynację słuchową, rzekomo często będącą następstwem przepicia u osobników w wieku pokwitania.

Jeden po drugim wlaźli do kabiny. „Żadnej kolacji!” – oświadczył surowo Kucyk. Trzeba przyznać, że nie czuli szczególnej po temu potrzeby. W ciemnościach układali się do snu.

Andrzejek długo nie mógł zmrużyć oka. Niesprawiedliwość, która go spotkała, była trudna do strawienia. Jak przekonać tamtych, że się nie przesłyszał, że wyrostek zaczął uciekać w panice, zanim dostrzegł Andrzejka?

Po jeziorze długo jeszcze szwendali się jacyś amatorzy gramofonu. Ktoś chodził po brzegu, ktoś przystawał koło Atalanty, ktoś coś szeptał.

Powoli brzeg się uspokoił. I wtedy zaczęło się coś gorszego – jakieś szmery w samym jachcie. Daremnie Andrzejek przypominał sam sobie historyjkę o szczurach. Nie przekonywała go, nie pozwalała zasnąć.

A gdy nareszcie znikła czarna przepaść kabiny, sen przyszedł dziwaczny, barwny, niewiarogodny. Przyśniło mu się, że jest maharadzą. Ma wspaniały turban z ogromnym brylantem, który świeci jak latarka elektryczna. Siedzi na czymś w rodzaju tronu. Sala jest wielka, mroczna, cała zastawiona istnym lasem kolumn. Oto wprowadzają jakiegoś obcego gościa w białej furażerce. Jest gorąco. Niewolnicy z prawa i z lewa chwieją nad głową maharadży ogromnymi wachlarzami ze strusich piór pomalowanych na różowo.

A gość w białej furażerce – zamiast, jak zleca etykieta, paść na kolana i posuwać się dalej w tej pozycji – najspokojniej w świecie sobie idzie. Podnosi palec wskazujący i dotyka piersi maharadży. I maharadża czuje ciężar tego palca, tępy ucisk w okolicy serca. Jest zaduch, krzyczy swoim niewolnikom, żeby machali przecież tymi wachlarzami!

Krzyczy i budzi się. Ciemno. Znika ucisk z serca. Ale niewolnicy są posłuszni. Chwieją się wachlarze ze strusich piór i nocne powietrze falami uderza Andrzejkowi w policzki.

Krzyczy znowu. Zrywa się. Ruch jakiś w kabinie. Zirytowany Kucyk zapala latarkę.

– Znowu ten smarkacz! Co tobie?

– Wachlarze! – krzyczy Andrzejek. – Niewolnicy są tutaj! Z wachlarzami!

– Jakimi znowu wachlarzami?

– No, wiadomo, ze strusich piór!

– Masz gorączkę? Urżnąłeś się znowu?

– Robaki mu dokuczają – syczy wściekły Wojtek. – Jego by do lekarza.

– Do pediatry! – podsumowuje Kucyk.

Trzeci koszmar.

1.

Trzeci mazurski ranek był ciągle ciepły, pogodny, słoneczny. Zgaga cielesna trochę chłopcom przeszła, wszystko byłoby dobrze, gdyby nie okropna sprawa pieniędzy. Niestety, w tym kłopotcie najpiękniejsza pogoda nic nie może poradzić.

Zaraz z rana odbyli krótką naradę. Andrzejek, napastowany od dwóch nocy koszmarami, załamał się i nawet zaproponował powrót. Został oczywiście wyśmiany. Dobito go najważniejszym argumentem: jeśli nawet wracać, to za co?

Krzyknął bliski płaczu, żeby łapać piratów i po prostu prosić ich o zwrot części rachunku albo nawet o pożyczkę. I tu nie miał racji. Pomijając już sprawę honoru kawalerskiego, nie mogli przyjąć jego propozycji, bo piraci tymczasem znikli z Momajni. Przypomnieli sobie nawet, że już wczoraj wieczorem nie widziano ich jachtu.

W rezultacie przeważała męska decyzja: ruszać dalej. Te kilkadziesiąt złotych zużyć na zakup najtańszej żywności, kaszy. A potem depeszować do rodzin o pomoc. Potem, to znaczy za parę tygodni.

– Można będzie, w razie czego, coś dorobić! – powiedział Kucyk. – Żniwa...

– Gdzie tu widzisz zboże?! – krzyknął Andrzejek.

– No, to sianokosy. Zresztą sameś krzyczał o rybactwie i zbieractwie! Słówko się rzekło. Nie każdy jest taki pętał, żeby się załamywać przy pierwszych trudnościach.

W rezultacie posłano go Wojtkowi do pomocy przy zakupach. Jeszcze raz obeszli dziwną osadę. W spółdzielni było pusto. Sprzedawczyni krzyknęła nawet spoza drzwi, że remanent. Potem jednak zerknęła na czuprynę Wojtka, bardziej sterczącą dziś niż zwykle. Wytała ręce o fartuch. Okazało się, że jest kasza manna, przekleństwo młodzieży i dzieci. Kupili cztery kilo.

Gdy wrócili, ze zdumieniem ujrzeni, że jachtu nie ma. Dopiero po dobrej godzinie czekania na rozgrzanej od słońca przystani zobaczyli jego śmigłą sylwetkę, wynurzającą się zza zakrętu. Z podziwem patrzyli, jak szedł prosto na nich.

– Prawdziwy okręt! – zawołał Andrzejek. – Szkoda tylko...

– Że co? – mruknął Wojtek.

– Nic.

Chciał powiedzieć, że zaczarowany. Oczywiście, nauczono go już, że lepiej takich rzeczy nie mówić nawet żartem.

Atalanta dobiła dosyć sprawnie. Okazało się, że blondyn z czarnowłosą Krystyną udzieliłi Zdzisiowi i Kucykowi korepetycji w zakresie zwrotów.

Zabrali się zaraz do odjazdu.

– Tam! – długowłose machnął ręką w lewo, w kierunku bliskiego mostu. – Tam idzie główny szlak tej krainy jezior. No, to cześć! Pomyślnych wiatrów! Krystyna, wylaż, bo cię jeszcze porwą z sobą!

Tak oto zaczęła się podróż prawdziwa. Andrzejek przejął się tym odjazdem, wylaż na dziób, chwycił się stalowego sztagu. Oto Zdzisio ściągnął żagiel, oto ten się wyprężył, łódź pochyliła się lekko, oto przystań z blondynem i Krystyną odskoczyła bezszumnie o dziesięć i trzydzieści metrów!

Nieuzgodniony uśmiech zawitał na wszystkich obliczach. Stali, machali rękami żegnającym. Blondyn krzyknął jeszcze:

– Pamiętajcie, rufa to ostateczność! Zawsze przez sztag, przez sztag!

Zrobili ten pierwszy świadomy zwrot. Atalanta skręciła w lewo, poszła pod most, przystań znikła..

Oto ta radość żaglowej podróży: odkrywanie coraz nowych zespołów pejzażowych, czających się dotąd za najbliższym zakrętem. Przeskoczyli cieśninę mostu. Jezioro otworzyło się przed nimi wąskie, pokręcone, obrosłe gęstym lasem, podobniejszym tu i ówdzie do parku, bo przetykanym domkami i zagrodami.

Potem przeszli koło tartaku: jezioro było tu znowu zapchane tratwami. Potem znów była cieśnina, już bez mostu. W tych leśnych wąwozach wiaterek zamierał, żagiel co chwila zwiślał, flakowaty jak przedziurawiona dętka rowerowa. Szybkość tej podróży nie była porywająca.

Już po południu drogę przegrodziła im śluza. Dobili do brzegu. Wojtka posłano na poszukiwanie śluzowego.

Parę godzin czekali na nieruchliwego stróża tej drogi wodnej. Wywabił go z pobliskich trzciny dopiero statek, który nadszedł z przeciwnej strony.

Śluzowy był niewysoki, miał czerwony nosek i długą wędkę. Przepuścił najpierw statek. Tłumy wycieczkowiczów machały chusteczkami, wykrzykiwały do chłopców słowa zachęty i podziwu. Kucyk znakomicie czuł się w roli kapitana, przyjmując te hołdy jako całkiem zasłużone. Wojtek też czuł się na wysokości zadania: właśnie chwilę przed tym zaczesał sobie włosy od tyłu na Fanfana Tulipana. Wodził więc zwycięskim spojrzeniem po niezliczonych przedstawicielkach płci pięknej na stateczku.

Statek przeszedł, odpychając się od betonowego brzegu wjechali do śluzy. Tuż za nimi przedarło się ze dwanaście kajaczków.

Czuli się tu jak w ogromnej betonowej wannie, nalanej po brzegi. Śluzowy chodził od łódki do łódki i zbierał po parę złotych opłaty. Długo to trwało i Kucyk się zirytował.

– Co za porządki?! – krzyknął. – Kiedy wreszcie spuścicie tę waszą, nie powiem jaką, śluzę?

Czerwononosi śluzowy podszedł zaraz do jachtu. – A pan się co wydziera? – spytał zaczepnie. Kucyk wlaż na dziób Atalanty i stanął w całej swej okazałości. Był teraz o dobre dwie głowy wyższy od czerwononosego. Mając tę niewątpliwą przewagę, wygarnął tamtemu kilkanaście ostrych słów na temat dygnitarstwa i biurokracji.

– Żądam kategorycznie natychmiastowego otwarcia śluzy! – zakończył.

Mały człowieczek, zadzierając ku niemu swój czerwony nosek, odpowiedział, jak przystało synowi zwycięzców spod Kircholmu, to znaczy ostro. W tym sensie: jak zechcę, to otworzę, nie twój zakichany interes.

Kajaczki dobiły do Atalanty. Ich załogi poparły Kucyka. Poczucie powszechnego aplauzu niesłychanie go podnieciło. Zaczął grozić. Oczywiście, to było najgorsze. Człowieczek stał sobie naprzeciw jachtu, uspokoił się, niemal się uśmiechał.

A Kucyk wpadł w furję. Miotał się po pokładzie, wymachiwał pięściami. I w trakcie tego tanu nagle poczuł, że śluzowy jakoś wyrasta, że on sam, na odwrót, maleje. Coraz wyżej trzeba było podnosić pięści, jeśli się chciało tamtemu trafić do przekonania. Opuścił oczy: metrowy pas mokrego betonu wynurzył się już z wody. Umilkł.

Teraz za to zagadał tamten. Był z kolei o wiele wyższy od Kucyka. Wyśmiewał się z jego grózb, szydził, nawet groził: że z powrotem nie puści ich zupełnie.

Kucyk stulił uszy, wlaź do kabiny. Nie odpowiadali pragnąc jak najszybciej wydostać się z tej pułapki. Po chwili znaleźli się na dnie. Zwolna się otworzyły czarne wrota śluzy. Kajaczki wyprzedziły ich, już się wyciągnęły gęsiego w słonecznym szlaku nowego jeziora.

Było doprawdy piękne. Wysokie czerwonopniaste sosny zwartymi szeregami otaczały obydwie brzozy, niezbyt od siebie oddalone. Zagony siwawej trzciny wybiegały tu i ówdzie o sto metrów w głąb jeziora, Zielone ogromne kule wierzb przybrzeżnych. Bardzo rzadkie i tym piękniejsze płachty prawie dojrzałego żyta.

Może w godzinę po śluzie wiatr osłabł poważnie. Byli niedaleko bukietu bujnej zieleni. Wiatr jeszcze z kwadrans trochę się kałapuckał i wreszcie oklapł zupełnie. Miecz w skrzynce zaczął chrobotać i podskakiwać.

Stanęli. Usłyszeli ciszę. O dziwo, ani jednej „Maryniki” w okolicy. Ani „Cichej wody”, ani „Siwego włosa”!

Usłyszeli także własny apetycik.

– No, cóż, chłopcy – powiedział Kucyk spojrzawszy na zegarek. – Dochodzi szósta. Pourzędowało się, ten-tęgo. Pora na obiad. Ano, Wojtek, miecz w dłoń!

Nie bardzo to podziało, sam musiał miecz wyciągać. Spuścili żagiel, podepchnęli jacht wiosłem pod sam brzeg.

– Wojtek, wyleż przecież! – Kucyk zmienił tonację. – Idź, rozejrzyj się w tym nieznanym królestwie. A może jakaś urocza kasztelanówna zaprosi nas na skromny podwieczorek?

Wyleżli wszyscy. Andrzejek dołączył się do Wojtka. Parę kroków po dnie. Było grząskie i pełne ostrych muszli, tnących skórę jak żyłki. Oczywiście, krajowe. To znaczy tnące, ale nie zanedo.

Na brzegu dla odmiany były kolczaste krzaki z czymś jakby zielonkawą maliną. Wojtek stanął, zerwał jedną, zjadł.

– Co robisz? – powiedział Andrzejek. – Może to trujące?

– Akurat! To jeżyna. Spróbuj!

Andrzejek zerwał. Jagoda obiektywnie była kwaskowata, ale subiektywnie wydała się prawie cudem. Miała wprawdzie pełno pestek, ale Andrzejek połknął je także: nasiona zawierają przecież jakieś tam kalorie.

Podpędzani gderaniem Kucyka ruszyli w głąb tych zarośli. Była tu, po bliższym zbadaniu, ścieżka. Dostyc rzadkie wysokie sosny, rozłożyste krzaki leszczyny i gęste zarośla tych właśnie jagód stanowiły florę okoliczną. Rozchylając rękami kłujące witki, Andrzejek pomyślał sobie, że opisy trudności podróży przez puszcze afrykańskie nie musiały być przesadzone. Szedł za Wojtkiem i myślał: „A nuż pod tamtym krzakiem czarna pantera?” Albo: „Ten złoty konar sosny – to wąż boa, trawiący połkniętą przed tygodniem gazelę”.

Słowem, było pięknie, choć głodno. Wojtek szedł teraz dość szybko: ścieżka się rozszerzyła. „Muszą tu być ludzie” – myślał Andrzejek, tyle gazet i puszek od konserw chowały okoliczne pokrzywy.

Ścieżka wyszła na polankę. Tu śladów bytowania ludzkiego było w bród. Ale zaraz przystanęli: ścieżka urywała się nad brzegiem jeziora.

– Wyspa! – powiedział Wojtek i splunął. – A mówiłem frajerowi, że nie ma co tu szukać!

– Wyspa! – powtórzył Andrzejek całkiem innym tonem, bliskim zachwytu.

Oczywiście, „Tajemnicza wyspa”! Oczywiście, „Robinson”. Oczywiście „Dzieci kapitana Granta”! Zresztą każda przywoita książka podróżnicza musi zahaczyć o wyspę. Wyspa przecież jest idealnym terenem wielkiej przygody, bo zostawia bohatera sam na sam z przyrodą, pozbawia go potężnej pomocy społeczeństwa, więc wyzwala w nim... i tak dalej, i tak dalej.

Otóż Andrzejek po raz pierwszy w życiu był na prawdziwej wyspie! Bo przecież ta wysepka w Łazienkach się nie liczy!

Skoczył przed siebie, dobiegł do jeziora, zanurzył ręce w ciepłej przedwieczornej wodzie, sam nie wiedząc, w jaki sposób najnamacalniej przeżyć tę radość.

Wojtek nic z tego nie pojął.

– Chcesz się kąpać? Później! Chodź do tamtych frajerów, niech się też nacieszą, że wpadli jak śliwki w kompot.

Wracali skubiąc po drodze jeżyny. Gdy przecięli wyspę, entuzjazm Andrzejka do tego typu pożywienia znacznie ochłódł.

Kucyk wieść o ich robinsonadzie przyjął nie tak kwaśno, jak Wojtek. Zdziś nawet się trochę ożywił. – No, to co? Rozpalamy ogień.

Nad brzegiem znaleźli dawne ognisko. Dwie cegły, postawione na sztorc, pozwoliły ulokować menażkę z mąną kaszą. Obfitość papierów po poprzednikach rozwiązała problem podpałki.

Oto niebieski strumień dymu stromo popłynął w przedwieczorne niebo. Zdzisio co chwila unosił pokrywkę z menażki. Woda się nie ruszała. Załoga z wolna rozlała się po wyspie.

Andrzejek zaszył się w gąszcz największy. Był głodny i zachwycony. Oto za kolejnym krzakiem kępa olbrzymich pokrzyw. Tak trudno przez te krzaki się przedostać! Może to jest zakątek, którego nie dotknęła dotąd stopa ludzka?

Prawdziwy bukiet jakichś bardzo wysokich roślin o malinowych kwiatach. Może to nie znana botanikom odmiana? Może tego małego ślimaczka o ślicznej żółtej skorupce nie zanotowały dotąd roczniki zoologiczne? Może tu jest jeszcze coś do ujrzenia, odkrycia, podarowania ukochanej ludzkości?

Przedostał się przez pokrzywy. Dalej były znowu jeżyny. Staął, zaczął skrupulatnie je objadać. Nagle coś czerwonego wyskoczyło spod krzaka, szybkie, rozwiane jak płomień.

Wiewiórka! Stara warszawska znajoma! Rękę do niej wyciągnął, wyszeptał nawet całą przemowę, żeby się nie bała. Patrzyła nań czarnymi pacioreczkami oczu. Pewnie ten egzamin wstępny nie wypadł źle. Wyciągnęła pyszczyk w kierunku jego dłoni. Nic w niej nie znalazła, ironicznie parsknęła i znikła na pniu sosnowym, niemal tak rudym jak ona.

Uśmiechając się sam do siebie, poszedł dalej. Wyspa nie była duża. Przerwały się zaraz drzewa, niebo wyrzało, trzciny przestłoniły jezioro.

Był nad brzegiem, gdy straszny hałas wybuchł tuż koło niego. Ogromny, jak bocian, tylko że szary ptak zatrzepotał skrzydłami i z dzikim krzykiem wzbił się w powietrze.

Stał długo, patrzył za ptakiem, aż znikł, roztopił się w siwiejącym błękitnie nieba. Może czapla? Może żuraw? To znaczy, że są te ptaki, że żyją? Że człowiek szczęśliwy może je nawet napotkać, nie musi tylko czytać o nich.

Pelen tego osobliwego szczęścia, które przeżywamy, gdy spotkamy na ulicy znane z gazet znakomitości, chciał już zawracać, kiedy na dalekim brzegu zobaczył czerwony dach domu, nad którym, jak nad ich ogniskiem, prawie pionowym strumykiem ciągnął się dym.

Ten przykry dysonans załamał czar owych spotkań. Andrzejek westchnął, po czym z wolna ruszył do Atalanty, obierając po drodze krzaki jeżyn.

2.

Zeszli się przy ognisku. Wszyscy mieli usta i palce pomalowane na niebiesko. Wszyscy pluli jadowicie niebieską śliną. Żołądki mieli zapchane, ale przecież z głębi ich jestestw wołała jakaś kosmiczna czczość.

– W sensie witamin – zaczął optymistycznie, jak zwykle, Kucyk – to nie można powiedzieć, chyba na parę lat nam starczy.

– Bujda te wszystkie witaminy! – burknął Wojtek i zaklął: właśnie wlał na ostrą muszlę. Podniósł zbiałą piętę, oglądał głębokie krwawiące rozcięcie.

– A swoją drogą, pomyśleć, że Francuzi jedzą te małże! – w rozmarzeniu powiedział Zdzisław.

– Ojej, przestań! – jęknął Andrzejek, na którego nadmiar jeżyn podziałał bardzo ponuro. – Ja bym wolał z głodu umrzeć niż takie świństwo do ust...

– A Francuzi biorą i nic – upierał się Zdzisław. – No, i popatrz, jak na tym wychodzą. Ich piłka nożna... – zaczęła znów Kucyk,

– My małżów nie jemy, a piłkę mamy jeszcze gorszą!

– No, już dobrze! – krzyknął skrzywiony ciągle Wojtek. – Co z tą kaszą?

– A już, już! – Zdzisław podniósł pokrywkę. – Zaraz będzie.

– Posoliłeś? – Zaraz...

Gdy wspominali później swoje dzieje wakacyjne, nietrudno im przyszło przypomnieć sobie tę właśnie chwilę. Obok Wojtkowej pięty ta szczypta soli zadecydowała bowiem o bardzo a bardzo pogmatwanym ciągu dalszym ich przygód.

Zdzisław tedy wziął pudełko soli, podniósł pokrywkę nad gotującą się kaszą. Pierwsze kryształki soli sypnęły do garnka, gdy wielki giez koński z rozpędu wpadł na Zdzisława i siadł mu na ucho.

– Ach! – krzyknął Zdzisio i łokciem spędził napastnika.

Po kwadransie studzenia kaszy zabrali się do jedzenia. Wszyscy czterej jednocześnie zanurzyli łyżki w białej kleistej masie, jednocześnie podnieśli je do ust, jednocześnie spojrzeli na siebie – pytająco, niepewnie, ze strachem, z wściekłością, jednocześnie odwrócili się od siebie i wypluli tę ohydę.

Była nieludzko słona. Zdzisio w drodze samokrytyki proponował, że drugi raz się zabierze do tej operacji i już będzie na gzy uważał. Nie chcieli słuchać. Proponował inny fantastyczny sposób ratunku: przemywanie kaszy wodą. Woleli płukać wodą usta, spalone jedną łyżką tego przysmaku.

Wtedy Andrzejek wspomniął o dostrzeżonym na brzegu domku. Lekka przedwieczorna bryza przebiegała nad jeziorem. Wojtek spojrzął na swoją piętę. Wyglądało, że zaczyna puchnąć. Poparł Andrzejka. Zresztą Kucyk też się nie opierał.

Pożegnali niefortunną wyspę. Wiaterek zahaczył niebawem żagiel Atalanty, pchnął go w stronę czerwonodachej osady.

Był tu wysoki urwisty brzeg, porośnięty krzewami porzeczek. Wydeptana ścieżka wiodła z góry do kładki wspartej na kozłach. Przy tej przystani stały dwie rybackie łodzie wiosłowe. Starczyło miejsca i dla Atalanty.

Zostawili Zdzisia na dyżurze i gęsiego ruszyli do góry. Czerwonodachy dom był, jak się okazało, pierwszą zagrodą niedużej wioski. Stary był, ale troskliwie utrzymany, podwórze podmiecione jakież, koło bramy krzaki jaśminu, który kwitł jeszcze. Za stodołą rozszalał się pies, na szczęście na łańcuchu.

Duży ganek, podparty drewnianymi kolumnkami. Zapukali raz i drugi, aż z pokoju wychyliła się stara, jak zgodnie stwierdzili, kobieta z dzieckiem na rękę.

– Denda nie ma – powiedziała ostrym gardłowym głosem, nie czekając na pytania. Ponieważ zaś, zaskoczeni, chwilę stali z niemądrymi minami, dorzuciła: – Er ist nicht da!

Jeszcze coś odezwała się po niemiecku i gniewnie wskazała ręką na jezioro. Była rozczochrana, otyła, bardzo brzydka: z dużym okłapłym nosem, cofniętym podbródkiem, małymi oczkami. Podrzuciła dziecko na rękę i już chciała się zabierać, gdy Kucyk pchnął Wojtka naprzód, groźnym spojrzeniem nakazując mu natychmiastowe wkroczenie do akcji.

Wojtek targnął głową, rzucając do przodu operatywne rezerwy fryzury, tors wypiął i spróbował najnowszego, najbardziej nieodpartego w eleganckich kołach stolicy spojrzenia: spode łba.

Niestety, nie dotarły jeszcze na wielkie jeziora te nakazy mody. Na wygruchane przez Wojtka zapytania stara kobieta odparła złośliwą polszczyzną:

– Jajek nie ma! Mleka nie mai

Potem zaś pomyślała chwilę i podsumowała dyskusję:

– Nic nie ma!

Winni byli już sobie pójść. Ale Wojtkowi pięta dokuczała trochę. Zapytał o lekarza, o aptekę. Pokiwała nierozumiejąco głową.

– Was? – zapytała. – Lekarz? Muter! Komm!

Po chwili z głębi domu wynurzyła się jeszcze starsza, zgrzybiała, siwa, bardzo otyła kobieta, której brzydota była jednak mniej oczywista niż córki. Nos miała bardziej foremny, podbródek mniej ukryty w fałdach tłuszczu na szyi, oczy siwe, prawie ładne. Na pytanie swej niemłodej córki zrazu pokręciła

przecząco głową, później spojrzała na chłopców, pokiwała głową z politowaniem. Wojtek się zniercierpliwiał, chciał już iść. Wtedy podniosła rękę.

– Pocekać! – rzekła. I całkiem tak samo, jak jej stara córka, zawołała w głąb domu: – Mutter!

– Grossmutter! – krzyknęła ta z dzieckiem.

Chłopcy z niedowierzaniem wpatrzyli się w uchylone drzwi. Ich skąpe doświadczenie życiowe nie chciało się pogodzić z tak daleko posuniętym stopniowaniem starości. Chwila ciszy. Stara kobieta, bardziej niecierpliwa od swej niemłodej córki, jeszcze krzyknęła:

– Mutter, komm doch!

A gdy i to wołanie pozostało bez skutku, dotykając ucha i robiąc pocieszne miny, aby usprawiedliwić nieprzychodzenie wołanej, stara zawołała jeszcze raz:

– Matko, chodźcie wreszcie!

I oto uchylły się drzwi w głębi domu, coś małego, zgarbionego ukazało się oczom chłopców. Żywiej, niż mogli sobie wyobrazić na podstawie wieku swoich rozmówczyń, staruszka przeszła przez sień, pokonała zaporę progu, stanęła na ganku.

Andrzejek zrozumiał wtedy, że wiek ludzki nie po kolorze włosów się poznaje, ale po skórze na skroniach, szyi, policzkach. Niezliczone maleńkie zmarszczki uczyniły policzki staruszki podobnymi do pieczonego jabłka. Nos i podbródek, bardzo zaostrome, nadawałyby może tej twarzy jakąś drapieżność, gdyby nie oczy, tym bardziej niebieskie, że podkreślone zaczerwienieniem powiek i pełne czegoś, co wyglądało na dobroć, a było tylko być może wielką obojętnością.

Staruszka bez aprobaty popatrzyła na stroje chłopców – ich gołe kolana, szeroko rozpięte koszule.

– Cegój chcecie? Co wama trzeba? – przemówiła całkiem dobitnym głosem o przedziwnym akcencie, ni to bardzo dalekim warszawskiej mowie, ni to jej najbliższym.

Nie zdążyli odpowiedzieć, gdy coś się przywidziało starej, poplątały się strzępy rzeczywistości z dalekimi wspomnieniami i oto sama uraczyła chłopców niecodziennym pouczeniem:

– Pracy sukacie? Do Gorzyjałek się wybieracie? Ciężki chleb w Gorzyjałkach. Pan Haushofer niedobry pan. A łąki kwaśne, chwastów pełne. A krowy bodliwe. A psy niedobre. A pan Haushofer niedobry pan. Ani w robotę słowa dobrego nie powie, ani w niedzielę nie postawi gorzałki. Gorzyjałki bez gorzałki... – Wydało się jej, że nuci, pokiwała w takt zasuszoną ptasią głową. – Pan Haushofer niedobry pan. Wsystko policy, wsystko potraci. I za upał po trosze i za słotę trzy grose.

Nie przerywali. Jak w muzeum, stali wpatrzeni w tę zjawę. Ciągnęła:

– A zresztą, cegój pójdziecie? Mazuryście, a pan Haushofer Mazurom nieprzyjaciel. Nie idźcie do Gorzyjałek...

Tu Andrzejkowi dojrzała ckliwość w sercu. Oto natrafił na żywą tradycję walki narodu mazurskiego ze wschodnio-pruskimi junkrami, tymi, jak wiadomo, nosicielami zaborczego imperializmu niemieckiego. Ma szansę jedyną w swoim rodzaju: uświadomienia ostatniej może w Polsce osoby, która nic nie wie o wiekopomnym dziele reformy rolnej.

– Ależ tam żadnego pana nie ma! – krzyknął. – Myśmy wypędzili dawno wszystkich junkrów!

Staruszka z zaciekawieniem popatrzyła na Andrzejka, zwłaszcza na czerwoną chustkę w zieloną kratę, którą sobie od spotkania z piratami przewiązywał głowę. Potem zaś z całym spokojem wróciła do swego:

– Nie idźcie do Gorzyjałek. Nieczysto tamój.

Stara wnuczka usłyszawszy to uśmiechnęła się i zrobiła oko do chłopców, mające oznaczać: „Babka gada pod siebie”. To dopiero podpowiedziało Andrzejkowi, że słowa staruszki nie świadczą bynajmniej o brakach higieny w Gorzyjałkach, ale raczej o czymś nadprzyrodzonym.

– Nieczysto? – zapytał z niedowierzaniem, raczej zresztą pełnym sympatii. Zbyt często wyśmiewali go ostatnio koledzy za strachy i przywidzenia na Atalancie, by tej wieści nie potraktować jako możliwości jakiegoś sukcesu.

Ale stara nie dostrzegła tych uczuciowych półtonów. Wrzasnęła prawie:

– Nie śmiej się, nie śmiej, smarkacu! Za mądrzyście wszyscy. Wnetki zobacycie, co wama z tej mądrości przyjdzie!

Odwróciła się, machnęła starczą, żółtkną, przezroczystą niemal ręką i poszła w głąb domu. Jej stara córka rozłożyła ręce na dowód, że jak się tamtą rozgniewało, to nie ma rady. Dziecko rozwrzeszczało się na rękę niemłodej wnuczki i ta poszła do domu.

Wtedy średnia z tych starych kobiet skinęła tajemniczo na milczącego dotąd Kucyka. Nic nie pojmując poszedł za nią do kuchni. Wzięła ze spiżarki dwulitrowy garnek mleka, na palcach pokazała, ile to kosztuje, i gestami zleciła odnieść zaraz naczynie. Wybiegł, radośnie gwizdnął na tamtych. Wojtek pokazał jeszcze swoją piętę. Stara wyjrzała, wyciągnęła buteleczkę z jodyną.

Już schodzili, gdy w bramie zjawił się dwunastoletni może chłopak o długiej twarzy z ciężkim podbródkiem i bardzo chłodnymi oczami. Stara zawołała nań: „Johann!” – i dodała coś po niemiecku.

Podszedł.

– O co chodzi? – rzucił sucho, bez uśmiechu. Nie wspominali już o lekarzu. Tylko Andrzejek zapytał, co to jest te Gorzyżki. Czy w ogóle coś takiego istnieje?

– Gorzyżki? Pegieer – odparł chłopak. – Jedzie się statkiem z Momajny. Szesnasta osiem. Wysiada się w Iwiszkach, przed Mikołajkami. Stamtąd dwa kilometry.

– Zaraz, zaraz. Jesteśmy żaglówką.

Chłopak chwycił patyczek, szybko narysował na ziemi.

– Tu Momajny, to most kolejowy, śluzą, tu jesteście teraz. Potem prosto przed siebie, jeziorem. Jak zobaczycie wieżę w Mikołajkach, to skróćcie w prawo, na Śniardwy. Kępa wysokich drzew... To tam. Tylko tam trzciny, uważajcie na mielizny.

Z podziwem słuchali jego wskazówek.

– Ależ z ciebie żeglarz! – przeciągnął Kucyk. – Ty tu na jeziorach, jak Magelan na oceanach. Chłopak bez uśmiechu spojrział nań i już się odwracał, gdy jeszcze zatrzymał go Andrzejek.

– A to, co twoja prababka mówi, prawda to? O tych dziwacznych w Gorzyżkach?

– Daj spokój! – mruknął Wojtek. – Babskie gadanie!

Chłopak z kolei popatrzył na Wojtkę. Potem jego spojrzenie zahaczyło Andrzejkę. I ternu twarz się ściągnęła, tak chłodne były jego oczy, tak wyprane z jakiegokolwiek uśmiechu.

3.

Zdzisio powitał ich zrzędzeniem: czemu tak długo? Byli pełni wrażeń. Ledwo przelali mleko do dwóch aluminiowych rondelków, Kucyk skoczył na górę z garnkiem, ci dwaj zaś wyciągnęli Zdzisia na słońce i zaczęli z zapalem opowiadać.

Zwłaszcza Andrzejek był wniebowzięty. Zachwycała go malowniczość spotkania, gradacja starości, moment społeczno-polityczny, szczególnie zaś etnograficzno-metafizyczny.

– Rozumiesz „necysto tamój”? Nie tylko nasza łódź zaczarowana, ale i tam jakieś siły nadprzyrodzone. Rozumiesz?

Zdzisio nie był przy tym spotkaniu z żywym zabytkiem ludzkim, stąd jego sceptycyzm przekroczył dopuszczalne nawet w środowisku młodzieżowym normy. Powiedział po prostu, że wszystko bujda.

Kłócili się trochę, gdy nadbiegł Edzio i zaraz nakazał milczenie. Rzeczywiście, gdzieś z lewa, od strony Mikołajek szedł jakiś warkot. Nie zdążyli się wsłuchać – tak raptownie narastał. Zza zakrętu wyleciało wreszcie coś płaskiego i przemknęło przez malinową płachtę przedwieczornego jeziora z szybkością niezłego samochodu.

Andrzejkowi wydało się, że słyszy jakiś brzęk metaliczny, Chciał coś powiedzieć, ale Kucyk znowu syknął. Drugi ślizgowiec przemknął przed niani. Duże fale biegnęły po gładkiej powierzchni jeziora. Oto pierwsza chybnęła jachtem, oto druga i trzecia.

– To to ja rozumiem – westchnął Wojtek – a nie ta landara.

– Też wariat! – krzyknął Zdzisio. – Jak można nawet porównywać? Tamto śmierdzące pudło w porównaniu z tym cackiem! Przecież jacht to żywa istota...

Pokłócili się trochę. Pogodził ich Edzio.

– No, chłopcy, dość. Popijmy sobie mleczka i spać. Jutro z samego rana pój...

Wszedł do kabiny i słowa ugrzęzły mu w gardle. Tylko zduszony jęk.

Wpadli za nim. Miał całkowitą rację. Na stole stały rondle, obok leżały pokrywki. Ani kropli mleka! Awantura, co zaraz wybuchła, była największa jak dotąd w dziejach kolchozu. Kucyk zaczął od najprostszego zarzutu: że to przeciw niemu głupi kawał reszty. Potem zabrano się do prób

realistycznego wyjaśnienia fenomenu. Były bardzo nędzne: Zdzisio powoływał się nawet na ślizgowce, które rozkołysały jezioro, na skutek czego mleko mogło wyprysnąć z rondli. Został wyśmiany bezlitośnie: kropli mleka ani na blacie stołu, ani na podłodze, ani na dnie rondli!

Andrzejek jeszcze raz wrócił do szczurów. To było nieco lepsze: sprawa zaginionych zapasów nieżele do tego pasowała. Tylko że szybkość tych szczurów! Musiałyby tu ich być setki, żeby wychłptać mleko z rondli w ciągu paru minut.

Gdy fakty obaliły wszystkie teorie realistyczne, mrok i niepewność nawiedziły dusze chłopców. Nie mówili wprost o żadnych sprawach nadprzyrodzonych, widać jednak było, że ich pewność i zaufanie do namacalnego świata zostały poważnie zachwiane.

Najsilniej ten kryzys ideowy zagarnął Andrzejkę. Oczywiście, nie wierzył w żadne strachy. To znaczy, teoretycznie był przekonany, że nic, jak to się mówi, „nadprzyrodzonego” na świecie nie ma.

Ale cuda, które się działy w jachcie, pobudziły jego umysł do bardzo intensywnych rozmyślań. Przeczytał ostatnio parę artykułów o Einsteinie i jedną powieść fantastyczną Wellsa. W powieści była mowa o wehikule czasu, który miał zdolność poruszania się w przyszłość lub w przeszłość. Einstein podawał zaś dziwną formułkę, z której by wynikało, że energia jest właściwie jednym ze stanów materii.

Układali się ponuro do snu. Byli zirytowani do reszty i bardzo głodni. Zmęczeni się ostatnią kłótnią, milczeli.

Andrzejek leżał na swojej ławie, zwolna zapadając w przepaść snu. Formułka Einsteina błąkała mu się na skraju świadomości. W pewnej chwili ze szczerą radością zrozumiał, że sprawa jest jasna. Po prostu wielkie źródło energii może rozbić materię bez śladu, całą ją zamienić z kolei w energię. I coś podobnego musiało się im przydarzyć. U Wellsa wehikul czasu, lądując w wybranej na chybił trafił epoce, potrafi się nawet wywrócić, jeśli tymczasem kształty przestrzeni się zmieniły. Więc i z nimi przytrafiło się coś podobnego.

Wehikul czasu przypominał z grubsza fotel dentystyczny z kilku dźwigniami i przekładniami. Siedziało się na nim całkiem wygodnie. Andrzejek pomyślał sobie, że oto zaraz umknie zmorom, które noc w noc go odwiedzają. Nacisnął z zapalem dźwignię przyszłości. Licznik wieków zaterkotał, jak ten w taksówce. Gdy się zatrzymali, Andrzejek z niepokojem odczytał 187 tysięcy z groszami i czym prędzej się zsunął z fotela.

Świat, w który trafił, był cały ze szkła kisielowego koloru. Jedna nad drugą wznosiły się ogromne przezroczyste sale, oświetlone niezliczonymi balonikami. Ciemnoszmaragdowe fontanny tryskały z podłóg, uderzały w sufity, spływały strumieniami po szklanych ścianach. I nic więcej właściwie nie było.

Nagle baloniki świetlne zaczęły rosnać, nadymać się, wypełniać sale. Jedna po drugiej zamierały fontanny. Gdy zaś wszystko siało się układem baloników, najdalszy z nich pękł z suchym trzaskiem.

I zaraz inny! Andrzejek zrozumiał. Z zewnątrz, z jakiejś pozagalaktycznej mgławicy ktoś uderzał rapierem w ten wszechświat baloników. Cel był aż nadto jasny – serce Andrzejkę. Nie ma gdzie uciekać! Jakże się schronić, gdy wszędzie tylko baloniki.

Więc Andrzejek przełamuje lęk i sam wyrusza na spotkanie pozagalaktycznego rapieru. Ma rację. Oto pęka ostatni balon. Rapier znajduje serce Andrzejkę. Ale w chwili dotyku traci ostrość. Tylko krążek zimny jak moneta uwiera jego pierś.

A przecież Andrzejek krzyczy. Krzyczy i budzi się.

Budzi się i czuje wyraźnie zimny krążek nie na sercu, na policzku. Krzyczy, targa się do tyłu.

Kucyk ciska weń butem. Chybia. W ciemności wymiana przekleństw. Andrzejek wybiega z kabiny. Jest bliski płaczu.

Piękna dojrzała noc wita go na zewnątrz. Tylko naprzeciwko niewielki skrawek nieba jest bledszy. Cała reszta to granatowa czerń i gwiazdy.

Jest cicho. Daleko pokrzykuje monotonna jakiś ptak. Z rzadka pluśnie coś w jeziorze. Wolno znad brzegu nadciąga fala cieplejszego powietrza, pachnącego przekwitającym jaśminem.

Andrzejek czeka, aż tamci zasną. Chyba z kwadrans siedzi sam na sam z tą nocą. Gdy wreszcie prześlizguje się na swoją koję, jest prawie spokojny. Napatrzył się na gwiazdy.

Utopowie i Rumbaksztagi.

1.

Rzeński wiaterek niósł Atalantę przez wydłużone, rzeczywiście piękne jezioro. Gdy wymijali kolejny przylądek, który przez poprzedni kwadrans zdawał się zamykać świat, otwierała się przed nimi nowa płachta wody, niebieska, pogodna, niezmiennie otoczona wysokim sosnowym lasem. Czasem w lewo od kursu wylaniała się jakaś większa zatoka, bezleśna, obramowana niewysokimi pagóreczkami. Tu i ówdzie napotykali pojedyncze domki. Było wcześniej i ruchu na jeziorze żadnego.

Humory mieli znośne: Wojtkowi udało się zrobić wrażenie na jakiejś sąsiadce Dendów, która sprzedała im trochę mleka i kilkanaście gotowanych kartofli. Był to wielki sukces – turyści wyjedli i wypili wszystko w całej okolicy – tak przynajmniej tłumaczyła. Za to gotówki zostało im ze dwadzieścia złotych. No i Andrzejek, oczywiście, oberwał za kolejne wrzaski we śnie. Przyrzekli uroczyście zaprowadzić go do lekarza.

W pewnej chwili szlak jeziorny, dotąd raczej prosty, jakoś się rozwidlił. Skręcili w lewo. Tu jezioro rozszerzyło się, wiatr wypadł mocniejszy, Atalanta przechyliła się elegancko.

Kucyk wlaź na dziób i grał kapitana na całego.

– Trzy palce w prawo! – krzyczał ni stąd, ni zowąd. – Tak, dobrze, tak trzymać! Lewy foka szkot poluzować!

Szli z wiatrem i komendy jego niosły się przed jachtem, krzykliwe jak mewy. Wojtek, siedzący na fok, już zaczynał sarkać, gdy Kucyk odwrócił się do nich.

– Chłopcy, na kursie całe miasteczko namiotów! I przystań!

Wstali, dłonie przyłożyli do czoł. Rzeczywiście w rozpadlinie między dwoma pagórkami, porośniętymi sosnowym lasem, bielilo się wyrównanymi szeregami chyba ze trzydzieści namiotów. Nad wodą żółto błyszczał pomost przystani. Kilka ognisk dymiło w tyle.

Nie powzięli jeszcze żadnej decyzji, gdy dostrzeżono ich z brzegu. Nie spodziewali się, że wywołają taki raban. Ostre gwizdki rozdarły ciszę lipcowego poranka. Ktoś zaczął walić w potężny gong. Dziesiątki pomniejszych, pewno typu patelniowego, natychmiast się doń przyłączyły. Między namiotami zaroilo się od ludzi. Strojni przede wszystkim w pięknie opaloną skórę, rzucili się tłumnie do brzegu, wydając donośne okrzyki.

Oczywiście, musiało to chłopców zdezorientować. Spoglądali po sobie nie bez lęku. Andrzejkowi przypomniały się opisy przybycia pierwszych podróżnych do Nowej Zelandii czy archipelagu Fidzi. Tam też zaczynało od bicia w gongi, a kończyło się zjedzeniem nierozważnych przybyszów.

Te niemiłe reminiscencje jeszcze się w nim wzmogły. Opaleni ludzie na brzegu rzucili się mianowicie do wody. Jak się okazało, stały tam całe flotylle kajaków. W mgnieniu oka ludzie z brzegu parami – jeden mężczyzna, jedna kobieta – powłazili do kajaków. Jak wiatraki zakręciły się wiosła i cała flota ruszyła na spotkanie Atalancie.

Andrzejek odwrócił się do reszty. Miny także mieli niewyraźne.

– Może byśmy zawrócili? – zapytał.

Kucyk podrapał się w głowę.

– Niby nic nie przeszkrobaliliśmy – powiedział z wahaniem.

– Kiedy tak wrzeszczą...

Rzeczywiście, kajakowicze wrzeszczeli strasznie. Chłopcy słuchali przez chwilę.

– Oni się cieszą – stwierdził Zdzisio.

– Maorysi też się cieszyli – wymknęło się Andrzejkowi.

Kajakowcy tymczasem jakoś się zorganizowali. Szli prosto na Atalantę dwoma wydłużonymi rzędami. Machali wiosłami do taktu. I oczywiście, zaczęli skandować.

– Ciszej! – szepnął Zdzisio.

Usłyszeli wyraźnie: „Wi-ta-my że-gla-rzy, wi-ta-my że-gla-rzy!”

To przesądziło sprawę.

– Nie możemy zawieść ich nadziei – stwierdził Kucyk. – Sternik, prosto na przystań!

Atalanta szła na tamtych z takim impetem, że Kucyk się przestraszył o Zdzisia i o jego sztukę manewrowania. Wychylił się do kajakarzy i zaczął krzyczeć, jak na dworcu:

– Uwaga, uwaga! Proszę się odsunąć, proszę się odsunąć!

Powitał go prawdziwy szal. Jakiś typ w pierwszym kajaku machnął wysoko wiosłem, w ten sposób nakazując spokój, i wrzasnął:

– Nareszcie! Raz, dwa, trzy...

Gruchnęło „na-resz-cie” tak donośne, że w przeciwległym końcu zatoki coś załopotalo skrzydłami, jak motorówka, i wielki ciężki biały łabędź wolno wznosił się w powietrze.

Nie dostrzeżono go. Kajakowcy manewrowali tak, by otoczyć jacht swoim krzykliwym szeregiem. Zdzisio krzyknął Wojtkowi:

– Do zwrotu przez sztag!

Wojtek puścił swego foka, Zdzisio puścił ster, ściągnął wielki żagiel. Atalanta zrobiła błyskawiczny w tył zwrot i zatrzymała się o tuzin metrów od przystani.

Słowem, dobiecie nie było bardzo eleganckie: musieli grzebać swoją wiosłołopatą. Ale fakt ten nie ostudził bynajmniej entuzjazmu witających.

Kajakowcy ustawili się natychmiast w koło. Znowu ich prowodyr podniósł wiosło.

– Flądry! Raz, dwa, trzy! Flądry!

– Czołem! – wrzasnęły kajaki.

– Flądry!

– Czołem!

– Flądry!

– Czołem, czołem, czołem!

– A teraz na cześć naszych ukochanych, długo oczekiwanych gości, na moją komendę, żaby!

– Kwa, kwa, kwa! – wrzasnęło pięćdziesięcioro dorosłych ludzi.

– Żaby!

– Kwa, kwa, kwa!

– Żaby!

Żaby już nie krzyczały, zrobiły coś o wiele bardziej efektownego. Ze wszystkich kajaków na raz trysnęło do wody kilkadziesiąt opalonych ciał. Kilkadziesiąt plusków i fontann. I znowu wrzaski, tym razem w wodzie.

Chłopcy stali na jachcie, formalnie zachłyśnięci tą feerią. Atalanta dotknęła pomostu i to dopiero ich otrzeźwiło.

Inny pan, wysoki, siwowłosy, opalony, wyciągnął do nich prawicę.

– Nareszcie, nareszcie! Czekamy już trzeci dzień.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Zrozumieli już bez żadnej wątpliwości, że dzieje się tu jakieś grubsze nieporozumienie. Andrzejkowi same się usta rozwarły, ale zanim dźwięk jakiegokolwiek mógł się z nich wydostać, siwy pan powiedział parę słów iście czarodziejskich:

– Prosimy, prosimy! Na skromną przekąskę. Wczesne wstawanie i świeże powietrze – oto najlepsze lekarstwo na brak apetytu...

Andrzejkowi ruszyło się coś w gdyce, ale Kucyk spiorunował go spojrzeniem, Wojtek zaś złośliwie kopnął w kostkę.

Zeszli z pomostu. Na ziemi – pracowicie ułożony z muszelek, kamyków i krzaczków jakichś grubolistnych małych roślinek – wił się ogromny wąż Eskulapa, zaglądający frywolnie do kieliszka.

Widząc, że podziwiają to dzieło sztuki, siwowłosy uśmiechnął się.

– To wasza sprawka, moi kochani!

Znowu spojrzeli po sobie, zdębieli całkowicie.

– No, boście się spóźnili! – ciągnął siwowłosy. – Ludzie nie mieli co robić...

„Ludzie” gramolili się właśnie z płytkiej wody, baraszkując i krzycząc co niemiara. Żwawsi biegli już za nimi, otrząsając się z kropli wodnych i klepiąc rękami po torsach. Kobiety ściągały kąpielowe czepki, wydając przy tym piski pełne zachwyty.

– Najady! – zawołał siwowłosy.

Wówczas spoza najbliższego namiotu wyskoczyły cztery młode dziewczyny w śmigłych czarnych kostiumach kąpielowych. Niosły długie girlandy z dzwonek leśnych, smółek i jakichś żółtych kwiatów.

Andrzejkowi zdawało się, że śni. To nie Nowa Zelandia, to najczystsze Tahiti! Tłum kąpielowiczów uczynił dokoła ścisk. W środku dziewczyny pięły się na palce, by Kucykowi i Zdzisiowi owinąć czoła kwietnymi girlandami.

– A ten taki malutki! – pisnęła czwarta Najada, niewysoka, o bardzo czerwonych ustach i okrągłej twarzy, smakowitej jak tort Mikado. – Masz, najpiękniejszą!

Owinęła mu głowę ciężkim kwietnym wieńcem i z rozmachu pocałowała w policzek.

Wywołało to jeszcze jeden wybuch entuzjazmu zebranych. Andrzejek splonął na purpurowo, oczy przymknął.

Tymczasem siwowłosa podniósł rękę i wrzask się uciszył.

– Kochani! – zawołał do tłuszczy. – Dziękuję wam za przywitanie godne najlepszych tradycji naszej Utopii. Teraz jednak znakomici goście muszą mieć trochę spokoju, gdyż zamierzam przeprowadzić z nimi rozmowę, od której, jak wiecie, zależą wasze losy. Idźcie więc i bawcie się dobrze.

Ludzie odpowiedzieli okrzykami i zaczęli się rozpierzchać. Byli starzy – stwierdził ze zdumieniem Andrzejek. Musieli mieć i trzydzieści, i czterdzieści lat. Tylko cztery najady olśniewały swoją młodością. Zwłaszcza ta czwarta, o pełnych koralowych ustach.

– Proszę! – powiedział siwowłosa uchylając skrzydło namiotu. – Zygmun! – zawołał. – Ty też chodź tutaj. Proszę!

Chłopcy weszli. Zakręciło im się w głowie. W namiocie na kocu stały talerzyki z przekąskami, jakieś sardynki, jakieś sałatki, wędlinki domowe, suche kiełbasy, jajka na twardo, kotlety na zimno.

– Hy! – powiedział odruchowo Kucyk i przeknął ślinę.

– Słucham was? – pochylił się doń siwowłosa.

– Nie, nie, nic.

– No, więc siadajcie! Przepraszam za skromność tego posiłku. Samiście sobie winni. Spóźniliście się o trzy dni, więc pasztety musieliśmy zjeść i kawior także.

Nie można powiedzieć, by ta uczta się przeciągnęła. Po pierwszej minucie, gdy minęło im zaskoczenie, chłopcy pokazali wysoką klasę. Nawet Andrzejek pudełko sardynek opróżnił w czasie trzy minuty, czterdzieści dwie sekundy, zbliżając się w ten sposób poważnie do rekordu świata Iharosa na 1500 metrów,

Zygmunt, doproszony do towarzystwa, był to maleńki człowieczek w okularach, dokładnie łysy. Raz po raz zabierał się do mówienia, ale siwowłosa natychmiast mu przerywał przypominając, że o interesach przy jedzeniu się nie mówi. Andrzejek zrazu nie zwracał na to uwagi, pochłonięty wycieraniem resztek oliwy z pudełka chlebem. Gdy jednak odrobił nieco swoje wielodniowe niedojadanie, kolejne wtrącenie się Zygmunta przepoiło go po prostu lękiem.

Zrozumiał bowiem, że cały ten entuzjazm, ta gościnność, te girlandy i smakołyki nie są ni stąd, ni zowąd. Że za nimi się kryje jakiś interes. I cały sęk w tym – jaki?

Czym zapłacić tej armii dorosłych ludzi może czwórka uczniów, pierwszy raz pętająca się na żagłowiec po tych jeziorach, niewprawna, niezręczna, bez grosza?

Jakby podsłuchał siwowłosa te wątpliwości, bo się nachylił do Kucyka.

– A teraz, zanim zaczniemy rozmowę, może załatwimy sprawę tego... honorarium? Może macie kłopoty finansowe, co?

Kucyk nie umiał wyplątać się z tego dylematu, ale minę miał tak wymowną, że siwowłosa już go nie pytał.

– Zygmunt! – powiedział. – Wypląć obywatelom należność.

– Ile?

– Według najwyższych stawek.

Andrzejek spojrział na Zdzisia. Ten to nawet go uszczypnął. Andrzejek podskoczył w miejscu. Nie, to nie był sen.

– Ale za jaki okres? – dopytywał się Zygmunt. – Ja wiem? Za cały miesiąc? Jak uważacie?

Andrzejek i Zdzis zamachali rękami. Kucyk przyjął to do wiadomości i wreszcie odzyskał głos.

– Nie, nie, dziękujemy. Doprawdy...

– No, to zaliczkę. Czterech ich jest, po sto złotych!

– Przepraszam, za co? – jeszcze odważył się Kucyk.

– Cha, cha, cha, cha, za co! Dobry sobie! – Siwowłosy klepnął go po ramieniu. – Za to samo, po coście tu przyjechali.

Próbowali jeszcze jakoś się wykręcić, ale nie wyszło. Zbyt natarczywy był siwowłosy. Kategoryczna odmowa nie pasowała do gorącej atmosfery spotkania.

Podpisali więc po pięć cyrografów każdy, stwierdzając otrzymanie stu złotych. Andrzejek, coraz bardziej niespokojny, usiłował na kwitach wyczytać, o co chodzi. Ale stało tam po prostu : „za roboty zlecone”.

– No, dobra! – rzekł siwy, gdy Zygmunt pozbierał swoje papierki. – Przejdźmy teraz do rzeczy. Chłopcom ścisnęły się serca. Zagadkowa historia nareszcie miała się wyjaśnić. Andrzejek odruchowo otworzył usta.

– Muszę stwierdzić – ciągnął siwy – że już miałem depeszować do Warszawy. Bo rzeczywiście, wszystko było umówione, data ustalona, a was ani śladu. Myślicie, że to prosta sprawa utrzymać w ryzach siedemdziesięcioro dorosłych ludzi, którzy nie mają co robić? Zrazu myślałem, że wystarczą roboty porządkowo-dekoracyjne. Cóż, kiedy okazali się błyskawiczni, w pół dnia wszystko oczyścili, wykopali, wyrównali, nawet ułożyli obrazek symboliczny, któryście widzieli na brzegu. Wobec tego spróbowaliśmy łupnąć im suchą zaprawę i szkolenie ideologiczne. To pomogło. Po dwóch dniach uspokoili się nieco, ale tym niecierpliwiej czekali na prawdziwą robotę. Oto właśnie przyczyna tego nieco szalonego przyjęcia, które wam zgotowali. Rozumiecie?

Nic nie rozumieli. Pokiwali jednak energicznie głowami.

– Cieszę się, że wreszcie Józio załatwił tę sprawę. Cieszę się również, że wybrał was akurat. Jesteście młodzi, ale w tej robocie młodość nie jest zawadą. Omówmy warunki: trzydzieści złotych za godzinę wam odpowiada?

Spojrzeni po sobie, ciągle nic nie pojmując. Siwowłosy w tym wahaniu dostrzegł coś zupełnie innego i czym prędzej zawołał:

– Oczywiście, utrzymanie obozowe!

Dalsza zwłoka w wyrażeniu zgody groziła powiększeniem jeszcze bardziej gościnności gospodarza, wobec tego Kucyk huknął:

– Ależ tak, ależ dobrze!

– No, to w porządku! – podsumował siwowłosy. – Odpocznijcie sobie teraz pół godzinki, o pierwszej zaś do roboty!

Podniósł się i prawie wypchnął chłopców z namiotu. Stanęli w powodzi słońca, patrząc na siebie bez cienia uśmiechu. Wleźli w sytuację daleką od wyjścia. Za pół godziny mieli zacząć robotę – absolutnie nie wiadomo jaką. Co gorsza, każde zapytanie wprost musiało ich zdemaskować jako nabieraczy.

– Wiejmy! – wyszeptał zbielełymi ustami Andrzejek.

– Rzeczywiście! – Kucyk splunął. – Z pieniędzmi w kieszeni..,

– No, to zostawmy te pieniądze. Podrzucmy w kopercie.

– Tak, a te sardynki, coś pożarł?! Dobry sobie! Tu nas jak królewiczów przyjęto, girlandy, owacje, śniadania, a ty – wiać! Przecież czekają na coś od nas. Jesteśmy im potrzebni...

– Do czego?

Zdecydowali wreszcie, że wolne pół godziny poświęcą na głębokie rozpoznanie.

Gdy pięć przed pierwszą zebrali się na Atalancie, trzech byli bardzo smutni, czwarty, Kucyk, radośnie pogwizdywał.

– No? – zwrócił się do najsmutniejszego, Andrzejka.

– To są doktorzy! Sami doktorzy!

– A to świetnie! Damy cię do zbadania. Może przestaniesz straszyć nas po nocach. A ty?

– To jest rzeczywiście kurs wakacyjny lekarzy i aptekarzy – potwierdził Zdzisio. – Mają się doskonalić w swoim zawodzie i przy okazji uprawiać różne sporty.

– Jest tu także trochę studentek – oświadczył z kolei Wojtek. – Mają nawet zrobić w sobotę wielki tam-tam, czyli bal tahitański.

– Pięknie. A czego chcą od nas? Wiecie?

Wzruszyli ramionami.

- Oczywiście – westchnął Zdzisio.
- Co za pech! – huknął Wojtek. – Te studentki wcale nienajgorsze.
- Wiejmy, chłopcy, wiejmy! – szepnął Andrzejek.
- Fujary jesteście! – sarknął Kucyk. – Czegoście nosy spuścili? Myślicie, że nie poradzimy sobie? Jeszcze jak poradzimy! Andrzej, ty pójdziesz pierwszy!
- Zwariowałeś?
- Ależ skąd! Chcą się uczyć żeglarki, proszę bardzo, wal im suchą zaprawę. Tę twoją rumbę, ten, tamten, no wiesz? Ile tego jest? Trzydzieści dwa? Oto jedna godzina. Potem z wektorami, te takie rysunki. Niech każdy po kolei narysuje. No, minuta na jednego. Jest ich siedemdziesiąt, druga godzina! A trzecia – na te różne gaffy, sztagi, szlagi.
- Ależ to są sami doktorzy! Jakże ja...
- Głupstwo. Odjazd! Widzisz, że już czekają.

2.

W ten sposób Andrzejek został profesorem żeglarstwa. Popychając go naprzód, zeskoczyli na ląd. Tłum doktorów i aptekarzy stał opodal, koło krzaków leszczyny. Na widok chłopców ten, co dawał komendy na kajaku, zawołał donośnie: „W dwuszeregu biegiem zbiórka!” Potem dalsze komendy rozdarły spokój rodzącego się popołudnia i gdy chłopcy podeszli, siedemdziesięciu dorosłych ludzi stało wyprężonych na baczność, patrząc w prawo, prosto w oczy Andrzejkowi.

Zatrzymał się czerwony, zażenowany, nie wiedząc, co ma robić z własnym spojrzeniem. Kucyk jednak nie stracił głowy, odebrał raport od tamtego, a potem oświadczył, że zaczynają niniejszym kurs żeglarski.

– Na początek, oczywiście, koledzy będą musieli przejść przygotowanie teoretyczne. Przeprowadzi je kolega Andrzej Wawerko. Spocznij!

Tłum słuchaczy natychmiast spoczął, wprost na ziemi. Cztery najady, tłum żab i fląder wpatrzył się w Andrzejka. Na dobitkę Kucyk uszczypnął go w bok i grożąco spojrział. Nie było rady.

– Proszę kolegów – zaczął głosem cieńszym niż zwykle. – Wielkie odkrycia geograficzne stały się możliwe dopiero po wynalezieniu kompasu. I dlatego my też...

Urwał – idąc na miejsce stracenia przygotował sobie tylko jedno jedyne zdanie, to z kompasem. Cisza na widowni była absolutna. W tylnych rzędach ktoś wreszcie mruknął zachęcająco: „Słusznie”.

Andrzejkowi przybyło otuchy.

– My też... – ciągnął – od kompasu... On się dzieli na rumbę...

– ... i samby! – zawołał ktoś z tyłu, ale został zaraz potępiony przez resztę.

– Tych rumbów jest trzydzieści dwa!

Andrzejkowi lżej się teraz zrobiło. Wstęp był najgorszy. Gdy się tylko dorwał do rumbów, był spokojny: z pięć minut musi zająć samo ich wyliczanie.

– Trzeba się ich nauczyć na pamięć. To nie jest trudne. Wystarczy tylko zapamiętać, że co drugi ma słowo „ten”, co po holendersku znaczy „ku”...

– Patrzcie państwo! – z zachwytem w głosie i spojrzeniu westchnęła pierwsza z brzegu najada. I Andrzejek uwierzył jej zachwytowi!

Ciągnął więc te rumbę, z zamierającym sercem czując, że ma widocznie jakieś predyspozycje do zawodu profesorskiego, bo przecież opanował ten tłum.

– Nord, Nord ten Ost, Nord Nord Ost, Nord Ost ten Nord...

Słuchacze zaś naprawdę słuchali, zapatrzeni, cisi. Trzmiel pojedynczy urwał się gdzieś znad kępy rumianków i przeleciał nisko nad zgromadzeniem, ale nikt okiem nie mrugnął. Nad jeziorem krzyczały czajki. I Andrzejek pieczołowicie wyciągał swoje rumbę: od Nordu spadł na Ost, potoczył się na Sud, znów się wdrapał na West.

Gdy skończył, oklaski buchnęły tak żywiołowe, tak ciepłe, że nie powstrzymał się i ukłonił jak brzdąc, który oddeklamował wykutą na pamięć „Alpuharę” na uroczystej akademii ku czci tego czy

owego. Trema zginęła mu bez śladu. Wiedział, co ma mówić, albo raczej wcale się o to nie troszczył, pewny, że we właściwej chwili właściwe słowo samo skoczy mu z języka.

– Trzeba się tego nauczyć na pamięć – powtórzył. – Przy zdawaniu na żeglarza tego się wymaga. Więc, może ktoś spróbuje... Na ochotnika... Milczenie.

– To takie trudne! – z wielkim przestraczem zawołała Najada smakowita jak torcik Mikado.

– Proszę! – zachęcał. – Proszę się nie bać, ja w razie czego pomogę.

– No, chyba, że tak! – ktoś westchnął.

Inny podrapał się w głowę i wyciągnął dwa palce. – Proszę bardzo! – zawołał przyjaźnie Andrzejek. – Chcę obywatelowi profesorowi zaproponować nową metodę odpowiadania. Kolektywną.

– Proszę bardzo! – powtórzył Andrzejek, niezupełnie pojmując, o co chodzi.

– No, więc, ludzie! – krzyknął tamten. – Raz, dwa, trzy!

Siedemdziesiąt głosów damskich i~ męskich huknęło teraz: „Nord”. Zanim Andrzejek się połapał, wyskoczyło z kolei: „Nord ten Ost”. Potem: „Nord Nord Ost”.

Andrzejek stał i z każdym bezbłędnym okrzykiem zgromadzonych policzki jego robiły się czerwieniejsze, wzrok zaś czołgał się od ich twarzy aż do jego własnych gumowych pantofli. Sam nie wiedział: uciekać? pod ziemię się zapaść? To drugie byłoby lepsze, gdyby było wykonalne.

Kończyli, gdy Kucyk niby od niechcienia pochylił się i szepnął:

– Frajer, skakaj na wektory! A teraz dziękuj!

– Bardzo dziękuję! – posłusznie uklonił się Andrzejek.

– Nie ma za co! – krzyknął ktoś z tyłu.

– Kiedy obywatel profesor tak przystępnie to wszystko wyłożył! – przepraszając wytłumaczył ten, co dyrygował odpowiedziami.

– To my teraz przejdziemy do wyjaśnienia, z czego się bierze ruch żagłówek.

– Wektory? – spytała smakowita Najada z widocznym przestraczem.

Skinął głową, zmartwiały, że i z tym nie wyjdzie. Jakoż się nie pomylił.

– Ludzie! – zawołał tamten facet i siedemdziesiąt głosów huknęło zaraz, zdumiewająco do taktu, jak na nierytmiczną prozę:

– Największą szybkość statku żaglowego osiąga się na dwusiecznej kąta między kierunkiem jazdy i kierunkiem wiatru!

Kucyk już nie podszedł. Zdrajca, wolał nie dzielić z Andrzejkiem odpowiedzialności za tę wyspę. Tylko z dala robił doń gniewne miny i pokazywał na poszczególne liny Atalanty. Nie wiadomo, czy to miało znaczyć, że Andrzejek może się powiesić, czy też, że ma mówić o różnych typach ożaglowania. Andrzejek westchnął i wybrał drugą alternatywę.

Ale ledwo zaczął mówić, jaka jest różnica między brygiem a brygantyną i barkiem a barkientyną, gdy spytano go, czy karawela to jest bryg czy bark oraz czym się różni od karabeli. Pewna pani w pewnym wieku żądała natychmiastowej odpowiedzi, co jest bardziej efektywne – Marconi czy gafłowe oraz dlaczego nazywa się coś tam łacińskim typem, skoro używają go wszystkie feluki na Bliskim Wschodzie.

Próba ratowania się sztagami i baksztagami nie powiodła się: zaczęto krzyczeć o topenantach. Wobec tego nie pozostało nic innego, jak ogłosić krótką, pięciominutową przerwę.

Andrzejek uczynił to i nie słuchając seryjnych wybuchów wesołości wśród słuchaczy, pobiegł do Kucyka. Ten też nareszcie czuł się niewyraźnie i nawet nie nawymyślał Andrzejkowi. Nie zamienili dwóch słów, gdy się zjawił siwowłosy. Był zmieszany bardziej od nich.

– Koledzy, tego, wybaczą. Zaszło małe nieporozumienie. Wspominałem przecież, że przez te dwa dni musiałem dać im coś do roboty. Że sucha zaprawa...

– Ależ oni... oni wszystko... – Andrzejkowi zabrakło głosu.

Siwy uśmiechnął się pojednawczo.

– Owszem, teorię, jak widzieliście, wykuli po prostu. Tyle że dotąd żaden z nich ani stąpił na żagłówkę.

– Łupmy im coś z ideolo! – mściwie mruknął Kucyk. – Ja im coś takiego zasunę...

Siwy pokręcił głową. -- Na przykład?

– Obowiązki żeglarza w walce o pokój i plan sześćioletni. Co? Niech się nie stawiają!

– Oni to też! – Siwy machnął ręką. – To trudny element. Wszystko przetrzymają.

– Nawet walkę o pokój?

– Nawet. – Siwy westchnął. – W zeszłym tygodniu przejeżdżał tędy sam Paradasikewicz. Byli niesforni przy posiłkach, więc poprosiłem, żeby zrobił im pogadankę. I wyobraźcie sobie, dwie godziny się męczył, a oni nic! W końcu musieliśmy robić mu zastrzyki z cebionu i strychniny. Mówił, że dotąd nikt nigdy dłużej niż trzy kwadranse nie potrafił go słuchać. Baliśmy się, że dostanie zawału. A oni nic. Zaraz na kajaki.

– No, to co robić? – spytał Kucyk.

– Wiecie, między nami, myśleliśmy, że wy raczej do ćwiczeń praktycznych. Prosił Józia właśnie o to. Obiecał, że przyśle od razu ze cztery jachty. Tak, nawet żeśmy się dziwili, że wy tylko na jednym...

Kucyk skrzywił się. Andrzejek świetnie go rozumiał. Po kłapie z teorią kłapa z praktyką musiałyby ich wykończyć ostatecznie.

Siwy dostrzegł te wahania. Trochę nalegał, a potem, gdy Kucyk próbował się wykręcać niedostatkiem wiatru, uśmiechnął się dziwnie i chciał odejść.

– Dobrze! – krzyknął wtedy Kucyk. – Zaraz zaczynamy. Zdzisio!

Wywlekli Zdzisia z krzaków, gdzie się ukrywał złamany klęską Andrzejka. Nie chciał słyszeć o żadnych ćwiczeniach praktycznych.

Kucyk zaciągnął go na jacht.

– Frajer ciężki! – szeptał. – Będziesz brał po czterech. Dwóch do baksztagów, dwóch do foków. I bardzo proste. Blondyn w Momajnach w pół minuty cię nauczył, nie? Jak lewy szkot foka puścić, to lewy baksztag wybierać. I na odwrót. I wszystko! Pomyśl, trzydzieści złociszów na godzinę za takie nic!

– To sam se takie nic...

– Ja nie mogę. Mam inne sprawy.

– Na przykład?

– Zobaczysz.

W końcu Zdzisio uległ. Zrobiono znowu zbiórkę. Ludzie zeszli się już dosyć rozwydrzeni, popychali się, rzucali nawet szyszkami, kucając, gdy poszkodowany usiłował odnaleźć sprawców.

Siwy musiał interweniować osobiście. Przysięgał, że już nie teoria, ale praktyka. Zrobiono kolumnę czwórkową. Kucyk spojrzął na zegarek.

– Andrzejek nawalił – szepnął Zdzisiowi. – Wobec tego musisz dłużej z nimi się pomęczyć. Po pięć minut na czwórkę. Rób zmiany – z lewego szkota na prawy, a potem na jeden baksztag, na drugi! Niech ich cholera!

Bezpośrednie sąsiedztwo jachtu nareszcie podziało na kapłanów Eskulapa jakoś mitygująco. Pierwsza czwórka wzięła na pokład, prawie jakby weszła do świątyni. Inni skupili się wyczekująco na brzegu.

– A reszta niech się przygląda! – krzyknął Kucyk. – Tak, tak, bardzo dobrze. I proszę się uczyć ruchów. To bardzo ważne. Ruchy i tempo! Precyzja!

Zdzisio stanął na dziobie. Wciągnęli fok, ale grota nie ruszali. I zaczęło się!

– Prawy foka szkot luzuj! Lewy foka szkot wybieraj! Lewy baksztag luz, prawy baksztag wybieraj!

– Słyszysz, Ela? – szturchnął któryś aptekarz którąś aptekarkę. – Prawy foka szkot! Luzuj! Baksztag! To zupełnie jak u Conrada!

– Tak! – przyznała szturchnięta Ela, ale bez entuzjazmu.

Pięć minut ćwiczył Zdzisio pierwszą czwórkę. Z zegarkiem w ręku. Te wszystkie piękne komendy conradowskie sprowadzały się do dwóch czynności raczej nieskomplikowanych: ciągnięcia linki i jej puszczenia. Co gorsza, lewy foka szkot nie różnił się absolutnie niczym od prawego ani nawet od prawego i lewego baksztagu.

Toteż druga czwórka weszła na pokład już bez tego podniosłego nastroju, co pierwsza. Tłum przyglądających się zaczął sarkać. Kucyk pokręcił nosem i zaraz gdzieś znikł.

Andrzejek też się zabierał do rejterady, gdy spoza namiotów Edzio go zawołał.

Kucyk stał z siwym. Uważnie przyglądali się nadbiegającemu Andrzejkowi.

– Ciekawe – rzekł siwy. – Chodź no tu, kolega!

Wziął Andrzejkę za brodę, kazał spojrzeć do góry i odchylił mu dolną powiekę.

– Od dawna – zapytał Kucyka.

– Od przyjazdu tutaj. Co noc.

– No, cóż, zwołamy konsylium. To nawet dobrze się składa. Ludzie nie mają co robić. Te wasze ćwiczenia praktyczne...

– O, przepraszam! – Kucyk przerwał bardzo stanowczo. – Bez wstępnych ćwiczeń ze szkotami nie wolno wyjeżdżać na jezioro! Przepisy Pezetzet!

Siwy trochę się zmytygował.

– Tak czy owak, znaczna część ludzi jest niezajęta. Możemy to wmontować w nasze dyskusyjne wtorki doskonalenia się zawodowego. Kolego Kowalski! – zawołał. – To nasz czołowy internista, klasycznego, że tak powiem, kierunku – dodał wyjaśniająco. Po czym zawołał Nowaka, hydroterapeutę, Dąbrowskiego, freudystę, i nawet doktora Rapę, który okazał się zwolennikiem jakiegoś Karasia, zielarza i znachora z Raczek, powiat Suwałki. Tylko kolega Zychraj, czołowy pawłowista, wielki mistrz od leczenia snem i bezbolesnych porodów, nie mógł się stawić, bo właśnie ciągał prawie foka szkoty oraz lewe baksztagi.

3.

Winowajca tego zamieszania, Andrzejek, za późno się połapał w tym, co go czeka, żeby stawić zorganizowany opór. Zresztą też był niespokojny o siebie – trzy noce z rzędu przeżywał koszmary tym gorsze, że nie przed, lecz po przebudzeniu. To nie sny potworne go ścigały. Sny, na odwrót, były malownicze i przyjemne. Dopiero gdy budził się z nich, dopiero w ciemnej kabinie jachtu miły sen stawał się dziwną, przerażającą zmorą.

To właśnie usiłował wytłumaczyć dostojnemu gronu, które się wreszcie zebrało przy namiocie siwego. Oczywiście, nikt mu nie uwierzył.

– Typowe złudzenie koszarowe – oświadczył klasyk, Kowalski – wynikające zapewne z przejedzenia. Na kolację trzeba mało jeść.

– A właśnie, że za każdym razem bez kolacji! – krzyknął z rozżaleniem Andrzejek.

Kowalski trochę się zgniewał, gdy jego pierwsza diagnoza okazała się niesłuszna, i za karę zaczął Andrzejkowi ugniatać wątrobę.

– Boli? – pytał co chwila.

Jakże mogło nie boleć, skoro łąpska miał zawodowego mistrza zapasów i z uporem usiłował wpakować je jak najgłębiej pod ostatnie zebro!

– Ciekawe! – wolał za każdym jękiem Andrzejka. – Bardzo typowe! Ile masz lat? Siedemnaście? Nie do wiary! I już pierwsze objawy cirrozy!

– Ależ, kolego! – krzyknęli w tym miejscu hydroterapeuta i freudysta. – Nie śpieszcie się z diagnozą!

– Wtedy dorwał się freudysta, który kazał opowiadać Andrzejkowi szczegółowo sny. Z pierwszego snu zainteresował go tylko ogon jaszczura, rozciągliwy jak guma. Na ogół jednak był rozczarowany.

– I co, balii nie było? Ani dziurki od klucza? A te balony jakie były, kopulaste? Gładkie? – Kręcił głową. – Dziwne, dziwne. Całkiem nietypowe. Pewnie zapomniałeś, chłopcze. Takie sny w ogóle nie zdarzają się przy normalnych chorobach!

Potem zabrał się hydroterapeuta. Ten się nie bawił w żadne diagnozy, tylko dawał polecenia natrysków o bardzo skomplikowanej kolejności. Pobieżne podsumowanie wszystkich tych zabiegów wskazywało, że Andrzejek co dzień musiałby od pięciu do ośmiu godzin nic nie robić, tylko sam siebie podlewać tu i ówdzie.

Kowalski i Dąbrowski nie omieszkali tego wyciągnąć i potężnie wysmiali hydroterapeutę, toteż gdy Dąbrowski z kolei próbował szukać jakichś środków zaradczych na zmyrę w bliżej nie określonej kompensacji młodzieńczego libido na drodze czegoś całkiem niepojętego – Nowak utworzył wspólny front z Kowalskim i z freudysty został żalony kompleks, jak gwóźdź po samą główkę wpędzony w podświadomość winowajcy.

Najostrzejsze jednak starcie spowodowała teza Dąbrowskiego, że być może chodzi tu o słynny kompleks autodestrukcji.

– Ha, ha, ha! – krzyknął Kowalski. – Autodestrukcji, czyli zniszczenia samochodów.

– Samozniszczenia, kolego Kowalski. Samozniszczenia!

– Bujda, nie ma żadnego kompleksu samozniszczenia! Jest tylko instynkt samoobrony.

Innymi słowy, pokłócili się jak najbardziej zdecydowanie. Właściwie tylko co do jednego całkowicie się zgadzali: że Zychraj to absolutny dureń i że nie ma sensu tutaj go zapraszać. Tym optymistycznym akcentem kończąc konsylium, wstali i wyszli. Siwy za nimi.

– Ech, szkoda! – wtedy dopiero ośmielił się westchnąć doktor Rapa. – Do Karasia ciebie, wot co! On by raz w oko spojrział i już by wiedział! A może pojedziesz, co? To niedaleko, może sto kilometrów. Tylko trzy przesiadki, w Piszcu, w Augustowie i Suwałkach. Jak nic za dwa dni zajedziesz!

– A pan sam?... – spytał Kucyk.

Rapa machnął ręką.

– Gdzie mnie tam! Ja i ziółek pod ręką nie mam. Mnie tu za znachora uważają wszyscy, to i nieporęcznie jakoś chodzić po lesie, zbierać. Ot, jakbyście podjechali nawet niedaleko stąd, bo tam takie ziele rośnie, że palce lizać. Arcydzięgiel bagienny się nazywa! Rzadkość na całą Polskę, tylko tam i jeszcze w Puszczy Białowieskiej. O, to by go zaraz wyleczyło!

– Co pan mówi! – Kucyk zatarł ręce. – A gdzie to miejsce?

– To taki pegieer jest, Gorzyjałki. Nad Śniardwami.

– Gorzyjałki?! – krzyknęli obaj chłopcy.

– No! Czemu się dziwicie?

– Nic, bo mówiono nam, że tam...

– Głupstwo! – przerwał Andrzejkowi Kucyk. – Babskie gadanie.

– Tak, tego gadania tam pełno. Że strachy. Owszem. Ale ziele to nie gadanie. Tam jeziorko jest, w lesie. Bagno je zarasta, pływające. Taki kozuch na jeziorze. To tam ten arcydzięgiel i tylko tam. Korzeń musi mieć w wodzie. No to, jak się je znajdzie, najlepiej na nowiu zrywać i potem suszyć, ale nie na słońcu, nie w piecu, nie na wietrze. Najlepiej na sercu.

Popatrzyli na siebie dosyć wymownie i stary zamachał rękami.

– No, przecież mówię, że za znachora... A wy nie śpieszcie z tymi Tyłu rzeczy jeszcze nie poznano. No i pewnie, że na sercu. Bo jak za szybko, to tam różne witaminy może się wyjąłowia albo pójda z wiatrem. Może Be jeden, może Be trzy. Nie wiecie przecież. To po co tak patrzycie?

Rozgniewał się stary i też poszedł. Krzyki jakieś rozległy się zaraz nad jeziorem. Wyciągnęli szyje, słuchali.

Tak, to był klasyczny bunt załogi, tyle że wykonywany typowo tutejszymi metodami. Usłyszeli krzyk tego prowodyra od kajaków:

– Raz, dwa, trzy!

I zaraz huknęło zbiorowe, wstrząsające:

– Lewy foka szkot luz! Prawy foka szkot wybieraj! Lewy baksztag wybieraj! Prawy baksztag luz!

Chcieli uciekać w krzaki, ale potem zwyciężyła przecież w ich sercach jakaś nuta człowiecza. Pobiegli nad jezioro.

Była to, zaiste, ostatnia chwila. Kolejna, może dziesiąta czwórka siedziała przy burtach jachtu, nieustannie, jak galernicy, chyląc i wyprostowując plecy przy każdym smgnięciu tym luzem i wybieraniem. Na brzegu kłębiła się tłuszcza nie doświczonych wymachując pięściami i bezlitośnie popędzając Zdzisia. Przecwiczeni nie słuchali już niczego, ani gróźb, ani błagań, od razu włązili do kajaków i odjeżdżając miotali soczyste przekleństwa pod adresem wszelkiego żeglarstwa. Zdzisio stał na dziobie i raz po raz wycierał spocone oblicze.

– Fajerant! – krzyknął Kucyk i zamachał rękami, aby przerwać skandowanie tych komend przez buntującą się tłuszcę. W mgnieniu oka wszystko zwiąło od żagłówki na odległość strzału karabinowego.

– Frajer! – Kucyk puknął się w czoło. – To już nie mogłeś sam puścić ich do diabła? Widzisz, że bunt, że cię zaraz w kawałki.

– Jaki bunt? – zapiał cienko Zdziś.

– No, to skandowanie.

– To z sympatii dla mnie – syczał Zdzisio. – Bo ochryłem od tych komend! Im się to bardzo podoba.

Kucyk machnął ręką. Rzeczywiście, były poważniejsze zmartwienia. Zaraz potem nadszedł Wojtek. Na zapytanie, gdzie był, odpowiedział wymijająco. Był za to wściekły.

– W sobotę wielki tam-tam, a wyście wszystko spieprzyli. Witano was jak królewiczów, a teraz nikt nie chce patrzeć na żaglówki. Skandal!

Trudno było z nim się sprzeczać. Siedli na Atalancie, niepewni, czy się ich zaprosi na kolację, czy od razu wyprawi z kwitkiem. Ta niepewność nie pozwoliła im przeżyć wielkiego widowiska pod tytułem: lipcowy zachód słońca nad jeziorem, z towarzyszeniem baletu kumulusów.

A było na co popatrzeć! Pod wieczór skądsis znalazł lasów i jezior nazbierało się kłębiastych, gęstych jak dobrze ubita śmietana obłoków. Zatoka była duża, gładka, obramowana już ściemniałą wąską koroną lasów. Słońce zahaczyło o ich szczyty i w tejże chwili strzeliste jak miecze, jasnomalinowe jego promienie poraziły nadciągające ze wschodu, wysokie aż po zenit obłoki, nadając tej białej bezkształtnej masie wieloodcieniowy rumieniec, co ważniejsze, nadając jej formy, podkreślając każdy jej załom, występ, okrągłość, słowem czyniąc ją żywą. I dopiero oświetlone tymi jaśniejszymi różowo obłokami wszystko dokoła – gałąź sosny, gładź jeziora, twarze ludzi – nabierało jakiegoś podniosłego, świetlistego odcienia.

Było tak ogromne to zbiorowisko oblanych rumieńcem obłoków, że piersi same napełniały się westchnieniem. Nawet łabędź, który pod wieczór wrócił do przeciwległych trzcin, wypłynął na środek zatoki i gapił się długo na góry różowych zaokrągleń, może dopatrując się w nich jakiegoś podobieństwa do bardzo wielu łabędzich piersi i skrzydeł.

Przyznajmy, reżyser widowiska znakomicie poskreślał wszystkie jego dłużyzny. Oto już nie różowa poświata płynie z nieba, oto wszystko się staje malinowe. Góry skrzydeł łabędzich przesunęły się nieznacznie na zachód i pękła nagle doskonała harmonia między jasnością promienistą, liniową czystego nieba i jasnością skłębioną tego, co było przed chwilą obłokami, co już się stało zbiorowiskiem ciężkich ciemnoniliowych chmur. Słońce już utonęło w lasach i szczyty sosen w tym miejscu stały się krwiste.

– Będzie wiatr – prozaicznie stwierdza ktoś na łądzie. – Może jeszcze tej nocy.

– No, trzymajcie się! – szepce przez zęby Wojtek. – Ten nam da bobu!

Siwy idzie na nich. Minę ma rzeczywiście niewyraźną.

4.

Wojtek jednak się pomylił. Siwy nie dawał żadnego bobu. Na odwrót, na swój sposób był nawet z chłopców zadowolony.

– Nie wiedziałem, że żeglarstwo jest takie... jakby tu powiedzieć... ma takie walory wychowawcze. Myślałem, ot, jakieś fiu-bzdziu, jak tyle innych... A tu, ho, ho! W związku z tym mam pewne projekty. Wiecie, w planie mamy zajęcia ideologiczne. Sami rozumiecie, frekwencja na nich jest słaba. Wiadomo, słońce, jeziora, lasy, wakacje. I każdy stara się wykręcić. Więc myślę, prowadzić te zajęcia na zasadzie dobrowolności. Kto nie chce, proszę bardzo, do żeglarstwa. Co? Jak myślicie? I plan szkoleniowy się odwali, i troska o człowieka ściśle przestrzeżona. Nie?

Kucyk energicznie przytaknął. W ciągu minuty uzgodnili z siwym nowe zasady szkolenia żeglarskiego, w którym Atalanta stawała się w gruncie rzeczy galerą: trafiać mieli do niej wszyscy niesforni, nieporządni, niepunktualni, narzekający na jedzenie, mający zastrzeżenia co do siatki płac Służby Zdrowia, niewierzący w oficjalnych świętych nauki lekarskiej.

– Trudny element! – na zakończenie powtórzył siwy. – Myślę jednak, że z wami razem potrafimy go okiełznać.

Kucyk godził się na wszystko, miotany niepewnością: co z kolacją? Obawy te zostały zażegnane. Siwy dobił targu co do tej galery i zaprosił do ogniska.

Ba, to nie była już „skromna przekąska” powitalna! Zjedli po menażce krupniku i po talerzyku kartofli z konserwowym gulaszem. Niesforni pupile siwego urządzali jeszcze na deser zbiorowe śpiewy, ale chłopcy na znak Kucyka podziękowali grzecznie i poszli na jacht.

Wojtek, oczywiście, gdzieś się zawieruszył. Już się poukładali do snu, gdy zjawił się, ponury i zadowolony z siebie.

– Masz swego siwego! – oświadczył Kucykowi. – Zawraca nam głowę tym szkoleniem, a dziś po południu pchnął rowerzystę do Giżycka, do ośrodka żeglarskiego z zapytaniem, cośmy za jedni!

Kucyk zerwał się z łoża tak gwałtownie, że głową wyrznął w powałę. Inni także się zerwali.

– Skąd wiesz?

– Co to cię obchodzi? Dość, że wiem.

Andrzejek uświadomił sobie nagle, że jest bardzo zimno. Szczękając zębami, wyjęczał;

– Wiejmy, chłopcy, wiejmy!

– Wiejmy, wiejmy! – ze złością powtórzył Kucyk. – Po pierwsze, Wojtek może plecie, po drugie, sami popatrzcie, gdzie tu wiać!

Wojtek odgrażał się wprawdzie za to zniesławienie, ale drugi argument był trudny do odparcia. Patrzyli posłusznie. Był zmrok. Młodziutki pierwszokwadrowy księżyc właśnie zahaczył o szczyty sosen na dalekim przeciwnym brzegu i z każdą sekundą grzął coraz bardziej w czarnej topieli nocy.

Była tym ciemniejsza, że na brzegu gorzały ogniska eskulapidów. Wystarczyło odwrócić się od nich i już nic poza czernią się nie widziało. Wietrzyk tylko ciągnął znad wody i pędzone jego nurtem szły nad brzeg stada jętek jak zawieja wielkich. płatków śniegu.

– Jak będziesz wiał? – powtórzył Kucyk. – Na metr nic nie widać. Rozpieprzysz jacht o pierwszy lepszy karcz i co, zapłacisz z własnej kieszeni? Dziękuję. Zresztą, jakby nawet Wojtek miał rację, zanim dojedzie tamten do Giżycka, zanim tam wszystkie formalności się załatwi, życiorysy, zlecenia wyjazdu, całą tę buchalterię, to zawsze jeden dzionek diabli wezmą, nie? W sumie wcześniej niż pojutrze, no, jutro pod wieczór tamtych spodziewać się tu nie należy.

Było to tak przekonywające, że nawet Wojtek posarkał trochę tylko, dla przyzwoitości. Nie pozostawało nic innego poza snem.

Andrzejek tym razem zabrał się do snu bez tego ziębiącego wyczekiwania na zmyry, które z każdą nocą na jachcie coraz bardziej stawało się nieznośne. Konsylium, mimo pełnej klapy, jakoś podziałało nań uzdrawiająco, dodało otuchy, sprawiło, że puszczona przez kogoś gadka o zaczarowanym jachcie stała się dla Andrzejka oczywistą bujną. Bo chociaż nie dogadali się ze sobą doktorzy, to sam fakt, że zmyry można odpędzić. a) postem wieczornym, b) podlewaniem zimną wodą, c) czymś takim, jak długie gadanie typu spowiedziowego, d) zieleń, zwanym arcydzięgiel bagienny – sprawiał, że absolutna pewność ośwładnęła Andrzejkim: dziś nareszcie zmyra się nie pojawi.

Doktorzy wywodzili tęsknie i pracowicie przy ognisku „dziewczyna nie ludzie”. Andrzejek nie zdążył nawet doczekać się, kim jest wobec tego ta dziewczyna. Sen był tym razem potężny, głęboki jak noc za okienkiem jachtu.

Trwał, zdawało się, wieki. Jako nic, jako ogromna bryła przezroczystej i nieruchomej ciemności. I dopiero po długiej nieskończoności jakaś zrazu bezprzedmiotowa radość ośwładnęła sercem Andrzejka. Wiedział po prostu, że coś bardzo ważnego, coś wspaniałego lada chwila ma go spotkać.

Wzbierało w nim to wyczekiwanie jak kaskada. I przecież nie omylił się. Z dalekiej krawędzi ciemności łysnęło różowe światełko. Wzrok wyteżył i zobaczył.

Z daleka, oświetlona różowo, szła ku niemu ta czwarta, ta jedyna Najada, której twarzyczka okrągła była, smakowita jak torcik Mikado. Czekał na nią, a szczęście wzbierało w nim tak gwałtownie, że właściwie nie różniło się niczym od lęku: tak szybko, tak niespokojnie waliło serce, tak trudne stawało się oddychanie.

Najada podeszła. Jej twarzyczkę oświetlał uśmiech i to właśnie zabarwiało na różowo przezroczystą i nieskończoną ciemność. To jej uśmiech był światłem wszechświata..

Uśmiechała się, do niego, do Andrzejka! A potem pochyliła się i policzek Andrzejka po raz drugi przeżył szczęście jej pocałunku.

Tylko że tym razem Andrzejek stał się odważny. Nie zarumienił się, nie chylił głowy. Wyciągnął ręce i z całej siły uchwycił jej kibić. I przytulił Najadę do swej męskiej piersi.

I w tejże chwili wybuch potworny targnął sennym wszechświatem. Wybuch. To znaczy wyskakujące we wszystkie strony smugi jasności. To znaczy huk potężny. To znaczy żar. To znaczy ból.

Nie ma Andrzejka, rozdarty jest na strzępy. Nie ma Najady! Jest tylko krzyk, rozpaczliwy krzyk:

– Dziewczyna nie ludzie!

Krzyk tylko został z Andrzejka. Krzyczy jeszcze, choć już go nie ma. Takie rzeczy zdarzają się na świecie, choćby w wierszach Leśmiana. Krzyczy i wie, że w tych głupiutkich słowach kryje się jakaś oszołamiająca mądrość. Wybuch zniszczył wszystko. Tylko ten krzyk pozostał i uścisk.

Krzyczy więc jeszcze:

– Dziewczyna nie ludzie!

I tuli do swego nie istniejącego serca tę nieludzką dziewczynę. I budzi się.

Cała załoga jest już na nogach. Latarka Kucyka świeci mu prosto w oczy. Jasność jest jasna i hałas jest zrozumiały nareszcie: rechocą ze śmiechu.

I uścisk też ma swoją treść. I krzyk, że to nie ludzie, ta dziewczyna.

Bo tuż przy swojej twarzy widzi wspaniałe aksamitne czarne oczy i długi pysk z czarnym guzikiem nosa, i wielkie czarno-białe oklapłe uszy. I uśmiech, płaszczący się, lizusowski, huraoddany, supertchórzowski uśmiech najgorszego z psich wazeliniarzy.

Zrywa się z postania. Łobuzy, pokładają się ze śmiechu. Na podłogę leci niebezpieczna Frankowiakowa Sulamita. Obrzydliwa, załgana, natychmiast zaczyna udawać, że jest nadludzko szczęśliwa z tego przebiegu wydarzeń. Ogonem wymachuje z prawa na lewo, pyskiem kręci w kierunku wskazówek zegara. Nawet skowyczy cichutko, taka szalenie szczęśliwa, taka miła, taka uległa, posłuszna, przytulna.

– Oto twoje wachlarze! – krzyczy Zdzisio i pokazuje rzeczywiście puszysty ogon, którym pies niesłychanie starannie zamiata teraz podłogę.

– Oto twoje jaszczury! – krzyczy Kucyk.

– No, znalazł sobie dziewczynę! – cedzi przez zęby Wojtek.

Wtedy olśnienie przesywa pamięć Andrzejka.

– To ona, to ona! Od razu mówiłem! A wy, że to ktoś z nas. No, z tą żywnością...

– Akurat, mówiłeś! Mówiłeś, że szczury!

– To wszystko jedno! A wy, że któryś z nas...

Zaczynają się kłócić, co z nią zrobić. Wojtek proponuje natychmiast obdarować nią podłych eskulapów. W gruncie rzeczy wszyscy się na to godzą z wyjątkiem Andrzejka. Bo, mimo że go potężnie ośmieszyła, nie czuje do niej niechęci. Wyobraża sobie ostatnie trzy dni jej życia. Nastraszona Frankowiakową, ucieka i kryje się w jachcie. Boi się wszystkich, jest głodna. Kradnie więc w ów sen popołudniowy całą żywność. I dopiero musi się ukrywać, słysząc piekielną wściekłość poszkodowanych. A w nocy dochodzą w niej do głosu wyrzuty sumienia. I kogo wybiera sobie na powiernika? Do kogo się udaje szukając ludzkiej wspaniałomyślności? I to noc w noc, nie zrażona pierwszym, drugim i trzecim niepowodzeniem!

Próbował tedy jej bronić. Nie było to proste. Że jest obrzydłą złodziejką – niesposób zaprzeczyć. Że charakter ma ohydny – widać na załączonym, merdającym ogonem obrazku. Sama Frankowiakowa przestrzegła przed nią.

Właściwie jeden tylko argument mógł Andrzejek wyciągać – właśnie Frankowiaków. Że nie wolno ich własności rzucać na pastwę losu. Zbijali go bez trudu: że będzie Frankowiak wdzięczny za pozbycie się tej zarazy. Albo na odwrót, że ona sobie znajdzie drogę powrotną.

Nie przesądziła jeszcze sprawy, gdy Zdzisio syknął, nakazał milczenie. Usłyszeli śpiewy na brzegu: o dziwo, doktorzy jeszcze się znęcali nad „Cyraneczką"! Któraż to godzina? Niewięcej niż dziesięć minut od momentu zaśnięcia. Ze dwie minuty trwała owa senna nieskończoność.

Ale nie te śpiewy zbudziły czujność Zdzisia. Wyszli na pokład. Noc była nieporuszona, tylko odbłask ognisk pomalował krwawo maszt Atalanty. Odwrócili się w tę noc, słuchali.

Już przeleciały stada jętek. Wiaterek wzmógł się. I oto niesione jego ciemnym powiewem słowa: „Do zwrotu przez sztag!"

Wojtek tknął Edzia łokciem. Kucyk wargi zagryzł. Z pięć minut słuchali.

– Może tam, na głównym szlaku? – mruknął Kucyk.

Tym razem wątpliwości nie było.

– Na prawo trzciny, ahoj! – doleciał już bliższy głos.

I zaraz inny, dalszy:

– Na prawo trzciny...

Potem jeszcze dalszy:

– Na prawo...

Potem czwarty, ledwo dosłyszalny:

– Na pra...

Ktoś syknął pewnie i na brzegu, bo nareszcie „Cyraneczce” skrzęcono łeb. I tam cisza. A potem, gdy z jeziora znów dobiegł szczętek żeglarskiego żargonu, nad ogniskiem nagle wrzask wybuchł, skandowanie powitalne, jeszcze gorętsze, bardziej zgrane, wprost wstrząsające. Jakiś dryblas zamachnął się maczugą i snop iskier ciemnoczerwoną fontanną uderzył w czarne niebo. Wynalazek ten .roznamiętnił eskulapidów do reszty. Wyciągnięto skądś z pięć drągów i walono w to ognisko jak w bęben. Reszta, z najadami na czele, utworzyła koło. Trzymając się za ręce, zaczęto tańczyć podrzucając nogi do góry i skandując na skoczną polkową melodię: „Bak-sztag luz, bak-sztag luz, bak-sztag, bak-sztag, bak-sztag luz!”

– Dzikusy! – syknął z odrazą Zdzisio i splunął za burtę.

Rzeczywiście, wyglądało to na taniec Maorysów, którego dalszym ciągiem mogło być już tylko pożarcie pieczonego właśnie na bitych węglach wodza nieprzyjaciół.

Chłopcy nie mieli jednak czasu przyglądać się temu widowisku. Kucyk ocenił wreszcie sytuację i błyskawicznie podjął decyzję.

– Wiosło! – szepnął do Andrzejka. – I żadnego gadania! Tylko cicho! Zdziś, Wojtek, stawiać grot!

Sam wyskoczył na pomost, szybko odcumował Atalantę, odepchnął ją jak mógł i w ostatniej chwili wskoczył z powrotem na pokład.

Dzikusy szaleli, nad dobijanym ogniskiem snopy iskier tryskały co chwila w mrok i to zapewne pomogło chłopcom niepostrzeżenie oddalić się od brzegu. Grot błyskawicznie wleciał na maszt. Zostawiając Wojtka do knagowania fału, Zdziś chwycił ster i szkot.

Nocny rzeźki i chłodny wiatr dopadł zaraz do nich, przechylił jacht w prawo.

O, wybawienie pędu! Bezszumnie, jak wielka biała sowa, Atalanta przesunęła się koło dobijanego właśnie ogniska i utonęła w mroku.

I dopiero teraz roztańczeni uczniowie Eskulapa i Andrzejka spostrzegli, że znikła łódź ich dręczycieli.

– Ludzie! – wrzasnął ten od „kwa, kwa, kwa” – Rumbaksztagi zwiali!

Oto jak nazwali ich ci sami, którzy wieńczyli ich girlandami dziesięć godzin temu! Chłopcy, przyczajeni na wiejącej Atalancie, słyszeli wszystko. Jakże cenna jest ta forma poznawania życia! Przed ilu złudzeniami na swój własny temat ratuje się ten, kto ma sposobność asystować na niewidzianego dyskusji o sobie.

– Rumbaksztagi zwiali! – wrzasnęły teraz dziewczęta.

– Nie! – krzyknął ktoś jeszcze. – Niemożliwe!

– Zygmunt! – zawołał siwy. – Nawiali!

– Jak to?! – krzyczał Zygmunt. – A zaliczki?

Chłopcy popatrzyli sobie w oczy.

– Trudno! – wycedził Kucyk. – Odeślemy im jakoś. A teraz gazu, gazu!

Zdzisio ściągnął żagiel, Atalanta się przechyliła mocniej. Wojtka posłano na dziób, żeby wypatrywał nadlatującej z nocy eskadry.

Brzeg był o paręset metrów, gdy przyniesiono tam całe naręczka kłujących gałęzi jałowca. Znowu strzeliły pod niebo pryskające żywicą płomienie. I na zakończenie usłyszeli chłopcy co się zowie podsumowanie na melodię „Umarł Maciek, umarł”:

Rumbaksztagi zwiali,

obóz się weseli!

– Nie gap się, nie gap! – syczał Kucyk na Zdzisia. – Czego ich słuchasz?

– Dzikusyl – ze złością powtórzył sternik.

Andrzejek wylazł na dach kabiny, Odwrócony plecami do niewdzięcznego łądu, próbował przejrzeć potężną noc.

Nie widział nic. Tylko trochę szmerów soczystych, jakby krople gęstego deszczu, padało na wodę. Zbliżały się do Atalan. ty tak szybko, że w ostatniej chwili dopiero się zorientował.

– Drzewa! – krzyknął. I rzeczywiście zaraz zobaczył przed sobą wysoką czarną zaporę, która pięć sekund temu wydawała mu się po prostu chmurą. To listowie osin szeleściło srebrzyście, jak fala deszczu.

Atalanta zrobiła gwałtowny w tył zwrot. W tejże chwili noc wybuchła przekleństwami:

– Idiota, jo! Gdzie leziesz! Michał, prawo na burtę! Co za bałwan! Oczywiście, Mijalski, co? Gdzie wlałeś, kazałem kolumna kilowa, to masz być za mną! No, co milczysz, Mijalski!

– Ahoj, słucham, kapitanie! – krzyknął ktoś daleko w tyle.

– Mijalski? No, to kto się tu szwenda, do cholery?!

– Tss! – syczał Kucyk. – Grot na dół! Cichutko! .

Jak biały obłok bezszumnie spelzła na pokład płachta żagla. Wysoka trzcina objawiła się przed dziobem. Resztą pędu wjechali między jej łodygi, poskrzypujące pod naciskiem kadłuba. Tam, zaczajeni, oddech wstrzymując i modląc się, aby nie zdradziła ich niewczesnym szczekaniem Sulamita, przeczekali przemarsz śpieszącej do Eskulapów eskadry. Jedna po drugiej przesunęły się przed nimi cztery żaglówki z ostrymi wysokimi żaglami. Dopiero wtedy wciągnęli znowu grot i ruszyli przed siebie, na chybił trafił, prosto w paszczę niezmiernie nocy.

5.

Spali długo, bo dopiero o świcie zdecydowali się rzucić kotwicę. Słońce prażyło w najlepsze, gdy wreszcie Andrzejek ziewając otworzył oczy.

Wyszedł zaraz z kabiny. Atalanta stała pośrodku mikroskopijnej zatoczki. Dwie kępy trzciny i między nimi wąskie przejście, przez które przeświecało wolne jezioro. Tu bliżej cała jakby łąka zarosła kępami trawy o paskudnych, jak piła zębatych liściach. Pełno żółtych i białych lilii wodnych. Kwitły właśnie, słodki, duszący ich zapach w tej rozgrzanej bezwietrznej zatoczce wisiał nieruchomy i gorący. Powietrze brzęczało tysiącami os krążących nad trzcina. Było bardzo parno.

Andrzejek wziął wiosło i próbował jakoś dopchać Atalantę do brzegu, ale były tu grzędzawiska. Musiał dać spokój z obawy, że wpakuje ją na mieliznę.

Oto było pierwsze zmartwienie tego dnia. Gdy się wreszcie obudzili, ze dwie godziny popychali jacht wiosłem, byle się wydostać z tej pułapki. Wiatru tu nie było na lekarstwo.

Wreszcie udało im się dopchać do brzegu zarosłego gęstą olszyną. Gdy stanęli, osłonięci jej gałęziami przed natarczym słońcem, usłyszeli dziwny łopot, jakby fale uderzały o płątawisko czarnych korzeni, tworzących tu brzeg. Andrzejek gapił się na zatokę: gdzie tam, nieruchoma była, jak lustro! A przy brzegu aż się gotowało nie wiadomo od czego.

Wyskoczył na ten brzeg, pochylił się nad wodą. Ujrzał dziwaczne widowisko. Kłębowiska maleńkich srebrnych rybek uwijały się tu między korzeniami. Coraz to inna wpadała jakby w trans, dygotała, zwijając się w sprężynę i zaraz za nią rzucały się dwie i trzy – i też wpadały w te dziwaczne konwulsje. Wojtek wyjrzał nadęty, nie doczesany.

– Patrz, patrz! – zawołał Andrzejek. – Ile ryby! Można ją rękami! I tak śmiesznie tańczy!

– Aa! – ziewnął Wojtek. – Ukleja się trze.

Andrzejek zarumienił się. Znow się nie potrafił sam zorientować! Wlał do wody, próbował chwycić w rozcapierzone dłonie te fikające rybki. Ale ich szaleństwo tak daleko nie szło, nawiewały, gdy się tylko zbliżył do nich. O metr dalej łopotały jakby nigdy nic. Rozłożyli ognisko. Po godzinie dostali ohydny manną kaszę, tym razem, na szczęście, nie przesoloną. Sennie dziobali łyżkami jej białawą kleistość. Andrzejek po kryjomu całą swoją porcję oddał Sulamicie.

Potem rozejrzeli się po okolicy. Brzeg, do którego dobili, był, jak się okazało, wewnętrznym brzegiem wąskiego półwyspu, oddzielającego zatoczkę od głównego szlaku jeziora. Po stu metrach tej wysokiej olszyny dotarli nad prawdziwe jezioro.

Wiatr był tam i żaglówki. Patrzyli zaczajeni w krzakach, jak mknęły jedna za drugą, pochylone, zahaczające powierzchnię wody końcami bomów. Każda wiozła całe gromady rozspiewanych żeglarzy. W jednej udało im się dopatrzeć paru eskulapów. Oto racja długiej i bezsensownej kłótni, która im wypełniła całe popołudnie.

Chodziło, rzecz prosta, o zaliczki. Andrzejek uważał, że należy je zwrócić. Kucyk sądził coś wprost przeciwnego. Nie prosili o nie, nawet się wzbrani! Tak, ale nabili tamtych w butelkę, udając

wykwalifikowanych instruktorów żeglarskich. Nic nie udawali, ani słówka nie skłamali. To tamci wmówili w nich to instruktorstwo!

Zdzisio nie mógł darować tych „Rumbakstagów”, pluł co chwila, sykał: „Dzikusy!” i popierał Kucyka.

O dziwo, Wojtek stanął po stronie Andrzejka. Co więcej, podejmował się osobiście odnieść eskulapom to, co im się należało. Przy tej równości głosów spór był długi i nie wiadomo, czym by się skończył, gdyby nie przypadkowe napotkanie jakiegoś rybaka, zaczajonego w pobliskich zaroślach nadbrzeżnej iwy.

Okazało się, że chociaż całą noc błakali się po jeziorze, to od obozu eskulapów oddalili się ledwo o parę kilometrów. Był nad sąsiednią, o wiele większą zatoką.

Zważywszy, że jednym z ostatnich argumentów Kucyka była nieznajomość adresu tamtych i przypuszczalnie wielkie oddalenie ich obozu – w tym miejscu Wojtek triumfalnie spojrzął na Edzia. Spór został zakończony zwycięstwem uczciwości.

Kucyk musiał się poddać. Tylko na zakończenie pozwolił sobie na nieważną złośliwość.

– Dobrze! – powiedział. – Oddamy im tę forszę. A sami na żebry! Albo do dojenia krów! Pan nie słyszał czasem, czy tu kto nie potrzebuje dojarzy?

Rybak nic się nie potapał w tej zjadliwości.

– Dojarzy nie. Ale do koszenia, proszę bardzo. Na przykład w Gorzyżkach. Tam, oczywiście, znowu nawalili z sianokosami.

– W Gorzyżkach! – krzyknęli teraz wszyscy czterej.

– No, w tym pegieerze.

– A to daleko?

– A nie bardzo. Prosto jeziorem. A potem na lewo. Na Śniardwy. I tam zaraz widać.

– A pan tam był?

Rybak nie zrozumiał. Cóż w tym osobliwego, w tych Gorzyżkach? Tyle że gospodarują niedobrze.

Andrzejek próbował go pociągnąć za język, ale właśnie coś zaczęło targać czerwono-biały szałwik i musieli dać spokój, spłoszeni ostentacyjną niechęcią rybaka. Widzieli tylko, jak wyciągnął maleńką srebrną rybkę, niewiele większą od tych, co się tarty w pobliskich korzeniach. Długo myślał trzymając ją na dłoni, a potem cisnął z powrotem do jeziora.

Przed wieczorem znaleźli w plecakach kopertę, wypisali: „Od Rumbakstagów złotych 370” – bo przecież należność za godzinę ćwiczeń praktycznych Kucyk i Zdzisio potracili – i Wojtek zabrał się do odmarszu. Zażądał tylko kogoś do towarzystwa.

– Andrzej! Andrzej! – wykrzyknęli tamci dwaj. – Tak się palił do oddawania!

Andrzejek musiał się zgodzić. Ruszyli z Wojtkiem, wybrnęli niebawem z półwyspu olszynkowego, weszli do wysokopiennego sosnowego boru.

– A ty wiesz, gdzie ich szukać? – spytał Andrzejek.

Wojtek wzruszył ramionami.

– Jest wieczór, to się zaraz zabiorą do śpiewania. A tu akustyka, że na pięć kilometrów słychać.

I rzeczywiście, gdy po jeszcze paruset metrach przystanęli, prosto przed nimi rzewne nutki „Zachodźże, słoneczko” jęklonie rozbiegły się wśród wspaniałych miedzianych pni ogromnych sosen.

– Oni, jasne! – powiedział Andrzejek.

– Cicho! – syknął Wojtek.

I odwrócił się tyłem do tego „Słoneczka”. Andrzejek poszedł za jego przykładem. Usłyszał zaraz czyjś dziwny przyspieszony oddech i szybkie drobniutkie kroczki, i nawet coś w rodzaju mlaskania. Po chwili przyziemna czarno-biała sylwetka niebezpiecznej Sulamity wynurzyła się zza krzaka leszczyny. Ujrzała chłopców, przystanęła, a potem zaczęła strasznie machać ogonem, kręcić głową, słowem, demonstrować najwyższy zachwyt z powodu tak miłego spotkania. Wojtek nie dał się nabrać na te czułości.

– A do domu! – wrzasnęła. – Pójdiesz!

Sulamita zaraz przysiadła, spuściła głowę i spode łba błagalnie patrzyła na Andrzejka, ciągle pomachując ogonem.

– Precz! – Wojtek tupnął nogą.

– A czemu? Może by sobie poszła z nami?

– Wariat! Ty co sobie wyobrażasz? Że wchodzimy do tych tam przez triumfalną bramę? Że anonują nas heroldowie, co?

– No, nie. Ale piesek...

– Nic nie rozumiesz! Musimy zakraść się i podrzucić kopertę siwemu do namiotu! Co, może chcesz z nim porozmawiać? Albo z tymi, co na czterech żaglówkach tam przyjechali! Podziękują ci za sardynki, nie bój się!

Dla Andrzejkę teraz dopiero stało się jasne całe ich przedsięwzięcie. Trzeba przyznać, przykry ziąbek przebiegł mu po skórze mimo upalnego przedwieczoru. Przecież to prawie jak wykradanie się Skrzetuskiego ze Zbaraża!

Nie bronił już niebezpiecznej Sulamity. Wojtek chwycił szyszkę, walnął w psiaka. Sulamita zapiszczała przerażająco, zrobiła ze dwa kroki wstecz, a potem głowę odwróciła do chłopców, jeszcze się łudząc.

– Żeby nam szczekała albo coś? Jak będziemy przy namiocie? Won!

I Wojtek cisnął kijem, zatupał, udał, że biegnie na nią. Zaskowyczała i znikła.

Szli dalej, prosto na „Słoneczko”, które się ciągle guzdrało z tym zachodzeniem. Las był przejrzysty, z niewysokim podszyciem, głównie jałowcowym. Akustyka w nim wspaniała. Gdy znikło wreszcie lekarskie zawodzenie, usłyszeli całkiem wyraźną zapowiedź konferansjera, która wzburzyła ich obu:

– A teraz na cześć naszych miłych gości zespół utopijnych najad wykona fantazję taneczną pod tytułem: „W niewoli u Rumbakstagów”. Akompaniuje chór damsko-męski Utopów!

Szli na przełaj, ściągani jak lassem walczykowątą melodią, która właśnie wybuchła.

Słowa nie były urozmaicone.

Lewy foka szkot,
prawy baksztąg luz!

Potem to samo, tylko na odwrót. Trzeba przyznać, ta monotonia słowna nieźle odtwarzała monotonię pamiętnych ćwiczeń Zdzisiowych.

Nie wytrzymali, ruszyli biegiem. Po paruset metrach znaleźli się na skraju malowniczej polanki. To tam właśnie szalały utopijne najady.

Wyglądając spoza wielkich jałowców, ujrzeli publikę, na szczęście siedzącą do nich plecami. Za nią, na tle wieczornego jeziora działały się właśnie baletowe feerie.

– Cholery! – mruknął Wojtek. – Dla nas to się na to nie wystawili!

Widowisko, acz jednostajne, miało swój charakter. Cztery najady wyginały wdzięcznie kibicie, naśladując niekończące się ciągnięcie i popuszczanie szkotów i baksztągów. Widzowie ocenili te popisy nader wysoko. Brawa i śmiechy szły nieustanną huczącą falą o ściśle rozgraniczonych adresatach: brawa dla najad, śmiechy dla nieszczęsnych Rumbakstagów.

– Cholery! – jeszcze mruknął Wojtek. – Zaczekajcie!

Ale poczekać to właśnie oni musieli. Andrzejek nie mógł tego zrozumieć.

– Słuchaj! – mówił. – Przecież właśnie teraz, kiedy wszyscy są tutaj... Tam przy namiocie pusto...

– Nie ucz uczonego. Po pierwsze, za jasno. Po drugie, posterunki tam być muszą. A po trzecie, wiem, co robię... Cholera!

Ten wykrzyknik – sądząc ze spojrzenia Wojtka – zaadresowany był bardzo precyzyjnie do którejś z najad.

Zmierch wolno rósł nad polanką, Zatoka przed chłopcami nabierała wczorajszych ciepłych różowo-brązowych odcieni. Daleko, przed tamtym brzegiem, na tle siwiejących trzciny pływał ten sam samotny łabędź.

Andrzejek patrzył na te wspaniałości przyrody pełen goryczy. Najada o słodkiej torcikowej twarzyczce wyginała się przed nowymi przybyszami, każdym swym ruchem wyszydając jego przecież, Andrzejka. Wyczytane w wielu książkach, na przykład w czwartej części „Dziadów”, stwierdzenie niestałości kobiecej nabierało oto cierpkiego smaku doświadczenia osobistego, stawało się wiedzą życiową. I dlatego znowu szturchnął Wojtka, żeby już, żeby choć pomścić jakoś...

– Czekaj, wiem, co robię. Mam tu swoje chody! - Wojtek gapił się na najady. Był mrukliwy bardziej niż zwykle.

Wkrótce Andrzejek mógł się przekonać, co to były za chody. Balet najad wreszcie się skończył. Hucznie oklaskiwane dziewczęta zasiadły wśród widzów. Wojtek na czworakach popęznął w ich stronę, nakazując Andrzejkowi zostać na miejscu i być cicho.

Andrzejek patrzył za nim. Wojtek znalazł się o jakieś dziesięć metrów za jedną z najad, nie tą jak torcik, inną, czarnowłosą, chudą, bardzo rozczochraną. Parę minut siedział bez ruchu. Pewnie wpatrywał się w jej ciemność, przekonany o potędze swego wzroku, Ale ona ani myślała się odwracać. Właśnie zaczynał się następny numer programu.

Niestety, i to było na temat „Rumbakstagów”. Przebrzydły zapowiadacz, ten od „kwa, kwa, kwa”, wystąpił z deklamacją ad hoc ułożonych wierszydeł. Usłyszeli na przykład coś w tym rodzaju:

...ale nasz dowódca siwy
stał się bardzo miłościwy.
Zygmunt go posłuchał wnetki
i wybulił cztery setki.
Oni zaś, gdy to dostali,
pierwszej nocy już nawiali...

Rechot, który wybuchł teraz, był z pewnością odwrotnie proporcjonalny do wartości tych elukubracji. To znaczy, był potężny. Najady wprost tarzały się po trawie.

Ta, którą przywoływał spojrzeniem Wojtek, nie tarzała się wprawdzie, ale padła w ramiona siedzącego tuż za nią żeglarza. I niewiele brakowało, aby zaczęli tarzać się razem.

W tejże chwili Wojtek znowu stanął na czworakach i ruszył z powrotem do Andrzejka. Chwilę siedzieli milcząc. Potem Andrzejkowi przypomniały się słowa jakiegoś wieszczka, może samej Courts-Mahler. Teraz dopiero zrozumiał ich głębię.

– „Kobieta może pokochać każdego – wyszeptał. – Może pokochać bohatera, może pokochać tchórze. Bogacza i biednego. Mędrca i głupca. Pięknego i brzydala. Szlachetnego i nikczemnika. Kobieta nie może pokochać tylko wyśmianego przez tłum!”

Wojtek spojrzał nań nie bez zdziwienia. Przez sekundę zdało się Andrzejkowi, że w oczach towarzysza dostrzegł coś wilgotnego. Ale już w następnej sekundzie Wojtek splunął.

– Pies ich trącał. Chodźmy!

Zmierzchu tymczasem przybyło. Wymknęli się znad polanki, długim półkolem leśnym dotarli w pobliże namiotów.

Niestety, okazało się, że Wojtek miał rację. Wprawdzie to nie były posterunki, ale w każdym razie kilka kobiet kręciło się tutaj, w gorączkowym pośpiechu, od pobliskiego ogniska do namiotu siwego.

– Psiakrew! – wyrwało się Andrzejkowi.

– Ciszej!

Kobiety biegały i krzyczały. Chłopcy zrozumieli zaraz, co się tu święci, i nowa fala męczarni natarła na ich jestestwa.

Okazało się, że wielki tam-tam, czyli bal tahitański, składać się miał z trzech części. Pierwsza – to były owe „artystyczne” występy na polanie. Trzecią miały być „tańce murzyńskie”. Drugą zaś szykowały właśnie zalatane kobiety.

Wystarczyło posłuchać, co pokrzykiwały.

– Pani doktorowo, głowizna zastygła?

– Helena, co z majonezem?

– Sałatka jest, sałatka jest!

– Nie otwieraj, nie otwieraj! To w ostatniej chwili! Przy tym upale kawior w godzinę się zepsuje.

Wymieniały także komentarze innego rodzaju. – Ale to chłopcy, z tych żaglówek. Nie to, co tamte chuchra!

– Ty się nie ciesz, ty tu z garnkami się uwijasz, a najady tam czasu nie marnują, spokojna głowa.

– Swoją drogą, co za młodzież dzisiaj. Co panienka – to puszczańska, co chłopak – to nabieracz. No, ci wczoraj! Przecież dwudziestu lat nie mają, a jak się sprytnie zabrali. Tak długo molestowali siwego, aż im bulnął po sto złotych. Słyszałaś, co mówił, że tak prosili! Że trzy dni nie jedli. Chuligany!

Chłopcy spojrzeli po sobie. Andrzejkowi myśl przyszła, żeby już nie czekać, żeby tym megierom prosto pod nos kopertę. Niech się udławiają, podli łgarze! I w nogi. Co, dopędzą ich te baby?

Ale Wojtek go powstrzymał. Miał rację. Pomiędzy namiotami przewinęła się właśnie postać siwego, który wołał:

– No, co, drogie panie? Co z ucztą? Bo u nas już koniec!

– Ach, nie, nie! --- wrzasnęły drogie panie. – .Jeszcze z pół godzinki. Jeszcze tylko majonez i krem.

– Cóż będziemy robić, liłości!

– A pośpiewajcie sobie. „Cyraneczki” jeszczeście dziś nie robili.

Siwy narzekając uległ, kobiety zaś zakręciły się jeszcze gwałtowniej.

– Chodź – ponuro szepnął Wojtek. – Popatrzemy, co z tą ucztą.

Od pnia do pnia przeskakując ruszyli gdzieś w lewo. Ruch tu był potężny. O trzy kroki od nich po ścieżce biegały matrony polskie z garami różnego kalibru.

– Całe szczęście, żeśmy tę przekłętą Sulamitę popędzili! – wyszeptał Wojtek. – Kroku byśmy z nią nie mogli tutaj zrobić.

– I drugie szczęście, że i oni nie mają...

Ledwo powiedział to Andrzejek, gdy trzask gałęzi za nimi i... o zgrozo... warczenie! Zbielałą twarz odwrócił do Wojtka. Niestety, i ten tylko na przerażenie potrafił się zdobyć.

– Piesku, piesku! – wyszeptał Andrzejek, bez najmniejszego poczucia godności ludzkiej.

Warczenie ustało. Parę trzasków i oto spoza krzaków wyłazi uśmiechnięty pysk niebezpiecznej Sulamity. Wie, cholera, że nie wzbudzi jej nadejście entuzjazmu, ale usiłuje udawać, jakby nic między nimi nie zaszło, jakby nie było owej sceny z ciskaniem szyszek i kijów. Wygina się, ogonem merda, a nawet w pewnej chwili przewraca się na grzbiet i łapy wystawia w powietrze. Jak wiadomo, to psim języku oznacza to coś pośredniego między szczytem uczuć obywatelskich i osobistych, między „niech żyje” i „kocham”.

Wojtek już się szykował dać jej potężnego kopa, gdy Andrzejek powstrzymał go, wpół chwytając.

– Zwariowałeś? Narobi nam skowytu na cały powiat!

Wojtek uległ. Wściekli, głodni, zawiedzeni we wszystkim, poszli przed siebie tam, gdzie dążyły matrony z pełnymi garami.

6.

Nie było to daleko. Jeszcze kilkanaście sosen i dotarli na skraj sporej polany, jak i owa, namiotowa, z trzech stron otoczona lasem, z czwartej – otwartej na wielką, już zastygłą w bezruchu wieczornym płachtę zatoki. Zmierzch tu, w lesie, był taki, że zapalono trzy spore ogniska. I to w ich świetle czerwonym i rozedrganym odbył się finał tego dramatycznego ciągu wydarzeń.

Tu właśnie przygotowywano ucztę na cześć żeglarzy, tych prawdziwych, nie owych śmiesznych Rumbakstagów. Andrzejek i Wojtek stwierdzili zaraz, że dzielne panie doktorowe dołożyły wielkich starań, by ta ucztą wypadła naprawdę znakomicie.

Urządzona została według pospolitej u nas reguły kół koncentrycznych. To znaczy, na zewnątrz ułożono dosyć duży krąg z prześcieradeł i ustawiono na nim kilkadziesiąt menażek z łyżkami. Stosy chleba zdobiły swoimi burmańskimi pagodami biel tych improwizowanych obrusów. Było także trochę soli na kawałkach papieru.

Tę nieco spartańską prostotę równoważył krąg wewnętrzny. Tu chłopcy zobaczyli „skromną przekąskę” podniesioną do entej potęgi.

Więc i obrusy prawdziwe, i talerzyki, i sztucce poukładane zgodnie z regulaminem: widelec z lewej, łyżki i noże z prawej. I nawet przy każdym nakryciu drobniutki dowód piękna dusz doktorowych: jedna łyżeczka leśnych dzwonek.

Oprócz nakryć zaś to, o co chodzi. Zwały mięsów: opalowe głowizny, grube korale kabanosów, omszałe maczugi salami, bryły szynki eksportowych. Także coś z ryb: karpie na szaro, szczupaki faszerowane (pewnie po żydowsku, ale z tej odległości chłopcy nie mogli tego stwierdzić, zwłaszcza

że dotąd tak przyrządzonych szczupaków nie próbowali), węgorki wędzone i marynowane, oweż sardynki, bardzo skromnie się czujące w sąsiedztwie amarantowych łososi i czarnych perełek kaspjskiego kawioru.

Były także rzeczy słodkie. Jakies placki, jakies baby, salaterki ze świeżo zastygłym kremem, rondle z kisielami, poza tym cukierki, poza tym czekolada.

Były wreszcie rzeczy płynne. W butlach, przeważnie bezbarwne, i w karafkach, raczej koloru szlachetnej krwi, to znaczy niebieskawe, wiśniówkowate.

A między tymi wspaniałościami, bacznie pilnując, by plebs obozowy nie uszczknął czego z tych skarbów, przechadzały się różne matrony przerzucając się od niechcienia luźnymi uwagami i popędzając młodsze, te, które docierały właśnie jakies majonezy i dmuchały na spóźnione w ostygnięciu nóżki cielęce.

Z tych uwag chłopcy mogli wywnioskować: a) że gdzieś w pobliżu jest jakiś miejscowy aptekarz, który z miłości do kolegów po fachu przysłał własną motorówką trochę tych skarbów, zwłaszcza swoich, słynnych nalewek na digitalisie i dziewięciorniku, b) że obóz nie doszedł jeszcze do zasady „każdemu według potrzeb”, że jest na razie na szczuble zasady „każdemu według stanowiska”, stąd istnienie aż dwóch koncentrycznych kręgów, c) że ten stan rzeczy nie wzbudza entuzjazmu wśród szerokich rzesz obozowych, d) że sprzężyste kierownictwo ma jednak te nastroje właśnie w punkcie d).

– Niech się wypchają! – wyraziła się jedna z matron. – Tego kawioru na siedemdziesiąt pięć osób to wypadnie po pięć i pół ziarnka na buzię!

Ale te niesprawiedliwości społeczne mniej obchodziły chłopców niż ta, której ofiarą padli oni sami. Matrony nie szczędziły komentarzy i na ich temat.

Pytłowały więc między sobą, ciągle o tej niemoralności młodzieży dzisiejszej, o jej zachłanności na pieniądze, użycie, rozrywkę. Powtarzały ohydne oszczerstwo siwego i łysiego – Zygmunta o wyżebraniu owych czterystu złotych. A wreszcie wydarzyło się coś, co serce Andrzejka doprowadziło do takiego skurczu, że stało się pewnie podobne do małej wysuszonej rodzynki.

Mianowicie srebrny głosik zadźwięczał wśród namiotów i dopytując się, czy już wszystko gotowe, między ogniska wpadła ta czwarta Najada, ta z buzią jak torcik.

Musiała cieszyć się szczególną sympatią najgrubszej z matron, która pogroziła jej paluchem i zagrzmiała łaskawym barytonem:

– Niecierpliwi się sroka, co? Do tańców pilno? Wiem, wiem, jużes sobie kogoś upatrzyła!

– Ach, ciotucho! – pisnęła słodka Najada, jak pliszka przeskoczyła przez pierwszy krąg nakryć i schowała twarzączkę na potężnym biuście ciotuchny.

– Tak, tak! Chłopcy na schwał! A którzyż to?

– Ach, ciotucho! Ten, co wygląda na Malaja! Spalony na brązowy aksamit. I nazywa się Ali!

– Ach, sroka! A wczoraj jeszcze toś temu małemu przewróciła w głowie! Tak, tak, widziałam!

Tu przyszło najczarniejsze. Tu właśnie z serca zrobiła się rodzynka.

Mianowicie Najada spojrzała na ciotuchną pytająco.

– Któremu? Co też ciotuchna...

– No, temu, temu najmniejszymu...

Najada ciągle nie pamiętała. Gdy wreszcie ciotuchna ze szczegółami opowiedziała epizod „ugirlandzienia” i pocałunku, ten epizod, który był w duszy Andrzejka szczytem przeżyć z tej dziedziny – Najada nawet się nie uśmiechnęła.

– Ach, to! – powiedziała obojętnie i zabrała się zaraz do opiewania oczu Alego, jego profilu, torsu, całej sylwetki.

Ciotuchna słuchała Najady jednym uchem. Troska o to, by ucztą wypadła jak najświetniej, sprawiała, że matrona co chwila nachylała się nad półmiskami: tu przesunęła kwiatek, tam wyrzuciła zeschnięty listek. W pewnej chwili ogarnął ją nawet niepokój: potrafiła salaterkę z kremem i ten się zakolebał płynnie, jak mleko.

– Pani konsyliarzowo! – krzyknęła natychmiast. – A nie mówiłam, żelatyny za mało.

– Ale co też pani profesorowa mówi: sześć listków!

Ciotuchna z powątpiewaniem pokręciła głową. Bliska przyszłość przyznała jej rację w szczególnie dramatyczny sposób.

Siedzieli z Wojtkiem za krzakiem jałowca. Sulamita siedziała także, bardzo grzecznie, na tylnych łapach, patrząc przed siebie, na niedobrą Najadę. Andrzejkowi nieustanny rumieniec piekł policzki,

jakby spaliło je jakieś bezlitosne nocne słońce. Patrzył w ziemię. Wojtek klepnął go po plecach. Potem splunął i powtórzył swoje:

– Pies ich trącał!

Andrzejkowi zrobiło się jeszcze bardziej przykro. Aby uchronić się przed niemiłymi skutkami nadmiernej wilgotności oczu, wyciągnął rękę, pogładził Sulamitę i rzekł z cierpkim poczuciem pełni życiowego doświadczenia;

– Ach, Sulamitko, Sulamitko! Wasza psia przyjaźń o ileż jest wierniejsza! Tylko wy jesteście wierne do końca.

Sulamita spojrzała na niego, ogonem pomachała i klapnęła potakująco uszami. I zaraz potem wstała, przeciągnęła się wyginając do góry tył swego tułowia, ziewnęła, po czym ruszyła przed siebie, na utopijne kobiety.

Wojtek usiłował ją jeszcze schwytać. Ale gdy sycząc z wściekłości wyciągnął po nią rękę, obejrzała się, ogon podwinęła i ruszyła truchcikiem. Już była na polance, przy najbliższym ognisku.

Co gorsza już ją dostrzegła Najada.

– Ach, piesek! Jaki śliczny! No, chodź tu, piesku, no, chodź tutaj!

Ohydna, miała głos tak wabiący, że i Andrzejek pewnie, biegnąc do niej, zacząłby się wyginać z rozkoszy. Sulamita, ta po prostu wpadła w szal. Galopem dopadła do jej kolan i dokonała nawet skoku wzwyż, rekordowego dla swej przysadzistej rasy, chybiając ust Najady najwyżej o parę centymetrów.

Najada chwyciła ją w objęcia. Przepelniona wzruszeniami, o które przyprowadził ją czekoladowoskóry Ali, była skłonna do wylewu czułości, jak maciejka wieczorna do wydawania słodkich woni. Tuliła więc buzię do czarno-białych włochości Sulamitowych uszu, ścisnęła ją z całej siły, szczebiotała jak do niemowlęcia:

– A cio, cio to! A któż to maleństwo zagubił? A ciemu takie śliczne, takie milusie! A głodne pewnie! No, masz, milusia, no, masz!

Sulamita w życiu nie nasłuchiwała się tylu treli na swój temat. Zahartowana w odbieraniu najcięższych, koszarowych przekleństw, okazała się nieodporna na ten nadmiar pieśczęt i całkowicie się rozkleiła. Dość powiedzieć, że zaczęła nawet jęczeć, nieświadomie naśladowując głos niemowlęcia, co – ma się rozumieć – doprowadziło Najadę do dalszych wybuchów skumulowanych i nie wykorzystanych dotąd uczuć macierzyńskich.

Andrzejek, który zrazu chciał wiać i został siłą wstrzymany przez Wojtkę, patrzył teraz na to wzajemne czulenstwo się dwóch istot, które go zdradziły. Patrzył na wywijasy Sulamity. Oglądał karmienie jej kawałeczkami chleba z zewnętrznego kręgu nakryć. Czuł mdłości i nienawiść do obłudy świata. Nawet mannej kaszy przecież właściwie nie jadł, oddał tej podłej Sulamicie.

Ale oto pieśczętota pary zdradzieckiej wzięły kres. Rumor głosów ludzkich wypłoszył Najadę z ucztowego kręgu. Spomiędzy namiotów zjawily się pierwsze szeregi zaproszonych. Na czele szli oczywiście prawdziwi żeglarze. Na czele ich szedł oczywiście – Ali. Chłopcy domyślili się tego i z jego naprawdę orientalnej twarzy, i zwłaszcza z zachowania się Najady. Oto ręce tulące pieska same się jej rozwarły. Wpatrzona w Alego stała jak posąg.

Ali też spojrzał. Pewnie najchętniej poszedłby ku niej. Ale najbardziej wolni ludzie naszego świata są niewolnikami przemówień. Szykowano tu dla nich ucztę jak jasny gwint. Jakże mogła obyć się bez przemówień!

Oto przed Alego wyskoczył nieodłączny siwy. Gestem nakazując reszcie obozowiczów ustawić się w malownicze półkole, lewą rękę trzymając w okolicy trzustki i powiewając dumnie prawą ręką, zaczął rąbać swoje.

Zaczął od obrony pokoju, oczywiście. Trzeba jednak przyznać, że i w nim nowe obyczaje uczyniły pewne wylomy, bo dość szybko przeszedł do spraw lokalnych. To znaczy, zaczął znowu objeżdżać Rumbakstagów, przeciwstawiając im prawdziwych żeglarzy, którzy... i tak dalej, i tak dalej...

– Łobuz! – syczał Wojtek. – A kto się z nami umawiał, żeby niesfornych do ćwiczeń ze szkotami?

Siwy, rzecz jasna, pominął tę sprawę milczeniem. Zaczął się znęcać nad Andrzejkiem. Robił to w sposób wywołujący pożądane skutki. Ludzie zaśmiewali się chóralnie. I torcikowa Najada także.

Żar bił z Andrzejkowych policzków... Nie mógł spojrzeć na Wojtkę. Nie mógł spojrzeć na zebranych ucztowiczów. Zdawało mu się, że wszyscy są weń wpatrzeni, że widzą go poza tym kretyńskim krzakiem jałowca.

Najchętniej by już wiał galopem do dalekiej Atalanty. Ale Wojtek go trzymał. O tyle miał rację, że przecież jeszcze nie załatwili podrzucenia koperty. Syczał mu w ucho, że jak tamci zaczną jeść, wtedy, do namiotu siwego...

Siedział tedy pod krzakiem, słyszał mimo woli, cierpiał. Nie wiedząc, gdzie ulokować spojrzenie, patrzył w ziemię. Potem spojrzał trochę dalej. Na biały krąg prześcieradeł.

I wtedy zobaczył dowód istnienia Wyższej Logiki Rzeczy. Zobaczył Mściciela!

Siwy głądził, ludzie się śmieli wpatrzeni w jego gębę~

A Sulamita, upuszczona na ziemię przez Najadę, przystępowała właśnie do działania. Powoli, grzecznie przedostała się przez przejście w kręgu zewnętrznym, z pełną pogardą traktując pagody z kromek chleba.

Gdy podeszła do kręgu wewnętrznego, zatrzymała się z wahaniem i nawet pomachała ogonem. Niewiarogodne jej się wydało, że taki nadmiar dobrych rzeczy jest na odległość jej wyciągniętego ężora. Wietrzyła w tym jakąś zasadzkę, jakieś oszukaństwo.

A potem zdrowy realistyczny pogląd na świat zwyciężył w niej te przeżytki ciemnej metafizyki. Pochyliła łeb i za plecami niespożytego mówcy zabrała się do roboty.

Wykazała przy tym daleko posuniętą znajomość bankietowej etykiety. Zaczęła mianowicie od kawioru. Nie przypadł jej do smaku, może z braku tartinek z masłem i ćwiartek cytryn. Dlatego liznęła go tylko i przeszła do ryb.

Tu wybrała raczej szczupaka: faszerywany, więc bez ości. Andrzejkowi już od minuty przeszły i mdłości, i nienawiść. Pełen nadziei spoglądał na wyczyny Sulamity. Wojtek, w bok szturchnięty, syczał co chwila: „Pies ich trącał, pies ich trącał!” I trzeba przyznać, że to powiedzonko pełne było nareszcie jak najwierniejszej prawdy życiowej.

Mówca nie poprzestał na wyśmiewaniu Andrzejka, przeszedł do idei „ćwiczeń karnych”. Sulamita też nie poprzestała na rybach, przeszła do mięsa. Mówca wywłókt te ćwiczenia, cynicznie oświadczając, że zaproponował je, aby chłopców nabić w butelkę. Sulamita wywlokła z pięknie zastygłej głowizny największy kawał mięsiwa, zręcznie przewracając najbliższą butelkę.

– Pies ich trącał! – syknął zdenerwowany Wojtek, jak najbardziej a propos.

Ale mówca zanadto się roztokował, widzowie zanadto się zaśmiewali, aby dostrzec niebezpieczną Sulamitę. Zresztą suka pod jednym względem była wychowana bez zarzutu: jadła cichutko, ani mlaśnięcia, ani siorbania!

Mówca gadał i gadał. Sulamita jadła i jadła. Przez chwilę wydawało się, że zmierza przecież do zwycięskiego końca, powiedział nawet „i dlatego”. Sulamita także po zjedzeniu głowizny zatrzymała się niepewna, czy ma przejść już do deseru, czy starczy jej zapasu na wędliny. Mówca jednak przypomniał sobie, że jeszcze nic nie powiedział o nieustannym podnoszeniu stopy życiowej. Sulamita też podniosła swoją śliczną włochatą stópkę i napoczęła najróżowszą z konserwowych szynek.

Andrzejkowi niepokój uderzył do serca.

– Słuchaj, czy to możliwe? Żeby jeden mały pies tyle zeżarł? Ona nam się jeszcze rozchoruje!

– Nic, nic! – syknął Wojtek. – Małe psy mają rozciągliwe brzuchy.

Andrzejek wiercił się jednali niespokojnie i nawet z cicha pogwizdywał. Nie potrzebujemy dodawać, że Sulamita nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

Z tego pojedynku, z tego wyścigu dwóch wielkich indywidualności, zwycięsko wyszedł oczywiście król stworzenia, człowiek. Wyrzucając do góry dłoń prawą, podsumował:

– I dlatego prosimy was oto na ten skromny posiłek. Po czym nastąpią tańce murzyńskie.

W tym właśnie pomylił się gruntownie. Tańce murzyńskie nastąpiły natychmiast.

Tak, jak wszyscy wpatrzeni byli dotąd w gębę mówcy, tak spojrzeli teraz jednocześnie na kręgi biesiadowe, zachęceni szerokimi gestami rąk siwego i ciotuchny.

Spojrzeli – i w ciągu jednej dziesiątej sekundy miny ich uległy gwałtownemu przeobrażeniu. Były słodkie, uśmiechnięte, pełne oczekiwania, ociekające ślinką przepięknego apetytu, zaostzonego półgodziną gadaniną.

A teraz z oczu ich biło zdumienie, przerażenie, popłoch, groza, gniew, nienawiść, furia. Wrzask kilkudziesięciu gardzieli!

Sulamita, jako się rzekło, przegrała te zawody. Człowiek już skończył, ona zaś dopiero zabierała się do wetów, dopiero liznęła trochę kremu. Wrzask ludzki osadził ją na miejscu. Podniosła pysk ociekający białą cieczą.

Cała reszta wydarzeń trwała liczone sekundy. Jak często się zdarza, poszkodowani w tym wypadku sami szkody swoje rozdęli wielokrotnie.

Bo, przy nadzwyczajnej wydolności swego żołądka, Sulamita nie zjadła oczywiście całej kolacji dla kilkunastu wybrańców kręgu wewnętrznego. I szynek zostało parę, i łosoś, i sardynki, i kura w galarecie. W ostateczności można by było nawet zgarnąć z góry warstewkę kawioru zwilżoną psim jęzorem. Zresztą nikt z zainteresowanych nawet tego świętokradztwa nie widział. Kawior wyglądał na nie ruszany.

Słowem, uczta z pewnością nie byłaby już tak wspaniała, aleby się odbyć mogła w każdym razie, gdyby nie panika, która właśnie wybuchła.

Niechaj nikt nie mówi, że panika bywa wyłącznie jednokierunkowa, defensywna, odwrotowa, zmykająca, drapaczna, wiejna: Krótkie, ale treściwe nasze dzieje najnowsze obfitują przecież w paniki całkiem innego rodzaju. Któż nie pamięta naszych wspaniałych panicznych ofensyw, naszych zaczepnych, nacierających, ofensywnych panik, kiedy z żarliwym, zwycięskim wyciem rzucając się na szkodnika, deptaliśmy i jego, i to, czemu miał szkodzić, to, cośmy przed nim pragnęli uchronić!

Coś takiego rozegrało się teraz. Siedemdziesiąt pięć zgłodniałych gardzieli wrzasnęło nieludzko i sto pięćdziesiąt nóg runęło we wspaniałej ofensywie na Sulamitę.

Acz obżarta, Sulamita zachowała błyskawiczny refleks. Nie tylko w mgnieniu oka się odwróciła, ale nawet po drodze z podziwu godną przytomnością umysłu chwyciła w zęby koniec parometrowego kabanosa, zwinętego w sprężynę na półmisku.

Jeśli ktoś przy tym sądzi, że spaniole stać wyłącznie na truchcik – to chłopcy mogliby poświadczyć coś całkiem innego. Przyciśnięta koniecznością Sulamita przeszła w galop. Nie miała przy tym żadnych nastrojów samokrytycznych, o czym świadczył ogon, nie wciśnięty pod siebie, ale dumnie wystawiony sztorcem.

Ta jej czelność rozogniła jeszcze bardziej ścigających. Ciotuchna, która zrazu wysforowała się na czoło pościgu, już, już – zdawało się – miała ją chwycić za ogon, gdy stąpiła niebacznie na koniec zmykającego jak żmija kabanosa. Targnięta, straciła równowagę. I całym impetem swojej stukilowej, świetnie upiersionej osobowości runęła na ziemię.

Uprzejmość losu uchroniła jednak jej twarz od zbyt brutalnego kontaktu z powierzchnią naszego globu. Trafiła mianowicie swoim ongiś słynnym z zadziorności noskiem prosto w środek salaterki z kremem. W zamieszaniu, które teraz nastąpiło, wydarzyła się rzecz teoretycznie niewiarogodna, której autentyczność jednak obaj chłopcy gotowi są zaprzysiąc.

Oto zanim ciotuchnę wyciągnięto z kremu, na białej jego powierzchni wyrzuszyły się trzy ogromne bąble. Pękały zaraz i z każdego wydobywała się jedna barytonowa, grzmiąca fraza.

Pierwsza brzmiała: – Za mało!

Druga: – A nie mówiłam!

Trzecia: – Żelatyny!

Osobliwa kolejność tych słów wynikała zapewne z tego, że fraza „za mało”, jako najkrótsza, w drodze przez kremowe topieliska wyprzedziła frazę „a nie mówiłam”, wypowiedzianą przecież najpierw.

Oczywiście ten wypadek tylko powiększył chaos pobojuwiska. Torcikowa Najada rzuciła się na ratunek ciotuchnie, czekoladowy Ali rzucił się na pomoc Najadzie. Jego żeglarze przyłączyli się żwawo do akcji. Na wewnętrznym kręgu powstało zamieszanie. Ktoś nadeptał puszkę z kawiosem. Czarna fontanna śmignęła do góry. Łysy Zygmunt, który nawoływał do spokoju, dostał cały strumień tego kawioru prosto w rozwarte usta. Frajer, zamiast po cichu cieszyć się z tej ponadplanowej racji smakołyku, zakrzuszył się i zaczął parskać i kichać na czarno.

Ale główne siły Utopów dopiero nacierały. Terenem ich akcji stał się krąg zewnętrzny. Ktoś wpadł na pomysł użycia menażek jako pocisków. Niestety, nazwisko jego nie przeszło do historii, choć wszyscy natychmiast skorzystali z tego wynalazku. Dziesiątki pocisków runęło w ciemność nocy. Padaly z podskokami na ziemię, waliły o pnie sosen, grzęzły w jałowcach, z donośnym brzękiem zderzały się z sobą w powietrzu.

Potem przyszedł koniec klęski: tłuszcza dorwała się do tego, co – jedyne – z grubsza ocalało z pogromu, do wódek. Brak zakąsek i furia spotęgowały i przyspieszyły normalne u Polaków skutki alkoholu. Jedni zaczęli śpiewać: „Wołga, Wołga!” Inni rwali się do bitki między sobą. Pozostali włązili pod krzaczki i popłakiwali cichutko, samym sobie opowiadając dzieje swego bezgrzesznego dzieciństwa.

Tak wyglądał upadek Utopii. Wojtek rozglądał się, szukał siwego. Ale wódz utopiecznego obozu znikł gdzieś bez śladu. Tylko łysy Zygmunt błąkał się na pobojuwisku, zrozpaczony, że nie skorzystał z cudownej okazji kawiorowej, i szukając beznadziejnie jej resztek.

Wtedy Wojtek wyskoczył wreszcie zza krzaka, chwycił łysego za rękę i zanim ten się zorientował, wciągnął do siebie, za jałowiec. Tu, bełkocąc trochę z pośpiechu, wetknął tamtemu do ręki kopertę, kazał przeliczyć pieniądze i nawet wymógł wypisanie kwitu.

Łysy posłusznie wykonał to wszystko, ale gdy go chłopcy wypuścili, skoczył na polanę i zaczął wołać:

– Ratunku! Bandydzi! Rumbaksztagi!

Kilku niezbyt urzędnym Utopów dopadło doń. Machał kopertą i krzyczał ciągle:

– Rabusie! Wsadzili mi to do ręki!

Andrzejek spojrzął na Wojtkę. Ten skinął głową. Skoczyli przed siebie w ciemność nocy. Na polanie ruszała nowa fala pościgu za rabusiami nowego rodzaju, którzy mają czelność swoim ofiarom wsadzać do łapy pieniądze.

Pościg jednak był niezręczny, przepity, na niewysokim ideowo-politycznym poziomie. Chłopcy oderwali się od niego bez trudu. I wtedy, mijając ostatni zakątek pobojuwiska, zobaczyli jednego jedyne Utopa, który nie tylko nie był przygnębiony tą potworną klęską, ale wprost przeciwnie, promieniał szczęściem.

Był to Dąbrowski, freudysta. Patrzył na szczątki ognisk, kręgów ucztowych, zapasów – i z zapalem wymachiwał rękami.

– A widzicie! – krzyczał. – A widzicie, kolego Kowalski! A nie wierzyliście w kompleks samozniszczenia, autodestrukcji! No, to macie, kolego Kowalski. No, to macie!

Parę wybawień.

1.

Nie potrzebujemy dodawać, że od owej nocy Sulamita zdobyła sobie stałe miejsce przy ognisku Rumbaksztagów, jak postanowili odtąd dumnie się nazywać. Jej pozycja wzmocniła się tym bardziej, że niosła z sobą wpisowe czy wiano. Wróciła mianowicie, ciągnąc za sobą z półtora metra kabanosa. Była tak obżarta, że bez protestu oddała te trofea Kucykowi.

Najbliższy wiec posiłek chłopców składał się z najbardziej rozmamłanej kaszy mannej i kawałka suchego, pieprzonego, czosnkowego kabanosa.

Ba, dobre i to, zważywszy, że w kabzie mieli ledwo owe trzydzieści złotych, ciężko zarobione przez Zdzisia na szkotach i baksztagach. Najbliższego ranka pobitewnego odjechali o kilka kilometrów dalej, bojąc się spotkań z tamtymi. Znaleźli samotną zagrodę, której gospodyni dała się wziąć na mandolinę Wojtkę, sprzedawała im po parę litrów mleka i nawet zrobiła prezent z kilkunastu kartofli.

Siedzieli tam parę dni, nie bardzo wiedząc, co czynić dalej. Przeważnie opalali się wołąc zanadto nie ryzykować z wyprawami na główny szlak jeziorny.

Ten zaś był przepelniony od rana do nocy włącznie.

Pogoda trwała ciągle, lekkie wiatry czochrały drzewa przybrzeżne i pędziły żagłówki nie za silnie, nie za słabo, w sam raz. Z daleka dostrzegli pewnego dnia pomarańczowy żagielek nad kajakiem, ale nie byli pewni, czy to ich znajomek sprzed tygodnia.

Gdy wreszcie z trzydziestki zostało złotych dziesięć z drobiazgiem, zapytali o radę gospodyni. I ta także wspomniała im o Gorzyżalkach.

– Mówili po mszy, że dwadzieścia pięć za dniówkę i jeden posiłek – twierdziła na ich zapytania o pracę. – Tylko że ja...

– Co pani? – podchwycił Edzio.

Nie chciała mówić. Po długim nacisku wydusili z niej potwierdzenie plotów starej Mazurki, że tam niedobrze, nie w porządku...

— Na przykład drób, tam i ten się nie trzyma! Krowy były, to trzy lata temu wszystkie wyzdychały. Ludzie mówią, że tam ktoś złe oko...

Zamienili domyślne spojrzenia, co miało ten skutek, że się obraziła i umilkła, całkiem jak doktor Rapa. No, i musieli odjechać. Nie wyszła nawet ich pożegnać, obrażona śmiertelnie.

Wiatr głównego szlaku porwał wnet Atalantę. Bez dyskusji przyjęto jeden jedyny wniosek, który mężczyźni mogliby z tej sytuacji wysnuć: na Gorzyżki!

Okazało się, że jednak to dalej, niż przysięgał Rapa. Cały dzień halsowali na dosyć wąskim jeziorze, pełnym trzciny i leniwych perkozów, usiłujących odpędzać jacht gardłowym pokrzykiwaniem.

Potem, już po południu, wyjechali na szerszą przestrzeń i dostali wiatr boczny. Był rześki, chwilami przechylał Atalantę tak, że niemal czerpała burtą wodę. Z daleka już zobaczyli miasteczko obramowane dużymi kępami drzew, wdzięcznie ułożone na wysokim brzegu jeziornym, uwieńczone trzema białymi wieżami kościołów, przykryte zbladłym już nieco, popołudniowym błękitem nieba.

- Zawiniemy, co? - Zdzisio znad steru spojrzął na resztę. - Trzeba rozprostować nogi.

Nie spotkało się to z protestem. Po paru minutach przechylona bocznym wiatrem Atalanta zaczęła się prostować, bulgot pod dziobem ścichł, pęd się zmniejszył. Zaraz wpadli w cień wielkich drzew. Tu wiatr ustał nagle i całkowicie, jakby to słońce osobiście dmuchało dotąd, popędzając żwawo żaglówkę. Teraz tylko bezszumny rozpęd sprawił, że z trudem dobili do najbliższej z przegródek przystani.

Kucyk był na dziobie. Szybko łódź przycumował. A potem stanął, zdziwiony jakąś osobliwością środowiska, nie od razu pojmując oczywistą tego przyczynę.

Przystań była duża. Kilkanaście sporych żaglówek stało tu grzecznie przy sobie, wyrównując jak na paradzie swoje nagie maszty. Na brzegu budynek przystani i nawet parę klombów. Długie szopy po bokach. Ogrodzenie i za nim pierwsza uliczka.

- Nie rozumiesz? - klepnął go po ramieniu Wojtek. - Bardzo proste: żywej duszy!

- Rzeczywiście! - krzyknął Andrzejek. - Co to jest, Kucyk? Dziś niedziela, po południu, słońce i nikogo! Co tu się dzieje?

- Ciszej! - szepnął Wojtek.

Ucichli. Krzyk jakiś rozpaczliwy do nich dobiegł, daleki, ale potężny, przepojony dogłębną boleścią.

- Co to? - półgłosem powtórzył Andrzejek i obejrzał towarzyszy wzrokiem, w którym już się zrodził niepokój.

Zdzisio i Wojtek jeszcze słuchali. Krzyk się nie powtórzył. Spojrzeli pytająco na Kucyka.

- Zbadamy to! - oświadczył ważko. - Rudawski i Bień, za mną, Wawerko, wachta na statku!

- Kucyk... -- jęknął Andrzejek.

Kucyk tylko głową pokręcił. Andrzejek jednak miał tak nieszczęśliwą minę, że Wojtek ofiarował się z zastępstwem.

- Co tam ciekawego! - parsknął. - Pies ich trącał.

Wyszli, prowadzeni przez Kucyka. Z tyłu pusta budka strażnika portu. Pusta ulica, wysadzona prościutkimi brzoźkami. Puste dziedzińce białościennych, czerwonodachych domków, puste ich pozamykane okna, puste sadziki z przekwitłymi dopiero co wiśniami, z rumieniącymi się porzeczkami. Tylko psy ujadają przy furkach, napastliwie - na chłopców, przymilnie - do kroczącej na końcu czarno-białej piękności.

Wydłużonym krokiem przemierzali tę zamartłą ulicę. Następna była już śródmieściem: sadziki tu znikły, domkom zaś powyrastały pierwsze i drugie piętra. Ale i tu było pusto.

Co gorsza, na rynku też nie spotkali nikogo. Znaleźli się na środku jego kamienistego prostokąta, gdy znów powtórzył się krzyk, potężny, ale inny w intonacji: zrazu narastał nadzieją aż do uniesienia, potem się urwał gwałtownym wrzaskiem skrajnej rozpacz. Stali, patrzyli sobie w oczy. Zdzisiowi jakby coś zaczęło świtać w głowie, gdy Sulamita podniosła łeb i szczeęknęła. Obejrzeni się i sami też o mało nie wrzasnęli: tak niezwykle zdążył stać się dla nich w tym miasteczku widok żywej istoty.

W otwartym oknie drugiego piętra kamieniczki ukazała się jakaś staruszka. Też była zaskoczona ich widokiem. Skamieniała opierając się o parapet, oczy wytrzeszczyła.

Podbiegli do niej.

- Proszę pani! - krzyknął Kucyk. - Co tu się dzieje?

Nie słuchała go, coś ciepłego zapaliło się w jej oczach.

- No, nareszcie! - zawołała klaszcząc w dłonie. - Nareszcie paru takich, co nie zwariowali! I w dodatku młodzi, całkiem młodzi! Moi kochani, wielkiej rzeczy dokonaliście, wielkiej rzeczy!...

Urwała, jakby się w czymś połapała. Spojrzenie jej stało się podejrzliwe.

- Czekaście, czekaście! A wy skąd? Z Lenartowicza? Czy z handłówki?

- My z Kopernika! - wyrwało się Kucykowi.

Staruszka machnęła ręką dosyć rozpaczliwie.

- Oczywiście! Z Olsztyna!

- Z Warszawy! - sprostował z godnością Kucyk.

Gniewnie się odwróciła, aby zatrzaskać okno. W tej chwili po raz trzeci wrzask niezwykle przyleciał na rynek, znowu zrazu upojny, potem bezbrzeżnie smutny.

- No, to na co czekacie? - wychyliła się staruszka. - Biegnijcie, biegnijcie! To tam! Tam wasz przeklęty futbol!

Obejrzeni się na siebie i rzeczywiście pobiegli. Wołała za nimi, szyderczo i beznadziejnie:

- Oczywiście, oczywiście! Nic, tylko futboli Ani recytacje, ani śpiew chóralny, ani tańce ludowe! Tylko ten futbol i futbol! Hańba!

- Patrzenie ją, jaka zawzięta! - zdziwił się Zdzisio już w biegu.

- Ale, że też nie domyśliłeś się od razu! Też mi sportowiec! - dociął mu Kucyk.

- Od razu tak pomyślałem - wykręcał się Zdzisio. - Tylko że tu tak pusto, tak całkiem pusto! U nas w Warszawie czegoś podobnego...

2.

Dobiegli zaraz do drugiego końca miasteczka: nie było duże. Tu, w otoczeniu młodego brzeźniaka, mieścił się lokalny stadion. Zobaczyli zresztą tylko frywolną bramę z deszczulek i napis „K.S. Ogniwo Gałwuny”. Boiska nie zobaczyli wcale. Przesłaniał je tłum gęsty, różnobarwny i rozwrzeszczany.

Czas jakiś usiłowali przepchać się, zobaczyć, co się dzieje, Ale bieżnia, czarną elipsą obramowująca boisko, zapchana była ludźmi. Parę rzędów ławek też zapełniali widzowie, balansujący na wąskich deseczkach. Żaden z Rumbakstagów nie był dotąd na derbach w Epsom. Słyszeli jednak coś o tej imprezie i wydało im się, że musi wyglądać z grubsza w ten sposób.

- Co tu się dzieje? - zagadnął Kucyk jakiegoś starszego gościa, który stojąc na ostatniej, najwyższej ławeczce wymachiwał słomkowym kapeluszem, krzycząc coś niewyraźnego.

Starszy jegomość nic nie odpowiedział, a gdy Zdzisio ostrożnie dotknął mu kolana, tamten machnął na oślep ręką, jakby odpędzając natrętną muchę.

Dopiero stojąca przy jegomościu, ale na ziemi, pani w pewnym wieku i różowym kapeluszu zechciała wreszcie udzielić chłopcom łaskawej odpowiedzi. Wyglądało to tak:

- No i co, Rysiu, no i co? - zawołała tarmosząc jegomością za nogawkę. - No, mówże!

- Gnio! - krzyknął jegomość.

- No, to chwała Bogu, chwała Bogu! - westchnęła. - Gnio! gnio! A panowie jak nie wiedzą, to niech afisz przeczytają, zamiast przeszkadzać porządnym ludziom! No i co, Rysiu, no i co?

- Gnio! gnio! - krzyknął jegomość.

Chłopcy obejrzeni się, dostrzegli na bramie lekko naddarty afisz. Oto, co głosił:

Mecz decydujący
O WEJŚCIE DO WOJEWÓDZKIEJ KLASY A
K. S. GAŁWUNY - K. S. SPÓJNIA ŚWIĘTA LIPKA

A więc zagadka okazała się dosyć prosta. Odwrócili się chcąc przynajmniej zerknąć na grę, która miała tak szaloną siłę atrakcyjną dla gałwunian.

- Gniotą, gniotą! – krzyczał jegomość, szarpany za nogawkę. Potem urwał, zerknął na zegarek: - Psiakrew, jeszcze tylko piętnaście minut!

To im wyjaśniło sytuację, zwłaszcza że za zwartą ścianą dorosłych, murującą dostęp do boiska, dostrzegli siedmioletniego brzdąca, który zrezygnował z przepychania się między ich nogami i z filozoficznym spokojem lizał lizak.

- Zero, zero - skomentował niepokój jegomościa. - Nasi gniotą, ale mają pecha. A bo fujary. czemu Poniża trzeciego dali na środek, nie na łącznika?

Popatrzyli nań z podziwem. Ucieszył się, ale nie dał po sobie poznać.

- Idźcie pod naszą bramkę. Tam! Tam jeszcze coś można zobaczyć. Teraz wszyscy pod tą Świętą Lipką. Żeby naszym dodać gazu! To pod naszą musi być pusto.

- A ty czemu nie idziesz? - spytał Andrzejek.

- A czego ja tam nie widziałem? - wzruszył ramionami. - Ja nawet Gwardię Etk widziałem. Z trzeciej ligi! A te tu...

Wzruszył ramionami. Posłuchali jego rady. Szli poza ścianą publiczności wstrząsaną skandowaniem:

- Po-niż, go-la! Po-niż, go-la!

Druga połowa wrzeszczała po prostu:

- Gałwuny! Gałwuny!

I było w tym wołaniu coś z prośby o litość.

Siedmioletni zblazowany kibic, jak się okazało, wiedział, co mówi. Rzeczywiście, w miarę zbliżania się nieuchronnego końca coraz więcej zapalonych gałwunian przesunęło się w lewo, pod bramkę Świętej Lipki. Wrzask teraz wstrząsał, zdawało się, listowiem okolicznych brzózek. Przepychając się wśród ludzi stojących na paluszkach, z zadartymi do góry podbródkami, trójka Rumbakstagów wydostała się w końcu na wolną przestrzeń. Koło bramki gałwuńskiej w ogóle było pusto, tylko rezerwowi bramkarz podrygiwał nerwowo, wpatrzony w dramat rozgrywający się naprzeciwko.

Był to dramat, rzeczywiście. Poparci przez żywiołową sympatię, miłość, nadzieję współmieszkańców, gałwunianie przynietli Świętą Lipkę tak zdecydowanie, że obie drużyny skupiły się właściwie na polu karnym gości. Nawet gałwuński bramkarz nie wytrzymał tego napięcia - jakby ściągany niewidzialnym magnesem, z każdą minutą posuwał się ku środkowi boiska i w tej chwili był daleko poza własnym polem karnym. I na odwrót, piątka napadu Świętej Lipki w całości została przeniesiona na etaty obrończe. Na środku boiska nie zostawiono ani jednego świętolipkarza, choćby dla reprezentacji.

Ta koncentracja ludzka z kolei spowodowała zastosowanie przez gałwunian swoistej taktyki, odpowiadającej staropolskim tradycjom i streszczającej się w Zagłobowskim haśle: „Kupa, mości panowie, kupa!” I kupa ta zresztą była niezwykajna. Wysokie napięcie uczuciowe mieszkańców gałwuńskiego grodu w połączeniu z przeżytkami szkodliwego kultu jednostki w rezultacie zrodziło wrzask targający tłumem: „Poniż, gola!”

Któż by śmiał się opierać temu hasłu? Każdy gałwunianin otrzymując piłkę nie patrzył na przeciwnika, nie szukał dziury w świętolipkowej obronie, rozglądał się tylko za Poniżem i natychmiast gdy dostrzegł zadarty nos i jasnoblond mandolinę miejscowego bożyszcza, kopał doń piłkę. Świętolipkarze, całkowicie zduszeni wrzaskiem widowni, zatracili już także zdolność do jakichś bardziej skomplikowanych czynności mózgu. Został im właściwie jeden tylko odruch, zaiste bezwarunkowy: bliżej Poniża! Obstawiony przez sześciu przeciwników as gałwuński daremnie skakał, kucał, wywijał obu nogami, tułowiem, głową, parą łokci, daremnie popisował się zwodami, unikami, nożycami przednimi i tylnymi, daremnie zwłaszcza demonstrował to, co mu - zdaje się - przysporzyło najwięcej sławy: swój przepiękny, nieco pęknięty tenor, daremnie krzyczał: „Tu, tu, podaj, wystaw, wyłóż, wykiwaj!” Wszystkie jego żądania, mimo że natychmiast spełniane przez resztę drużyny (a raczej właśnie dlatego), powiększały tylko dramat, piłka doń kopana stawała się natychmiast żerem przeciwnika i zamiast do bramki świętolipkowej szła byle gdzie, na aut, na zero.

Oczywiście cały wywód powyższy nie jest opisem dramatycznego meczu, jest już próbą analizy, próbą materialistycznego wytłumaczenia tego, co powszechna opinia widzów coraz głośniejsze określała: pech, pech, pech straszliwy, niewiarogodny, międzyplanetarny!

Czysto wzrokowo sprawa wyglądała tak: z kotłowaniny czerwono-niebieskich koszulek gałwunian i niebiesko-czerwonych strojów świętolipkowych wynurzała się nagle słomiana czupryna Poniża. Zaraz koło niego robiło się gorąco. Czyjeś ręce, głowy i nogi wyczyniały szereg bardzo gwałtownych ruchów. Zwarta ściana widzów, z trzech stron otaczająca świętolipkową połowę boiska, zaczynała wydawać

dziwny odgłos, podobny do „a-a-a” w powoli rosnącej tonacji. Potem ręce, nogi i głowy nieco się uspokajały, w powietrze wylatywała mała brudnobrązowa piłka, lądowała na głowach widzów i wrzask się urywał krzykiem rozpacz, który tak zaintrygował przed kwadranssem naszych podróżników.

W miarę upływu minut dramat przerastał w tragedię. Już nie tylko ów mechanizm, opisany przed chwilą, uniemożliwiał gałwunianom zrealizowanie ich miażdżącej przewagi. Po przeszło godzinie daremnych wysiłków nerwowość zaczęła coraz potworniej porażać gospodarzy. I teraz dopiero wkroczył do akcji tak uporczywie wywoływany upiór - pech.

W pewnej chwili, zupełnie przypadkowo, Poniż zamiast przed bramką znalazł się na prawym skrzydle. Oczywiście, za nim powędrowało sześciu czy ośmiu przeciwników i jako odsiecz drugie tyle gałwunian. Trudno powiedzieć dlaczego, ale przed bramką gości przypadkowo pozostał jeden z gałwuńskich napastników. Zamieszanie na prawym skrzydle skończyło się jak zawsze: ponad głowy wyskoczyła piłka. Zamiast jednak powędrować za boisko, poszła w stronę wprost przeciwną i w pewnej chwili ów zagubiony gałwunianin z niepokojem zobaczył przed sobą tańczącą w lekkich podskokach zaczarowaną kulę skórzaną. Niepokój jego stał się przestraszeniem: obejrzał się i nigdzie nie dostrzegł Poniża. Bożyszcze bowiem padło i pięciu graczy właśnie go podnosiło.

Przestraszony gałwunianin stał się niebawem przerażeniem. Nie było nawet wykřętu ze spalonym: jeden obrońca zawiązywał właśnie but o metr przed bramkarzem.

Teraz zaskoczenie było powszechne. Szczególnie zdetonowała się publika. Jak to, gol bez Poniża? Parę sekund wszyscy milczeli. Potem znalazł się jeden sprawiedliwy na widowni - Zdzisio. Krzyknął, rzecz oczywista:

- Strzelaj!

I gałwunianin strzelił. Nie atakowany przez nikogo, o dwanaście metrów od bramki, mając czas, aby bezlitośnie wycelować.

Odskoczył nawet jeszcze o dwa metry, żeby dodać sobie rozpędu. Jaka cisza na widowni!

Oto czubek jego buta nawiązał kontakt z piłką! Ach, niestety! Mocno poniżej jej równika nastąpiło nawiązanie tego kontaktu! Z ogromną siłą kopnięta piłka strzeliła prawie pionowo, prosto w otchłanne letnie niebo!

Z tego samego nieba grom: tak zareagowała widownia! Nieszczęsny gracz chwycił oburącz swoją biedną głowę, padł na ziemię i trochę się potarzał. Stojący przy chłopcach rezerwy bramkarz splunął i rzekł przez zęby:

- Wiadomo, nie Poniż. Czego się pchał? Frajery mu naraiły, a on już uwierzył! - I spojrzął ponuro na Zdzisia.

Teraz się zaczęło pięć minut końcowego szaleństwa. Zmobilizowawszy resztki wyczerpanych płuc, gałwunianie znów zaintonowali swoją pieśń bojową: „Poniż, gola!” Smagnięty nią wodzirej zaczął naprawdę dwoić się i troić. Nie bawił się już w żadne formalistyczne fidrygałki. Gdy tylko dostawał piłkę (a dostawał ją co dziesięć - piętnaście sekund), natychmiast walił ją nogą, kolanem, piersią, czołem, potylicą - prosto w zaklętą bramkę świętolipkową.

Niestety, jeśli są na świecie siły nieczyste, to właśnie teraz, na końcowe pięć minut zgodziły się one wziąć tę bramkę pod swoją obronę. Wszystkie strzały Poniża trafiały w próżnię, lądowały w objęciach bramkarza gości, odbijały się od nóg, kolan, piersi, czoła i potylicy świętolipkowych. Drogocenne sekundy mijały, wrzask widowni już nie milkł w ogóle, rezerwy bramkarz koło chłopców zaczął dziwnie podrygiwać i tylko powtarzał:

- Ale pech! Ale pech! Ale nam dadzą! Ale nam dadzą!

- Kto da? Dlaczego? - nie wytrzymał Zdzisio.

- Nikt nie da. Nic! Ani wczasów! Ani premii! Na ulicę nie wyjdiesz! Do baru nie zajrzysz! A, cholera, pech, cholera, pech! Pech! Ostatnia minuta!

I w tejże chwili wrzask ucichł nagle. Dojrzeli zamieszanie. Gwizdek sędziego przerywający grę. Kilku ludzi się nachyla, podnosi...

- Poniż! - wrzasnął tłum.

Istotnie, Poniża dźwigały ręce towarzyszy. Leżał bezwładny, z głową odrzuconą do tyłu, z włosami spadającymi w dół, jak słomiany wodospad. Zdawało się nawet, że ma nieprzytomnie zamknięte oczy.

Cisza trwała parę sekund. Sędzia wezwał kapitanów drużyn i coś im mówił grożąc palcem.

To właśnie dostrzegła publiczność i w lot zrozumiała. Grozi palcem, więc tylko ostrzega! Cisza pękła natychmiast i wrzask stał się ogłuszający.

Krzyczano dwa hasła: „Karny, karny!” - i jednocześnie, nie czekając na wynik pierwszego żądania, głośzono prawdę odwieczną: „Sędzia kalosz!”

Już po ćwierćminucie tego wrzasku sędzia się zachwiał. Jeszcze raz wezwał obu kapitanów. Tłum ocenił to należycie, dał spokój kaloszowi. Tym głośniejsz darł się: „Karny!”

I oto sędzia spełnił oba hasła widowni. Poszedł do bramki świętolipkowej i zaczął odmierzać jedenaście kroków. Czyli został naprawdę kaloszem.

Decyzja ta miała wybitne właściwości lecznicze: w tejże chwili nieprzytomny Poniż wyrwał się nagle z rąk dobrowolnych sanitariuszy i pobiegł na boisko nawet z frywolnymi dosyć podskokami. Tłum pokwitował to radosnym wrzaskiem.

Poniż odsunął władczy gestem resztę swej drużyny i zaczął celebrować. Ustawił piłkę na wyznaczonym przez sędziego miejscu, ale zaraz, gdy tamten się odwrócił, leciutko ją przesunął o dwadzieścia centymetrów do bramki. Widownia radośnie zachichotała i rezerwowy bramkarz ręce zatarł.

- O, to głowa!

Poniż odszedł o dwa kroki, wziął niby rozbieg, a potem zatrzymał się pochylony nad piłką, jeszcze ją ustawił.

- Majster! - roztkliwiał się sąsiad chłopców. - To żeby zdenerwować tamtego! Ale ma strzał! Jakby, nie daj Boże, trafił w poprzeczkę, bramkę diabli wezmą!

Poniż znów odszedł od piłki. Cisza teraz jest tak duża, że słyhać wołanie mew nad dalekim jeziorem.

- No! - półszepcem wybąkał rezerwowy.

I Poniż wziął wreszcie rozbieg. Jak burza natarł na piłkę. Trafiona piorunem buta, runęła przed siebie. Cała reszta wydarzeń trwała dosłownie dziesięć sekund. Ale te dziesięć sekund wstrząsnęły gałwuńskim światem!

Rezerwowy docenił siłę strzału Poniża, nie docenił tylko wytrwałości gałwuńskiej bramki. Jak piorun runęła piłka i - o pech! - trafiła w sam środek poprzeczki. Nie złamała jej, ale nacisnęła tak mocno; że jak katapulta zagrały sosnowe wiązania.

Chcecie wierzyć lub nie, wasza sprawa. Przebieg dalszych wydarzeń był następujący:

Z niebywałą siłą wymierzona piłka odbiła się od poprzeczki i z niemniejszym rozpędem runęła do tyłu. I oto siadł nagle Poniż, trafiony prosto w ciemię. Siadł i natychmiast padł, tym razem naprawdę nieprzytomny. Nie zmogły go podstępny przeciwnik, padł rażony własnym rozmachem!

Widownia nie pojęła jeszcze, co znaczy ta straszna historia, gdy los wymierzył jej następną, jeszcze straszniejszą.

Odbita od Poniżowego ciemienia piłka już nie miała wielkiego wigoru. Łagodnie podskakiwała sobie na zielonej trawce. Świętolipkarze też nie pojęli jeszcze całej przychylności, którą im okazała historia. Widok wolno podskakującej piłki znów jednak pobudził w nich odpowiednie odruchy.

Skoczyli przed siebie. Ktoś z nich trafił na piłkę. Był to etatowy obrońca, chłop na schwał. Piłka przezeń kopnięta wysokim łukiem popłynęła przed siebie.

Dopiero wtedy zagrały setki gałwuńskich głosów. I śpiew ich był inny niż dotąd, od razu rozpaczliwy. Bo przecież bramkarz gałwunian, jako się rzekło, z każdą minutą przesuwał się ku środkowi boiska i w momencie tragicznego karniaka przekroczył już linię środkową. Ujrawszy teraz piłkę jak gęś dzika szybującą w przestworzach ponad jego głowę, zrobił raptowny w tył zwrot i wydając gardłowe okrzyki, pognął z powrotem do swej, niebacznie osieroconej bramki.

Teraz cisza przerażająca poraziła gałwuński stadion. Jak posągi znieruchomieli widzowie, gracze, wszyscy. Tylko nieszczęsny bramkarz gnał i jęczał, jęczał i gonił. I górą mknęła zaczarowana przeklęta piłka.

A gdy wreszcie spadła o ładne dwadzieścia metrów przed ścigającym, dała dużego kozła i znów podskoczyła, i potoczyła się wreszcie prosto do lewego rogu bramki.

Przy tym rogu, oparty o słupek stał Kucyk, za nim Andrzejek, Zdzisio, rezerwowy bramkarz i grzecznie kucająca Sulamita. Skamienieli wszyscy. Spóźniony o parę sekund bramkarz krzyczał coś i w biegu rękę wyciągał. Zrozumieli wreszcie, że woła;

- Łapaj, trzymaj!

Wtedy rezerwowy syknął:

- Czekaj, ja cię teraz wykończę!

I skoczył przed Zdzisia, prosto do bramki.

Z daleka wyglądało to dość fantastycznie. Rezerwowy, jak stał o pięć metrów od bramki, dał od razu diabelską robinsonadę. Przez ułamek sekundy blady cień nadziei zaświtał w źrenicach gałwunian.

Niestety, z bliska wyglądało to inaczej. To nie z nadmiaru refleksu i sprężystości rezerwowy dał susa, jak stał, spoza Zdzisia. Po prostu, zrywając się do biegu na piłkę, zahaczył czubkiem buta o niebaczenie wysuniętą naprzód nogę Zdzisia. I zwyczajnie się przewrócił.

Ale taka jest przewaga sportowca naci przeciętnym obywatelem, że tam gdzie ten ostatni zaryje się nosem w piach, sportowiec potrafi i metr, i półtora przelecieć w pozycji poziomej, szorując całym swoim jestestwem o niewdzięczną ziemię.

Tak właśnie stało się teraz. Rezerwowy, rymnąwszy od razu, przeorał jeszcze nosem kawałek boiska i zatrzymał się, nieco zbaraniały, dopiero w samej bramce. Właśnie w tej chwili o pół metra od jego nieprzytomnych palców przetoczyła się lekko piłka grzęznąć w bramce gałwunian.

Trzy rzeczy teraz stały się całkiem jednocześnie. Po pierwsze: gwizdek sędziego. Po drugie: nagły grzmot - to tłum znowu ryknął. Po trzecie: spóźniony bramkarz dolatywał właśnie do chłopców, krzycząc wniebogłosy:

- Wiac, fujary!

3.

Był najwyższy czas. Wrzask widowni wezbrał jak burza. Spróbujcie trafić kamieniem w papierową szarą kulę szerszeniowego gniazda; a przeżyjecie przyjemność podobną z grubsza do tej, która właśnie spotkała Rumbaksztągów.

Zrobili więc w tył zwrot wszyscy trzej i rzucili się natychmiast za niefortunnym gałwuńskim bramkarzem. Nie oglądali się za siebie. Hałas, szum, ryk wzbierały za nimi, jakby pędziła tam fala morska wysokości trzypiętrowego domu.

Andrzejek mimo pewnego treningu, którym była ucieczka przed Utopami, wypompał się nader szybko i już po minucie zaczął zwalniać. Był przerażony. Nie śmiał jednak prosić reszty, by nań zaczęli. Dreptał więc z tyłu, mając przy sobie Sulamitę, która zdaje się nie doceniała niebezpieczeństwa i biegła w dosyć frywolnym nastroju, z poszczekiwaniami.

Dlaczego Andrzejek już w tej chwili nie wpadł w ręce pościgu? Dopiero w parę tygodni potem natrafił na stary numer „Przeglądu Sportowego” z artykułikiem pod tytułem: „Znów awantury na meczu piłkarskim”, który wyjaśnił tę zagadkę.

Różne plemiona dzikusów posiadają różne, mniej lub więcej dzikie obyczaje.

Spartanie wyrzucali na pożarcie zwierzętom słabowite noworodki. Wenecjanie (a może Kartagińczycy?) łamali gnaty każdemu wodzowi, który przegrał bitwę. Pewne szczepy z głębi Nowej Gwinei, jak tylko przyjdzie określona pełnia księżycowa, rozbijają maczugami głowy seniorom rodu, przekraczającym normę wieku. Jeszcze do niedawna zwycięzca w spotkaniu dwóch plemion afrykańskich wydzierał pokonanemu serce oraz wątrobę i osobiście je pożerał¹.

Nasi dzikusy też mają swoje szczytne tradycje. Najpotężniejsza z nich głosi: „Przegrałeś? Wal sędziego po głowie!” I drużynę przeciwnika, ma się rozumieć.

Ten mus plemienny sprawił, że gdy bramkarz i chłopcy sforsowali połamane ogrodzenie boiskowe, w pościg za nimi rzuciło się trochę niedorastającej młodzieży i kilku weteranów. Wszystko, co krzepkie, aktywne, uświadomione, wzięło natomiast udział w tradycyjnym pogromie przeciwnika i ćwiartowaniu sędziego.

Ich to wrzaski - niebacznych świętolipkarzy i „kalosza” - słyszeli chłopcy sadząc za niebiesko-czerwonym bramkarzem gałwuńskim.

¹ W tym odwiecznym zwyczaju było przynajmniej jakieś racjonalne jądro. Jak wiadomo, wątroba obfituje w witaminę B, czy więc nie należy zaliczyć tego do tradycyjnych ludowych form zwalczania ostrych awitaminoz? Niech się wypowiedzą lekarze! [aut.]

Kilka przemysłnych skrętów sprawiło, że ścigająca dzieciarnia straciła ich z oczu. Bramkarz obejrzał się i hycnął nagle do jakiegoś domku. Chłopcy za nim. Nawet Andrzejek z Sulamitą przyczłapali po paru sekundach.

- Czekajcie! - syknął bramkarz. - Ja zaraz! Ale cicho!

Kucnęli za niewysokim murkiem, kryjącym domek od ulicy. Z zapartym tchem słyszeli zbliżający się pościg. Ale murek ich obronił. Narybek dzikusów przebiegł koło domku, cienko pokrzykując. Zasapani weterani także ich nie zwietrzyli. Już się chcieli wyprostować, gdy nadeszła nowa fala.

Zdaje się, że pogrom świętolipkarzy miał przebieg krótki i węzłowaty. Ci, co teraz biegli, przerzucali się urywanymi zdaniemami w rodzaju: „Ale ten krzyczał, ten lewy pomocnik!”, „No, ale bramkarz ma nos do niczego, od razu krwawi!”, „Sędzia nawet nieźle uciekał mimo brzucha!” Widać z tego, że umysłowość dzikusów daleka była od jakiejś zajadłości: wystarczyło paru kopniaków, paru kamieni, paru sierpowych w twarze i brzuchy ofiar, by odzyskać równowagę ducha i nawet, jak słyszeliśmy, zdobyć się na pewien obiektywizm w ocenie rozgromionego przeciwnika.

Tym zacieklejsze jednak nastroje panowały wobec nie rozgromionych. Rezerwowemu przeszło już zbaranie. Biegł teraz na czele tej fali i ciągle rozrabiał:

- To on umyślnie, ten Rysiek! To jego paczka, te chamy z pieskiem. To ja, ma się rozumieć, do bramki. To ten chamuś hyc mi nogę! To, ma się rozumieć, ja bęc na ziemię. I o, jeszcze mi z nosa cieknie!

Te dowody martyrologii rezerwowego działały na pościg tak samo mniej więcej, jak skrwawiona toga Cezara na rzymski senat.

- Czekaj, czekaj, ale się dorwiemy!

- Ja bym ich za kark i na przystań! I do wody!

- No, no! Jeszcze kopa w zad!

- I tego Ryśka, cholera! - Rezerwowy miał głowę do interesu, rozrabiał ile wlezie. - On i z lipkarzami musiał się zwąchać. No nie? Widziane to rzeczy, bramkarz na połowie boiska!

Wszystko to wyrzucają z siebie w dziesięć sekund. Mijają murek, ale w tejże chwili nadbiega fala z naprzeciwnka.

- No, gdzie te łachudry?

- No, gdzie?

- Nie ma?

- Nie ma?

- Ale biegli tędy, cholera!

Chłopcy skamieniali pod murkiem. Serca im łopotały szybko, szybko, drobnymi stuknięciami. Najgorzej czuł się Andrzejek: czy Sulamita zachowa spokój?

Przez chwilę zamieszanie w obozie wroga. A potem szatański pomysł zrodził się w zawziętej głowie rezerwowego.

- Chłopcy, psy spuścić!

- Hyy! - wrzasnęła z uciechy tłuszcza. Kilkunastu ludzi runęło do sąsiednich domów, gdzie już od pięciu minut szalały wilki i kundły, buldogi i setery, dobermany, wyżły i charty, szkockie owczarki, cała pieska różnorasowa ferajna, czując w powietrzu ogólnomiejskie podniecenie i domyślając się trafnie obecności bezpośrednich tego sprawców.

W tejże chwili otworzyły się drzwi domku, bramkarz już w „cywilu”, z walizką w ręku wyrzwał, skinął na chłopców.

Skoczyli za nim. Na szczęście ścigający, zachwyceni pomysłem rezerwowego, miotali się teraz .po okolicznych zagrodach, spuszczając z łańcuchów czworonożnych mścicieli honoru gałwunian.

Chłopcy wyminieli domek, za bramkarzem przeskoczyli murek i znaleźli się na innej uliczce, nie brukowanej, biegnącej na tyłach domostw, obok ogrodów i sadów.

Odpoczęli przy murku i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie psy. Ich ujadanie zaczęło wzbierać jak wodospad. Słyszeli wrzaski ludzkie:

- Burek, na kota! Azar, łapaj! Neruś, huzia! Weź go, weź go!

I zaraz do tego włączało się zawzięte basowe warczenie, tenorowe szczekanie, zachłyśnięty jazgot ujadania.

- Chłopcy, gazu! - rzucił przez zaciśnięte zęby bramkarz. -- To cholery te psy! Wszystko myśliwskie!

Ba, sadzili z całej siły. Andrzejek, co prawda, pozostawał nieco w tyle.

Skręcali na boczną ulicę, na pół drogę, gdy z dalekiego, abstrakcyjnego niejako wrzasku pieskiego wyrwał się najcieńszy dyszkant zachwyty: dostrzegły zwierzynę.

I wrzask ludzki:

- Na tropie psy, na tropie!

Teraz szczekanie zbliżało się z szybkością rozpędzonej demokratki. Szkoda gadać o ucieczce. Bramkarz rozglądał się tylko, gdzie się kryć, do czyjej bramy zapukać.. Ale były tu same ogrody.

Andrzejek odwrócił głowę i włosy mu bardzo wyraźnie przybrały fryzurę Wojtkową: stanęły dęba. Istna fala psów! I na czele, z rozwartą paszczą, trzymetrowymi susami pędził ogromny ni to dog, ni to wilczur.

- Na drzewa! Na parkany! - krzyknął bramkarz. Nie zdążyli. Wilko-dog już był przy nich. Ale, o dziwo, ledwo się zbliżył, już mu ogon zaczął latać z lewa na prawo, pysk się przymknął i wykrzywił w uśmiechu, przednie łapy pieszczotliwie jak w menuecie zaczęły się podrywać do góry i wdzięcznie się wyginając stąpać po ulicznej murawie.

- Piesku, piesku! - zajęczał jak zwykle Andrzejek.

Wilko-dog ani nań spojrział. Bo, rzecz jasna, nie dla jego pięknych oczu swoją wściekłość zamienił na pieszczotliwość. Dla czarnych aksamitnych ślepi niebezpiecznej Sulamity.

I reszta, która właśnie nadbiegła, w okamgnieniu przeżyła taką samą metamorfozę. Wszystkie ogony zaczęły merdać, wszystkie pyski uśmiechać się, wszystkie łapy tańczyć menueta.

Chłopcy pojęli błyskawicznie tę szansę historii. Zaraz skoczyli dalej. Jak zwykle Andrzejek na końcu. Jak zwykle Sulamita za nim.

A za nią w ogonku wilko-dog i wszelkie gałwuńskie Nerusie, Burki i Azorki.

Biegli tak z pół minuty, gdy zza rogu wyskoczył wreszcie rezerwowy i reszta pościgu. Sadzili wielkimi susami. Rezerwowy ujrzał tę zmykającą procesję i triumfalnie wrzasnął:

- Mamy ich! Patrzenie, psy przy nich! Dziesięć głosów wrzasnęło teraz:

- Neruś, bier go! Łapaj, trzymaj! Huzia, huzia! Nerusie słyszały te żądania. Odwracały się za swoimi panami, kręciły ogonami, przesyłały nawet pełne usprawiedliwień uśmiechy, robiły, co mogły, żeby niepojętym ludziom wytłumaczyć tajemnicę pieskiego magnetyzmu, który wszystkich ich przykuł do jednej byle jakiej spaniolki.

I tak biegła ta dziwna procesja: z przodu zmykający co siły chłopcy, potem człapiąca ciężko Sulamita, potem kawalkada rozanielonych psów, cwałująca i wesoła, i sentymentalnie, wreszcie rozwścieczeni i na chłopców, i na psy gałwunianie.

Gdy dobiegli do rogu, ujrzeni białe brzózki. Jeszcze sto metrów i przystań. Byli przy domku klubowym i już krzyczał Kucyk:

- Wojtek, odcumować! Wojtek!

Wojtek wyrwał z kajuty. Widok biegnących na sekundę go sparaliżował. Potem rzucił się na dziób. Skakali jeden po drugim. Zdzisio w biegu odtrącił jacht od przystani. Andrzejek ledwo zdążył skoczyć na pokład, chwycić się sztagu. Sulamita też jeszcze zdążyła. Ale zagapiony wilko-dog z rozpędu rymnął do wody. Reszta zalotników skłębiła się na przystani i przeciągle zawyła.

- Co się stało, Kucyk? - spytał Wojtek.

- To się stało! - wściekle krzyknął Kucyk pokazując na ulicę. - Do stawiania grotu, już!

Czoło pogoni wyskoczyło nagle. Oczywiście, pierwszy pędził rezerwowy. Za nim tłum chuligańskiego aktywu, juniorzy, trampkarze, dzieci.

Atalanta wolno wysuwała się ku wyjściu. Wojtek wściekle machał wiosłem, Kucyk ze Zdzisiem kręcili się przy grocie.

Ścigający skupili się na przystani, zaskoczeni tym manewrem, zdyszani. Paru nieubłaganych załatwiało kopniakiem porachunki ze swymi niewiernymi psami. Harmider i skowyt był z tego powodu niemący. Ale wreszcie u któregoś przebudził się intelekt.

- Ty, Rysiu! - zawołał do bramkarza. - Z byka spadłeś? Wróć no zaraz.

- Akurat! - ponuro odparł bramkarz.

- Te, frajer. Nic ci nie zrobimy. Z kimeś się zwąchał, co?

- Jego kumple! - mściwie krzyknął rezerwowy. - Jedna ferajna, mówię wam!

- Czekaj! - trącił go w bok tamten. - Rysiek, mówię ci, wracaj! Teraz to cię nie ruszymy. A jak potem przyjdiesz, nosa nie pokazuj!

- Nie wrócę.

- A jakże! A gdzie się podziejesz? Gdzie tak będziesz miał, jak u nas?

- Do jasnej cholery pójdę, a do was nie wrócę! Macie tam tego Zamorę. Jak na was, to starczy!

- Słyszycie! - krzyknął rezerwowy. - Jeszcze pyskuje!

- Ach, ty, łachudra! - Tamten pierwszy też wyczerpał swoje zasoby pojednawczości. - Nie wrócisz?

- Pocałuj mnie w nos. Nie wrócę.

- Czekaj, czekaj!...

- Co mi zrobicie? Widzieliście ich! Gałwuny - kołduny!

Tu niewątpliwie strzelił byka. Widocznie w miejscowym dialekcie było to straszne przekleństwo, bo nagle wszyscy na pomoście umilkli.

A potem chóralny okrzyk bojowy:

- Chłopcy, na łódki!

I oto znowu niebacznie rozbestwiona tłuszcza skacze do łódek. Chwytają wiosła, odpychają się od przystani. Atalanta o pięćdziesiąt metrów, ale jest ciężka, nie budowana do wiosła. Żwawe łódeczki tubylców, potężnie pchane przez żądzę zemsty, już skoczyły do niej.

- Szybciej, grot! - krzyczy Wojtek, spocony od wiosłowania.

Grot wreszcie wpełza na maszt. Ale Zdzisio daremnie skacze na rufie, targa rumplem, ściąga szkot i popuszcza. Martwy jest żagiel, bo martwe powietrze zatoczki, osłoniętej wysokimi drzewami, stromym brzegiem, nadbrzeżnymi domkami.

Ścigający to widzą. Bucha w ich szeregach krzyk szczery, radosny. Zaczynają wygrażać inaczej, prawie dobroduszenie. Tłumaczą słownie i gestami, co zrobią z bramkarzem, co ze Zdzisiem, co z Andrzejkiem, co z Sulamitą i resztą.

Andrzejek jest przerażony jak za najgorszych snów swego dzieciństwa. Ta groźba, coraz bliższa! Ta niemoc ujścia jej! Jak we śnie - nogi ołowiane, ciężkie, ręce bezradne. I tylko to serce, coraz silniej trzepocące ze strachu!

Coraz bliżej chwila abordażu. Czołowa łódź pościgu już o dziesięć, o pięć metrów. Rezerwowy już rękawy zakasał, już stanął na dziobie, szykując się do skoku. Reszta krzyczy i podpędza wioślarzy. Niczym stado wilków, łodzie tubylców zaczynają półkołem otaczać Atalantę jak wielką łoszę, ugrzęzłą w tym bezwietrznym topielisku.

Zdzisio, czerwony z wysiłku, targa szkotem całkiem bez sensu, Wojtek z Kucykiem dobywają z siebie resztek sił przy jednym, jedynym wiosle. Bramkarz przestał się przechwalać. Lezie na dziób, jakby to mogło mu w czymkolwiek pomóc.

Najdziwniejsza jednak okazała się Sulamita. Nic w niej ze strachu, z przygnębienia. Siedzi na dachu kajuty, patrzy na pościg. A gdy pierwsza piroga tubylców podchodzi do rufy, Sulamita czyni coś całkiem innego niż bramkarz.

Skacze mianowicie z dachu i truchikiem biegnie do steru. Ogonem macha zaciekle i robi najwdzięczniejsze miny. Płaszczy się nawet i zaczyna pełznąć.

Komuż to hołdy składa, przebrzydła? Ach, nie Zdzisiowi, nie wioślarzom, nie swemu dotychczasowemu opiekunowi!

Andrzejek widzi to i znowu do strachu dołącza się coś bolesnego. Przecież do rezerwowego łąsi się, niewierna! Już poczuła, że to on teraz pan tu będzie i władca!

Jeszcze pchnięcie wiosła i pierwsza piroga stuka głucho w Atalantę. Rezerwowy chwyta burtę jachtu. Zdzisio stracił głowę. Łodzie tubylców zachodzą z prawa i lewa.

- Mam ich! Mam! - krzyczy rezerwowy. - Szybciej! Aj!

W tejże chwili, jak wąż się czołgając po ławce przysterowej, Sulamita podpełza do rezerwowego. Jeszcze się wypina i młóci ogonem o ławę. I jednocześnie rękę dzikusy chwyta zębami.

- Aj! - krzyczy rezerwowy. Targa rękę do tyłu. Sulamita jest strasznie speszona. Pełźnie na brzuchu z powrotem, ogon wtuliła pod siebie. Nawet skowyczy z cicha.

- Aj! - krzyczy rezerwowy. - Czekaj, ścierwo! Chłopcy, szybciej!

Zanim jednak po raz drugi rękę wyciągnie do burty, pierwszy podmuszek wiatru przedrze się wreszcie przez drzewa. Dobiega oto do Atalanty, przechyla ją leciutko. Zdzisio chwyta szkot, ściąga żagiel. Jak zmartwychwstała rzuca się żaglówka przed siebie.

Rezerwowy aż się pochyła, żeby schwycić zmykającą burtę. Nie trafia, wali się do wody. Wyciągają go kompani parę sekund. Wystarcza to Atalancie.

Jak ptak chyża sunie przed siebie i chłopcy tak porwani są jej lekkością, że wyrażającym im pięściami gałwunianom odpowiadają przyjaznym pomachiwaniem chusteczkami.

4.

Po kwadransie znikły za kolejnym przylądkiem trzy wieże kościelne, kępy zieleni, brzeg wysoki, cały ten pejzaż, który mamił swą sielankowością, krył zaś w sobie tajemne wulkany duszy gałwuńskiej.

Jezioro teraz nieco się zwęziło, lasy znikły. Brzegi wysokie, tu i ówdzie zdobione wąskimi płachetkami żyta, które właśnie dojrzewa. Pojedyncze zagrody z krzakami porzeczek. Z rzadka dzika grusza.

Wieczór ciągnął, wiatr stawał się coraz słabszy, na szczęście dął dokładnie w kierunku jazdy i Atalanta szła fordewindem szybko i bezszumnie.

Ocalony bramkarz zlął wreszcie z dziobu, zapalił papierosa.

- Udało się, cholera. - Splunął. - Ten Maniek to ma motorówkę. Ale zawór mu się roztentegował, więc nieczynna. A tak by jak nic dopędził!

- A pana gdzie dostarczyć? - uprzejmie spytał Kucyk.

- A wszystko jedno. Do pierwszej lepszej dziury. Mnie tu wszyscy znają. Choćby do Lecka.

- Ma pan tam gdzie nocować?

- Pewnie. Pójdę do Purchały z przemysłu terenowego, ten mi zaraz wszystko załatwi. Nic się nie bójcie, taki bramkarz nie zginie.

- I pan rzeczywiście nie wróci do Gałwun?

- A czego mam tam szukać? Ja nie tamtejszy, ja z Białegostoku. Miesiąc pograłem, bo - patrzę - lato, plaża jest, dziewczynki na medal, okolica ładna, z pracą też można wytrzymać. Ale na jesień to i tak bym się urwał. Jedno kino! Nie, na jesień tobym do Olsztyna poszedł. Tam wojsko Kolejarzowi będzie brało właśnie bramkarza.

Andrzejek chciał skorzystać z okazji i rozpytać o miejscowe stosunki. Tutaj jednak wymowny i rozgarnięty bramkarz zaczął zawodzić.

- A co to Lecko? - spytał Andrzejek.

Bramkarz odpowiedział jednym słowem.

- Unia przy browarze i Elzetes - dodał tytułem wyjaśnienia.

- A o Gorzyżkach pan słyszał?

Bramkarz powtórzył tamto słowo.

- W ogóle nic - dorzucił.

- Jak to? - krzyknął Kucyk. - Nie ma Gorzyżek?

Bramkarz wzruszył ramionami.

- Może i są. Ale boiska to tam nie ma.

Przez całą dalszą drogę wtajemniczał chłopców w dzieje gałwuńskiej piłki nożnej. W jego wersji przypominały one ni to historię dworu madryckiego za czasów Filipa II, ni to panowanie wielkich mogolów w Indiach. W każdym razie co do ilości intryg, manewrów, tajemnych rozróbek i techniki „wykańczania” gości środowisko futbolu gałwuńskiego przodowało rzekomo w Polsce. Między innymi Poniż trzeci i rezerwowy Maniek należeli do wrogiego mu stronnictwa!. Był skłonny nawet posadzić bożyszczkę Gałwun o umyślne wycelowanie w poprzeczkę dla pognębienia jego właśnie, Ryśka, i ułatwienie Mańkowi zajęcia miejsca w pierwszej drużynie.

Trzeba przyznać, że nie bardzo słuchali tej opowieści. Po prostu zbyt się naprzykrzył inny towarzysz tej wędrówki, głód. Z niecierpliwością wypatrywali Lecka.

Wynurzyło się wreszcie, też na wysokim brzegu, z jedną tylko, ale masywną wieżą krzyżackiego zamku i sporą ilością ruin.

Rysiek wziął walizeczkę, ścisnął dłonie chłopcom i podziękował, ale z umiarem. Sądził, zdaje się, że wyświadczył im wielką uprzejmość, pozwalając łaskawie się podwieźć.

Dobili do niewielkiego pomostu. Za ostatnie dziesięć złotych kupili mleka i jeszcze raz zgotowali manną kaszę. Miasteczko było senne. Nikt się nawet nie zainteresował nimi, ich jachtem, ich ogniskiem.

O rozkoszy! Zasnąć i zapomnieć o tej nędznej kolacji! I spać bez koszmarów!

Z rana za to koszmary wróciły jak najbardziej rzeczywiste. Popatrzyli na nieruchome uliczki. Było parę sklepów, cóż, kiedy nie było paru złotych.

Dwa kroki od przystani zaczynały się niewysokie krzaki. Wojtek skinął na resztę. Były to jeżyny. Chwilę się wzdragali pamiętając czczość tego posiłku jeszcze tam, spod śluzy. Potem jednak zrezygnowali i przez pół godziny starannie objadali klujące czepialskie krzaczkę.

Gdy wyleźli znowu na brzeg, usta mieli ściągnięte kącikami na dół, oczy przymrużone, na twarzy wyraz niewymownego cierpienia.

- No, teraz wiem, jak wyglądał złoty wiek pierwotnego komunizmu na bazie zbieractwa i myślistwa! - z zabójczą ironią powiedział Zdzisio plując na prawo i lewo jadowym fioletem.

Wrócili na Atalantę. Rozpytany po drodze tubylec podał, że w Lecku się mieści jakiś zespół pegieerów i że Gorzyjałki są mu podporządkowane. Dlatego chłopcy zamknęli na kłódkę kabinę, zostawiając w niej niebezpieczną Sulamitę, i całą czwórką ruszyli do „miasta”.

Pegieery urzędowały w skrzydle dużego rozsypującego się zwolna zamku pokrzyżackiego. Tynk się walił z sufitów, gotyckie łuki wolno się kruszyły, deski podłóg wyszorowane były przez całe pokolenia krzyżackich komturów i pegieerowskich buchalterów co się zowie na wylot.

O dziwo! Szef tego urzędu przyjął ich natychmiast, bez żadnych ceregieli. Był to młody człowiek o wojskowym harcie charakteru, decyzji szybkiej i orlim spojrzeniu.

- Panie prezesie! - zaczął Kucyk.

- Nie jestem ani panem, ani prezesem. Jestem kierownikiem. I bez wstępów. Słucham was!

Kucyk wyłuszczył sprawę. Jest ich czterech, młodych, zdrowych ludzi. Chcieliby dopomóc pegieerom. Może w którymś z nich potrzebne są ręce do pracy? Słyszeli na przykład, że w Gorzyjałkach sianokosy...

Kierownik spojrział na nich bystro i ostro.

- Jakie wykształcenie? Dziesięć klas? To dlaczego pegieery? Ja was zaraz tutaj...

Przerażeni wizją sterczenia w tej ponurej ruderze, zaczęli na gwałt rozpowiadać o haśle: kadry do produkcji!

Kierownik głową kręcił, nie zgadzał się. Za wszelką cenę Kucyka chciał mianować młodszym buchalterem, Zdzisia planistą, Wojtka referentem racjonalizacji i oszczędności. Nawet dla Andrzejkę znalazłby się etat: bezpieczeństwo i higiena pracy.

- Zrozumcie, frajerzy! - krzyczał. - Jeśli nie obsadzę tych etatów, to jeszcze mi je skreślą!

Dopiero bardzo stanowcze postawienie się Kucyka wyperswadowało kierownikowi ten pomysł. Ale znowu na Gorzyjałki nie chciał się zgodzić.

- Coście tam znaleźli?! - krzyczał. - Że nie dają rady? Sykus, żeby nie dał rady? Austriackie gadanie! Pierwszy w sprawozdawczości na całe trzy powiaty... Zresztą on tam na misji specjalnej.

- Ale sianokosy... - bąknął Kucyk.

- Sianokosy, sianokosy! Sianokosy to byle buc potrafi! A ot sprawozdanie według wzoru Bx12, dla PKPG, kto to zrobi? A Sykus, ho, ho!

Pewnie by ulegli tym oporom, gdyby nie telefon.

Kierownik chwycił słuchawkę.

- Kuba? Jak się masz! No, jak działa? Że jak? Znowu? Rozumiem, koniec cyklu. Taak, słabo, słabo. Ile? Dwanaście? A skąd, bracie, dwanaście! Ale szkoda gadać. Że co? - Chwilę słuchał czerwieniąc się coraz bardziej. Wreszcie krzyknął: - No, to ja sobie wypraszam! Że z Gromem-Taratutą? Po pierwsze, ile mi dałeś? Trzech, w tym jeden głuchy. Potem przykrości miałem, nie klaskał, gdzie należy. Po drugie, co ty mi bajerujesz, Grom-Taratuta to nie mój zaścianek, to skala państwa! Nie, nie, jak mi będziesz takie rzeczy, to ja w ogóle... Co?

Kuba tu widocznie zmienił tonację, bo i kierownik wnet zrobił się łaskawszy.

- Ilu?! - krzyknął jeszcze. - Nie, sześciu nie. Ilu? - Popatrzył na chłopców. - Czterech. Ostatnie moje słowo. Czterech, ale za to jakich! Każden jeden jak ta lala. Nie jak twoje wybiórki.

Chłopcy spojrzeli po sobie dosyć nieswojo. Czuli się jak obiekty jakichś pertraktacji niemal międzynarodowych. Kierownik zaraz się połapał w tych wahaniach.

- No, to cholera z wami, jedźcie na te Gorzyżki. Ale przedtem musicie się podszkolić.

- W koszeniu?

Kierownik ze złością machnął ręką.

- E tam! Ogólnie!

- Ależ my właśnie z liceum ogólnie...

- Liceum, liceum! Czego was tam uczą! Szkoda gadać, musicie się przeszkolić. Niedużo, dwie godziny! Pójdziecie do obywatela Purchały z przemysłu terenowego. - Spojrzał na zegarek. - Za pół godziny zaczyna odczyt. I macie go wysłuchać! Zrozumiane?

Spojrzał bystro na swe ofiary. Mimo wszystko miał w sobie jakąś iskierkę duszoznawstwa, bo krzyknął: - A teraz do kasy! Po pięćdziesiąt złotych zaliczki! W tył zwrot, biegiem rozejść się!

Oczywiście, to zadecydowało. Biegiem skoczyli do kasy. Niestety, pieniądze miały być dopiero w południe.

Wobec tego poszli szukać pana Purchały. Trwało to niedługo: każdy lecczanin wiedział, gdzie szukać miejscowego władcy przemysłu terenowego.

Był to jeden z nielicznych nowych domów osiedla. Duży hall pośrodku prowadził do sześciu pokojów. Na każdym był jeden szyldzik. Chłopcy czytali po kolei: „Referat Planowania”, „Główna Buchalteria”, „Referat Szkolenia Kadr”, „Biuro Personalne”, „Referat Ogólno-organizacyjny”. Szóste drzwi zaopatrzone były w aż trzy szyldziki: „Dyrektor”, „Sekretariat Dyrektora” i „Nie wchodzić bez zameldowania”.

Stali nie wiedząc, co robić. Szyldzik nie podawał, gdzie i komu ma się meldować śmiałek, który chciałby pomówić z szefem miejscowego przemysłu. Ale namysł im pomógł: usłyszeli, że w jednym z pokojów ktoś przemawia.

Podeszli. Był to „Referat Szkolenia Kadr”. Przeszli z nogi na nogę, onieśmieleni mnogością szyldów i drzwi, całą atmosferą tego rozkwitającego, jak widać, urzędu. I wtedy usłyszeli kilka zdań z przemówienia:

- ... najściślejszy związek z terenem jest podstawowym obowiązkiem każdego funkcjonariusza państwowego w Polsce Ludowej! - wołał z zapalem czyjś donośny tenor. - Zgodnie z rozporządzeniem Prezesa Rady Ministrów o załatwianiu interesantów...

Zdzisio, najgłodniejszy, mrugnął do innych i wziął za klamkę. Andrzejkowi ścisnęło się serce. Człowiek za drzwiami tak krzyczał, że wyobraźnia podpowiedziała mu olbrzymią salę i setki słuchaczy wpatrzonych w płomiennego mówcę na trybunie. I strach go obleciał, że te tłumy, że setki oczu na ich wynędzniałych sylwetkach...

Ale trwało to sekundę. Zdzisio drzwi otworzył. Był to pokój nieduży, pięć na sześć metrów. Stał tam biurko i dwa krzesła. Przed biurkiem prelegent, niewysoki mężczyzna w okularach, całkiem łysy, ale za to z odstającymi uszami. Rękę wznosił właśnie na wysokość noska, dwa palce zwał w szczyptę, z całej siły pragnąc przekazać słuchaczom wszystkie subtelności swego rozumowania.

- Bliżej ludu! - krzyknął i nawet krok uczynił w ich kierunku.

Ci dopiero sparaliżowali oczy i ruchy chłopców. Było ich tylko troje! Jeden staruszek absolutny, dźwigający pewnie osiemdziesiątkę na swoich zgarbionych plecach, łysy, wysuszony, o zapadłych ustach. I druga, starucha w tymże z grubsza wieku, bardzo nalana, o malutkich całkiem zatopionych w tłuszczu oczkach. O ile staruch usiłował słuchać, chylił się do przodu i nawet dłonią ogromne buraczkowe ucho kierował do mówcy, o tyle staruchę wypełniała już tylko rezygnacja. Siedziała schyliwszy głowę na potężny biust, kołysany raz po raz westchnieniami.

A trzeciego znali. Był to bramkarz Rysiek. Siedział z wdziękiem na parapecie okiennym. Jak się zdaje, nie zrobił dotąd wielkiej kariery u swego druha Purchały w mieście Lecku.

Wejście chłopców stało się pierwszorzędną sensacją. Staruszcze kolejne westchnienie przerodziło się w krzyk: „Ach!” Staruch usta otworzył. Nawet Rysiek ożywił się i splunął przez okno.

Mówca swoją szczyptę skierował do drzwi. Gniew błysnął mu w oczach i zaraz stał się radością.

- Z pegieerów?! - krzyknął. - Ależ proszę, proszę! Czekałem specjalnie na was z rozpoczęciem. Nie, nie, nie martwcie się, to, co mówiłem, to tak tylko, żeby skrócić czekanie. Michale, krzesła dla obywateli!

- Nie ma - westchnęła starucha.
- Jak to, a w personalnym?
- To to! - pokazała na swoje.
- A w gabinecie?
- To tamto. Tylko dwa są. Pan nie wie czy co?
- Skandal! - Purchała zwrócił się do chłopców. Był bardzo przejęty, zaciskał pięści. - Obywatele widzą, jakie warunki do pracy stwarza mi województwo? Dwa krzesła na cały Zarząd!
- Ależ głupstwo... - bąknął Kucyk.
- Wcale nie! - Purchała podniósł rękę. - Jak to, żeby ludzie nie mieli na czym usiąść? A troska o człowieka to pies? Michale, poszukajcie czegoś, ławki czy paki...

- Michale, nie trzeba! - krzyknął Kucyk. - My sami!
Trzeba przyznać, że staruch nie przejawiał żywszego zainteresowania tą wymianą poleceń. Tylko starucha ziewnęła i rzuciła gniewnie:

- A krzyczcie, krzyczcie! I tak nic nie usłyszysz. Głuchy przecie jak pień!

Wtedy chłopcy skoczyli do hallu. Po kolei zaglądali do sześciu pokoi. Niestety, cztery były całkiem puste, tyle że zakurzone. W piątym, dyrektorskim, stała wielka szafa pancerna i biurko. Tylko w szóstym, personalnym, były dwa krzesła.

Niestety, oba zajęte. Trzy osoby tłoczyły się na nich, wałąc w maszynę do pisania, dyktując, poprawiając maszynopis, stukając liczydłami, smarując cyfry gumką i czyniąc tysiąc innych, jakże produkcyjnych zajęć. Andrzejkowi udało się zerknąć na maszynopis i przeczytać tytuł: „Sprawozdanie tygodniowe z wyszkolenia ideowo-zawodowego”. Ale zajęte przy tym panie zaraz go popędziły krzycząc, że to poufne.

Wrócili tedy do sali wykładowej. Dwóch siadło na parapecie obok Rysia, dwóch na biurku. Purchała zaś przystąpił do zajęcia właściwego. Tematem jego była rola aparatu państwowego w przekształcaniu społecznej moralności.

Gadał kwadrans, pół godziny. Chłopcy zrazu usiłowali słuchać. Potem wszakże wielkie żywioły ludzkie zaczęły coraz potężniej targać ich nie okrzepłymi jestestwami.

Głód był pierwszy, najbardziej dokuczliwy, ostry, chwiejący spojrzenia, huczący w uszach przyspieszonym tętnem, nieodstępny, okrutny, bezmyślny. Gdy jednak rozbudzony gadaniem Purchały rozchwiał na dobre ich samopoczucie, zrodziło się w nich coś innego, jeszcze bardziej przerażającego: jeżyny.

Purchała gadał o wychowawczej roli systemu urzędów na szczeblu wojewódzkim, a w nich bulgotały poranne jeżyny. Purchała zrobił niewielką dygresję o konieczności zaciśnięcia więzów z aktywnym i wtedy Andrzejek odruchowo rozluźnił pasek. Purchała przeszedł na szczebel powiatowy, szczególnie podkreślając znaczenie dni przyjmowania zażaleń, gdy Kucyk, po świńsku ubiegając kolegów, wyciągnął dwa palce do góry.

- No? - niechętnie przerwał Purchała. - Co z tymi zażaleniami?

- Nie, nie, panie dyrektorze... ja tylko na chwilę chciałbym wyjść...

Purchała sucho się skrzywił i Kucyk, jak pospolity przestępca, chyłkiem wypadł z pokoju.

Tym cięższy stał się los reszty. Purchała podniósł głos i tempo przemówienia. Dziwne, ale tym gwałtowniej wpłynęło to na żołądki chłopców. Omdlewając z bólu Andrzejek podciągnął kolana pod brodę. Zdzisio położył rozpaloną dłoń na żołądek: przez chwilę to pomogło. Wojtek nie wytrzymał i podniósł dwa palce.

Teraz ,Purchała skreślił z głównego tematu i zrobił niewielką improwizację o dzisiejszej młodzieży. Oczywiście, daleki był od entuzjazmu.

- Czego jej brak - krzyczał wymachując ręką w kierunku zwiniętego w kłębek Andrzejka - to hartu ducha! Pod tym względem starsze pokolenia długo jeszcze pozostaną dla niej niedoścignętym wzorem! Gorące umiłowanie wiedzy, nieustanna troska o podnoszenie swego wyszkolenia, nieporównany upór w przezwyciężaniu przeszkód, który cechuje nasz lecczański aktywny przemysł terenowego - tu machnął ręką w kierunku pary staruchów, rzeczywiście o wiele spokojniej znoszących jego przemowę - powinny zachęcić naszą młodzież... Nie taki diabeł straszny, jak jego malują. Wyszukanie ideowo-zawodowe można przetrzymać. Świadczy o tym choćby nasz zacny Michał Kazubek, który mimo lat siedemdziesięciu ośmiu dzień w dzień przychodzi tu i... Czego?

To skapitulował Zdzisio. Andrzejek trzymał się najdłużej i dlatego jego właśnie Purchała już po prostu skrzyczał - dzieje ludzkie notują niejedną taką niesprawiedliwość. Gdy skończyło się wreszcie dwugodzinne szkolenie, nader kwaśno spojrzął na chłopców, którzy ze spuszczoneymi głowami stali przed nim.

- Bardzo się na was zawiodłem - powiedział w końcu. - Przyjąłem was tak serdecznie... A wy... - machnął ręką, odwrócił się:

- Ależ, proszę pana! - bąknął Edzio. - Słowo daję, my nienaumyślnie.

- A kolega Rychlik jeszcze się tak przechwalał. Żeście jak te lale... Gdzie tam! Mój Michał może i głuchy, ale jak siądzie na szkoleniu, to jego kołmi z krzesła nie ściągniesz. A wy - trzydzieści procent obecności, nie więcej!

- Ależ, proszę pana! Cóż się stało właściwie? My się tego nauczymy, słowo daję! Jeśli to pomaga przy koszeniu, czemu nie? Poprosimy pana o notatki i... Purchała machnął wzgardliwie ręką.

- Nie o to chodzi! Zepsuliście mi sprawozdanie. Myślałem, że wreszcie nabiję tę przeklętą Olszynkę Gołdapską! A wy!...

Odwrócił się, smutnie zwiesiwszy głowę poszedł do swego gabinetu.

5.

Zmartwieni zagadkową krzywdą, wyrządzoną Purchała, chłopcy wyszli na ulicę. Tu ich dopędził Rysiek. Był wściekły.

- Cholera na niego! - krzyknął. - Wiejcie od tej zarazy! Jak byłem tu z Ogniwem gałwuńskim, to mi proponował zastępcę kierownika! Ale się teraz sfrajerowałem i chlapnąłem, że z Gałwun nawiałem, to widzicie, na planowanie chce mnie wpakować. I jeszcze obowiązkowe słuchanie tego, co będzie pieprzyć! Aha, guzik! Jadę do Pizzu!

Życzyli mu szczęśliwej podróży. W kasie pegieerowskiej wreszcie znalazły się pieniądze. Było po pierwszej, gdy zjawili się w miejscowej restauracji.

I tu dopiero zagadka krzywdy Purchała została wyjaśniona.

Bo gdy weszli do ciemnego lokalu, przesyconego zawieszonym odorem kapuśniakowo-bigosowym, w najciemniejszym końcu ujrzeli jasny punkt: łysinę Purchała. Był czerwony na gębie i wylewny. Pusta ćwiartka przy nim wymownie tłumaczyła tę metamorfozę.

Na ich widok zamachał rękami, żądając, żeby się doń przysiedli. A gdy to uczynili, zaczął sam się zwierzać.

- Jestem uczciwy człowiek! - zawołał na samym początku. - Inny by ze ściany, z sufitu! Ja - nigdy! U mnie, co piszę, to święte! I dlategoście właśnie stuknęli mnie tak boleśnie!

- Ale co, co, na miłość boską? - Kucyk ręce złożył jak do modlitwy.

- Przez was przegrałem z Olszynką Gołdapską! - jęknął Purchała, rękawem zmachując z rzęs lżę nieposłuszną. - Przez was i przez tego całego Rychlika!

Tu myśli mu przeskoczyły na sprawy dawniejsze i na razie chłopców zostawił w spokoju.

- A jeszcze się przechwala! - krzyknął. - Że u mnie niby wybiórki! No, może i tak, moi są starsi!

Ale też robota u niego nie ta, co u mnie! U mnie siedź sobie spokojnie i słuchaj, wielkie mecyje, rzeczywiście. A u niego uważaj! Bo nie wstaniesz w porę, skandal, można powiedzieć, międzynarodowy! Także samo z oklaskami! Nie dasz w porę, to cholera wie co może wyniknąć. Jak ten Grom-Taratuta przyjeżdżał, to pół miasta spędzono. Ode mnie dwanaście osób! I wstawaj, i klaskaj, i jeszcze krzycz. Grom-Ta-ra-tu-ta! Grom-Ta-ra-tu-ta! Myślicie, łatwo? A moi krzyczeli! A on teraz mi takie świństwo! Jak te lale, rzeczywiście. I kwadransa nie wytrzymali, zaraz w krzaczki!

Z trudem skierowali wreszcie jego uwagę na właściwą sprawę. Precyzyjnie zmieniając nacisk na prośby, dowiedzieli się wreszcie zdumiewających tajników tutejszego życia społeczno-gospodarczego.

Okazało się przede wszystkim, że szefowie miejscowych placówek zawarli między sobą swoisty układ o współpracy i wzajemnej pomocy. Gdy tylko jeden z leckich resortów zaszczycony zostawał przyjazdem własnego dygnitarza, wszystkie inne składały się, aby mu zapewnić przyzwoitą frekwencję. Tak było niedawno, gdy na Lecko spadł jak z jasnego nieba Grom-Taratuta, działacz na skalę państwową i międzynarodową, a nawet międzyplanetarną (jako że został ostatnio dokooptowany

do Polskiego Towarzystwa Astronautycznego). Chociaż nie pochodził z pegieerów, to Rychlik nie wiadomo dlaczego podjął się organizacji tego spotkania. On zaś, Purchała, uczciwie wywiązał się z własnego kontyngentu personalnego, który na ogół spisał się nieźle, z wyjątkiem Michała, nieco spóźnionego z klaskaniem.

Od tej formy pomocy sąsiedzkiej lecczanie przeszli jednak do innej, wyższej. I tu właśnie Purchała okazał się szczególnie zainteresowany.

Na skutek szeregu przyczyn przemysł terenowy w Lecku nie rozwijał się zbyt bujnie. Tradycyjne, jeszcze z czasów pogańskich, darcie łyka podupało jakieś pięćset lat temu i w żaden sposób nie dało się odrodzić. Także próby zmontowania fabryczki liczydeł, przedmiotu cennego wobec planowej rozbudowy instytucji buchalterów, upadły na skutek odmowy Ministerstwa Lasów co do przydzielenia dwóch metrów drzewa lipowego. Purchała łudził się jeszcze, że na bazie miejscowej glinki da się uruchomić produkcję kurków śpiewających, ale i ta rzecz w łeb wzięła, ponieważ jedyny w okolicy znawca tego proceduru zmarł właśnie ze starości.

Wówczas Purchała zrezygnował z tych dziedzin, tak zwanych produkcyjnych. Wiele jest spraw w przemyśle, za które dostaje się stopnie, i cóż jest produkcja? Krótka chwila między planowaniem i sprawozdawczością, jak powiada anonimowy myśliciel.

Purchała szukał takiej dziedziny, w której rywalizacja byłaby najłabsza. Długo się wahał między obniżką kosztów własnych i szkoleniem kadr. I tu, i tam szanse wydawały się nęcące. Rezygnując z remontu zabudowań i zakupu dodatkowych krzeseł, można by się było dochrapać wcale niezłej lokaty. Później jednak głupia zawiść pchnęła go do kupna kasy pancерnej, ponieważ Rychlik też sobie ją sprawił. Wobec tego o żadnej obniżce mowy już być nie mogło. Pozostało szkolenie. I tu zrazu wyniki były całkiem obiecujące. Przeprowadzając tak zwaną mobilizację powszechną, to znaczy zawieszając na te dwie godziny funkcjonowanie urzędu, Purchała już w drugim kwartale wysunął się do wojewódzkiej czołówki.

Potem jednak odpowiedni centralny zarząd, przerażony błyskawicznym wzrostem wydajności szkolenia, opracował nowe wskaźniki na bazie generalnych wytycznych PKPG. I wtedy właśnie pomoc sąsiedzka stała się dla Purchały koniecznością życiową.

O ile przed tym do uzyskania stopnia wystarczał procent objętych szkoleniem pracowników, o tyle teraz nieubłagane prawo wymagać poczęło cyfr bezwzględnych. Wprowadzono też pojęcie słuchacza całkowitego i słuchacza niecałkowitego. Pierwszym zostać mógł tylko ten, kto przesiedział na szkoleniu bez żadnej, choćby parosekundowej przerwy. Natomiast najłżejsze wyjście czyniło z winowajcy słuchacza niecałkowitego, trzy-ćwierci-słuchacza, półsłuchacza a nawet jeszcze mniej. W związku z tym stało się konieczne przyjęcie nowego zastępcy buchaltera, który musiał wszystkie te ćwiartki i połówki obliczać.

- Rozumiecie teraz?! - krzyknął Purchała w podsumowaniu. - Czterech was przyszło i wszyscy niecałkowici! Liczyłem, że wysunę się przed Olszynkę...

Rzecz w tym, że szef przemysłu terenowego w Olszynie Gołdapskiej też był spryciarz i z trudnej, niepewnej i kłopotliwej produkcji również przełączył się na szkolenie. Dramatyczna walka o prymat szkoleniowy między Olszynką i Leckiem od roku stanowiła najjaskrawszy rozdział historii przemysłu terenowego na całe województwo.

- Rozumiecie teraz?! - jeszcze krzyknął Purchała. - Jużem miał szansę. W Olszynie właśnie objawiła się biegunka i tamci nawalili. Ale i wy, i wy...

Pochylił głowę, pełen takiego bólu, że Kucyk nie wytrzymał i zaczął go pocieszać:

- Ależ, panie kierowniku, słowo daję, można to jeszcze odrobić! Na następnym szkoleniu wysiedzimy, choćbyśmy mieli się...

- Naprawdę?! - krzyknął Purchała. - No, to już, biegnę dzwonić do Rychlika! I jeszcze dziś po południu... Jeszcze nie wszystko stracone! Dziękuję wam, chłopcy, dziękuję! O czternastej zbiórka u mnie! Będziemy mówić o znaczeniu Ligi Kobiet w pracy młodzieżowej! Cześć!

Zanim chłopcy zorientowali się, wyskoczył z knajpy i pogalopował machając im ręką z wyrazami dozgonnej wdzięczności.

- Ale fujara! - warknął Wojtek. - Toś nas wrobił!

- Rzeczywiście! - dorzucił Zdzisio.

Kucyk był bardzo zmieszany przez trzy sekundy. Potem błyskawica decyzji śmignęła mu w spojrzeniu.

- Powstań! - zawołał. - Wszyscy za mną, kierunek Atalanta, biegiem marsz!

W Gorzyżkach straszy.

Gdy dobiegali do przystani, Zdzisio, który prowadził, zatrzymał się tak nagle, że następny, Kucyk, wpadł na niego. Nie awanturowali się jednak, tak dziwną rzecz ujrzeli przed sobą.

Na Atalancie był człowiek! Pochylony tyłem do nich, szukał czegoś pod deskami pokładu. A cholerna Sulamita nie raczyła nawet szczekać!

Ruszyli naprzód na paluszkach. Byli o parę metrów, gdy podniósł głowę, ujrzeli ich i fala zmieszania zabarwiła mu twarz na buraczkowo.

Zmieszali się także. Znali go: to był ten, co ich uczył wciągania żagla!

- Dzień dobry, chłopcy - powiedział udając, że jest mile zaskoczony tym spotkaniem. - A to niespodzianka, co? Wczoraj dopiero wyjechałem z Mikołajek. Myślałem, żeście dawno na Śniardwach...

- Przepraszam pana - przerwał mu Kucyk. - A przecież widzieliśmy wczoraj pana w drodze z Gałwun.

- Ach, tak, tak. - Jegomość klepnął się w czoło. - To przedwczoraj, z tych Mikołajek! Te wakacje! Człowiek przestaje się wyznawać w datach, dniach tygodnia, prawda?

Milczeli. Uśmiech mu przygasał.

- Dziwicie się, że w wazie nie pytając na pokład? Bardzo proste. Dobijam do przystani, patrzę, jakby znajomy jacht. Myślę, trzeba odwiedzić chłopców. Dobijam do burty, wołam. Nikt nie odpowiada. I w tejże chwili ołówek, który trzymam w ręku - bęc! - i leci, trafia w szparę i już jest w zenzie. A że pamiątkowy...

- Ołówek? W palcach? Przy dobieciu? - Kucyk jest po prostu niegrzeczny.

- No tak! - macha ręką gość. - Pisałem właśnie kartkę!

Kucyk patrzy mu w oczy.

- Przepraszam pana, ale już musimy jechać.

- Ach, tak? A dokąd?

- Do... - wrywa się Andrzejek i jęczy. Wojtek wyrzucił go obcasem w kostkę.

- Tak, w ogóle, przed siebie - rzuca Zdzisio.

Gość nic nie mówi, uśmiech mu gaśnie ostatecznie. Wyłazi na brzeg. Idzie do swego kajaczka, który wcale nie przy Atalancie się znalazł, ale o dobre dziesięć metrów dalej.

Jest wczesne popołudnie, niebo bez chmurki, słońce potężne, lekki wiaterek. Ciągną szybko żagiel, odbijają. Chyba z kilometr milczą. Potem Andrzejek obrywa od wszystkich trzech. Nie bardzo może się bronić - rzeczywiście, facet zachował się dziwnie i nie było żadnej racji, żeby się przed nim zwierzać z celu podróży. Jak zwykle w takich wypadkach, zaczęto grzebać we wspomnieniach. Przypomniano sobie, że ówże gość robił aluzje na temat pozostania na Atalancie jeszcze wtedy, naprzeciw Frankowiaków. Zdzisio wyciągnął nawet wieczór przyjazdu do Stobca.

Chwilę milczeli wszyscy: tak dobrze pamiętali dziwny samolot o północy. Dopiero po minucie podchwycił Kucyk:

- Był nad nami, nie? A następnego ranka ten kajak!...

Andrzejek przypomniał sobie jeszcze dwie sekundy z pijatyki w Momajnach. To spojrzenie, ciężkie, zaciekawione, gdy zaczęto się przechwalać, z czyjej „stajni” żaglówki! Nie mówił o tym, ale też nie potrafił się bronić przed zarzutami.

Dopiero po godzinie wiatru i słońca zaczęło z wolna mijać ich niespokojne milczenie. Jezioro wyginało się w wysokich bezleśnych brzegach, a potem się rozszerzyło, płachty trzciny powyrastały i znów zaczęły się lasy.

Andrzejek ukrył się przed oczami reszty na dziobie. Patrzył długo przed siebie, powoli się uspokajał. Potem odwrócił się, krzyknął:

- Chłopcy!

Spojrzeli. Kolejny występ lasu z wolna przesuwiał się na prawo. Za nim zamiast następnej, bledszej i bardziej niebieskiej ściany sosen, wypływało coś dalekiego, siwego, przymglonego.

- No, chłopcy! - Kucyk zerwał się na nogi, uroczyście, jak Kolumb, zawołał: - A przecież dojeżdżamy!

Atalanta śmignęła porwana gwałtowniejszym podmuchem, przechyliła się i Kucyk czym prędzej usiadł. Lewy brzeg jeszcze się ciągnął prostą zalesioną wstęgą, z prawej jednak jezioro rozszerzało się, stawało wielką przestrzenią, zamkniętą dalekim zamglonym horyzontem.

- Patrzcie, patrzcie! - krzyknął znowu Andrzejek. Oto spoza lasu na linii horyzontu wynurzyła się dziwaczna budowla w stylu bardzo grubego i dosyć wysokiego słupa. Zaraz obok mniejsza i zwyczajniejsza wieża kościelna.

- Mikołajki! - zdecydował Kucyk. - Skręcamy w prawo.

- Patrzcie, Gorzyjałki! - zawołał Zdzisiek.

Na prawo rzeczywiście ukazało się kilka domów o jakieś sto metrów od brzegu, przy którym był pomost i nawet parę łodzi.

Skręcili. Wiatr cisnął teraz z prawa, chylił łódź, drobna fala pluskała o burty.

Przystań wyrosła nagle. Zdzisio źle obliczył szybkość jachtu i gdy puścił wreszcie żagiel, rozpęd był tak duży, że dziób wyrznął w belkę pomostu. Wojtek szykował się właśnie do skoku na ląd. „Eleganckie” dobitnie sprawiło, że płasko siadł na dach kajuty. Andrzejek krzyknął: wydało mu się, że pękło oszalowanie jachtu. Na dobitkę z brzegu powitały ich ironiczne słowa:

- Jeszcze raz tak, a wracać będziecie wplaw. Brawo, żeglarze!

Dwudziestoletni chłopak, blondyn o złośliwych oczkach, wylazł z krzaków i stanął na pomoście z rękami w kieszeniach, pełen forsownego podziwu dla Rumbakstagów.

Kucyk już się chciał obrazić, ale pomyślał, że to może ktoś z dyrekcji pegieeru, i przemógł się.

- Przepraszam pana - rzekł z najrozkoszniejszym uśmiechem. - Czy to pegieer Gorzyjałki? Na twarzy młodzieńca ukazało się najwyższe zdumienie. Wytrzeszczając oczy spojrzał na Kucyka, a potem się odwrócił i krzyknął:

- Stachu!

Z kępy krzaków odpowiedział mu zaraz czyjś rozleniwiony głos:

- Czego?

- Chodź no tutaj! A już!

Wojtek skoczył tymczasem na pomost i z cumą w ręku znieruchomiał, zaskoczony zachowaniem się tamtego. Blondyn stał, nic nie mówiąc, patrząc tylko na chłopców tak jakoś niewyraźnie.

Z krzaków wylazł opalony młodzieniec w kąpielówkach. Blondyn nie patrzył nań, patrzył na chłopców. Znieruchomieli wszyscy. Tylko Kucyk nie wytrzymał i jeszcze raz zaczął:

- Przepraszam pana, nam trzeba do pegieeru Gorzyjałki...

Ten z krzaków podszedł nareszcie.

- No, czego? - rzekł ziewając.

- Popatrz, popatrz. - Blondyn nie spuścił ani na chwilę spojrzenia z chłopców. - Oni chcą do Gorzyjałek!

Jakby kto zmiótł senność z twarzy nowoprzybyłego, Podrapał się w głowę i krzyknął do tyłu:

- Rysiek! Chodź tu zaraz!

I sam zagapił się także.

Sprawa stawała się dosyć niesamowita. Z krzaków wylazł Rysiek, leniwie podszedł do przystani i znów przeobraziło go krótkie oświadczenie Stacha: że ci oto chcą do Gorzyjałek. Jeden po drugim wylazili z krzaków opaleni studenci. Potem ukazało się parę dziewczyn. Niebawem na przystani zebrał się niezły tłumek.

Kucyk, zaciskając wargi, po raz dziesiąty jak najuprzejmiej pytał, czy to te nieszczęsne Gorzyjałki. Ale nikt nie powiedział ani tak, ani nie. Wszyscy tylko gapili się na chłopców tym samym spojrzeniem, w którym podziw górował nad czymkolwiek innym.

Dopiero przybyła najpóźniej malutka wdzięczna blondynka okazała chłopcom trochę litości.

- Gorzyjałki? - powtórzyła. - Chyba Najgorzejałki!...

- Cicho bądź, Barbara! - krzyknął zaraz pierwszy.. - My, zorganizowana młodzież, nie możemy pozwolić na jałowe krytykierstwo i szkalowanie osiągnięć Polski Ludowej!

Słowa te spotkały się z hucznymi oklaskami zgromadzonych na przystani. Kucykowi błysnęło coś w głowie, mruknął do Wojtka i ten skoczył na pokład.

- No, to dziękujemy kolegom za wyczerpujące informacje! - skłonił się z ironią Kucyk, gdy między pomostem i jachtem wyłoniło się dziesięć metrów jeziora.

- Nie ma za co! - krzyknął blondyn. - Ano, chłopcy, na cześć odważnych trzykrotne...

Tłum na przystani krzyknął: „Cześć, cześć, cześć”, a potem zaczął skandować: „Gorzy-jałki! Gorzy-jałki!”, machać chustkami, rękami, wiosłami, podskakiwać i nawet fikać koziołki.

- A pilnujcie się, żeby wam amorek cegłą po łbie nie dał! - wrzasnął jeszcze ktoś i reszta donośnie zarechotała.

- Szpital wariatów na wczasach wędrownych! - nienagannym tetrametrem daktylicznym powiedział Kucyk, nie wiedząc zresztą wcale, że przemawia tak wyszukany wierszem.

- Wiecie, że to jednak dziwne - wtrącił Wojtek. - Te Gorzyjałki...

- Patrzenie, jaki bystry! - pokiwał głową Kucyk. - Co, może każesz teraz zawracać?

- Nie dogadali się jeszcze, gdy od strony dalekiej wieży kościelnej wyskoczyła jakaś hałaśliwa motorówka. Szła prosto na nich i kiedy była o dwadzieścia metrów, Kucyk wytężył płuca, krzycząc pytająco:

- Gorzyjałki?

W motorówce siedział grubawy siwawy jegomość ~ okularach. Mimo piekielnego jazgotu motorowego dosłyszał wołanie. Przez sekundę i jemu jakieś dziwne uczucie ścięło twarz jak kwasem. Opanował się jednak i machnął ręką - na prawo od Mikołajek, w stronę wielkich zarośli trzciny, które właśnie się wychylały. Już się oddalając, z pół minuty jeszcze gapił się na chłopców, jakby z jakimś współczuciem.

2.

Kucyk nie stawiał jednak sprawy pod dyskusję, Zdzisio skręcił na prawo. Jezioro rozszerzało się coraz bardziej, z nieruchomej rzeki stając się wreszcie prawdziwym jeziorem. Wiatr przybierał na sile, chylił jacht, wymijali szybko jeden za drugim zagony siwej trzciny, wyższej, grubszej i gęstszej niż dotąd.

- To już Śniardwy! - powiedział Andrzejek nie bez rozmarzenia. Właśnie wynurzyła się przed nimi nowa, szeroka płachta wodna. - Największe jezioro Polski...

Trzcina szła teraz przy nich nieodstępna wysoka ścianą. Tu i ówdzie ponad nią wyłaniały się kępy wierzb, zresztą nic nie było widać.

- Te Śniardwy! - lekceważąco powiedział Kucyk. - Inaczej sobie je wyobrażałem.

- Gdzie, u licha, te Gorzyjałki? - niecierpliwił się przy sterze Zdzisio.

Jezioro było tu nieszersze od Beldanu, tyle że naprawdę brzydkie, bo z gołymi płaskimi brzegami. Minęli jakieś drągi powbijane w dno przez całe jezioro. A- potem, za niewielkim przylądkiem zaczęło ukazywać się coś takiego, co zwarło im usta i rozwarło oczy.

Ogromne niebo, nieodzownie dotąd błękitne niebo lipcowe, które wieńczyło ściany leśne i brzegi polne w ich drodze dotychczasowej - tu padło im do nóg, poprzez niedosięgły horyzont przeobraziło się w pluskającą pod jachtem falę.

Świat się rozchylił nagle w prawo i lewo. Jakieś przybrzeżne pagórki łyssały słonecznym żytem. Jakieś bardzo dalekie lasy stały siwoniebieskie w popołudniowej spiekocie. Na wprost zaś było tylko niebo.

Andrzejek wstał z ławki pod masztem, wlaź na kajutę, wrócił na dziób, chwycił się sztagu. Potem mimo woli zaczął mówić:

Co wieczór zapatrzonym w jutro walk epiczne
południowego morza tonie fosforyczne
stroili sny w cudowne nieziemskie miraże.
Albo znów pochylonych na karawel przodzie
ośniewały na niebios nieznanych obwodzie
wstające z oceanu gwiazd nieznanych strażę.

Milczeli, wpatrzeni przed siebie, łykając długimi haustami pełnię i piękno tego krajobrazu. Najsilniej zaś urzekło nie to, co było po bokach, nie bliskie drzewa, skomponowane w kępy, jak abstrakcyjne rzeźby, nie akwarelowe barwy dalekich brzegów, nie ciemna bryła wysepki przed nimi, słowem, nie to, co kolorowe, pełnokształtne, znane, choćby najbardziej bogate - ale właśnie niezbyt długi strzępek horyzontu tam, gdzie jezioro wchodziło do nieba, tam, gdzie nic nie było. To znaczy tam, gdzie jeszcze mogło być wszystko.

I to była reakcja zarazem najbardziej naturalna i najbardziej cudowna ze wszystkich reakcji, do których zdolna jest młodość. W tym właśnie uroku, który Nieznane wywiera na co lepszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego, kryje się mechanizm tego, co nazywamy postępem.

Przechylona w lewo Atalanta parła naprzód, prując wzbierającą falę swoim śmigłym dziobem. Pejzaż rozwierał się coraz bardziej, w obie strony brzeg odskoczył w dal, cieśnina się skończyła. Jakieś nowe, nie znane im dotąd falowanie zaczęło powoli podnosić łódź, chylić, prostować.

Uniesienie coraz głębiej ogarniało całą czwórkę. Andrzejek na dziobie wysunął twarz przed siebie, podbródek uniósł do góry, usta rozwarł i rzeczywiście tykał potężniejszy słoneczny wiatr.

Niebawem jeden punkt pejzażu przywiązał go szczególnie: wyspa, nieduży wysoki prostokąt ciemnej zieleni nieco w prawo od kursu. Wydawała mu się ani o grosz mniej tajemnicza niż tamta z Juliusza Verne'a czy owa Stevensonowska, czy te z Conrada, czy z Londona. Już myślał, co czynić, aby niesfornych kompanów skłonić do takiej odkrywczej wyprawy.

Może i oni zresztą marzyli o czymś podobnym? Kucyk stał przy maszcie oparty o kajutę, zmrużonymi oczami gapiąc się na pierwsze obłoki, których perłowe brzuchy wynurzały się właśnie spoza bardzo dalekich lasów na południu. Wojtek po chwili też się podniósł i stanął przy nim. Nawet Zdzisław nie wytrzymał, jakby właśnie do klasy wszedł pan profesor - bo też skoczył na nogi i stojąc trzymał wydzierający się w lewo rumpel. Tylko Sulamita siedziała pod masztem całkiem obojętnie, grzebiąc się we własnej sierści w pogoni za pchłami.

Może pięć minut tego milczącego zachwyty. Dopiero Wojtek, błędząc wzrokiem od lewego krańca horyzontu w prawo, gdy już napodziwiał ile wlezie słoneczne wzgórza, falujące żytem, strzęp bezbrzeża, wyrastającą coraz bardziej wysepkę, pełną ciemnych wysokich drzew, lasy prawego brzegu, pojedyncze dalekie żaglówki - odwrócił się całkiem na prawo i zaraz za cieśniną zobaczył kilkanaście bardzo wysokich i zaokrąglonych drzew, wśród nich zaś czerwone ściany i dach z jakimiś wieżyczkami.

- Patrz! - zawołał do Kucyka.

Czar prysnął.

-- Racja! - krzyknął Edzio. - Pamiętacie młodego Dendę? To Gorzyjałki, już całkiem na pewno. Do zwrotu przez sztag!

Tylko Andrzejek nie dosłyszał tej komendy, zapatrzony ciągle w bezbrzeżny horyzont i wyspę. Dopiero gdy i wyspa, i bezbrzeże uciekły mu sprzed nosa, tchnął, zlął z kajuty.

Wyspa... - rzekł rozmarzony. - Prawdziwa...

I nawet nie potrafili się zeń ponabijać! Co prawda czekało ich kłopotliwe halsowanie: kępa wysokich drzew leżała wprost pod wiatr.

Jakoż dopiero po półgodzinie dotarli znowu do trzciny. Wiatr tu osłabł, kanał prowadzący do odległej przystani był za wąski na dalsze halsowanie. Spuścili żagiel. Było tu już dość płytko, na pycha zaczęli z wolna posuwać się do brzegu.

Nigdy dotąd nie widzieli tak wysokiej trzciny: sięgała połowy masztu! Tylko wylażąc na kajutę, Kucyk mógł wysadzić ponad nią głowę. Właśnie to uczynił, rozejrział się jeszcze po znikającym jeziornym przestworzu.

W tejże chwili Zdzisio z całej siły pchnął wiosłem.

Kucyk chybnął się na dachu i o mało nie zleciał do wody.

- Kawały! - krzyknął zaczepnie, zeskakując na dół.

- Spokój! - syknął Wojtek. - Uważajcie!

3.

Korytarz wysokiej trzciny, prosty i wąski właśnie jak korytarz, kończył się przystanią z kilku desek opartych na kozłach. Obok sztucznie usypane z glazów, piętnastometrowe molo sprawiało wrażenie prawdziwego portu. Woda tu była spokojna, niegłęboka, przezroczysta, dno całe zarośnięte burozielonymi wodorostami, włóchatymi jak gąbka. Oczywiście jednak nie to skłoniło Wojtka do ostrzegawczego sykania.

Port był pusty. Ani łódki. Ale na molo ktoś czekał na chłopców. I po kolei każdy z nich, zerknąwszy na bliski już brzeg, odruchowo się prostował, tors wydymał, ręką przyglądał rozczochrane przez wiatr włosy (albo je właśnie czochrał, pod Gerarda Philippe'a - jak Wojtek), obciągał koszulinę.

Bo aż dwie kobiety stały sobie na molo, gapiąc się na ciągnącą żaglówkę. Jedna - stara! - bo co najmniej trzydziestoletnia, czarniawa, o zadartym nosie i „za to” bardzo długiej, łącie końskiej twarzy, w najmodniejszych podówczas, bo ani krótkich, ani długich, takich do pół łydki porciętach i pantofelkach na bardzo wysokich obcasach. Trzymała się z przodu, stała dumnie wyprostowana, mierząc chłopców spojrzeniem, w którym harmonijnie się łączyła pycha ze wspaniałomyślnością i jeszcze coś takiego, czego nie umieli rozszyfrować. Może dlatego, że więcej niż dwie dziesiąte sekundy jej nie poświęcili.

Trochę z tyłu stała druga. Też niemłoda - z żalem pomyślał Andrzejek, bo na pewno mająca już swoją dwudziestkę. Tylko jej wyjątkowa uroda sprawiła, że wielkodusznie przebaczyli jej tak ciężką przywarę.

Była niewysoka, miała jasnopopielate, bardzo puszyste włosy, nos prosty, niemały, prawie dorastający do rangi orlego, oczy takie jakieś, że i strach w nie popatrzeć, i niesposób się oderwać, usta jeszcze gorsze, bo takie czerwone, choć nie malowane, tak wykrojone, tak ułożone, że wystarczy zahaczyć o nie wzrokiem, by ciemny rumieniec wykwił ci na policzkach i słowa zaczęły się plątać między zębami.

To właśnie sprawiło, że Zdzisio ostatnie pchnięcie wiosłem wykonał z rozmachem wystarczającym do rozwalenia - jedno z dwójga - łodzi czy przystani. Gdy Atalanta skoczyła, żadnemu z chłopców nie starczyło przytomności umysłu, by przynajmniej nastawić ręce i w ten sposób starać się osłabić nieuniknione zderzenie. Pewnie, oni też się zagapili.

I wtedy właśnie ona, ten przedmiot kolektywnego uwielbienia, wykazała łącie męską szybkość decyzji: jednym skokiem znalazła się na przystani, padła na kolana i obie ręce wyciągnęła na spotkanie nadlatującej Atalanty.

- Co robisz?! - wrzasnęła końskotwarza. - Manikiur!

Było za późno, Żaglówka wyrznięta w deski przystani. Pchnięta do tyłu dziewczyna usiadła. Jej bohaterstwo zdało się jednak na coś - burta łódki wytrzymała przecież, nie pękła.

Atalanta chwiała się jeszcze, odskoczywszy o pół metra wstecz, gdy już Wojtek z Kucykiem znaleźli się na lądzie, po obu stronach oszołomionej zderzeniem panienki. Winowajca, Zdzisiek, już pędził z rufy, skacząc przez miecz, wanty, szkoty, byle się nie dać ubiec tamtym.

Ale żaden nie zdążył. Dziewczyna zerwała równe nogi, zanim tknęła ją pierwsza pomoc.

- Niezdary, partolo! - wrzasnęła. - Kozy wam paść, a nie prawdziwym jachtem..,

- Lucyno! Do nieznamomych?... Cóż to znowu? - wtrąciła się końskotwarza, osobiwie gruchając, co zapewne miało dodać wytworności jej słowom, - Panowie do nas? - powiedziała tym samym reprezentatywnym tonem i zerknęła na swoją towarzyszkę, co miało znaczyć: „Słuchaj i ucz się!” Po czym mówiła dalej, gruchając coraz bardziej i przeciągając ile się da akcentowane zgłoski na dół, do góry i znowu na dół: - Panowie pozwolą, jestem Nelly Sykusowa. Znajomi zowią mnie po prostu: piękna Nelly. Oczywiście, nikogo do tego nie zmuszam. Przedstawiam się pierwsza, bo przecież mamy równouprawnienie płci! Hi, hi, hi!

Wyciągnęła mocno wymanikiowaną dłoń do najbliższego, Zdzisia. Ten ją chwycił, ale stracił głowę i zamiast cmoknąć, co piękna Nelly sugerowała mu lekkim wygięciem przegubu do góry, ścisnął z całej siły.

- O! - pisnęła końskotwarza zaskoczona. Ale po krótkim namyśle postanowiła się nie obrażać. Dopiero Wojtek spełnił jej życzenie i z rozmachem cmoknął omdlewającą dłoń. Dostał też natychmiastowej nagrody: kazała mu zaraz wziąć się pod rękę. - Chodźmy, chodźmy! Mąż mój tak się ucieszy! Przepada za młodzieżą. O, a to piesek! Jaki milusi! Sulamita teraz dopiero wylazła z kabiny. Jej nieomylny zmysł wazeliniarski natychmiast podpowiedział, co ma czynić. Rzuciła się z rozpędem na przystań i padła plackiem przed piękną Nelly.

- Milusi! milusi! - wrzasnęła końskotwarza. - A jak się nazywa? Sulamita! Ach, prześlicznie! No, to chodź, psinka, chodźcie, panowie!

Nie odeszli jednak, bo Lucyna wtrąciła się znowu:

- A jacht kto uporządkuje? Kamerdyner?

- Lucyno! - znów omdlewająco jęknęła Sykusowa. - Przecież nie znasz panów! Proszę się zapoznać: moja kuzynka. A oto panowie... Panowie z uniwersytetu, nieprawdaż?

Zaskoczeni, sekundę się wahali.

- Ach, nie, oczywiście! - pisnęła Nelly. - Wiem, wiem, panowie z politechniki. Macie przecież obóz, pod Mikołajkami...

Edzio już oprzytomniał i zgodził się ochoczo na tę wersję. Po kolei, rumieniąc się straszliwie, podawali ręce Lucynie. Patrzyła na nich bez zachwytu. Andrzejka obejrzała od stóp do głów.

- To też politechnika?! - pokiwała głową.

- Ależ nie! To mój kuzyn! - krzyknął czym prędzej Kucyk. - On jeszcze w budzie.

Andrzejek rzucił mu niemy piorun spojrzenia. Bo jeśli kto rażony był w serce tym spotkaniem, to właśnie on przede wszystkim. Uraz małego wzrostu, nieprzydatności, pamięć straszliwego ciosu z tamtą torcikowatą Najadą - wszystko to było teraz tak bardzo bolesne, że stał nie patrząc na zjawisko o popielatych włosach i tylko powtarzał sobie w myśli: „No, muszę coś pokazać, no, muszę coś pokazać...”

Wszystko razem trwało bardzo krótko. Potwierdziwszy, że to nareszcie są Gorzyżalki, i poczekawszy, aż chłopcy wykonają parę zaleceń Lucyny, złożą i przewiążą żagiel, prawidłowo łódź przycumują i zamkną na klucz kabinę - końskotwarza piękność na wysokich obcasach otworzyła pochód, mocno trzymając pod rękę eleganckiego Wojtka. Reszta otoczyła jej kuzynkę. Chłopcy szli jakoś bokiem, nie śmiać zaudać się zbliżyć i nie chcąc ani na sekundę tracić z oczu tak olśniewającego zjawiska.

Nelly poczuła zaraz, że coś nie w porządku, obejrzała się, spostrzegła tę maszerującą adorację.

- Nie, nie, proszę państwa! - powiedziała stanowczo. - Tak nie uchodzi! Lucyno, oddaj mi jednego z twoich towarzyszy. Tego wyższego, jeśli łaska - dorzuciła tonem, którym w restauracji prosi się o przysunięcie solniczki.

- Ależ proszę cię bardzo! - cierpko odrzekła Lucyna, - I tak się czuję jak orkiestra wojskowa maszerująca w niedzielę do kościoła przez miasto Jarosław.

- Cha, cha! - zaśmiała się prawie basem Nelly zagarniając pod prawe ramię Kucyka. - Ty jak powiesz...

Andrzejek dopiero po chwili pojął straszliwy sens tego, co powiedziało objawione właśnie bóstwo. Rumieniec zalał mu czoło, spuścił oczy, zwolnił, został z tyłu. Dzisiaj też zresztą doń się przyłączył.

I tak szli: końskotwarza z kawalerami na przedzie, potem samotna, bo niedobra Lucyna, potem para niedołów, wreszcie niebezpieczna Sulamita. Milczeli wszyscy, z wyjątkiem oczywiście pięknej Nelly.

- U nas, w Gorzyżalkach, jest bardzo, ale to bardzo miło! - szczebiotała falującym głosem. - Zamieszkujemy wspaniały pałac pojunkrowski. Tu, proszę panów, mieszkał nie byle kto. Prawie baron, Hans, Haus... coś takiego. Zajęłam jego pokój! Kazik nie chciał, ale go przekonałam. No, bo, prawdę mówiąc, kocha mnie szalenie! I w ogóle to uroczy, uroczy człowiek! Wszyscy za nim przepadają! Co mówisz, kochanie? - odwróciła się do Lucyny.

- Ależ nic, nic! - parsknęła tamta.

- No, bo mi się zdawało... Bo Kazik, oczywiście, ma i nieprzyjaciół. Cóż w tym dziwnego? Przy jego bajecznej karierze... Jest bardzo młody. I gdzie tylko ktoś zawali robotę, tam zaraz Kazika! On już w dwunastu resortach pracował. Bo, proszę panów... - Tu zniżyła głos, ale nie na tyle, by ta reszta jej nie dosłyszała: - Jego znają w Urzędzie! I jak tu, w Gorzyżalkach, znów wyszła kłapa, to już sami nie wiedzieli, kogo wziąć. To on się sam zgłosił. Mówiłam: „Wariat, taka dziura!” A on nic, tylko te Gorzyżalki! Mówi: „Sykusowie zawsze pod Somosierrą!...” Taki miły!...

Dzięki tej gadaninie nie dostrzegli nawet, jak z przystani ongiś brukowaną ścieżką wyszli na łąd stały, minęli trochę wierzby przy ogrodzeniu, dotarli wreszcie w pobliże ceglanych zabudowań gospodarskich ustawionych w szeroki prostokąt.

Wkroczyli właśnie na środek tego dziedzińca, gdy z ciemnej obory o potłuczonych szybach wynurzył się zgarbiony człowiek z długimi szpakowatymi wąsami. Ujrzał ich, stanął, czapkę zdał z głowy i chył się nisko, krzyknął:

- Uszanowanie pani dziedziczce, uszanowanie!

- Dzień dobry, Macieju! - łaskawie skinęła głową końskotwarza. - Uroczy typ! - ciągnęła półgłosem. - Uparł się, żeby mnie dziedziczką... Bo trzydzieści lat był u Koniecpolskich. I przysięga, że mu żywcem przypominam hrabinę Agatę. Zrazu się broniłam. I Kazik też, krzyczał nawet. Bo on bardzo, bardzo mocny ideologicznie! Ale potem machnęłam ręką. Niech mówi, jeśli to mu sprawia przyjemność. Dlaczego mamy go tej przyjemności pozbawiać? To nawet po linii troski o człowieka! Koniec końców, miało się to dziewiąte plenum! Kazik mnie nawet pochwalił, za to plenum. Mówił, że rosnę...

4.

W tym miejscu doszli do rozpadającego się w niezłym tempie ogrodzenia. Przystanęli koło furtki, czysto symbolicznej, bo nawet zawiasy na słupie zamieniły się już w niewielkie kupki czegoś rdzawego.

- A to właśnie nasz pałac! - powiedziała końskotwarza. - Proszę, niech panowie zajdą!

Pałac okazał się przepięknym zabytkiem architektury z epoki wczesnego Wilhelma II. Na bazie zdrowego, ceglanego domu czynszowego wmontowane zostały trzy albo cztery do- przy- i nadbudówki, mające ukazywać całe bogactwo ideowo-artystyczne owejże epoki. Z lewej strony i w górze dobudowano niewielką portatywną niemal wieżę gotycką, wzorującą się z grubsza na jednej (ściśle: lewej) wieży katedry w Strassburgu. Jej zbyt zasadniczą suchość, ozdobioną wypłowiałą już flagą narodową, równoważyło rokokowe cacko w postaci belwederku osadzonego na dachu domu z prawej strony. Wejście było typowo mauretańskie, okna zaś parteru przykryte zostały jakże renesansowymi daszkami. Na chłopców, wychowanych przez naszą tak bogatą architektonicznie epokę, ta całość zrobiła wstrząsające wrażenie.

- Chłopaki! - syknął Kucyk przystając na chwilę. - Ależ tu pięknie! Toż to prawie jak Emdeem!

- Prawda? - rozpromieniła się piękna Nelly. - Był tu naczelny architekt z Pisu. Bardzo miły! Mówił, że w całym powiecie czegoś takiego nie znalazł. A to - pokazała na belwederkę - to podobno unikat. Na całą Polskę! A może i jeszcze większy. Jaka lekkość! I żadnego formalizmu! To takie użyteczne! Stamtąd Śniardwy jak na dłoni! - Zniżyła głos. - Kiedy sam Grom-Taratuta przyjeżdża tu na wakacje, to zawsze tam siedzi z lornetką. I co zobaczy wędkarza na jeziorze, zaraz do motorówki i nuż łapać! Mówił, że i w Warszawie to by się przydało. Siedzi sobie gość i zagląda w okna, czym się obywatele zajmują w godzinach pozasłużbowych. Słowo daję. Miał tu nawet kogoś przysłać, żeby odrysowali. No, proszę bardzo...

Nie poszli jednak mauretańskim wejściem. Dzieje najnowsze wniosły pewne istotne korektywy do tego unikat, nadały mu patyny, którą w pewnym nadmiarze posiadają na przykład zamki w Czersku czy Chęcinach. Potłuczone w drobny mak szyby z gotyckiej wieży przydały czarnej głębi wąskim okienkom, tam zaś, gdzie się szyby cudem utrzymały, wieloletnia wyteżona działalność pajaków i kurzu pomalowała je na ten czarowny kolor, który Francuzi nazywają gris cendre, szarością popiołu. W sumie to jeszcze nie była ruina, ale żwawo w tym kierunku zmierzała. Powiedzmy, że była to ruina in statu nascendi.

Zarośniętą ścieżką ominęli dom, zeszli schodkami w dół. Był to skrawek ziemi wydarty ongi wodzie. Kilkanaście ogromnych starych lip i topól przesłaniało jezioro. Tylko pola wysokiej trzciny widziało się między drzewami.

Były tu nawet ścieżki wyłożone cegiełkami, były sadzone malowniczo kępy dekoracyjnej zieleni. Krzewy jednak już przelały się na ścieżki, stały się zaroślami, na trawnikach zaś bujnie rosły osty i topiany.

Oblupione z cementu schodki przywiodły ich wreszcie do mieszkalnej części pałacu. Końskotwarza z nadrabianą lekkością gazeli wbiegła na górę, pokrzykując:

- Ale się Kazik ucieszył! Kazik! Kazik! Chodźże! Przyprowadziłam ci gości! Tacy mili! Kazik! Halo!

Gdy weszli do ciemnej jadalni, zastawionej bardzo sponiewieranymi krzesłami i pluszowymi kanapami, piękna Nelly już przybiegła z głębi domu.

- Nie ma go! Ach, tyle ma zajęć!

- Pewnie żniwa... - wyrwało się Wojtkowi.

Końskotwarza machnęła lekceważąco ręką.

- Skąd znowu! Nie mamy tu, na szczęście, ziemi ornej.

- Ach, to te sianokosy...

- I to nie. Zresztą, głupstwo, nie mówmy o drobiazgach! Ach, psinka, psinka! - Nachyliła się nad Sulamitą. - Ubóstwiam, ubóstwiam pieski! To takie wytworne! Wszystkie damy ze sfer rządowych... Niestety, niestety, w Gorzyżkach psy się jakoś nie chowają. Moja ty psinka, maja jedyna! Ciupcia! Bziubzia! I ty, ty!...

Sulamita z całą premedytacją dawała się pieścić. Jak z ową Najadą, zaczęła nawet pojękiwać. Skutek był pierwszorzędny. Końskotwarza zaczęła ją tulić w ramionach, a potem pocałowała w nos i dopiero puściła na podłogę.

Ten wylew czułości jakby ją nagle ostudził. Nareszcie zaczęła mówić trzeźwo i do rzeczy.

- Panowie głodni? No, pewnie, po takiej podróży. Panowie mają sprawę do Kazika? Tak? No, to świetnie. Upitrasimy coś niecoś, a tymczasem i Kazik się pojawi. Mam rację?

Zbyt szybko, zbyt donośnie przyznali jej tę rację, toteż zaraz się zastrzegła:

- Tylko z góry uprzedzam, żadnych smakołyków! Nie spodziewałam się tylu uroczych gości. A poza tym, wiecie, tu ciągle te czary, z kurami, z krowami... Słyszeliście pewnie, co? Nie?

- E, babskie gadanie! - uśmiechnął się Kucyk.

- O, wcale nie! Wprost przeciwnie! Tajemnica natury! Ludzie powiadają, że przekłete miejsce. Odradzano nawet Kazikowi. Ale on taki odważny! Właśnie na przekłete miejsce. A ja za nim. Gdzie ty, Kajus... Lucyno, idź no, powiedz Agnieszce. Niech przyrzadzi, co tam jest...

- Ten boczek... - wyrwała się Lucyna.

- Jaki znowu boczek? Dawno go nie ma. Kluski panowie lubią? Co? No, właśnie.

Lucyna znikła w ciemnym korytarzyku. Sulamita, która dotąd ani na nią spojrzała podlizując się bezczelnie końskotwarze, teraz wstała, spode łba zerknęła na piękną Nelly i cichutko wymknęła się za tamtą.

Sykuśowa nie zauważyła tego. Zmierzch nadciągał późny, lipcowy. Ta najpiękniejsza pora dnia dla kobiet w jej właśnie wieku,

Usiadłszy tak, aby nie za dużo dogasającego dnia padało na jej wdzięki, zaczęła długą, afektowaną opowieść o nadzwyczajnym punkcie kuli ziemskiej, którym są właśnie Gorzyżki.

Chłopcy dowiedzieli się więc, że rzeczywiście ani kury, ani krowy tu się nie trzymają. Psy też nie. Tylko konie i świny da się hodować. Że ze trzy komisje weterynaryjne były już tutaj i nic nie wykryły. Że w związku z tym dotychczasowy kierunek pegieeru - hodowlany - został zawieszony, a nowego jeszcze nie ustalono. I że właśnie w tym celu skierowano tu zaledwie przed miesiącem Sykusa, który sam się ofiarował wytypować najodpowiedniejszy profil dla tego gospodarstwa.

Tu nastąpiła znowu liryczna dygresja na temat odwagi Kazika, jego miłości do pięknej Nelly i sympatii dla wszelkiej młodzieży.

Nie wiadomo czemu chłopcom przypomniało się dziwaczne przyjęcie, które im zgotowali studenci w nieznanym pobliskim osiedlu. Kucyk wtrącił nawet pół zdania na ten temat.

- Ach, ci! - krzyknęła Sykusowa. - Cóż to za gbury! Kazik miał pełną rację, że ich wyprosił. Niby na sianokosy przysłani, a tymczasem szwendali się po całym dworze, włazili bez pytania tu nawet, słowem zachowywali się okropnie, okropnie! A poza tym... - Przerwała i omdlewający uśmiech ozdobił jej końską buzię. - Kazik ubrdał sobie, że... Wiecie, on jest taki czuły, taki zazdrosny. Istny Otello!

- Ach, właśnie! - z głupia frant wyrwał się Zdzisio. - Oni krzyczeli, że za amory cegłą po głowie... coś takiego! - zmieszał się, urwał.

- Nie, nie, to całkiem co innego. To właśnie jedna z tajemnic Gorzyżalek. To z tamtej strony, w mauretańskim przedsionku. Tam takie sklepienie. I amorki. To wszystko już bardzo stare, zabytek przecież! Więc jednemu z amorków głowa skruszała. I czasem, rzeczywiście, cegła leci. Więc zamknięto tamto przejście. Jest nawet jakaś legenda o tym. Że kto ma serce nieczyste, to mu na głowę... Coś takiego. A studenci mimo zakazu ciągle tamtędy, na wieżę. Nie wiem, czego tam szukali, słowo daję. To się Kazik zdenerwował i pewnego dnia ich wszystkich, tego, zwolnił.

Gadała jeszcze długo. Dopiero po dobrej godzinie, zjawiła się Lucyna z michą dymiących kluch. Wylewność powitania i wykwint manier końskotwarze pozwolił wprawdzie chłopcom spodziewać się jeszcze czegoś, ale nadzieje te zostały zawiedzione. Dostali jeszcze tylko po szklance herbaty i za to bardzo dużo gadaniny o Kaziku.

Wieczór tymczasem stał się całkowity. Po kolacji wyszli na ganek. Kazała być cicho, nasłuchiwała. Ale Kazika nie było.

- Nie da rady - rzekła. - Będziecie musieli przenocować. Lucyno, gdzie my ich położymy?
- Nic, głupstwo! - wyrwało się Andrzejkowi. - My i na jachcie...,
- Akurat! - zachnęła się Lucyna. - Chyba na wieżę ich damy, co?
- A nie będą się bali?

Wybuch śmiechu powitał te słowa. Edzio, Zdzisio i Wojtek aż podskakiwali z uciechy.

- Śmieście się, śmieście - powiedziała piękna Nelly. - Ale Agnieszka nie pójdzie tam za nic z pościelą. To właśnie jedna z zagadek natury, ta wieża.
- Sami sobie poradzimy! - krzyknął Kucyk.
- A może przecież na jachcie? - bąknął Andrzejek. - Po co tyle kłopotu...
- Ty, bachorze!

To przesądziło sprawę. Zeszli ze schodków. Wielkie drzewa przecinały wieczorne niebo czarnymi, owalnymi obłokami. Gdzieś z prawa ogromny księżyc oderwał się właśnie od horyzontu i sunął do góry, już nie pomarańczowy, jeszcze nie bladeżółty.

Hałaśliwą gromadą poszli mu na spotkanie. Z przodu Nelly tłumaczyła jeszcze trójce roześmianych kawalerów głębię czułości Kazikowej. Z tyłu Lucyna wzięła Andrzejka pod rękę. Była trochę tylko wyższa od niego i nietrudno mu przyszło wyjaśnić sobie samemu, że nic w tym nie ma z opiekuńczej troski, jaką kobieta czuje wobec dzieci.

Myślał chaotycznie: pojedą łódką, łódka się wywróci, ona zacznie tonąć, bo nie umie pływać. On... on także nie umie. Trzeba, trzeba się nauczyć! Trzeba pokazać! Trzeba się zdobyć!

Czołówka doszła do drzew. Dalej było spróchniałe ogrodzenie i zaraz pierwsze gęszcze trzcinowe. Chłopcy hałasowali, chcieli koniecznie zobaczyć jezioro. Ale nawet ze szczytu ogrodzenia widziało się tylko nieruchome zarośla trzciny.

5.

Teraz się zaczął ostatni akt tego przydługiego dnia. Poszli do jachtu po pościel. Księżyc tymczasem wygramolił się na wysokość przypałacowych topól, zmieniając, przekształcając wszystko, czego dotknął swoim mlecznoniebieskawym światłem czy hebanowym cieniem. Dobrze, że obie panie im towarzyszyły, boby nie trafili do przystani.

Gospodarskie zabudowania nabrały czystości, jakby politory. Wyschnięte bajorko pośrodku, zdeптane kopytami, wydawało się fragmentem plastycznej mapy księżycowej z niezliczonymi kraterami wulkanów. Zakurzone osty obok ścieżki przy odrobinie fantazji można było wziąć za kserofitową roślinność meksykańskiego płaskowyżu.

Najpiękniej było na molo. Dwie ostatnie wierzby nurzały w niebie swoje okrągłe rozczochrane czupryny. Ta od jeziora była czarna, ta od lądu - nie wiadomo - niebieska, zielonkawa, mleczna, tylu odcieniami obdarzył ją księżyc. Mur trzciny z drugiej strony kanału wydawał się zwarty i wysoki. Za żadne skarby nie uwierzyłbyś, że to pobrzeże Śniardw, a nie wielkie bajoro nad Czadem, nie rozlewisko dolnego Kongo, nie okolice przylądka Camau w dalekiej Kochinchinie.

A z prawa, z drugiej strony mola, gdzie, jak oświadczyła Lucyna, mieści się lokalne kąpielisko, bo tam nie ma wodorostów, mułu niewiele i prawie wcale kamieni - na płaskiej powierzchni wody, łaskotanej leciutko jakimś chorym na bezsenność wietrzykiem, wielki jak dwie dłonie księżyc pluskał się, migotał, falował, jaskrawy aż do klucia w oczach.

- Szkoda, że zostawiłam w domu słoneczne okulary - tyle tylko rzekła końskotwarza. I ta jej zwięzłość niechże .będzie miarą czarodziejskiego wpływu księżycy na dusze ludzkie.

Gapili się może z pięć minut. Andrzejek miał zabawne zachcianki: żeby na jacht, na pełne jezioro, na wyspę. Ale wiaterek był za słaby.

Jakby dosłyszała jego myśli Lucyna, bo rzuciła półgłosem:

- Właśnie wróciła z naprawy rybacka łódka.
- A po co? - zachnęła się Zdzisio.
- Jak to po co? Na ryby.
- Cha, cha, cha! - zaśmiał się krótko i sardonicznie, jak przystało człowiekowi odartemu ze złudzeń młodości. - Pani wierzy w ryby?

Lucyna nie zrozumiała.

- Macie wędkę, to wam pokażę.

- Doprawdy?

- Ale to trzeba bardzo wcześnie! O czwartej z rana. Dacie radę? No, to dobrze. A tymczasem zabierajcie swoją pościel. Już późno.

- Tak, tak! - dorzuciła piękna Nelly. - Jutro może potańczymy. Dziś trzeba się wyspać. Aaa...

Objuczeni prześcieradłami i kocykami, wrócili do pałacu. Nelly zatrzymała się przy mauretańskim wejściu.

- No, jak już mówiłam, tu nie jest całkiem bezpiecznie. Trzeba po cichu i szybko. Lucyno, może zaprowadzisz panów? Masz tu latarkę.

Lucyna wzięła tę latarkę, która przy księżycu wydawała się bezużytecznym gratem, z rozżarzoną na czerwono drucikiem w środku.

- A w ogóle tam bardzo przyjemnie! - wołała za nimi Sykusowa. - Przytulnie! I te ludowe legendy! Dobranoc!

Weszli do sieni. W całkiem inną, najzupełniej nieksiężycową atmosferę. Latarka rzucała skąpą wiązkę brudnoczerwonej poświaty.

- Uwaga! - rzekła półgłosem Lucyna. - Tu szybko!

I skoczyła przed siebie w prawo, w paszczę czegoś jeszcze bardziej czarnego niż sień. Gdy po kolei wszyscy znaleźli się w tej czerni, podniosła latarkę do góry.

- Widzicie? Stamtąd sypią się te cegły.

W górze się dostrzegało mętne zarysy sufitu, wydętego jak bania i ozdobionego gipsowymi amorkami. Jeden z nich zamiast głowy miał czarną próżnię.

- Trzeba uważać! - powiedziała. - Kiedy przechodzicie tędy, zawsze zerknijcie do góry i potem biegiem!

Kucyk spróbował żartu, ale wyszedł niewypał. Powoli szli schodami do góry, prowadzeni ponurym światłem latarki. Schody były bardzo kręte, bardzo strome i bardzo brudne.

Po dwóch pełnych skrętach znaleźli się przed wąskimi wysokimi drzwiami z ostrym „gotyckim” szczytem. Wielki zardzewiały klucz sterczał w zamku. Andrzejek był ostatni, obejrzał się, wąskie okienko w dole, bez szyb, ukazywało strzępek tamtej jasnej otwartej nocy, niemal błękitnego nieba, ramię zalanego księżycem drzewa. Dziwne, ale dopiero ten widok zrodził w nim jakiś niepokój, jakąś nieswojość. Odwrócił się plecami do towarzyszy, tyłem zrobił krok do góry, żeby patrzeć w oczy tej ciemności czającej się w dole jak zwierzę.

Chłopcy długo kręcili kluczem. Okazuje się, że od dwóch tygodni, od ucieczki tamtych studentów, nikogo tu nie było i klucz zardzewiał jeszcze bardziej - wilgoć w Gorzyżkach była przysłowiowa. Dopiero połączenie chybotania z brutalnym naciskiem sforsowało i tę przeszkodę.

- Ach! - wyrwało się mimo woli Kucykowi, który pierwszy z nich przekroczył próg.

Jednocześnie coś zwarło tchawicę Andrzejkowi. Na dole, w jednolitej ciemności schodów wyróżniała się bladym odbłaskiem księżycowej nocy wąska plama ściany naprzeciw okienka. I na tej plamie Andrzejek zobaczył ruch. Coś ciemnego wężowato przesuwano się z dołu do góry, niby macka jakiejś potwornej ośmiornicy skradało się z czarnej czeluści do Andrzejka.

Skoczył do tyłu, natknął się na Wojtkę.

- Co tobie? - zachnął się ten z irytacją.

Andrzejek nic nie powiedział. Drugi cień prześliznął się z dołu do góry, ale zaraz wrócił. To ten sam bezsenny wietrzyk trącał gałąź topoli.

Weszli wreszcie i oni. Pokój w wieży nie był wielki. I tu trzy wąskie okienka ukazywały noc, niebo i księżyc. Z jednego pochyły słup światła padał na podłogę, drugie zasłonięte było czarną kotarą bliskiego drzewa, w trzecim samotnie przeglądała się czerwona gwiazdka i niebo przy niej wydawało się błękitniejsze.

Między tymi okienkami biegało krótkowzroczne światelko latarki. Pięć prycz, o dziwo, z siennikami, chociaż dość zleżałymi. Parę rozchybotanych taboretów. Szafa bez drzwi, ale z książkami. I w kącie wąziutkie schodki, jeszcze wiodące do góry, do otworu w suficie, przesłoniętego jakimś arkuszem dykty.

- Oczywiście, żadnych tu wygod nie ma. I nawet są przeciągi. Ale zawsze wilgoci tu mniej niż w jachcie - powiedziała Lucyna. - Zresztą, w waszym wieku...

- Ależ taki - krzyknął Zdzisio. - Tu wspaniale!
- A tego... - zaczął Kucyk i zaśmiał się z jakimś przeproszeniem. - Te strachy to gdzie właściwie?...

- Tam! - sucho pokazała na dziurę w suficie. - A i tam, nad tym amorkiem, z pewnością. Macie latarkę, przyda wam się. Dobranoc!

- Jak to, a pani tak sama: po ciemku? Po tych schodach? - Wojtek już skoczył, gotów ją odprowadzać. I oczywiście, reszta skoczyła także.

Widząc, że się przed tym nie obroni, Lucyna zmieniła taktykę.

- No, jak już inaczej nie można, to sama wybioreł sobie kawalera. Andrzejek!

Temu serce zamarło z podwójnej emocji: szczęścia i przerażenia. Gdy żegnani docinkami reszty schodzili po krętych schodach, pierwsze było o wiele silniejsze. Przeskoczyli przez groźne wejście, noc księżycowa przyjęła ich ciepłem, wonią przekwitłej - i ciągle jeszcze nie skoszonej! - trawy, jasnością tak wielką, że dostrzegł coś nowego w oczach Lucyny, może jakieś zmrużenie, może tylko przelotny nietrwały uśmiech.

- No, to dobranoc, mój ty kawalerze - powiedziała odgarniając znad czoła puszyste nieposłuszne włosy. A potem miękkiem ruchem dłoni pogłaskała mu policzek. Odwróciła się, poszła.

Stał zagapiony w krzak bzu, za którym już przed minutą znikła jej sylwetka. Noc trwała nieporuszona, tu na dole nie słyszało się nic, tylko bardzo daleko jakiś ptak krzyczał długo i monotonicznie, jakby piłując drzewo.

Westchnął raz i drugi. Chciał po prostu utrwalić w sobie zapach tej chwili. Znowu pomyślał: „Muszę, muszę czegoś dokonać!” Nie miał wielkich planów. Na początek powiedział sobie, że spokojnie wróci przez groźne wejście i ponure schody.

Ale w tejże chwili bolesne poczucie, że czegoś na śmierć zapomniał. Oczywiście: Sulamita! Gdzie się ukrywa ta piekielnica? Nie było jej podczas kolacji.

Popłoch zrodził się w Andrzejkowej duszy. Przecież przy swym spuście gotowa ogołocić cały dom! Jak potem w oczy spojrzą tej gościnnej przecież, choć głupiej Nelly? I popielatowłose bóstwo... Ale gdzie jej szukać? Ruszył dookoła domu, skradając się na palcach, żeby gospodarze słysząc go nie wyobrazili sobie Bóg wie czego. „Dobrze, że psów tu nie ma” - pomyślał.

Wyszedł na tamtą stronę, koło wejścia do jadalni. Tu ruszył wzdłuż muru. I od razu przy pierwszym oknie stanął, niepewny,

W pokoju rozmowa. Ktoś przy oknie... piękna Nelly radośnie:

- Kaziku, nareszcie!

Mruknięcie.

- Kaziku, wiesz, mam taką miłą niespodziankę. Zgadnij. No, proszę cię!

Znowu ktoś mruknął.

- Mamy gości! Wiesz, tacy mili, tacy...

- Co? Znowu? - burknął groźnie głos męski.

- Ależ nie, to nie to samo. Kaziku, tacy kulturalni. Z politechniki.

- Ty, słuchaj! Ile razy ci mówiłem!

- Ależ, Kaziku! To całkiem coś innego. Przyjechali własną żaglówką. Zresztą, to nie moja wina. Mieli sprawę do ciebie. A ciebie tak długo nie ma. Czekaliśmy, czekali. Ty tak mnie zaniedbujesz ostatnio! Ciągle gdzieś chodzisz...

Andrzejek skręcał się ze wstydu, że słuchać musiał takich prywatnych spraw. Ale okno się otworzyło właśnie i tuż przy nim pan Sykus warknął:

- No! Gdzie oni?

- Nie doczekaliśmy się. Położyłam ich spać.

- Gdzie?

- Gdzieżby? Na wieży.

- Idiotka!

- Co mówisz, Kaziku?

- Idyotka! - wysyczał Kazik i jakby się rzucił na piękną Nelly, bo znikł sprzed okna.

Andrzejek, zgarbiony, także dał susa. Był pełen wrzących, nieopisanych uczuć, ze wstrętem, oburzeniem i niedowierzaniem na czele. Truchcikiem przemierzył mur wzdłuż jadalni, wyminął schodki, znalazł się po tej stronie domu, gdzie winna by być kuchnia.

Co prawda tak go tamta historia oszołomiła, że sprawa Sulamity wydała się nader błaha. Że jednak był już tutaj, zaczął patrzeć na czarne okna. W trzecim bodaj coś nań zapukało.

Oszołomiony spojrział. Nie była to zaczarowana królowna. Po prostu Sulamita weszła na parapet okienny i cała się zwijszała ze szczęścia, ujrawszy swego opiekuna.

Spróbował ruszyć ramę. Nie wyszło. Wspinając się na palce, sięgnął drugiej szybki, która szczególnie jazgotała, gdy Sulamita pukała łapą w ramę. Rzeczywiście, szybka ledwo się trzymała. Wystarczyło rozchybotać jeden gwoździć i osunęła się sama, kit wykruszał tu bez śladu.

Ledwo położył szybę na trawie: tak wyrwała się doń Sulamita. Wziął ją na ręce. Koniecznie chciała go oblizać. Cała przepojona była smakowitym jałowcowym zapachem dobrze uwędzonego boczku.

„No, właśnie” - pomyślał z niepokojem. Twierząc, że boczku nie ma, piękna Nelly sama nie wiedziała, jak bardzo przyzna jej rację już najbliższa, ta właśnie noc.

Chciał szybę włożyć z powrotem, ale Sulamita była zbyt szczęśliwa. W kolejnym podskoku tak zręcznie ugodziła go w łokieć, że szybka wyśliznęła mu się z palców. Suchy trzask.

Ładne rzeczy! Teraz wszystko się wyda! Ukryć ją, ukryć na jachcie. Może jutro popłyną dalej. Przekona, spróbuje chłopców przekonać... Takie ponure myśli galopowały mu po głowie, gdy sam galopował przez księżycową pustynię gospodarskiego dziedzińca. Był to odruch, którego nie mógł pohamować. Sulamita w podskokach uwijała się dokoła niego. Całe szczęście, że nie szczekała, choć jej nastrój był niedaleki od całkowitego uniesienia.

Wbiegli na drogę do przystani. Kępy wierzb po oboczninach. Tu zwolnił. Sulamita z rozpędu przeleciała jeszcze z pięć metrów, ciągle szczęśliwa, wesoła, pełna wdzięczności.

Aż nagle stanęła jak wryta. Jakby chlupnęła kto na nią wiadrzem wody zimnej - tak szybko zmyło z niej całą beztroskę, całą radość. Stoi, a potem przysiada, ogon podwija. Patrzy ciągle w prawo, na najbliższy, o dziesięć może metrów, krzak rozłożystej iwy. Andrzejek podchodzi do niej.

- No, Sulamita! - mówi. Nachyla się, chce pogłaskać jej łeb.

Sulamita jęknęła przy dotknięciu. Ciałem jej targa drobny nieustanny dygot. Boczkiem, boczkciem, ciągle wpatrzona w prawo, próbuje odpełznąć.

Teraz i Andrzejkowi zimno przebiega po skórze. Chwyta psa na ręce. Rusza przed siebie odwrócony, zapatrzony w krzak - taki zwyczajny, gęsty, zalany księżycowym światłem.

Odchodzi i każdy krok następny staje się szybszy. Ostatni kawałek do przystani pa prostu biegnie. Znajduje w kryjówce na jachcie klucz od kabiny. Przez chwilę myśli, żeby zostać, żeby nie wracać koło tamtego krzaka. Potem przypomnienie - jakże już dalekiej - sceny pożegnania wywołuje w nim rumieniec wstydu.

Zostawia więc Sulamitę w kabinie. Ta jęczy, próbuje biec za nim. Z trudem zatrząskuje drzwiami. Słyszy, jak pies skacze do klamki, poszczekuje nawet.

Idzie szybko i cicho. Mija tamten krzak. Ani szmeru dokoła, tylko daleki ptak ciągle jeszcze targa tam i z powrotem piłę swego krzyku.

Owo muśnięcie dłoni starczyło mu na tę próbę. Już jest na dziedzińcu. Oto i schody. Nigdzie nic podejrzanego. Skacze przez czarną czeluść wejścia. Biegnie po schodach.

Chłopcy już leżą. Chce im opowiedzieć swoje bądź co bądź niezwykle przygody, ale zaraz mu przerywają. Zaczynają dosyć ordynarnie komentować jego przydługą nieobecność. Dotknięty do żywego, w milczeniu ściele pryczę.

Sam długo nie może zasnąć. Jakby naumyślnie, pozostawili mu jedno z dwóch łóżek najbliższych schodkom na strych. Mimo woli gapi się na czworokątną dziurę, przykrytą dyktą.

Dyktą była szczerbata, jedno z pęknięć kształtu halabardy jakby wyrastało z kąta przy ścianie. Wydawało mu się, że słyszy szmery gdzieś za nią. Na szczęście, to nie było przywidzenie. Poznał zaraz zatroskaną bieganińkę myszy, tak dobrze znaną z czasów staromiejskiej sutereny.

Przewrócił się na bok. Słup księżycowej jasności pełził wolno, jak reflektorem wyławiając każdy sęczonek w podłodze, każdą słomkę, jakiś rozdeptany niedopałek. Andrzejek przez rozum przymknął oczy. Powtarzał sobie: „Za pięć lat skończę uniwersytet. Będę dorosły”.

I żeby nie myśleć o brzydkiej furii pana Sykusa, o stłuczonej szybce i zjedzonym boczkem, o dziwnym krzaku i wszystkich tutejszych dziwacznościach, zaczął rozpamiętywać puszystość włosów, dziwne błyski oczu, muśnięcie dłoni. Myślał, że przecież nieprzypadkowo i siedzieć przy sobie mu kazała, i z nim właśnie

po kolacji poszła na jezioro, i potem... Myślał bardzo poważnie, trzeźwo i zasadniczo, czego będzie musiał dokonać w życiu, aby...

Obudził się nagle, może z krzykiem, na pewno zrywając się z pościeli. Był przekonany, że ktoś ogromny jak topola stoi nad nim i zagląda mu w oczy.

To tylko księżyc przesunął się w bok i ku zachodowi. Słup jego jasności przeciskając się przez wąskie okienko dotarł właśnie do twarzy Andrzejka, zahaczył o rzęsy.

Andrzejek siadł na pryczy, ciężko dysząc. Dziwne, niesamowite uczucie przyprawiało go o dygotanie rąk i serca. Słuchał, ale zbyt głośno waliła mu krew w żyłach.

Raptem wzrok jego wbrew woli sunąć zaczął do dykty w suficie. I gdy zobaczył ową szczerbę jak halabarda, dostrzegł, że już nie wyrasta z kąta, ale jest niemal pośrodku.

Klucz.

1.

Powódź jednolitego, ciemnego i szybkiego snu porwała Zdzisława. Gdy wynurzył się z niej, jeszcze półprzytomny - był bardzo wczesny przedświt. Zdzisław zmrużonym okiem obejrzał sypialnię. Oczywiście, nie miał pojęcia, jak tu się znalazł. Nie ciekawiło go to zresztą. Dostrzegł w okienkach obłoki mlecznej mgły, pomyślał sobie: deszcz. Odwrócił się na drugi bok.

Prawie natychmiast zerwał się na równe nogi. Przypomnienia nadbiegły doń z szybkością wodospadu. Ostatnie było najważniejsze: „A Lucyna czeka na mnie z tymi rybami!”

Ubrał się pośpiesznie, przerażony, że się spóźni. Na paluszkach wyszedł na schody, prawie zbiegł po nich.

Jakby obłok spadł na Gorzyjałki. Zaraz za gankiem tylko mleczna masa z mgławicowymi cieniami na miejscu wczorajskich drzew. Winien by wrócić, wleźć pod kocyk, przeczekać tę powódź. Jak dziwną siłę posiada jednak ten mus, który kazał mu iść naprzód!

Wolno, krok za krokiem przeciął dziedziniec. Była absolutna cisza. Do przystani zaprowadził go łańcuch czarniawych kulistych skłębień: wierzy. Oczywiście, nikogo jeszcze nie było. Wszedł do kabiny: tu skoczyła mu do piersi Sulamita w najlepszym humorze. Ledwo się od niej odczepił. Wyciągnął wędkę, złożył ją, znowu wyjrzał na świat boży, nie wiedząc, co ma robić dalej.

Tym razem usłyszał coś: wolne chlupanie w trzcinach. Wstał, wpatrzył się. Po paru minutach niejasna ściana trzcin pękła pośrodku. Jeszcze po sekundzie dostrzegł dziób łodzi i z zamierającym sercem poznał niewysoką sylwetkę.

Lucyna ubrała się ciepło, włosy przewiązała chustką. Była wyraźnie zaskoczona obecnością Zdzisława. - Nie myślałam, że kolega złapie mnie za słowo. Rzeczywiście tak lubicie wędkę?

Zdzisław skrzywił się.

- No, to nie róbcie z siebie bohatera. Idźcie i wyśpijcie się lepiej.

- A... pani?

- Ja rzeczywiście lubię.

- No, to ja też.

- Jak uważacie - powiedziała sucho. – Tylko, uprzedzam, to nie bardzo wesołe zajęcie.

Zdzisław zaczął przysięgać, że o niczym innym nie marzy. Machnęła ręką. Poszli z powrotem na dziedziniec. Tu Zdzisław ze zgrozą ujrzał, że jego bóstwo idzie prosto do bardzo starej kupy nawozu. Uzbrojona w kij Lucyna najspokojniej w świecie zaczęła przerzucać jedną po drugiej warstwy zleżalego obornika. Oczywiście, musiał jej pomagać. Niebawem doszli do siedliska dużej ilości ruchliwych czerwonych robaków. Zdzisio najpierw się wzdrygnął na widok ich rozpaczliwych wywijasów, potem zaczął bardzo szybko i zdecydowanie je chwytać i ciskać do blaszanki, aby w ten sposób oszczędzić nieco tej strasznej pracy swojej towarzysze.

Gdy wrócili na przystań, mgła była jeszcze bardzo gęsta, ale daleko w prawo poprzez jej wataę przebijają się coś złotawego.

- Późno! - skrzywiła się Lucyna. - Na przyszły raz trzeba wcześniej nakopać robaków...

Chwytał wiosła, ale zaraz go posłała na dziób. Łódka dno miała płaskie, była nieduża. Pod wprawnym kierownictwem dziewczyny szybko szła naprzód w korytarzu wysokich trzciny.

- No, teraz uważajcie! - powiedziała Lucyna. - Skręcamy.

Z całym rozpędem wjechali w trzciny. Ich kiście, pokryte kropelkami rosy, smagały Zdzisia po policzkach. Były piekielnie zimne.

Łódź posuwała się z trudem. Chcąc ulżyć Lucynie, chwycił trzciny, ciągnął. Zaraz ręce stały się zielone: kolonie niebieskawych mszyc oblepiły łodygi, jakaś zmarznięta osa pełzała już po nich.

Przebrnęli wreszcie przez największe gąszcze. Mgła tu stała się rzadsza. Poprzez ostatnie szeregi trzciny dojrzeli mleczny bezkres jeziora.

- No, dosyć! - rzekła Lucyna. - Spróbujemy tu. Proszę tylko nie kołysać łodzią i nie walić wiosłem, butami czy wędką w dno. Ryba jest bardzo wrażliwa na dźwięk i chybot. Robaka umiecie zakładać?

Z jego miny domyśliła się, że nie bardzo. Wzięła jego wędkę, pokazała. Z wysiłkiem pokonał w sobie grymas: ta forma męczenia żywych istot wydała mu się szczególnie okrutna. Lucyna nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Przesunęła tylko pływak na jego wędce o jakieś pół metra od haczyka.

- No, i proszę zarzucać, o tak! - powiedziała, zgrabnie ciskając swoją wędkę między trzciny na niewielką wolną przestrzeń. - Nic wielkiego tu nie złowimy. Śniardwy w ogóle nie są bardzo rybne. Ale jakieś tam okoniki, krąpiki czy krasnopiórki... o!

Wyciągnęła dosyć szybko wędkę. Złotawa rybka wielkości palca trzepotała na haczyku. Zdzisławowi zamarło serce ze szczęścia. Okazało się, że nie bujda z tymi rybami, że przecież przy nim, w jego oczach łapie się okazy wcale niemniejsze od, dajmy na to, szprotki!

Lucyna odczepiła rybkę, rzuciła do wody tak szybko, że nie zdążył zaprotestować.

- To drobiazg! - rzekła. - Właśnie krasnopiórka, czyli wzdręga. Tu, w trzcinach, na niewiele więcej możemy liczyć. No, czemu kolega nie łapie?

Zarzucił w to samo miejsce. Haczyk jednak trafił na trzcinę. Targnął wędkę, ale tym mocniej tylko wbił go w łodygę. Musieli podpłynąć, żeby uwolnić wędkę.

Drugi raz zarzucił, trafił w wodę. Lucyna tymczasem raz po raz wyciągnęła dwie takie same rybki.

- Psiakrew! Tylko mi robaki zjadają! Trafiliśmy na całe stado tego drobiazgu. Przedszkole! Spróbujmy trochę dalej.

Przesunęli się wolno ku jezioru. Zdzisio zapatrzył się w wędkę Lucyny. Maleńki biało-czerwony pływaczek chwilę nieruchomy leżał na boku, a potem nagle szurgnął po wodzie.

- Jest! - krzyknął Zdzisio.

Lucyna jednocześnie podcięła wędkę. Pękła gładka tafla wodna, coś ogromnego - jak się zdało chłopcu - wyskoczyło w powietrze i sprawnie skierowane wylądowało w łódce.

- No, to dopiero! - szepnął z zamierającym oddechem. - To, to już naprawdę...

Lucyna odczepiła rybę z haczyka, pottrzymała na dłoni. Była to taka sama złotawa szeroka rybka, jak tamte, tylko trochę większa.

- Z piętnaście centymetrów - powiedziała Lucyna. - Nie, za mała.

Głęboko rozczarowany takim marnotrawstwem Zdzisio odwrócił się do swojej wędki. Nie mógł jakoś jej znaleźć. To znaczy, wędzisko trzymał przecież w ręku. Ale pływak, zostawiony przed chwilą na środku oka wodnego, znikł przecież! Nie pojmując obejrzał się na Lucynę. Ta jednak ciągnęła znowu wędkę i znowu odczepiła dziesięciocentymetrową wzdręgę, puszczając ją do jeziora.

Zdzisio siedział jeszcze parę sekund, przerażony, że zgubił pływak. Wreszcie wpadł na prosty pomysł: podniósł wędzisko.

Szczęśliwy, od razu się uspokoił - pływak się znalazł, wynurzył się z trzcinki. Ale gdy go Zdzisio chciał z powrotem ulokować na środku oka wodnego, poczuł niespodziewanie opór. Targnął ze złością wędkę.

- Frajer ciężki! - Lucyna dostrzegła kłopoty swego towarzysza. - Ostrożnie! Przecież ryba wam się zerwie!

Dopiero teraz pojął Zdzisław. Krew mu uderzyła do głowy. Drżącymi rękami jeszcze raz spróbował wyciągnąć wędkę. Ale coś tam pod wodą trzymało nieugięcie.

- Pokażcie! - sięgnęła ręką Lucyna. - No, oczywiście, zagapił się wielki rybak, nie podciął, to się ryba zaplątała w trzciny.

Podciągnęła łódkę pod zaczepiony pływak. - Rozplątujcie teraz. Tylko ostrożnie.

Zdzisław pochylił się, spróbował pociągnąć nylonową nitkę. Woda była zimna. Zaraz coś pod nim targnęło, rzuciło się w bok.

- No, wasze szczęście! Wolniej, wolniej! - krzyknęła widząc, że po łokieć zanurzył rękę, usiłując schwytać jeszcze niewidzialny łup.

Wreszcie, ściągnięta na powierzchnię, ukazała się wzdręga, Zdzisław nie widział żadnej istotnej różnicy między nią a rekinem upolowanym przez załogę Duncana z „Dzieci kapitana Granta”. Chwytał ją oburącz, podniósł, plusnął do łódki.

- No, od biedy... - zaczęła Lucyna.

- Chyba z kilo waży! - przerwał jej Zdzisio.

Radośnie się zaśmiała.

- Może ze sto gramów! Oto jak się rodzą legendy rybackie! Ale się nie bójcie, nie wyrzucę. Niech zostanie na początek. Z osiemnaście centymetrów sobie liczy. Tylko nie trzeba hałasować. Trzeba uważać. No, zarzucajcie!

Zdzisio nie spuszczał oczu ze swojej pierwszej zdobyczy.

- Jaka ładna! - wybąkał. – Złota!

- Tak, bardzo - poparła go Lucyna. - Jedna z najładniejszych u nas. I ma prosty uczciwy charakter. Jak chce brać, to bierze od razu, mocno, bez ceregieli.

- Prawda?

- W ogóle to wspaniała ryba.

- Tak, tak!!!

- Ma tylko jedną wadę...

Zdzisio spojrzał zdziwiony.

- Czyżby?

- Jest prawie niejadalna. Nie chciał wierzyć.

- Przekonacie się. To znaczy, jeść ją można, ale z tym dużo kłopotów. Składa się głównie z ości. Reszta zaś bardzo średnia w smaku.

Mimo to sama ciągała te wzdręgi raz po raz. Przeważnie były za małe, ze trzy jednak rzuciła do łódki. Zdzisio dumnie je obejrzał: ani jedna nie dorównywała jego pierwszej.

Pochłonięci połowem ledwo dostrzegli kolejną metamorfozę jeziora. Mgła parowała gwałtownie. Nad niezmiernym obszarem Śniardw dymiły jej pionowe, wstępujące obłoki, jak gdyby horda koczowników rozpałała tu tysiące ognisk z mokrych gałęzi. Słońce już było nad drzewami dwóch wysepek.

Stali na samym skraju trzciny i Lucyna pokazała tę prawą.

- Czarcia Wyspa.

- Doprawdy?

- Jak najbardziej.

- Skąd ta nazwa?

- Jakieś legendy. Agnieszka wie może.

- Ach, to musi być szalenie ciekawe, taka wyspa!

- Nie sądzę.

- Czemu?

- Wycieczkowicze wydeptali ją na cement. Jak skwerek na Krakowskim, koło Mickiewicza.

- A...

- Co takiego?

- A z tym amorkiem to co, też jakaś legenda?

- Co znowu! Po prostu nieporządek. '

- Przecież to można jakoś naprawić, nie?

- Oczywiście.

- Więc?

- Kiedy małżonek mojej uroczej kuzynki niesłychanie ściśle wszystkiego przestrzega, Dali go tu na misję badawczą, nie na co innego. Ma opracować profil gospodarstwa, a nie łątać jakieś tam sklepienia, zwłaszcza pochodzące z epoki feudalizmu najgorszego, bo junkrowskiego. Bo, jak słusznie stwierdziła piękna Nelly, jest on bardzo mocny ideologicznie.

Zdzisio popatrzył na Lucynę. Nie znalazł żadnego uśmiešku, żadnego mrugnięcia. Była aż za poważna.

- No, dość tej poezji! - rzuciła. - Jeszcze pół godzinki połapiemy. Jesteście głodni? Tym bardziej, tymi paru rybkami nie nakarmisz całej hałastry gorzyjałkowskiej z moją uroczą kuzynką na czele. Ach, szanowny kolega myślał, że to wielkopańska fanaberia ta wyprawa? Jak najbardziej przymusowe zajęcie! Musimy się jakoś ratować przed śmiercią głodową.

Kilku uderzeniami wiosła przepchała łódź przez pokaźny masyw trzciny. Już wzięła wędkę, gdy nagle zawołała:

- Czekajcie, czekajcie!

Rzuciła wędkę, przebiegła dwa kroki do Zdzisława i nagle dłoń jej musnęła mu włosy, ucho, szyję. Zerwał się na nogi, nie pojmując.

- Głupstwo, osa! - rzekła półgłosem. - Pełno ich tutaj, żerują na tych mszycach.

Siadł i żeby ukryć zmieszanie, obejrzał się po okolicy. O pięćdziesiąt metrów stała Atalanta przy molu. Zdało się nawet Zdzisiowi, że ktoś wyziera z kabiny.

Siedzieli z wędkami jeszcze trochę, a potem zanurzyli się w trzciny i przystań znikła im z oczu. Znowu trafiło się jednak stadko małych wzdręg. Ruszyli wreszcie z powrotem. Zdzisio wziął do ręki swoją krasnopiórkę. Była już sztywna, straciła swoje złoto, stała się brudnoniebieskawa. Co gorsza, jakby zmalala. Westchnął.

2.

Andrzejek na dobre obudził się dopiero, gdy słońce zaplątało się już w gałęziach najwyższej lipy przypałacowej. Był sam w wieży. Malowniczy bałagan na pryzkach kolegów wskazywał, że coś nagłego musiało ich zwabić na dół.

Pierwsze, co uczynił po całkowitym oprzytomnieniu, to spojrzął do góry, na dyktę. Tym razem pęknięcie znowu tworzyło jak gdyby przekątną. Siadł na łóżku, zaczął myśleć. Było słonecznie, toteż myśli mu się ułożyły inaczej.

W nocy, zbudzony łaskotaniem księżycowej jasności, gdy tylko dojrzał przesunięcie dykty, uległ obrzydliwemu jak mdłości przerażeniu. Wszystkie zasłyszane opowieści, wszystkie książki o strachach - Edgar Poe, Bulwer Lytton - zbiegły się błyskawicznie w jedno, w ten lęk, który dosłownie ruszał włosami na głowie i przyprawiał zęby o szczękanie. Przytulony plecami do ściany, oczu nie spuszczał z upiornego kwadratu w suficie, Andrzejek przeleżał chyba z godzinę, zanim zmęczenie nie okazało się silniejsze od wszelkich ludzkich uczuć.

Teraz, ubierając się szybko, znalazł aż kilka rozwiązań zagadki, która w nocy wydawała się absolutną - tajemnicą. Więc myszy albo jeszcze lepiej szczury. Przecież też mógł to zrobić. Co ważniejsze, mogło to być po prostu przywidzenie. Przecież teraz dykta leżała znowu tak, jak za pierwszym razem.

Słowem, wszystko to głupstwo. Gorzej z tymi historiami na dole. Pan Sykus taki ordynarny! Czekają ich rozmowa wcale nienajmilsza. I znowu z tym krzakiem! Ta Sulamita tak się bała!

Po chwili jednak i z Sulamitą poradził sobie. Może jakieś zwierzę? Wydra na przykład! Ucieszony, że zwyciężył własną małość, szybko zbiegł na dół. Sień z amorkami wydała mu się tylko brudna. Przypomniał sobie pouczenie Lucyny, spojrzął do góry i szybko przeskoczył do drzwi. Tym szybciej, że rozgrzewała go myśl o jej zobaczeniu.

Ruszył do przystani. Dziedziniec był pusty i cichy. Żagłówka też, jedna Sulamita powitała go porcją czułych wywijasów. Andrzejek wlaź na dach, rozejrzał się. Tylko wysokie, wyrównane zagony trzciny.

Umył się i położył na dachu, wystawiając twarz na poranne, ale już potężne słońce. Pora wymarzona do różnych rojeń.

Były, w gruncie rzeczy, dosyć monotonne. Stale przewijały się w nich puszyste włosy, popielate oczy, miękka łagodna dłoń. Jedyne, co się zmieniało, to sposoby, które miały sprawić, że wszystkie te skarby staną się na wieki Andrzejkowymi. W tym względzie marzenia raczej galopowały.

Wielka sława! Wielka władza! Ba, ile lat się taki interes zdobywa?

Wielką sławę najszybciej zyskuje się w sporcie. Lekkoatletyka? Boks? Andrzejek zerknął sam na siebie z boku. Japończycy są mali, ale w pływaniu mają kupę rekordów świata. Ba, kiedy pływać się jeszcze nie nauczył!

Biegły te myśli, chyże i raczej beznadziejne. W pewnej chwili zaczął się pocieszać: przecież prawdziwa miłość rodzi się z niczego! Przecież on, Andrzejek, też... Gdyby była trzy razy brzydsza, przecież też, na pewno... Gdyby była tylko dobra, gdyby chciała nań popatrzeć inaczej, bez tych ciągłych prześmieszków, jak ci!

W huśtawce dobrych i złych myśli o niej przeżył wreszcie Andrzejek taką chwilę, gdy nie nadzieja, ale pewność go uskrzydliła. Przypomniało mu się ich wczorajsze pożegnanie. Odprowadził ją po tych strasznych schodach. Bo mu kazała! Bo go wybrała! A gdy się zegnali, coś innego mogło błysnąć w jej oku, jak nie...? Bo przecież po cóż by ten gest, to pogłaskanie włosów, policzka, brody!

Wpatrzony przed siebie, przypomniawszy sobie Andrzejek każdy szczegół owej niezapomnianej chwili. Drzewo z prawa. Daleki krzyk ptaka... Gdzie jest ona? Gdzie jest ona w tej właśnie chwili?

I jakby miłość, ta wielka miłość Dantego, co słońce porusza i gwiazdy, usłuchała jego wołania. Trzcina z naprzeciwka poruszyła się. Odruchowo zeskoczył z kabiny. Dziób łodzi wyrzał z siwozielonego wąwozu. Ale na łodzi dwie osoby...

Poznał ją, prawie nie widząc, przesłoniętą postacią Zdzisława. I oto chyba pierwszy raz w życiu przecierpiał tak ostro uczucie, którego tyle jest w młodzieńczych podkochiwaniach się: zazdrość.

Nie tylko sam fakt, że od rana są we dwoje, ukryci w gąszczu trzciny. To by może usprawiedliwił sam za nich. Ale w tejże chwili puszystowłosa przebiegła z tamtego końca łódki, jakby się rzucając Zdzisławowi w objęcia. Przerażony Andrzejek ujrzał straszną zdradę: jej dłoń od Zdzisławowych włosów skoczyła do policzka, jakże czule pogłaskała szyję!

Nie pojmując, co czyni, uciekając tylko przed tym widokiem, Andrzejek padł raczej przez otwarte drzwi na podłogę kajuty, niż wszedł do niej.

Głowa mu zsunęła się na pryczę. Siedział na podłodze, rękami osłaniając oczy, uszy, żeby nic nie widzieć, nic nie słyszeć. Był tak pełen rozpacz, że i Sulamita nie odważyła się go pocieszać. Siadła w kącie i wpatrzyła się z całą powagą w to widowisko.

Wydawało mu się, że jego niema rozpacz trwa godziny. Istotnie, chyba dziesięć minut upłynęło, Zgasła gdzieś daleko motorówka, ucichły w trzcinach głosy, których się bał i brzydził. Coś plusnęło w pobliżu. Potem leciutkie uderzenie w burtę. Ktoś przyjechał! Przekonany, że to tamci, Andrzejek wpełzł na pryczę, przytulił się do najciemniejszego zakątka. Za nic w świecie nie chciał, żeby go tu zobaczyli.

Wyglądało, że i tej tortury los mu nie oszczędził. Ktoś wlaź do żagłówki, czyjeś kroki...

Andrzejek zerwał się, na gwałt przywołał na twarz wymuszony uśmiech, zapominając o zdradzieckich łzach, nie obeschłych na policzkach. Już cisnęło mu się pytanie: „No, co tam z rybami, jak wam poszło?”

Ale to był ktoś inny. Czarne okulary i tym bielsza furażerka wynurzyły się w kajucie. Było tu bardzo ciemno, dlatego nowoprzybyły nie od razu dostrzegł Andrzejka, parę sekund z zaciekawieniem oglądał zakamarki kajuty.

Andrzejek przeżył parę błyskawicznych stanów duchowych. Chłopcy nie ufali temu facetowi. I rzeczywiście, węszenie po zakamarkach Atalanty, po owej zagadkowej scenie w Lecku, tłumaczyło tę nieufność. Ale też chłopcy wczoraj w ordynarny sposób wyśmiali jego próby podzielenia się tajemniczymi przygodami wieczornymi. Dziś zaś jeden z nich zabrał mu...

Zresztą, sam fakt, że to nie tamci, już Andrzejka natchnęła do uśmiechu.

- Dzień dobry panu! - zawołał.

Nieznajomy drgnął, cofnął się. Zdjął okulary i zaraz poznał Andrzejka.

- Jak się masz, mały? Jużem się pytał, co z tą nieszczęsną załogą Atalanty. Nawet wachty jak się należy nie potrafią wystawić! No, jak tam, dajecie już sobie radę z grotem?

- Ale się pan nami interesuje!

- Wielka mi sztuka! Pierwszy raz widzę połączenie tak pięknego jachtu z tak do niczego załogą!

Andrzejek grzecznie się zaśmiał. Pan w furażerce zaśmiał się także i dał klapsa Andrzejkowi. Po czym usiadł, zdjął furażerkę i okulary. Pot otarł z czoła.

- A co to? - spytał pokazując palcem na Andrzejkowe policzki.
 Chłopak zarumienił się strasznie. Otarł je czym prędzej.

- Kąpałem się właśnie - bąknął bez przekonania.

- Taak. Spiekota.

- Przepiękna pogoda - wtrącił Andrzejek, żeby zatuszować swoje rumieńce.

- Aż nadto. Będzie deszcz.

- Dlaczego?

- Jak tak praży, to przy wielkiej płaszczyźnie wodnej daje to ogromną ilość pary. Stąd i burza bardzo możliwa. Zresztą, jak na Mazury, to w ogóle coś niezwykłego. Przeszło tydzień bez deszczu! Uff!

Wyciągnął papierosa, powiedział „masz rację”, gdy Andrzejek grzecznie odmówił.

- Alem się zmachał! - ciągnął zapaliwszy sam. - Wiatru nie ma, musiałem parę godzin pomachać rękoma. Przy tej spiekocie...

- Oczywiście!

- A co to właściwie jest ta przystań? Człowiek męczy się, męczy i nawet nie wie, gdzie zajechał.

- Gorzyjałki.

- Co to Gorzyjałki? Wieś?

- Pan nie wie? Pegieer.

- Aaa! - z rozczarowaniem westchnął gość.

- Panu trzeba gdzie indziej?

- Ba, w każdym razie nie do pegieeru.

Andrzejkowi zrobiło się przykro. Gość mu się podobał. Chłopcy nie.

- Czemu?

- Bo mi trzeba Mazurów. Rozumiesz?

Andrzejek posłusznie stwierdził, że nie rozumie.

- Mazurów, rozumiesz? Ludzi, chat, sprzętów. Nie rozumiesz? Śpiewek, kostiumów, podań, kafli! Rozumiesz?

Andrzejek tylko głową pokiwał i zagapił się na gościa.

- O etnografii słyszałeś?

- Oczywiście.

- No więc.

- No, to i tu można! - krzyknął Andrzejek z nagłą radością.

- Tu jest pałac...

- To co z tego?

- Taki piękny! Wieża gotycka! Wejście mauretańskie!

- Wyobrażam sobie. - Gość pokiwał głową z dużym lekceważeniem, - Nie, to nie dla mnie. Interesują mnie Mazury, a nie jacyś tam niemieccy junkrowie.

Powiedziane to zostało z taką siłą, że Andrzejek stracił nadzieję na zatrzymanie tu tego miłego pana i umilkł. Gość palił przez chwilę, a potem zapytał:

- A kto pracuje w pegieerze? Mazurzy?

- Nie wiem - szepnął Andrzejek. - Zdaje się, nikt.

- Coś podobnego? Dlaczego?

- Bo tam... jakieś badania. Nie wiedzą, co z tym robić. Tu wszystkie krowy i kury zdychają. Więc może na hodowlę koni...

- I co, nikogo tu nie ma?

- Nie, jest kierownik z żoną. I para takich starych...

- Mazurów?

Andrzejek nie wiedział.

- Chyba nie. Mówią całkiem po naszemu.

- To gorzej. No, a w ogóle co tam ciekawego w tych Gorzyjałkach? Co tu było za Niemców?

- Tu jakiś wielki pan mieszkał. Pewno hrabia.

- A jakieś podania, legendy?

- Ależ tak! - Andrzejek ucieszył się. - Nam jeszcze pod Momajkami opowiadali. I taka prawdziwa Mazurka. Że tu nieczysto... - Zgasł jednak zaraz. - Pan to pewnie nie wierzy w te wszystkie strachy?

- Wierzę czy nie, ale się interesuję,

I po paru minutach namysłu gość postanowił złożyć wizytę w Gorzyżkach. Andrzejkowi ten sukces przesłonił nieco pamięć strasznej klęski miłosnej. Wyleźli na brzeg. Spiekota rosła z minuty na minutę. Nad jeziorem trzepotały eskadry ogromnych szklanoskrzydłych ważek.

- Dochodzi dziewiąta! - mruknął etnograf. - Jak na lato i wieś, w sam raz pora, żeby się zameldować.

Andrzejek obejrzał się jeszcze, dostrzegł wracających rybaków i tylko przyspieszył kroku. Z tyłu człapała Sulamita.

3.

Przy wejściu do jadalni zastali całą resztę towarzystwa. Andrzejkowi dwa lęki znów się przypomniały. Po pierwsze: co powie pan Sykus na temat ich przybycia... po tamtej rozmowie trudno było liczyć na entuzjazm z jego strony. Po drugie: chłopcy będą wściekli, że on, Andrzejek, przyciągnął im tego gościa. No, ale trudno - powiedział sam sobie. - Niech pokutują za swoją ordynarność i zdradę puszystowłosej. Zresztą ten pan taki miły...

Pierwsza z obaw nie potwierdziła się bynajmniej. Pan Sykus to był mężczyzna w średnim wieku i średniego wzrostu. Miał bardzo wydętą baniastą głowę, małe świdrujące oczka, lekko garbaty wąski nos, bardzo wąsko zaciśnięte usta i znowu wydęty baniasty podbródek. Mówił wolno, z niesłychanym opanowaniem. Andrzejka powitał wprost wylewnie.

- A to pan...

- Wawerko! - podpowiedział kwaśno Kucyk. - To już trzeci.

- Bardzo mi miło! Każde polecenie z zespołu, od towarzysza Rychlika jest dla mnie rozkazem. Zwłaszcza jeśli jest tak miłe, jak obecne. Pogadamy zresztą o tym po śniadaniu. Ach, jaki miły piesek! - nachylił się, pogłaskał Sulamitę, która oczywiście zaraz padła przed nim plackiem.

Wtedy się przedstawił gość z kajaka. Okazało się, że jest to Eugeniusz Balbiński, asystent uniwersytetu, etnograf, lat trzydzieści osiem, władający w mowie i piśmie językiem niemieckim, bez krewnych za granicą, nie należący za okupacji do żadnej organizacji politycznej, kawaler, bezdzietny.

Balbiński wliczał te wszystkie dane w sposób wyraźnie żartobliwy, Andrzejek zaś spoglądał dumnie na Kucyka i Wojtka. Każda taka wiadomość ankietowa była dlań argumentem w niemy sporze z tamtymi, żeby się nie czepiali więcej tak miłego, kulturalnego człowieka.

Piękna Nelly ze szczególnym aplauzem przyjęła ostatnie dwie dane. Pan Sykus cały czas uśmiechał się przyjaźnie i oświadczył, że nie widzi żadnych przeszkód, aby pan Balbiński rozpytał Agnieszkę o wszystkie miejscowe legendy.

Wtedy wypłynęła sprawa kwatery. Balbiński wspomniał wprawdzie, że ma namiot, ale piękna Nelly zaraz mu przerwała:

- Ach, kiedy tu na podwórzu taka wilgoć! Prosimy, bardzo prosimy do nas. Pałac prawie pusty. Można pana ulokować w narożnym, prawda, Kaziku?

- Jak zwykle masz rację, złotko - odparł Sykus i szarmancko pocałował małżonkę w rączkę. - No, a teraz, co ze śniadaniem?

- Ach, nie mówiłam ci! To coś okropnego! Dziś w nocy mieliśmy włamanie!

Andrzejkowi krew uderzyła do policzków. Już gotów był się przyznać, przekonany, że wszyscy weń właśnie wzrok wlepili, gdy Sykusowi przebiegła po twarzy jakaś iskierka.

- Co ty wygadujesz, złotko? - powiedział przeciągle. - Co za legendy...

- Ależ tak, wyobraźcie sobie, panowie, szyba w spiżarni wyjęta i duży kawał boczku znikł bez śladu!

- Złotko, przeżegnaj się! - powiedział Sykus jeszcze słodziej. - Jaki znów boczek? Przecież zjedliśmy go trzy dni temu!

Chłopcy w tym miejscu mogliby go poprzeć - sama przecież wczoraj tak twierdziła. Przypomniała sobie pewnie tę okoliczność, bo też się zarumieniła.

- Jeszcze była puszka szprotek. Dopiero otwarta! I też...

- Znikła?

- Nie, ale jest pusta. Wieczko odchylone...

- I dla tej puszki szprotek ryzykowałby ktoś włamanie!

- A szyba?

- Sama mogła się zsunąć. Przecież wiesz, co to za rudera. No, chodźmy, dawaj, co tam masz! Jest taka gościnną moja małżonka, że aby przeprosić miłych gości za nieco spartański posiłek, wymyśla dramatyczne legendy - rzekł uśmiechając się do gości i czule klepiąc piękną Nelly po ramieniu. - Stąd się rodzi cała etnografia, prawda, proszę pana?

Balbiński grzecznie się zaśmiał. Andrzejek sam sobie nie wierzył, że tak gładko minęła cała chryja. Mimo woli poczuł sympatię do Sykusa i nawet wspomnienie nocnej rozmowy z piękną Nelly zaczęło blaknąć, wydawać się przywidzeniem, jak harce dykty na suficie.

Czekali pół godziny. Potem drzwi się otworzyły i Zdzisio wniósł półmisek z kilku usmażonymi rybkami. Za nim szła niewierna Lucyna z pół bochenkiem chleba i piękna Nelly z herbatą. Andrzejek znowu wzrok spuścił, byle nie pozwolić na odczytanie tamtej, co za tragedię tu przeżywa.

Po śniadaniu Sykus zaprosił chłopców do gabinetu. Streściwszy dziwną swoją misję, oświadczył, że nie jest w stanie zorganizować sam sianokosów. Przytoczył zresztą dosyć ważki dowód, aby z tymi sianokosami nie śpieszyć. Jedną z przyczyn padania tu bydła może być właśnie tutejsza lokalna flora. Może tu jest jakaś roślina, która w lokalnych warunkach klimatyczno-glebowych wytwarza w sobie jakieś substancje trujące.

- Ach! - zawołał Andrzejek. - Arcydzięgiel bagienny!

Opowiedział historię z Rapą. Sykus pokiwał głową bardzo energicznie.

- Właśnie! - oświadczył. - Może to właśnie ten arcydzięgiel. Dość że pierwszą rzeczą, którą zaprojektowałem, jest stworzenie tu placówki naukowo-badawczej dla wyjaśnienia tej sprawy. Do tego czasu sianokosy stają się tu drogą zabawką, której rezultaty mogą przynieść więcej szkody jak korzyści.

Chłopcom zrzedły miny. Zauważył to zaraz:

- Oczywiście, oczywiście, polecenie towarzysza Rychlika jest dla mnie rozkazem. Przystępujcie więc do koszenia, nic się po mnie nie spodziewając. Nawet kos wam nie dam, bo ich tu nie ma. Dam wam tylko starego Macieja w charakterze instruktora. Boję się, że wy...

Podziękowali mu wylewnie.

- Tylko jeden warunek! - dodał z uśmiechem. - Żeby ani źdźbło tego siana nie trafiło do żadnej obory przed wyjaśnieniem całej tej sprawy. Jasne?

Oczywiście, przystali na to. Powiedział, gdzie mają szukać Macieja.

- Przy okazji dogadacie się z Agnieszką. Niech wam gotuje. Przy sianokosowych dniówkach stać was na taki luksus. Bo moja Nelly, widzieliście, już do włamania się dogadała, żeby z tych gospodarskich...

Przerwali mu gorącymi podziękowaniami i ruszyli. Południowa spiekota srożyła się w wysuszonym na beton podwórzu gospodarskim. Minęli je, skręcili w lewo, przeciwnie niż do przystani, między młode sosenki, których tegoroczne pędy nie straciły jeszcze swojej niebieskawej siwizny.

Gdy tylko zostali sami, zabrali się oczywiście do Andrzejka. Zarzucali mu, że ściągnął „tego jakiegoś typa”. Mieli rację, ale ponieważ nie było żadnych dowodów - nie zajrzeli przecież do duszy Andrzejkowi i jego życzeń nie podsłuchali - uważał to czepianie się za niesprawiedliwość. Dlatego szedł na końcu, zadąsany, milczący.

Nie wyjeżdżona droga po paruset metrach doprowadziła ich wreszcie do niewielkiego domku drewnianego, zbudowanego niezbyt dawno, bo belki ścian jeszcze nie zdążyły do reszty szernieć. Zaraz za nim przez las, który tu stał się już prawie dorosły, biegły szczątki potężnego ogrodzenia z drutu kolczastego. Właściwie drutu pozostało niewiele, przetrwały raczej metalowe słupy ogrodzenia.

Weszli na ganek podparty słupkami. Domkowi nie brakło kokieterii, dach miał wysoki, tyrolski, rogi dachu lekko zakrzywione do góry. Zapukali. Nikt nie odpowiedział. Otworzyli drzwi. Była tu jedna, ale spora izba. Pusta.

Już chcieli zawracać, gdy w lesie, poza byłym ogrodzeniem usłyszeli jakiś krzyk i zaraz kupę babskich przekleństw:

- A żeby ci bokiem, a bodajże, a niech cię...

Wyskoczyli do lasu. Był gęsty jak i gdzie indziej, tylko pośrodku, pod kilku starymi rozłożystymi sosnami stał długi niski barak o dachu pomalowanym na ciemnozielono. Po jego bokach mieściło się kilka zabawnych budyneczków, kształtem przypominających bardzo duże, dwumetrowej długości ule.

Przy jednym z nich zobaczyli staruchę. Na jej widok zerwali się zaraz, podbiegli: klęczała pochylona nad czymś, ręce załamywała.

To była tylko kura, zwyczajny kurzy kundel, coś burożółtego. Leżała z łapami wyprężonymi, zadarłszy głowę. Bielmo przesłoniło jej ślepie.

- Znowu, znowu! - krzyknęła stara do chłopców. - A niech go, a bodaj!...

- Kuna? - spytał rzeczowo Wojtek.

- Jaka kuna! - wrzasnęła Agnieszka. - To ten, ten, bodaj go...

Wstała, nagle uspokojona, zła tylko, pełna goryczy. - A wam cegój? Cego tu sukacie? - zapytała, nagle mazurząc.

Z zażenowaniem powiedzieli, o co im chodzi. Pokiwała głową.

- Cóż tu wam ugotuję? Tu, sami widzicie...

- Ależ, proszę pani, nam byle co, mleko...

- Mleko! Po mleko to do lwiszek, dwa kilometry! Sami się już tam umówcie. Tu...

Kiwali ze współczuciem głowami, myśląc, że rozumieją.

- E, żeby to u nas, w Siarcej Łące! Tam i mleko, i twarozek, casem i jajko! - znów zamazurzyła Agnieszka.

- Gdzie? - nie zrozumiał Kucyk.

- W Siarcej Łące, mówię. No, za Mysiańcem, a przed Ostrołęką. Tam u nas, na Kurpsiach. Tam to się żyło! A tu same nieszczęścia z bidą pod pachą. Uu, ten łamaga!

Właśnie w tej chwili na widowni ukazał się stary Maciej, ten sam, co piękną Nelly z uszanowaniem tytułował „panią dziedziczką”. Okazało się wreszcie, że to on jest głównym sprawcą tego kurzego pomoru, ponieważ zaciągnął swoją małżonkę z błogostawionej krainy „Kurpsiów” do tej wybranej przez diabła okolicy.

W tym miejscu Kucyk nieostrożnie wystąpił z próbą naukowego wyjaśnienia tego zjawiska, referując Sykusową teorię jakiejś rośliny, która w Gorzyżalkach na skutek gleby miejscowej nabiera własności toksycznych. Oczywiście, nic to Maciejowi nie pomogło, wprost przeciwnie.

Agnieszka zaczęła krzyczeć, że to wszystko nieprawda z tym sianem. Że krowy, dopóki były w starej oborze, to jadły tutejsze siano i nic, że wyzdychały dopiero, gdy je przeniesiono do nowej, o, tej! - pokazała na długi budynek z ciemnozielonym dachem. Że kury siana nie jedzą, a też zdychają. To samo pies, którego tu trzymali. Że wreszcie prawdziwy winowajca to Maciej, bo nie puszcza jej z powrotem do Siarczej Łąki.

Na to nie mieli nic w zanadru. Pożegnali się więc ze starymi, umawiając się na obiad. Macieja zahaczyli jeszcze o sianokosy. Potwierdził, że kos nie ma, że się ostatnia złamała rok temu, a nowych nie przydzielono, bo „prawo nie pozwalało”. Radził, żeby poszli do lwiszek, i nawet podał nazwiska takich, którzy mogliby pożyczyć. Był kwaśny, zwłaszcza wobec Kucyka.

Ruszyli więc do lwiszek. Była to ta sama wioska, gdzie ich tak nieludzko powitali studenci. Na szczęście właśnie wczoraj pojechali sobie gdzieś na Giżycko.

Ale gospodarze, poleceni przez Macieja, nie śpieszyli z pożyczaniem kos, choć aż do żniw nie były im potrzebne. Gorzyżalki cieszyły się tu jak najgorszą opinią. Chłopcy długo nie mogli zrozumieć, o co tamtym chodzi. Wreszcie jeden, starszy gospodarz, półżartem powiedział, że tam straszny.

Roześmieli się: gdyby nawet tak, jakież związek strachy mogą mieć z kosami?

Starszy gospodarz kręcił nosem: jak już jest taki pech, jak z Gorzyżalkami, to pada na wszystko. Krowy im wyzdychały, tak czy nie?

Inny, młodszy, zwący się Podsiadło, parsknął:

- Bo źle gospodarzyli!

Stary litościwie pokiwał głową.

- Co, wszyscy byli jak ten, co teraz? Wszyscy takie niedojdy? Nie może być! A patrzcie, każdy sobie kark skręcił na Gorzyżkach! Kwieciński, jaki doręczny gość był, a też, jak mu te krowy wyzdychały, poleciał na zbity łeb! I co, koniec teraz? A jakże! Żadna żywiota uchronić się nie może, jedne świnie...

Podsiadło nie chciał się poddać. Ponieważ jednak nie miał argumentów, ofiarował chłopcom dwie kosy. Żądał tylko zastawu. Przy całym swoim sceptycyzmie wobec strachów wolał zabezpieczyć się przed połamaniem kos na rzeczywiście piekielnych podobno łakach gorzyżakowskich. Zdzisio zostawił mu zegarek. Za to umówili się co dzień na mleko.

4.

W ten sposób nazajutrz skoro świt pobudka podniosła chłopców na nogi. Nielitościwy Kucyk ściągnął koc ze Zdzisia, który próbował sprawę zbagatelizować, i zagroził oblaniem wodą Wojtkowi. Tylko Andrzejkowi nie uczynił żadnego takiego świństwa: najlepszy dowód, że się traktowało go ciągle jako „nie w porządku”.

W pięć minut byli gotowi, klucz od pokoju położyli na parapecie najbliższego okienka na schodach, zgrabnie przeskoczyli przez sień.

Było tym zimniej, że mieli z sobą tylko chleb ze smalcem, żadnej tam kawy czy herbaty. Doszli do zrujnowanych czworaków, zarastających osikowym zagajnikiem. Tu czekał na nich Maciej. Wzięli sprzęt: kosy i grabie, ruszyli dalej.

Ranek, jak zwykle tutaj, pełen był mgły, drogę widziało się na pięć metrów, reszta to były czarniawe kształty drzew i mleczone powietrze. Bez Macieja pogubiliby się w pięć minut.

Ten jednak żwawo wyprowadził ich na niską gładką przestrzeń, porośłą po kolana trawą. Kucyk aż krzyknął z rozkoszy, taka mu się ta łąka wydała piękna, aż skoczył naprzód, nurka niemal dał w trawę.

Zahamował już po pierwszym kroku: chlupnęło! Wyciągnął szybko nogę. Gumowy pantofel był mokry i upstrzony czarnymi punkcikami, jakby wdepnął w czarną kawę pełną fusów.

- No, pewnie! - zachnął się Wojtek. - Krzyczy, że piękna łąka, a nie widzi, że kwaśna, że na bagnie! Mieszczuch!

- Tak, tak, panowie - wygłosił sentencjonalnie Maciej. - Tu trzeba ostrożnie. Tu się czasem można utopić, jak się po nocy idzie. Są takie grzęzawiska, o, tam! - pokazał gdzieś w mleko mgły. - Zanim krowy tu wyzdychały, to się jedna ~.a śmierć tam utopiła. A z ludźmi bywało podobnie. O Radoście to po dziś baby opowiadają.

Andrzejek chciał spytać pamiętając o fachu pana Balbińskiego. A potem zrezygnował. Żeby nie powiększać nieprzyjaznej atmosfery dokoła siebie.

Popatrzył więc tylko w kierunku tego śmiertelnego grzęzawiska, przyrzekając sobie rozpytać o to przy najbliższej okazji. Zresztą zabrali się właśnie do roboty.

Kosy mieli trzy, bo Maciej zabrał także i swoją, prywatną. Z nią też stanął do koszenia. Drugą wziął dziedziczny wieśniak, Wojtek. Trzeciej mieli używać na przemian tamci trzej, zanim siano nie podeschnie na tyle, żeby je można było grabić.

Było wpół do piątej, gdy wreszcie, uformowani w macedońską falangę, z Maciejem na czele - ruszyli. I od razu zostawieni w odwodzie Zdzisław z Andrzejkiem buchnęli śmiechem.

Mimo pouczeń Kucyk już za pierwszym razem wyrznął kosą w torfiastą ziemię, zachwiał się, o mało nie upadł.

- Równiej, równiej! - krzyknął Maciej. - Wyżej kosę!

Kucyk podniósł kosę wyżej i znowu machnął. Tym razem bezsprzecznie uniknął torfu, za to rozpędzona zbyt wysoko kosa, natykając się zaledwie na kilkanaście wybujałych źdźbeł, pociągnęła za sobą nieszczęsnego kosiarza, który z kolei o mało się nie wyrócił.

- Niżej, równiej! - krzyknął Maciej. Kucyk posłusznie machał niżej. Ale jakiś pech sprzysiął się widać na niego. Za każdym razem przesadzał, raz za nisko - w ziemię, drugi raz za wysoko - w powietrze. Ciężka przejrzała trawa tego półbagna znakomicie umiała się przed nim wykręcić, jak to się mówi, sianem.

Niebawem i Maciej, i Wojtek dali spokój swoim pokosom, całą energię wyężdżając na szkolenie młodych kadr kosiarskich. Przyznajmy, że to nie było skomplikowane. Po prostu krzyczeli na przemian: „Wyżej!” „Niżej!” Za każdym razem dodawali: „Równiej!” I tego właśnie refrenu za żadne skarby nie mógł Edzio wykonać.

Maciej oparł się o kosę i tylko uprzedzał Andrzejkę i Zdzisława, żeby za blisko nie podchodzili. Rzeczywiście, Kucyk wpadł w furię. Kosa jego furczała zataczając trzymetrowe śmiercionośne kola.

Skapitulował dopiero po kwadransie. Wargi mu zbieleły, ręce się trzęsły jak u starca. Obejrzał swe dokonania: jednak z pół tuzina machnięć mu się udało. Ze dwa metry „bieżące” łąki odrobił. Zachłystując się zmęczeniem, wybąkał:

- No, cóż, jeszcze sto pięćdziesiąt dni, a to wszystko odwalę!

Zdzisławowi poszło lepiej niż Kucykowi, ale i on po kwadransie padł na twardy grunt, wyczerpany jak po maratonie. Tym dziwniejsze było, że i Wojtek, i stary Maciej kosili już pół godziny bez widocznego zmęczenia. Natchnęło to Andrzejkę nadzieją: pewnie nie siła, ale umiejętność decyduje w tej robocie.

Przyjrzał się pracy rąk tamtych. Obracały się tylko z całym tułowiem z prawa na lewo, nieruchome w łokciach i przegubach. Dzięki temu kąt uderzenia kosi nie zmieniał się. Szła równolegle do ziemi, ścinając trawę, ale nie ślizgając się do góry czy na dół.

Oczywiście, takie teoretyczne rozważania nie wystarczały. Już przy pierwszym zamachu Andrzejek zapomniał o pracy tułowia i końcem kosi wyrznął w mech. Za następnym razem poszło mu lepiej. Najgorsze okazały się chwasty.

Łąka wcale nie była dobra. Zarastający ją mech bagienny zabijał lepsze gatunki trawy. Takie brutalne rośliny, jak szczaw koński, przebijały powłokę mchu, ale ich łodygi, zwłaszcza po przekwicie, twardniały w drewno. Trzeba je było wymijać.

Potem zaczęły się całe kolonie jakiejś trawy podobnej do tataraku, tyle że cieńszej i o ostrych brzegach. Zahaczona dłonią, cięła naskórek do krwi. Kwitła też obrzydliwie: kiściami klujących ziarenek.

Nie śmieli się z niego, bo ciągle był „grzeszny”. Maciej z Wojtkiem przestali jednak wołać swoje: „Wyżej!”, „Niżej!”, zabrali się też do roboty. Po kwadransie Andrzejek przegrał wprawdzie do tamtych, ale mniej od Zdzisia czy zwłaszcza Kucyka.

O siódmej zrobili pierwszy odpoczynek. Słońce już przygrzewało, ale rosa nie obeschła jeszcze, zbiegła się tylko w wielkie krople po cienistej stronie trawy. Wymęczeni byli potwornie. Nawet Wojtek padł na suchy grunt, głowę odrzucił do tyłu, ręce rozłożył: po latach miejskich nie zapomniał tej pracy, ale stracił nawykową wytrzymałość.

Tylko Maciej skrzył sobie papierosa, kucnął na słończku, rozgadał się nawet. Miał pretensję do Kucyka, że się ten wtrącił do ich sceny małżeńskiej.

- Bo panowie to wiadomo. Nagadają, nagadają, a potem już ich nie ma. A bidny człowiek zostaje. I za ich gadanie bierze po głowie! Moja stara takie mi piekło sprawiła...

- Za co? - udał naiwnego Kucyk.

- A za pańską obronę. Ciemna kobieta, wiadomo. Ale swoją drogą, co się nacierpiła, to się nacierpiła. I teraz, nie można powiedzieć, ma prawo jęzorem mleć...

- Kiedy się nacierpiła? Za co?

- A jakeśmy tu przyjechali. Ciemna kobieta. Spod Wachu, z Kurpiów. A z całych Kurpiów tam największy zabobon.

- I za to się nacierpiła?

- No! Nasłuchiwała się babskiego gadania. Jak te krowy zaczęły zdychać, to mówi, że nic nie pomoże, że nieczysta siła. Pierwsza zdechła, to się jeszcze trzymała. Ale przy tej drugiej, to już z pyskiem do kierownika. Że nie pozwoli, aby ze starej do nowej obory. Bo w nowej to właśnie straszy. No, to kierownik ją za drzwi. Bojowy był, w żadne strachy nie wierzył. Nawymyślał jej od sabotażystów. No, to jak ta trzecia zdechła, tak moja w krzyk: „A nie mówiłam?” No, to on do Ube, że to ona ze złości potruła. No, to ją posadzili. Miesiąc siedziała, póki doktor krowę krajał. Ale nic nie znalazł, powiedział, że urzędowo zdechła. No, to moją wypuścili. Tak że jak teraz pyskuje na mnie, ja nic, Ma prawa, swoje wycierpiła.

- No i co, a jak te inne wyzdychały?

- No, to moja znowu, że nieczysta siła. Ale już jej nie ruszono, tylko kierownika za łeb, że nie dopilnował.

- Aha! - radośnie krzyknął Kucyk. - Za łeb samego i do paki!

- Gdzie zaś!

- Ach, tylko popędzili?

- Popędzili, ale jak! Aż do Warszawy, do ministerstwa! Przyjeżdżał potem, chwalił się, że mu te krowy taką przysługę zrobiły! Żona, mówi, nachwalić się nie może, wszystko na miejscu, kino, woda, elektryka...

Kucyk spojrzął kwaśno na resztę.

- Nietypowe - powiedział. - Wiecie co, a może byśmy do roboty?

Wstali. Słońce prażyło coraz mocniej. Pozdejmowali koszule, spodnie, zostali w samych kąpielówkach. Bosymi nogami brodzili ostrożnie po kłującym ściernisku. Każdy z trzech mieszczuchów trzymał kosę przez kwadrans. Potem zaczynało się inne zmęczenie, nie zadyszka już, ale tępy dogłębny ból wszystkich mięśni rąk, karku, tułowia.

O dziesiątej spiekota wysuszyła resztki rosy jak rozpalonym żelazkiem. Wojtek kazał im brać grabie. Chodzili sobie teraz polonezowym niemal krokiem, przewracając warstewki skoszony trawy, od góry spieczony na siwo, od dołu jaskrawozielony, soczysty, mokre.

- Uważajcie, panowie - powiedział Maciej. - Tu i żmije bywają. Miedzianki.

- To nie żmija - wtrącił Andrzejek. - Miedzianka, Coronella austriaca, nie jest jadowita.

- Akurat! - Maciej machnął ręką. - W lwiskach dziecko w zeszłym roku ugryzła. Zmarło dziecko!

- To może prawdziwa żmija? Vipera berus?

- Gdzie zaś! Prawdziwa to szara, a ta miedziana.

- Nie może być! Miedzianki są nieszkodliwe. W każdej książce zobaczycie.

- To może gdzie indziej. A tu może taka już ziemia paskudna, że i miedzianka jadowicieje?

Rozmowę przerwał krzyk Kucyka.

- Ugryzła, ugryzła!

Chwycił się za lewą nogę i susami zaczął skakać z łąki.

- Miedzianka? - krzyknął Maciej. - Żmija! - wołał Andrzejek.

- A cholera ją wie! - wrzasnął Kucyk. - Boli! Prędeż, róbcie coś!

Rzucili się doń wszyscy.

- Do doktora!

- Do szpitala!

- Daleko! - wołał Maciej. - Może po naszymu, wypalić rankę?

- Czym?

- Rozpalimy ogień i kozikiem. Albo węgielkiem.

- Yy! - wydał dziwny okrzyk Edzio. Gwałtowna bladeść zalała mu twarz.

Ich rwetes uciszył Wojtek, który przed tym obejrzał miejsce wypadku, a potem dopiero przyszedł do ofiary.

- Pokaż tę nogę!

Obejrzał ją pobieżnie.

- O tu, tu! - jęczał Kucyk. - Nawet puchnie!

- Frajer pompka. Gdzie ślady zębów? Gdzie ranka?

- O, tu! - Kucyk pokazał mikroskopijny czarny punkcik.

- Oczywiście. Trzmiel cię ugryzł, nie żadna żmija.

Zamiast wdzięczności za uratowanie przed miłym wypalaniem ranki, Kucyk strasznie się obraził. Wojtek nie zwracał już nań uwagi, wrócił na łąkę, ukląkł, odgarnął ściętą trawę.

- Chodźcie, spróbujemy czegoś dobrego. Przybiegli. Nawet Andrzejek nie wytrzymał. Niewielka kupka suchego żółtozielonego mchu brzęczała gniewnie i niespokojnie. Wojtek szybko odgarnął mech. Ukazała się dziwaczna budowla, złożona z kilkunastu kulistych komórek, częściowo zamkniętych, częściowo ze ściętym wierzchem, napełnionych jakąś przezroczystą bezbarwną cieczą. Grube, włochate, czarne, z dwoma pomarańczowymi pasami trzmiel pęzły niespokojnie po swoim osiedlu, próbując brzęczeniem skrzydeł odstraszyć nieznaną groźbę. Były czarująco niezgrabne, podobne do pluszowych niedźwiadków.

- Nie zabijaj! - krzyknął odruchowo Andrzejek, gdy Wojtek łodygą końskiego szczawiu machnął ponad gniazdem.

Tamten ironicznie nań spojrział.

- Rzeczywiście! A po cóż mam zabijać? One są dobre.

Ostrożnie zbliżył do najbardziej buńczucznego trzmiela obie dłonie i zamknął go w tej niechytrej pułapce,

- Byleby nie przydusić, a nie ugryzie.

Trzmiel dudnił mu w dłoniach. Puszczony, na wszelki wypadek odleciał w bok. Wojtek wziął długą pustą w środku słomkę, wetknął ją w komórkę pełną płynu, pociągnął.

- Spróbujcie! - rzekł. - Miód.

Próbowali po kolei. Ostatni, oczywiście, Andrzejek. Trzmieli miód był rzadszy od pszczelego, nie miał tego zapachu, ale był bardzo słodki.

- One są bardzo pożyteczne - powiedział bezadresowo, badając niejako temperaturę uczuciową reszty pod swoim adresem. - Zapładniają rośliny. Na przykład koniczynę. Klasyczny przykład Darwina: w pewnej okolicy wyniszczono koty. I wtedy skończyły się urodzaje koniczyny. Bo rozmnożyły się myszy polne i poniszczyły gniazda trzmieli.

Począł na reakcję. Nic nie powiedzieli. Nie, jeszcze mu nie przebaczone.

Spiekota wolno rosła. Ramiona zaczynały piec. W południe Maciej zarządził powrót.

- Przyjdziemy pod wieczór, to zgrabimy w kopy. Teraz i tak się nic nie nakosi.

Umówili się na szóstą i ruszyli na przystań. Widok tafli wodnej po tylu godzinach upału podniecił ich niesłychanie, Zdzisio nawet coś krzyknął, podskoczył, pobiegł. Stał zaraz:

- Cholera, jakbym postarzał się o dwadzieścia lat. Kości nie chcą się ruszać.

Odczuwali ołowiane znużenie mięśni, kości, umysłu. Dobrnęli wreszcie do jeziora, złożyli ubrania. Woda wydała się zimna, dno kąpieliska pełne było mułu kryjącego śliskie kamienie i ostre jak noże, puste muszle.

- Z łodzi będzie lepiej! - krzyknął Zdzisio. - Tam od razu po szyję!

Wrócili we trójkę. Andrzejek został: nie umiał pływać. Skakali z Atalanty, wielkie fontanny złotawej od słońca wody tryskały spod ich zarumienionych ciał. Zaraz potem nogi zaczynały im trzepotać, głowy obracały się z lewa na prawo, usta o wyciągniętych wargach śpiesznie chwytają powietrze, ręce łagodnymi łukami odmierzały każde dwa metry jeziora.

Andrzejek wylazł ze swego rozmamianego ilitu, pobiegł na Atalantę. Crawl zachwycał go gładkością ruchów, agresywnym pośpiesznym rytmem, tą wyższą formą celowości, której tak blisko do pojęcia absolutnego piękna.

Tamci płynęli przed siebie kanałem między trzcinami. Zanurzone w wodzie ich ciała nabierały zielonożółtego połysku dojrzewających winogron: woda była bardzo przezroczysta, przesycona słońcem, ale dno pokrywały ciemnozielone puszyste wodorosty. Słońce prażyło straszliwie. Zanim wrócili, już Andrzejek wysechł i zgrzał się. Cisza. Tylko suchy trzepot nieprzeliczonych ważek i brzęczenie os w trzcinach.

Dopłynęli. Prychając zaczęli wlaźć na jacht, unosząc do góry czerwone pięty, podciągając się na rękach, z głowami odrzuconymi do tyłu.

- Tak, chłopaki - skomentował Kucyk. - Popracowało się fest, to i odpoczynek wydaje się słodki. - Dziękuję za taką pracę! - zachnął się Zdzisio. - Nawet po tej kąpeli boli mnie całe ciało.

Nie patrząc na Andrzejka, zaczęli się ubierać.

5.

Byłby ten dzień piękny, upalny, lipcowy został w duszy Andrzejka wspomnieniem z jednolitej klarownej bursztynowej bryły, gdyby nie dąsy reszty chłopców.

Wracali z sianokosów we czwórkę: Maciej poszedł sobie wcześniej, gdy Wojtek przyrzekł, że dopilnuje koszenia. Był wczesny lipcowy wieczór, słońce jeszcze nie zaszło, zaplatało się tylko w wysokich drzewach nad Iwiszkami. Pierwsze fale wilgotnego chłodu ciągnęły znad łąki i gdy zahaczały

o nogi, o twarz, czuło się ulgę, prawie jak przy skoku do wody. Szli ścieżką biegnącą wzdłuż niezmiernych zarośli trzcinowych, równoległe do brzegu jeziora.

Dochodzili niemal do Gorzyjałek, gdy coś czerwonego łysnęło wśród trzcin. Zaraz potem wrzask:

- Pieniądze albo życie!

Dwóch dryblasów wyskoczyło z gąszczy, mierząc w chłopców czarnymi krążkami luf. Parę sekund wystarczyło, żeby rozszyfrować piratów z Momajń. Byli zachwyceni swoją zasadzką i tymi właśnie paru sekundami zamieszania, jakie zdołali wywołać.

Okazało się, że już od paru dni kręcą się po Śniardwach. Dziś z rana spadł na nich sztil absolutny. O hańbo! Na wiosłach musieli dobić do najbliższego brzegu, ledwo przedarłszy się przez straszliwe zarośla trzcin.

I oto przyczyna, że się zdecydowali na napad rabunkowy: od rana przymierają głodem. Czy nie wiedzą chłopcy, gdzie tu w pobliżu jakaś gospoda ludowa?

Kucyk zaraz ich pocieszył: w promieniu dziesięciu kilometrów ani żadnej gospody, ani nawet najbliższego sklepu. Zaczęli wypytywać o byle co, o wioskę, leśniczówkę. Niestety, poza lwizkami ogołoconymi przez kilkudziesięciu studentów nic takiego...

- No, dobrze, ale wy przecież gdzieś musicie się żywić! - przerwał mu pirat Dżaki.

Kucyk w paru słowach zreferował specyfikę Gorzyjałek. Owszem, powiedział, są tam pewne możliwości.

- Świetnie! - krzyknęli piraci. - Skaczymy zaraz po nasze kobiety!

- Żadne kobiety! - zastrzegł się groźnie Kucyk.

- Jak to, kapitan Małgorzata skórę z nas...

- To mnie nic nie obchodzi. Albo kolacja, albo kobiety. Zresztą, jak będziecie sprytni, to im coś przyniesiecie...

Piraci westchnęli i przyłączyli się do chłopców. Mijając pałac Kucyk im powiedział:

- Zajdźcie tam, o, tamtą ścieżką. Dookoła. I powiedzcie, żeście studenci, że zbłądziliście. Tylko o nas ani słówka. Także, żeście z kobietami. Zobaczycie, coś wam dadzą...

- E, co znowu, na żebrzy?

- Ale gdzie! Tam przepadają za studentami!

Kucyk pchnął ich lekko na ścieżkę, sam zaś skręcił do Maciejów. Chłopcy chichotali z cicha. Andrzejek domyślił się z ich komentarzy, że piękna Nelly, dowiedziawszy się od małżonka szczegółów na temat wieku i wykształcenia rzekomych studentów z politechniki, bardzo wyraźnie straciła dla nich zainteresowanie. I to miała być zemsta.

Te chichoty szybko zgasły. Maciejowa poczęstowała ich rzadziutką mleczną zupą z kluskami i rozłożyła ręce: więcej nic nie było. Okazało się, że po południu jeszcze jedna kura odwaliła kitę. Stało się to znakomitą okazją do nowej filipiki przeciwko małżonkowi.

- A nie mówiłam, żeby się z domu nie ruszał! To nie, pojechał! Mówiłam, żeby nie na Mazury. To nie, właśnie tu. Mówiłam, żeby nie na Gorzyjałki, bo tu nieczysto! To nie, akurat do Gorzyjałek! Mówiłam, żeby w starych czworakach! Żeby bydła do nowej obory nie dawać! To nie, właśnie do tej chałupy, choć tu z całych Gorzyjałek największą moc ma...

Urwała, popatrzyła na chłopców.

- A zresztą, co będę... Panowie uczeni, to się ze mnie śmieją...

- Nic podobnego! - wyrwał się Andrzejek. - Ani nam w głowie!

Chciał rozpytać Agnieszkę o różne zagadkowe sprawy, które wynikały z tego, co mówiła, ale dostał potężnego kopniaka, nie wiadomo od kogo.

Wyszli na dziedziniec. Byli głodni i tym drażliwi.

Wieczór stał się już naprawdę, nawet księżyc jak rydz czerwony wylazł półkolem zza krzaków.

Odeszli o sto metrów. Andrzejek nie wytrzymał:

- Wypraszam sobie! - zawołał z nadrabianą pewnością siebie. - Zachowujecie się jak świnie przez całą dobę, a potem jeszcze kopiecie po nogach!

Nie zwrócili nań uwagi, gadali między sobą.

- To świństwo! - zawołał wyprowadzony z równowagi. - Czemu mi przeszkadzacie? Może jakąś legendę...

- Patrzcie, co za etnograf z niego się zrobił! - Wojtek aż gwizdnął.

- Że się podlizywać umie, żadna nowina! - dorzucił Kucyk. - I zawsze wie, kogo małpować!

- Właśnie, że wiem! Niejedno stare podanie...

-To, to rzeczywiście najstarsze! - splunął Kucyk. - Ze starej obory przepędzono krowy do nowej. I w tej nowej straszny! To już całkiem coś nowego! Zawsze duchy gnieździły się w najstarszych ruderach...

Andrzejek zamilkł. Teraz dopiero dostrzegł dziwaczność ludzkiej gadaniny na temat Gorzyjałek. Ta jego kapitulacja nie nasyciła jednak reszty.

- A w ogóle to sobie wypraszamy twoje cackanie się z nieznanymi podejrzanymi osobnikami... - Zaczął Kucyk. - Jak chcesz być w kolektywie, to masz się słuchać jego dyrektyw, rozumiane?

Andrzejek popatrzył na Zdzisia. Nie znalazł żadnego współczucia. Przystanął i poszedł na koniec. Teraz dopiero poprawiły się humory tamtej trójki. Kucyk tłumaczył obszernie całe okrucieństwo nasyłania studentów na parę Sykusów, z których jedna za nimi przepadała, drugi zaś ich nie znosił. Podeszli nawet pod jadalnię, przygotowani na jakąś większą rozróbkę.

Ale się zawiedli. W jadalni buchały męskie i damskie śmiechy. Przyciągnięto skądś patefon. Zaczęły się tańce. Balbiński i Sykus przyglądali się temu, stojąc w drzwiach i przerzucając się jakimiś uśmiechniętymi półsłówkami. Nic nie wskazywało na awanturę.

Poszli z powrotem.

- Spać! - powiedział Kucyk. - Psiakrew, jutra znowu do roboty.

- Jutro sobota - rzucił Wojtek.

- Świetnie, chętnie sobie pojutrze odpocznę.

Podeszli pod drzwi, gdy z daleka dobiegło ich szczekanie. Andrzejek zanadto był zajęty przez cały dzień i teraz dopiero przypomniał sobie o swej podopiecznej. Chciał już biec do niej, gwizdnął nawet. Szczekanie, przez chwilę zaczepne, zaraz zmiękło, stało się skomleniem. Gwizdnął jeszcze raz. Zza krzaka wyskoczyła Sulamita. Z podwiniętym ogonem, oglądając się za siebie, dobiegła doń i przycisnęła się do nogi.

Popatrzył na chłopców. Nic to ich nie wzruszyło, ruszyli przez sień. Poszedł za nimi, z Sulamitą płaczącą się mu ze strachu między nogami.

Księżyc wydostał się już na tyle, że w wieżycze było całkiem jasno. Dlatego też od razu dostrzegli brak klucza na parapecie.

- Psiakrew, kto z was tu w dzień zachodził?! - krzyknął Kucyk. - Bałaganiarze, cholera, żeby nie położyć klucza z powrotem.

Przysięgali po kolei, że nie zachodzili. Skrupiłoby się pewnie na Andrzejku, gdyby nie to, że przez cały dzień nie odłączył się od reszty ani na pół godziny.

- Kogo, do psiej nędzy, mogą obchodzić nasze graty? - kłął Kucyk, wygasając latarką szukając po zakurzonych schodkach. - Co za świnia! No, niech go złapię...

Obejrzeni bardzo dokładnie schody, parapety wszystkich okienek, drzwi, szpary w murze. Kucyk wpadł w szewską pasję, targnął z furią klamkę.

I drzwi się otworzyły. Po prostu nie były zamknięte. Niedowierzając sobie samym, weszli do pokoju. - Nie ruszać nic! - przestrzegł Kucyk. - Zaraz zobaczymy, co z naszych rzeczy może kogoś interesować!

Po kolei oglądali swoje graty. Nie zauważyli żadnych śladów myszkowania. Tylko Andrzejkowi zdawało się, że w szafie bez drzwi jest parę nowych śladów od wyciągania książek. Ale nic pewnego w tym nie znalazł i nic nie powiedział bojąc się ich docinków.

W sumie heca była dosyć zagadkowa. Po co komu było potrzebne zabieranie chłopcom klucza od ich pokoju, zważywszy, że nie miał zamiaru okradać ich z nędznego wakacyjnego dobytku? Nie mogli tego zrozumieć.

Dopiero Zdzisio, już w łóżku, powiedział coś z sensem:

- Nie wiem, o co tam poszło, ale wiem, że pokoju teraz nie możemy zamknąć.

Kucyk siadł na łóżku, trzepnął się w czoło.

- Patrzcie, patrzcie. Komu na tym mogło zależeć?

- Prosta sprawa - rzekł Zdzisio. - Poszukamy jakiejś kłódki i zamkniemy znowu...

Andrzejek nic nie powiedział. Gdy kładł się, Sulamita zaczęła niespokojnie się kręcić, sierść jeżyć, nawet z lekka pojękiwać. Poglaskał ją z dostrzegł, że wpatruje się w jedno miejsce. Wtedy i jemu włosy się zjeżyły.

Gapiła się w otwór wiodący na strych. Miała rację! Dyktę znów ktoś ruszał! Pomyślała: „Może im powiedzieć? Zawsze to kolektyw, choć i kulawy”.

Nic nie powiedział. Jak im udowodni, że halabardowe pęknięcie było z rana bliżej ściany, a teraz jest prawie pośrodku?

Leżał, myślał. Sulamita wskoczyła na łóżko, ułożyła mu się w nogach, jakby uspokojona. Może po prostu szczurów się boi? Myślał o tym, co go tu spotkało przez parę ostatnich dzionków. Klęska piorunująca u Lucyny. Czepianie się tamtych. Te dziwy, których : oraz więcej go otacza - wszystko to stało się marzeniem. Że to on właśnie, Andrzejek, sięgnie sedna tajemnicy, wyjaśni dziwy, złe siły złapie za rękę i udowodni wszystkim, że miał rację on niepokojąc się, a nie oni wyśmiewając go tylko. Te marzenia okazały się niebawem tak potężne, że zasnęł.

Jądro ciemności.

Kosiło się następnego dnia trochę lepiej. Upał był ciągle wielki, południowa kąpiel cudowna, obiad nędzny. Agnieszka znowu się uskarżała na brak prowiantu. Zdzisio wyrwał się z propozycją nałapania ryby. Agnieszka niedowierzająco machnęła ręką. W ten sposób wypłynęła sprawa raków.

Okazało się, że o trzy kilometry od Gorzyjałek, w lesie, leży małe jezioro Skarb, podobno obfitujące w raki. Agnieszka nie łapała ich nigdy, zapewniała jednak, że ugotować potrafi. Wojtek za to znał z pięć sposobów połowu. Najprostszy - to był z elektrycznymi latarkami. Reszta obejrzała go nieufnie, czy się z nich nie nabija. Wojtek zaczął właśnie nabijać się z ich nieufności. Słowem, zdecydowali ruszyć tego jeszcze wieczora po kolacji.

Nie wiadomo dlaczego Andrzejka ta perspektywa napelniła iście cielejącą radością. W podskokach wyrwał się naprzód, biegł, przesadzał co mniejsze krzaczki. Reszta szła dostojnie z tyłu, puszcżając pod jego adresem uszczypliwe jednozgłoskowe wykrzykniki.

Dzięki temu, gdy Andrzejek wpadł na Balbińskiego i piękną Nelly spacerujących sobie po pałacowym niby-parku, reszta chłopców była daleko i nie mogła szczypać Andrzejka, kopać go w kostki, czy przynajmniej wzrokiem nakazywać ugryzienie się w jęzor.

Balbiński zręcznie chwycił Andrzejka wpół właśnie w chwili, gdy ten już, już miał się zderzyć z końskotwarzą.

- Ej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz, Kozacze? - zawołał stawiając go na nogi.
- Na raki! - z głupia frant odparł Andrzejek.
- Raki, raki! - zakrzyczała piękna Nelly klaszcząc w dłonie. - To wspaniały pomysł!
- Co, teraz? O czwartej? - spytał Balbiński.
- Ależ nie! Dziś po kolacji!

Gdy nadciągnął Kucyk z resztą, sprawa raków była już zdecydowana. Całe towarzystwo gorzyjałkowskie już zgłosiło swój akces. Piękna Nelly zawołała piratów, którzy znów przyszli w porze obiadowej popałętać się koło stołu. Ochoczo się zgodzili, a nawet zapowiedzieli ściągnięcie kapitana Małgorzaty i jej towarzyski, których istnienie dotąd starannie ukrywali przed piękną Nelly. Ta była zaskoczona, wściekła pewnie, ale po paru minutach błysk złowieszczy przebiegł przez jej oczy i bardzo gorąco zażądała ściągnięcia pirackich kobiet.

Słowem, z rzeczowej, poważnej wyprawy aprowizacyjnej, jak to było zrazu pomyślane, zapowiadał się przepiękny piknik towarzyski.

- Włożę szorty! - rozważała na głos piękna Nelly. - Choć nie, wieczorem będą komary. Wkładam długie spodnie, słyszy pan? - zwróciła się do pirata Dżakiego.

Tamten przyjął postawę zasadniczą, nie bardzo wiedząc, co ma z tym zwierzeniem uczynić.

- No, bo jeśli te wasze przyjaciółki mają się tu stawić, niech będą uprzedzone! Chcę być wobec nich lojalna!

Dżaki z Gary Kaczykuperem zamienili parę ironiczných min. Na szczęście piękna Nelly nie dostrzegła tego. Popędziła do domu mobilizować swoje zasoby i wdzięki na bliską rozprawę z nieznanym wrogiem z żagłówki.

Jej odejście zakończyło improwizowaną naradę produkcyjną w sprawie raków. Ludzie rozeszli się i Andrzejek został sam na sam z kolegami. No, teraz oberwał straszliwie! Najbardziej zawzięty, Wojtek, proponował nawet wycofać się z całej tej chryi.

- Bo to piękna rzecz łapanie raków! Musisz iść cichutko, świecić, patrzeć pod nogi. A tu nabierze się tej hołoty, panie będą piszczeć, panowie chwycić je pod rączki...

Splunął z obrzydzeniem. Andrzejek pozwolił sobie na złośliwość:

- Od kiedy ty tak bardzo przeciw chwytaniu pod rączki?...

Nie dali mu skończyć. Przez kwadrans wymyślali mu od gadułów, bab, plotkarzy i tym podobnych ofiar. Gdy umilkli, był całkiem złamany. Zdzisio zaproponował przełożenie wyprawy na jutro.

- No, jutro może być gorzej! - przerwał mu Kucyk. - Ci tam dzisiaj wyłowią co lepsze, resztę spłoszą. Nie, Wojtek?

Wojtek musiał się z tym zgodzić.

- Pójdziemy, trudno - ciągnął Kucyk. - Ale postaramy się być osobno, z dala od reszty. A z tą babą innej rady nie ma, trzeba się mieć na baczności i ważniejszych spraw przy nim nie poruszać.

Ten straszliwy wyrok dobił Andrzejka. Nie czekając na potwierdzenie go przez resztę, odwrócił się, ruszył byle gdzie, byle dalej.

Powiedział tylko:

- Czekajcie, czekajcie! Ja sam mam was dosyć. Powyżej uszu. Przy pierwszej okazji...

Zarechotali. Poszedł sobie.

Było prawdziwie lipcowe popołudnie. Ziemia cała, zdaje się, przechodziła poobiednią drzemkę. Ptaki nie krzyczały, ludzie umilkli. Wiaterek w ogóle od wczoraj się nie zjawił. Tylko pszczoły, pracujące jak wiadomo bez przerwy obiadowej, brzęczały potężnie nad rozkwitającymi koło pałacu lipami. To jednak rozpalone brzęczenie zdawało się nie naruszać ciszy, ale ją jeszcze pogłębiać.

Tym ostrzej stan Andrzejka kontrastował z powszechnym spokojem. Szedł przed siebie, minął pałac, zagłębił się w dziczejący sadopark. Zdawał sobie sprawę, że zarzuty tamtych były celne. Że jednak wyrok wydał mu się niemożliwie przeholowany, nie skrucha w nim dominowała teraz, ale pragnienie zemsty. Gorączkowo rozważał wszystkie jej warianty. Oczywiście, najlepiej byłoby gwizdnąć na nich i wrócić do Warszawy. Poprosić Sykusa o parę dniówek.

Zwrócić się do kogoś, choćby do pana Balbińskiego, o pożyczkę. Pokazać tamtym, że o nich nie dba... Wniosek ten, najprostszy, nie wywołał w nim jednak zachwyty. Stał, zagapił się w świat lipcowego popołudnia. Pięć wielkich, ciemno i soczyście zielonych lip przekreślało płachtę głębokiego błękitnego nieba. Dwie wyższe jeszcze topole miały zieleń odrobinę jaśniejszą, z ledwo dostrzegalnym nalotem czegoś siwoniebieskawego. Bliżej kłębiły się pokraczne podstarzałe jabłonie z powykęcanyimi konarami i już sparzonym na brunatno listowiem. Las trzciny przed nim. Daleki las sosnowy z tyłu. A za trzcina niewidoczne, ale wyczuwalne chłodnym czystym oddechem, dochodzącym stamtąd co kilka sekund, jezioro o słonecznych brzegach, jezioro aż bezbrzeżne. I wyspa, daleka, prawdziwa, tajemnicza niemniej niż w powieści Verne'a. A jeśli i mniej tajemnicza, to bardziej osiągalna. Nie tylko w marzeniach czy we śnie.

Przez krótką chwilę bardziej niż pomóc niesprawiedliwość zapragnął właśnie wyruszyć na jezioro, znowu poczuć tamtą pełnię wiatru i słońca, co kazała mu deklamować sonet Heredii. Powiedział sobie: „Muszę dotrzeć na wyspę!” Potem pomyślał: „W jaki sposób? Z tamtymi? Za nic. Sam? Na Atalancie? Z kim jeszcze?”

Machinalnie zrobił kilka kroków przed siebie, natknął się na spróchniałe ogrodzenie, zawrócił.

Był niedaleko pałacu, gdy w gąszczu zakwitającego dopiero, zwyrodniałego na tej północy jaśminu dostrzegł białą plamę, jakby któraś gałązka rozkwitła nagle olbrzymim jak talerz kwiatem. Była to tylko furażerka pana Balbińskiego.

Stał tępym do Andrzeja i gapił się zadartszy nieco głowę. Przed nim pałac wznosił swoją gotycką wieżyczkę na prawo, swoje wejście mauretańskie na lewo. Andrzejek nie chciał mu przeszkadzać w podziwianiu tego cudu architektury. Chciał się cofnąć, ale trafił na suchą gałązkę.

Pan Balbiński odwrócił się błyskawicznie. Jego oczu nie było widać za ciemnymi okularami. Jego usta przez sekundę były groźnie zaciśnięte. Zaraz się uśmiechnęły.

- Halo, gdzie uciekasz?

- Nie chciałem przeszkadzać - bąknął Andrzejek. - Pan ma rację. To takie piękne.

- Co piękne? Co ty gadasz?

- No, pałac... Wszystko, wszystko w nim jest. Wszystkie style.

- Ach, tak! - Balbińskiemu wrócił humor. - Rzeczywiście, przepiękny to budynek! Tylko że jeszcze w nim wiele niedociągnięć. Czemu końce dachu nie są po chińsku pozaginane do góry? A kolumny indyjskie w kształcie słoni to pies?

- Nie wiem, proszę pana. Mnie się to bardzo podoba. Prawie jak Emdeem.

- Ach, ty, mój kochany! - Balbiński chwycił nagle Andrzeja, z prawdziwą czułością przycisnął do piersi. - Ach ty, moje biedne dziecko! Już się naczytał książek, a jeszcze nie wiesz, co piękne, co brzydkie. Przecież to jest jeden z najbrzydszych domów, które istnieją na świecie. Zapamiętaj sobie, mój kochany. Po pierwsze, wszystkie szczegóły muszą być podporządkowane jednej zasadzie. Takiemu wspólnemu mianownikowi. Po drugie, piękno i przydatność właśnie w architekturze idą z sobą pod rękę. Rozumiesz?

- Rozumiem - odpowiedział posłusznie Andrzejek.

Pan Balbiński spojrział nań krytycznie.

- Oczywiście, że nic nie rozumiesz. To są trudne sprawy. Na razie zaufaj mi na słowo honoru: to jest ohyda. Chodźmy stąd! Nie chcę na to patrzeć!

Odwrócił Andrzejkę od pałacu. Jakimiś ścieżkami dotarli do przystani. Wykąpali się, Balbiński próbował nawet Andrzejkę uczyć pływania, ale uczeń okazał się niepojętny.

Za to rozgadali się na różne tematy, leżąc na nie spalonej jeszcze trawie mola i opalając się pod ciągle potężnym słońcem. Balbiński bez większego trudu wyciągnął z Andrzejka, że doszło w ich paczce do awantury i że on, Andrzejek, poniósł dotkliwą porażkę. Nawet bezpośrednich powodów awantury Andrzejek nie potrafił przemilczeć. Rzeczywiście, był gaduła.

Pan Balbiński, wydusiwszy wszystko, zamilkł, długo leżał bez słowa, aż Andrzejek poczuł żal, że tak niewiele tamtego obeszła cała historia.

Ale Balbiński nie spał.

- Tak, mój drogi! - powiedział wreszcie. - Co jest sprawiedliwe, co nie - trudno ustalić. Kto ma siłę, ten może nawet historię tak pokierować, żeby mu przyznała rację. A kto jest słaby, tego się bije i jeszcze on jest zawsze winny.

Pogłaskał Andrzejkę po głowie.

- Bo ich trzech, proszę pana - rzekł Andrzejek. - To oni na mnie, że baba. Niestuszenie, proszę pana.

- Oczywiście, że niestuszenie. W ogóle co to za stawianie sprawy? Powiedziałaś nam, że idziecie na raki. No, i. co z tego? Cóż to za tajemnica państwowa, rzeczywiście. Gdyby o co innego chodziło, to nie wiem. Ale o to? Nic się nie przejmuj, chłopcze. Miałeś prawo tak powiedzieć.

Andrzejek przeżył krótką chwilę wahania. Przecież w gruncie rzeczy zaczęło się od samego pana Balbińskiego, od nieufności do niego. Powiedzieć mu o tym? Pomyślał, pomyślał i nie powiedział. Wyglądałoby to na podlizywanie się: że cierpi z jego powodu. Niebawem zresztą wpadł na temat ciekawszy.

- Wie pan, mam coś dla pana!

Balbiński, znowu zamyślony, nie dosłyszał, spojrział tylko na Andrzejkę.

- Pan przecież czegoś szuka?

Coś chmurnego przebiegło przez oczy Balbińskie mu.

- No!

- Więc ja też szukałem. I nawet coś znalazłem...

Balbiński sięgnął do kieszeni, zapalił papierosa.

- Cóżeś znalazł, mój drogi? - zapytał jak najprzyjaźniej.

- To, czego pan szuka.

- No, no. Bez zagadek.

- Słowo daję. Pan przecież jest... - urwał, zawieruszyło mu się to słowo. Balbiński znowu spochmurniał, czekał pięć sekund, wreszcie rzucił ostro:

- No, sam wiem, kim jestem. O co chodzi?

- O legendy.

Balbiński odwrócił się od Andrzejka, jakby się zagapił na trzciny, pociągnął dwa razy papierosa.

- Przecież to pana interesuje! - przestraszył się Andrzejek. - Przecież pan jest... etnografem! - wykrzyknął szczęśliwy, że wreszcie znalazł tę zgubę.

- No, gadaj wreszcie, czasu szkoda.

Andrzejek streścił to, co usłyszał na temat Gorzyjałek. Że tu nieczysto, że straszny. Że słuchy takie są szeroko rozprzestrzenione, bo się natknęli na nie pod Momajnymi, ładny kawał drogi stąd. Że są od dawna, dowód - prababka rodziny Dendów. I że dziś obrastają nowymi szczegółami - Agnieszka i jej uskarżanie się na różne nieszczęścia osobiste, które ją w Gorzyjałkach spotkały.

Balbiński leżał na plecach, słuchał Andrzejka bez szczególnego zapału i to podniecało chłopca; starał się go przekonać, że to są ważne sprawy, podświadomie więc dodawał kolorów temu, co mówił.

- A zresztą nie tylko Agnieszka! - zawołał w końcu. - I ta... kuzynka pani Sykusowej też potwierdza. Mówi, że w pałacu zdarzają się zjawy. Nad mauretańskim wejściem na przykład. W okolicy mówią, że się tu z amorów dostaje cegłą po głowie. Bo tam jest amorek...

Balbiński spokojnie palił papierosa. Andrzejka strasznie to męczyło. Czul się jak smarkacz, co zawraca głowę poważnemu człowiekowi. I dlatego brnął dalej, widząc w tym swoją jedyną szansę.

- A najgorzej podobno w wieży, nad naszym pokojem. Tam nawet Sulamita, nasz pies, coś wywęszyła.

- Szczura.

- I ja sam... - wyrwało się chłopcu szybciej niż pomyślał.

- Sam widziałeś diabła? No, i jaki on? Rogaty? Z ogonem?

Wściekły na siebie samego Andrzejek umilkł. Jak ma przekazać te swoje stany duchowe, mętne i zmienne, które go ogarniały w ciemnościach ich wieży? Dykta? Miał rację, że nie mówił o tym kolegom. Jeśli ten miły, kulturalny pan właśnie go wyśmiewa, cóż dopiero tamci...

- No? - ciągnął Balbiński. - Już się obraził? No, jeśli masz być etnografem, pierwsze, nie obrażaj się, kiedy ci nie uwierzą na słowo. Etnografia to też nauka. A wszelka nauka polega na wierzeniu faktom i niewierzeniu słowom. No, co ty sam?...

Dopiero po chwili Andrzejek wybąkał o jednym pewnym fakcie zaginięcia klucza.

- Ciekawe! - powiedział Balbiński. - A państwo Sykusowie?

- A po cóż by im? Sama pani Sykusowa dała nam ten klucz dzień przed tym. Zresztą, pokój był wtedy otwarty...

- No, a wy jak to sobie tłumaczycie?

- Nie wiem.

- W każdym razie, jeśli to uczynił duch, to nie jest on wysokiej rangi. Prawdziwy duch bowiem nie używa klucza. Dziurka od klucza całkowicie mu wystarcza, nie? E, ja widzę, że ty sam trochę w te duchy, co?... No, przyznaj się!

Andrzejek umilkł teraz na dobre. Tamten połapał się wreszcie, wrócił do początku rozmowy.

- No, toś mówił o tej Agnieszce. Kto to, Mazurka?

- Niestety, z Kurpiów.

- Mówiłeś o jakichś nieszczęściach?...

- No, jak te krowy wyzdychały.

- Kiedy?

- Ja wiem... Parę lat temu.

- Taak - podsumował Balbiński. - Na psy zeszyły duchy dzisiejsze. Kradną klucze i dostarczają pacjentów powiatowemu weterynarzowi.

Wstał, przeciągnął się, spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta.

- Idziemy! - powiedział wreszcie rozbitemu całkowicie Andrzejkowi. - Prowadź.

- Gdzie?

- Do tej twojej Agnieszki. Niech nam zrobi protokół z działalności miejscowych sił nadprzyrodzonych!

Andrzejek nie wierzył własnym uszom.

- Naprawdę pan zechce?...

- Nie spodziewam się znalezienia w tym szczątków staropolskiego eposu ludowego, ale... Chodźmy, chodźmy.

Ruszyli wciągając po drodze koszule na rozpalone do czerwoności torsy.

- Tylko że z nią nie łatwo! - zastrzegł się Andrzejek. - Wymyślać, to ona wymyśla. Ale jak ją spytać wprost, to zaraz zwala wszystko na własnego męża.

- Typowa asekuracja wobec potęgi nadprzyrodzonej! Dzikusy nie mówią „niedźwiedź”, mówią „On”. Ciekawe, ciekawe! Chodźmy, Mam swoje sposoby, żeby kobieta przestała mówić o mężu, a zaczęła o diable!

2.

Trzeba przyznać, że pan Balbiński nie przechwalał się mówiąc o swej umiejętności wyciągania ludzi na zwierzenia. Przy pomocy paru słów i wielu uśmiechów potrafił on niebawem wyciągnąć z Agnieszki dużo słuchów, które ją doszły, babskiego gadania kursującego w okolicy i wreszcie jej osobistych spostrzeżeń.

Niestety, jak słusznie przewidział, śladów ludowego eposu polskiego w tym się nie znalazło. W ogóle mało tu było czegoś epickiego, cienka fabuła, prawie żadnych bohaterów. Były tylko dwie rzeczy: strach, który jak mgła na bagnach wisiał nad tą okolicą od niepamiętnych czasów, i nieszczęścia, które z pokolenia na pokolenie spotykały tu ludzi, strach ów potwierdzając. I oczywiście, próby wytłumaczenia sobie jednego i drugiego. Nieśmiałe, nieumiejętne próby, widać, że czynione przez ludzi o niezbyt szerokim widnokreślu myślowym.

Oto jak - już po pewnym opracowaniu literackim - wyglądały dzieje niesamowitości gorzyjałkowskiej widziane oczami starej Agnieszki Kurdybowej z Siarczej Łąki, gmina Wach, powiat Ostrołęka.

Nad Śniardwami od dawna ciążyło przekleństwo. Jezioro niby duże, a przecież żadne większe miasto nie mogło się nad nim urodzić. Pisz, powiatowa miejscina, wołała odpełznąć od Śniardw o kilkanaście kilometrów. Nawet takie Mikołajki - i te na wszelki wypadek ułożyły się z boczku.

Tylko parę wiosek na brzegach jeziora. I to raczej nędznych. Przyzwoitsza wioska, z najpiękniejszymi dziewczętami w okolicy - Wejsuny - też nad zatoczką, nie nad pełnym jeziorem.

Samo powietrze tutejsze jest niedobre. Mgła tu dłużej siedzi niż gdzie indziej. Stąd częste choroby płucne. Wilgoci dużo - i reumatyków. I ziemia dokoła nieurodzajna, i łąki kwaśne i grząskie, i nawet lasu dobrego nie ma w pobliżu, nie tak, jak na Bełdanie czy Nidzkim.

Wreszcie i samo jezioro, chociaż ogromne, nie chce żywić człowieka. Szlachetnej ryby w nim niewiele. Leszcza więcej się łowi w jakichś tam Taltowiskach. Sielawy, siei daremnie tu szukać. Chodzą tylko stada łapczywych i głupawych okoni, no i w trzcinach szamocą się nędzne śmiecie rybne, różne wzdręgi, krąpie, jazgarze - ikrojady.

Co jednak najdobitniej świadczy o nieczystych właściwościach jeziora, to jego dziwna podwójna przebiegłość. Wysilając się, aby życie stałych mieszkańców uczynić jak najcięższym, jednocześnie nie szczędzi starań, by zwabić do siebie nieostrożnych gapiów.

To największe w Polsce jezioro jest bardzo trudne do obejrzenia. Nawet ten, kto dotrze do jego brzegów, najczęściej - jak w Gorzyjałkach - ujrzy tylko zwarte zarośla trzciny. Wielki szlak jeziorami mazurskimi z Węgorzewa przez Giżycko, Mikołajki na Ruciane i Wiartel omija Śniardwy. Żadna droga, dostępna samochodom, nie wyprowadza ludzi na wysokie brzegi, z których można by się było nasycić tym widokiem.

Wszystko to ma swoją rację. Niecierpliwy, namiętny podróżny nie ma innego sposobu zapoznania się ze Śniardwami, musi się na nie zapuścić łodzią, kajakiem, żaglówką. I o to właśnie chodzi tej niedobrej mocy, która dzierży całą tę okolicę pod swoją władzą.

Bo przecież wiadomo, że na tych stu kilometrach kwadratowych wody diablo dużo mieści się mielizn i kamieni podwodnych. Nieostrożny żeglarz zapuściwszy się na Śniardwy może stracić swój statek, ani się obejrzy.

Jeszcze gorzej bywa z kajakami. Jezioro jest bardzo płytkie. To znaczy, że gdy zawita nań burza, fala rodzi się bardzo szybko i jest bardzo wysoka, gwałtowna, złośliwa. A burze przepadają za tymi okolicami!

Przyciśnięta pytaniami Balbińskiego Agnieszka sprecyzowała, że nie uważa, aby samo jezioro Śniardwy było tą właśnie siłą nieczystą.

- Widzisz, mój kochany - mówił potem z rozczarowaniem Balbiński Andrzejkowi - myślałem, że stara bezpośrednio identyfikuje diabła i jezioro. Byłby to niesłychanie ciekawy przykład deifikacji

przyrody, niespotykany już dziś w Europie, natomiast przypominający w ogólnych zarysach wierzenia Dajaków z północnego Borneo. I na swój sposób Egipcjan z najstarszej epoki, którzy w Nilu widzieli niewątpliwie coś bardziej boskiego niż rzekę. Rozumiesz, jaka by to była sensacja naukowa? Kurpiowie i Dajakowie, ha! Przy czym nasza Kurdybowa byłaby o tyle ciekawsza, że w Śniardwach dopatrywałaby się bóstwa ujemnego, czyli diabła, podczas gdy u takich animistów rzeki, morza, góry czy jeziora są bóstwami pozytywnymi. Niestety...

Niestety, Agnieszka nie traktowała Śniardw jako szatana. Traktowała je tylko jako jego ojcowiznę i rezydencję.

W tej rezydencji były miejsca silniej zaznaczone przez przebywanie Nieczystego. Jeśli w geografii niesamowitości Mazury dla Agnieszki w ogóle były o wiele ciemniejsze od reszty kraju, jeśli Śniardwy z okolicami także się wyróżniały na Mazurach swoim ciemnym kolorytem, to z kolei takie, dajmy na to. Gorzyjałki z pewnością były jednym z najciemniejszych punktów Śniardw. I wreszcie w Gorzyjałkach także były swoiste lokalne bieguny strachu.

- Jądro ciemności! - wyszeptał Andrzejek, któremu przypomniał się Conrad. - Amorek i wieża!

Agnieszka nie zaprzeczyła. Naciśnięta przez Balbińskiego, przytoczyła nawet próbę wyjaśnienia tej niesamowitości. Cegły z sufitu, jej zdaniem, leciały przy nowiu podczas złej pogody.

Działo się tak dlatego, że ongi kasztelan gorzyjałkowski, udając się na łupieżcze wyprawy przeciw Kurpiom, zamykał w owej wieży swoją ukochaną ponad życie, a przecież dosyć płochą małżonkę. Ponieważ zaś jako włodarz ziemi nadśniardewskiej miał dużo do czynienia z miejscowymi siłami nieczystymi, zlecił im na odchodnym, żeby pilnowały wieży jak oka w głowie, grożąc, że tą głową właśnie odpowiedzą w razie nieupilnowania.

Kasztelanowa, gwałtem przez rodziców zań wydana, dziwnym trafem pochodziła z Myszyńca, czyli - jak mówiła Agnieszka - z Mysiańca. Tam też miała ukochanego, niejakiego Radosta, który pracował na odcinku chemicznym przemysłu terenowego, to jest po prostu pędził smołę. Dowiedziawszy się o nieobecności kasztelana, przybył on pod Gorzyjałki i zatrzymał się przy małym jeziorku w kniei, niedaleko pałacu.

Właśnie był nów, padał deszcz, wichura wyla nad Śniardwami i fale łomotały o brzegi. Uznał więc, że to doskonała okazja do porwania ukochanej. I rzeczywiście, udało mu się przedostać przez częstokół, zmylić psy, którym zimny deszcz zakatarzył pyski, dotrzeć do pałacu. Co ważniejsza, złe duchy pozostawione na straży też się zagapiły. Burza nad Śniardwami odwróciła ich uwagę, bo właśnie zdarzyło się tam widowisko dla nieczystych najmiłsze.

Mianowicie duża szkuta, idąca z ładunkiem sielawy z Mikołajek na Pisz, trafiła na wielki głaz, od potężnego uderzenia pękły klepki dna, mimo że zrobione z najlepszego momajeńskiego dębu, i statek zaczął tonąć. Było na nim sześciu ludzi załogi, więc też duchy gorzyjałkowskie nie mogły sobie odmówić przyjemności popatrzenia, jak też tyłu luda na raz diabli biorą.

Widowisko to musiało być pasjonujące i trwało tak długo, że Radost zdążył wyprowadzić ukochaną. Poprzez deszcz, poprzez wichurę pobiegł z nią do koni uwiązanych w kniei. Jako się jednak rzekło, pogoda była potworna, widoczność żadna, Radost okolice te znał słabo i stało się tak, że zgubił drogę.

W puszczy przy Gorzyjałkach są, jak wiadomo, dwa jeziorka. Jedno czyste i piękne, pełne ryby, o brzegach wysokich i dnie piaszczystym. Drugie, może o kilometr stamtąd, całe otoczone bagnem, które z roku na rok posuwa się naprzód, zarastając powoli tafłę wodną grubym kołyszającym się kożuchem, na którym utrzymują się nawet sosenki, mimo że pod nimi czai się bezdenne jezioro. Bezdenne, bo pełne szlamu, mułu, trzęsawiska. Żadnych ryb w nim nie ma, tylko ogromne sumy, większe od człowieka, które pożarły już wszystko, co mogły, i czyhają na dzikie kaczkę, gęsi, a nawet zabłąkane łabędzie.

Radost zostawił konie przy pierwszym, czystym jeziorku. Przywiązał je w zagajniku młodych sosenek. Gdy teraz biegł przez knieję, ciągnąc za rękę omdlewającą kasztelanową, skręcił za daleko w lewo i zmylił drogę. Nie spostrzegł nic, biegł dalej. Puszczyk wrzasnął nad niedobrym jeziorem, a Radostowi wydało się, że to konie rżą. Potem zaś dostrzegł niewysokie sosenki, więc przyśpieszył kroku, myśląc, że to już właśnie zagajnik z koźmi.

A to były te stare koślawe sosenki z bagiennego kożucha. Mimo że miały pa sto i więcej j lat, wyrosły pokraczne i karłowate, ledwo wyższe od człowieka. Nieszczęsny Radost z rozpędu skoczył ku nim i wpadł po pas w bagno. Kasztelanowa została na brzegu, ale widząc, co się dzieje, zemdłała. Radost zaś powoli zanurzał się, polykany żywcem przez szatańskie bagno. Ukochana jego ocknęła się, gdy już było po wszystkim. Z żalu więc skoczyła do jeziora i nie umiejąc pływać natychmiast utonęła.

W tymże czasie kasztelan gorzyjałkowski, tknięty swą czarodziejską wrażliwością, złupił jedną zaledwie osadę kurpiowską i pociągnął z powrotem na Śniardwy, W domu dowiedział się wszystkiego. Wezwane złe siły tłumaczyły się nieśmiało swoją słabością do widowisk. Kasztelan wpadł w furję. Ponieważ zagroził im, że głową odpowiadają za całość płochy kasztelanowej, i ponieważ tylko ludzie na tej ziemi zdolni są do znoszenia nieludzkich cierpień - kasztelan mocą swoją czarodziejską zamienił diabły w zwyczajnych ludzi, po czym odciął im głowy i cisnął przed wieżę, tam gdzie miały pilnować, gdzie nie upilnowały.

Agnieszka skończyła tę opowieść, nie bez pewnego zapału. Zerknęła na swych słuchaczy. Przyłapała ich jakieś spojrzenie i szybko dorzuciła:

- A że prawda wszystko, to idźcie, popytajcie. Są jeziorka w lesie? Są. Jak się czyste nazywa? „Skarb”. Bo przy nim znaleziono Radostowe konie, a że nasz był, kurpiowski, to jak jechał na te Gorzyjałki, co miał najlepszego na się włożył, koniom rzędy dał bogate, jeszcze futro sobole zabrał, żeby ukochana po drodze nie zmarła. Bo Kurpie bogato żyły dawniej, nie to, co teraz! No, to jak te konie z rzeczami znalazł tutejszy bidaka, to już do końca życia mógł se z pieca nie złączyć i słoninę ze szpyrką zapychać. Stąd i „Skarb”. A jak się nieczyste nazywa? „Radość”. Że niby Radosta ostatnia posiadłość.

Popatrzyła na swoich słuchaczy.

- Taka to ziemia. Nawet, jak się co nazywa „Radość”, to na pamiątkę czyjogoś nieszczęścia. To tera.; chłopcze., rozumiesz, czemu cegły w nów i w deszcz się sypią?

Andrzejek z zapałem pokiwał głową. Legenda o Radoście podobała mu się szalenie. Tak znakomicie wyjaśniając gadaninę o ceglach i amorach, dodawała jej poetycznego blasku.

Przypomnił sobie zaraz o pękniętej dyckie. Jakiś mus przekorny kazał mu rozpytywać dalej:

- A z tą wieżą co się dzieje?

- Tam jest najgorzej - przyznała. - Tam chodzą duchy tych, straconych przez kasztelana.

- Jak to?! - zawołał Balbiński. - Przedtem duchy, potem ludzie, potem znowu duchy? Jakoś to się kupy nie trzyma!

Agnieszka zachnęła się gniewnie.

- Co złe, to złe zostaje. A że ludźmi zostali po to, żeby umrzeć, to przecież zawsze tak bywa, nie?

W Andrzejku zapłonęła niecierpliwość: wie coś ona o tej dyckie? Jest coś w tym naprawdę?

- No więc co z tą wieżą? - powtórzył.

- No, mówię przecież! Chodzą, patrzą ciągle, czy jest kasztelanowa.

- Gdzie ona była?

- No, mówię przecież! W najwyższym pokoju!

- No i co... co robią?

- No, zagląдают! - zniecierpliwiła się Agnieszka. - Czy jest, czy uciekła Radostowa kochanka.

- Przez okno?

- A skąd! Tam takie wejście jest, w podłodze. No, to podnoszą, zazierają. A już zwłaszcza na nowiu, jak jest deszcz. Skrzypi to! Tam dawniej służbę trzymano, to dłużej jak miesiąc żaden człowiek nie wytrzymał! Jak przyjdzie nów, to zaraz stamtąd byle gdzie, do stodoły...

Andrzejkowi zaschło w gardle. Dziwnie sprzeczne było to, co się teraz działo w jego duszy. Agnieszka wiedziała! Przesuwanie się pękniętej dytky nie było jego przywidzeniem. Było rzeczą obiektywnie istniejącą, choć niepojętą. Więc mrówki paskudnego lęku, chęć urwania tej rozmowy, ba, wycofania się z niej, odwołania wszystkiego, co tu było powiedziane. I wprost przeciwnie - gorączkowa, przemożna namiętność dalszego rozpytywania.

Ale Balbiński zerknął na zegarek i dość brutalnie urwał:

- Dobrze, dobrze! Jużeśmy ten jeden wątek poznali. Czy poza pałacem nie ma tu czegoś jeszcze, nawiedzanego przez siły nieczyste?

Agnieszka machnęła ręką.

- A wszędzie! Taka to już ziemia. Gdzie stąpisz, tam nieszczęście.

- Więc jednak pałac jest najgorszy?

- A bogać tam! - krzyknęła obrażona. - Żeby w pałacu miała mieszkać, tobym ani złego słowa...

Urwała, zacięła się. Tym razem wyciąganie z niej tego, co myśli, było o wiele trudniejsze, szczegóły ukazały się skąpe i bezbarwne.

Oto streszczenie tych niechętnie przekazywanych przez nią mniemań:

Kasztelanowie gorzyżankowscy, od stuleci mieszkając tutaj, z natury rzeczy posiadli wiele tajemnic, tak skrupulatnie pilnowanych przez szatana. Oczywiście, przekazywali oni te tajemne umiejętności z dziada na wnuka. Słowem w Gorzyżankach powstała swoista dynastia czarnoksiężników. I co ciekawe, w tej dynastii dobrzy i źli zjawiali się w określonej kolejności. Syn dobrego był szubrawcem, ale płodził potomka podobnego z duszy do własnego ojca. Był taki na przykład, który - gdy w Mikołajkach ludzie mrzeć zaczęli z powodu złego połowu leszcza - pojechał łodzią aż na Niegocin i stamtąd na Taltowisko jak pastuch gęsi przypędził stado ryby tak wielkie, że nie tylko głód minął, ale nawet z zysków ze sprzedaży ryby udało się postawić most przez jezioro.

Jego syn za to, gdy procesja z kościoła poszła przez lód, aby przebłagać Matkę Boską w sprawie lepszych połowów okonia, ze złości czystej, bez żadnego powodu sprawił, że lód się roztopił, wskutek czego dziesięć osób ducha wyzionęło, w tym burmistrz mikołajkowski.

I tak się złożyło, że przedostatni z dziedziców gorzyżankowskich był przywoity. Za to syn jego zgromadził w sobie ładunek złości do ludzi i w sensie szkodenia im dorównywał najgorszym ze swoich przodków. Nazywał się, jak wiadomo, Haushofer Helmut. Wrodzone zdolności czarnoksiężskie pogłębił dzięki wytrwałym studiom naukowym, a gdy wrócił do Gorzyżanek, zasłynął ze swego złego oka i złego serca. Gdy kogoś znienawidził, wystarczyło mu spojrzeć, aby tamtego zaczęły spotykać same nieszczęścia.

Nie znosił ludzi w ogóle, dzieci w szczególności. Najgorzej zaś nienawidził tutejszych Mazurów i sąsiadów ich najbliższych, Kurpiów. Żeby się nie pałętali w jego pobliżu, kawał kniei odgrodził drutem i dorobił elektryczne dzwoneczki - jak się człowiek o drut zahaczył, już Helmut wiedział i posyłał tamtemu swoje przekleństwo. Sam dźwięk polskiej mowy w zły humor go wprawiał i dlatego służbę sobie dobierał aż hen, zza Berlina i nawet do robót letnich nikogo z tutejszych nie dopuszczał.

Gorzyżanki za jego czasów stały się prawdziwym państwem czarnoksiężskim. Co tu się działo - nikt nie wiedział. Wiadomo tylko, że Helmut przewyższył w sile czarodziejskiej i ojca swego, i dziada, a pradiadów.

Wiadomo też, że za jego czasów nastąpiły przesunięcia w rozmieszczeniu siły nieczystej na terenie Gorzyżanek i nawet Śniardw w ogóle. O ile w ciągu paru poprzednich wieków, jako się rzekło, głównymi ośrodkami tej siły były wieża i sień mauretańska pałacu, o tyle teraz przesunęło się to...

- Tutaj! - krzyknęła Agnieszka, dramatycznym gestem pokazując swoją chatę. - I tutaj! - wysunęła się z okna, ręką machnęła na ogrodzony kawał lasu, nowy barak, owe domki dla lalek, rozstawione wśród młodych sosenek.

Tu właśnie za czasów Helmuta miało się ześrodkować to niedobre, czym rządził. Tu przesiadywał, tu zwoływał swoje sługi z zaświatów. I gdy wreszcie musiał stąd uciekać, przeklął na zawsze ziemię gorzyżankowską i ten jej zakątek w szczególności.

- Może nieprawda? - krzyknęła zaczepnie. - To dlaczego wszystko, cośmy tu poczynali, przeciwko nam się obracało? Jakiś tu jechali, Maciej stary był, ale się z niego jeszcze miało jakąś pociechę. Tu dopiero stał się do niczego zdalny. Krowy gdzie wyzdychały? Nawet jak mięso tu położyć, to w trzy godziny się psuje. A kury toście sami widzieli...

Pan Balbiński mrugnął okiem do Andrzejka, a potem zapytał o to, o tamto. Kiedy te krowy zaczęły zdychać, co się dzieje z kurami. Andrzejek nasłuchiwał się już tego dosyć, więc ziewnął ukradkiem. Agnieszka odpowiadała niechętnie.

Wreszcie Balbiński wstał.

- No, pięknie dziękujemy. Wszystko to jest szalenie ciekawe, szalenie!

- E! - machnęła ręką. - Niby ja was nie znam? To tylko żeby mnie zagadać, dziękujecie. A naprawdę myślicie, że zgłupiała baba na starość. Może nie?

- Nie, nie! - Balbiński stuknął się w pierś. - Słowo daję, wcale tak nie pomyślałem. Bardzo ciekawe to, co pani nam opowiedziała. I bardzo pożyteczne. Sama pani nawet nie wie, jak bardzo!

Agnieszka kiwnęła ręką, odwróciła się. Andrzejek z kolei jej podziękował: Żeby się jakoś odróżnić od Balbińskiego, bąknął, że teraz doskonale jest zorientowany co do złej siły w Gorzyżankach, więc mu żadnej krzywdy nie wyrządzi.

Agnieszka odwróciła się ze złością.

- Bogać tam! - krzyknęła. - Anim wam dziesiątej części nie powiedziała z tego, co się tu dzieje. Myślisz, że pałac i tu to wszystko? A wyspa to co? Bez nic Czarcia ją nazywają? A Radostowe jezioro? A leśniczówka?...

Urwała jakoś, jakby się nagle zmitygowała. Balbińskiemu dawno już zmiotło z twarzy jego grzeczny uśmiezek. Teraz przeknął ślinę, zapytał:

- Jaka leśniczówka?

- No, ta sama. „Radość” się nazywa. Przy jezioru.

- No? Co tam się dzieje?

Agnieszka spojrzała nań spode łba. Potem odwróciła się do Andrzejka i prawie szeptem powiedziała: - Tobie mówię. On to tylko tak, diabli wiedzą po co. A ty naprawdę. Więc ci mówię jedno: nie chodź tam! Choćby cię na łańcuchu ciągli, nie idź!

3.

Gdy wyszli, wolno zbliżał się późny lipcowy wieczór. Spiekota zelżała, przyciszyło się gorące bulgotanie pszczoł w lipach, cienie ludzkie wydłużyły się, daleko pod lwiszkami ryczały krowy domagając się dojenia.

Było bardzo zwyczajnie, bardzo spokojnie, bardzo niepodobnie do tego, co usłyszeli. Jakże uwierzyć w tę ziemię nieszczęścia i strachu, mając przed oczami tyle wystającego słońca, zieleni, różowych i białych kwiatów przed pałacem, słysząc tę najszcześniejszą ciszę przedwieczorną, czując na policzkach chłodnawy i czysty oddech wielkiego jeziora!

Balbiński odczuwał to samo, ale szybciej od Andrzejka ubrał uczucia w słowa:

- To jest właśnie przykra rzecz w starości, że własną niemoc przerzuca na wszystko dookoła. Że sama nie może już cieszyć się tym ogromnym, wspaniałym latem, to się doszukuje w nim takich czy owakich braków i wszędzie widzi nieszczęście czy strach...

Andrzejek z zapalem kiwnął głową. Po chwili jednak przypomniał sobie kawał dykty i cień wątpliwości musiał zmrozić jego po dziecinnemu przejrzystą twarz, bo Balbiński wnet się w tym połapał.

- No, która bajeczka trafiła ci do przekonania?

Andrzejek bronił się niedługo.

- Z tą wieżą... - bąknął przyciśnięty do muru. Nie chciał przyznawać się do dykty, wykręcał się; jak mógł: - To wszyscy tu tak mówią...

- Bujda! - zawołał Balbiński prawie gniewnie. - Przecież co jak co, ale to właśnie jest bujda absolutną! Kiedy stała się ta heca z Radostem? No, dziesięć lat temu? Dwadzieścia?

- Ależ skąd?! - krzyknął Andrzejek. - Dawniej!

- Sto lat?

- Jeszcze dawniej!

- Dwieście, trzysta, czterysta?

- Może...

- A widzisz. A ten pałac budowano za Wilhelma II. Jak dobrze poszukasz, znajdziesz datę z białych cegieł: 1898! No, i gdzie te twoje wieże z czartami i kasztelankami?

Balbiński jeszcze przez parę minut poddawał miążdżącej, jak sam powiadał, racjonalistycznej krytyce usłyszane niedawno opowieści. Znalazł w nich tyle cech typowych dla ludowej fantazji! Na przykład skłonność do dorabiania romansowej fabuły, do tłumaczenia pradawnych nazw geograficznych, których pierwotna etymologia zaginęła. Skłonność do idealizacji własnych okolic i własnego plemienia. Legenda o Radoście była oczywiście nie mazurska, ale kurpiowska.

- To nawet jest urocze - przyznawał. - Zauważyłeś, jak ta baba wysoko ceniła kurpiowską stopę życiową sprzed kilkuset lat? A przecież wiadomo, że to były podówczas półdzikie plemiona, siedzące w nędznym zabagnionym lesie i przymierające głodem.

Andrzejek dopytywał się o inne wątki z Agnieszkowych opowieści. Balbiński w jednych widział echa walki rodzących się miast z wszechwładzą ziemskich feudałów, w innych folklor bandoski, opowieści sezonowych robotników, tłumaczących sobie to i owo z niepojętych dla siebie objawów tutejszej kultury materialnej.

- No, a z tymi krowami? - zapytał wreszcie Andrzejek.

Balbiński milczał chwilę, a potem machnął ręką.

- To bardzo wygodne - własne niedbalstwo i partactwo zwalić na szatana. Myślę, że to jest jedna z przyczyn tak obfitego występowania jego wpływów, w czasie średniowiecza. Ludzie byli słabi w rękodzielach. Żeby się wymigać od kary, skarżyli się na szatana.

I to wydało się Andrzejkowi przekonywające. Spytał tylko jeszcze o dwie rzeczy.

- Czarcia Wyspa? - powtórzył Balbiński. - No, to rzecz dosyć prosta. W osiemnastym wieku w okolicy był pomór i na jeziorze zjawili się piraci. Na wyspie zbudowano przeciwko nim jakiś szańczyk. Potem załoga stamtąd sobie poszła. No, a wiadomo, że budowle opuszczone przez ludzi nader szybko stają się siedliskiem czarta. Zresztą, może to jest znacznie starsze. Może za czasów pogańskich była tam jakaś świątynia. Po przyjęciu chrześcijaństwa ogłoszono to siedzibą sił nieczystych...

- Był pan tam? Na tej wyspie?

- Owszem.

- No, i?... - Oczy Andrzejkowi zabłyśły.

- Nic ciekawego. Zawsze pełno wycieczek. Wydeptana, zapaskudzona.

- A te ruiny?

- A jest tam coś, wały, doły. No to, chłopaku, cześć, na razie. Muszę się przygotować do tego rakowania.

- Proszę pana...

- No?

- A z tą leśniczówką?

Pewnie to była niecierpliwość, to, co ścięło twarz Balbińskiemu. Machnął ręką.

- Jakaś bzdura. No, bywaj!

Wyleczony ze strachów Andrzejek, po zjedzeniu kolacji, nie zamieniwszy słówka z towarzyszami, poszedł do pokoju na wieży, przeskoczył sień, dostał się na górę i najmniejszego drzenia nie odczuł na widok pękniętej dytki. Gwiżdżąc beztrosko, żeby w przenośni okazać swój stosunek do sankcji ze strony tamtych, stawiał się na miejsce zbiórki punkt o godzinie dziesiątej.

W ciągu pół godziny zbierała się reszta. A gdy ściągnęli i chłopcy, i piraci, i pan Balbiński, wpadła zdyszana Lucyna, żeby zapowiedzieć, że państwo Sykusowie już, już, za małą chwileczkę...

Czekali stojąc przy parkanie. Noc się zrobiła tymczasem całkowita, księżyc jeszcze nie wybrnął z lasów za Śniardwami, twarze więc były płaskie i ciemne, tu i ówdzie zaledwie rozjaśnione czerwonym światłem papierosa. Piraci trzymali się trochę z boku, kobieta-szatan i Eliana Zajęczy Nos chichotały półgłosem nie wiadomo z czego. Lucyna nie podchodziła do nich, stanęła przy Andrzejku jak gdyby nigdy nic, położyła mu rękę na ramieniu, powiedziała coś nawet.

Andrzejek nie dosłyszał. Był wstrząśnięty bezmiarem kobiecego okrucieństwa. Chciał gwałtownie targnąć barkiem, żeby się pozbyć tej parzącej dłoni, po chwili zaś, gdy wydało mu się, że Lucyna ją zabiera, aż się odruchowo do niej zbliżył, przerażony, że to ciepło zniknie mu z ramienia.

I zaczął mówić. Nie wiadomo w jaki sposób po pierwszych byle jakich zdaniach zjechał na sprawy tutejszej niesamowitości. Historia Radosta opowiadana z należyтым przejęciem sprawiła, że jeden po drugim milknąc zaczęły pirackie chichoty i nawet trójka zdradzieckich przyjaciół zbliżyła się zwolna, ściągnięta jak na smyczy.

Pierwszy raz w życiu mając taki sukces literacki, Andrzejek stracił umiar i puścił się na obszerne rozważania o strachach nadśniardewskich. Ciemność wieczoru sprawiła, że przemilczał racjonalistyczną krytykę pana Balbińskiego i miał na względzie tylko wywołanie lęklivego dreszczyku wśród słuchaczy. Gdy po opisie dziwów zamkowych zabierał się do zagrody Kurdybów, pan Balbiński przerwał mu dość obcesowo:

- Może by kto skoczył po nich? Niedługo będzie świtać!

Pośmiano się trochę. Andrzejek wrócił do swego. - Więc, proszę państwa, jest tam ogrodzenie i wewnątrz takie jakby domki...

- Nie, poważnie! - zaczął znów Balbiński. - Kto na ochotnika?

I jednocześnie Andrzejek poczuł, jak czyjaś silna dłoń bierze go za ramię i znacząco ścisną.

Nie pojmując, ale posłuchawszy tego rozkazu zamilkł. Kucyk skoczył do pałacu. Lucyna zaś grzecznie spytała o dalszy ciąg.

- E, to głupstwo! - zaczął się wykręcać z zakazanego nie wiadomo czemu tematu. - Najgorsze strachy to ani w pałacu, ani u Kurdybów. Najgorzej jest właśnie tam, gdzie idziemy. Bo tam dwa jeziora. W jednym są raki, a w drugim są strachy...

- Ha, ha, ha! - zaśmiała się Eliana Zajęczy Nos.

- Więc cała rzecz, żeby nie zbłądzić jak Radost. Bo przy tym drugim i trzęsawiska, i w ogóle... - Przypomniał sobie Conrada: - Tam właśnie jest tutejsze jądro ciemności...

- Nie może być! - patetycznie krzyknął pirat Dżaki. - I cóż to za jądro?

- A jest tam taka leśniczówka... - zaczął.

- No, co z tymi gospodarzami? - przerwał mu znowu Balbiński i szepnął ledwo dosłyszalnie, ale z niewątpliwym gniewem: - Dosyć!

Andrzejek znowu zamilkł. Na szczęście spoza rogu łysnęły aż trzy latarki i zaraz buchnął słodki głosik pięknej Nelly. Po kwadransie niesamowitości przyszło pięć minut jak najbardziej towarzyskich: pani Sykusowa przeprowadziła ceremonię zapoznania się z kobietami pirackimi.

Właściwie była to odmiana boksu albo walki wolnoamerykańskiej. Niby niechcący zahaczywszy swoje przeciwniczki jaskrawobiałym snopem latarkowego światła, końskotwarza w ciągu tych paru sekund obejrzała ich ubogi rynsztunek kobiecy. Nie ulegało wątpliwości, że piratki wiedziały o jej wyzwaniu. Ich strój zaś był dowodem prawa dyferencjacji, różniczkowania, na którym opiera się powstawanie gatunków zoologicznych na naszej planecie.

Mianowicie, gdy w twardej walce o byt zmierzy się z sobą ileś tam osobników, to szanse na przetrwanie mają albo te, u których dana cecha wyrażona jest najsilniej, albo te, u których wyrażona jest jakaś inna cecha. Albo te pragoryle, które mają mięśnie najpotężniejsze, albo te, które dobrze łążą po drzewach. I te dadzą początek nowemu gatunkowi jakichś pragibonów, czy raczej praorangów. Albo lepiej, albo inaczej!

Właśnie podobne zjawisko mogli teraz podziwiać świadomi tego prawa mężczyźni. Końskotwarza przyszła wprawdzie w portkach, ale te miały nienagannie odprasowane kanty i mankiety. Za to kobieta-szatan włożyła najbrudniejsze ze swoich ineksprymabli, z ogromną łatą na siedzeniu. Bluzeczka pięknej Nelly olśniewała białością, ponętnie uwypuklając to, co u kobiety w tym miejscu winno być wypukłe. Piratki za to powkładały brudne swetry i jakieś kubraki. Wyglądały wprawdzie w tym miejscu dosyć potężnie, ale bez żadnych szczególnych wypukłości. Końskotwarza zrobiła sobie pieczołowicie fryzurę a la koński ogon. Piratki po prostu trochę poczochnęły sobie włosy i nawet nie zechciały ich przewiązać.

O dziwo, obejrzawszy te elementy generalne, piękna Nelly wcale się nie poczuła triumfatorką. Domyślając się podskórnie owego prawa dyferencjacji i widząc, że wymknęły się sprytnie spod jej uderzenia, jeszcze próbowała drobiazgów. Elegancji. gestów na przykład.

Wzięła mianowicie ogromny klips, który zwisał u jej ucha. Zaczęła go całkiem niepotrzebnie poprawiać. Miało to zwrócić uwagę na nieporównaną długość jej palców, grację ich stawów, manikiur i w ogóle. I popatrzyła wyzywająco na kobietę-szatana.

Tamta szybko znalazła replikę. Zaczęła dłubać w nosie.

Wtedy piękna Nelly westchnęła i cieniutko zawołała:

- Kaziku, kochanie, bądź taki miły, poświęć tu latareczką, o tak, dziękuję ci, kochanie.

I zaczęła poprawiać sprzączkę u pantofla. Dzięki temu wszyscy mogli obejrzyć pięć krwawych kropli lakieru na paznokciach stopy.

Kobieta-szatan, nie tracąc chwili, krzyknęła przepitym barytonem:

- Dżaki, ty łamago, poskrob mi plecy między łopatkami! Pcheł w tych Gorzyżkach, jak w starym burdelu!

W tym miejscu gong przerwał pierwszą rundę. Rąk sobie nie podały. Na punkty prowadziła bezsprzecznie kobieta-szatan dzięki dwóm udanym kontrom.

I oto dłaczego tak łatwo przyszło Andrzejkowi zaprzestanie fantastycznych opowieści, jak tego żądał odeń Balbiński.

Andrzejek pojęcia nie miał, o co tamtemu mogło chodzić. Czuł tylko żal, że tak szybko przestał być ośrodkiem zainteresowania. Dlatego, gdy już na odchodnym zaczęto liczyć latarki i okazało się, że w pokoju chłopców została jeszcze jedna, wyskoczył zaraz, ofiarując się ją przynieść.

Gwizdnął nawet na Sulamitę kręcącą się koło końskotwarzej i podreptała za nim. Wleciał pędem na schody. Już w wieży dojrzał przez okienko krwisty bochen księżycy, dopiero gramolącego się z dalekich lasów. Chwilę się gapił: coś w nim było nieodparcie pociągającego, może ta

pomarańczowoczerwona krągłość i ledwo nią rozjaśniony mrok dookoła, bezkształtny, grząski i ogromny.

Chwył wreszcie latarkę i z oczyma pełnymi tej dwubarwnej jedności rzucił się po schodach z powrotem. Ale tu ciemność panowała tak absolutna, że zaraz zwolnił. Latarka była za słaba; obmacując przybladłym, stygnącym czerwono światłem załomy schodów, szedł na dół.

Co to było, to, co zatrzymało teraz jego krok naprzód? Czy słuch, czujny nad podziw, przyłapał w porę niedosłyszalny przecież szmer? Czy wzrok zahaczył w ciemności, ledwo ruszonej obumierającą latarką, błysk czegoś niedostrzegalnego? Czy może o czułe policzki uderzyła fala pchniętego gwałtownie powietrza i poza świadomością chłopca zagrały jakieś hamulce zatrzymując już wzniesioną przed siebie nogę?

Stało się to wszystko w ułamku sekundy: to zatrzymanie się, szurgnięcie czegoś i hałas. Jakby ciężki topór śmignął w ciemności tuż przed nosem Andrzejka i z tęnym hukiem rozsypał się po kamiennej posadzce.

Andrzejek sam skamieniał. Przez parę sekund nic nie słyszał, nic nie widział, nic nie czuł. Stał w miejscu, nie mógł uczynić kroku naprzód. Potem kilka odczuć i jedna myśl. Doszły go jakieś wizgliwe, ale i przyciszone jęki gdzieś z bliska, śmiechy kobiet gdzieś z dala. Przez otwarte drzwi mauretańskie dostrzegł odbłaski latarek. W czarnej przepaści nad głową też jakby się coś ruszyło, coś zaszeptalo albo przynajmniej posypało się, jak z rozdartego worka piasek.

Myśl: „To przecież cegła. Z amorka!”

Nielatwa myśl. Pan Balbiński mówił, że żadnych duchów nie ma. Dom zbudowano niedawno. A nawet nie tu pilnowano płoczej kasztelanowej...

Trzeba było dobrej minuty, żeby uświadomić sobie namacalność fizyczną tych cegieł, sypiących się na głowy niezależnie od jakichkolwiek legend, po prostu z braku funduszy na remont.

W ciągu tej minuty jeszcze parę odgłosów. Ktoś na podwórzu zawołał: „Andrzejek!” Inny odpowiedział: „Da sobie radę, dopędzi”. Trzeci krzyknął: „Sulamita!” Gdy za chwilę ta sprawa nabierze dlań nadzwyczajnej wagi, przypomni sobie, że trzecia wołała piękna Nelly, Pierwsza - to była Lucyna. Drugi - pan Balbiński.

Zaraz buchnęły inne głosy, wesole, rozbawione, pomieszane, niemożliwe do odcyfrowania.

A nad głową Andrzejka, w przepaścistej czerni, znów się coś poruszyło, może szepnęło. Zaciskając zęby z ponownego strachu, Andrzejek daje susa przed siebie, dopada drzwi. Tu dopiero, czując za plecami czystą otwartą noc, zdobywa się na śmiałość i latarkę jak rewolwer wycelowuje do góry.

Nędzne rudawe światło słabo dociera na pięciometrową wysokość sklepienia. Dwa amorki bawią się sobie w tym półmroku. Trzeci, ten bez głowy, bardziej okaleczały jest dziś niż zazwyczaj. Czarna jama pożarła mu teraz szyję i prawe ramię.

Andrzejek wpatruje się w tę czarność. Nic w niej nie widzi. Tylko szmer, jakby komuś śpieszyło się bardzo, by się stamtąd wydostać.

Nowa myśl: „Czy wszyscy są tam na miejscu? Jeśli nie...” Andrzejek wyskakuje z pałacu. Staje zaraz.

Przed nim, przywarta do ziemi, z pyskiem wciśniętym między łapy leży i jęczy Sulamita. Jak wtedy, pierwszej nocy, przed owym krzakiem...

- Sulamito! - woła półgłosem.

Chwyta ją za kark, podnosi. Dopiero ujrawszy jego oczy, zaczyna przebierać łapami i skowyt jej staje się zwyczajny, bo z bólu.

Puszcza ją, biegnie za tamtymi. Słyszy, że człapie za nim i już nie jęczy.

Na miejscu zbiórki już nie ma nikogo. Dopiero na drodze koło Kurdybów widać miotające się światła latarek. Po długich paru minutach dopada wreszcie ostatniego.

Jest to Balbiński. Odwraca się zdziwiony.

- Gdzieżeś przepadał? Nie mogliśmy się doczekać.

- Proszę pana - szepce Andrzejek - czy są wszyscy?...

- Co mówisz? Nie rozumiem. Co ci jest? Stało się co?

Andrzejek chce opowiedzieć, ale w tej chwili z przodu bucha pisk kobiecy, latarki wytryskują salwą, w ich ogniu pośród młodych sosenek stoi Dżaki pirat i zasłania sobie oburącz oczy.

- Gdzie się szwendasz?! - krzyczy nań kobieta-szatan. - Dwie wachty poza kolejką!

- Co ci jest? - powtarza zniecierpliwiony Balbiński.

Andrzejek wpatruje się w Dżakiego.

- Ale błazen! - nie ustaje Małgorzata. - Umorusał się jak niemowlę. Kurz, tynk, pajęczyna! Trzepie go po plecach. Czyni to widać z dużym zapalem, bo Dżaki nagle odsuwa ją niecierpliwie.

- Dosyć! - mówi gniewnie i rusza przed siebie.

4.

Ta zagadkowa historia dużo uroku odebrała wyprawie w świadomości Andrzejka. Ale zaraz nastąpiło coś takiego, co odsunęło na czas jakiś i rozważania chaotyczne, i wynikające z nich lęki.

Szli wyciągniętą kolumną. W marszu układały się poszczególne zespoły łowieckie. Okazało się, że operacja wymagała świecenia latarką w wodę, sięgania ręką po dostrzeżoną zdobycz i pieczołowitego przenoszenia jej do worka.

Otóż nie wszyscy mieli i worki, i latarki. Gdy na czole pochodu zaczęto wykrzykiwać: „Kto ma worek?”, „Kto ma latarkę?”, Lucyna zawołała: „Andrzejek~„

Zaraz natknęli się na dziewczynę.

- No, proszę pana! - powiedziała Balbińskiemu. - Odbieram panu mego kawalera!

Poszli naprzód we trójkę. Zwierzenia stały się niemożliwe.

Przed nimi szalała druga runda meczu pięknej Nelly z piratkami. Nie poprzestając na etatowej niejako parze asystentów, Kucyku i Wojtku, końskotwarza zajęła się nader czynnie zwabianiem pirata Dżakiego, który po tamtym przetrzepaniu nadał się i pognął naprzód. Tak tedy na czele szła piękna Nelly, otoczona zwartą czwórką mężczyzn (czwarty był małżonek, ale ten, jak wiadomo, się nie liczy...). Potem szła Eliana ze swoim Kuperem, potem kobieta-szatan, bardzo nadęta, z milczącym Zdzisiem. W drugiej rundzie, jak widzimy, prowadziła końskotwarza z przewagą trzech punktów!

Ścieżka niebawem się zwęziła, kolumna ruszyła dalej gęsiego. Sosny napierały zewsząd, zjawilo się trochę jałowców, raz i drugi wyminęli płachty poręb. Wreszcie drzewa rozstąpiły się na boki i w dole, u stóp idących błysnęła złota bryła księżycy.

Czoło stanęło i z pochodu zrobił się tłumek. Łagodne zboczce prowadziło do niższego o dwadzieścia metrów jeziora. Było lekko wygięte, o wysokich brzegach, otoczone zewsząd prostymi smukłymi sosnami. Księżycowa jaskrawość czyniła zeń leciutkie przejrzyste cacko.

Dopiero po minucie buchnęły zachwyty, po kilku - przypomniano sobie o celu wędrówki. Wolno, jeden po drugim, zaczęto ruszać na dół.

Tam dopiero urok prysł. Piękna Nelly, gdy uświadomiła sobie, że ma włączyć do wody, podniosła larum - wycofała się z konkurencji, przegrywając, jak widzimy, w trzeciej rundzie przez poddanie się. Oczywiście, kawalerowie zaraz ją opuścili. Zostali przy niej mąż tylko, pan Balbiński i Sulamita.

Reszta piszcząc przeraźliwie zaczęła włączyć do wody. Potworzone w marszu zespoły zaraz się rozeszły. Pół tuzina latarek zanurzyło ostrza swoich słupów świetlnych w przezroczystej wodzie jeziornej.

Andrzejek z Lucyną ruszyli jedni z ostatnich. Chłopiec zostawił na brzegu ubranie i pantofle, tylko w kąpielówkach zaczął się zanurzać. Lucyna wzięła woreczek i też tylko w kostiumie kąpielowym poszła za Andrzejkiem.

Woda zrazu wydała się zimna, potem prawie ciepła. Wolno szli przed siebie, zanurzeni po kolana, nachyleni nad gładką płachtą wodną, wpatrzeni w dno wydarte nocy skąpym światłem dogorywającej latarki.

Cisza wieczorna poszła w drzazgi. To tu, to tam buchały wrzaski łapaczy,

- Trzymaj, trzymaj! - darł się Kucyk.

- Ludzie, jaki straszny - jęczała Eliana Zajęczy Nos.

- Uwważaj, bo cię złapie! - wrzasnął Gary. - Wolniej, wolniej, ostrożnie...

- Ty zawsze fujara! - z przeciwległego brzegu sarkała kobieta-szatan, która, jak z tego wynika, załagodziła niedawny konflikt z piratem Dżaki.

Andrzejek z Lucyną iść musieli za innymi, po spłoszonym terenie. Dlatego pierwsze pięć minut było całkiem bezowocne. Szli po dnie lekko zamulonym, pełnym pustych muszli, z rzadka upstrzonym

trawiastymi wodorostami. Latarka biegła z prawa na lewo, ale na dnie nie było nic, tylko ił poruszony niecierpliwą stopą raz po raz wybuchał jak przejrzała purchawka, nadepnięta zniecka i tryskająca mącznistymi kłębami dymu.

- Konkurs, konkurs! - wrzasnęła na brzegu Nelly. - Kto złapie najwięcej, dostanie nagrodę!
- Dziesiąty! - odpowiedział z prawa Kucyk.
- Mam, mam, mam! - pokrzykiwała Eliana daleko w lewo.

Czarne myśli opanowały Andrzejka. Po historii z cegłą teraz te niepowodzenia z rakami. Może po prostu ich nie zauważa? Widywał je w stanie ugotowanym, na restauracyjnych wystawach, zna je z książek, ale na swobodzie to przecież ni razu nie ogląda! Może zagrzebały się w tym przeklętym szlamie? Lucyna zatrzymała się wreszcie.

- Wiesz co, Andrzejku, my tu za całą hałastrą nic nie złapiemy. Chodź, wyminiemy ich brzegiem.
- W prawo... - bąknął.
- Może być w prawo. Chodźmy.

W lewo krzyczała przecież na swego towarzysza kobieta-szatan.

Wyleźli, zabrali ubrania i ledwo widoczną ścieżką ruszyli przed siebie. Księżyc był już wysoko. Jakieś kolące rośliny czepiały się nagich nóg. Włożyli pantofle: za dużo było szyszek.

Wyminieli szybko najdalszego z tej strony łapacza, Kucyka. Niebawem łagodny występ lasu odgrodził ich od reszty. Tu było całkiem spokojnie i cicho.

Wolno przedzierali się przez krzaki do wody. Andrzejek stanął wreszcie i omal nie krzyknął: tuż przy brzegu było z pół metra głębokości. Krzaki zwisały nad wodą wilgotną szeleszczącą kaskadą liści. Każdy krok wzbijał tu istne fontanny iltu, który niebawem całkiem zastaniał dno. Musieli krok za krokiem posuwać się ostrożnie i powoli, jak po stłuczonym szkle.

Po trzech takich krokach obok kolejnej kępki wodorostów Andrzejek zobaczył jakiś zielonkawy przedmiot, walcowaty i rozcapierzony. Zdziwiony odwrócił się do Lucyny. Ta wyszeptwała:

- Nareszcie!
- Jak go brać? - spytał cicho.
- A ty nie wiesz?
- Skąd? Nigdy nie łapałem.
- Ja też. Nigdy.
- A ja myślałem, że pani...
- A ja myślałam, że ty...

Andrzejkowi dodało otuchy to zaufanie. Posuwając się z wolna doszedł na pół metra od zaczonego pod krzakami trzciny stawonoga. Oświetlając go latarką z lewej ręki, prawą wysunął przed ostry pysk raka, żeby mu odciąć odwrot.

Potem z szybkością błyskawicy dał nura swoją prawicą.

Chwila strachu: czy nie złapią mu palców potworne kleszcze? Wnet dłoń jego chwyciła coś twardego. Palce się zwały. Wyciągnął łup na wierzch.

Był to tylko szlam i kawałek półzgnitej trzciny. Przebiegłe zwierzę w momencie owego nurka dało metrowego susa, jak strzała z napiętej cięciwy. Nie miało odciętego odwrotu. Jak wiadomo, rak pływa do tyłu!

Pełen skruchy Andrzejek spojrzał na Lucynę. Okazała się wyrozumiała.

- Tam! - wyciągnęła rękę przed siebie. - Tam uciekł. Tylko ostrożnie!
- Rzeczywiście spłoszone żyjątko uciekło niedaleko, przyczało się już przy sąsiedniej trzcinie.
- Czeka! - powiedziała Lucyna. - Teraz ja spróbuję.

Wolno podeszła i bardzo powoli zaczęła zanurzać rękę.

Andrzejkowi chciało się krzyknąć: „Szybciej, bo nawiej!”

Ale rak nieruchomo leżał przy trzcinie. Pomyślałbyś, że śpi, gdyby nie długie włoskowate czułki, które z wolna poruszały się obmacując tak niezwykle oświetloną nocną wodę.

Lucyna przysunęła palce aż na dziesięć centymetrów do raka. I wtedy nagle jej dłoń spadła na dno, zwała się w pięść. Zamieszanie. Muł. Lucyna się prostuje.

W jej cienkich, białych, przezroczystych niemal palcach szamoce się czarnozielonkawy stwór o chropowatym pancerzu. Wielkie kleszcze jak zawory jakiejś maszyny wysuwają się naprzód i otwierają, cofają się i zamykają. I płaski ogon klaszcze raz po raz o tułów.

Ten potworek wydaje się Andrzejkowi istnym cudem. Drżąc ze strachu, żeby nie wypadł z jej palców, nadstawia zaraz worek.

-- No, to początek! - mówi Lucyna. - Chodźmy. Ruszają wolno. Trzciny robi się więcej. Zaraz Lucyna ściska ramię Andrzejkowi, pokazuje oczami w prawo, pod brzeg.

Ten rak jest czerwonawy i mniejszy. Andrzejek starannie powtarza naukę Lucyny: aż do końca jest bardzo spokojny, potem jest błyskawiczny.

- Ach! - krzyczy.

Tak dziwny, kłujący i twardy jest przedmiot, który znalazł mu się w dłoni. Wyrwa go z wody. Lucyna nadstawia worek.

Daleko za leśnym półwyspem krzyki tamtych. Dopiero teraz przestaje je słyszeć.

Brzeg przed nimi się wygładza, krzaki cofają się. Zamiast trzciny niewysoka trawka wodna. Oto coś pełznie po dnie. Andrzejkowi zamiera serce - duży, taki jak ten, co Lucyna. Tym razem skok ostateczny jest nie całkiem celny, rak o centymetr za wcześnie daje susa i w tym momencie chwytą go Andrzejek.

Krzyczy zaraz, dłoń wydziera z wody rozwartą. Bardzo boli to szczyknięcie. Rak trzyma się Andrzejkowego kciuka, próbuje gryźć drugą parą kleszczy. Lucyna szybko przysuwa worek. Za późno, rak daje spokój zemście, pada ciężko do wody i tam jak pocisk śmiga w głąb jeziora.

To niepowodzenie rozpala tylko Andrzejka. Jak gracz zarażony hazardem idzie naprzód, przemierzając oczami parumetrowy szlak od czarnej głębi do czarnego brzegu.

Rozumie teraz, co to znaczy dziewiczy teren. Rozumie uniesienie poszukiwaczy złota, gdy po długim, niekończącym się grzebaniu w siwym jałowym piasku zaczynają na dnie miski dostrzegać pierwsze żółte ziarenka. Rozumie znakomicie, że wtedy można zapomnieć o wszystkim na świecie, o głodzie, zmęczeniu, zimnie, śmiertelnym niebezpieczeństwie. Lucyna mówi: „Na lewo”. A on sam widzi na prawo, prawie pod brzegiem, dużego czerwonawego raka. Nie zdążył zdecydować się, który, gdy z przodu wypełził trzeci.

Chwytają je po kolei. Nauczyli się niechytrej sztuki - powolnego skradania się, szybkiego chwytania za pancerz; między kleszczami i ogonem. Co chwila do worka spada kolejny łup i wewnątrz bucha zirytowany chrzęst pancerzy.

Do dziesięciu liczyli, potem zapomnieli. Z każdym krokiem ilość raków rośnie. Na mniejsze nie zwracają już uwagi. Posuwają się przed siebie, biegając spojrzeniem po chudych krzaczkach przydennych. Ustalili regułę: kto zobaczy, ten łapie.

A potem nagle stanęli jak wryci. Przed nimi na niedużej otwartej polance podwodnej wolno kotłowało się coś bardzo dużego. Andrzejek nawet zrobił pół kroku wstecz - pierwszym uczuciem było zaskoczenie i lęk.

To po prostu zbiegowisko raków. Na głębokości trzydziestu centymetrów otoczyły one coś na dnie zwartym, wolno ruszającym się tłumem. Były różnoodcieniowe: czerwonawe, czarniawe, zielonkawoniebieskie.

Tyle się ich tu zebrało, że trudno zdobyć się na decyzję, którego najpierw. Daleko za półwyspem Eliana się wydziera:

- Mam, mam! Już dwunasty!

Andrzejek patrzy na Lucynę ze spokojną dumą. U ich stóp to już nie ziarenka, to cała bryła tego jeziornego złota!

- Dobrze - mówi Lucyna. - Zaczynajmy. Tylko cicho, tylko bez paniki!

Jaka dziwna była ta łapanina! Z kłębówiska raków brali jednego po drugim, raz po raz, bardzo szybko. Zaczęli od skrajnych, zabłąkanych, takich, co się rozmyślały i właśnie opuszczały zgromadzenie. Potem zabrali się do górnej warstwy. Bo zbiegowisko było wielopiętrowe. Opóźnione, słabsze włączyły na wcześniej przybyłe i poprzez ich głowy próbowały precyzyjnie się gdzieś tam, bliżej środka.

Gdy Andrzejek zgarnął parę sztuk z wierzchu, dostrzegł, że na dole były o wiele większe. Silniejsze okazy rozpychały drobniaki. W pewnej chwili spod kłębówiska kleszczy, łap, ogonów mignął tułów tak duży, że się wydał całkiem innym, odmiennym gatunkiem. Może homarem słodkich wód?

Być to musiał jakiś patriarcha raczego rodu. Andrzejek, któremu Lucyna grzecznie ustąpiła ten zaszczyt, wparł się nogami w dno. Gdzieś daleko buchnęły krzyki, żeby wracać. Pochylił się, rękę zanurzył do wody. Czerwonawe światełko latarki mętnie oświetlało brudne szarobrunatne dno. Patriarcha siedział nieruchomy. Przy nim kręciło się jeszcze kilka niedobitków. Był tak czymś pochłonięty, że nie dostrzegł, iż cały raczy mityng powędrował tymczasem do worka.

Ale to nie był wiec, to była uczta, raut, bankiet, a jeszcze bardziej stypa. Na samym dnie tuż przy patriarsze leżała biała plama zdechłej żaby. To był ten cel upragniony, o który kotłowało się całe bractwo. Andrzejek wreszcie się decyduje. Z całej siły zanurza rękę, chwytą, prostuje się.

Ogromny rak w jego dłoni jest tak oszołomiony, że ani się ruszy. Patrzą, oglądają go. Ma z kleszczami ze dwadzieścia pięć centymetrów. Wszystkie inne przy nim to drobiazg.

Dopiero w worku patriarcha zaczyna protestować. Worek jest pełny.

- Żeby nie uciekł! - troszczy się Andrzejek.

- Zawołam Nelly. Ma worek zapasowy. - Lucyna urywa. Zawołać Nelly - to znaczy wszyscy tu przyjdą, hałas, ścisk, spłoszą to, co tu jeszcze się kryje. - Albo wiesz... sama pójdę. Zaniosę to i wrócę. Ty się przejdź, rozejrzyj. Może znajdziesz jeszcze taki sejmik? Nie będziesz się bał?... Przepraszam cię...

Andrzejek też wylazł na brzeg, ale zaraz się przekonał, że mimo wszystko w wodzie jest ciepłej. Wrócił do jeziora. Przy zdechłej żabie znowu zebrał się tłumek, choć złożony z drobiazgu. Pogardliwie spojrzął na to tałatajstwo. Byle co już go nie mogło zadowolić.

Księżyc teraz sięgał zenitu. Nie była to już pełnia. Światło jego, acz jaskrawe, nie miało tej potęgi, co przed paru dniami, gdy zawitali do Gorzyjałek. Jego dojrzewająca słabość sprawiała, że cienie wydawały się większe, choć były tylko lekko zamglone.

I w ogóle coś było w powietrzu takiego, że Andrzejkowi nagle przeszło bez śladu uniesienie łowieckie, wróciły natomiast sprawy, o których przez tę godzinę nie myślał. Pożałował nawet, że nie poszedł z Lucyną.

- Halloouu! - doleciał doń daleki, ale donośny dzięki jezioru okrzyk pięknej Nelly. - Dostyc tego! Do domu! Do doomu!

Z różnych stron posypały się krzykliwe pokwitowania.

- Lucyna! - jeszcze krzyknęła końskotwarza. - A wy gdzieście się zapodzieli?

- Dobrze, dobrze! Nie krzycz! - odpowiedziała Lucyna. Taka była akustyka tej nocy, że Andrzejek dosłyszał to, choć mówiła zwyczajnie, bez podnoszenia głosu. Widocznie właśnie dotarła do reszty.

Łowcy raków z chłupotem wylazili z jeziora. Śmiechy bliższe i dalsze. Zdziś splątał jakiegoś figla Wojtkowi. Słychać było, że ten ściga, tamten ucieka. Potem dotarły gruchania Eliany i Kaczykupera.

Pomyślał: no, przypomną sobie o nim, Andrzejku. Czy Lucyna wróci po niego? Czy przynajmniej zawoła?

Słyszał daleki hałas reszty wyprawy. Pisk Eliany - właśnie przebierała się, a tymczasem ktoś skierował na nią latarkę. Piękna Nelly zapędziła Balbińskiego do liczenia zdobyczy. A kobieta-szatan znowu zaczyna zrządzać na swego towarzysza, bo ten ponownie gdzieś się zawieruszył.

Andrzejek nie od razu połapał się, co to znaczy. Jednocześnie bowiem doszedł go wreszcie głos Lucyny. Wołała, żeby już szedł. Zaraz krzyknęła końskotwarza:

- Wygrali, wygrali! Ta Lucyna!

Andrzejkowi fala jakiegoś nie znanego dotąd uczucia wypełniła piersi. Czyba pierwsze zwycięstwo jego życia? Wolno ruszył, chciwie nasłuchując, jak miejscowa społeczność zareaguje na ten fakt nadzwyczajny.

- Taki mały, a patrzcie państwo! - piszczała Eliana.

- Bo oni uczciwie łapali, a te inne pary... - dowcipkował Balbiński.

- Dżaki, Dżaki! Do jasnej cholery! - krzyczała kobieta szatan. - Masz tu być zaraz!

- Andrzejek! - znowu krzyknęła Lucyna.

- No, to idziemy! - wołała piękna Nelly.

- Zaczekaj, Andrzejek...

- Głupstwo, dopędzi. Zawsze gdzieś marudzi cały ten twój Andrzejek. Chodźmy!

Andrzejek przyspieszył kroku. Już chciał krzyzczeć, żeby się nie martwili. Ale jeszcze trzy wołania zatrzymały go nagle.

- Dżaki! Ale ci spuszczę lanie! - grzmiała swoim przepitym barytonem kobieta-szatan.

- Idźcie, idźcie! - powiedziała Lucyna. - Pójdę po niego, sam zabłądzi.

I wtedy wreszcie rozległ się trzeci głos, o wiele bliższy Andrzejka.

- Głupstwo, panno Lucyno! Idźcie sobie, ja już tu jestem, to go zabiorę. A ty, Małgosiu, nie wydziwiaj!

Andrzejka ziąb przeszedł, jakby śnieżny podmuch spadł nagle na jezioro. W takich chwilach mózg zaczyna pracować z błyskawiczną szybkością, zdarzenia niejasne, nie powiązane zdawałoby się z sobą, przypadkowe, ustawiają się w jednym szeregu i zaczynają coś znaczyć! I od tego paskudna nieswojość zalewa ci duszę.

Dżaki spoił ich w Momajnach. A potem wyszedł ich aż tutaj, choć nie wiedział, że jadą do Gorzyjałek. A potem ta cegła. Kogo brakło z towarzystwa? Kto dopędzał? Kto był wytarzany w tynku i pajęczynie? I kto teraz zawieruszył się, byle zostać sam na sam. Z kim? Z Andrzejkiem!

Obfitość tych skojarzeń sprawiła, że na inne operacje myślowe czasu nie starczyło. Nie pomyślał na przykład, że mógłby krzyknąć, żeby nań zaczekali. Pomyślał tylko, że za nic na świecie nie chce zostać z Dżakim sam na sam, choćby przez pięć minut.

Dlatego, gdy doleciały okrzyki, że wyprawa właśnie ruszyła do domu, bliżej zaś, z odległości może stu metrów dobiegło go przyciszone wołanie: „Andrzejku!” - ani chwili się nie wahał. Zrobił w tył zwrot i starając się nie naruszyć potężniejszej nocnej ciszy runął biegiem przed siebie.

5.

Był to bieg męczący z wielu powodów. Księżyc w lesie nie rozwidniał drogi na tyle, by ochronić twarz Andrzejka przed wybujalymi gałęziami. Ścieżka zresztą stawała się coraz węższa. Każdy krok był teraz pełen trzasku gałązek i szemrania kiści sosnowych.

Gdy przystanął wreszcie, był zdyszany tak bardzo, że przez pierwsze sekundy słyszał tylko własny oddech. Śmiechy towarzystwa ledwo tu dolatywały. Za to o wiele bliżej, z takiej samej zdawało się odległości, dobiegło go znowu przyciszone wołanie Dżakiego.

I znowu odruch ucieczki. Teren tu się zaczął wznosić. Co chwila musiał się drapać na strome, śliskie od igliwia zbocza pagórków. Dopiero na szczycie drugiego, rozejrzawszy się i nie dostrzegłszy jeziora, Andrzejek przystanął i postanowił już nie tylko słuchać, ale i pomyśleć.

Teraz towarzystwo rozpląnęło się w ciszy. Noc zrobiła się absolutna. Ani szmeru, ani pęknięcia zmurszałej gałązki. Ten, co go gonił, zaprzestał wołania. Przez chwilę wydało się to Andrzejkowi ulgą, jako dowód, że zmylił pościg. Potem na odwrót, w tym właśnie dopatrywał się sprawy dla siebie najgroźniejszej.

Bo i rzeczywiście, cóż mogło znaczyć zachowanie się dryblasa? Dwukrotnie wołał Andrzejka, ale półgłosem. Żeby w razie czego powiedzieć, że go wcale nie znalazł. I co znaczy zwłaszcza, że po tych dwóch razach milczy? Przecież oznacza to, że zrozumiał ucieczkę Andrzejka. Wie, że Andrzejek jest uprzedzony, zorientowany. Że więc nie ścigać otwarcie musi, ale się skradać...

Gdy te wnioski przemknęły Andrzejkowi przez świadomość, cisza wzbierająca dokoła stała się trudna do wytrzymania. Jeszcze pół minuty gorączkowo myślał: „Krzyżeć, wołać pomocy?” Ba, za późno. Tylko ten, co ściga, będzie miał ułatwione zadanie.

Może z dziesięć minut stał przytulony do sosny, licząc, że oczy szukające go zgubią się w kolumnadzie czarnych pni nocnego lasu. Patrzył bacznie w stronę, skąd przybył. Księżyc wolno toczył się górą. Cienie drzew przecinały złotawe płachty oświetlonej ziemi. Wiatru nie było i cisza stała się całkowita.

Czując policzkiem chropowatą korę sosny, Andrzejek czekał jeszcze bardzo długo. Było cicho. Pierwsza fala senności napłynęła gdzieś od stóp do kolan, które okazały się zmęczone. Zaraz potem przyszła myśl: nie będzie przecież stać tu całą noc. Trzeba szukać tych Gorzyjałek - gdzie one są? W której stronie?

Przypomniał sobie, że ruszyli na raki mniej więcej w kierunku wschodnim. Wyczytał kiedyś, że północ można rozpoznać po nadmiarze porostów na korze drzewnej. Obejrzał sosnę, do której się tulił, ale nic takiego nie znalazł. Wszędzie były pęknięcia w korze i w każdym pęknięciu tkwiły siwe pęczki porostów. Potem spojrzął na niebo. Długo szukał znajomych kształtów Wielkiej Niedźwiedzicy.

Gdy ją wreszcie znalazł, cały dyszel zgorzał od księżycowej jasności. Na szczęście (czy na nieszczęście, przyszłość to dopiero miała pokazać) Gwiazda Polarna uniknęła tego losu, dostrzegł ją zaraz, przybladła, ale wyraźną.

Wytyczył więc z grubsza kurs na zachód i zaczął wolno schodzić ze wzgórza w nieco innym kierunku, niż ten, skąd przybiegł.

Było to o wiele trudniejsze niż ucieczka. Wtedy nie rozglądał się, nie nasłuchiwał. Teraz każdy krok zdawał się obwieszaczać wszem wobec, że się posunął stąd dotąd: tyle drobnych wyschłych gałązek okazało się pod nogami.

Szedł tak może z kwadrans. Robił krok i z drugą nogą zawieszoną w próżni słuchał, co z tego wyniknie. Oglądał się co chwila, czy ten piekielny hałas chrobocących gałązek nie zwabił pościgu.

Wreszcie zlaźł ze wzgórza. Na dole szło się łatwiej: zamiast wyschłego wrzosowiska zaczął się miękki mech, znakomicie tłumiący stąpanie.

Mchu robiło się coraz więcej. Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że się zbliża do końca lasu - drzewa jakoś zmalowały, między ich koronami coraz niżej zaczęło wyglądać nocne księżycowe niebo. Już mignęło mu: „Toż to i Gorzyżalki muszą być zaraz...”

I wtedy przytrafił się Andrzejkowi pierwszy naprawdę straszny wypadek od czasu ucieczki z jeziora. Ujrzał diabła.

Ujrzał - mimo że, jak powiadaliśmy, absolutnie przecież nie wierzył w diabły!

Nie wierzył w ogóle w siły nieczyste. Ale, jak widzieliśmy, ta niewiara zakładała jakieś możliwości zjawisk jeszcze nie w pełni wyjaśnionych przez gruntowną materialistyczną naukę i z braku takiego wyjaśnienia obywateli się ludową wersją tychże sił nieczystych.

Więc na przykład od spirytyzmu czy telepatii do hipnozy - oto był ciąg zjawisk, które w świadomości Andrzejka mogły ewentualnie znaleźć swoje naukowe rozwiązanie. Nie ma dymu bez ognia. Jeśli takim naukowo stwierdzonym ogniem była hipnoza, to za dużo było tego ludowego dymu w gadaniu o nadprzyrodzonych zjawiskach, żeby i tam nie znalazło się w przyszłości parę ziarenek zjawisk obiektywnych.

Ten pogląd, bynajmniej nietypowy dla młodzieży w wieku Andrzejka, świadczący raczej o jego ponadprzeciętnej inteligencji (przeciętny siedemnastolatek wszystkie te tajemnice otwiera jednym słowem-wytrychem: bujda!), nie oznaczał oczywiście, że nasz bohater dopuszczał istnienie spraw nie wyjaśnionych właśnie pod postacią diabła. Wprost przeciwnie, właśnie diabeł był ostatnim ze zjawisk, których istnienie Andrzejek mógł teoretycznie przypuścić.

A przecież właśnie diabła ujrzał Andrzejek w jego najbardziej konwencjonalnej, ludowej wersji. Ba, nie tylko ujrzał, także usłyszał.

Zrobił mianowicie jeszcze parę kroków i doszedł do ogromnego krzaka, niewysokiego, ale bardzo gęstego. I przystanął. Za krzakiem coś się działo! Usłyszał najpierw trzaśnięcie gałązki. To już go zmroziło. „Przywidziało mi się?” - pomyślał próbując gwałtem tego środka na uspokojenie. I zaraz usłyszał coś nowego: sapanie!

Nie zmęczone, nie senne. Gniewne! Jakby przeszkodził jakiemuś krewkiemu jegomościowi w ważnych zajęciach i ten pasjonat nie może się powstrzymać od pośpiesznego oddechu, zanim wybuchnie stekiem przekleństw.

Gorączkowo szukając pocieszenia, Andrzejek pomyślał najpierw: „Nie... tamten! Tamten czaiłby się, czyhał w najgłębszym milczeniu!”

Maże jakiś pastuch? Zabłąkany jak i Andrzejek? Albo robotnik leśny? Tu przecież zbierają żywicę... A w ogóle zresztą człowiek!

Już gotów zawołać: „Halo!”, Andrzejek zrobił dalszy krok. Wyciągnął szyję, żeby zobaczyć nieznanego człowieka. Wybawiciela! Zobaczył...

Wielki gęsty niski krzak jakiejś wikliny. Noc, księżyc, cienie i jasności bardzo jaskrawe. I spoza krzaka wychyliła się ku Andrzejkowi potworna twarz. Chuda, nieduża, ale o potężnym nochalu, z ostrą, zadartą trochę do przodu, dosyć długą brodą. Czoło miała niskie, wąskie, cofnięte. Oczy złe, łyskające gniewnie księżycowymi odbłaskami.

Wszystko to mogło przerażać, ale dałoby się jakoś po ludzku wytłumaczyć. Tylko sęk właśnie w tym, że to nie było wszystko. Nad czołem z gęstej czupryny rozczochranych włosów wynurzało się to, co zawsze było diabelskim atrybutem. Rogi. Były nieduże, lekko zagięte do tyłu, dosyć ostre.

Ile dziesiątych sekundy Andrzejek miał na myślenie? Może dwie - tyle ile stumetrowiec zużywa na dwa metry finiszu. Co można przez takie rozpędzone dwa metry przemyśleć?

Bardzo łatwo nie wierzyć w diabła. Ale, jako się rzekło, inaczej się nie wierzy w diabła na rogu Marszałkowskiej i Alei o trzeciej po południu, inaczej już wieczorem na Kruczej, cóż dopiero o północy w puszczy mazurskiej, nie opodal przekłętą jeziora Śniardwy.

Dwie dziesiąte sekundy skamieniałego przestרחu. Potem diabeł zrobił jakby krok naprzód i... zaczął krzyczeć na Andrzejka! O, rzecz jasna, nie po polsku. Nawet nie po ludzku. Podobniejsze to było do szczekania dużego zagniewanego bardzo psa.

Nie trwało to długo: strach Andrzejka właśnie przestał być skamieniały.

Skacząc wielkimi susami, żeby się wyrwać z coraz gęstszych mchu, rwał Andrzejek przed siebie, nie oglądając się, nie nasłuchując. Biegł, skakał, nie myślał. Myślał tylko: „Żeby do tej najbliższej kępy!”

Zabrakło dziesięciu centymetrów. Z rozpędu noga wpadła w gęsty mech. Chlupot!

Jeszcze biegł przed siebie, nie pojmując. Szło to coraz trudniej. Coraz częściej nogi grzęzły w wilgotnym wysokim mchu, coraz częściej wylaziły z niego mokre, czarniawe od bagiennego błocka. Sosenki stawały się coraz rzadsze. Dziwne były bardzo. Niewysokie, ale bez tego krzakowego kształtu, bez gęstych gałęzi, puszystym otokiem rosnących od samej ziemi. Nie, te miały korony dosyć wysoko, miały wszystkie atrybuty drzew dorosłych prócz jednego - wzrostu.

Andrzejkowi błysnęło wreszcie: „Przecież to bagno! Torfowisko!” Uczył się nawet z geografii: torfowisko tak zwane wysokie, sosnowe. Przystanął. Rozejrzył się.

Wtedy spóźniony domysł przyszedł jako nowe zmartwienie tej piekielnej nocy. Przed nim, poprzez niegrubsze od ramienia pnie sosen-liliputów przeświecała powierzchnia jeziora. Chwilę myślał: „Wróciłem na Skarb”. Potem zrozumiał, że to było to drugie, niedobre, przekłete jezioro. Że to było jezioro Radość.

Rzeczywiście, brzegi miało całkiem inne. Tam wesołe krzaki leszczyny nurzały gałęzie w wodzie, wysokie brzegi, odziane dorastającym krępkim sośniakiem, tworzyły czarną, ale pogodną oprawę błyszczącej, migotliwej, wesołej tafli wodnej. Tam i noc wydawała się jakaś życzliwa, swojska.

To jezioro, tak bliskie tamtemu, podobne w rozmiarach i nawet w kształcie, było tak inne, niepokojące, ponure.

Płaski brzeg, pokryty karzełkową sosną. Księżyc leży pośrodku wody żółtym owalnym plackiem. Woda jest nieruchoma. Może ten brak najlżejszej choćby zmarszczki nadaje jezioru tę przykrą martwość.

Nawet trzciny tu nie ma. Brzeg torfowy wypęza na jezioro i urywa się jak nożem uciał. Andrzejek przypomina sobie opowieść Agnieszki - to pływający brzeg, leży on po prostu na wodzie, która przed nim przez całe stulecia powoli umiera, zamienia się w ił, w bagno, w torfowisko. I w tej umierającej wodzie kryją się wielkie jak człowiek rybnie potwory - sumy.

Przypomina to sobie i znów zamiera na miejscu. Boi się biec, skakać. Boi się losu Radosta.

Stoi na kępie mchu wydętej jak bania dokoła pnia karłowatej sosny bagiennej. Obok parę niedużych krzaków. Jakiś dziwny, bardzo przyjemny zapach. Wysoka trawa kwitnie biało, zabawnie, jakby kawałeczkami waty.

Jak zaczarowany patrzy na martwą płachtę jeziora. Ani zmarszczki na wodzie. Ani żabiego wołania. Jakaś kłoda, czarna, oślizgła, nieruchoma, leży koło samego brzegu.

Obejrzał to wszystko przelotnie, byle nie myśleć. Potem uległ. Dziwne, ale diabeł już nie wydawał się tak przerażający. Wszystko dokoła stało się dostatecznie niesamowite. Jakby zamary w mózgu całe departamenty rozumowania, przekreślone rogatą pokrzykującą zjawą. Pozostały te tylko, które widzą, słyszą, czują. Te, które nie chcą ulec natłokowi wrogich wydarzeń.

Patrzył więc i słuchał. Spało martwe jezioro Radość, spała puszcza, milczało wielkie niebo. Księżyc tylko staczał się zwolna na zachód, cienie rosły, światło stawało się jakieś niesamowite, zamglone, chwiejne, choć ani chmurki nie było na niebie, ani westchnienia wietrzyka.

Dziwny zapach, przyjemny, rzeźwiący jeszcze przed chwilą, teraz też był przyjemny, ale zaczynał ciążyć. Jakby jakaś nieznaną przyprawą korzenna, podniecająca apetyt aż do oszołomienia, zawrotu głowy.

Potem przyszły zapomniane od spotkania z diabłem siostrzyce: zmęczenie i zimno. Księżyc był wyraźnie na odchodnym. Andrzejek pomyślał, że za wszelką cenę trzeba by się stąd wybrać. Los Radosta stoi mu w pamięci. Waha się, czy ryzykować drogę przez bagno. Patrzy na jezioro.

W pierwszej chwili myśli, że to przywidzenie zmęczonego wzroku. Martwa jest powierzchnia wody, ale przy brzegu wolniuteńko posuwa się owa czarna kłoda. Któż ją trącił, na miłość boską?!

Oślizgła, duża, krągła! Któż ją trącił? I nie zwalnia! Na odwrot, szybciej sunie teraz, już i kręgi biegną po wodzie! I oto zwiją się, skręca!

Andrzejek dłużej nie czeka. Odwraca się od jeziora. Ale po kilkunastu metrach spostrzega, że z każdym krokiem woda bagienna sięga mu coraz wyżej na nogach. Właśnie tutaj głęboki puszysty mech stawał się jakby wyłysiały.

Zamiast jasnozielonego dywanu między sosenkami i krzaczkami owej pachnącej rośliny leżały płachty czegoś płaskiego, ciemnozielonego, podobnego do pleśni. Nie zrobił kroku, trzymając się sosenki, jedną nogę wysłał na rozpoznanie. Miał rację. Stopa dosięgła owej pleśni i bez najmniejszego oporu zaczęła się zanurzać w grząskiej gęstej mazi.

Szybko wyrwał nogę, oburącz chwycił się sosenki. Uciekał od jeziora w złym kierunku - trafił na środek trzęsawiska. Obejrzał się. Ale dokoła wszędzie ta sama pleśń zastąpiła niedawne mchy. Nie rozumiał jak dotarł aż tutaj. Szukał swoich własnych śladów. Nie mógł ich znaleźć: grząska powierzchnia już się wyrównała. Tylko między pniami upiornych karłowatych sosen trupio blade prześwietlało jezioro.

Zapach staje się ciężki, aż do bólu głowy. Taki dziwny i taki znajomy. Zrywa gałązkę, rozciera wąskie i długie liście. Przecież matka kupuje wiązki tego od opatulonych w chusty wieśniaczek. Bagno to się nazywa! Tym się płoszy mole.

Bagno! Ta nazwa jakby spotęgowała jeszcze ciężki irytujący zapach. Andrzejek słyszy, jak mu bije krew w skroniach. Ten łomot wydaje się tak silny, że to on właśnie powoduje ból głowy.

Przypomina sobie Andrzejek: rzekomo nawet przytomność można stracić, jak się za dużo tego nawącha. Czuje, że mieli rację ci, co tak gadali. Jakby brakło świeżego powietrza, wspina się na palce, szuka czystego powiewu policzkami, byleby nie zatruwać się tą wonią ostrą jak narkoza, lekarstwo, coś bardzo przykrego.

W pewnej chwili zdaje mu się, że kępa, która go przytuliła, zaczyna się pod nim uginać, zanurzać w bezdennym trzęsawisku. Aż się targnął do tyłu. Zakolebała się sosenka i po pleśni dookoła popęzły niskie powolne kręgi.

Wtedy naszło nań zdecydowanie graniczące z rozpaczą. W rosnącym coraz bardziej księżycowym zmierzchu wybrał najbliższą kępę z nieodłączną tyką sosenki. Była o jakieś dwa metry.

Cofnął lewą nogę do tyłu, zamachnął się nią i odbijając się prawą od pnia sosenki, skoczył wyciągając ręce do owej następnej.

O dziwo, doskoczył! Ba, z całym rozpędem trafił piersią w chudy pień. I właśnie dlatego stała się katastrofa.

Ta jego pierś jak obuchem uderzyła sosenkę i po prostu ją zmiażdżyła, rozsypała, starła w proch! I cały rozpęd, nie zahamowany oporem drzewka, cisnął Andrzejka poza kępę, w sam środek kolejnego spleśniałego oka bagiennego.

Andrzejek pojął tylko, że twarzą pada w bagno. Zimno, mokro, ohydnie. Zapach zgniłej wilgoci, na ustach coś śliskiego. Odwraca głowę do góry. „Tone” - myśli. Krzyczeć? Może i krzyczy.

Wyciąga ręce przed siebie, rozpaczliwie nimi macha. Tylko błoto, obrzydliwie zawiesiste i beztreściwe, przeciska mu się między palcami.

A przecież nie utonął, mimo że leżał jak długi na trzęsawisku, a raczej właśnie dlatego. Gdyby wpadł w postawie stojącej, już by nie zdołał na bagnie się położyć i zapewne podzieliłby los Radosta. Tak jednak zbyt duża była powierzchnia kontaktu z bagnem, żeby się mógł cały zanurzyć.

Machał rozpaczliwie rękami. Coś śliskiego trafiło mu na palce. Pomyślał: „Sum, ta kłoda, co na jeziorze”. Targnął się cały do przodu. Tym razem trafił na coś twardego. Podciągnął się. Po chwili dotarł do następnej kępy. Wylazł z bagna. Usiadł.

Był zdyszany, zgrzany i zziębnięty, przerażony i szczęśliwy. Musiał wyglądać straszliwie, jak nie domalowany do reszty Murzynek z prowincjonalnego teatru.

Popatrzył na siebie. Co się stało z tamtą sosenką? Po prostu spróchniała tak bardzo, że rozsypałyby się nawet od zwyczajnego dotknięcia palcem.

Wstał i wypluwając ohydny smak spleśniałego bagna, wyprężył się do następnego skoku.

Ta sosenka była zdrowa. Następna także. Potem zjawił się głęboki do pół łydki mech sfagnum. Była i woda, ale po tym wszystkim nie zwracał na nią uwagi. Po stu metrach już tylko marszu przez zarośla mchu, elastyczne, jakby podparte sprężynami, dotarł do stałej ziemi.

Gdybyż można było teraz przeżyć szczęście zwycięstwa nad najgorszym - jeszcze przed kwadransem - niebezpieczeństwem, nad bagnem!

Ale ledwo się wyprostował na piasku wysokiego pagórka, ledwo uderzył raz i drugi nogami, aby strząsnąć z siebie warstwę zasychającego błota, gdy wróciły strachy poprzednie i ponownie nakazały czujność. Nie pamiętał, czy krzyczał bijąc rękami o grzęzawisko, Jeśli tak, to przecież czyhający gdzieś w nocy dryblas mógł, ba! musiał dosłyszeć! Taka cisza!

Rozejrzał się, ostrożnie ruszył wreszcie przed siebie. Dokąd?

6.

Nie bardzo się nad tym zastanawiał. Po prostu szedł przed siebie, jak najdalej od jeziora Radość i od bagna, bacząc pilnie, czy nie czai się gdzieś w pobliżu dryblas w czerwonej chuście. Niełatwa była to droga. Księżyc sięgał horyzontu, co wyższe sosny przesłaniały go i mrok wzbierał z każdą minutą.

Andrzejkowi zdawało się, że już pora na świt. Ale właśnie teraz było o wiele ciemniej niż... Przed ilu godzinami? Nie tak dawno temu, podczas połowu raków...

Szedł przed siebie, przystając przed każdym zbiegowiskiem krzaków. Rogata zjawa krzaki właśnie obrała sobie za kryjówkę. Po hecy z bagnem bał się jej jeszcze, ale był to strach odarty z dreszczyku niesamowitości. Zbyt ciężkie było to, co go spotkało potem,

Słuchał, czy sapanie... Była nieustanna, jak najgłębsza cisza. Tylko bardzo daleko monotonnie krzyczał ptak - derkacz.

Dopiero na szczycie wzgórza znowu się rozejrzał po niebie. Wielka Niedźwiedzica stanęła sobie na głowie. Gwiazda Polarna była łatwiejsza do znalezienia.

Ale po tych wszystkich beładnych ucieczkach wcale już nie był pewien, czy droga do Gorzyjałek wiedzie jeszcze na zachód.

Stał, rozglądał się. Na prawo drzewa wydały mu się jakieś inne, wyższe, nie tak jednostajne jak gdzie indziej. Nie myśląc ruszył tam właśnie.

Poszło mu tym łatwiej, że niebawem wpadł na ścieżynkę. Jaka to ulga - po tylu godzinach włączenia się po puszczy, potykania się o korzenie, pnie, wykroty. I o ile ciszej się idzie! O ile łatwiej w marszu rozglądać się, szukać zasadzki!

Po jakichś dwustu metrach wysokie drzewa okazały się topolami. A pod nimi na tle ciemniejszego nieba wynurzył się czarny trójkąt, szczytem zwrócony do góry.

Dach! Jakby zbudził się Andrzejek z ciężkiego snu! Dach, osada, ludzie! Można będzie otrząsnąć się ze wszystkich zmór! Można będzie zapytać dryblas, czego chciał. Można będzie wyśmiać rogatą zjawę. A wszystko inne można będzie odmyć, odjeść, odespać!

Poczuł, jak bardzo jest zmęczony, zziębnięty, głodny, senny. Jak bardzo boli go głowa, odurzona ciągle jeszcze krzakami bagna. Pomyślał: „Pies, na pewno pies tu się czai! Szkoda, że Sulamita...”

A zresztą cóż mogły znaczyć psy dla człowieka, który uciekł złowróbnemu dryblasowi, spotkał straszliwą zjawę, o mało się nie utopił w grzęzawisku!

Dlatego z całym spokojem szedł przed siebie. Ścieżka stawała się alejką pięciometrowych świerczków, widać nie bardzo uczęszczaną, bo dosyć gęsto ją porosły chwasty zeszłoroczne. Potem...

Wyszedł na dziedziniec. Krótka była ulga, że psy nie skoczyły doń z wraskiem. W lewo jakiś budynek gospodarski. Dziwne, czarne, otwarte na ścieżaj wejście. W prawo był dom. Właśnie odwrócił się doń, aby iść, budzić, przeproszać, prosić o gościnę. Ale w tejże chwili zrozumiał, gdzie trafił.

Czemu nie domyślił się, gdy tylko zoczył te wysokie drzewa, tak różne od tutejszej nieodstępnej sosny? Przecież wiedział: obok jeziora Radość! I przecież tego właśnie, tego właśnie zakazywała mu najgoręcej Agnieszka!

Dom patrzył nań czarnymi głębokimi oczodołami okien bez szyb, bez ram. Bujne krzaki bzu od tych kilku lat rozrosły się w istną dżunglę. Z drugiej strony nasza tu powódź młodej osiny i zatopiła wejście, też obdarte z drzwi i futryny.

Księżyc utonął w lesie, tylko niebo nad nim było jeszcze rudawe. Naprzeciwko, na wschodzie, zielonkawo i blade objawił się przedświt. Ale między jednym i drugim wzbierała noc, tym ciemniejsza teraz, że jeszcze niedawno tak księżycowa.

Chwilę myślał Andrzejek - bądź co bądź dom, dach nad głową, podłoga... Ale przecież ani kroku nie zrobił naprzód. Na odwrót, poczuł nagle, że ten las bezgraniczny, obcy, pełen nieopisanych zjawisk i

zjaw jest w gruncie rzeczy czysty, swojski, bezpieczny. Że to właśnie tutaj, w tej opuszczonej leśniczówce Radość...

Co było najgorsze? To, co mówiła Agnieszka? Może jej ton? Jej spojrzenie? Jej prośba, żeby tu właśnie nie chodzić. Choćby na łańcuchu cię ciągli...

Ale najsilniej pchały się Andrzejkowi do świadomości jego własne słowa. „Jądro ciemności”.

Od kilku godzin dzieją się z nim niezrozumiałe i bardzo przykre rzeczy. Nie wyliczy ich wszystkich - tyle się tego nazbierało. Dwa razy groziła mu bardzo bliska śmierć. Ścigały go dziwaczne przywidzenia. Błąkał się w krainie lęku, która się nagle objawiła tak blisko, pod jego boki.

I teraz właśnie wiedział, że stolicą tej krainy, jej sercem, jądrem tej ciemności, w której się grażył coraz bardziej, jest ta właśnie umarła zagroda.

Dlatego nie zrobił kroku naprzód. Zanim zaś zdobył się na odwrócenie się plecami do tych czarnych okiennych oczodołów, usłyszał czyjeś skradające się kroki. Czoło jego stało się mokre, po włosach przebiegło paskudne mrowie.

Zacisnął zęby, przełamując lęk, zdecydowany spotkać nieznane niebezpieczeństwo twarzą w twarz.

Ale w tym sęk, że nie miało twarzy! Czas jakiś, kilka sekund, pół minuty nie miało nic, tylko te kroki, po cichu wzbierające gdzieś między mrocznymi budynkami leśniczówki. Coś sunęło, coś nadciągało. Przerażony aż do utraty ruchów czekał Andrzejek i tylko jedno w jego myślach wznosiło się ponad strach: co by się tam nie wyłoniło, ma to spotkać twarzą w twarz!

Jak długa staje się minuta, gdy się ją przeżywa w ten właśnie sposób! Gdy się ją odmierza oszalałym tętnem krwi w skroniach!

Czego się obawiał Andrzejek? Co myślał ujrzeć zza rogu umarłej zagrody? Za dużo przeżył tej nocy i nic by już go nie zdziwiło. Sam już nie wiedział, czego się ma bać najwięcej. Patrzył tylko w niemal zupełny mrok, rozjaśniony ledwo widoczną zapowiedzią przedświtu.

Kroki zbliżyły się, ale nic nie zobaczył. Kroki wyszły zza rogu, kroki szły na Andrzejka. Ale nic nie zobaczył! Niewidzialny!

Bardzo krótki był ten szczyt przerażenia. Kroki przystanąły, potem ruszyły znowu. Tylko że w tej sekundzie ich namysłu skurcz jakiś ustąpił w duszy chłopca.

Odwrócił się, całym pędem runął w dół alejką świerkową. Sadził przez chwasty i ziębiły go lękiem wszystkie chrzęsty, które sprawiał tupot każdego jego kroku.

Uciekał, a przecież słyszał, że dojrzewa za nim pogoń. Niewidzialne kroki na dziedzińcu zakrzętały się, coś skowytnęło blaszano.

Doleciał do zakrętu ścieżki. I z rozpędu padł popod świerczki, rażony kolczastymi gałęziami po twarzy, ale i przygarnięty, ukryty w ich spadzistej gęstwinie.

Tulił się do ziemi, oczy przymknął odruchowo. I zaraz, może w dziesięć sekund ścieżką przemknęła pogoń. Ale nie kroki ludzkie, nie psia dreptanina. Ani krzyku, ani tupotu, ani sapania. Wszystko w tej piekielnej nocy było niewiarogodne.

Tylko coś bardzo szybkiego, jak ptak, ale i dużego przemknęło bezgłośnie koło Andrzejka i przepadło w nocy, pisnąwszy zaledwie.

Z zamarłym sercem leżał długo. Cisza była teraz bezgraniczna. Gdy otworzył oczy, zdziwił się jasności, która tymczasem dojrzała.

Ruszył więc, skradając się zrazu, potem coraz pewniej, w miarę jak dojrzewał poranek. Szedł, kładł się na trawie, twarz tulił do rosy, aby przepędzić zmęczenie.

Wolno, niepostrzeżenie nadchodził świt, ale zanim przyszedł, nie wiadomo skąd na niebie objawiły się najprawdziwsze granatowe kłębiaste obłoki. Zerwał się rzeński chłodnawy wiaterek.

Jak kurtynę znad sceny wiaterek rolował obłoki, pędził gdzieś na zachód i odsłaniał dekorację nieba na nowy akt, akt poranka. Spoza chmur wynurzało się delikatne, szarawobłękitne wyżej, seledynowe nad horyzontem, w jednym miejscu już zarumienione niebo letniego przedświtu.

Ścieżka kończy się: droga! Las jest gęstszy i wyższy. Bez wahania Andrzejek skręca w prawo. Jest widno. Las wydaje się przytulny jak warszawskie mieszkanie, strachy nocne głupie jak bajeczki dla dziecka, którym przecież być przestał.

W rowach, przy drodze przekwitają ostatnie grona kwietne niebieskiego łubinu. Pracowite pajęczki zasnuły je gęstą siatką pajęczyn, a rosa skropiła się najdrobniejszymi kropelkami, mniejszymi od główki szpilkowej. Dlatego wyglądają jak oszroniałe.

Krowy ryczą daleko. Na drodze brama. Zdziwiony przystaje. Brama otwarta, ale przez las biegnie nietknięte ogrodzenie z kolczastego drutu. W rowie leży słup z zardzewiałym napisem: „Verboten!”

W porannej ciszy dolatuje pierwszy od tyłu godzin głos ludzki. To Agnieszka wyrzeka znowu na małżonka, że ją ściągnął na tę przeklętą ziemię.

Po paruset metrach wszedł do pałacu. Zadarł głowę. Ale cegła nie spadła. Wśliznął się na palcach do ich pokoju. Reszta spała. Tylko Kucyk otworzył oczy, ziewnął i mruknął grożąco:

- No, czekaj ty. Porozmawiamy.

Rozróbka na całego.

1.

Tak tedy i rano, i nawet powrót do rodzinnych pieleszy nie oznaczał jeszcze dla Andrzejka końca utrapień. Wprost przeciwnie, oznaczał dopiero początek nowego, może jeszcze bardziej skomplikowanego ich etapu.

Gdy obudził się, słońce szalało w pokoju, wlewając się przez okienko radosnym palącym wodospadem. Przeciągnął się słodko, pamiętał, że to niedziela, więc wolne od koszenia. Raz jeszcze się przeciągnął; odwrócił się na drugi bok, gotów spać do południa, gdy odruchowo zerknął na swoje ręce.

Były czarne! A raczej siwoczarne szarością wyschłego czarnoziemiu. Błyskawica przypomnienia. Ujrzał naraz wszystkie szczegóły wczorajszej nocy, od cegły poprzez borykanie się w bagnie aż po ten niesamowity, rozpędzony i najcichszy pościg. I jeszcze groźbę na pół rozbudzonego Kuczka.

Siadł na łóżku. To ostatnie było zrazu bardzo przykre. Potem wydało się ratunkiem.

Rozważył na chłodno wszystko, co się z nim ostatnio działo. Były w tym sprawy niewyraźne, zagadkowe; takie, które bez rzeczowych dowodów wydać by się mogły osobom postronnym bujdą, przywidzeniem, halucynacją w najlepszym wypadku.

Ale przecież były w tym także sprawy bardzo namacalne i mimo to tajemnicze. Zrozumiał, że mimo powrotu, mimo dnia, słońca, ludzi - niebezpieczeństwo, które się nań czaiło, nie znikło bynajmniej.

Wydało mu się nagle, że ktoś na dole wszedł do sieni mauretańskiej. Pomyślał sobie: „Typ w czerwonej chuście!” Zrozumiał, że spotkanie z nim teraz i sam na sam wcale nie byłoby o wiele przyjemniejsze niż tam, w lesie i w nocy.

Dlatego właśnie zapowiedź rozmowy z chłopcami wydała mu się ratunkiem. Powiedział sobie: trudno, sam nie poradzę. Musi być ktoś inny wtajemniczony w to wszystko. Tylko razem potrafimy to jakoś pokrzyżować.

Jakże głupia wydała mu się wczorajsza heca rakowa! Jak niewinna w porównaniu ze wszystkim, co przydarzyło mu się w nocy! Bardzo dobrze, że pogadają, wyjaśnią wszystko i znowu będą zwartą i silną czwórka, zespołem niezwykłych Rumbakstagów!

Dlatego zaraz zerwał się z łóżka, włożył ubranie, pogwizdując zbiegł na dół.

Dzień zapowiadał się upalny ponad wszystkie dotąd tutaj spędzone. Lekkim truchcikiem dobiegł do przystani. Była pusta, tylko Atalanta nieruchomo sterczała przy molo, zresztą ani łódki, ani kajaka.

Długo szorował sobie twarz, ręce, łokcie. Czarnoziem bagieny trzymał się skóry jak przyklejony. Andrzejek z grubszą wyprał nawet koszulę i spodenki. Wyschły błyskawicznie na wzbierającej spiekocie.

Było już chyba południe, gdy poszedł do Agnieszki. Nie liczył na śniadanie, bardziej na spotkanie tamtych.

Nie omylił się. Gdy dochodził do domu Kurdybów, ujrzał wszystkich trzech rozłożonych w cieniu dorastających sosenek.

- Chłopcy! - zawołał z odruchową radością.

Nie odpowiedzieli. Patrzyli nań w milczeniu. Zdzisio zerwał trawkę i gryzł ją od niechcienia, Kucyk i Wojtek przybrali miny obojętne i beztreściwe, podpatrzone chyba u sędziów trybunału wojskowego na jakimś filmie.

Andrzejek poczuł, że upał jest niemożliwy. Wyciągnął chustkę, otarł czoło i szyję.

- Chłopcy! - rzekł znowu. - Dobrze, że was wreszcie znalazłem. Tyle mam wam do powiedzenia! Spojrzeli po sobie. Nikt się nie odezwał, aż dopiero Kucyk podsumował to milczenie:

- No, no! Cóż to się ma do gadania?

- Doprawdy, chłopcy! - Andrzejek podszedł, nie było miejsca w cieniu, nie posunęli się. Usiadł w spiekocie. Widział w tej chwili bardzo wyraźnie, że nie miał racji, wygadując wczoraj o tych rakach, że na odwrót, oni mieli pełną rację, czyniąc mu za to wymówki. Może i z panem Balbińskim postępował zanadto beztrasko, nie okazując należytej czujności.

Przykro mu jednak było mówić o tym wprost, wołał zadokumentować swój żal tonem bardzo przeproszającym, pokorą zachowania się.

W tym właśnie zbłądził, tym właśnie rozognił tylko ich niedoświadczoną zawziętość. Wydało im się, że przy pomocy skruszonych min chce wykręcić się od odpowiedzialności za swój wczorajszy występki. Dlatego milczeli i w ich milczeniu dojrzywała niechęć tym groźniejsza, że osobiste żale do Andrzejka wydały im się poparte wielką obiektywną racją.

Poczuł to, spieszył się i tym bardziej umilkł. Gdy zaś na próżno minęło parę minut - gniew tamtych stał się nie do odwrócenia.

Niestety, dopiero teraz Andrzejek przełamał swoje nagłe opory i zdecydował się przecież opowiedzieć im wszystko.

- Chłopcy - zaczął po raz czwarty. - Wiecie, co się ze mną stało wczoraj?

Tak bardzo, tak bardzo nie byli tego ciekawi! Teraz już i Wojtek zerwał trawkę i zaczął ją pilnie rozgryzać, Zdzisio zaś położył się na plecy i trzy razy z rzędu ziewnął, coraz szerzej rozwierając usta.

„Ach tak? - pomyślał Andrzejek. - Zaraz was obudzę na dobre! - W czym zbłądził po raz drugi i jeszcze ciężiej. Lepiej by było wstać i po prostu odejść.

- Wczoraj był na mnie zamach! - wypalił sucho i szybko, nie patrząc na żadnego z nich.

Parę sekund czekał. Nie wytrzymał, spojrzał na Kucyka. Edzio patrzył wprawdzie na Andrzejka, ale z obojętnością taką, jakby ten był przezroczystą szybą.

- Słowo daję! - krzyknął Andrzejek. - Ktoś chciał mnie zabić! I myślę nawet, że wiem kto!

Teraz nie spuszczał z nich oczu, czyhał na ślad przejęcia, choćby niedowierzania, choćby kpiny. Owszem, spojrzeli po sobie. Wojtek wydał wargi, tamci nie mrugnęli okiem.

Speszony i tym bardziej śpiesząc, opowiedział im dzieje cegły. Tu Kucyk pokiwał wreszcie głową. Dostyc pogardliwie, jak wynikło z dalszego ciągu.

- Ktoś był za tymi amorkami, tak? - zapytał.

Andrzejek potwierdził.

- Widziałeś go?

- Skądże znowu!

- Słyszałeś?

- Tak!

- Co? Słowa? Kaszel? Kichanie? Andrzejek próbował tłumaczyć, jak umiał, swoje mętne i przerażone wrażenia z owej chwili. Kusiło go, żeby to nazwać na przykład połykaniem śliny albo i kichnięciem. Ale postanowił być jak najbardziej uczciwy i poza sapanie nie wyszedł.

Kucyk spojrzał na resztę i zaraz zmienił temat:

- A niby dlaczego ten zamach?

Andrzejek rozłożył ręce.

- Widocznie... Sam nie wiem... Zauważyliście przedtem, że... tego..., dzieją się dziwne rzeczy. Klucz od naszego pokoju...

- Co ma piernik do wiatraka?

- No, widocznie komuś w czymś przeszkadzamy...

- Aha. I to ty akurat najwięcej.

To była ta straszna klęska! Kucyk miał pełną świadomość zadania jej. Patrzyli teraz na siebie i wreszcie coś pokonało ich obojętność: złośliwa bezgraniczna ironia.

Bo i rzeczywiście, wyobrazić sobie, że z całej czwórki najgroźniejszy dla nieznanego wroga jest właśnie Andrzejek, to znaczy uznać trzech pozostałych za ultraniedołęgów i ślepców nadzwyczajnych.

Andrzejek rozumiał to, gdy było po wszystkim. Próbował się wycofywać - że może nieznaną wróg po prostu na oślep, przypadkowo - ale to już nie pomogło. Kucyk znów przeskoczył:

- No, i któż to jest ten, kto nastaje na groźnego Andrzejka? No?

Andrzejek zagryzł wargi. Wiedział już, że każde dalsze słowo grzebie go tylko coraz bardziej. Nie mógł jednak opierać się coraz ostrzejszym ponagleniom Kucyka. Musiał wybąkać te parę słów o piracie Dżakim. Wywołało to śmiech. I niestety, nie zdziwiło to Andrzejka. W tej spiekocie południa, w tej jasności, która przymykała ludziom powieki, wszystkie argumenty chłopca traciły swoją moc przekonywającą: mrok, niejasność, niepewność.

Czując, że tonie bezradny niemniej niż na owym bagnie, przebierał w pamięci wydarzenia nocne, gorączkowo szukając, które by dowiodło przynajmniej prawdopodobieństwa jego podejrzeń. „Jak niesprawiedliwy jest ten świat” - pomyślał. Tak się nacierpiał, tyle przeżył w nocy i oto wszystko to staje się nie bardziej uchwytnie niż sen.

Milczał jeszcze, szeregując ostatnie argumenty: o tej leśniczówce. O zjawie rogatej, oczywiście, postanowił nie mówić.

Zanim jednak się zdecydował, Kucyk dojrzał do podsumowania.

Było to coś okropnego. Jak wiemy, Andrzejek gotów był z całą energią potępić siebie samego za gadulstwo, no, za beztroskę, brak czujności. Ale tymczasem ten grzech pierworodny, ta przaprzyczyna całej chryi stała się już maleńka, mało ważna, niedostrzegalna niemal. Kucyk prawie ją pominął, potraktował tylko jako objaw rzeczy stokroć gorszych.

Odpowiedzi Andrzejka stały się kolekcją innych objawów. Ich wspólnym mianownikiem było dogłębne tchórzostwo, cechujące rzekomo winowajcę. I oczywiście, nie było to jeszcze głównym powodem doprowadzenia Andrzejka do ławy oskarżonych.

Bo tu wtrącił się Wojtek:

- Pamiętacie, zaraz po przyjeździe?... Jakeśmy wyleźli w Stobcu? Lelek wrzasnął, a on już mnie za rękę: „Co to?” A potem, jak ten samolot... Mania jakiejś kryminalistyki na tle, oczywiście, chorobliwego tchórzostwa.

- A potem, jak ta kura zdechła...

Przez parę minut wyszukiwali wszystkie przewinienia Andrzejkowe. Takie i jeszcze mniejsze. Nie zapomnieli nawet jego entuzjazmu na Polu Mokotowskim z tym zbieraniem jagód - była to skłonność do utopizmu, nieodłączna od drobnomieszczańskiego anarchizmu, wywodzącego się z idealizacji przyrody, typu Rousseau.

- A po Rousseau, wiadomo, kto był, Chateaubriand! Ta idealizacja przyrody doprowadza, jak widzimy, do najskrajniejszej, ultramontańskiej reakcji! - krzyknął Wojtek, pełen podziwu dla swej własnej politycznej dojrzałości.

Pokłócili się tutaj na temat ostatecznego sformułowania oskarżenia. Zdzisio gotów był poprzestać tylko na tchórzostwie...

- Kongenitalnym! - dorzucił podnosząc przekonywająco palec wobec braku zapалу u tamtych. Ale Wojtek ze swoim Chateaubriandem nie popuścił. Rąbał o ideologicznych brakach i drobnomieszczańskich obciążeniach. Nie trudno się domyśleć, komu Kucyk przyznał rację.

Andrzejek sam był tak złamany, że nie stawiał już żadnego oporu. Strachy, które go nawiedziły, były zresztą rzeczą niewątpliwą. Faktem było, że bał się, bał się wielokrotnie, zapewne wyolbrzymiał przy tym te strachy, robił je czasem z niczego, a już w każdym razie ulegał im z niewiarogodną gorliwością.

Myślał teraz z goryczą o tej swojej słabości. Gotów był zgodzić się nawet z sednem zarzutów. Przecież jeśli gdzieś tam w głębi jego duszy pałętały się jakieś ślady wiary w przesady, zabobony, strachy, to z pewnością nie była to z domu wyniesiona spuścizna proletariacka, ale raczej zahaczone gdzieś po drodze śmiecie drobnomieszczańskie.

Tak tedy dojrzał już prawie do przyjęcia ciężkiej decyzji groźnego sanhedrynu i pocieszał się myślą, że za to dadzą mu wreszcie spokój, a może i otoczą opieką, gdy Wojtek, nie nasycony widąc bezradnością oskarżonego, wpadł na wniosek zaiste piekielny.

- A właściwie sprawa jest prosta! - oświadczył stuknąwszy pięścią, z braku stołu, we własne kolano.
- Od człowieka wymaga się hartu! Nie ma tu miejsca dla ślamazarów, gadułów, osobników z

drobnomieszczańskimi naleciałościami. I ja myślę, że powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski organizacyjne.

Znowu kiwnęli głowami.

- Po prostu faceta odesłać do domu! Do mamusi! - dorzucił Wojtek z zabójczą ironią.

Kucyk rozłożył ręce,

- Merytorycznie, zgoda. Ale sam wiesz, forsa...

- Jak to, dla jednego starczy z tych zaliczek.

- Dobrze - uległ Kucyk. - Byczo, chłopcy. Doskonały pomysł! Odesłać faceta i spokój w domu! Bo za niańkę żaden z nas być nie zamierza...

Andrzejkowi słoneczny pejzaż dokoła wydał się jeszcze bardziej jaskrawy, choć zamazany. Wielkie jaśniejące koła ogarnęły sosenkę naprzeciwko. I w tym nie miał racji. Patrzyli nań, zaraz dostrzegli. Zdzisio zażenowany odwrócił się, Kucyk się zaśmiał i rzucił:

- Baba!

Wojtek zaś pozwolił sobie na strzałę najbardziej zatrutą:

- Nie, skądże! Kawaler! Uwodzicie! Z panienkami w krzaczkach siedzi całe nocki! Są takie, co lubią tylko ze smarkaczami...

Andrzejek zerwał się na nogi. Płomień gniewu wysuszył mu oczy.

- Zabraniam, zabraniam ci! - krzyknął.

I Wojtek stulił pysk. Domysł nagły oświecił pamięć Andrzejka.

- Ach, to dlatego takiś bezlitosny? Toście dlatego... że mnie woli, nie was...

O, na pewno była częśćka prawdy w tym domyśle. Tym silniej zareagowali wysocy sędziowie.

Zaczęli mianowicie tarzać się po ziemi, wydając z siebie śmiechy tak donośne, na jakie tylko stać ich było.

- Śmieście się, śmieście! - krzyczał. - Przejrzałem wasze duszyczki. I gwizdzę na wasz wyrok! Słyszycie?

Gwizdnął rzeczywiście i splunął.

- No, no! - Kucykowi śmiech przeszedł na podziw szybko. - Spokojniej! - rzucił z groźbą.

- A żebyście wiedzieli! Sam, sam! Sam dam sobie radę...

- Oczywiście, indywidualizm także - Wojtek odwrócił się do Kucyka i powiedział to tonem doktora, który stwierdziwszy odrę na podstawie temperatury chorego, nie bez radości odkrywa u niego i wysypkę.

- Drobnomieszcz... - zaczął Kucyk, ale pomyślał pewnie, że to już za mało. Dokończył: - Burżuazyjny. - Nie chcę waszej pomocy! - wołał Andrzejek. - Sam... A z wami...

Odwrócił się, poszedł. Dziesięć sekund milczeli. Potem Kucyk krzyknął:

- Czekaj, czekaj! My to na organizacji... Ale Wojtek i teraz był bardziej jadowity:

- A kto ma u panien powodzenie, to zobaczysz dziś jeszcze!

2.

Andrzejek szedł przed siebie nic nie myśląc, przezuwając tylko wielką, bezgraniczną krzywdę. Najbardziej bolało go, że przecież zgodził się, zgodził na wszystkie zarzuty, z tym przeklętym drobnomieszczaństwem włącznie! I mimo to spotkały go jeszcze te obraźliwe słowa, które nic innego nie miały na celu, jak poniżenie, zadanie bólu, zmieszanie z błotem.

Tak był pewien swojej krzywdy, że nie zauważył nawet drobnego faktu: w myślach przecież, tylko w myślach zgadzał się z zarzutami pod swoim adresem.

Szedł przed siebie na chybił trafił. Doszedł do pałacowego sadu, między zarośla na pół zdziczałych, opadniętych przez rudoszare porosty porzeczek. Trawa tu była żywsza i trochę cienia. Siadł, potem się położył. Twarz wtulił w zgięte ramię. Odwrócił się od niedobrego, niesprawiedliwego świata. Czuł się całkowicie samotny. Leżał wyśmiany, zmieszany z błotem, już nie tylko dosłownie. I do tego wszystkiego dołączyła się myśl, że niebezpieczeństwa tej nocy nie minęły. Że pirat Dżaki krąży gdzieś w okolicy. I że on sam, Andrzejek, teraz dopiero jest naprawdę samotny.

Nie płakał. Tylko ramiona co jakiś czas zwierały mu się jakoś bezradnie.

- Co z tobą? - rozległ się nagle nad nim głos pana Balbińskiego.

Przeżalenie i radość walczyły teraz ze sobą w świadomości chłopca. Radość: że zapomniał o tym właśnie człowieku. Przeżalenie: że te oczy, że może się z nich odczyta jeszcze resztki rozpacz.

Pan Balbiński usiadł przy nim i siłą odwrócił go twarzą do siebie.

Andrzejek udał uśmiech.

- Głupstwo, trochę się zdrzemnąłem.

- Co z tobą? - upierał się Balbiński. - No, gadaj! Gdzieś ty wczoraj przepadał?

Był bardzo nagły, poważny, prawie suchy. I pewnie dlatego właśnie Andrzejek po raz drugi zaczął swoją opowieść. Gdyby tamten puścił się na lirykę, zwierzenia Andrzejkowe przyszłyby trudniej, bałby się, że mu się głos załamie.

A tak wszystko odbyło się w porządku. Sprawa cegły. Balbiński zadał parę pytań. Z grubsza były jak te, które stawiał Kucyk, i zabarwione niemniejszym sceptycyzmem. Gdy jednak Andrzejek przypomniał mu zawieruszenie się Dżakiego, awanturę sprawioną przez kobietę-szatana, a zwłaszcza pajęczynę i tynk na jego ubraniu, Balbiński spojrzał na Andrzejka, pomilczał, a potem rzekł:

- Wiesz, że to ciekawe? Nie zwróciłem na to uwagi. No, no?

Po raz pierwszy od godziny promień nadziei zawitał do duszy chłopca.

- Pan myśli, że to... on? Z tą cegłą? - zapytał.

- Na razie nic nie myślę. Opowiadaj! Co było z tym twoim zabłąkaniem się? Jakeśmy przyszli, było całe posiedzenie. Panna Lucyna domagała się nawet wysłania wyprawy ratunkowej.

Drugi promień, jeszcze żywszy!

- Ale reszta powiedziała, że chcą spać i że Dżaki cię doprowadzi.

- A on... kiedy on wrócił?

- Przecież nocuje na tym swoim jachcie, gdzieś w trzcinach. Nikt się go nie doczekał, wszyscy poszli spać.

- A dzisiaj? Co mówi?

- Nie widziałem go jeszcze. No, co dalej?

Kiwał rozumiejąco głową, kiedy Andrzejek doszedł do swej nagłej ucieczki.

- Miałem rację, proszę pana? - zapytał chłopak. - Bo czemu półgłosem, czemu?

- Owszem, to dziwne. A dlaczego nie zawołałeś nas, nie pobiegłeś do całego towarzystwa? Andrzejek pochylił głowę.

- Tak - powiedział Balbiński. - To się zdarza. No, co dalej?

Andrzejek był mu tak wdzięczny za to, że postanowił opowiedzieć i o rogatej zjawie. Ale wstyd okazał się silniejszy. Za to tym obszerniej opisał swoje perypetie na radostowym grzędawisku.

- Tak, tak - mówił Balbiński. - Co dalej?

Końcowe stadium swoich nocnych perypetii Andrzejek opowiedział bardzo dokładnie. Z wdzięcznością patrzył na swego słuchacza. Jak różniła się jego uwaga, rzeczowa, sucha, napięta uwaga dorosłego mężczyzny, od zarozumiałej pogardy owych smarkaczy, którym się zdaje, że wszystkie rozumy pojedli.

Opisał więc dokładnie pobyt w leśniczówce. Swoje wrażenia z „jądra ciemności”. Nędzny odbłask zachodzącego księżycy. Czarne ziejące pustką oczodoły okien.

- Tak, tak - co chwila powtarzał Balbiński. - Co dalej?

Andrzejek doszedł wreszcie do sedna. Balbiński zapalił właśnie zapalkę, papierosa wsadził do ust. Urwał, wpatrzył się Andrzejkowi w oczy.

- Tak jest! - powtórzył Andrzejek. - Niech mi pan wierzy. Słyszałem na własne uszy!

- Co słyszałeś?

- Kroki. Ludzkie kroki!

- Co dalej? Co widziałeś?

Andrzejek rozłożył ręce.

- Właśnie to najdziwniejsze! Słyszałem! Normalne ludzkie kroki gdzieś zza domu, a potem pod ścianami, tam gdzie zarośla bzu...

- Co, przez ten bez? Jak nosorożec?

- Nie. Właśnie, że nie. Przez krzaki, ale bez łamania gałęzi. Jak po równym... Ale nic nie widziałem...

Urwał, dopiero ujrawszy cały nonsens swoich nocnych odczuć. Balbiński nie spuszczał zeń oczu. W tej chwili jednak targnął ręką, krzyknął nawet. Zapalka się dopaliła osmalając mu żółtawo wskazujący palec. Zapalił inną, przytknął do papierosa.

- Co to było? Jak pan sądzi? - Andrzejek zaniepokoił się tym milczeniem. - Słowo daję, nic nie zmyślam...

- Co dalej? - syknął swoje Balbiński.

Andrzejek opowiedział o swej ucieczce, o kryjówce, o dziwnym „lejącym” pościgu. I to wydało mu się najbzdurniejsze. Ale Balbiński tym się nie przejął. Wrócił do swego:

- Nic nie widziałeś? Naprawdę?

- Żebym się stąd nie ruszył! Proszę pana, pan mi wierzy? Prawda?

- Ależ tak, tak...

-- Więc co to było? Proszę pana?

- Bo ja wiem? Byłeś bardzo zmęczony, senny...

- Ale nie spałem, proszę pana!

- Tak, ale... Są takie halucynacje, słuchowe...

Andrzejek zwiesił głowę.

- Wiesz co, chłopcze? - dostrzegł to zaraz Balbiński. - Mnie to samego zaczyna interesować. Musimy się tam wybrać.

- Naprawdę?! - krzyknął z uniesieniem Andrzejek. -To świetnie! Jeszcze dziś! Prawda? Jeszcze dziś!

- No, dziś, nie wiem. Ale w najbliższym czasie.

- Kiedy, proszę pana, jeśli tam jest coś takiego, to im szybciej, tym lepiej!

- Tak, ale...

- Bo się ukryje...

- Albo naprawdę cię ścigano - wtedy już mieli czas się ukryć. Albo nie... W takim razie mamy czas. To i owo muszę załatwić.

- Jutro?

- Może. A teraz chodź, idziemy nad jezioro. Szkoda tego słońca. I przestań się zamartwiać. Jakoś wykręcimy się z tego wszystkiego!

Wstali. Ale gdy z daleka na przystani Andrzejek zobaczył swoich kompanów, zatrzymał się, znów przygnębiony.

- Co ci znowu? - Balbiński zaraz dostrzegł jego spojrzenie. - Ciągle jeszcze rozróbka?

- I to jaka! - szepnął Andrzejek.

- Co oni...

- Nazywają mnie tchórzem. I drobnomieszczańsko-burżuazyjnym idealistą...

- Patrzcie, patrzcie, jacy niemądrzy!

- Prawda, proszę pana?

- Tak czy owak, wykąpać się warto!

- Nie z nimi!

- Kiedy innej plaży tu nie ma. Bagno.

- To ja potem...

- E, głupstwo. Weźmiesz łódkę.

- Nie dadzą.

- To mój kajak. Chcesz?

- Nie umiem.

- Żadna sztuka. Spróbuj. Tylko daleko się nie wybieraj.

Andrzejek z wdzięcznością spojrzał na pana Balbińskiego. Ten klepnął go po ramieniu.

- A z twymi kolegami - trudno. Pokaż im, że się obejdiesz.

Doszli do przystani. Na prawo, w kąpielisku woda furkotała od pływackich wyczynów tamtych. Dopiero teraz Andrzejek dostrzegł między chłopcami modnie gufrowaną kreację kąpielową pięknej Nelly i czarny kostium Lucyny. Co gorsza, właśnie przy niej uwijała się zabójcza fryzura Wojtka.

Ach, więc nie zasypiał gruszek w popiele ten etatowy niejako uwodziciel!

Odwrócił się natychmiast. Zaraz wlaź do kajaka, byleby ich nie widzieć, nie słyszeć. Pan Balbiński pokazał mu, jak się trzyma wiosło, jak się nim pracuje. Nie było to bardzo skomplikowane.

- Żagielka nie stawiam - powiedział. - To później, jak się trochę oswoisz. A teraz uważaj tylko, żeby się nie wyrzucić. Żadnych gwałtownych skoków. No, jazda! Pojechałbym z tobą, ale chcę się wykapać. Zresztą sam nauczysz się szybciej, a pogoda dziś w sam raz dla nowicjuszy.

Pchnął kajaczek. Jednocześnie na molo wyskoczyła Lucyna.

- Andrzejek, czekaj! - krzyknęła. - Jadę z tobą!

Ostry gorący sztylet przebił pierś chłopca. Nie odwrócił się jednak, silniej nawet zamachał wiosłem.

- Andrzejku! - wołała nie pojmując. - No, zaczekaj! Gdzieś ty przepadał? No, nie bądź dzieckiem...

To tylko przyśpieszyło jego ucieczkę. Słyszał, jak pytała, zdetonowana, Balbińskiego. Słyszał szyderczy śmiech Wojtka, który radził jej, żeby się z dziećmi nie zadawała...

Na szczęście wysoki korytarz trzciny zaraz skręcił w prawo. Jak nożem ucięte, umilkły wołania. Śmiechy tylko buchały sobie w najlepsze. „Co z oczu, to i z myśli” - powiedział sobie w duszy z goryczą. Ach, kobiety!

Postanowił nie rozdrapywać ran. Położył wiosło na burtę. Rozpęd wolno popychał go jeszcze przez niebywałą zażartą spiekotę.

Południe w tym osłoniętym gęstymi trzcunami zakątku było nieruchome, wystałe, jak we wnętrzu rozpalonego pieca, tyle że jaśniejące, jasnoniebieskie, jasnozielone, białe. Trzciny huczały tysiącami os i trzmieli, które żółto-czarnymi puszystymi grudkami upstrzyły siwawe łodygi i buromalinowe miotłki kwietne. Całe eskadry ważek dygotały przeżroczyście w powietrzu, niebiesko- i buroskrzydłe świtezianki trzepotały przelatując z trzciny na trzcinę, stada jaskółek trzciniówek kołysły powietrze tuż nad zaroślami, pokrzykując ostrzegawczo przy wymijaniu się.

Woda była tak przeżroczysta, jakby nie było jej wcale. Pochylił się, parę sekund patrzył na swoje odbicie. Widział okrągłą zwyczajną twarz, mały perkaty nosek, oczy też niewielkie, trochę wydętą bańkę głowy z zanadto wysokim czołem, uszy raczej odstające. Zdobył się na akt samokrytyczny - przebaczył Lucynie.

Patrzył sobie w oczy. Po chwili jakieś niedosłyszalne echo wiatru hulającego na pobliskim jeziorze zepchnęło kajaczek w bok, w cień najbliższej dżungli trzciniowej. Zamiast niebieskawych ufnych i rozżalonych oczu zobaczył czarne owalne stworzonko, śmigające powoli nad skłębioną burą masą wodorostów. Znał je z widzenia: żuk, pływak żółto-brzeżek. Potem z pobliskich trzciny wychyliło się rozbawione towarzystwo maleńkich, niewiększych od dłoni (Andrzejkowej...) rybek. Szły zgrane, jak zespół tancerek, wszystkie na raz ogonami kręciły w prawo, wszystkie na raz machały płetwami. Doszły, wesołe i czujne, aż pod łódkę. Tu któraś z czołowych dostrzegła tamtego żuka. Błyskawiczny w tył zwrot. Już ich nie było!

Jakby rozżalony, że znikły, ocknął się, spojrzął przed siebie. Z tego miejsca widać było koniec labiryntu trzciniowego i przymglony od upału, nieszerszy od dłoni wycinek wielkiego jeziora. Niepostrzeżenie ręce przesunęły się do wiosła. Kajak drgnął, bezszumnie śmignął przed siebie.

Tę minutę Andrzejek przeżył jako uniesienie: tak zgrany okazał się rozpęd kajaka z jego rękami, z rytmem wysiłku, pochYLENIEM bark, napięciem tułowia, Trzciny biegły nad nim rozbrzęczone, rozgrzane. Oto dłoń przestrzeni wyrasta, rozchyła się wielki horyzont.

Z upalnej nieruchomej ciszy wyleciał zaraz rzeński podmuch wiatorku, otarł mu ramiona chłodnym powiewem. Trzciny zostały w tyle.

Siedząc na dnie kajaka, widział jezioro jeszcze obszerniej, bezbrzeżniej niż z żaglówki. Upał był teraz taki, że mgielka biaława nie tylko zasłoniła daleki przeciwległy brzeg jeziora, ale i ten bliższy, odległy o jakieś siedem kilometrów, też zamazała, z płachetek żyta uczyniła złotawe chmurki, wzgórzom odebrała garbatość, z owali drzewnych zrobiła zielone dymy. W tym bezmiarze mglistego upału jedno tylko zachowało kształty: wyspa.

Przesłaniając od góry dłonią oczy, wpatrzył się w nią Andrzejek. Była prawie czarna od słonecznego nadmiaru, o dość kanciastym wysokim profilu, z lewej strony drzewa na niej musiały być wyższe.

Było coś znajomego w tej sylwetce, coś, co uderzyło Andrzejkę od razu, gdy ją zobaczył, jeszcze owego popołudnia, gdy Atalanta po raz pierwszy wyskoczyła na ten przestwór. Męcząco sobie przypominał przez te wszystkie dni. Męcząco i bezskutecznie.

Teraz błyskawica olśnienia. Parę lat temu w bramie wypalanej rudery na Marszałkowskiej rozłożył się pokątny bukinista. Wśród sterty starych, niemieckich przeważnie książek Andrzejek zobaczył kilka równie starych pocztówek. Interesował się wtedy znaczkami, sięgnął więc. Niestety, kto inny już go w tym wyprzedził.

Jedna z pocztówek była kolorową reprodukcją jakiegoś obrazu. Właśnie wyspa o wysokich, smukłych, prawie czarnych drzewach. Łódź zmierza do niej, w łodzi jakieś postaci o pochylonych głowach. Na odwrocie znalazł tytuł: „Wyspa Umarłych”.

Ta sylwetka na horyzoncie skojarzyła mu się właśnie z ową wyspą z pocztówki. I jakby wiatr go popchnął: z taką siłą zapragnął właśnie tam, właśnie na wyspę się udać.

Wiaterek rzeczywiście twarz mu owiewał rzeźwiącymi podmuchami. Odruchowo raz i drugi ruszył wiosłem. „Czemu nie?” - powiedział sam sobie. Niedaleko przecież! Właśnie dzisiaj...

Zaczął wiosłować trochę ostrzej. Wyspa na oko niedalsza się wydawała niż o parę kilometrów. Ale płynęło się do niej nieprosto. Po dziesięciu minutach obejrzał się. Trzciny nie odeszły nawet o sto metrów.

Nie chciał jeszcze się poddać. Podniecał sam siebie: legendy, strachy... Wiaterek tężał z każdą minutą, fala klepała po przyjacielsku dziób kajaka, garście kropli za każdym razem biły Andrzejkę prosto w twarz, zmywając na chwilę wzbierający upał i zmęczenie.

Nie poddawał się. Łopotanie fali o kajak, szum trzciny czesanych wiatrem, te hałasy przesłoniły mu wszystko inne. Dlatego tak nim targnęło, gdy z tyłu, z tego pustego bezbrzeżnego jeziora, z odległości może dziesięciu metrów znajomy przepity baryton babski zawołał:

- Ahoj, na kajaku! A dokąd to się wybiera maleństwo, dokąd?

Odwrocił się. Piracka żaglówka szła wprost na niego. Na dziobie, oparta o sztag stalowy, stała kapitan Małgorzata. Na nawietrznej siedziała reszta załogi, Eliana Zajęczy Nos tę właśnie swą ozdobę marszczyła wdzięcznie do słońca i Andrzejka.

Niepokój wrócił doń szybciej niż myśli. Jeszcze nie mógł się połapać, czym pirat Dżaki może mu zagrozić w biały dzień i wobec tylu świadków, gdy życzliwy uśmiezek na twarzy kobiety-szatan zmiotła niecierpliwość.

- Uważaj, uważaj! - Odwróciła się, krzyknęła do tyłu: - Odpadaj, odpadaj z wiatrem, szybciej! Odpadaj!

To już był krzyk. Wielki tułów żaglówki tuż za plecami Andrzejka. Odruchowo skręca w lewo. W tejże chwili coś uderza w tył kajaka i pcha jeszcze silniej. Krzyk niezgrany.

Odwraca się. Bezszumna, jak sowa, żaglówka mija kajak, skręca w przeciwną stronę. Przy sterze pirat Dżaki w czerwonej chuście. Ma gniewną twarz, nie patrzy na Andrzejkę. Kobieta-szatan zmywa mu właśnie głowę.

- Saładucha, ciaptak! Krzyczę: „odpadaj”! Znaczy, masz odpadać! Bidulka, nie wie, co to znaczy odpadać! Pomyliło mu się z wyostrzaniem! O mały włos, a byłbyś tego skrzata na dno...

Andrzejkowi upał zalewa potem oczy. Ociera je ramieniem. Jest bardziej zaskoczony niż przestraszony.

- Przepraszam cię, skrzacie! - wychyla się z żaglówki kobieta-szatan, - Okazuje się, że mam łajzę na pokładzie!

Słońce świeci w najlepsze, wiaterek spycha powoli kajaczek między trzciny, wyspa czernieje w bielejącej od upału dali. Nic się nie zmieniło, wszystko jest jak przed pięciu minutami.

Tylko Andrzejek już nie opiera się naciskowi wiatru, odwrócił kajak, daje się spychać ku przystani.

3.

- Naprawdę? Coś podobnego! Wydawało mi się, że są całą kupą w sadzie. Gdybym wiedział...

Balbiński urwał, zapalił papierosa. Leżał na murawie mola. O trzydzieści metrów dalej reszta towarzystwa, powiększona o Sykusa, chichotała z dowcipów Kucyka.

- Zresztą - zaczął po chwili Balbiński - zresztą, nie wpadajmy w panikę. Może to rzeczywiście jakiś fujara w żeglarstwie?

- Ale gdzie! Oni tam wszyscy mają stopnie co najmniej sterników! Sami się chwali!

- No, koń ma cztery nogi, a przecież się potyka. Nie śpieszmy z wnioskami. Miejmy się tylko na baczności. Prawda? Więc, na przykład, unikaj samotnych wycieczek.

Andrzejek westchnął.

- Wiem, wiem - Balbiński skinął głową. - Pokłóciliście się, trudno. Ale tymczasem trzymaj się mnie. Zgoda? Dziś chcę ci zaofiarować pewien spacer.

- Do leśniczówki?! - radośnie krzyknął Andrzejek.

- Nie, jeszcze nie - Balbiński usiadł. - Zanim sięgniemy do tego twego jądra ciemności, musimy poczynić pewne prace wstępne.

- Jakież?

- Zobaczysz.

Jakoż po obiedzie upiękaszonym rakami, a zepsutym nadętym milczeniem tamtych, Andrzejek spotkał się z Balbińskim. Około czwartej ruszyli.

Okazuje się, szli do Iwiszek. Niedzielne popołudnie jest na wsi porą absolutnego odpoczynku. Tutaj odpoczynek był dość jednoznaczny: wszyscy dorośli mężczyźni sterczeli w przybrzeżnych krzakach z wędkami w ręku.

Andrzejek szybko się dowiedział, o co chodzi Balbińskiemu. Ten chodził od krzaka do krzaka i rozpytywał, kto skąd pochodzi. Jeden mówił - Grajewo, inny - Łyntupy. Dwóch było z Kieleckiego. Balbiński stracił w końcu cierpliwość.

- A Mazura tu co, nie ma na lekarstwo?

- Skąd Mazurzy! Cała wioska przesiedleńcza.

- Dlaczego?

- A bo ja wiem? Jakiś przyjechali, wieś jak wymarła. Żywej... Przepraszam pana - dodał ciszej, wpatrzony w biało-czerwony splot. - Może potem...

Balbiński grzecznie odszedł. Po chwili ich rozmówca targnął gwałtownie wędką, pękła zastygła powierzchnia wody i w powietrze wyleciała nieduża srebrzysta rybka.

- Prawdziwa! - wyrwało się Andrzejkowi, który po jedynej widzianej przez siebie próbie rybołówstwa utracił wiarę, że coś takiego istnieje w ogóle.

- Jaka tam prawdziwa! - rozległ się koło nich czyjś niezycliwy pomruk. - Zwyczajna płoć!

W krzakach nad wodą stał niemłody człowiek o rudawych wąsach. Był pewnie zły, że sąsiadowi znowu się udało, dość że pośpieszył pochwalić się lepszą od tamtego znajomością rzeczy tutejszych.

- Żadna sztuka, że Mazurów tu nie ma. Za Niemca był tu taki dziedzic w Gorzyżkach. To ten tak mowy polskiej nie znosił, że i stąd powysiedlał wszystkich, a z Niemiec sprowadził sobie innych. No, to te, jak Sowici poszli w ziemie, to dali drapak. Ot, i cała sztuka!

- No, przecież! - krzyknął Andrzejek. - Pani Agnieszka opowiadała. O tym ostatnim Haushoferze...

- A panu Mazury po co? - spytał wąsaty.

- Mam swoje sprawy...

- Pan jest etnografem! - dumnie wyjaśnił Andrzejek. - On zbiera takie różne piosenki, legendy...

- Tu nie ma żadnych piosenek! - stanowczo stwierdził wąsaty. - Ani legendów! - dorzucił tonem, jakim powitała ich pierwsza gospodyni w Stobcu, mówiąc, że nie ma jajek.

- No, wie pan, takie bajki... - jeszcze dorzucił Andrzejek. - Z dawniejszych czasów...

- Dobrze, dobrze! - przerwał mu Balbiński. - Chodź, mały. Jak nie, to nie.

- A, jak o to chodzi - nagle się rozmyślił wąsaty i stał się grzeczny - zajdźcie do Podsiadły. O, druga chata z brzegu.

Poprzez łączkę podeszłą od tych przydługich upałów ruszyli z powrotem do wsi. Zagroda Podsiadły była czysta, domek bielony, spory, zabudowania z pustaków, przed oknami kilka wisienek, którym tutejszy klimat pewnie nie bardzo sprzyjał, bo gałązki miały łamliwe, cienkie, liście drobne, jagody jeszcze niedojrzałe.

Gospodarza zastali w domu. Był to trzydziestoletni, zdrowy blondyn, o dużym prostym nosie i ogromnych łapskach.

Gdy Balbiński wyraził zdziwienie, że nie przyłączył się do reszty, siedzącej nad jeziorem, Podsiadło ironicznie się roześmiał.

- Cóż to za łapanie! Z brzegu? Teraz, w ten upał? Ja tak łapałem, jak miałem sześć lat. A zresztą, co teraz za ryba!

- Piękny ma pan dom. - Balbiński obejrzał duży jasny pokój, trochę skąpo umeblowany.

- Żadna sztuka! - odpowiedział długonosy. - Mogłem brać i wybierać. Byłem tu pierwszy.

- Kiedy to było? - spytał zaraz Balbiński. - W czterdziestym piątym?

- A w którym znowu? W szóstym już tu nie było całego domu!

- W lecie?

- Gdzie zaś! Ja tu już w lutym. Pan rozumie.

Balbiński nie ukrył swego zdumienia:

- A któż tu pana puścił? Tu jeszcze walki...

- A ja nikogo nie pytałem.

- Nie może być! Tu, na granicy posterunki. I kto z południa...

- A ja nie z południa. Z północy.

- Nie rozumiem. Skąd?

- Spod Angerburga. No, teraz z Węgorzewa.

- Jak to, pan Mazur?

Podsiadło pokręcił przecząco głową, Zagadka wyjaśniła się szybko. Był jeńcem z września. W czterdziestym wybierano do pracy na roli. Trafił do takiego gbura pod Węgorzewem i przepracował blisko pięć lat. W styczniu czterdziestego piątego ukrył się i pozostał.

- Przez pięć lat poznałem ten kraj. Powiedziałem sobie: jeśli dla niewolnika był piękny, to coś dopiero jak będę sam tu sobie panem...

- To czemuście nie zostali w węgorzewskim?

- Trochę smutna okolica. Błota więcej. No, i ten gbur to miał za duży majątek. Sam bym nie poradził.

- A czemu akurat Iwiszki?

- A bo tu naszych spod Węgorzewa przysyłali. To mi cuda naopowiadali...

- O Iwiszkach?

- Nie, o Gorzyżkach.

Balbiński odruchowo spojrzął na Andrzejka. Czekali cierpliwie: nadchodziło sedno sprawy.

- Mówili, że ziemia dobra, robota lekka, pan łaskawy - ciągnął Podsiadło. - Że z obozu wybierają najlepszych, aby tu posyłać, że...

- No?

- No, pan wie, jakie rozmowy jenieckie. Że karmią dobrze, nie tak, jak u nich, brukiew i brukiew.

- I dlatego pan...

- Właśnie. Tak się człowiek nasłuchał tego gadania, że te Gorzyżki rajem zaczęły się zdawać. No, to jak przyszli Sowieci, tom się zabrał, manatki do plecaka i dalej w drogę. Nielatwa była, pojęcia pan nie ma! Tu jeszcze po lesie esesmany całymi bandami. A w każdym miasteczku wojsko. Tłumacz się, jak chcesz, żeś nie Niemiec. No, i chłodno, głodno... Od Mikołajek tom przez lód. Zima była tęga. Przyszedłem. Ale patrzę, Gorzyżki, coś, dwór jak dwór, tyle że pusty. Pałac za duży, czworaki za brudne. Więc ja do Iwiszek. Tu, mówię panu, pustynia. Brać, wybierać! Przez pierwszych parę tygodni przesiedziałem jak trusia sam jeden. Wojsko w Mikołajkach, tędy żadnej drogi, lasy bliskie, w lasach esesmany. Czasem wyjdę w nocy, cicho, gwiazdy błyszczą. I tylko to tu, to tam strzały. Światła nie paliłem, skądże!

- A jedzenie!

- Jakie tam jedzenie! Zgotujesz parę kartofli, ot i całe jedzenie...

- A skądście je brali?

- No, co tu gadać, chodziłem, szukałem. Jak to się mówi, na szaber.

- Tutaj?

- Wie pan, tu, jak już przyszedłem, wszystko było puste. Słowo daję! Jakby się ci tutejsi wybierali nie na łapu-capu, ale z namysłem. I jakby ich od paru miesięcy już nie było. Bo i proszę: piwnice puste, a kartofle nie wykopane, w polu. Jak na Niemców, całkiem niepojęty bezporządek...

- Więc gdzie pan chodził? Do Gorzyjałek?

- Ma się rozumieć, zaglądałem. Tylko żem się bał - za blisko puszcza. Żeby na bandę nie trafić.

- No i co, coście tam znaleźli?

- A nic takiego. I tam pusto, jakby z dawna się wynieśli. I tam kartofle nie pokopane. A że banda tam chodziła, to z całą pewnością...

- Esesowcy?

- A któż by inny? Kiedyś tam wlałem do takiej wieży...

Andrzejkowi ścisnęło się serce. Zapatrzony w Podsiadłę, usta rozwarł.

- Myślę: a nuż tu co schowano? No, to wlałem. Pokój tam, w wieży. I jeszcze schodki, na strych. No...

- No? - odruchowo powtórzył Balbiński. Spojrzał na Andrzejkę, uśmiechnął się jakoś sztywno, zapalił papierosa.

- No, to patrzę, zamknięte to wejście na strych. Ramieniem próbowałem, nic. Pan widzi, nie jestem ułomek. A przecież ani drgnęło! No, to zlałem. Trudno - myślę. Nawet zacząłem potem ryby łapać. Chodziłem po lodzie i co zobaczę na płytkim, że coś stoi, to obuszkiem po lodzie. Głuszyć, znaczy się...

- Tak, tak - przerwał Balbiński. - No i co? Z tą wieżą?

- To drugi raz się wybrałem. Może po tygodniu. Zaglądam do wieży, aż tu dziura! W suficie, znaczy się! Te drzwi, com ani ruszył - w drzazgi!

- Nie może być! - krzyknął Andrzejek.

- A właśnie że tak! Ażem się spocił. Myślę, jest tu ktoś, jeszcze mnie rąbnie zza rogu. Słucham - cicho. No, to powoli na strych. Pusto tam, tylko graty różne, kurz, szczury. Myślę, jak tu ktoś drzwi porąbał, to pewnie wiedział, gdzie co leży, nie ma co po nim robić...

- Kiedy to było? - spytał Balbiński zaciągając się papierosem. - Luty, marzec?

- E, pewnie już marzec! - Podsiadło trochę pomyślał. - A może luty? Trudno po latach spamiętać. A panu to po co?

- Nic, tak sobie. Nic ważnego, W każdym razie, nie kwiecień, maj?

- A nie! Pamiętam, lód jeszcze stał. Wyszedłem stamtąd na paluszkach. A jak do lwiszek doszedłem, to od razu na ryby. Jeszczem niezłego okońka na szarpaka wyciągnął. Z przerębli. Jak dziś pamiętam, chyba z kilo ważył.

- Tak! - powiedział Balbiński. Zamyślił się, niedopałek papierosa cisnął w kąt. Andrzejek, zdziwiony trochę tą metodą zbierania danych etnograficznych, nie odważył się jednak na jakieś samodzielne posunięcie. Zapytał tylko:

- A nie słyszał pan czegoś o Radoście?

- O kim? O Radoście?

- No, ten, od którego to jezioro...

- Ach, to małe, co w bagnach? Nic tam nie ma. Gadali, że są wielkie sumy. Chodziłem parę razy, nic nie bierze. Na torfie ryba nie ma co jeść, to i sum także...

- A ta leśniczówka?... Nic tam takiego?

Podsiadło popatrzył na Andrzejkę, wzruszył ramionami. Wtrącił się Balbiński:

- A z tym babskim gadaniem, ile w tym prawdy? No, że w Gorzyjałkach straszy? Że te krowy zdechły to fakt przecież, nie?

- No, tak. Ale, że żywiola zdycha, to wszędzie się zdarza. Jak się tak gospodarzy...

Balbiński spojrział na Andrzejkę, jakby chciał powiedzieć: „A widzisz?” Wstał zaraz, zaczął dziękować Podsiadle. Wyszli na podwórze, odprowadzani przez gospodarza. Parę sąsiednich zagród błyszcząco białymi ścianami bliźniaczych domków. Dalej były starsze i uboższe.

- Ale domy! - wyrwało się Andrzejkowi. - Jak w mieście! Prawdziwe wille. Tu pewnie sami kułacy...

- E tam! - Podsiadło machnął ręką. - To tuż przed wojną ten Haushofer załatwił. Tak tu mówią, że Mazurów nie lubił i rodaków het z Niemiec chciał ściągnąć. No, to pobudował. Żeby im się chciało przyjeżdżać do puszczy.

Został przy bramie. Odeszli dwa kroki i nagle Balbiński odwrócił się.

- Więc pan powiada, że w kwietniu? No, tamta heca z drzwiami... w Gorzyżkach...

- Skąd znowu? - nie od razu połapał się Podsiadło. - Przecież powiedziałem! Luty, marzec może. Mrozy jeszcze były...

- Ach, tak, tak! - zmieszał się Balbiński. - Zaplątałem się w tych legendach. Do widzenia.

- A z tymi legendami właśnie, to nie ma rady. Nietutejszy jestem. Tu czasem zaglądamy Mazurzy, spod Momajń, spod Orzysza. To z nimi co innego...

Dzień się przesilał, gdy doszli do Gorzyżek. Andrzejek trzymał się, jak mógł, pana Balbińskiego. Na kolację ciągle były raki. Już nie wydały się takie dobre...

4.

Następnego ranka na Andrzejka przypadła kolej pójścia do Iwiszek po mleko. Był zadowolony: zwalniało go to na parę godzin z towarzystwa niemiłych kolegów. Co prawda taki parokilometryowy samotny spacer narażał go na spotkanie z owym dryblasem, ale droga do Iwiszek biegła przez otwartą przestrzeń i już od rana była dosyć ludna. Zresztą, przyłączyła się doń Sulamita.

Dlatego szedł całkiem spokojny i rozmyślał usiłując uporządkować nadmiar niepojętych wydarzeń, które się nań zwały.

Niewiele miał w tym wprawy, dlatego rezultaty były słabe. Zdołał poczynić zaledwie parę stwierdzeń. Nie ulegało na przykład wątpliwości, że działy się dokoła niego dziwne rzeczy i że dziwy te rozpoczęły się od przyjazdu do Gorzyżek. Bo to, co zdarzyło się przed tym, na ogół biorąc mogło nie wchodzić w rachubę.

Dziwy te dałyby się podzielić na dwie kategorie: absolutnie niewytłumaczalne i nie całkiem absolutnie. To znaczy: niesamowitości i po prostu sprawy tajemnicze.

Do tej drugiej kategorii zaliczyć by można było na przykład całą historię czyhania pirata Dżakiego na Andrzejka. W tym spokojnym słonecznym poranku łatwiej przychodziło trzeźwe rozmyślanie. Niewątpliwie były to sprawy niejasne - i z tą cegłą, i z szukaniem Andrzejka nad jeziorkiem, i wreszcie wczorajsza heca z żaglówką. Za każdym razem jednak zachodziło tu coś takiego, że absolutnej pewności mieć nie było można.

Najbardziej zagadkowe było, o co tamten tak się nań zawziął. Przeglądając starannie wszystkie te dni Andrzejek nie znalazł nic takiego, co by mogło pchnąć pirata do nastawiania akurat na niego, Andrzejka.

Trzeba więc przyjąć rozsądny wniosek pana Balbińskiego: nie wpadać w panikę, ale zachowywać ostrożność.

Tak, lecz jest jeszcze druga kategoria: niesamowitości.

Co to było z dyktą na suficie? Cóż za zbieg okoliczności! Agnieszka opowiada bajki o duchach, Podsiadło o tajemniczym włamaniu, a on sam, niezależnie od nich, już pierwszej nocy dostrzega coś dziwnego. Wszystko w tym samym miejscu.

Zabawne, pan Balbiński też jakoś tym się zainteresował. Dwa lub trzy razy wracał do tego włamania! Dobrze, Agnieszka naopowiadała bajek. Ale przecież ten stwór rogaty nakrzyczał na Andrzejka, poza wszelką wątpliwością!

Tak bardzo pewny był Andrzejek tego faktu, że mimo woli traktował go jako coś niepojętego, ale przecież zwyczajnego. Nie to było najgorsze.

Najgorsze te niewidzialne kroki w umarłej leśniczówce. Był piękny słoneczny ranek. Słońce wisiało o dłoń nad horyzontem, resztki mgły pałętały się w dalekich krzaczkach nad bagnistą łąką. Droga była otwarta, widziało się ją na kilometr. A przecież nie opanował odruchu. Obejrzał się. Przypomniał sobie, co czuł owej koszmarnej nocy. Oczywiście, droga była pusta. Tylko Sulamita dreptała sobie po ścieżce. Był zły na siebie za ten odruch.

„Przycisnę pana Balbińskiego - pomyślał. - Musimy tam pójść! I ten stryszek trzeba obejrzeć jak najszybciej. Właściwie dlaczego nie dziś?”

Przyśpieszył kroku. Myślał teraz o Podsiadle. Wydało mu się, że tamten zapomniał o czymś bardzo ważnym. O czym?

Iwizki wybiegły spoza niewielkiego pagórka gromadą swoich czyściutkich białych domków. Psiakrew, wszystko to jakoś zanadto poplątane. Gubi się człowiek, zapomina. Właściwie trzeba by to wszystko spisać i uporządkować.

Sroka, gospodarz od mleka, mieszkał w przeciwnym końcu wsi. Andrzejek doszedł do mety, gdy z sąsiedniej chaty wyszedł wysoki blondyn z dużym nosem.

Tym radośniej Andrzejek powitał Podsiadłę, że jednocześnie przypomniał sobie to, czego szukał po drodze.

- Proszę pana! - zawołał po przywitaniu się. - A co się stało z jeńcami?

- Z jakimi znowu jeńcami?

- No, co się wybierali do Gorzyjałek?

- Ach, to! Nie wiem, chłopie. Pojęcia nie mam. Przyjechało po nich dwudziestu esesowców. Z takim oberbahnführerem. Chamuś pierwszej klasy, mówili. Krüger się nazywał. No i już. W czterdziestym trzecim to było, jakoś tak w zimie.

- Nikogo z nich pan tu nie zastał?

- Skąd znowu! Pusto tu było, żywej duszy! I to od dawna. Mówiłem, ziemniaków nie wykopano. Rozumiesz?

Andrzejek z wahaniem kiwnął głową.

- Co ci strzeliło z tymi jeńcami?

- Nie, bo pan Balbiński tak się interesuje tymi Gorzyjałkami... To może poszukać ich, tych jeńców, ogłoszenie dać... To byli Polacy?

- Tak.

- Mogliby mu opowiedzieć, jak tu było, co?

Podsiadło popatrzył jakoś osobliwie na Andrzejkę.

- Bardzo jesteś ciekawski. No, ale masz szczęście. Nie musisz jeńców szukać. Do Sroków przyjechała znajoma. Rodowita Mazurka. Pogadaj se z nią...

U Sroków w czyściutkiej izbie siedziała ubrana z miejska kobieta pod czterdziestkę, o czerwonej pyzatej twarzy, z ożywieniem pytlująca z gospodynią.

Dzięki zdecydowanemu naporowi Andrzejek sprowadził rozmowę na interesujące go sprawy.

Oto jakie były skutki. Mazurka nazywała się Elfryda Kajka, po mężu spowinowacona, acz z daleka, z mazurskim poetą tego nazwiska. Pochodziła spod Orzysza, przed wojną bywała jednak tutaj, w trzydziestym piątym zaś przepracowała sezon w majątku.

O ostatnim Haushoferze wyrażała się źle. Był mruk, nie rozmawiał z ludźmi, tutejszych zaś w ogóle za ludzi nie miał. Całymi dniami przesiadywał w takiej drewnianej szopie i hodował zwierzęta.

Andrzejek był zaskoczony. Jakie zwierzęta? Elfryda nie wiedziała, jak to się zowie po polsku. Króliki? Nie. Takie mniejsze jak króliki, ale nieduże. Biało-czarne takie.

Po co? Rozłożyła ręce. Był niemłody, nieżonaty. Może mu się to na mózg rzuciło? Zaśmiała się doniośle. W Iwizkach mieszkało wtedy z dziesięć rodzin, sami Mazurzy. Elfryda miała tu nawet swego kawalera. Ale jak następnej wiosny przyjechała, to już jej tu nie puścili. Wszyscy Mazurzy pojechali sobie do Rajchu, a stamtąd przyjechało z piętnaście szwabskich rodzin. Nawet esesy były. Wtedy właśnie chodzić zaczęli, jak diabły, w czarnych kostiumach z trupią czaszką...

- Krüger? - spytał Andrzejek.

- A tak, a tak! To był ich najważniejszy. Tu, w sąsiednim domku mieszkał. Pobudowali sobie rok przed wojną. A reszta Szwabów tam, w gorszych domach. To oni pracowali w majątku. Tutejszych to już nie brano...

Elfryda, jak zobaczyła tego Krügera, to się zaraz zabrała do domu. Tyle już wiedziała z polityki, że w takich wypadkach lepiej z daleka. Ale kawalera swego znalazła i nawet się pobrali. Do niej przyszedł, na gospodarstwo, het, pod Orzysz,

Zajęła się teraz dość szczegółowym omawianiem doli i niedoli swego pożycia małżeńskiego. Z trudem sprowadził jej uwagę z powrotem na Gorzyjałki.

Już więcej tam nie była. Wie, że podczas wojny trzymano tu nawet żołnierzy. Ze dwudziestu chyba. Mieli na jeziorze motorówki. Rozpytywała męża, co by tu mieli robić.

- No? - zapytał Andrzejek.

- Ale skądby mógł wiedzieć, przecież go tu nie było!

- E, panie! Mąż mój wie wszystko!
- Nie może być! Wie, znaczy, co ten Haushofer robił w Gorzyżkach?
- Pewnie.
- No, co?

Elfryda nachyliła się, scenicznym szeptem zwierzyła tajemnicę:

- Hodował nutrie!

Andrzejkowi śmiech do ust napłynął. Z trudem się pohamował. Elfryda popatrzyła nań wzgardliwie.

- Tak, tak, chłopie. Nutrie. I te, jak to, nurki! I w ogóle zwierzęta! Lisy, borsuki!
- Dla Zoo?
- A nie! Na futra!
- Skąd pani wie?

- To mąż wie. Jak ich stąd pędzili, to im powiedzieli. Że drogi interes tu się będzie robić, bo Rajchowi dolary potrzebne. To zwierzęta na futra będzie się tu hodować. Najlepsze specjaliści, mówili, mają tu z Berlina, z Münchenu przyjechać, to dla nich trzeba mieszkań. A że Mazurzy do tej roboty ręce mają za grube. Dlatego musieli stąd pójść. Dali im za to, nie powiem, po parę tysięcy marek...

Andrzejkowi śmiech minął. Okazało się, że Elfrydowe gadanie lepiej trzyma się kupy, niż wyglądało na początku. Rzeczywiście, jeśli drogie futra, na wywóz...

Poczuł pewną czczość. Oto wyjaśniona tajemnica okazała się tak prozaiczna, że aż niegodna pokazywania panu Balbińskiemu.

Jedno się wydało dziwne w tej wersji.

- Przepraszam, pani powiedziała lisy?
- No!
- I borsuki?
- No!
- To też na futra?
- A to już ja nie wiem.
- Ale pani wie na pewno, że borsuki?
- No!
- Skąd?

- Mąż opowiadał. Tu borsuków dużo po lasach.

I on złapał całe trzy, młode. Jeszcze zanim go wysiedlili. To ten Haushofer wszystkie trzy zaraz kupił od niego. Dobrą cenę dał nawet. I w ogóle hodował, króle też. I zające. Wiewiórki.

- No, to może jednak dla Zoo?

- E, nie. Najwięcej, mówię przecież, nutrii. I żeby dla Zoo, toby po co żołnierze i esesi?

Andrzejek pożegnał się z nią, podpędzony przez gospodynię - że mu mleko skisnie, tak długo gadają. I rzeczywiście, poranek stał się już przedpołudniem.

Ruszył szybko z bańką mleka. Sulamita, której - jak się zdaje - nie udało się wykorzystać wizyty we wsi w swoich egoistycznych celach, truchtała z tyłu raczej melancholijna.

Na łąkach zamiast mgły zbierały się pierwsze błyski upału. Nad horyzontem niebo zmętniało przepowiadało spiekotę gorszą od wczorajszej.

Skręcił w stronę dworu. Tu, przy drodze rosła kępa sosen otoczona zbiegowiskiem krzaków. Mijał je, gdy między zakurczonymi olszynkami zobaczył rudą śmigłą wiewiórkę.

Sulamita go wyprzedziła. Skoczyli w krzaki całkiem bez sensu. Jak smagnięta biczem znikła wiewióreczka w gąszczu. Wynurzyła się zaraz na szczycie pierwszej z brzegu sosny, równie rudej, jak ona.

Sulamita niemal bezgłośnie szczełała, przednimi łapami bębniąc w drzewo. Patrzył, zadarłszy głowę, na bez troskę wiewiórki. Też patrzyła na nich czarnymi pacioreczkami oczu. Było w nich trochę zdziwienia, trochę pogardy: że się awanturują te przyziemne istoty, jakby ktokolwiek tego leśnego płomyka mógł dosięgnąć!

Nagle Sulamita przestała pożądlawie jęczeć. Stoczyła się na ziemię, ogon wciągnęła pod siebie. Obejrzał się szybko, także przestraszony. Krzaki były puste.

Tylko z daleka, ze ścieżki, którą opuścił, doleciały go dziwne, znajome i niewytłumaczalne odgłosy. Jakiegoś rozpędu, skrzypienia, czegoś blaszanego, czegoś prędkiego. Jak to, co go ścigało, gdy uciekał z jądra ciemności!

Stał, przy nogach mając Sulamitę splaszczoną i oniemiałą. Gdy przełamał swe skamienienie, gdy ruszył skradając się do ścieżki, już było po wszystkim. Po paręset metrów w jedną i drugą stronę ścieżka, biegła całkiem widzialna. Ni tu, ni tam nic nie zobaczył.

Ruszył do domu, z trudem powstrzymując się od biegu - tak bardzo spieszyło mu się do rozmowy z panem Balbińskim. Zaczęło mu się wydawać, że teraz właśnie niezwykle ważne jest jak najszybsze zwiedzenie leśniczówki.

Wrócił, oddał mleko Agnieszce, pobiegł do pałacu. O tej porze było tu jeszcze cicho. Wszyscy normalni ludzie wstali, piękna Nelly jeszcze się nie pokazywała.

Był zgrzany, zakurzony; wbiegł na schody. Na drzwiach ich pokoju wisiała duża kłódka. Pomacał ręką parapet, gdzie w pierwszych dniach chowali klucze. Ręka wróciła szara jak mysz od kurzu. Było tam pusto.

Obejrzał schodki, zajrzał do szczelin. Klucza nigdzie nie było. Jasne: wzięli klucz ze sobą, żeby mu sprawić przykrość, zmusić do pokory, do proszenia, przepraszania, choćby zwykłej rozmowy.

Pełen czarnej furii, obmył się pod pompą w lodowatej wodzie i machając rękami, żeby je jak najprędzej osuszyć, pobiegł do Balbińskiego.

5.

Zapukał i odruchowo nacisnął klamkę. Usłyszał za drzwiami kroki. Klucz...

Cofnął się o krok: tak dziwny wyraz miały oczy Balbińskiego. Wydały mu się bardziej szare niż zwykle, ciężkie i smutne. Ale to trwało krócej niż sekundę.

- Ach, to ty - powiedział Balbiński. - Właż.

Zamknął za nim drzwi na klucz, przeprowadził do biurka, usadowił na krześle. Sam zgarnął jakieś papiery, schował do szuflady, usiadł, zapalił.

- Pana bardzo te Gorzyżki obeszły? - zaczął Andrzejek.

- Co znowu? - Balbiński podniósł głowę i coś ciemnego przemknęło mu przez oczy.

- Bo tak się pan wypytywał... - Andrzejek trochę się zmieszał. - Co tu było za Niemców, nie?

- Tak czy nie, o co chodzi? Gadaj! - Balbiński usta zacisnął. Był spokojny i chłodny.

- To panu powiem, że już wiem, co tu było.

- Na pewno? Na pewno wiesz?

- Tu, proszę pana, hodowano zwierzęta futerkowe.

- Co ty powiadasz! - Balbiński aż trzepnął ręką po stole. - Jakie znów zwierzęta?

- Ależ tak! Nutrie, przede wszystkim. Na eksport.

- Skąd wiesz?

Andrzejek opowiedział. Balbiński wysłuchał go cierpliwie. Potem jakby się zapaliło jakieś światełko w jego oczach.

- Rzeczywiście, winienem ci parę wyjaśnień. Istotnie, zajmują mnie Gorzyżki. To wcale nie przypadek, że się tu znalazł. Wyznam ci mój sekret, bo widzę, że i tak byś niedługo go rozplątał. Boję się tylko, że się rozczarujesz. Jest on bardzo zwyczajny...

Andrzejek poprawił się w krześle i zamarł. I w jego świadomości, jakby się zapaliły lampy i reflektory, ujrzał nagle ciągi zjawisk, których dotąd nie dostrzegał.

- Jak wiesz, jestem etnografem - powiedział półgłosem Balbiński. - Piszę pracę na temat związków kulturowych między Mazurami a osiadłymi tu Niemcami. Praca jest oparta o analizę kilku typowych miejscowości, między innymi Gorzyżek. Rozumiesz?

Andrzejek kiwnął głową.

- Rozumiesz, ale jesteś rozczarowany -- rzucił Balbiński, jak zwykle czytając w duszy chłopca niby w otwartej księdze. - Wolałbyś, żeby to było bardziej tajemnicze, co?

Andrzejek spuścił głowę.

- Cóż robić? Ja też bym wolał mieć bardziej romantyczne powody ukrywania swoich zainteresowań akurat Gorzyżakami. Czynię tak jednak dlatego, że jestem przekonany o niesłuszności mówienia przez etnografa wprost, o co mu chodzi. Bo wtedy ryzykujemy, że badany będzie popełniał różne nieścisłości, byle tylko przypodobać się badającemu. Rozumiesz?

- Ale przecież pan powiedział od razu, że jest pan etnografem!

- No, tak. Ogólnie biorąc. Inaczej trudno mi było uzasadnić, po co tu się zjawiam. Nie? Ale że właśnie Gorzyżaki mnie interesują, tego nie ujawniłem dotąd. Tylko twoja przenikliwość...

Andrzejek zarumienił się.

- A teraz, ponieważ wyjaśniłeś tak kapitalną dla mnie sprawę, jak to, co tu było za Niemców, pozwól, że ci podziękuję. Idź się kąpać.

Andrzejek usta otworzył.

- Nie, nie! - wrócił do swego Balbiński. - Nic się nie bój! Twoi groźni piraci dziś właśnie ruszyli w dalszą podróż.

- Nie może być!

- Ależ tak! Możesz być spokojny. Idź się kąpać. Andrzejek nie wstał jednak.

- No? - z pewną niecierpliwością rzucił Balbiński.

- Widzi pan... - zaczął Andrzejek - to bardzo ładnie, że... owszem, z tymi nutami, to wyjaśnia i że ogrodzenie, i że... Ale nie wszystko...

- No, co takiego?

- Ja tak szedłem i myślałem... - Opowiedział jeszcze raz o leśniczówce. O swej najnowszej przygodzie z tym lękiem Sulamity. Balbiński uśmiechał się pobłażliwie.

Wtedy Andrzejek nie wytrzymał i wywłókł tę dyktę. Balbiński pomilczał chwilę, potem rzekł dosyć niechętnie:

- Zbieg okoliczności. Trzy sprawy, które się zbiegły przypadkiem. Gadanina Agnieszki, już ci powiedziałem, co warta. Że Podsiadło się przestraszył - żadna sztuka. Pamiętasz, Robinsona przeraził nawet ślad stopy ludzkiej.

- A po co łamali?

- Szabrownicy. Wielka mi sztuka!

- No, a ja? Przysięgam, nic mi się nie przywidziało!

Pan Balbiński uśmiechnął się.

- Słowo! Słowo!... - krzyknął Andrzejek.

- Możliwe! - odpowiedział Balbiński. - Może w nocy dykta rzeczywiście nieco się przesunęła. Ale, mój Boże, tyle może być tego powodów! Przeciąg, szczury!

- A... a pan? -- zaczął ostrożnie Andrzejek.

- Co ja? - ostro rzucił Balbiński.

- Pan tak się wypytywał Podsiadły, Właśnie o to...

Balbiński znów zapalił. Pobębnił trochę palcami i zaraz się uśmiechnął.

- Widzisz, to są takie sztuczki etnografów. Próbowałem sprawdzić, czy nie buja. Rozumiesz? Wybrałem ten akurat punkt całkiem przypadkowo...

Andrzejek uległ. Inny pomysł w nim się zrodził.

- Dobrze, z tą dyktą. Ale leśniczówka...

- Co ty z tą leśniczówką? Chodzisz i gadasz wszystkim: leśniczówka, leśniczówka!

- Pan mówił, że tam pójdziemy...

- Owszem. Pójdziemy.

- Kiedy? Może dziś?

- Nie, dziś nie.

- Proszę pana. Może to przywidzenie, zgoda. Ale może... I jeżeli... każdy dzień się liczy!

- Mój drogi, mówię ci, pójdziemy. Ale nie dziś. Jestem dziś zajęty.

Tu właśnie Andrzejek ujawnił swój pomysł:

- Proszę pana; a jeśli piraci sobie pojechali, to i ja... ja sam... Tam, do leśniczówki...

- Zwariowałeś! - Balbiński aż się podniósł. - Sameś naopowiadał o tych wszystkich strachach...

- Tak, ale w dzień? Teraz, do południa na przykład. Przed obiadem wrócę i panu zaraz wszystko... Balbiński był wyraźnie speszony.

- Przecież sam pan mówił, że to bujda ze strachami - ciągnął Andrzejek. - Więc, jak ten sobie pojechał...

- Nie, nie! - Balbiński podszedł do okna, chwilę się gapił. - Wiesz co, zaczekajmy do jutra! Jutro może i ja...

- Ależ dlaczego do jutra? To znaczy, możemy i jutro też, razem... Ale po co marnować dzień? Pójdę sobie zaraz i potem wszystko panu opowiem. W dzień się niczego nie boję, słowo daję...

Balbiński wrócił do stołu, usiadł, zgasił papierosa.

- No, więc niech będzie po twojemu. Przekonałeś mnie, pójdziemy tam dzisiaj. Ale dopiero po obiedzie. Muszę odwalić bardzo pilną robotę.

Andrzejek ucieszył się zrazu, potem jednak cień przekory wrócił mu do oczu.

- Nie rozumiesz? - ciągnął Balbiński. - Oczywiście; jestem przekonany, że to wszystko są przywidzenia. Ale nie chcę ryzykować. Pójdiesz i coś ci się stanie. Oczekujesz tam Bóg wie czego, więc tym łatwiej może ci się coś przywidzieć. I może nogę skręcisz ze... z wrażenia. Po co mi to, pytam się ciebie? Idź do swego pokoju... i...

- Nie mogę, Zamknęli go na klucz.

Balbiński szybko spojrzał na Andrzejka.

- Doprawdy, proszę pana! Tacy zrobili się niedobrzy. Po prostu świnię.

Tamten machnął ręką.

- No, to trudno. Idź na plażę, weź sobie kajak. Tylko nie wyjeżdżaj na pełne jezioro! Uważaj. Po południu ruszamy. Sam cię znajdę. Czołem...

6.

Było to jedno z najdłuższych południ w życiu Andrzejka. Oczywiście, poszedł na plażę. Leżał na słońcu bardzo długo, jakieś pięć minut. Potem pomyślał sobie, że może czas ruszy prędzej z miejsca, jeśli on, Andrzejek, będzie się ruszał. Skoczył więc do kajaka, nieporównanie pewniej odepchnął się od brzegu. Upał w trzcinach był niemożliwy.

Z tym większym zapałem wypłynął z labiryntu zarośli na pełne jezioro. Tu wiaterek silniejszy niż wczoraj pokrył wodę rybią łuską drobnej równiutkiej fali. Jezioro wydawało się jednak jakby mniejsze. Zamiast wczorajszego bezbrzeża poza wyspą widziało się tam teraz jakieś zamglone żółtozielone pasy. Andrzejek znów zagapił się na wyspę, znów spróbował posunąć się ku niej i znowu zawrócił odepchnięty nieustępliwym wiatrem.

Gdy wydało mu się, że minęła druga, a może i trzecia, wrócił na przystań. Chłopcy pryskali się wodą. Szybko dobił, minął ich bez słowa. Pędem wleciał na wieżę. Niestety, kłódka wisiała na drzwiach, klucza nie było.

Wściekły zeszedł na dół. Poszukał pana Balbińskiego, ale w pokoju go nie było. Poszedł na obiad, zjadł szybko nudną zacierkę, zerkając, czy nie ciągną ci z plaży. Agnieszka użalała się znowu na brak produktów, namawiając go, żeby jeszcze raz poszli na raki, a choćby nałowili ryby.

- Tak, tak, oczywiście! - rzucił jej i pobiegł.

Teraz jeszcze dwie godziny krążył koło pałacu. Dziwna rzecz: pan Balbiński mówił, że taka pilna ta praca, a teraz gdzieś przepadł!

Andrzejek więc krążył dokoła pałacu, w okna zaglądał, słuchał. W pewnej chwili musiał dać nura w krzaki: wychodziła Lucyna.

Wreszcie znalazł taki zakątek w parku, że widział na raz i wejście do pałacu, i drogę od Agnieszki. Zaczajony między krzaczkami dziczejących porzeczek, czekał i myślał.

Coś niepojętego działo się dokoła niego, to fakt. I choć trudno było znaleźć, dlaczego on akurat miał być obiektem czyichś prześladowań, to wystarczyło trochę szerzej sprawę ująć, aby i ta okoliczność nabrała prawdopodobieństwa.

On sam, Andrzejek, nic nikomu nie zrobił. Ale jest on częścią paru kolektywów. Może hałaśliwa czwórka komuś się naraziła, czyjeś niedobre zamiary pokrzyżowała?

Albo może to nie on, Andrzejek, ale jego opiekun od niedawna...

Czegoś tu szuka! Etnografia -- co za bajeczki! Co wspólnego z etnografią mają wyważone na wiosnę czterdziestego piątego drzwi? Co wspólnego z tym mają zajęcia ostatniego gorzyjałkowskiego dziedzica?

Otóż to! Ten trop myślowy okazał się szybki, wciągający, nie do odparcia! Wystarczyło o nim pomyśleć, wystarczyło, by wyjaśnił parę dostrzeżonych nielogiczności, a już nie można było z niego skręcić. Już ciągnął za sobą do tego samego, do niepokoju.

Czemu nie ma pana Balbińskiego? Ważna robota? Nie chciał Andrzejka w swoim pobliżu. Jasne. Czekał na kogoś czy na coś! Miał bardzo dziwne spojrzenie! Ciężkie i smutne wydały się Andrzejkowi jego oczy, ale przecież nie bardzo zna się nasz bohater na stanach duchowych. Może tak właśnie strach wygląda w oczach dorosłego mężczyzny?

Jak dziecinnie się tłumaczył pan Balbiński! Z tych Gorzyjałek, z tych niedopowiedzeń! A teraz znikł, po prostu znikł! Może by i alarm już należało...

Ale w tej chwili cień nagły przesłonił rozszalałe popołudniowe słońce.

Andrzejek zerwał się. Balbiński stał przed nim zdrów, cały, nawet uśmiechnięty.

- Proszę pana! - krzyknął Andrzejek, błyskawicznie uspokojony, szczęśliwy, ale i pełen pretensji. - Pan mówił, że to pilna robota...

- A mimo to zniknąłem z pałacu? - Balbiński uśmiechnął się jeszcze szerzej. - A któż ci powiedział, że to miała być robota biurowa? No, więc słówko się rzekło, ruszamy do leśniczówki.

Było trochę po piątej. Słońce gorętsze niż kiedykolwiek. Zarośla sosnowe za bramą jazgotały metalicznym śpiewem pasikoników. Pszczoły brzęczały na płachetkach fioletowego cząbbru. Piasek na drodze przybrał kolor popiołu, parzył stopy, wzbijał się przy lada tknięciu obłoczkami kurzu.

Szli szybko, śpiesząc do lasu, do cienia. Ale sosny były zbyt rozgrzane, cień ich stał się przezroczysty, pachnący żywicą, prawie tak gorący, jak nadjeziorne słońce. Stada żuków Cicindela zrywały się z drogi, brzęcząc miedzianoszarymi pokrywami. Krzaki jałowców traciły spiczastość, szczyty ich zaczynały falować jak w kościele obrazy świętych nad płonącymi świecami. Było żywicznie i duszno.

Aż do pierwszego rakowego jeziora Andrzejek szedł pewnie. Dopiero gdy zobaczył je wynurzające się z kęp wysokiej sośniny, przystanął w niepokoju.

- Chyba tędy! - mruknął pokazując na ścieżkę zaplątaną między krzakami.

- Tędy? Na pewno? - Balbiński stał chwilę. - Czy się nie mylisz?

Andrzejkowi wydawało się, że nie, i jego towarzysz ruszył wreszcie za nim. Po jakimś czasie wleźli w gąszcz krzaków, którego sobie Andrzejek nie przypominał. Przedzierając się przez kolczaste zarośla maliny, brnęli coraz głębiej. Wreszcie musieli stanąć. Wrócili nad jezioro. Tu było parę ścieżek. Pan Balbiński kazał Andrzejkowi przypomnieć sobie kolejne etapy jego nocnej wędrówki. Kucnął przy tym i zaczął rysować coś na piasku. Gdy Andrzejek skończył, Balbiński zrobił ostatnią kreskę i wstał.

- Jasne - powiedział. - Tędy!

Teraz to on prowadził. Andrzejek szedł posłusznie, choć znowu nie mógł poznać w mijanych okolicach tego, co sobie zapamiętał w nocy. Zaczął nawet skarżyć się, że znowu błędzą, gdy nagle z gąszczu leśnego wyszli wprost na alejkę z dorastających świerków. Stanął. Wyglądało to na czarodziejstwo.

- Proszę pana! - szepnął. - Jakim cudem?...

- Że co? Że nie zabłądziliśmy? - Balbiński się zaśmiał. - My, etnografowie, mamy takie swoje sposoby. Słuchałem cię bardzo uważnie i próbowałem to wszystko orientować w terenie. To niewielka sztuka, nauczę cię kiedyś...

Ruszyli alejką. Jakże inne było wszystko dokoła niż owej zamierającej nocy!

Owszem, i teraz trochę niesamowitości zachowała ta leśniczówka. Mimo słońca, mimo upału, jasności, żywych radosnych kolorów drzew wstępując na podwórze odczuwało się jakieś szczególne wzruszenie, niepodobne do tego, czym obdarzyć mógł człowieka las okoliczny.

Tak oto wyglądało to w świetle dziennym. Dziedziniec nieszerszy niż trzydzieści metrów. Z prawej dom otoczony kilku starymi dębami i jedną na pół spróchniałą osiną. Dom był z „pruskiego muru”, czarne belki na krzyż wmurowane w cegłę wykruszyły się. Oczywiście, śladu nie pozostało z drzwi,

ram okiennych, nawet futryn. Ciemno patrzyły na przybyszów otwory okienne, w ich półmroku dostrzegało się zrujnowane piece, kupą cegieł wznoszące się po obu stronach wewnętrznej ścianki. Kilka generacji osin zdążyło już wyrosnąć dokoła, co zwawsze puszczały pędy wprost z domu, wychylając z okien długawe przybladłe łodygi.

Przed oknami kiedyś były klomby. Ta lepsza ziemia znakomicie się nadawała przede wszystkim pod pokrzywy. Ogromne, wzrostu ludzkiego kępy tego paskudztwa wybijały przed domem, niemal bez śladu topiąc w powodzi swej czarnej zieleni krzaki zdegenerowanych różyczek i bzu.

Z lewej stały dwa ceglane budynki gospodarskie, też bez drzwi, a nawet bez dachów. Tam dopiero osiny pokazały, co potrafią! Na znakomitej podściółce obornikowej, rozkruszywszy ceglaną posadzkę, przeżarłszy to, co było deskami, całe legiony wysmukłych osinek pięły się ku słońcu, wywalając swe korony ponad mury. Także i dziedziniec był zatopiony najmłodszą, zeszłoroczną generacją osin, nie sięgającą wyżej niż do pół łydki, ale gęstą, o jeszcze dziecinnie dużych nieruchawych liściach.

Tak się tutaj zmagał smutek rozpadania się dzieł ludzkich z beztroskim rozpędem przyrody. Andrzejek stał przy Balbińskim, unieruchomiony własnymi uczuciami, w których najwięcej było żalu, jakby to już jesień zawitała na ziemię.

Było cicho. Nie słyszało się tu ani ptaków, ani pszczoł. Tylko wietrzyk, nieodczuwalny dla zwykłego drzewa, potrafił rozhuścić osinowe listowie i to szeleściło, jakby sypały się gdzieś na ziemię kartki podartej książki.

- No, Sherlocku Holmesie! - rzekł wreszcie Balbiński. - Otośmy na miejscu. Zaczynaj swoje śledztwo.

Andrzejek przestąpił z nogi na nogę. Teraz, gdy się spełniła jego zachcianka, nie wiedział, od czego zacząć.

- Tu przecież twoje „jądro ciemności” - ciągnął Balbiński. - No, to jazda, badajmy to jądro. Gdzie słyszałeś swego niewidzialnego prześladowcę?

To było na prawo, kolo domu mieszkalnego. Andrzejek zdał sobie sprawę z niewiarogodności tego, co słyszał. Słyszał kroki, zwyczajne ludzkie kroki, jakby ktoś szedł po równej, dobrze sobie znanej drodze. Słyszał te kroki tuż koło domu. Widział teraz, że dom tonął wprost w powodzi osin i pokrzyw. A przecież w owych krokach nic nie było z przedzierania się przez te zarośla...

Fala zwątpienia. Może przecież mu się przywidziało tamtego dziwnego przedranka? Odwrócił się, spojrzął na ścieżkę, którą uciekał. Nic nie rozumiał.

- Chodźmy! - Balbiński popchnął go lekko. - Gdzie stałeś wtedy?

- Z grubsza tutaj - szepnął Andrzejek.

- I te kroki?...

- Tam - pokazał na dom.

- Było ciemno?

- Owszem. Księżyc już prawie zaszedł. Wielkie cienie na podwórzu. Wschód ledwo znaczny, za tamtymi drzewami...

- Ciekawe. Może po prostu w ciemności nie zauważyłeś tego, kto szedł?

- Sam nie wiem. Proszę pana, a może mi się wszystko przywidziało?

- Przecież ci mówiłem od razu! Czemu dopiero teraz?...

- Bo... te zarośla. - Andrzejek pokazał na dom i gąszcze przy nim. - Nie słyszałem, żeby się przedzierał, jakby zwyczajnie szedł po gładkiej ziemi...

- A... - pan Balbiński machnął ręką. - To jeszcze nie dowód. Chodźmy bliżej.

Ruszyli. Ścieżka, która ich prowadziła dotąd, acz zarośnięta - tu kończyła się jak ucięta nożem. Balbiński wyłamał kij, siekł natrętne pokrzywy. Z trudem dobrnęli do zrujnowanego ganeczku.

Tu dopiero zaczęła się prawdziwy jesienny smutek. Bach i ściany przetrwały, dlatego w środku panował swoisty zielonkawy półmrok. Koło okien tworzyły się pierwsze poduszeczki mchu na podłodze. Zgniła zresztą zupełnie, przy energicznym stąpieniu noga Balbińskiego zanurzyła się po kostkę w drzewnym próchnie. Z sąsiedniego pokoju doleciały zaaferowane piski: to szczurza rodzina uciekała kędyś w popłochu, mignęły tylko długie, nagie, rudawe ogony.

Wchodząc do środka Balbiński parę razy machnął kijem; tak gęsto zasnuły otwór drzwi pajęczyny, że kij stał się miękki i szary. I ten drugi pokój był umarły. Wystarczyło spojrzeć na to, co zostało z podłogi, aby się przekonać, że człowiek od lat nie postawił tu stopy.

Zajrzeli jeszcze do trzeciego i czwartego pokoju. I tam była ta sama pustka, próchno, pajęczyna.

- Może strych? - spytał Balbiński.

Wyszli na podwórze. Na strych nie prowadziły żadne schody, żadna drabina. Balbiński chwycił nagle Andrzejkę i jak dziecko ustawił go sobie na ramionach. Ten przed nosem zobaczył czarny otwór strychu. Był zasnuty wielokrotną warstwą pajęczyn, jak zeschnięty liść tkwił w niej martwy motyl rusałka pawik.

- No? - zapytał Balbiński.

- Nie, nie, proszę pana! Nic tu nie ma! - Andrzejek znalazł się na ziemi. - Ale z pana siłacz! - powiedział zadzierając głowę z podziwem.

- To raczej ty chuchro. Piwnice?

Okazało się jednak, że leśniczówka w ogóle ich nie miała. Weszli jeszcze do domu, tupali nogami w spróchniałą podłogę, legiony stonóg i pajaków w panice pierzchały ze wszystkich szpar, ale zamiast piwnicy pod podłogą kryła się tylko dwudziestocentymetrowa pustka, idealna dla myszy i szczurów.

Zerknął przez martwe okno na zewnątrz. Tu zaraz zaczynał się las: nędzne wisienki, zupełnie zmartwiałe, przytłoczone bujnością brzoźek i osin. Trawa stała wysoka, żadnych śladów ludzkich legowisk.

Wyszli na podwórze. Po stęchłym wilgotnym powietrzu martwego domu powiew wietrzyka pełen woni rozgrzanej żywicy wydał się upajający jak pachnidło.

- Teraz do zabudowań! - rzekł Balbiński.

Andrzejek pokręcił głową.

- To było przywidzenie, proszę pana. Szkoda czasu.

Balbiński popatrzył nań uważnie.

- No, jak chcesz... - powiedział. - Możemy wracać. Tylko, żebyś mi znów nie zaczynał z tym „jędrem ciemności”!

- Nie, nie... Teraz widzę...

I rzeczywiście zobaczył. Zerknął na dom, a potem nagle skoczył.

- Co z tobą?! - zawołał Balbiński.

Andrzejek już był przy niegdysiejszych drzwiach. - Niech pan patrzy! - krzyknął.

I ruszył tuż koło ściany, całkiem swobodnie. Zarośla, tak gęste na dawnych klombach, nie dochodziły do murów, zostawiały wolną przestrzeń dostatecznie szeroką, by człowiek swobodnie mógł się tędy posuwać.

Czy były tu ślady? Andrzejek aż ukląkł, pochylił się do ziemi. Żałował, że nie ma ze sobą lupy: wiedział, że to nieodzowny sprzęt dla każdego detektywa.

Ziemia jednak była oporna, wysypana tłuczoną cegłą. Poza mchem i trawką nic tu nie rosło. Wstał zaraz, pochylony ruszył wzdłuż murów.

- No, no! Bardzo ciekawe! - zawołał z podwórza pan Balbiński. - Szukaj, szukaj. Starannie!

Andrzejek doszedł do rogu, skręcił i zaraz przystanął. Ścieżkę zawałiła kupa suchych gałęzi. Leżały tu rude jałowce, szarolistne osiny, nagie pałki leszczyn. Dalsza droga była niemożliwa.

- No, co tam? - krzyknął Balbiński.

Andrzejek nie odpowiedział. Stał, gapił się na tę stertę. Po chwili usłyszał kroki.

- Ach, tak! - powiedział tamten. - Ciekawe! Wynikałoby, że zrazu wyjaśniłeś tajemnicę niewidzialnych kroków, a teraz znów tę nić zgubiłeś!

Andrzejek skinął głową. Twierdząco.

- Rzeczywiście, ścieżka przy ścianach dostatecznie szeroka, aby nią iść całkiem swobodnie. To nawet tłumaczy niewidzialność tych kroków: zasłaniały krzaki. A tymczasem ta kupa gałęzi... Tak, bardzo ciekawe... Z której strony zbliżały się kroki? Stąd, od tej sterty, czy od drzwi?

Andrzejek patrzył w ziemię.

- Stąd... - powiedział wreszcie głucho.

- To jednak musiało być przywidzenie. Halucynacja słuchowa. Na tle ogólnego napięcia nerwów. Bo sam rozumiesz, poprzez tę kupę nikt nie mógł przejść nie narobiwszy piekielnego hałasu. Nie?

Andrzejek skinął głową.

- No, zerknij jeszcze, co tam dalej, za tym chrustem.

Podsadził go, wzięwszy pod ramiona. Przez sekundę widział Andrzejek wybujałą trawę, jakieś krzaki, drzewa. Ścieżynki żadnej, jakby to na jej końcu leżała owa sterta.

- Chodźmy! Już późno! - rzekł Balbiński stawiając go na ziemię. - No i co? Są tam jakieś ślady?

Andrzejek pokiwał przecząco głową. Ruszyli. Balbiński skierował się do pierwszej z brzegu ruiny.

- Proszę pana, a po co? - spytał Andrzejek.

- Nie, mój drogi! Jakeśmy już tu przyszli, musimy wszystko obejrzeć bardzo starannie!

Z trudem wleźli w gąszcz osinek. Były tak zwarte, że człowiek nie mógłby się tędy przedostać nie łamiąc z nich żadnej. Wobec tego dali za wygraną.

Była jeszcze stodoła. Tu też osiny się rozplenily, ale było trochę luźniej. W kącie znaleźli wywalone przed laty drzwi. Balbiński zabrał się do ich podnoszenia. Ciężkie, spróchniałe.

- Proszę pana, nic tu nie ma!

- Skąd wiesz?

Ale Andrzejek miał rację. Trochę zwyrodniałej białej trawy i bardzo dużo stonóg - to było wszystko.

Zerknęli jeszcze za stodołę. Wśród wybujałej trawy leżały tam tylko rude szczątki osobowego samochodu, jak czaszka jakiegoś ogromnego psa. Andrzejek pokręcił głową. Miał dość tych poszukiwań.

Ruszyli wreszcie z powrotem. Słońce zabierało się też do odejścia, upał zmalął, zwolna uciszało się brzęczenie owadów nad wysokimi drzewami.

- No, co z kompleksem? - spytał Balbiński. - Zostało co jeszcze z tej ciemności czy już wszystko jest jasne?

- Wszystko jasne - mruknął Andrzejek i aż do pałacu milczał odpowiadając tylko „tak” lub „nie” na kilkakrotne próby Balbińskiego rozpętania rozmowy,

7.

Wieczór upłynął Andrzejkowi nijako. Zajęty unikaniem reszty zespołu i nie chcąc ryzykować samotności, przesiedział u Kurdybów na ganeczku, wysłuchując po raz nie wiadomo który kolejnych żalów Agnieszki: znowu zdechła jej kura! Gdy wrócił do domu, reszta już spała, zmożona wczesnym wstawaniem do sianokosów.

Obudzili go nazajutrz o świcie: wyklócali się, bo Zdzisio wykręcał się przed koszeniem, powołując się na Agnieszkę, która żądała ryby.

Przeczekał, aż się wybiorą wszyscy, jeszcze trochę pospał. Gdy wreszcie wstał, ranek zapowiadał się upalniej niż dotąd. Słońce ledwo wzeszło, a już było całkiem ciepło. Pajęczyn na ostach nie zdołały, jak zwykle, drobnutkie perełki rosy i trawa nawet była prawie sucha.

Uniknął spotkania z resztą. Nie brali go od niedzieli na sianokosy. Wiedział, że długo tak trwać nie może, że jego zaliczka niebawem się wyczerpie. Ale jakoś nie chciało mu się nad tym akurat głowy sobie łamać. Miał inne tematy do rozmyślań.

Kąpał się koło przystani. Woda była zdumiewająco ciepła. Zobaczył w trzcinach Zdzisia z wędką. Ten był sam tym razem. Ale wielkiej satysfakcji Andrzejkowi to nie przyniosło.

Po śniadaniu spotkał Balbińskiego.

- A, Sherlocku! No, jak się spało? Teraz, gdy jądro ciemności przestało istnieć, mam nadzieję, że świetnie.

Andrzejek kwaśno się skrzywił.

- No, co robisz?

- Sam nie wiem...

- Idź na plażę. Wspaniała pogoda!

- Kiedy mi się nie bardzo...

- Idź, idź! Weź kajak, popływaj sobie...

- Kiedy mi te wszystkie trzciny zbrzydły...

- No, to spróbuj trochę dalej. Dziś można. O, popatrz, jak cicho!

Rzeczywiście, ranek wyrastał niewiarogodnie spokojny i ciepły. Drzewa przy pałacu ani drgnęły, dym tylko z dogasającego komina spełzał jakoś na dach, stał w powietrzu smolisty i rzeński jak kadzidło.

- Jakaś tu trafiał, to przynajmniej korzystaj. No, bierzesz ten kajak?

- Owszem, dziękuję.

- No, to cześć! Pomyślnych wiatrów!

Balbiński znikł i Andrzejek ruszył na plażę. Był pełen jakiejś ociężałości. Bez szczególnego uniesienia widział się w kajaku. Upał zresztą rósł z minuty na minutę, obezwładniając ciało i myśli. Chciało się tylko leżeć gdzieś w cieniu, może spać.

W pół drogi do przystani zatopiła go fala lenistwa szczególnie wysoka. Pomyślał sobie, że od dawna chce jakoś to wszystko uporządkować, ułożyć te rozmaite dziwaczne sprawy, które się dokoła niego dzieją. Teraz, po tym, co widział wczoraj...

Zawrócił do pałacu. Było pusto i cicho. Już ze schodów dostrzegł, że Lucyna z piękną Nelly idą na plażę. Za nimi dreptała Sulamita.

Cicho, żeby go nie dosłyszały, wszedł do pokoju w wieży. Upał z okienek buchał jak z pieca.

Bardzo trudno myślało się w tej spiekocie. Odruchowo zadął głowę, aby odpędzić z myśli to, co przypadkowe. Zobaczył dyktę.

Wstał, ruszył ku schodkom. Sam jest w pałacu - w tej właśnie chwili to sobie uświadomił. Wydało mu się to argumentem dodatkowym, żeby nie odkładać dłużej tych poszukiwań.

Dykta była lekka, rzeczywiście, lada podmuszek mógł ją ruszyć z miejsca. Na poddaszu panował półmrok. Było niskie, małe, puste. Kurz tylko i w tym kurzu ślady czyjegoś pełzania na kolanach.

Nie czuł żadnego lęku. Obejrzał wszystko. W przeciwnym kącie zobaczył płaską kupę papierzysk. Wziął je do ręki. Spod kurzu wyjrzały gazety: „Völkischer Beobachter”, „Angriff”, „Berliner Allgemeine Zeitung”. Rzucił okiem na datę: koniec czerwca 1944 roku. Na samym spodzie leżało jeszcze coś. Ostrożnie wyciągnął. Duża złożona w ośmioro mapa. Złazł do pokoju. Rozłożył ją na kolanach. Była to niemiecka mapa wojskowa tych okolic. Pośrodku ogromną niebieską plamą świeciło „Spiring-See”. Na jego węższym końcu Andrzejek dostrzegł „Gut Gorzyialken”, wśród zaś spiczastych jodełek dwie kropki błękitu, jedna „Skarb-See”, druga „Radostsch-See” i pół centymetra dalej jelenie rogi.

Mapa była stara, zużyta, pogryziona tu i ówdzie, o zetkniętych liniach załamania. Co sprawiło, że nie wsadził jej do plecaka, między książki, byle gdzie.

Na odwrót, pochylony nad nią, zaczął palcem wodzić od jednego kwadracika do drugiego. Trwało to z dziesięć minut.

Ten upór nie poszedł na marne. W pewnej chwili, w pewnym punkcie dostrzegł maleńki czerwony krzyżyk. Przejrzał całą mapę. Nic więcej na niej nie znalazł.

Długo gapił się na ten krzyżyk. Potem sięgnął do plecaka, wyciągnął notes.

Znowu zaczął nieposłuszne myśli spędzać jak owce do kupy. Wielokrotnie wracając, kreśląc, poprawiając, próbował ułożyć wszystkie wydarzenia, których nie umiał sobie wytłumaczyć. Z wczorajszym i dzisiejszym, z tym krzyżykiem na czele.

Jakie to było trudne! Pisał, przekreślał, znowu pisał. Wreszcie ogarnęła go senność tak wielka, że machnął ręką na próby powiązania owych zagadek w jakieś logiczne ciągi.

Po prostu przepisał na czystej kartce to wszystko, czego nie rozumiał. Brudnopis zmiął i cisnął do żelaznego piecyka. Już się chciał wyciągnąć w łóżku, gdy na dole usłyszał kroki.

Zerwał się zaraz. Były to złe, skradające się kroki. Przypomniał sobie: nikogo w pałacu! Chwila bezwładu. Następnie fala strachu podnosi go jednak. Machinalnie chowając czystopis do kieszeni, chwyciwszy mapę, ogląda rozpaczliwie pokój. Gdzie uciekać? Kroki skradają się po schodach. Gdzie uciekać?

Przerażony, że skrzypną deski, że zaszurgoce dykta - rzuca się jednak tam właśnie, do jedynego wyjścia, do schodów na strych.

Zawierucha.

1.

Z rana Zdzisiowi udało się wykręcić od sianokosów: rzeczywiście, wszyscy aż za dużo nasłuchali się utyskiwań Agnieszki na temat braku wiktuałów. Pogalopował więc nad jezioro, po drodze zahaczwszy o zapuszczony ogród, gdzie się kopało robaki.

Ranek dopiero się rodził. Dziwny, niepodobny do innych. W tym przede wszystkim, że był jeszcze bardziej pogodny, cieplejszy niż dziesięć poprzednich. Gdy Zdzisio odepchnął od przystani rybacką puchówkę, słońce dopiero wynurzało się z horyzontu, który dziś wydawał się bardziej niż zwykle zadymiony. Ale ciepło było takie, że można było zrzucić sweterek i zostać w leciutkiej koszulinie.

Zdzisław wyrwał się na te ryby, głównie żeby się wykręcić od koszenia, toteż niedługo się zastanawiał nad wyborem miejsca. Mętnie przypomniał sobie, że akurat w tych trzcinach łapali rybę owego poranka. Skręcił więc, wjechał w trzciny. Wyciągnął wędkę, dosyć zręcznie zarzucił ją w pierwsze lepsze oko wodne.

Była cisza ogromna. Ptaki nadwodne jeszcze nie rozpoczęły swych bezszumnych lotów nad trzcinami i pokrzykiwań. Pszczoły, osy, trzmiele czekały na pierwsze parę kroków słońca. Ani śladu wiatru, jezioro przeświecające przez trzciny wyglądało jak polane z wierzchu płynną gliceryną.

Tylko między trzcinami co chwila rozlegały się jakieś pluski. Coś się wynurzało z prawa, z lewa, z tyłu, koła wodne rozbiegały się, zderzały, krzyżowały. Zaintrygowany Zdzisio odwracał się za każdym takim pluskiem, usiłując zrozumieć jego przyczynę. Za każdym razem jednak spóźniał się, zastawał tylko uciekające na wszystkie strony mikroskopijne fale.

A wędka tymczasem spała. Biało-czerwony koreczek dotarł do jakiejś trzciniki i znieruchomiał. Minął kwadrans bez najmniejszego rezultatu. Zdzisio zirytował się. Znowu pech! Może jest w tym jakaś większa racja dziejowa? Wtedy przed Momajkami także przecież nic nie złapał. Te parę nędznych rybek z Lucyną? Może właśnie ona miała szczęście, on zaś po prostu te ryby odstrasza? Bo przecież ani jednej nie widać!

Pluski szły w najlepsze, koreczek zaś drzemał. Od Lucyny do Andrzejka przeskok był nietrudny. Zdzisio i żałował go trochę, i potępił. Jakże to, żeby się tak wyłamać z kolektwy?!

Tym razem plusk rozdarł wodę akurat w tym miejscu, na które zagapił się Zdzisio. Przez ułamek sekundy w powietrzu błysnęła rozwarty pysk sporej złotawej ryby. Nie chciał sam sobie wierzyć! Tu wszystko dokoła łomoce od ryby, on zaś siedzi już blisko pół godziny bez najmniejszego skutku. Co za pech!

Ze złością podniósł beczynną wędkę i przerzucił tam, gdzie właśnie plusnęło. Nie zdążył przeżyć cienia nadziei, nie zdążył pomyśleć. Natychmiast gdy koreczek tknął wody, zamiast zachwiać się i spocząć, popłynął sobie wolno w lewo.

Jakoś niezależnie od woli Zdzisia wędka skoczyła do góry. Poruszenie między trzcinami, łopot. I oto oleista poranna woda pękła, oto na wędce trzepoce...

Jakże wielka mu się wydała ta wzdrgęta! Szczyt wędki niepokojąco się wygiął. Z bijącym sercem ściągnął ją do siebie. Za dużo włożył w to energii: ryba przeleciała mu koło nosa i znalazła się znów nad wodą. Parę razy tak balansowała, za każdym przygotowując serce o paskudne zamierające skurcze,

Wreszcie schwycił rybę w ręce. Była bardzo piękna: o ciemnozłocistych łuskach, czerwonych płetwach, jaskrawo pomarańczowych otokach oczu. Drżącymi palcami odczepił ją od haczyka. Chwilę trzymał w ręce. Musiała mieć ze dwadzieścia centymetrów! Była większa od największych złapanych wtedy z Lucyną.

Znowu pluski. Zarzucił znowu, jak najbliżej ostatniego. I znowu prawie natychmiast chwyciła przynętę kolejna krasnopiórka.

Była mniejsza, łatwiej trafiła do łodzi, mniej przysporzyła emocji. Zaraz zarzucił znów.

Tym razem czekał może minutę. Pływak, zamiast powoli popłynąć w bok, gwałtownie się zanurzył, jakby porwany czyjąś ogromną siłą. Zdzisio nerwowo targnął wędką do góry, przygotowany niemal na rekina.

Wędką wyleciała prawie pionowo. Na jej końcu pałętało się coś małego, śmiertelnie przerażonego własną bezczelnością i kosmicznymi skutkami, które wywołało. Był to pasiasty czerwono-zielony okonik. Zdzisio go wypuścił.

Pluski zagęściły się nawet, ale w pewnym oddaleniu od łódki. Pragnąc dotrzeć do nich, cisnął wędkę tak niezręcznie, że haczyk z ciężarkiem owinął się dokoła wiśniowej kiści kwietnej i natychmiast zaplątał się w niej na amen. Musiał się podciągnąć. Wściekły, że traci czas, złamał szczyt trzciny, z trudem wyplątał haczyk i rzucił go byle gdzie, w pierwsze lepsze oko wodne.

I znowu, ledwo dotknęła przynęta wody, już się coś poruszyło, spławik wolno popłynął. Zdzisio targnął wędką, jeszcze gniewny, Zaraz jednak omal jej nie upuścił, taka okazała się ciężka!

Teraz dopiero wygięła się! Przerazenie pokryło Zdzisiowi czoło drobnymi kropelkami potu. Nie wiedział, co robić. Wydało mu się, że słyszy trzask, że się łamie szczyt wędkę. Odruchowo podniósł ją jak najwyżej. Rzeczywiście, ledwo się trzymała zgięta trzcinka bambusowa.

Ale to była ryba! Też wzdręga, tylko większa od tamtej największej. Ile razy? Nie myślał. Zaciskał zęby. Potem jednym gwałtownym ruchem ściągnął rybę nad łódkę. Oczywiście, z rozpędu wyleciała na drugą stronę. Tych parę sekund przeżył jak w paskudnym śnie.

Dopiero gdy odczepiona spadła na dno, przysłała na Zdzisia fala dziwnego, nie znanego mu dotąd zmęczenia. Otarł czoło, zapatrzył się w grubą ciemnozłotą rybę. Była może o ćwierć dłuższa od poprzedniej, ale jej wyjątkowa krępość i grubość sprawiały, że ważyła chyba cztery razy tyle.

Odwrócił się wreszcie, nie wiedząc, że w tym momencie stał się ofiarą jednej z najzawziętszych odmian narkomanii: rybołówstwa. Odwrócił się od swe go wspaniałego łupu, bo już targala nim niecierpliwosc: coś większego! Może jeszcze coś większego? Zarzucił. Czekał chwilę. Wyciągnął. Nie, to nie była większa, była mniejsza. Ale była! Drżącymi z pośpiechu palcami zakładał przynętę, ciskał w trzciny, wściekał się, gdy plątała się w liściach, przesuwał łódź dalej, w głąb trzin.

Ile czasu trwało to szaleństwo? Spora kupka złotych wzdręg, czerwono-zielonych okońków, srebrzystych płotek leżała pod ławką. Wzbierający upał odebrał ich kolorom świeżosc. Która to godzina? Nie miał czasu spojrzeć na zegarek. Wielka wzdręga była ciągle największa. Pieczołowicie przesunął ją w cień, żeby nie straciła swojej złocistości.

Spostrzegł nagle, że w bańce został mu jeden tylko robak. Nasadził go, nie pojmując, gdzie się podziały tamte. Rzucił wędkę byle gdzie. Natychmiast spławik ruszył z wolna.

Podciął i znowu poczuł zamieranie serca: tak ciężka stała się wędkę. Niósł ją nad łódź ostrożnie jak drogocenny kryształ: ta wzdręga była jeszcze większa! Ktoś gdzieś krzyknął. Nie słyszał. Odczepił rybę, na wyciągniętej dłoni ważył jej ciężar. Była cięższa, na pewno. Chciał porównać. Zrobił krok po tamtą.

Nagły skok ryby, zachwiał się, sam o mało nie wleciał do wody. Wzdręga wyrwała się z dłoni. Wielki plusk.

- Zdzisiek! Śniadanie!

Stał, patrzył, nie rozumiał. Trzeci krzyk dopiero trochę go poruszył. Zerknął na zegarek - dziewięta! Pięć godzin siedział w tych trzcinach!

Nie miał przynęty. Musiał ruszyć z powrotem. Był całkiem rozbity. Patrzył na stertę ryb w łódce, a tamta jedna, ta, co uciekła, pochłaniała jego wszystkie wzruszenia i myśli. To znaczy, z tym nadzwyczajnym łupem wracał jak po dotkliwej klęsce.

2.

Na przystani stał Kucyk. Widząc ponurą minę Zdzisława, zaczął podśmiewywać się już z daleka.

- Oczywiście, wielki rybak odczekał w trzcinach, aż minie koszenie, a teraz będzie nam głowę zawracać, jakie to rybki niegrzeczne, że ani jedna się doń nie pofatygowwała!

Zdzisio trochę się rozchmurzył, ale miny nie zmienił. Dorzucił nawet pogrzebowym tonem:

- No, bo jak się ma takiego pecha... Mówię ci, jedna była taka!...

Odmierzył na ręce pół metra.

- Oczywiście, oczywiście! - przerwał mu Kucyk. - Ty już niedługo będziesz miał tam siniec od takiego mierzenia! A swoją drogą świnia jesteś, że wagarujesz!

- Kiedy słowo daję, Agnieszka płacze! Dla was przecież!

- Tylko się nie wykręcaj! Bodajbyś jedną rybkę złowił, tobym ręką machnął. Ale tak... Drugi raz się już nie wymigasz.

Zdzisław pchnął łódź i Kucyk zobaczył złotą, srebrną i czerwono-zieloną stertę na dnie. Zamilkł, ukląkł nawet. Nie wiedzieli, do czego to brać. Wreszcie Zdzisław nałamał gałązek wierzby. Zaczęli nizać na nie ryby. Dobry kwadrans trwała ta robota.

Agnieszka tylko krzyknęła „ach”, widząc te łupy. Wspaniale obojętny Zdzisio zostawił jej ryby z miną taką, jakby od urodzenia nic innego nie robił.

Ruszyli z powrotem. Pod rozłożystym zdziczałym krzakiem porzeczek natknęli się na Wojtka. Nie chciał wierzyć, przekonany, że Kucyk się zeń nabija. Ten wpadł w nadrabianą furję, przewrócił go, tarzali się po rozgrzanej trawie tak zaciekle, że z zabawy zwolna to zaczęło się wydawać sprawą poważną. Zdzisio ledwo ich rozdzielił.

Potem poszli przed siebie, zdecydowani na kąpiel. Przystanęli koło pałacu. Cisza była ogromna, wiatru ani śladu. Tylko pszczoły brzęczały sennie w rozkwitłych już na dobre lipach i zdawało się, że to jasność słoneczna wprawia w gorący dygot powietrze. I jeszcze coś jakby dudniło, bardzo daleko i tak słabo, że się to raczej czuło stopami niż słyszało.

A Wojtek właśnie głowę zadarł i wpatrzył się w wieżę. Miał przy tym taką minę, że Kucyk spytał :

- Co z tobą?

Odwrócił się, śladem jego wzroku spojrział na wieżę.

- Coś w naszym pokoju?

- Nie, wyżej. Zresztą, głupstwo. Przywidziało mi się.

- Że co?

- Że ktoś stamtąd wygląda.

- Rzeczywiście?

- Nie, nie, przywidzenie.

- Chodźmy, zerkniemy.

Zdzisio ziewnął i Wojtek jeszcze raz oświadczył, że przywidzenie. Kucyk nie nalegał.

Trudno byłoby przewidzieć dalszy bieg wypadków, gdyby Kucyk okazał się bardziej zdecydowany, a tamci mniej rozleniwieni upałem. W każdym razie nawet i tak rozmowa ta zaważyła na losach ich wszystkich i czegoś o wiele poważniejszego.

Poszli na plażę. Były tam obie panie. Kąpali się długo, potem się opalali, potem znowu pływali. Wreszcie ruszyli na obiad.

- A gdzie ten czwarty? Maleńki? - spytała Agnieszka.

- Hrabia. Śpi jeszcze - oświadczył Wojtek.

- I prosi, żeby mu obiad do łóżka! - dorzucił Kucyk.

Ryby gotowane i smażone były pełne ości, ale wydały się im tak smakowite, tak zachwalali Zdzisia, że ten zaraz po obiedzie skoczył do zapuszczonego ogrodu, nakopał robaków, wrócił, wziął łódkę. Przystań była pusta, ani żywej duszy. Nawet niebieski kajaczek gdzieś się zapodział. Tylko Atalanta rozpałała się na nieludzkim słońcu dzisiejszym.

Upał w trzcinach był jeszcze gorszy niż na łądzie. Nie było tu cienia, słońce odbite od wody raziło człowieka i z góry, i z dołu. Dlatego wyjechał dalej niż z rana, na sam skraj zarośli.

Jeziro było gładkie prawie, jak o świcie. Tylko z rzadka maleńkie lokalne podmuszki przebiegały z miejsca na miejsce, marszcząc powierzchnię wody i rozsypując się, znikając równie nagle, jak się zjawiały. Jezero wydało się Zdzisiowi mniejsze niż zwykle: przeciwległy brzeg, aż hen, za wyspą, wystąpił w całej złoto-zielonej okazałości. Był, jak się okazało, wysoki, zdawał się bardzo bliski.

I tu nie było ratunku przed spiekotą. Dudnienie, które czuli przed pałacem, teraz zaczynało nabierać ciała. Już się słyszało za horyzontem głuchy huk, jakby przez kocie łby jechały szybko ciężarówki załadowane pustymi blaszanymi beczkami.

Popatrzył w tamtym kierunku, na zachód. Niebo nad horyzontem nie miało tego beztroskiego błękitu, co gdzie indziej, było chorobliwie białawe, jakby poraził je paskudny obrzęk.

Do diabła! Przecież to zbiera się na burzę! Ta zwyczajna myśl wyjaśniła mu wiele zjawisk tego właśnie dnia, poczynając od zaciekłości, z którą brały się ryby, poprzez nadmierny zapał obu

przeciwników w owej niby udawanej bójce, aż do tego skurczenia się jeziora, tego wynurzenia się przeciwnego brzegu z białawej mgiełki, która tyle wdzięku nadawała pejzażowi.

Idzie burza! Z upału sędząc będzie potężna. Obejrzał się uważnie i na południo-zachodzie, na prawo od Gorzyjałek dojrzał odcinek horyzontu jeszcze bardziej nią porażony, już nie biały, już brudno granatowy.

Popatrzył na jezioro. Daleko z lewa, w stronę Mikołajek, pałętało się parę żaglówek. Wydało mu się nawet, że bardzo daleko widzi pomarańczowy żagielek Balbińskiego. Pełne jezioro było puste. Wprawdzie w kierunku na wyspę zobaczył coś drobnego, bielejącego niewyraźnie, wydało mu się to jednak po prostu rybitwą.

Zarzucił wędkę. Ryby brały zaciekle, choć były bardzo drobne, takie, że trzy czwarte trzeba było wyrzucać z powrotem. Wciągnięty w ten nałóg, zapomniał o bożym świecie. Może po godzinie usłyszał wołania od strony pałacu.

Podniósł głowę, obejrzał się. Burza z południo-zachodu dojrzewała szybko. Aż do wysokich drzew przed pałacem dotarły przednie strażce jej chmur - białe, rozczochrane obłoki. Nad horyzontem stało już czarne, nie granatowe półkole, przecinane czerwonymi igłami błyskawic. Na jeziorze już się zerwał wstępny wietrzyk.

- Zdzisiu! - krzyczał Kucyk. - Wracaj zaraz! Wracaj natychmiast!

3.

Dosyć szybko połapali się w tym, co zaszło. Alarm wyszedł od Lucyny, która zahaczyła Kucyka, pytając o Andrzejka. Gdy ten ironicznie odpowiedział, że nie jest freblanką, by pilnować dzieci, Lucyna zdenerwowała się jak wszyscy tego dnia i wygarnęła mu parę ostrych słów na temat smarkaczowskich kłótni i dziecinnych metod psucia innym wakacji. Oczywiście, Kucyk nie pozostał dłużny, oskarżał Andrzejka o tysiąc przewin, Lucynę zaś o przesadną wobec nich tolerancję. Skończyło się na tym, że oboje poszli do Agnieszki.

Okazało się, że chłopak na obiad nie przyszedł, choć ostatnio wpadał zwykle wcześniej od innych. Kucyk zapytał Lucyny, po co jej potrzebny Andrzejek. Nie odpowiedziała, zobaczyła właśnie Wojtkę. Ale ten też nic nie wiedział.

Wtedy przyszli nad jezioro. Wielka chmura ciągnęła z południo-zachodu. Jej bliskość przyćmiła już jasność słoneczną. Tylko spiekota nie zmalęła, stała się jeszcze dokuczliwsza.

Zdzisio przyjechał po kilku wołaniach, bardzo gniewny, że mu przeszkadzili w połowie, i dlatego z tym większym lekceważeniem traktujący całą sprawę.

- No, i co? Pięcioletnie dziecko? Do studni wpadło? Nie rozumiem, czego ta panika...

- Wydało mi się, że chłopak idzie na kajak -. powiedziała Lucyna. - A tu, widzicie, na co się zanosi? Żeby mu się co nie stało!

- A cały ten pan Balbiński gdzie?

Spojrzeni po sobie.

- W pałacu go nie ma - rzekła Lucyna.

- W sadzie też - dorzucił Kucyk.

- Więc o co chodzi? Wzięli sobie kajak, pojechali gdzieś we dwójkę.

- Widziałeś może?

- A coś tam było w tym rodzaju - machnął ręką na Mikołajki. - Żagielek pomarańczowy.

- No, właśnie! - Kucyk popatrzył na Lucynę. - Pojechali sobie razem. Pan Balbiński nie dziecko, da sobie radę i z burzą.

- Frajerzy! - Spojrzała na nich z pogardą. - Wam się wydaje, że burza na Śniardwach to jak deszcz na Marszałkowskiej? Że wystarczy wpaść do pierwszej bramy? - Odwróciła się, rzuciła przez ramię: - A żeście tego małego doprowadzili do hysterii, to swoją drogą o was świadczy. Wychowawcy! Politycy!

- Kto doprowadził? - zaperzył się Wojtek. - On sam się doprowadził! Myśmy długo cierpieli....

Spojrzała nań tak ostro, że urwał.

- Słyszałam co nieco z waszych rozmówek. Jak ze starych bab robią się wiedźmy, to im sam pan Bóg kazał. Ale żeby młodzi chłopcy stawali się złośliwi jak stare baby!...

- No, no, proszę pani... - zasyczał Wojtek.

- Tak, tak, proszę pana! - krzyknęła Lucyna i nogą tupnęła. - W niedzielę toście doprowadzili go do tego, że chciał się stąd zabrać...

Urwała, spojrzała na nich. I oni też popatrzyli sobie w oczy. Nic nie mówiąc cała czwórka pomaszerowała do pałacu. Prawie biegiem wpadli na wieżę. Tam jeden rzut oka powiedział wszystko: pod łóżkiem Andrzejka leżał jego stary zniszczony plecak, a na poduszce „Pasja życia” Irvinga Stone’a.

Uspokoili się. Nie uciekł. Patrzyli na siebie zaskoczeni i szczęśliwi. Zaskoczeni - że okazali się zdolni do tak bezlitosnego potraktowania najsłabszego z nich wszystkich. Szczęśliwi - że nie stało się nic nie do naprawienia.

- Może rzeczywiście trochęśmy za ostro... - zaczął Zdzisio.

- Dobra - rzucił Wojtek. - Co teraz będziemy się wygłupiać!

Zeszli na dół za Lucyną, też widocznie uspokojoną. Przez te dziesięć minut burza dojrzała. Właśnie gdy wyszli przed pałac, czarne czoło chmury dotknęło słońca. Świat nagle się przeobraził, zieleń drzew w tym trupim świetle stała się popielata, szyby błysły ślepiąco, kwiaty głogu zbiały. I czerń chmury nabrała tak ciężkiej głębi, że sam jej widok przygniatał.

Wiatr ucichł. Wszystko ucichło. Tylko podniósłszy głowę, widziało się oszalały rozpęd chmur. I to właśnie, że pędziły w absolutnej ciszy, że nad ziemią nie czuło się najlżejszego podmuchu, było jakieś szczególnie złowieszcze. Wydawało się, że ta nabrzmiała atramentowa ciemność przyprawi ziemię o przerażającą klęskę.

Stali zapatrzeni w to dzikie widowisko. W ciągu trzech sekund chmura połknęła słońce. I znów się świat przeobraził. Ostatni promień słońca znikł i z jednolitej ciemności burzowej wynurzyły się półcienie, zagęszczenia czerni, pęknięcia, przejaśnienia. O dziwo, w tej właśnie chwili straciła nieco ze swojej grozy.

Pierwsze osiny odczuły pędzący na Gorzyżalki wicher. Szeleściły niespokojnie parę chwil, ale oto już między stodołami wdarły się na dziedziniec czołowe potoki wiatru.

Pryśło do góry śmiecie, papierki, pierwsze tegoroczne żółtkłe liście. Trysły, zawirowały, jak trąba powietrzna rzuciły się na pałac.

Trzask! Kopnięte wiatrem zatrzasnęły się drzwi mauretańskiego wejścia. Uderzeni w twarz, pchnięci w brzuch, oczy zamykając przed kurzem, który już im trzeszczał w zębach, odwrócili się, pędem skoczyli dokoła pałacu do mieszkania Sykusów.

Wielkie lipy za pałacem stały przygięte, listowie porwane przez wiatr spłaszczyło się, stało się opływowe, przypominało sukienkę przyciśniętą do kolan. Wbiegli właśnie na schodki, gdy jakiś zmurszały konar trzasł, runął na ziemię.

Błysk jednoczesny. W pałacu rozdzierająco wrzasnęła piękna Nelly. Grom targnął okolicą, gdy ostatni, Wojtek, przemykał drzwi za sobą.

Pierwsza ciężka kropla wyrznięta o szybę. Końskotwarza krzyczała w sąsiednim pokoju. Lucyna wpadła tam na chwilę. Wrzask zaraz ucichł. Stali przed szklanymi drzwiami.

Ulewa rąbała ziemię miliardem srebrzystych ciosów. Krople były tak wielkie, że zdały się zrazu gra dem. Nieustanny rytmiczny szmer, klepanie, dygot. Wszystko stało się szkliste i siwe, lipy zamglone o trzydzieści metrów, trawa przybita, zdeptana deszczem, niebo z czarnego przemienione na perłowszare.

- Ale burza! - z zachwytem westchnął Zdzisio. - Coś pięknego.

- Dobrze wam się tu zachwycać! - powiedziała Lucyna wkraczając do pokoju. - Spróbowałibyście tej przyjemności tam!

Pokazała na jezioro. Nietrudno im przyszło zrozumieć, kogo ma na myśli.

- E, tam! - machnął ręką Zdzisio. - Pan Balbiński stary żeglarz, pewno się dawno schowali w jakiejś przystani.

- O, właśnie! - krzyknął Kucyk rzucając się do okna. - Jest, jest!

Przez park, smagany biczami ulewy, pędził w podskokach pan Balbiński. Każdy krok - i fontanny tryskały mu spod stóp. Pędził na górę, skacząc przez parę schodów na raz. Kucyk drzwi mu szeroko otworzył.

- Prędeż, prędeż!

Podmuch świeżego pachnącego rozkwitłą lipą powietrza. Parę kropli po prostu ciepłych. Balbiński zdyszany, zgrzany, mokry, parujący.

- No, całe szczęście! - krzyknął Kucyk.

- A tamten gdzie? - spytała Lucyna.

Pan Balbiński oparł się ręką o ścianę, stał dysząc ciężko, patrząc na nich półprzytomnym, półuśmiechniętym spojrzeniem.

- Aleście nastraszyli pannę Lucynę, niech was! - ciągnął Kucyk i popatrzył na ogród. - A gdzie tamten?

Balbiński pokręcił głową, otrząsnął się jak pies.

- Państwo wybaczą, skoczę się przebrać - powiedział wreszcie. - Zmokłem do nitki.

- Cóż on tak zamarudził? - Zdzisio podszedł do drzwi.

- Kto? - spytał Balbiński.

- No, pański kompan.

- Andrzejek?

- No!

- A gdzie on się zapodział?

- Jak to gdzie? Właśnie pana pytamy!

- Co znowu? Dlaczego mam o tym wiedzieć?

- Przecież pan z nim razem...

- Nic podobnego!

- Jak to, nie wziął go pan ze sobą na kajak?

- Wcale nie byłem na kajaku!

Cisza w pokoju. Tylko ciężkie krople z łocki Balbińskiego raz i drugi plasnęły o podłogę.

- Czemuście się tak zapatrzyli? - zmieszał się Balbiński. - Słowo daję, wcale nie byłem na kajaku! Chodziłem na spacer... całkiem w innym kierunku. Byłem w lesie...

- Bez Andrzejka?

- Bez.

- I nie widział go pan nigdzie?

Balbiński wzruszył ramionami. Pomacał kieszenie, wyciągnął pudełko przemokłych papierosów. Lucyna poczęstowała go swoimi.

- Co się stało właściwie? - spytał zaciągawszy się raz i drugi.

- Andrzejek gdzieś się zawieruszył.

- Tak? Od dawna? - Coś się zmieniło w jego twarzy, zjawiał się niepokój. - Co wy mówicie? Pojechał do domu?

- Nie. Dlaczego pan to przypuszcza?

Balbiński ochłonął.

- Nic, tak tylko... Dawno znikł?

- Co najmniej ze dwie godziny...

- Dobrze, dobrze. To jeszcze nic strasznego. Państwo wybaczą, zmokłem...

- Tak - ciągnęła Lucyna. - Ale pańskiego kajaka nie ma także.

- Ach, tak? - Balbiński stanął, zagryzł wargi. - Czy nic nie mówił panu? Nie prosił o kajak?

- Nie prosił. Ale mu pozwoliłem raz na zawsze bez pytania...

Stali jeszcze. Ulewa dudniła za oknami.

- Nie ma co - powiedziała Lucyna. - Trzeba jechać.

- Gdzie? Po co?! - zawołał Wojtek.

- No, po niego. Co za pytanie.

- Czym?

- Żaglówką. Bardzo proste.

Milczeli. Kucyk uchylił drzwi na ulewę.

- Wiatru nie ma.

- To na wiosłach! - krzyknęła Lucyna. - Nie rozumiem, jak można...

- Oczywiście, trzeba jechać! - rzekł Zdzisio.

Balbiński jeszcze raz się otrząsnął.

- Wie pani... - zaczął. - Oczywiście, szukać małego trzeba. Tylko że... Jedno z dwojga, albo nawet z jeziora i teraz jest mniej więcej bezpieczny. Albo...

Lucyna spojrzała nań po prostu wrogo.

- Niech pan idzie się przebierać. Nie wezmę pana, załogi mam dość.

- No, wie pani! Wypraszam sobie! Właśnie że pojadę! Proszę chwilę tu na mnie poczekać. Zrzucę te mokre szmaty...

Wyszedł szybko z jadalni. Lucyna skoczyła do swego pokoju i zaraz wróciła z peleryną. Nic do nikogo nie mówiąc wybiegła na ulewę, w biegu owijając głowę niebieskim nylonowym nieprzemakalnikiem. Zdzisio pobiegł za nią, tamci dwaj za Zdzisiem.

Ulewa trwała jeszcze, pionowa, prostopadła, absolutnie bezwietrzna i nieludzko obfita. Strumienie wody leżącej z nieba przesłoniły nawet pobliskie drzewa, czyniąc z nich tylko zamglone plamy czegoś czarnozielonego. Lucyna krzyknęła w biegu:

- Weźcie płaszcze, czekam na was w jachcie! Skręcili pędem na wieżę. Gdy po pięciu minutach znaleźli się na przystani, Lucyna już rozwinęła grot i teraz jego wielką płachtę wciągała na maszt.

- Co zrobimy? - bąknął Kucyk. - Wiatru rzeczywiście nie ma.

- Ulewa zaraz przejdzie. Knagujcie fa! - rzuciła ostro. - Wojtek, odcumować! A jak przejdzie ulewa, to i wietrzyk się znajdzie.

Atalanta chybnęła się raz i drugi, potem, odepchnięta od przystani, wolno ruszyła przed siebie.

Ulewa mijała, słońce przeświecało przez strugi wodne i tylko na wschodzie czerniało jeszcze groźnie ciało minionej burzy.

Wiatru nie było, pchnięcie od mola skończyło się i po piętnastu metrach jacht stanął bezradny.

- Wiosła! - krzyknęła Lucyna.

Wyciągnęli jedyne wiosło. Słońce wychyliło się już całkiem i od razu zaczęło parzyć. Ulewa minęła, widzieli, jak na prawo, na wschód uciekały ostatnie jej krople. Pokład jachtu zadymił. W trzcinach krzyknęła pierwsza jaskółka ruszająca znowu na łowy. Skręcili właśnie, gdy do przystani przybiegł pan Balbiński.

- Zaczekajcie! - krzyknął. - Jadę z wami!

Spojrzeli na Lucynę. Skinęła ręką: wiosłujcie.

- Głupstwo, proszę pana! - zawołała. - Damy sobie radę. Niech pan raczej zostanie na miejscu. Może i tam trzeba będzie męskiej ręki!

Balbiński był bardzo rozgoryczony.

- Nie, proszę pani, to nie w porządku. Prosiłem, żeby na mnie poczekać!

Uśmiechnęła się już tylko, pomachała mu ręką. Dopłynęli do zakrętu, przystań zaraz znikła przesłonięta siwozieloną parującą trzcina.

4.

Jezioro wyłoniło się przed nimi znowu spokojne, oleiste niemal, choć na wschodzie, nad wyspą były jeszcze pioruny z ciemnej, brudnej i groźnej chmury minionej burzy. Ale daleki, niewidoczny zwykle brzeg pełen był słońca i tym jaśniejszy się wydawał, bardziej złoty niż zielony, wciśnięty wąską klingą między dwa granatowe morza: nieba i jeziora.

Wiosłowali po kolei, męcząc się bardzo szybko. Patrzyli na Lucynę, szukając na jej obliczu oznak zapowiadanego przez nią wiatru.

- Gdzie widziałeś ten żagielek? - spytała Zdzisława.

Machnął ręką w lewo, w stronę cieśniny wiodącej na Bełdan i Mikołajki. Brzeg tu był niedaleki, ruch żaglówek zazwyczaj duży. Teraz nawet widzieli jedną na tle kępy drzew. Pewnie przeczekala tam ulewę, właśnie załoga stawiała na niej wielki żagiel.

- No, to całe szczęście! - podsumowała to wszystko Lucyna. - Nawet przyłapany przez burzę, miał tutaj dużo szans dotrzeć do brzegu albo zostać uratowany przez żaglówkę. No, chłopcy, jeszcze trochę, widzicie, tam już biegnie pierwszy wiaterek...

Rzeczywiście, od cieśniny błam matowej wody posuwał się na środek jeziora z szybkością samochodu. Oto policzki tknęła pierwsza fala wietrzyka. Jacht drgnął, mokra płachta żagla wolno zaczęła tracić zmarszczki.

- Uff! - westchnął Wojtek ciskając swoją łopatę na dno.

- Zaraz, zaraz! - Lucyna nie dała mu spokoju. - Kucyk, stawiaj fok! A wy zabierzcie się do wylewania wody.

Wiaterek wzmógł się, Atalanta przechyliła się na prawą burtę i rzeczywiście wody okazało się tyle, że ruchoma podłoga zaczęła pływać.

- Wylewać, wylewać! - krzyknęła Lucyna widząc opory Wojtka. - Popatrzcie sobie, o tam! Wskazała palcem za siebie. Na południo-zachodzie przy samym horyzoncie znów poczerwiano niebo.

- E, zanim to dojdzie, dziesięć razy zdążymy tam i z powrotem... - machnął ręką Wojtek.

- No, no! Już! Biercie wiadra! Westchnęli, zabrali się do wylewania. Zdzisio wciągnął fok. Wiaterek przybrał na sile, woda pod dziobem zaczęła się pieniść. W kilka minut przecięli cieśninę. Żaglówka z naprzeciwka miała jakieś kłopoty, doszli do niej, zanim zdążyła ruszyć z miejsca. Atalantę tamci przywitani machaniem rąk i ostrzegawczymi krzykami. Okazało się, że jacht siedzi na mieliźnie. Lucyna skręciła więc i nie dojeżdżając do nich, stanęła w dryf, dziobem pod wiatr.

- Pomóc? - zaproponowała.

- Głupstwo! - krzyknął wysoki czarny młodzieniec o czuprynie Papuasa. - Już się rusza!

Inny, siwawy i łysawy, z dość okazałym brzuchem i w okularach, uporczywie wychlustywał za burtę garście brunatnej wody.

- Czyście nie widzieli tu kajaczka z pomarańczowym żagielkiem? - spytała Lucyna.

- Proszę pana, niech pan popatrzy! - powiedział czarnowłosy do siwawego.

Ten rzucił czerpak, poprawił okulary. Wpatrzyli się teraz obaj w Lucynę z chłodną rzeczowością znawców sztuki. Chłopcy zirytowali się, Kucyk trącił Zdzisio, ten Wojtka.

- No, no, obywatelu! - warknął Wojtek ciskając wiaderko.

- O ile mnie słuch nie myli, ten młodzieniec ma zaszczyt nas zaczepiać! - powiedział czarnowłosy drągał do brzuchatego.

- Zostanie za to w swoim czasie ukarany - odparł tubalnym głosem brzuchaty. - Przepraszam, pani sobie życzę?...

Lucyna powtórzyła pytanie. Popatrzyli na siebie, pokręcili głowami przecząco.

- Kiedy? - spytał drągał.

- Tuż przed ulewą.

- Przed ulewą? Czekaj pan, coś tam szło takiego!

- A rzeczywiście! Niebieski kajak z pomarańczowym żagielkiem, co?

Lucyna skinęła głową.

- A za nim szła jeszcze taka żaglówka z czarną flagą. Wie pan, ci kabotyni z Mikołajek.

- Tak, tak! - mimo woli krzyknął Zdzisio.

- A w kajaku był jakiś pan... - zaczął gruby.

- Nie, chłopak! - poprawił Zdzisio.

- Chłopak? - zdziwił się Papuas.

- Ależ tak, nieduży chłopak.

- Czy w wieku tego uroczego młodzieńca? - spytał brzuchaty wskazując na Wojtka.

- Z grubsza biorąc - potwierdziła Lucyna.

- Rozumiem! - oświadczył brzuchaty. - Pani prowadzi kursa żeglarskie dla przedszkolaków. Jeden się zgubił, reszta go szuka.

- No, no, obywatelu! - Wojtek zerwał się.

- Siadaj! - syknęła Lucyna.

- Właśnie, właśnie - powtórzył brzuchaty. - Nie łatwo z nimi. Rozpuszczone bachory.

Lucyna gniewnie spojrzała na obu osobników i targnęła sterem, ściągnając żagiel. Atalanta skręciła zaraz, żagiel napełnił się wiatrem, jacht się przechylił, ruszył.

- Gdzie jedziemy? - spytał Kucyk, dumnie dzierżąc szkot foka.

- Chyba wracać? - powiedział Wojtek. - Jeśli szli za nim piraci, to musieli go poratować. Nie?

- Zerknijmy jeszcze na cieśninę. Może siedzi i gdzieś na brzegu - zaproponował Zdzisio. - Zdążymy chyba...

Lucyna skinęła głową. Zrobili zwrot przez sztag, poszli na bocznym wietrze, szybko, ale z dużym przechylem. Kolejna burza dojrzewała z wolna nad wysokimi drzewami Gorzyjałek. Słońce parzyło zaciekłe, żagiel wyschnięty zbiełał. Przemierzili w ciągu paru minut cieśninę aż do linii kołków. Tu czoło chmury przesłoniło słońce. Spiekota znikła w jednej sekundzie. Wojtek aż kichnął, tak zimny wydal mu się wiatr bez słońca.

- Wracamy! - oświadczyła Lucyna. - Zdzisiu, luzuj fok!

Ostro skręcili, poszli z powrotem. Wszyscy czworo patrzyli teraz na niebo.

- Zdążymy! - bąknęła Lucyna. - To parę minut drogi.

Omyliła się. Chmura szła, była nawet dosyć daleko jeszcze, ale przed nią wiatr buszował o wiele wcześniej niż pierwszym razem. Oto za nimi rozigrana niewysoka fala jakby się wygładziła, pokryta chropowatą siwizną, szybko lecącą na nich. Zdzisio trącił Lucynę. Obejrzała się.

- Oho, szkwalik! Trzymać się, chłopcy!

Łagodnie brzmiało to słówko, ale gdy po chwili jachtem targnęło i zaskoczony Wojtek płasko siadł na podłodze, pierwsze błyski niepokoju poraziły ich niedoświadczone dusze. Jacht przechylił się, sekundę wyglądało, że się położy. Lucyna jednak puściła szkot, wielki żagiel uciekł do przodu i jacht natychmiast się wyprostował.

Ale wiatr nie uciekł, nie znikł, na odwrót, dopiero się rozhulał. Siwe plamy szkwałów ścigały ich teraz jedna po drugiej, coraz gwałtowniejsze, dłuższe, liczniejsze. Niebawem rozhuśtały się nowe fale, dwa i trzy razy większe od poprzednich. Biły o prawą burtę, podnosiły jacht, poddały go przykreemu poprzecznemu rozkołysaniu. Chłopcy zaskoczeni uczyli się podniesionej prawej burty, trzymali się wanty, milczeli wpatrzni w swego sternika.

Lucyna ledwo zdążyła narzucić pelerynę. Przechylając się w prawo, całą siłą trzymała ster, próbując między jednym i drugim podmuchem zyskać parę metrów i posunąć się ku południowi, ku Garzyjałkom. Każdy kolejny szkwał targał jednak jachtem tak zaciekłe, że musiała ster popuszczać i znowu dać się spychać na północ, na pełne jezioro.

- Gdzież ta chmura! - krzyknęła ze złością. Nie pojmując spojrzeli na nią.

- No, tobyśmy zmokli, ale wiatr by się uciszył. Co za lichy z tymi szkwałami!

Chmura wisiała nad nimi ogromna i czarna, pokrywając trzecią część nieba. Złote żyłki błyskawic cięły ją co chwila, huczał narastający grom, widziało się smugi skośnych siwawych ulew.

Ale nad jeziorem tylko wiatr. Narastał z każdą minutą. Nie zdążyli dopchać się do południowego zaciszniejszego brzegu cieśniny, gdy ta się skończyła.

Cóż za widowisko - Śniardwy w taką pogodę! Na tle dalekich, słonecznych jeszcze brzegów, ale już przesłonięte czarnym złowieszczym cieniem, szalały na jeziorze długie równoległe tyraliery fal białogrzywych. Gdy Atalanta wyleciała na otwartą przestrzeń, od razu wpadła w ich szalony kontredans. Przechyleni ku prawej burcie, ujrzeli chłopcy, jak jacht leci do góry, zobaczyli jego dno, na płask niemal położony miecz. Zdzisio oczy przymknął.

„Tak wygląda wywrotka! - pomyślał. - Czemu nie puszcza steru?”

W teże chwili Lucyna puściła szkot i ster. Fala przeleciała dalej, następna podbiegła. Żagiel, wyrzucony nad wodę, prostopadle do osi jachtu, łopotał jak oszalały. Lucyna znow złapała szkot.

- Stajemy w dryf! - krzyknęła. - Musimy zrefować żagiel. Kucyk, zdejmuj fok!

Z trudem jacht zwracał się pod wiatr: fale ciągle odrzucały dziób z powrotem. Na dobitkę zbyt gwałtownie puszczony przez Kucyka fał foka zaciął się gdzieś na szczycie masztu i fok ani myślał opadać, wydał się tylko w kształt balonu.

- O, psiakrew! - wściekała się Lucyna. - Z ciebie żeglarz, jak ze mnie arcybiskup! Jak ja teraz legnę w dryf z tym balonem na bukszprycie? Idź, leż, ściągnij tę szmatę!

- Na dziób czy na maszt? - speszył się Kucyk.

- A gdzie chcesz, bylebyś zdjął to świństwo!

Kucyk spojrzął na Zdzisława, a potem, jakby skacząc do przerębli, rzucił się przed siebie. Wiatr szalał teraz na całego, z serii szkwałów zrodził się jeden nieprzerwany wichur. Nie mogąc odwrócić łodzi dziobem pod wiatr i w ten sposób zabezpieczyć się przed wywrotką aż do zmniejszenia żagla, Lucyna usiłowała jakoś manewrować odwracając jacht tyłem do każdej fali i próbując zyskać parę metrów przybliżenia południowego, gdy fala minęła.

Oczywiście jednak, więcej tracili, niż zyskiwali. Skręty między falami nie na południe ich pchały, ale na wschód, właśnie na pełnię Śniardw. Wysokie drzewa Gorzyżek po każdej takiej kombinacji wyłaniały się przed ich oczami mniejsze, niższe, bardziej zamglone.

Lucyna widziała to świetnie.

- Prędeż, maruda! - krzyknęła na Kucyka, który stał wreszcie przy maszcie i targał nieszczęsnym fałem, usiłując go w ten prymitywny i beznadziejny sposób rozplątać.

Spojrzał bezradnie na nią.

- Uwaga! - krzyknął Zdzisio.

Nie zdążyła się odwrócić, gdy wpadł na nich szkwał rzeczywiście potężny. W oka mgnieniu jacht przechyliło, Lucyna puściła ster i szkot.

Gdy po paru sekundach podnieśli głowy przyciśnięte do kolan wściekłością burzy, obejrzeni się przerażeni: Kucyka nie było na pokładzie.

Jacht znosiło na północo-wschód, chociaż grot nie pracował. Tak silny był teraz wiatr, że wystarczył skrawek wydętego na balon fok, by cała żaglówa szła przed siebie z szybkością dobrej motorówki.

- Gdzie Kucyk?! - wrzasnął Zdzisio. - Ludzie, Kucyk się utopił!

Wojtek krzyknął, zerwał się na nogi. Targany w prawo i w lewo, dopadł do kajuty.

- Nie ma! - zawołał odwracając ku nim zbiegłą twarz. - Utonął, ludzie, utonął!

Lucyna też zerwała się na równe nogi.

- Stul pysk! - krzyknęła na Wojtkę, który jeszcze zawodził. - Nóż, daj mi nóż! - wyciągnęła rękę do Zdzisia.

Ten wytrzeszczył oczy. Rzuciła ster, skoczyła doń, wyrwała mu z futerału fiński nóż przyczepiony do pasa.

Wojtek krzyknął. Biegła nań, skacząc przez poplątane liny. Jacht szarpało raz po raz, podłoga skakała. Lucyna z nożem w ręku chwyciła za ramię Wojtkę. Wrzasnął, wtulił głowę.

Oparła się tylko o niego. Już była na dachu kajuty. Wielka fala dopędzała właśnie Atalantę, wyrznięta w ster, trąciła ją w prawo. Pieniący się szczyt fali brudnozieloną strugą chlusała do środka, cienka warstwa wody przelazała się przez dach kajuty, uderzyła Lucynę po stopach.

Lucyna pośliznęła się, chwyciła stalową wantę.

Prawą ręką, uzbrojoną w nóż, zaczęła machać, ciąć wiatr nad głową, wspięła się na palce, wreszcie trafiła: napięty jak struna fał fok pękł, z wydętego balonu zrobiła się szmata.

- Trzymaj! - krzyknęła do Zdzisia.

Cisnęła nóż na rufę. Nie patrząc, czy go znalazł, już oburącz ciągnęła oklapły ociekający wodą fok.

- Tam człowiek! - zawołał do niej Wojtek. - A tu szmata!

- Sameś szmata! - rzuciła mu fok, przebiegając z powrotem do steru. - Na dziób, szukaj go! Wojtek na czworakach wlaź na dach kabiny. Lucyna chwyciła ster, chwyciła szkot grota, ster ściągnęła ku sobie, żagiel puściła. Jacht skręcił na północo-wschód, porwany rozpędem wiatru runął przed siebie z całą szybkością.

- Tam, tam Kucyk wyleciał! - Zdzisio targnął ją za łokieć do tyłu. - Co robicie, na miłość boską!

- Milczeć! Na miejsce! - warknęła.

Zdzisio odskoczył jak uderzony. Nagle Lucyna ster puściła znowu i z całej siły pociągnęła szkot grota. Jacht w pełnym rozpędzie zrobił w tył zwrot. Wielka fala, która go doganiała, wyrznięta teraz z łoskotem w dziób i fontanna piany sięgnęła aż do steru.

- Patrz, patrz, wypatruj! - wrzasnęła Lucyna. - I ty, jazda szukać! Zdzisio na prawo, Wojtek na lewo. Jazda!

Zdzisio też się wdrapał na kajutę. Szli pod wiatr z przechyłem, z kołysaniem, co pięć sekund wielkie, półtorametrowe fale waliły w dziób Atalantę. Już po pierwszej zmokli do nitki. Czarna deszczowa chmura nie zbliżyła się, może się nawet cofnęła, ale nie wiadomo skąd wyskoczyły całe

legiony postrzępionych, spienionych szarych obłoków z ciemnoperłowym podbrzuszem i te pędziły na złamanie karku tak nisko, że niemal zahaczały o szczyty dalekich gorzyjałkowskich topól.

Rozdygotani ze strachu Zdzisio i Wojtek, każdy przy swojej wancie, wpatrywali się przed siebie. Wyższe od człowieka - zdawało się - długie wyrównane fale brudnozielonej wody biegły na nich. Zdzisio był na prawej, nawietrznej burcie, tu fala uderzała najpierw, tu stawała się fontanną, gejzerem, wybuchem wody. Otrząsając się, plując nią, oczy wycierając, zaraz wychylał się, gorączkowo biegał wzrokiem od jednej przepaści wodnej do drugiej, od grzywacza do grzywacza.

Wojtek był na zawietrznej. Jacht przechylało potężnie. Stojąc wyprostowany, oparty o wantę, Wojtek chwilami niemal dotykał fali twarzą. Odruchowo cofał się wtedy, przerażony, że już Atalanta się wywraca. Zaraz jednak jacht skręcał trochę w prawo, prostował się.

Wiatr szalał. Oto znajome chropowate cienie zaczęły pokrywać grzbiety fal. Z grzywaczy porywy wiatru zdzierały garście piany i niosły je poziomo przed siebie. Wojtek obejrzał się na Lucynę, szukając u niej pociechy.

Ale Lucyna daleka była od spokoju i ufności. Z całej siły trzymając rumpel prawą, szkot lewą ręką, wparta nogami w burtę, przechylona patrzyła przed siebie, w rozjuszony jezioro i w oczach jej nic poza czymś bliskim rozpaczy nie dostrzegł.

W tejsze chwili Zdzisio wrzasnął, zamachał ręką. Fala nadbiegła szybciej, niż zdążyli cokolwiek zobaczyć. Przewalała się przez jacht, gdy Wojtek z kolei ujrzał bezwładny kłoc ludzki, po chwili nakryty następną falą.

Lucyna spostrzegła kierunek ich rąk, ster ściągnęła, zaciskając zęby spróbowała zwrotu przez sztag. Ponaglali ją, nie rozumiejąc całej jej bezradności i przerażenia, gdy dziób jachtu przez ładne dziesięć sekund wahał się, dochodził do linii wiatru, znowu się cofał.

Targnęła gwałtowniej rumplem, jeszcze ściągnęła żagiel. Nagły poryw uderzył z trochę innego kierunku, przepchał jacht na prawy hals.

Nowa fala zwała się na Atalantę, zanim ta zdążyła nabrać rozpędu. Wychylając głowę z piany, Zdzisio znów dojrzał wydłużony białawy kształt, może o dziesięć metrów z przodu. Z krzykiem skoczył do kabiny, wyciągnął jakiś dwumetrowy drąg z hakiem. W kabinie woda sięgała mu do kostek - nagły przechył - wyrznął głowę w sufit.

Gdy wyskoczył na zewnątrz, Wojtek już czyhał nań, wyrwał mu drąg z ręki. Wiatr wzmógł się, fale łupiły w jacht jak w bęben. Ale zaciekle Lucyna przemogła się i parę metrów zdobyła ryzykując wywrotkę.

Właśnie puściła ster i żagiel, krzyczała coś. Widzieli tylko jej rozwarłe usta i rozkazujący gest ręki. Zerwała się, skoczyła ku nim. Na dachu kabiny, przechyleni u want, czyhali na kolejne wynurzenie się białawego kształtu.

Teraz to było o trzy metry. Zdzisio wychylił się nad burtę. Trzymali go w pasie, sami ledwo zahaczeni o wanty. Przedłużony o ramię drąg sięgnął wreszcie, dotarł do ciała, zaczepił o koszulę.

Najgorsze teraz były fale. Spocony z emocji Zdzisio wolno holował swój łup do łodzi. Ale każda kolejna fala porywała to ciało, to jacht do góry, potem rzucała w dół, trzeba było nieustannej bacności, żeby hak się nie zerwał.

- Puść! - nagle krzyknęła doń Lucyna.

Posłuchał jej, choć nie rozumiał. Fala uniosła Kucyka na wysokość ich twarzy i po prostu cisnęła na jacht. Chwycili go wszyscy troje.

W tejsze chwili Atalanta o mało się nie wywróciła, przechylona ich ciężarem i rosnącą z minuty na minutę bezwładną masą wody na dnie. Ledwo zdążyli skoczyć do masztu.

Kucyk był przytomny, tylko przerażony, zmęczony, opity wodą po dziurki od nosa. Wciągnęli go do kabiny, cisnęli na łóżko.

Chcieli go ratować, robić sztuczne oddychanie, ale Lucyna wygnała ich zaraz na pokład.

- Wodę czerpać, już!

Wszyscy troje zgięci w pół zaczęli teraz chlustać wodę za burtę. Pozostawiona swemu losowi Atalanta z bezwładnie łopocącym żagle suneła wolno na pełne jezioro. Co druga fala zahaczała burtę jachtu spienionym grzebieniem i dorzucała im dodatkowych parę wiader roboty.

Lucyna rozejrzała się wreszcie, wściekle krzyknęła: - Dość! Do spuszczenia grotu! Za mną!

Znów pobiegli na dach kabiny. Targany rosnącym ciągle wichrem jacht dygotał pod ich nogami.

- Łapać żagiel! - krzyknęła Lucyna i błyskawicznie zluzowała fał grotu.

Wielki żagiel z hukiem zsunął się z masztu. Oburącz chwyтали wydzierające się im spod palców płótno. Potem okręcali zwiotczały żagiel zwojami fału. Potem spojrzeli na Lucynę.

- Wodę czerpać! - rozkazała im ponownie.

Ze spuszczonego żaglem szło to trochę sprawniej, fale nie zahaczały tak często o burtę. Gdy wody było mniej więcej po kostki, Lucyna zostawiła Wojtkę przy czerpaniu, sama ze Zdzisiem wróciła do żagla.

- Musimy go zrefować. Rozumiesz?

A skąd miał rozumieć? Kazała mu trzymać nieposłuszne płótno raz tu, raz gdzie indziej. Sama majstrowała coś przy nasadzie bomu.

- Proszę pani! - wrzasnęła nagle Wojtek.

Odwróciła się niecierpliwie. Jacht cofał się ciągle, dziobem zwrócony pod wiatr. Za rufą, w kierunku rozpaczliwie wskazywanym przez Wojtkę, fale zachowywały się jakoś dziwnie: waliły z rozpędu i podskakiwały do góry wysokimi fontannami piany. Potem była kilkumetrowa przestrzeń bez fal, pokryta tylko drobnymi zmarszczkami wody, dopiero po kilkudziesięciu metrach fale znowu przybierały na wysokości.

Rzut oka wystarczał, aby zrozumieć: mielizna! Jedna z tych, które tak poważnie ograniczały żeglarskie możliwości tego jeziora.

- Szybciej! - krzyknęła Lucyna.

- Harpun! - zerwał się z kłęczek Wojtek. - Szybciej, wiosło, odepchnąć się...

- Wariat! - odpowiedziała Lucyna. - Szybciej z tym fałem!

Znosiło ich coraz bardziej. Lucyna gorączkowo zrywała pętle liny wiążącej żagiel.

- Trzymaj, trzymaj, żeby wiatr nie wydał! - krzyknęła, gdy wreszcie fał rozplątano. Raz i drugi przekręciła rączkę przy nasadzie bomu. Wielkie drzewce zaczęło się obracać nawijając żagiel.

- Puść! - wrzasnęła wreszcie. - Ciągnij fał! Szybko!

Zdzisio skoczył do masztu. Chwytał fał.

- Jeszcze! - wrzeszczała Lucyna. - Mocno! Sama chwyciła linę, we dwoje ciągnęli skrócony żagiel. Ale wiatr był teraz tak potężny, że i ten cztery razy mniejszy trójkącik płótna wyrwał im fał z rąk.

- Dość, trzymaj! - pochyliła się, gorączkowo zaczęła knagować, ściągnęła założony koniec liny i zaraz skoczyła do steru.

Czas był najwyższy. Mielizna wyrosła im tuż przy prawej burcie. Gdy chwyciła ster, gdy naciągnęła żagiel, jacht znowu położyło na bok tak, że woda gwałtownie lunęła do środka. Lucyna popuściła żagla. Mielizna zbliżała się ciągle, ale jacht nabierał szybkości. Mimo że spychany w lewo, sunął teraz i przed siebie, prosto na środek jeziora.

Gdy hałas i fontanny fal zostały z tyłu, Lucyna otarła czoło, westchnęła. Spojrzeli na nią, uśmiechnęli się.

- Wodę wylewać! - huknęła zaraz.

Uchyliły się drzwi kabiny. Kucyk, o twarzy zielonej niemal jak woda, wyszedł zataczając się na świeże powietrze.

- Do łóżka! - wrzasnęła Lucyna.

- Nie, nie! Nic mi nie jest! - zabełkotał.

Mina nagle mu się zmieniła, twarz zzieleniała jeszcze bardziej. Błędnym wzrokiem spojrzął na Lucynę.

- Na zawietrzną! - krzyknęła. - Na lewą, na lewą burtę!

Kucyk zachwiał się. Nie rozumiał. Na szczęście kolejna fala chybnęła jachtem z taką siłą, że potoczył się właśnie tam, gdzie trzeba, i oparł się dopiero o wanty.

- To z tej wody, z tej przeklętej wody! - wybełkotał po kwadransie, bardziej zielony niż przed tym.

Burza trwała w najlepsze. Wielka gradowa chmura przeszła bokiem, wisiała nad majaczącą niewyraźnie Czarcią Wyspą. Pioruny waliły tam gęsto, jeden jak siekierą wyrznął w szczyt starego, na pół zeschniętego drzewa. Z zachodu szło coś nowego, nowe zagęszczenie chmur, tym bardziej ponure, że niedalekie horyzontu słońce znalazło sobie jakieś okienko i wyjrzało na kilka minut.

Nad jeziorem pędziły kosmate, rozwiane obłoki. Oziębilo się niebawem tak bardzo, że zaczęły chłopcom dygotać zęby. Dostrzegła to Lucyna, kazała leżeć do kabiny. Wrócili zaraz, opatuleni jakimiś starymi workami.

Jacht szedł teraz mozolnie pod wiatr, ku dalekim, ledwo widocznym na tle jaśniejszego zachodu drzewom gorzyjałkowskim. Na przekór porywom wiatru łódź niesiona kusym żagielkiem sunęła od fali do fali, niepostrzeżenie wyrwijając się ku brzegowi. Po kwadransie przyszła lodowata ulewa. Zmokli jak kury. Nie chcieli chować się w kabinie, aby nie opuszczać sternika.

Był już zmierzch, gdy pokonawszy jeszcze trzy gwałtowne, ale krótkie ulewy wybrnęli wreszcie z jeziora. Trzciny, pochylone niemal poziomo, wytyczyły im najtrudniejszy odcinek drogi do przystani. Halsować tu było niesposób. Wiosłując zaciekle, podciągając się jak tylko mogli, dobili wreszcie.

Żałosny to był widok. Opatuleni w worki wylazili na brzeg. Wojtkowi zakręciło się w głowie, właśnie gdy poczuł pod nogami twardy grunt. Lucyna wylazła ostatnia. Była wściekła.

- No, toście poznali, czym tu pachnie burza? - zawołała, gdy przepuszczając ją do przodu, ruszyli do pałacu.

- Ale pani nam dała szkołę! - z podziwem zawołał Zdzisio.

- I wszystko to na nic! - rzucił Wojtek.

- Jak to na nic? - odparł Zdzisio. - Przekonaliśmy się przecież, że Andrzejek się uratował! Choćby dlatego warto było...

Kucyk szedł ostatni. Nudziło go bezustannie. Miał zawroty głowy i zielone cienie pod oczami.

5.

Wiatr hulał ciągle, gdy doszli do pałacu. Właśnie piąta ulewa zaczynała szeleścić po krzakach, musieli przyśpieszyć kroku.

W pałacu już zapalono lampę. Sykusowie i Balbiński aż wstali, gdy Lucyna drzwi otworzyła. Nagły poryw wiatru wpadł do jadalni i płomień lampy wydał się, zafilował czarną chmurką kopciuch.

- No?! - krzyknęła piękna Nelly. - Gdzie mały?

Balbiński aż do drzwi skoczył, a potem połapał się i stanął. Chwilę trwało zażenowane milczenie.

- Widzieli go ludzie - odezwała się wreszcie Lucyna. - Zdaje się, że z nim wszystko w porządku. - No, to chwała Bogu! - krzyknęła końskotwarza. - Chodźcie, chodźcie, zaraz przyrządzimy herbatę.

Zmoknięci, przemarzli, rzucili się wszyscy do kuchni. Jak czarujący wydał się ogień w palenisku! Gdy grzali się i poprzebierali, weseli, dowcipkujący, zebrali się znowu w jadalni. Nawet Kucyk zaczął ożywać tracąc przepiękną zielen oblicza.

Przy herbacie nastąpiły oczywiście opowieści i przechwałki. Kucyk rozgrzał się i zaczął cuda prawić o swoich pływackich wyczynach. Wynikałoby z tego, że po pierwsze, to on sam skoczył do wody w celach treningowych, po drugie, że to on dopędził Atalantę, a nie ta, dzięki rozpaczliwemu manewrowi Lucyny, zawróciła po niego.

Wtedy i tamci dwaj wstąpili w szranki turnieju. Zdzisio - że pierwszy zobaczył topielca, Wojtek - że przestrzegł przed mielizną. I że przygadał tamtym typom.

- Jakim typom? - spytał Sykus.

- A takim dwóm. Jeden siwy, łysy, brzuchaty, drugi wysoki, z włosami jak Papuas.

- No, no? - zaciekała się zaraz piękna Nelly. - Gdzie oni?

- Byli na żaglówce. Wleźli na mieliznę pod tamtym brzegiem - machnął przed siebie ręką.

- No i co?

- A, głupstwo - wtrąciła się Lucyna. - To oni właśnie powiedzieli nam o Andrzejku.

- Widzieli go? Gadali?

- No, tak. To znaczy widzieli. Za nim szła żaglówka tych naszych piratów.

- Tak? - aż krzyknął Balbiński. - Ciekawe!

- Dlaczego?

- Nic, nic, głupstwo. - Balbiński zmieszał się, wyciągnął papierosa.

Tak oczywiste było to jego zmieszanie, że rozmowa się urwała, wszyscy się weń wpatrzyli.

- Nic, głupstwo - powtórzył. - Po prostu Andrzejek bardzo nie lubił tego... no, tego z czerwoną chustą.

- Taak? - przeciągnęła końskotwarza. - Nie rozumiem. Taki miły, przystojny młody człowiek. Ta jego towarzysza, rzeczywiście, jakiś koczkodan.

- Lubił czy nie lubił, ale jeśli szli za nim, to musieli go poratować w razie czego. Nie? - Lucyna spojrziała na Balbińskiego.

Ten nic nie odpowiedział, zaciągnął się papierosem.

- Oczywiście, oczywiście! - krzyknął nagle Sykus.

- Taak! - dorzucił Balbiński, pomilczał chwilę i zapytał: - A ci dwaj jak poznali Andrzejkę? Rozmawiali z nim?

- Skądże! Widzieli go na pańskim kajaczk.

- Tak? A skąd poznali, że mój?

- Bardzo proste! - Nie wytrzymał Zdzisio. - Po żagielku. Taki pomarańczowy...

- Ach, tak? - Balbiński wstał.

Zdzisio i Lucyna zerwali się także.

- Co się stało? - spytał Kucyk.

- To się stało, że to nie był Andrzejek.

- Dlaczego?

- Dlatego że żagielek zdjąłem, Mam go w pokoju. Balem się mu dawać, nie obeznany był jeszcze, mógłby się wyrzucić.

- Nie może być! - krzyknęła Lucyna.

Balbiński bez słowa wyszedł z pokoju. Teraz wstali wszyscy. Po minucie wrócił. Miał w ręku zwinięty czerwopomarańczowy żagielek...

- No przecież! - szepnęła Zdzisio. - Te typy mówiły nawet, że nie chłopak, ale dorosły. Tylko żeśmy im nie uwierzyli, bo żagielek...

Teraz milczeli wszyscy. Lucyna odwróciła zbiełą twarz do chłopców.

- Chodźmy... - powiedziała głucho.

- Dokąd? - spytał Balbiński. - Burza trwa od kilku godzin. Jeśli zdążył dobiec do brzegu, to gdzieś tam człapie do nas. Żaglówką go nie spotkacie. A jeśli nie...

Milczeli. Za oknami porywy wiatru szarpały kępę starych drzew.

- Zobaczcie sami - powiedział Balbiński.

Zrobił krok, drzwi otworzył. Pala wiatru wdarła się do pokoju i sadza czarną chmurą buchnęła z lampy. - Zamykać, zamykać! - wrzasnęła końskotwarza. Wyszli na ganek. Deszczu akurat nie było, ale wiatr wzmógł się, zginał w pół krzaki bzu. Oziębilo się znacznie, po paru sekundach ręce pokryła gęsia skórka.

- Brr! - zawołała piękna Nelly. - Na pewno, na pewno gdzieś tam idzie. Chodźmy!

Wrócili do pokoju. Argumenty Balbińskiego były zbyt oczywiste.

- Jutro może się uciszy - dorzucił jeszcze. - Ruszemy z samego rana. A teraz...

Rozeszli się w milczeniu. W pokoju chłopców wiatr huczał w okienkach bez szyb. Na podłodze stały kałuże. Było zimno jak w psiarni. Rozebrali się w pośpiechu, pościel wydawała się lodowata, a była tylko wilgotna. Kucyk bąknął jakieś „dobranoc”.

Zdzisio skurczył się w kłębek, szczękały mu zęby, dygotały ramiona. Zasnął szybko. Z rana budził się parokrotnie, szukając znajomych kaskad słońca, buchających z okienek. Ale za każdym razem widział to samo: brudnoszare niebo, garście kropli siekających podłogę przy zachodnim okienku, rozkudłane lipy we wschodnim. Ziąb był przeraźliwy. I monotony hałas wiatru, drzew, jeziora.

Wreszcie zbudzili się i tamci. O sianokosach nie było mowy. Po śniadaniu zebrali się z Lucyną i Balbińskim. Zwyciężył ten ostatni: proponował czekać. Bardzo długi był ten dzień, pierwszy mazurski dzień bez słońca. Szwendali się koło pałacu. Parę razy Zdzisiowi wydawało się, że widzi na drodze szczipułką postać Andrzeja. Gdy wracali po naradzie, krzyknął nawet: „Cicho!”. Przesłyszało mu się jakieś Andrzejkowe zawołanie.

Znów się zebrali wszyscy przed obiadem. Pogoda się nic nie poprawiła. Hulał wiatr, twarze siekła porywista ulewa.

Balbiński z tej właśnie pogody usiłował wyciągnąć optymistyczne wnioski. Mówił, że Andrzejek przeczekuje pewnie w jakiejś wiosce ulewę, bo przecież wybrał się w stroju niemal kąpielowym, bez najłżejszego sweterka.

Wtedy właśnie Zdzisio wpadł na pomysł przeszukania całego wybrzeża Śniardw.

- Przecież to straszne! - wołał. - Może błądzi gdzieś na pół goły! Tu takie lasy! Wsi jak na lekarstwo. A my siedzimy tu syci, ogrzani...

- Wszystko to pięknie - rzucił Kucyk. - Ale jak chcesz tego dokonać? Żaglówką?

Zdzisio wzruszył ramionami. Był to absurd.

- Więc? Masz może samochód?

- Gdyby tak rower! - westchnął Zdzisio.

- No, właśnie! - Piękna Nelly aż klasnęła w dłonie. - Kaziku, kiedy sprowadzisz wreszcie ten swój rower?

Sykus spojrział jakoś tak na nią. Ale chłopcy zaraz się doń odwrócili.

- Pan ma rower?

Piękna Nelly zaraz krzyknęła:

- I jeszcze jaki! Niemiecki! Wschodni wprawdzie...

- No, i co z tym rowerem? - dopytywał się Zdzisio.

- Przecież wiesz, kochanie, że w naprawie - czule zagruchał Sykus i nawet pogłaskał małżonkę po rękę.

- Muszę powiedzieć, że to skandal! - nie przejęła się tym końskotwarza. - Już przeszło dwa tygodnie...

- Przesadzasz, słoneczko. Tydzień najwyżej.

- Co ty gadasz, Kaziku! Pamiętam doskonale. To było, zaraz, pierwszego lipca? Nie, nie, po pierwszym... Może drugiego? Tak, tak, drugiego wieczorem. Jakiś wrócił z przejażdżki taki zły, pamiętasz?

Sykus i teraz nie był bardzo dobry. Usta zacisnął i patrzył na swoje słoneczko z dość niedwuznacznym życzeniem: aby wreszcie stuliła swą ukochaną buźkę.

Piękna Nelly jakoś się tym nie przejęła.

- Pamiętasz? Jeszcześ nie chciał mnie pocałować na dobranoc? Ja pytam, co ci jest. A ty jakoś się wykręcasz. Ja pytam, gdzie postawiłeś rower. A tyś właśnie powiedział, że rower się zepsuł, żeś musiał na piechotę.

- A co mu się stało? - spytał Wojtek. - Bo przypadkiem znam się trochę...

- A nic, nic... Coś z łańcuchem! - odparł Sykus.

- To może byśmy go obejrzelі?

- Kiedy jest w naprawie.

- Gdzie? Daleko?

- E, głupstwo... Tak, owszem, dosyć.

- Daleko? Ja bym poszedł - ofiarował się Zdzisio. - Bo jeśli dwa tygodnie, to już pewnie jest gotów.

Ich niegrzeczna dociekliwość doprowadziła Sykusa do tego, że sam się ofiarował wybrać po rower. I rzeczywiście, gdy zjedli obiad, zjawił się przed chatynką Agnieszki w nieprzemakalniaku i kapiszonie, prowadząc rower w całkiem znośnym stanie.

W ten sposób Zdzisio wyruszył na objazd Śniardw, wybrawszy zaiste najgorsze warunki atmosferyczne i drogowe.

Czekanie na jego powrót okazało się najdłuższe. Po południu przyszła nowa potężna ulewa. Zebrali się w jadalnym, patrzyli melancholijnie na potoki wody bębniącej po szybach. Był już zmierzch, gdy Wojtek, który wyrzwał na dziedziniec, zobaczył na ścieżce wiodącej z lasu do bramy zgarbioną postać rowerzysty. Dwie nieustające strugi błota tryskały mu spod kół. Głowę miał pochyloną nad kierownicą: śpieszyło mu się.

Wojtek wpadł do jadalni z krzykiem:

- Znalazł, znalazł!

Ale gdy nareszcie Zdzisio wkroczył do pokoju, wszystkim ścisnęły się serca. W milczeniu czekali, aż coś powie.

- Kajak... - wygarnął Zdzisio. Był zdyszany, nie od razu wyjaśnił. - Kajak wyrzuciło na brzeg. Balbiński chwycił go za rękę.

- Skąd wiesz, że mój?

- Tabliczka... - Zdzisiowi znów zabrakło oddechu. - Poza tym łata na prawej burcie. Zauważyłem...
- Gdzie wyrzuciło?! - krzyknęła Lucyna. - No, w którym miejscu? Może w lesie... to gdzieś się błąka...

- Wieś jest tam - pokazał ręką na wschód, na przeciwny koniec jeziora. - W samej wsi. Jak przyjechałem, myśleli zrazu, że mój, że mi porwało...

- A nic... nic więcej tam nie wyrzuciło? - Balbiński powiedział to prawie szeptem.

- Trzeba milicję... - bąknął Kucyk.

- Depeszę do jego starych... - Zdzisio spuścił oczy.

- Są na wczasach - powiedział Kucyk. - Nie pamiętasz?

- Tak, milicję... - potwierdziła Lucyna. - Zdzisio, musisz jechać. Tam trzeba przeszukać...

- Może to jeszcze nic... Może wyrzuciło go koło brzegu. Kajak mogło popędzić dalej, a on może jeszcze gdzieś siedzi, w innej wsi.

Ale już nikt Balbińskiego nie słuchał. Wojtek nawet mruknął ze złością:

- Bo to też pomysły! Żeby smarkaczowi, który nawet pływać nie umie, dawać kajak!

Balbiński zarumienił się, sięgnął po papierosa.

- Dawałem, bom patrzeć nie mógł na jego samotność! - powiedział drżącym głosem. - Zabroniłem, oczywiście, wypływać na pełne jezioro i dlatego między innymi zabrałem żagielek z kajaka. Owszem, ponoszę swoją część winy. Ale nie od was będę słuchał krytyki. Przed tym oceńcie sami siebie.

Odwrócił się, poszedł do swego pokoju.

- Rzeczywiście, zajmijcie się przede wszystkim samymi sobą - odezwała się Lucyna. - A co miał robić chłopak, któregoście ni stąd, ni zowąd wyrzucili poza nawias?

- Tak, ale żeby kajakiem... - nie poddawał się Wojtek.

- Dobrze! - ucięła Lucyna. - Pogadamy o tym później. Coście naknócili, toście naknócili. A teraz trzeba na milicję...

- Może on się znalazł? - bąknął Zdzisio. - Może milicja coś wie?

Lucyna spojrzała na niego, kiwnęła głową bez przekonania. Zdzisio powiedział jeszcze, że z owej wsi dano znać na posterunek o kajaku. Pojechał wreszcie znowu, świecąc latarką po ciemniejących krzakach i kałużach.

Znowu czekali. Lucyna łudziła siebie i innych możliwością poprawy pogody: wtedy by Atalanta mogła dopomóc w przeszukiwaniu zarośli trzcinowych.

- Tam są mielizny, czasem nawet kamienie, tam na przykład, koło Czarciej Wyspy. I w ogóle w tamtej stronie - mówiła. - Dlatego podczas takiej burzy niesposób jechać na pełne jezioro. Ale na takich mieliznach, kto wie...

Milkła i twarze chłopców stawały się ponure. Burza jednak trwała z niezminiejszą siłą. Nie było to już tak gwałtowne, niczym oberwanie się chmury, jak wczoraj. Wiatr może nie sięgał furii pewnych porywów z ich nieszczęśliwej wyprawy. Ale z zachodu bez przerwy parły ogromne masy chłodnego powietrza, jezioro pokrywały długie białe grzywacze, ulewy nadchodziły jedna po drugiej i trwały godzinami, zimne, siekące po twarzy boleśnie jak grad.

Wieczorem przysły nadzieje na rozchmurzenie się i wyprawę żaglówką. Czekano tylko na Zdzisia. Wrócił po ciemku, wyczerpany doszczętnie. Ostatnie piętnaście kilometrów lichej drogi jechał pod wiatr.

Przywiózł niedobre wieści. Andrzejek nie zgłosił się do milicji ani w Mikołajkach, ani w Pieszku, ani w Momajnach, choć miejscowy posterunek zaalarmował tamte wszystkie miejsciny o wypadku. Kilku godzinne poszukiwania na pięciokilometrowym wybrzeżu koło wsi, gdzie się znalazł kajak, także nie dały rezultatów.

- Szukano z brzegu - mówił Zdzisio. - Na jeziorze żadna łódź się teraz nie ostoi. Dlatego... Może w trzcinach?

Milcząc rozeszli się do swoich pokojów.

Przyłapali!

1.

Drugi ranek trwał wicher, deszcz i zimno. Obudzili się wszyscy trzej bardzo wcześnie, leżeli skuleni pod kocycami, wzdygając się na myśl o wstawaniu, ziewając na myśl o perspektywie dnia, spuszczać oczy, gdy napotykali spojrzenie kolegów.

Zdzisio pierwszy nie wytrzymał.

- Co tu gadać, zachowaliśmy się jak kupa idiotów. I świń - dorzucił po chwili namysłu.

Nie protestowali. Kucyk przewrócił się na plecy, popatrzył na sufit o popękany tynku.

- Zrobiliśmy obrzydliwą rozróbkę - ciągnął Zdzisio. - No, powiedział o tych rakach, wielka mi rzecz! Co, nie starczyło dla nas czy co? Sam nie pojmuję, że ja też, z całą złością... Dlaczego? Skąd to wszystko?

- Masz rację, stary - rzucił Kucyk. - Głupio wyszło. Nie, Wojtek?

- Mhm! - mruknął Wojtek nie odwracając się od ściany.

Parę minut Zdzisio i Kucyk rozpamiętywali przebieg wydarzeń, coraz ostrzej oceniając swoje postępowanie i głowiąc się, jak mogło dojść do tego.

- A dajcie mi spokój! - nie wytrzymał wreszcie Wojtek. - Coście się przyczepili, rzeczywiście! No, owszem, możemy, tego... przeholowali. Ale z niego też nie róbcie teraz aniołka!

- Wojtek! - groźnie powiedział Kucyk. - Licz się ze słowami!

- No, bo pewnie! Gaduła był czy nie? Był. Kłamca...

- Wojtek!

- Co, Wojtek, Wojtek?! Ile nam nagadał o tych jakichś ceglach, strachach, napadach, przywidzeniach! Bujał nas na potęgę, a wy teraz...

Kłócili się pół godziny. Zdzisio usiłował wyciągnąć parę rzeczywiście niejasnych spraw, które im się wydarzyły, ale poza kluczem cała reszta wydawała się teraz całkiem błada.

- Tak - powiedział Zdzisio. - Niejasne to wszystko... A z tym Dżakim, pamiętacie? Jak się na niego uskarżał, że go prześladowuje?

- No, to co z tego? - syknął Wojtek.

- Że też się nie połapałem wcześniej! - klepnął się po czole Zdzisio. - Jak tamte typy powiedziały, że za żagielkiem ta czarna flaga...

- No, to co z tego, pytam się! - Wojtek aż się uniósł na łokciu. - Przecież ten cały Andrzejek nie na tamtym kajaku!

W tym punkcie wygrał: Zdzisio zamilkł. Wojtek zmusił ich do milczącej zgody na to, że pod koniec Andrzejek zanadto wpadł w te jakieś swoje manie.

- Po prostu uległ drobnomieszczańskiemu mistycyzmowi! - krzyknął Wojtek.

Zdzisio nie znalazł na to lepszego argumentu poza rzuceniem:

- A kto za to ponosi odpowiedzialność? My też, bośmy go nie powstrzymywali!

Ta bardzo pospolita forma kapitulacji zakończyła spór. W pokoju było potwornie zimno, toteż Zdzisio, wciągnąwszy na siebie wszystkie swetry i dresy, wpadł na pomysł:

- A może napalić w piecyku?

- Akurat! Te przeciągi wszystko wydmuchają - ziewnął Kucyk.

- Ale przynajmniej na chwilę człowiek się ogrzeje. Pamiętacie, jak u Londona ten włóczęga w wagonie z blachy palił gazety? Zresztą okna można czymś pozatykać. A tu nawet papier...

Otworzył drzwiczki piecyka. Na popiele z ubiegłej zimy leżało parę świeżych papierków. Na wierzchu tkwiła niedbale zmięta papierowa kulka. Zdzisio wyciągnął zapalnik, wziął tę kulkę i już chciał przytknąć do płomyka, gdy powiew wiatru zdmuchnął zapalnik.

- Psiakrew, ale wieje! - powiedział ze złością. Rozwinął kulkę, by łatwiej się zapaliła, i zobaczył pierwsze z brzegu słowo.

Brzmiało: „krzyżyk”. Ale nie dlatego zwróciło uwagę Zdzisia. Poznał dziecinnie niezgrabne litery Andrzejkowego pisma.

Wstał, wyglądził kartkę. Fala wstydu nawiedziła mu duszę. Kartka pisana ręką Andrzejka nabrała dlań znaczenia niemal testamentu. Miał przy tym taką minę, że niebawem i Kucyk, i Wojtek zaczęli dopytywać się, co tam znalazł.

- Krzyżyk! - odruchowo powiedział. Potem się poprawił: - Chłopcy, to on coś tu powypisywał.

Teraz wszyscy trzej, zapominając o zimnie, oglądali zmięty strzępek papieru. Było tu kilkanaście słów nabazgranych w pośpiechu ołówkiem. Niektóre były przekreślone, raz bardzo starannie, raz niedbale. Parę wierszy napisał tak szybko, że nic nie potrafili odcyfrować.

Gorzej było, że i ta reszta, to, co odczytali, też się wydawała bez sensu.

Oto, jak to wyglądało:

I Dykta	III (coś przekreślone)
a Radost	Choćby cię ciągli
b Podsiadło	Niewidzialne kroki T r a w a
- Wyłamana! klucz	Czemu nie od razu n i e
c rusza się	się zgodził? z l e ż a ł a
Co z jeńcami?	IV Sulamita jego się boi
Kury ciągle zdychają	a pierwszego wieczoru
(jedno zdanie przekreślone bardzo	b przy wejściu mau.
dokładnie)	gdy tańce
Ila Idyjotka	c poddasze
b a przy ludziach bardzo grze-	d gdy cegła k r z y ż y k
czny	e na drodze rozpęd
c kradzież zatuszował	(słowo „diabeł” przekreślone jeden raz)
Sufit! Sufit!	

W prawym dolnym rogu jeszcze parę słów, tak jednak nabazgranych, że poza zgłoską „gro” nic się nie dało odcyfrować.

Spojrzeni po sobie. Wojtek pierwszy jakoś na to zareagował: skrzywił się.

- Nie mówiłem? Popatrzcie!

I palcem tknął w przekreślonego „diabła”, w „niewidzialne kroki”, w „krzyżyk”.

- Dajże spokój! - sarknął Zdzisio. - Nic innego w tym nie widzisz?

- Owszem. Że z ortografią też nie wszystko u niego było w porządku. O!

Pokazał „idyjotkę”.

- A mnie się coś w tej sprawie zaczyna nie podobać! - rzekł Zdzisio. - Ta kartka...

- Widzę, że i manie bywają zaraźliwe! - burknął Wojtek. - No, róbcie, co chcecie, idę na śniadanie.

Gdy poszedł, Zdzisio zdobył się na bardziej żarliwe przekonywanie Kucyka. Twierdził, że winni zainteresować się papierkiem. Że kto wie, czy zniknięcie Andrzejka jest tylko nieszczęśliwym wypadkiem, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało.

Kucyk słuchał go z roztargnieniem. Rzeczywiście, zbyt chaotyczna była cała ta pisanina, zanadto przypominała jakąś zabawę w tajemnice. Zdzisio czuł to, próbował znaleźć w niej jakiś wątek do uchwycenia.

- Sufit! - zawołał nagle. - Dykta! Rozumiesz? Pamiętasz? Jak nam plółt coś na ten temat wtedy, na rozróbcie?

Kucyk nic konkretnego nie pamiętał.

- Przecież to tui - krzyknął Zdzisio. I skoczył do schodów na strych.

Z trudem wleźli obaj na poddasze. Było ciasne, ciemne i puste. Tylko kurz gęstą warstwą leżał na podłodze, tu i ówdzie zresztą starty tak, jakby ktoś czołgał się na kolanach.

Stanęli zginając głowy - tak tu było nisko. Chwilę patrzyli.

- Nic nie ma - powiedział Kucyk.

- Nic nie ma - potwierdził Zdzisio rozczarowany, jakby tu spodziewał się czyściutkiej teczki z maszynopisem tłumaczącym wszystkie te historie od początku do końca.

A potem spojrział w kąt przeciwny wejściu. Kurz tam był starty, dosyć szeroka plama mniej więcej czystej podłogi mieściła się w samym rogu.

Po jej zaś prawej stronie ktoś palcem wypisał na kurzu: „skrada się po schodach jestem sam”.

Ktoś! Jakby kto inny potrafił równie koślawo to wypisać!

Zdzisio ścisnął Kucykowi ramię. Szukali gorączkowo czegoś jeszcze. Ale tym razem stryszek okazał się już całkiem pusty i niemy.

Ruszyli na śniadanie milczący, ponurzy, jak spiskowcy. Wojtek siedział jeszcze u Agnieszki. Zdzisio chciał go wtajemniczyć, ale Kucyk wskazał oczami gospodynię.

Gdy wyszli, rozjaśnienie na niebie zmieniło kolory drzew i ludzkich oczu. Koło pałacu spotkali Balbińskiego, Sykusów, Lucynę. Ta ostatnia nerwowo zagryzała wargi, łamała w palcach jakiś patyk.

- Chłopcy! - zawołała. - Może wreszcie żaglówką będzie można...

Ruszyli wszyscy do przystani. Deszcz minął, wiatr jakby trochę osłabł, ale niebo było pełne chmur tym bardziej ponurych, że właśnie wyjrzało słońce.

- Nie da rady - pokiwał głową Balbiński. - Patrzcie!

Z zachodu szła nowa chmura. Wiatr po krótkiej przerwie wzmógł się znowu.

- Zresztą... - zaczął Sykus.

Nie dokończył, ale wszyscy zrozumieli. Ruszyli wolno z powrotem.

- Do cholery! - wrzasnął nagle Wojtek. - Trzeba coś zrobić! Depeszę wysłać czy co... Gdzie tu poczta?

- W Mikołajkach! - westchnęła piękna Nelly. - Nie dacie rady przez jezioro. Szkoda, nasz telefon zepsuty...

- Można z lwiszek - odezwał się pan Balbiński. - Tam jest telefon, można zadzwonić na pocztę, przetelefonować depeszę...

- Chodźcie, chłopcy! - zawołał Wojtek. - Idziemy! Bo zwariuję.

- Wszyscy trzej? - zapytał Zdzisio.

- A co macie lepszego do roboty? No, już!

Chciał ich zagarnąć pod rękę. Zdzisio się wysunął.

- Czekał. Pokój nie zamknięty.

- A idź ty! Potrzebne to teraz...

Zdzisio jeszcze chciał się upierać, ale Kucyk spojrział nań znacząco. Pożegnali się z resztą towarzystwa, która ruszyła do pałacu. Gdy odeszli za stodołę, Kucyk stanął.

- Zdzisiu, niech i ten wie!

Opowiedzieli mu o napisie na podłodze poddasza. Wojtek zbaraniał. Nagła chętka pójścia do lwiszek wskazywała już, że źle znosi napięcie nerwowe ostatnich dni. Rewelacje kolegów przejęły go jeszcze silniej.

- Chodźmy, chodźmy! - zawołał. - Muszę to sam zobaczyć.

Ruszyli z powrotem. Wiatr szalał w najlepsze, szybko przepędził tamtą chmurę. Zrobiło się jeszcze zimniej.

Cały pałac łomotał od jego rozpędu, gdy przedostawali się przez mauretańskie wejście do wieży. Poleźli zaraz na stryszek.

Ostrożnie, żeby nie zamazać śladów, które tu zastali, przeszli do przeciwnego kąta. Stanęli i Wojtek mimo woli przechodząc w szept przeczytał: „skrada się po schodach jestem sam”.

Milczał. Gdy przemówił, głos miał chropowaty, głuchy.

- Chłopcy! - zaczął. - Byłem ślepy...

- Cicho! - ścisnął mu łokieć Zdzisio.

2.

Wiatr łomotał za oknami, zgrzytały gdzieś niedobitki okiennic, wielkie drzewa trzepotały zgięte wpół. A przecież poprzez ten cały szum wszyscy trzej usłyszeli to właśnie, co niezgrabny paluch wypisał na kurzu.

Na dole, od sieni mauretańskiej ktoś się skradał po schodach. Czuło się wyraźnie wahanie, nasłuchiwanie, ostrożne macanie stopą następnego schodka: czy nie zaskrzypi, nie zajęczy spaczona deska.

Patrzyli na siebie. Zbyt bliskie było to odczytanie, aby choć przez chwilę musieli się przekonywać co do sensu tego, co właśnie słyszeli.

Tylko Wojtek, niecierpliwie starający się odrobić swe niedawne niedowiarstwo, zrobił krok ku schodom, aby skoczyć, łapać, przypierać do muru tego, co się skrada.

Kucyk go zatrzymał. Nakazując ciszę ostrym spojrzeniem, tknął palcem w jeden kąt poddasza, w drugi, po obu stronach przykrytego dyktą otworu. Kucnęli wszyscy trzej starając się wcisnąć w niskie załomy poddasza. Słuchali.

Kolejny szkwał minął, przycichła niedobita okiennica. Jak dobrze się słyszało teraz to skradanie się! Z dziesięć minut trwała wędrówka nieznanego przez schody. Jęknęła klamka, wolno ruszyły drzwi. Zdzisio wyobrażał sobie z całą jaskrawością, jak do ich pokoju zaziera twarz... Czyja twarz? Kto ze znajomych, z tych, co to co dzień się ich spotykało?... Czy może ktoś obcy? I czego, czego, do cholery, chce od nich?!

Jak powoli rozwierały się te drzwi! Ile można przemyśleć, ile sobie wyobrazić, ile się nadenerwować!

Ktoś, kto nie zawahał się usunąć Andrzejka! Więc nie o zwyczajne sprawy tu chodzi. Kto, kto to jest? Nagle olśnienie: przyszedł właśnie wtedy, gdy wiedział, że wieża będzie nie zamknięta, że oni sami będą w lwiskach.

Jeden z czworga tamtych, z którymi rozmawiali o poczcie pół godziny temu!

Teraz niecierpliwość targła nim tak wielka, że rękę wysunął chcąc unieść dyktę, zerknąć...

Kucyk wyszczerzył zęby, zrobił najstraszliwszą minę, na jaką było go stać.

Zdzisio dał spokój. Słuchali.

Ktoś posuwał się wolno w ich pokoju. Czego szukał? Ze szmerów, które doń dolatywały z dołu, Zdzisio usiłował odcyfrować, co się tam dzieje. Ich rzeczy? Czy to walizka szurgnęła teraz? Czy sienniki zaszumiały startą słomą?

Szmary były niegłośnie, bezdźwięczne. To, na przykład, to na pewno szept papieru, szept przerzucanych kartek książki. Ten stukot - to ustawienie jej na miejscu. Szafa, szafa bez drzwi miałyby kogoś interesować! Dziwy!

A teraz wiznęły żelazne drzwiczki piecyka. Co u diabła, czyżby wiedział kto, że tam się właśnie znalazła zmięta w kulkę kartka z łamigłówką Andrzejka? Jak długo trwa teraz cisza! Znalazł coś?

Znów przemożna chęć skręca go wpół. I znów śmiertelna groźba w Kucykowych oczach.

Krok, ostrożny. Może już wychodzi? Nie, cichutkie pukanie. Co u diabła? Nie takie pytające o pozwolenie wejścia. Nie, raczej jakby doktor opukiwał ci pierś. Takie przytłumione...

Wolno posuwa się to pukanie. Chłopcy czają się z trzech stron wejścia na stryszek. Już i Wojtka zżarła niecierpliwość. Usiłuje wytłumaczyć gestami, że intruz lada chwila może sobie pójść, że wcale nie musi zaglądać do tej nastawionej nań pułapki. Że więc teraz trzeba nagle zedrzeć dyktę i skoczyć z góry prosto mu na kark.

Kucyk bezgłośnie puka sobie w czoło. Tłumaczy gestami: tamten może być uzbrojony. Tylko zaskoczenie, to jedno daje im szansę.

Ten wniosek sam sobie dopowiada Zdzisio. A teraz milkną wszystkie nieme ich klótnie.

Na dole skończone pukanie. Chwila ciszy absolutnej. Ktoś rozmyśla, co robić dalej. I wreszcie znowu kroki. Inne, bardziej zdecydowane, prawie śpieszące.

Dwie sekundy niepewności. Na dół pójdzie czy do góry?

Ktoś wybrał. Skrzypi drewniana drabina. Pochylają się głowy chłopców. Ręce ich same wysuwają się naprzód, przyczajone, gotowe do chwytania.

Oto dyktą zaczyna się unosić. Ledwo ją widać. Niskie półkoliste okienka przestonili czyhający i na poddaszu panuje półmrok.

Sunie do góry dykta, czyjaś ręka wysuwa się spod niej, kręta i niepewna jeszcze, jak ślepa żmija. Dykta zsuwa się na bok. Czyjaś głowa, czyjś tors. Kucyk skacze z krzykiem. Zdzisio i Wojtek za nim. Rumor: Staczają się po drabinie na dół. Trzy minuty zacieklej walki. Nie poddaje się intruz, raz po raz targa napastnikami jak dzik opadnięty przez ogary. Ale chłopcy trzymają go za kark, wiszą u rąk, skręcają je do tyłu.

Wreszcie syczy:

- No, już dobrze, puszczajcie!
- Zaraz, zaraz, przyjacielu - mówi Kucyk.

Maca kieszenie przyłapanego. Wyciąga z tylnej niewielki zgrabny pistolecik.

- Teraz to co innego - powiada. - Siadajcie. Chłopcy, puśćcie go!

Ciężko dysząc puszczają swego jeńca. Są czerwoni na twarzach, wytarzani w kurzu. Wojtkowi pękła wiatrówka pod pachą.

Czerwony i brudny jest i ten, co się skradał. Zdzisio widzi w jego oczach coś zawziętego, złego. „Tak wygląda nienawiść” - myśli. Znają dobrze swego jeńca. Nie są zaskoczeni. Jak się okazuje z ich oczu, wszyscy trzej mniej lub więcej jego właśnie tu się spodziewali.

.Jest to Balbiński.

Siada ciężko na pierwsze z brzegu łóżko. Maca się po kieszeniach. Kucykowi błyska pewnie w głowie, że szuka drugiego pistoletu, bo się zrywa.

- No, no, co znowu?

Ale Balbiński wyciąga tylko papierosy. Widocznie zbyt jest zmęczony na jakiegokolwiek próby ucieczki. Zapala, dyni chciwie wciąga.

- Cóż to za kawały was się trzymają? - mówi wreszcie, usiłując z głupia frant przybrać ton, który jeszcze przed godziną zapewniał mu taką bezapelacyjną przewagę nad nimi wszystkimi. - Co za hece urządzacie? W dzikich Indian zamierzacie się bawić?

- No, no, łaskawco! - Kucykowi ani się śni pozwolić tamtemu na nawrót do jakże już dalekich stosunków sprzed godziny. - Wy tu nam nie zalewajcie

- Nie, bo rzeczywiście! Cóż to za maniery? Czaić się, spadać komuś na kark! Wykręcać ręce? Za daleko posuwacie się ze swymi zabawami, mości panowie!

- A mości pan co tu robił, w naszym pokoju? - stracił cierpliwość Wojtek.

- A cóż to, przydziałowe wasze mieszkanie? Zamek rodowy?

- Proszę odpowiadać! - sucho oświadczył Kucyk. - To nie są żarty! Jeśli obywatel nie potrafi wytłumaczyć się ze swego postępowania, będziemy musieli zamknąć was tutaj i wezwać milicję. Czego szukaliście w naszym pokoju?

- Rzeczywiście, pomysł! - zaczął znowu Balbiński, a potem jakby się rozmyślił. - Bardzo proste. Pan Sykus już dawno mi powiedział, że tu są jakieś stare niemieckie romansidła. Pogoda jest taka, że postanowiłem poszukać czegoś do czytania...

- I nic więcej was nie interesowało tutaj?

Balbiński wzruszył ramionami.

- Nie bawcie się w Indian. Dosyć.
- A czemuście się tak skradali ostrożniutko po schodach?
- Wcale się nie skradałem.

- Słyszycie, chłopcy? - powiedział Kucyk. - Ma nas za ostatnich durniów!

Balbiński skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: „A za kogo mam was mieć?” Wtedy nie wytrzymał Zdzisio.

- Więc tylko o książki panu chodziło?
- Powiedziałem już.
- To czego pan szukał w piecyku?
- Czy w ścianach też pan spodziewał się ukrytych bibliotek, że pan je tak starannie opukiwał? - dorzucił Kucyk.
- A na strych po co? I tam pan Sykus obiecywał panu książki?

Balbiński patrzył na nich z nie ukrywaną furią. Nic dziwnego: cóż mógł na to wszystko odpowiedzieć?

Z kolei Wojtek aż trzasnął pięścią w stółek. - Coście zrobili z Andrzejkiem?! - wrzasnął.

- O to samo mógłbym zapytać was. I z większym prawem! - wybuchnął Balbiński. - Przystaniecie błaznować czy nie?

- To wy nie błaznujcie! - skoczył doń Wojtek. - Przedwczoraj dlaczego tuście się skradali? Balbiński jakby ochłonął, jakby zimną wodą go z nagła oblano.

- Przedwczoraj? - spytał. - Kiedy?

- No, z rana! Przed burzą jeszcze! Zanim Andrzejek przepadł! No, nie wykręcać się!

- Chłopcy, co wy wygadujecie? - całkiem inaczej przemówił Balbiński. - Przedwczoraj z rana?

- Wypieranie się nic nie pomoże! - Wojtek znowu trzasnął pięścią w stółek. - Chłopcy, mam propozycję. Zamknąć faceta tutaj, nas dwóch będzie z zewnątrz go pilnować, a Zdzisio niech macha po milicję. Sykus roweru nie zaprzepaścił, co? No, właśnie.

- Daleko ta milicja! - westchnął Zdzisio. - Zanim się dobiorę...

- Prosta sprawa - wtrącił Kucyk. - Wal do Iwiszek i telefonicznie... Niech przyjeżdżają zaraz!

- To jest pomysł! - zawołał Zdzisio. - Już się robi!

Ruszył do drzwi. Balbiński spojrzał szybko na Kucyka, na Wojtkę. Potem zerwał się z krzesła.

- Czekaście! - krzyknął. - Czekaście, niech was cholera!

Odwrócili się doń wszyscy trzej. Czoło ręką potarł, jakby ścierając z niego pajęczynę i ból.

- Niech was... - powtórzył. - Trudno. Frajer jestem, dałem się przyłapać. Czekaście, czekaście. Wszystko, tylko nie to...

- Dziwne... - wycedził przez zęby Kucyk. - Po książki do czytania się idzie, a milicji się boi gorzej ognia... Hrabia się jakoś wykręca. Zdzisio, ruszaj no, bracie...

- Niech was cholera! - krzyknął Balbiński. - Słuchajcie.

3.

Zapalił papierosa, usiadł, chwilę patrzył w okienko. Kucyk mrugnął znacząco do Zdzisia i ten, jakby nigdy nic, siadł na łóżku przy drzwiach. Wojtek na sąsiednim, z drugiej strony. Wyciągnęli nogi i oto jedyna droga ucieczki została zamknięta tą żywą barykadą. Okienka były zbyt wąskie, nawet gdyby komu strzeliło do głowy skakać z wysokości drugiego piętra.

Balbiński nie odwracając się rzucił:

- O dwudziestym lipca słyszeliście?

Spojrzeni po sobie.

- No, o tym sprzed dziesięciu lat, z czterdziestego czwartego?... - odwrócił się do nich.

- Ten zamach? - spytał niepewnie Kucyk.

- A! Z tym Hitlerem! - krzyknął Wojtek. - To wszystko bujda!

Balbiński skrzywił się.

- Przed takimi znawcami historii najnowszej aż przykro mówić o tych sprawach. Co się zowie, perły przed wieprze... No, więc o co tam poszło, wiecie?

- Rzeczywiście, sztuka! - warknął Wojtek. - Hitler, agent amerykańskiego imperializmu...

- No, a kto ten zamach robił? - przerwał mu Balbiński.

- Wiadomo, Amerykanie... - zaczął Wojtek i urwał, po chwili zaś dorzucił z bardzo odkrywczą miną: - Przecież mówię, że to wszystko bujda.

- Dobrze - westchnął Balbiński. - Słusznie nam się należy ta lekcja. Nauczyliśmy was dwóch formułek na całe bogactwo wydarzeń historycznych i oto skutki...

- Panie, panie! - zawołał Kucyk. - Tu nie lekcja historii. Albo pan gadasz, albo jedziemy do Iwiszek.

- Dobrze - Balbiński cisnął papierosa. - Wiecie, co tu było za Niemców? Dwór. Po prostu siedziba jednego z rodów słynnych wschodnio-pruskich junkrów, tej, jak wiadomo, podstawy i ostoi niemieckiego imperializmu. Tutejszy ród junkierski miał wszystkie typowe cechy swojej klasy: pogardę dla otoczenia, zwłaszcza dla tutejszych, Mazurów, pychę szlachecką, przywiązanie do monarchii i w

ogóle władzy dostatecznie silnej, by plebs utrzymała w łapach. I tak dalej. Ale oprócz tego wszystkiego Haushoferowie mieli jeszcze pewną cechę szczególną. Wiecie, jaką? Byli czarodziejami...

- Tak, taak... - westchnął Kucyk obejrzawszy swoich kolegów. Miało to znaczyć: „Hrabia myśli, żeśmy tacy sami jak Andrzejek!”

- A właśnie, że tak! - zawołał Balbiński. - Byli czarodziejami.

- Z dziada-pradziada... - szydził Kucyk.

- Tak jest, mości panie! Z dziada-pradziada! Zrazu to sprowadzało się pewnie do tego, że po prostu umieli czytać w przeciwieństwie do ogromnej większości swoich kompanów ze szlachty okolicznej. W czternastym wieku wystarczyło pewnie, jeśli ktoś świecki umiał czytać, by go uznać za niebezpiecznego czarownika. Potem weszło do tradycji haushoferowskich posyłanie synów do niemieckich uniwersytetów. W osiemnastym wieku Haushoferowie na dworze Hohenzollernów robili konkurencję włoskim i francuskim szarlatanom w sztuce alchemicznej. A w dziewiętnastym weszło do tradycji rodowej, że każdy Haushofer, zanim osiadzie w Gorzyżkach, musi zdobyć najpierw tytuł privat-docenta.

- Nie rozumiem, jaki to związek... - rzucił Kucyk.

- Bardzo ścisły! - krzyknął Balbiński. - Ta tradycja rodowa wytworzyła dokoła Gorzyżek szczególną atmosferę...

- Nieczystą! - wtrącił Wojtek. - Edzio, pamiętasz prababkę Dendów? Co gadała, pamiętasz?

Kucyk machnął niecierpliwie ręką.

- Otóż ta tradycja przetrwała w rodzie Haushoferów aż do ostatniego jego przedstawiciela, Helmuta. Urodzony w latach dziewięćdziesiątych, kapitan artylerii z pierwszej wojny, Helmut Haushofer skończył po wojnie uniwersytet i osiadł w tym pałacu dopiero w końcu lat dwudziestych, już po zdobyciu tradycyjnego tytułu privat-docenta.

Urwał, znowu zapalił. Słuchali nic nie pojmując i nie bardzo mu dowierzając.

- Dotąd wszystko było proste, jeśli chodzi o tego Helmuta. Można było bez trudu dowiedzieć się, gdzie i co studiował, co robił, nawet jakich miał przyjaciół. Gdy jednak zamieszkał tutaj, jakby ukrył się w gęstym obłoku tutejszej mgły jesiennej. Wszystko, co go dotyczy, stało się niejasne, fragmentaryczne, pełne sprzeczności. Oczywiście, parowiekowa legenda o czarodziejstwie Haushoferów musiała i jego zagarnąć. .

Powtórzył pokrótce opowieść Agnieszki. Wywołało to nowy przypływ niecierpliwości jego słuchaczy.

- Gada pan o książkach, potem pan opukuje ściany, coś tam plecie o zamachu na Hitlera, a teraz w ogóle opowiada bajeczki - streścił tę niecierpliwość Kucyk. - A my nie jesteśmy Andrzejkami! Nas bajeczki nie interesują!

Balbiński ze złością pokręcił głową. Parę razy w milczeniu pociągnął papierosa. Potem znowu jakby się poddał konieczności.

- Musicie zrozumieć, że wszystko sprowadza się do tego Helmuta! - krzyknął. - Niech was cholera! Jakaście już mnie przyłapali, to przynajmniej słuchajcie!

- Tylko nie bajeczek! - krzyknął i Kucyk. - Niech pan nie zapomina, chodzi tu o sprawy poważne. Andrzejek...

Balbiński machnął ręką.

-- Chodzi tu o sprawy tak poważne, że nawet nie macie pojęcia. Andrzejek był arcymyłym chłopcem, sto razy bardziej przyjemnym i rozgarniętym od was wszystkich razem wziętych, ale i on...

- Co? Co mówicie? - Kucyk podniósł się.

- Dajcie mi spokój! - machnął ręką Balbiński. - Słuchajcie lepiej. Otóż Helmut Haushofer po powrocie do Gorzyżek nie poprzestał na bytowaniu szlacheckim w gnieździe swych przodków, ale rozwinął bardzo ożywioną działalność. Po dwóch liniach.

Po pierwsze - był bardzo aktywny politycznie. Już zaraz po wojnie, podczas plebiscytu, dowodził bojówką zdemobilizowanych żołnierzy. Gdy tylko zaczął się tu ruch hitlerowski, Haushofer był jednym z pierwszych tutejszych jego zwolenników. Nienawidził Polaków, nigdy, na przykład, nie brał bandosów od nas. Mawiał rzekomo, że sam dźwięk mowy polskiej przyprawia go o ból głowy, tyle w niej tych wszystkich ć, ś, cz, sz. Także i Mazurów nie znosił, w ostatnich zaś latach przed wojną spowodował wysiedlenie paru wiosek i sprowadzenie tutaj kilkunastu rodzin z głębi Niemiec.

Po drugie zaś, nie poprzestał na drobnych, amatorskich niejako zajęciach naukowych, jak to czynili jego przodkowie. Po zamieszkaniu w Gorzyżkach - i zwłaszcza po objęciu władzy przez Hitlera -

zaczął prowadzić jakieś badania tak intensywnie, że po pewnym czasie Gorzyjałki stały się nieomal naukowym laboratorium.

I otóż to jest najważniejsze! Czego Helmut Haushofer doszukiwał się w swoich gorzyjałkowych badaniach? Wiecie może?

Chłopcy spojrzeli po sobie. Kucyk wzruszył ramionami - zawodowy „warsiaski” sceptyk. Wojtek łatwo się zaraził tą nieufnością i już miał w ustach kolejną „bujdę”. Tylko Zdzisio dał się nieco zahaczyć tym pytaniem. Milczał wprawdzie, ale patrzył dostatecznie poruszony na Balbińskiego. Ten nie polemizował już z niedowiarkami, ciągnął swoje.

- W tym sęk, że nie wiemy! A że niebłaha to była sprawa, świadczą trzy fakty.

Po pierwsze, przez cały czas wojny Haushofer znajdował się pod bardzo ciepłą opieką władz hitlerowskich. Wiemy na przykład, że Gorzyjałki zostały otoczone zasiekami z drutu kolczastego, że ulokowano tu nawet niewielki garnizon wojskowy, że przydzielono paru esesowców. Więc władcy Trzeciej Rzeszy uznali, że praca Haushofera jest dla nich bardzo ważna.

Po drugie, mamy dane, że praca ta nie była bezowocna, na odwrót, Haushofer dokonał czegoś. I to czegoś tak poważnego, że został wezwany, wiecie do kogo? Otóż właśnie! Do samego Hitlera.

Jak wiadomo, niedaleko stąd, pod Kętrzynem, znajdowała się kwatera polowa Hitlera, tak zwane „Wolfschanze”, „gniazdo wilka”. Byliście tam? Szkoda.

Kętrzyn to byle jakie tutejsze miasteczko, brzydsze od takiego na przykład Mrągowa. Wybiega zeń kilka dobrych szos asfaltowych. W okolicy nie brak wielkich masywów leśnych.

Ale wilk uwił sobie gniazdo nie w wielkich borach. Wyjeżdżacie z Kętrzyna na wschód, na Giżycko. Parę kilometrów za miastem w lewo skręca byle jaka droga. Trochę dalej z asfaltu przechodzi ona w zwykły bruk. I jeszcze parę kilometrów. Pagóreczki, jedno i drugie niewielkie jezioro. Lasek niewiekszy niż kilkanaście metrów.

W tym lasku zwolnijcie, przyjrzyjcie się okolicy. To nie jest bór sosnowy. I graby tam znajdziecie, i trochę dębów, i świerki. A między drzewami zobaczycie dziwne domy. Z góry zamaskowane pod pagóreczki, z boku zrobione na byle baraki z desek. Ale jeden z nich wydał się jak bęben, pękło drewniane oszalowanie i wyjrzały metrowej grubości ściany z żelazobetonu.

Potem szosa się rozwidła. Skręćcie w prawo. Sporo ruin. Na ziemi gnijące listowie bardzo szczególnego rodzaju: kruszy się, a nie traci swej zieleni. Skały jakby z szarego piaskowca, wysokości trzypiętrowego domu. Na ich szczyt prowadzi drabina z żelaznych haków. U ich podnóża czernieją wąskie otwory.

Prowadzą do głębokich podziemi. Nie, to nie wilcze gniazdo. i o raczej nora borsucza albo kryjówka jakichś olbrzymich leśnych szczurów, które nauczyły się od kretów rycia ziemi, ale zachowały swoje szczurze tchórzliwe okrucieństwo.

Tam właśnie, do tego Wolfszańca, zaproszono pewnego dnia lipcowego czarodzieja z Gorzyjałek. Pamiętacie, co to był za lipiec? Skądże macie pamiętać.

Był to lipiec, zaczęty dwudziestego drugiego czerwca nad odległą stąd o tysiąc kilometrów Berezyną. Tam właśnie rozgorzała najpotężniejsza ze wszystkich sowieckich ofensyw. W trzy tygodnie później czołowe radzieckie czołgi hulały za Wilnem, pod Białymstokiem, Siedlcami. Właśnie ruszało następne uderzenie na Wołyniu. Kraj wielkości Polski wynurzył się z nocy hitlerowskiej okupacji. Ogień tej wielkiej ofensywy ze środkowego odcinka przerzucił się na północ, na bałtyckie wybrzeże. Na południu, nad Prutem dojrzewał po cichu piorun, który za miesiąc miał uderzyć w Bałkany.

A na zachodzie pękł właśnie mur niemiecki, którym usiłowano odgradzić od Francji anglo-amerykańskie wojska, co półtora miesiąca temu wylądowały w Normandii. Czołgi Pattona rzuciły się już na Loarę, skręciły na wschód, szły na Orlean i Alençon. W miesiąc później wyzwolony zostanie Paryż.

Pamiętacie owe dni? Nie pamiętacie. Zdawałoby się, ludzie szaleć musieli podówczas z radości, że pięcioletnia niewola właśnie się kończy. Ale ta radość, to szaleństwo nie były klarowne, jedyne i pełne. Wieczorami na zmianę zjawiał się strach.

Bo coś zastało jeszcze podówczas szaleńcowi z niedalekiego wilczego gniazda! Wiedząc, że musi zniknąć z powierzchni ziemi, zapowiadał ludzkości, że nie odejdzie sam. Że odchodząc trzaśnie drzwiami z taką siłą, by za nim runęła w przepaść połowa kuli ziemskiej.

I co gorsza, okazało się, że pogroźki te nie były bynajmniej całkiem jałowe. Właśnie przed kilku tygodniami nad Anglią zaczęły się ukazywać dziwne stwory, podobne do samolotów ze zbyt grubym kadłubem i zbyt kusymi skrzydłami. Mimo to leciały szybciej niż najsmiglejsze pościgowce Jego

Królewskiej Mości. Gdy zaś przestawały lecieć, padały na ziemię i następowało pół sekundy piekła. To była, jak się rozwrzeszczeli Goebbelsowi sługusi, niemiecka broń odwetowa! Zapowiadali nawet, że to broń odwetowa numer jeden. Że mają w zanadrzu całe dziesiątki dalszych numerów, bez porównania groźniejszych.

I co gorsza, pogroźki te także nie były całkiem gołosłowne. Gdy Anglicy jako tako opanowali ściganie owych kusych potworów, z obrzydliwym wyciem ciągnących nad Londyn, stolica ich kraju przeżywać zaczęła okropności innego rodzaju. We wszystkich porach dnia i nocy, raz o zmierzchu, innym razem w pełne południe, z chmurnego nieba angielskiego walić się poczęły na Londyn najpotworniejsze bomby, jakie podówczas jeszcze znano. Bez lotniczych alarmów, bez ostrzegawczego wycia, bez najmniejszych zapowiedzi, że się zbliża, bomba taka padała na miasto. Błysk, huk, dym - kilkunastometrowy dół w bruku, parę domów okolicznych rozwalonych od podmuchu, kilkadziesiąt i paręset trupów.

Pytałem ludzi, co przeżyli obydwa rodzaje tych pocisków. Mimo że te drugie były wielokrotnie silniejsze, znalazło się dosyć takich, co je woleli od pierwszych. Bo spadały bez zapowiedzi! Bo się nie przeżywało owych paru minut narastającego lęku! Ludzie nie lubią na ogół zbyt często przygotowywać się do bliskiej śmierci. Wolą śmierć bez zapowiedzi niż za dużo takich zapowiedzi, choćby nawet bez, koniec końców, śmierci.

Ale co to was obchodzi! W waszym wieku takie wszystkie rozmyślenia streszcza się w jednym słowie: bujda.

Otóż te nagłe bomby, jak wiecie, to była hitlerowska broń odwetowa numer dwa. Przechwalając się jej straszliwą skutecznością, Goebbels począł zapowiadać dalsze bronie, stokrotnie groźniejsze,

Czy je mieli hitlerowcy już gotowe? Nie, jeszcze nie mieli. Czy je szykowali? Ależ tak, jak najbardziej. Więc rozumiecie, czemu pewnego pięknego dnia lipcowego zjawił się w Gorzyżkach samochód wojskowy z paru oficerami SS? Rozumiecie, czemu pana Helmuta Haushofera zaproszono do wilczego gniazda?

- Ach, tak! - z radosnym zdumieniem zawołał Wojtek. - Już rozumiem! Nowa broń! Bomba atomowa...

Balbiński skinął ręką i ciągnął swoje.

- Zacząłem od dwudziestego lipca. Wiecie, co to było?

- No, ten zamach - bąknął Wojtek. - Amerykański imperializm...

- Raz nareszcie trafiłeś w sedno - oświadczył Balbiński. - Tylko że nie wystarczy dukać te dwa słowa. Trzeba umieć wytłumaczyć - jak, co, dlaczego.

Hitler z pewnością zaczął jako pupilek pewnych spółek finansowych angielskich i amerykańskich, zaniepokojonych rozwojem komunizmu w Niemczech. Tylko że, poczynając od pewnej chwili, osiągnął on taki poziom siły, że mógł sobie bimbać na swych przedwczorajskich patronów i opiekunów. Z przedmiotu w ich rękę stał się podmiotem międzynarodowej polityki. Z agenta pewnych kapitalistycznych kół amerykańskich stał się rzecznikiem politycznym odrodzonego po pierwszej wojnie kapitalizmu niemieckiego. Rozumiecie więc, jak głupio na pytanie, kim jest Hitler, poprzestawać na odpowiedzi, że był amerykańskim agentem? Tyle samo w tym prawdy, co gdyby na pytanie: „Co to jest żaba?” odpowiedzieć: „To taki skrzek”!

Otóż w czterdziestym czwartym roku, gdy losy wojny były jasne dla każdego, w Niemczech znalazły się siły, które spróbowały uwolnić się od Hitlera, aby ocalić co się da z płonącego niemieckiego mocarstwa. Siły te były bardzo rozmaite. Byli wśród nich komuniści, lewi socjaliści, po prostu demokraci, po prostu uczciwi ludzie, oburzeni i przerażeni rozmiarami nieszczęść, które hitleryzm ściągnął na Niemcy, Europę, ludzkość. Siły te próbowały przyspieszyć klęskę hitleryzmu po to, by później z korzeniami wydrzeć z gleby niemieckiej to wszystko, co rodziło militarizm i faszyzm, co spowodowało pierwszą wojnę, co wywołało drugą. To znaczy właśnie junkrów, biurokratyczny aparat państwowy i przede wszystkim wielki kapitał niemiecki.

Ale były i siły całkiem inne, które też chciały skończyć z Hitlerem, ale w celu wprost przeciwnym. Po to, by ocalić co się jeszcze da z tej gleby, z której zrodził się hitleryzm. Zniszczyć Hitlera, by ocalić niemiecki kapitalizm. I te siły właśnie ułożyły spisek 20 lipca.

Nie ulega wątpliwości, wśród spiskowców byli też ludzie z gruntu uczciwi, przyzwoici, szczerze nienawidzący hitlerowskich okropieństw, nie pojmujący tylko, z czego hitleryzm się wziął, jakie są jego korzenie. Byli i inni, spryciarze, wiedzący doskonale, czemu zamach na Hitlera ma służyć. A na końcu całego spisku siedział zakamuflowany w konsulacie amerykańskim w Zurychu jegomość zwący się Dulles. Allan, nie John Foster. Brat. Szef amerykańskiego wywiadu na Europę.

Ale mniejsza o to. Wiecie, jaki przebieg miał 20 lipca? Oczywiście, skąd macie wiedzieć. Uczymy was wysuszonych, wypranych z barw i uczuć formułek i myślimy, żeśmy was nauczyci historii!

20 lipca to był upalny słoneczny dzień. W południe Hitler zazwyczaj odbywał taką niewielką konferencję sztabową, gdzie referowano sytuację na frontach i gdzie ten „genialny strateg” dawał swoje oceny i dyspozycje najwyższym dowódcom wojskowym Rzeszy.

Tego dnia było wyjątkowo upalnie. Wyobraźcie sobie, że ten szczegółik ciężko zaważył na przebiegu wydarzeń!

Zwykle bowiem konferencja odbywała się w głębokim podziemnym schronie betonowym. Ale tego dnia Hitler, jak się zdaje w dobrym humorze, polecił ją przenieść na górę do jednego z baraków, takich prawdziwych, z samych desek, nie będących przebranymi żelazobetonowymi bunkrami.

Spiskowiec znajdował się w najbliższym otoczeniu Hitlera. Był to jeden z adiutantów, podpułkownik von Stauffenberg. Parę minut po rozpoczęciu konferencji miał on odlecieć wojskowym samolotem do Berlina. Przed początkiem konferencji wszedł do baraku jakby nigdy nic, postawił teczkę niedaleko miejsca Hitlera, po czym wyszedł i ruszył do samolotu.

Samolot podrywał się właśnie, gdy huk targnął laskiem. Stauffenberg usłyszał, że bomba zostawiona w teczce wybuchła. Znając jej siłę i wiedząc, jak blisko znajdowała się Hitlera - przekonany był, że z tamtego pozostały żalodne strzępy.

Poleciał do Berlina w świetnym nastroju. Swoim przyjaciółom ze spisku naopowiadał, że zamach całkowicie się powiódł. Ale oni już wiedzieli, co się stało naprawdę. Ponieważ spisek miał charakter przewrotu pałacowego, ponieważ nie chodziło o zmianę ustroju Niemiec, a tylko o zmianę dyktatora, niepowodzenie zamachu załamało ich tak bardzo, że - jak wiadomo - dali się wziąć prohitlerowskim wojskom nie stawiając żadnego oporu i nawet, jeśli chodzi o oficerów, nie usiłując ukrywać się, uciekać, walczyć.

Zamach nie powiódł się właśnie z powodu upału. Bomba Stauffenberga, gdyby wybuchła w podziemiu, zmełłaby wszystkich obecnych na proszek. Ale barak z desek rozsypał się z dużą łatwością i wyzwolona z wybuchu energia poszła sobie w niebo.

Pewnie, były jakieś straty. Hitlera też trochę pokaleczyło. A co ważniejsza: przeraziło, napęliło nieufnością do otoczenia i furią.

Otóż trzeba trafu, że właśnie tego dnia wezwany został do Wolfszauca nasz Haushofer. Po konferencji sztabowej miał złożyć raport Hitlerowi z przebiegu swoich poszukiwań.

Czekał w jednym z sąsiednich baraków. Z przerażeniem usłyszał wybuch. Przez kilkanaście minut w wilczym gnieździe panował całkowity chaos. Bardzo szybko jednak skojarzono wybuch z odlotem Stauffenberga. Po półgodzinie znalazł się taki bohater, który zezwolił Haushoferowi na odjazd do domu, ponieważ stało się jasne, że rozmówca naszego czarodzieja stanie się zdalny do rozmowy dopiero po upływie w najlepszym razie kilku dni.

Haushofer skwapliwie skorzystał z tego przyzwolenia. Wrócił do Gorzyżalek. Nie był jednak spokojny. Traf chciał, że ze Stauffenbergiem spotykał się parokrotnie w Berlinie i że to ten właśnie adiutant przyjeżdżał do niego do Gorzyżalek.

Obawy nie okazały się płonne. W parę dni potem, gdy Himmler i Kaltenbrunner ochłonęli z pierwszego popłochu, gdy zaradzono niepewnej sytuacji w Berlinie, zabrano się do energicznego wypalania wszelkich możliwych odnóg spisku. W Gorzyżalekach zjawili się gestapowcy. Haushofera aresztowano. Ponieważ nie był szeroko znany, ponieważ nie zajmował żadnego stanowiska, nie stawiono go przed sądami, oszczerczo nazwanymi „Trybunałami Ludu”. Po prostu zgładzono strzałem w tył czaszki i pochowano cichutko w byle jakiej zbiorowej mogile.

W jakiś czas później przez Gorzyżalki przeszła fala prawdziwego zniszczenia. Meble wywieziono, papiery spalono, cały personel rozpędzono na cztery wiatry. Ci, co oglądali pałac w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu, byli zdumieni jego zastarzałą pustką. Nie opatrzone na zimę róże pomarzęły, nie wykopane kartofle następnego roku puściły zwyrodniałe pędy. Pegieer, który tu utworzono, musiał się rodzić na całkiem pustynnym podłożu: ani bydła, ani sprzętu.

Oto i wszystko, z grubsza, moi kochani. Rozumiecie z tego cokolwiek? Widzicie związki z moim szwendaniem się, pukaniem w ściany, ciągnięciem starych książeczek? Nie widzicie.

Otóż muszę wam powiedzieć, że to jeszcze nie wszystko. Powiedziałem, że trzy fakty świadczą o powadze tej sprawy. Że nie byle czego szukał Haushofer - świadczyła czuła opieka hitlerowców nawet w ciągu wojny. Że doszedł do jakichś rezultatów - świadczyło wezwanie go na rozmowę do samego Hitlera. Opowiedziałem o tym dosyć obszernie. Otóż zostaje jeszcze fakt trzeci, dla nas najważniejszy.

Balbiński umilkł, chrząknął, znowu zapalił. Nowa chmura dygotała za murami wieży.

- Ależ ziąb! - Zakaszłał, podszedł do okienka. - Że też potraficie tu wytrzymać!

Milczeli, patrzyli nań oszołomieni wszystkim, co usłyszeli, zafrapowani tym, co im jeszcze zapowiadał. Nawet Kucykowi przeszło trochę sceptyczne skrzywienie warg.

- Pozostaje pytanie - ciągnął Balbiński - czy wszystko zginęło z tego, czego tamten dokonał? Wiemy, że w kilka dni po aresztowaniu Haushofera Gorzyżalki ogołoczone zostały ze wszystkich jego papierzysek, które spalono razem z archiwami służby bezpieczeństwa przy wilczym gnieździe w przeddzień ucieczki hitlerowców z tej ziemi, to znaczy gdzieś na początku stycznia czterdzieści pięć. Wiemy, że raport, który zabrał ze sobą, został złożony w baraku konferencyjnym i uległ zniszczeniu razem ze wszystkimi innymi papierzyskami, czekającymi tam na wgląd Hitlera. Więc...

Patrzyli nań, nie chcąc zgodzić się na, zdawałoby się, niewątpliwie pesymistyczny wniosek. Tylko Wojtek trochę się zniecierpliwiał.

- A jeśli nawet nic nie zostało! - zawołał. - Teraz już żadna sztuka. To już wszyscy wiedzą, jak tę bombę atomową się majstruje!

- A któż ci powiedział, że chodzi o bombę atomową?

- Jak to... - zmieszał się Wojtek. - Pan sam...

- Ja? Ja tylko ręką machnąłem, żebyś nie przeszkadzał! I teraz machnę, rozumiesz? Bo jeszcze nie skończyłem. I niech ci się nie zdaje, że bomby atomowe czy wodorowe to już najbardziej piekielne nieszczęście, jakie zna ludzkość!

Tym razem chłopcom same usta się rozwarły. Dopiero po kilku sekundach zauważyli to i czym prędzej znowu je przytknęli.

- Otóż z tego wszystkiego wynikałoby, iż dzieło Haushofera, mimo że doprowadzone dosyć daleko, znikło bez śladu. I chociaż ten i ów na świecie wie o istnieniu jakiegoś tajemniczego laboratorium naukowego, zagubionego w krainie lasów, jezior i bagien, to jednak przez dłuższy czas uważano sprawę za całkiem zlikwidowaną.

Aliści przed kilku miesiącami w pewnych kołach zachodnio-niemieckich pojawiły się słuchy, że się coś odnalazło z odkryć Haushofera. Słuchy te doszły do naszego kraju. Jasne, że się bardzo tym zainteresowano...

- Zaraz, zaraz! - przerwał Wojtek. - Jakże to jest? Przez dziesięć lat milczano, a potem nagle... Coś tu nie trzyma się kupy!

- Nic prostszego - odparł Balbiński. - Przez dziesięć lat tego, co wie coś o tym, nie było w Niemczech. Dostał jakiś wyrok za wojenne zbrodnie i odsiadywał go z dala od Niemiec. Rozumiecie? A potem wrócił...

- I co?! - zawołał Zdzisio.

- Kto, zapytaj raczej. Ktoś, kto był w Gorzyżalkach w okresie ich likwidacji. Jakiś były esesowiec, przydzielony tu do pilnowania cennej osoby Haushofera. Twierdzi on stanowczo, że ten cały czarodziej sporządził swój końcowy raport w trzech co najmniej egzemplarzach. Że jeden zabrał ze sobą do Wolfszańca. Że drugi zabrali gestapowcy w czasie rewizji. Ale że trzeci tamten miał czas gdzieś tu ukryć.

Że Haushofer musiał spodziewać się wizyty policji, to jasne. Zwolniono go dwudziestego lipca, bo już wiadano, kto jest sprawcą. Ale faktycznie stało się to przez przegapienie. Przy takiej hecy każdy obecny w Wolfszańcu musiał stać się obiektem śledztwa. Haushofer tym bardziej, że się znał ze Stauffenbergiem, choć z pewnością do spisku nie należał, bo inaczej wykręciłby się jakoś od wyjazdu tam akurat tego dnia.

I teraz wiecie już wszystko. To znaczy, grubo za dużo, niż powinniście.

Gdzieś tu w pałacu w Gorzyżalkach lub w niedalekiej okolicy ukryty jest przepis na jakąś straszliwą broń przeciw ludzkości. Dlaczego w niedalekiej? Bo ten, co wrócił, twierdzi, że Haushofer po powrocie z Wolfszańca nigdzie nie wyjeżdżał. No, rozumiecie teraz?

Popatrzyli na siebie. Zaczynali rozumieć.

- Chłopcy, pamiętacie, jakeśmy przyjechali tu? No, do Stobca! - zawołał Zdzisio. - Pamiętacie, o północy...

- Idź ty! - zachnął się Wojtek. - Tamten był wprost nad nami. A tu, tyle kilometrów...

- Skąd, ze Stobca? - wtrącił się Balbiński. - W linii powietrznej niewięcej niż dwadzieścia. Bo co?

- Andrzejek! - krzyknął Kucyk. - Już rozumiecie?! On musiał wpaść na trop i...

Urwał, zagryzł usta; spode łba spojrział na Balbińskiego.

4.

- No, co znowu? - spytał zniechęcony Balbiński.

Kucyk milczał chwilę. Potem rzekł ochryplym głosem:

- Wszystko to bardzo pięknie. Może to prawda to, coście tu nagadali. Może bajeczki. Bajeczki umiecie przecież opowiadać, nie? Jakaście tego Andrzejka zatrajlowali, co? A i nas, wtedy choćby, w Lecku!

Balbiński znów się zachmurzył.

- O co chodzi? - rzucił.

- A skąd wy wszystko to wiecie?

Wzruszył ramionami.

- Nie trudno się domyślić. Szukam tu tych papierzysk, więc muszę tyle przynajmniej wiedzieć.

- To dlaczego takeście się nastraszyli milicji?

- Nie milicji! - Balbiński machnął ręką ze złością. - Takie rzeczy nie znoszą gadania! Mnie w kość dadzą już za to, że wam to powiedziałem. I słusznie dadzą! Skąd mam wiedzieć, jakiej długości macie jęzory? Więc nie milicji, choć i ona winna wiedzieć tylko o tym, co jej jest niezbędnie potrzebne. Ale przecież chcieliście telefonować. Z prywatnego lokalu! Ilu tam ludzi byłoby przy waszym telefonowaniu? Ilu ludzi dowiedziałoby się, że przyłapano tu niejakiego Balbińskiego w trakcie opukiwania murów pałacowych! Przecież to by się rozeszło z szybkością błyskawicy po całym powiecie!

Wzruszył ramionami, zapalił papierosa.

- Jak wy tego nie pojmujecie? Owszem, szukam co nieco i sam, widzieliście, z jak żalonymi skutkami! Ale przecież o wiele ważniejsze jest obserwowanie, czy kto inny nie szuka tegoż! Mamy sygnały, że opowiadania owego typu przekonały kogo należy w Zachodnich Niemczech. Bardzo prawdopodobne, że jakiś poszukiwacz jest już wysłany albo będzie w najbliższej przyszłości. Jeśli już jest - to taka jedna plotka o przyłapaniu Balbińskiego powie mu, po pierwsze, że mamy swoje chody tam, hej, nad Renem. Po drugie, że lepiej stąd się zabierać. I to z tych powodów, nie z innych, musiałem wam wygadać to, co do was nie należy!

Zdzisio już chciał składać jakieś podziękowania i zapewnienia, gdy Kucyk trącił go w żebra.

- Wszystko to bardzo pięknie. Ale dlaczego mamy wam wierzyć? Na słowo?

- Wasza rzecz. Żadnego papierka nie mam - burknął Balbiński. - W naszym resorcie nie wystawia się delegacji służbowych.

- Nie, bo pewnie! - zaperzył się Kucyk. - Cały szereg okoliczności przemawia przeciwko wam...

- Na przykład?

- Ba! Zjawiliście się akurat następnego ranka po tamtym samolocie! Potem w Momajnach takeście się przysłuchiwali, co? No, w tej gospodzie! Potem ta dziwna historia w Lecku. Czegoście szukali na Atalancie? I czegoście się nas uczepili?

Balbiński wzruszył ramionami.

- Wszystko to głupstwo! - walnął. - Parę przypadków...

- W Lecku też wypadek?

- No, nie. Powiem wam, proszę bardzo. Wtedy, za pierwszym razem, zauważyłem, że jacht jest z dobrej stoczni angerburskiej. Pomyślałem sobie: „A nuż należał do Haushofera?” Wiem, że ten miał jakiś bardzo ładny jacht, właśnie wykładany mahoniem. No, i co dziwnego, że chciałem zerknąć, a nuż...

Kucyk pokiwał głową.

- Nie wystarczy wam to?! - zawołał Balbiński.

- I tak, i nie - odparł Kucyk. - Owszem, bardzo nawet wystarczy. Tak dobrze znacie tę sprawę, że... Owszem, szukacie tego raportu, zgoda. Ale...

- No!

- Dla kogo? - krzyknął i Kucyk. - Tak, wszystko trzyma się kupy w waszym opowiadaniu. Tylko dwaj ludzie mogą tak dobrze wszystko znać. Albo ten, co łapie poszukiwacza. Albo sam poszukiwacz!

Balbiński jakoś skamieniał. Wojtek trącił Zdzisia, podniósł dłoń kciukiem do góry i spojrzał na Kucyka. Także i Zdzisiowi podziw utrudnił oddychanie.

- Ba, moi kochani! - rzekł wreszcie Balbiński. - To już sprawa waszego odczucia. Róbcie co chcecie, przysięgać, na kolanach klęczeć przed wami nie będę. Musicie tylko zdać sobie sprawę z odpowiedzialności, którą bierzecie na siebie. Alarmując milicję, ryzykujecie spłoszenie tamtego. Przetrzymując mnie tutaj aż do wyjaśnienia sprawy heł, w Warszawie, dajecie tamtemu kilka dni na spokojne poszukiwania tego białego skarbu. Pomijając już to, że nie przetrzymacie mnie tu długo bez zwrócenia uwagi otoczenia z piękną Nelly na czele. Czy i ją zamierzacie wtajemniczyć w tę awanturę?

Był trudnym przeciwnikiem. Chłopcy spojrzeli na siebie. Nie znaleźli odpowiedzi.

- Więc co mamy robić? - dość bezradnie spytał Kucyk. - Musi pan zrozumieć, że nie możemy panu zawierzyć na słowo. Nie?

- Wasza rzecz - powtórzył tamten. - Owszem, podejrzenia wasze teoretycznie są usprawiedliwione. Ale to nie jest sprawa teorii. To jest sprawa węchu!

W tej chwili Zdzisio palnął się w czoło.

- Chłopcy, mam! - krzyknął. - Słowo daję, znalazłem wyjście! Wystarczy...

Ale Kucyk spojrzał nań ostro. Wyszli na schody, drzwi za sobą zamknęli.

- Popatrzcie! - rzucił wzburzonym szeptem Zdzisio i wyciągnął papierek z kieszeni, ów niemal testament Andrzejkowy. - Widzicie? Píše wyraźnie: „Sulamita jego się boi!” Widzicie? Jego! Wyraźnie: „Jego!” Andrzejek kogoś przyłapał, pewnie tego właśnie poszukiwacza! I teraz wszystko jasne. Tamten widząc, że jest zdemaskowany, musiał Andrzejka...

Urwał, chwilę ciężko oddychał.

- No? - podpędził go Wojtek.

Zdzisio przełknął ślinę.

- Píše wyraźnie: „Jego się boi!” Więc bardzo proste. Widzieliście kiedy Sulamitę i Balbińskiego?

Myśleli chwilę. Nikt nie przypomniał sobie takiej sceny.

- Jak to! - zawołał po cichu Wojtek. - A wtedy, w Lecku? No, jakeśmy go przyłapali na jachcie! Sulamita była przecież w środku! I nie szczekała!

- No, właśnie! - szepnął Kucyk. - Widzisz, Zdzisiu...

- Nic nie widzę! Że nie szczekała, to na dwoje babka wróżyła. Pies, jak się bardzo boi, to pysk stula na kłódkę! Wziąć tę Sulamitę, popatrzeć, jak się zachowa! Szczekać będzie nań, łasić się czy... A może ogon pod siebie i tyłem, tyłem na schody? No i będziemy wiedzieć: jego zdemaskował Andrzejek czy kogo innego!

Szept miał zaraźliwy. Płonęły mu oczy. Ulegli szybko jego podnieceniu. Wojtek pobiegł na dół, tamci dwaj wrócili do swego jeńca.

- No? - spytał z demonstracyjnym ziewaniem. Kucyk widać znowu się wahał, czy ma potępić Balbińskiego, bo zrezygnował z formy „wy”.

- Chwileczkę, proszę pana - rzekł. - Chwileczkę.

Obaj byli zresztą potężnie zdenerwowani. Gdy usłyszeli na dole Wojtkę, Zdzisio aż się odwrócił do okna, tak mu trudno było patrzeć na Balbińskiego. Natomiast Kucyk dzielnie oświadczył:

- Proszę pana, chcemy pewne małe doświadczenie... Pan będzie uprzejmy czynić to, o co poprosimy.

- Co znowu?

- Chwileczkę.

Wyjrzał na schody, bojąc się, czy tamten zdobył niebezpieczną Sulamitę. Wojtek sadził przez schody bardzo energicznie. Spod ręki wyglądał pysk psiaka, powołanego właśnie na sędziego sądu bożego.

5.

Kucyk wziął Sulamitę na ręce. Była w świetnym humorze, trzepała ogonem, jakby chciała odkurzyć mu rzeczywiście brudną wiatrówkę. Popatrzył jej w oczy, mimo woli badając, czy dorasta do zadań

stojących przed nią, Usiłowała go liznąć w nos. Nie była to zbyt jasna odpowiedź. Westchnął i otworzył drzwi.

Balbiński siedział kolo okna, zapatrzony w nieustający potok chmur deszczowych. Kucyk puścił Sulamitę na podłogę. Pokręciła łbem, dwa razy wciągnęła nosem powietrze. Szukała, kto tu najważniejszy, oczywista.

- Pan będzie łaskaw ją zawołać! - powiedział Kucyk półgłosem do Balbińskiego, który się wreszcie odwrócił.

- Co znowu? - Balbiński wzruszył ramionami. - Potrzebne wam to błazeństwo?

- Prosiłem pana... - przypomniał z naciskiem Kucyk.

- Nie wiem nawet, jak się ten kundel zowie!

- Sulamita.

- No, chodź tu! - Balbiński trzepnął dłonią po kolanie. - Sulamita!

Sulamita nań spojrzała. Ile ulgi było w machaniu ogonem, które teraz nastąpiło! Nareszcie trudny problem został rozwiązany: dowiedziała się, kto tu szef!

Lekkim truchcikiem podbiegła do Balbińskiego. Z ogromnym poczuciem taktu nie skoczyła mu na kolana, jakby nie omieszkała uczynić z jakąś kobietą czy po prostu kimś niepoważnym. Nie, tym razem przysiadła grzecznie u jego stóp i tylko ogonem zaczęła szorować podłogę, w dwie sekundy zamiatając czyściuteńko półkolisty jej wycinek.

- No, co mam dalej robić? - spytał Balbiński.

Chłopcy popatrzyli na siebie. Zdzisio triumfalnie prawą dłoń wystawił do tamtych: „A widzicie?” Kucyk zgodził się z nim i Wojtek też nie znalazł zaczepki dla protestu.

- Nic, dziękujemy - powiedział chrząkając nieswojo Kucyk. - Wszystko jasne. Pan jest wolny. Pan nam wybacz, musieliśmy spróbować... Proszę. .

Wyciągnął dłoń z pistolecikiem jak na tacy. Balbiński chwycił go dość ochoczo i zaraz zaczepnie wygarnął:

- Czego? Co to wszystko znaczy? Czy psiak ten obdarzony jest zdolnością rozeznania poglądów politycznych u osób podejrzanych?

Kucyk przestąpił z nogi na nogę. Balbiński nie popuścił.

- Wy coś wiecie! Nie? Gadajcie, gadajcie! Za poważna to sprawa! No?

Nie umieli tak szybko się zdecydować. Patrzyli na siebie. Ale Balbińskiemu bez trudu przyszło pokonanie tych oporów. Miał potężną broń: skoro uznali go za wolnego, znaczy, uwierzyli mu. Znaczy, wiedzą, co ma tu do roboty. Jakże można kręć przed nim coś, co go może naprowadzić na trop?

Wreszcie Zdzisio wyciągnął zmięty karteluszek. Balbiński chwycił go, szybko podszedł do okienka.

Zmierzch przyśpieszony chmurami zatopił pokój na szaro.

Balbiński długo oglądał kartkę.

- Rozumiecie co z tego? - spytał wreszcie.

Popatrzyli po sobie. Zdzisio i teraz musiał forsować zahamowania tamtych.

- Niewiele - powiedział. - W gruncie rzeczy prawie nic. O, to tylko.

Tknął palcem w dwukrotnie wypisany „sufit” z wykrzyknikiem. I popatrzył do góry.

- No, właśnie! - krzyknął Balbiński. - Chłopak miał istnego kręcka na tym punkcie. I ja wreszcie też chciałem się przekonać... Znaleźliście tam co?

Poszli kupą na poddasze. Balbiński stanął nad zszarzałym znów od kurzu napisem. Milczeli.

- Rozumie pan teraz, żeśmy myśleli... - Zdzisiowi trudno było skończyć. - Przecież to nie mógł być wypadek...

Balbiński pokiwał głową. Wrócili do pokoju. Tu wreszcie Kucyk odzyskał trochę zdolności przemawiania.

- Pan rozumie teraz, jak wygląda sprawa? Andrzejek musiał go przyłapać na gorącym uczynku! - Pomachał zmiętym papierkiem. - Tu przecież tuzin poszlak, tylko że - jak w szyfrówce - nie umiemy tego odczytać. Próbowaliśmy z psem, bo wypisał, że Sulamita jego się boi! Pana się nie bała. Więc kto to jest? Niech pan poszuka na tym papierku. Pan przecież na szyfrach się zna! I pan ostatnio tak blisko z Andrzejkiem... Nic panu nie mówił? Kogo podejrzewa?

- A wam nie mówił? Ni razu?

- Jak to! - krzyknął Zdzisio. - A wtedy, na rozróbce! Że ten cały Dżaki-pirat! Z tą cegłą! I po tych rakach!

Kucyk kiwnął głową.

- A panu nic nie mówił? - powtórzył.

Balbiński zapalił papierosa.

- I mnie mówił, owszem. Też o Dżakim-piracie. To samo i nawet więcej, o żagłowie, która go mała nie przewróciła, gdy był na kajaku. Dlatego tak się przejąłem, gdyście opowiedzieli o tej czarnej fladze.

Popatrzyli na siebie. Z dołu zawołano Balbińskiego na kolację. Wszyscy czterej ruszyli na schody. Sulamiła zresztą ich wyprzedziła: poznała głos pięknej Nelly, dzierżycielki klucza od spiżarni.

- Wszystkim nam mówił to samo - ze złością rzucił Zdzisiek. - Jak to jest, że żaden z nas nie chciał nawet słuchać o tym?

- Miał pecha, że dostał aż czterech za mądrych przyjaciół! - powiedział Balbiński.

- Gdzie on teraz jest, ten Dżaki? - spytał Zdzisio.

Balbiński wzruszył ramionami.

Najtrudniejsze.

1.

Wciśnięty w zwężający się kąt między podłogą i dachem, Andrzejek słuchał skradania się po schodach. Było podstępne i złe. Czuło się to w ostrożnych, poprzedzielanych przerwami stąpnięciach. Czuło się zwłaszcza w wielokrotnym macaniu podeszwą następnego schodka. Było tak cicho, że się słyszało wszystko. Nawet, zdawałoby się, oddech, chociaż powstrzymywany, ostrożny przyczajony.

Jak we śnie przeżywał Andrzejek wzbieranie tej beztwarzowej groźby. Ktoś dotknął klamki. Jak piekielnie długo trwać może otwieranie drzwi!

Ktoś w pokoju. Drobne powolne kroczyki. Oto jakiś szmer. Co jest celem tej wyprawy? Czy szurgną walizki i plecaki chłopców?

To, co usłyszał, było jasne: oto książki w szafie bez drzwi szemrzą wyciągane, szeleszczą kartkowane, stukają o półkę rzucone z powrotem. Trwa to parę minut.

A potem coś innego sączyć się zaczyna z wielkiej ciszy. Ktoś puka w pokoju. Tak jak lekarz badający płuca: głuche dźwięki, seriami po kilka. I nie ma wątpliwości: ktoś opukuje mury!

I ciągle narastanie napięcia: ku schodom na poddasze wędruje to pukanie. Andrzejkowi z trudem ruszają się żebra, powietrza brakuje płucom, tak szybko łopocze nieposłuszne serce.

Na pół przytomny, żeby przynajmniej ślad jakiś po sobie zostawić, zaczyna szurać palcem po grubym dywanie kurzu...

Ale gdy groźba sięgnęła szczytu, gdy pierwszy krok zaskrzypiał na schodach, przemówiło nareszcie słoneczne przedpołudnie za oknami.

Usłyszał głosy chłopców. Jak wołanie koguta wieści zbliżający się koniec nocy pełnej upiorów, tak przyjął Andrzejek te kilkanaście słów. Słyszał je doskonale.

- Co z tobą? - spytał Kucyk.

Była chwila milczenia.

- Coś w naszym pokoju?

I oto zamarło wzbierające groźbą stąpanie na schodkach. A gdy jeszcze Kucyk rzucił: „Chodźmy, zerkniemy!”, kroki na dole stały się szybsze, drzwi od pokoju rozwarły się i zamknęły bez troski o ciszę i na krętych schodkach kroczyki posypały się tak drobne, jakby ktoś po prostu zbiegał.

Andrzejek odczekał parę minut. Umilkły głosy chłopców, ale kroki na schodach nie odrodziły się. Wylaź wreszcie z zakątka, zszedł do pokoju. Był zakurzony, zgrzany, dość osłabły po takim przejściu.

W pokoju nie znalazł żadnych śladów czyjegoś myszkowania. Stał chwilę niezdecydowany, co ma robić. Czas jakiś wahał się: czy przecież ta ostatnia przygoda nie jest dostatecznie ciężka, aby machnąć ręką na urazy i jeszcze raz spróbować alarmowania kolegów? Potem odrzucił ten pomysł. Zbyt nieuchwytna jest historia. Choć się chłopcy gapili na wieżę, ale przecież nic nie widzieli, skoro machnęli ręką i nie przyszli tutaj.

Lucynę odrzucił jeszcze szybciej. I ma się rozumieć, po wczorajszym, zrezygnował z pana Balbińskiego. Koniec końców upał okazał się najbardziej przekonujący. Wyszedł z pałacu. Było pusto. Poczł trochę ulgi, gdy się oddalił od tego domu. Przypomniał sobie, jak gorąco namawiał go przed paru godzinami tenże Balbiński na kajak.

Już z daleka usłyszał harce kąpielowiczów na plaży. Boczkami, krzaczkami dotarł do przystani. Na szczęście całe tamto towarzystwo wylazło właśnie z wody i poukładało się na trawie, osłonięte od mola ogromnym krzakiem wikliny.

Wlaził do kajaka, chwycił wiosło. Upał tutaj był tak potężny, że Andrzejek ściągnął i koszulinę, i szorty, został tylko w kąpielówkach. Myślał, czy nie zostawić tego w kabinie Atalanty. „Głupstwo - powiedział sobie - trzeba szybciej stąd się zabierać, żeby nie zwrócili na mnie uwagi.”

Rzucił więc te łachy do kajaka, chwycił wiosło. Tyle się nauczył ostatnio tej sztuki, że trzciny przewędrował dość szybko. Tym szybciej, że brakowało tu powietrza, tak się rozpałło wszystko: trzciny, woda, niebo.

2.

Oto minął ostatni zagon trzciny. Miał rację, że śpieszył. Tu nareszcie trochę świeżości ciągnęło od dalekich wybrzeży.

Zdumiewająco klarowne powietrze! Ani śladu tej mgielki, która tak świetnie maskowała najdalszy zakątek jeziora, pozwalając im uwierzyć w jego bezbrzeżność owego pierwszego dnia.

Czy jest przez to brzydsze? Ach, nic podobnego! Na prawo brzeg jest bliski. Wielka ściana czarnogranatowych lasów. Na lewo brzeg dalszy, złoty, słoneczny i pełen zboża.

Na wprost wyspa. Tam przecież jechał.

Tym razem powiedział sobie: „Dość tego przewlekania”. Było parę powodów tej stanowczości. Najważniejszy leżał w kieszeni spodni ciśniętych na dno kajaka.

Odplynał o jakieś dwadzieścia metrów od trzciny. Rzucił wiosło, wyciągnął z kieszeni ten powód, rozłożył na kolanach.

Była to owa mapa. Ogromna niebieska plama „Spiringsee”. I niewiększa od odcisku palca zielona na niej plamka. Patrzył przed siebie. Nie było wątpliwości. Oto z boku inna wysepka na mapie. Oto przed nim wysoka kępa drzew Czarciej. I na lewo od niej niższa ściana zieleni.

I to właśnie na Czarciej, z boku brązowej warstwy, umieszczony jest maleńki czerwony krzyżyk.

Pięć minut pomyśleć. Co znaczy ten krzyżyk? Tysiąc znaczeń można znaleźć, jedno bardziej przypadkowe od drugiego. Nic nie przemawia za tym, by w nim właśnie szukać klucza wszystkim dziwaczności i grózb, które ciągną od pewnego czasu za nim, za Andrzejkiem!

Dlatego nie trzeba mówić, że czerwony krzyżyk jest jedyną racją wyprawy. Jest najważniejszą, ale nie jedyną. Oto jeszcze jedna, całkiem niespodziewana.

Składa mianowicie mapę, bierze wiosło i odruchowo się ogląda. O dziwo! Jak zmały trzciny gorzyjałkowski przez te pięć minut odpoczynku i rozmyślań! Chyba paręset metrów zarobił, palcem nie kiwnąwszy.

Nie czuł prawie wietrzyka, bo ten wolno przybierał na sile i dął w kierunku jazdy.

Andrzejkowi się zdaje, że to właśnie sam los wypowiada się w sprawie podróży. Dwa razy próbował dotąd i za każdym razem natykał się na sprzeciw wiatru. A teraz...

Jak wspaniale jest teraz powietrze! Słońce grzeje, kolana osłonięte burtami kajaka rozpalają się do czerwoności. A tors nie czuje upału. Świeży podmuch owija Andrzejkowi barki, studzi ramiona. Słońce teraz jest przyjacielem.

Andrzejek patrzy przed siebie. Wyspa wcale nie jest daleko. No, półtora kilometra! W pół godziny dobije do niej nawet bez tknięcia wiosła.

Bierze właśnie wiosło. Kwadrans macha nim, nadstawiając plecy wiatrkowi, pierś słońcu. Potem odpoczywa, gapi się na pejzaże nowe, bo takie jaskrawe, soczyste od kolorów, jak na tandetnych oleodrukach. I tylko od czasu do czasu tknie leciutko wiosłem powierzchnię wody, żeby skorygować zapędy wiatarka, który raz w tę, raz w tamtą stronę odchyła dziób kajaka od ciemnej plamy wyspy.

Ach, gdyby żagielek! Następnym razem trzeba będzie spróbować. Tak się już opanowało dynamikę tej łupiny.

Patrzy, rozgląda się. Cudowna pogoda, słońce, znakomita jaskrawa widoczność, wiaterek. Dziwne, że tak mało żaglówek. Tylko tam daleko z lewa, blisko przejścia na Beldan szwenda się parę. Wielkie jezioro jest puste.

Myśli, jak bardzo jest samotny. Jedzie na tę wyspę i właściwie dopiero teraz, w tej chwili, rozumie naczelną rację tej wyprawy. Nie chce za nic drugi raz przeżywać takiej półgodziny, jak dzisiaj. Jedzie tam, aby znaleźć wreszcie coś takiego, co by oczy otworzyło trzem zarozumiałym niedowiarkom. Ten krzyżyk...

Bo poza nimi nie ma nic pewnego. Są zarozumiali, krzykliwi, zazdrośni, okrutni. Ale ich jest pewny. Oni nie rozleżą się w palcach jak spróchniała gałąź.

Wiaterek wzrósł, czy tu, na pełnym jeziorze woda zimniejsza? Plecy są zimne, chłód zwycięża słońce. Nie, wiaterek chyba osłabł.

Jedzie już pół godziny. Dziwne, wyspa się nic nie zbliżyła. Ale wiaterek nie znikł przecież! Wystarczy odwrócić głowę, by się usta wydęły rozpędzonym, pachnącym świeżą zielenią powietrzem.

Patrzy na ciemną sylwetkę wyspy. No, dajmy na to, godzina. Tam ze dwie godziny: trzeba starannie ją przeszukać. Powrót pod wiatr, dajmy na to, trzy godziny. Spóźni się na obiad, oczywiście. Ale nie ma na to rady,

W każdym razie chwyta za wiosło. Z wielką zaciętością młóci wodę. Po dwudziestu minutach wyspa jest jednak równie daleka. Co u diabła?! Odwraca się. Nie, zrobił kawał drogi! Drzewa gorzyjałkowskie stały się maleńkie jak trawki!

Teraz dopiero uświadomił sobie, że pada ofiarą złudzenia, o którym się czytało wielokrotnie: woda skraca odległości, przybliża to, co jest za nią. Niejeden pływak utopił się z tego właśnie powodu, nie docenił odległości, zdawało mu się, że podoła...

Ale on ma kajacek. Przypomina sobie inne sprawy. Wiaterek rośnie. Agnieszka mówiła o fali ogromnej na Śniardwach, o nagłości tutejszych burz.

Ogląda horyzont. Ale niebo jest bez chmurki. Z tyłu, za Gorzyjałkami trochę bielsze nad horyzontem niż gdzie indziej. Można więc jechać dalej.

Jeszcze pół godziny wiosłuje pokonując pierwsze oznaki zmęczenia. Teraz dopiero wyspa zaczyna wyrastać. Jednak taki wysiłek to wspaniale działa na apetyt. Frajer, trzeba było u Agnieszki wziąć parę kromek chleba. No, nic, na wyspie podobno zawsze pełno wycieczek. W razie czego nie odmówią mu pomocy.

Wyspa rosla, To, co było niedawno ciemną plamą zieleni, zaczęło się teraz różniczkować. Przy wodzie wyskoczyła siwawa rama trzciny. Tuż nad nimi wystąpiły też siwe i jasnozielone kuliste wierzby. Najwyżej stały jakieś topole, sosny, jeszcze coś, ciemne, owalne.

To narastanie wyspy dodało sił Andrzejkowi. Wiatr pchał coraz mocniej, wiosło pracowało coraz składniej. Gdy obejrzał się znowu, znikły drzewa Gorzyjałek, zrosły się z linią lasów horyzontu, tym ciemniejszą, że na tle coraz bardziej błędnącego nieba.

Za to wyspa była tuż-tuż. Jechał wzdłuż nierównych zagonów trzciny. Szukał żagli, masztów, ognisk, ażeby trafić w ten sposób do lokalnego portu. Nic takiego nie widać. Może dobijają od północy, od strony cieśniny między wyspami?

Był na wysokości środka wyspy, gdy trzciny rozstały się i Andrzejek ujrzał brzeg. Był żwirowaty, pół metra wystający nad wodę. Potem niewielka polanka, łagodnie się wznosząca, ze śladami licznych ognisk.

Skrecił. Wiatr spychał go teraz w bok; zanim zdążył schować się za trzciny, fala raz i drugi pohnęła kajak wcale mocno.

Dobił do brzegu. Była tu jakaś piaszczysta mielizna, dziób kajaka szorował po niej, zanim dotknął zwisającej darni. Andrzejek wylał do wody. Z ulgą wyprostował się, te parę godzin nieruchomego siedzenia teraz dopiero wydało się męczące.

Było tu cieplej niż na jeziorze, ale ział jakiś przebiegł mu nagle po plecach falą gęsiej skórki. „Pewnie to nadmiar słońca” - pomyślał.

A potem wszystkie myśli i wrażenia znikły. Zostało jedno: wyspa! Wylądował na brzeg i stanął. Pomyślał: „Co pierwsze przeleciało przez głowę Kolumbowi, gdy stopę postawił na skrawku ziemi?”

Patrzył na łagodnie spadającą polankę. Był tak uniesiony, że widział tylko jej zieloność, spadzistość, kędzierzawość krzaczastą jej otoczenia. Nie widział dziesiątka czarniawych oparzelin poogniskowych, brudnobiałych placht papieru, rdzewiejących puszek po konserwach, stłuczonych butelek, skorupki od jaj, całego barbarzyństwa ludzkiej obecności.

Potem ruszył przed siebie. Pomyślał: „Może by kajak wyciągnąć na brzeg?” Przypomniał sobie jednak zaraz szuranie dna o mieliznę. Przypliwów zresztą tu nie ma...

A potem już tylko patrzył. Szedł i gapił się. Od dziesięciu lat wzbierające mu w duszy wzruszenia Wielkiej Przygody teraz właśnie stawały się oszołamiającą rzeczywistością.

Wyspa była nieduża, ale stworzona jak gdyby do wywoływania takich właśnie wzruszeń. Jak doniczkowe ogródki japońskie, miała ona wszystkie niezbędne składniki wyspy prawdziwej.

Więc polanka. Zaraz po bokach dżungli nie do przebycia z krzaków wikliny. Na wprost było wzgórze. Niewielkie, dopasowane oczywiście do wyspy, to znaczy może pięciometrowej wysokości.

Andrzejek wlaź na nie, licząc, że obejrzy całą wyspę. Ale drzewa były zbyt gęste, wschodnia połowa pozostała osłonięta.

Zobaczył za to niedaleką wyspę sąsiednią, oddzieloną może dwustumetrową cieśniną. Była też pełna drzew, ale zdaje się niższa, bez pagórka na środku, który z taką łatwością można sobie wyobrazić zagastym wulkanem.

Obie wyspy nie rafami koralowymi były otoczone, ale zaroślami gęstych trzciny. W formie niepodobne, ale w swojej funkcji trzciny i rafy dają się porównać: i to, i tamto znakomicie utrudnia dobranie się do samego lądu.

Ile się dało, obejrzał północne wybrzeże swojej - tak już ją w myśli nazywał - wyspy. Nie, nie było tu dogodnych do lądowania zatok. Właśnie tu najgęściej rozrosły się trzciny. Żadnej łódki, żadnej żaglówki, kajaka, ogniska. Może to i lepiej - zdecydował. Ma się, bądź co bądź, co nieco do zrobienia tutaj takiego, że byle jaki świadek staje się zawadą.

Spojrzał jeszcze na daleki horyzont, skąd przyjechał. Duma jakaś wy płynęła mu w świadomości. Taką drogę odwalił, sam, bez niczyjej, poza miłym wiatrem, pomocy.

Patrzył na horyzont, na niebo. Było białawe. Teraz dopiero uderzył go nieprzyjemny, chorowity niejako odcień tej białości. Teraz dopiero dostrzegł w niej jakieś szarawe odcienie i domyślił się: to przecież obłoki.

Zmiana pogody? No, kiedy to będzie! Takie dalekie, małe te obłoczki. Dziesięć razy zdąży wrócić, zanim dorosną do rangi chmur.

Ale tym pośpieszniej postanowił nasycić się wyspą. Zerknął w dół. Wzgórze urywało się tu dosyć stromo i zaraz przechodziło w jezioro. Wzdłuż brzegu leżały zwały pokruszonej na pięciocentymetrowe kawałeczki trzciny. Zrobił w tył zwrot. Teraz trzeba wreszcie spełnić najważniejsze.

Rozłożył mapę na wzgórzu. Ukłął. Czerwony dwumilimetrowy krzyżyk wypisany był na prawo od tego właśnie pagórka, oznaczonego małą owalną warstwicówką. To znaczy, szukać należy tego nie wiadomo czego na wschodnim zboczu.

Złożył mapę. Wzgórze od wschodniej strony nie było strome. Jakies doły zarośnięte kwitnącymi chwastami. Bez trudu można je uznać za ruiny prastarego zamczyska Azteków lub Inkasów. Wtedy rzecz nabierze wdzięku i rozmachu: skarby bajecznego Eldorado!

Wtedy nawet pokrzywy, których tu jest w bród, mogą pełnić obowiązki i dżungli, i moskitów - nosicieli żółtej febry i jadowitych tarantul, i w ogóle wszystkiego, co chroni takie skarby dzięki swej zdolności zadawania bólu, dzięki swej obrzydliwości.

Znalazł kijek, zaczął rąbać te pokrzywy. Jeden dół obejrzał. Nic tam nie było. Inny też półmetrowej głębokości, też pusty po wykoszeniu pokrzywy. Jakies ślimaki obrzydliwie rozmamłane.

Zszedł całkiem na dół. Wschodnia połowa wyspy była istną dżunglą, zwolna przechodzącą w zarośla mangrowe, to znaczy zrazu tylko błotniste, potem wyrastające z wody, trzciny.

Jeszcze parę dołów. Tu było gorzej, bo zamiast pokrzyw wyrosły jeżyny. Tych kijkiem nie zrąbiesz. Zerwał od niechcenia jagodę. Była niedojrzała, przeraźliwie kwaśna, twarda. Wypłuł ją czym prędzej.

Wiatr przybierał na sile. Słyszało się to w łanach trzciny, które teraz szumiały w jakiejś usypiającej tonacji. Trzeba pomyśleć o powrocie.

Jeszcze raz przeszedł wschodnie zbocza, pochylony obejrzał wszystkie doły. Nigdzie ani śladu czegoś tajemniczego, jakichś przejść podziemnych, a choćby kamieni, cegieł, dawnych ludzkich budowli.

„Trudno - podsumował w duszy. - I ten krzyżyk nic nie znaczy. Ale com zdobył, com zobaczył, tego mi nikt nie odbierze.”

Stanął jeszcze, rzucił okiem na tę zdobycę. Dżungle z prawa, wzgórze z lewa. O, już nie takie urocze, jak przed półgodziną. Już się wie, że za wzgórzami nic, tylko pokruszona trzcina przy brzegu. I za dżunglami nic innego niż ta sama rozszumiała trzcina.

Zrobił w tył zwrot. Trzeba zahaczyć jeszcze o tę drugą wyspę. Może nawet nie wylążyć, tylko z bliska popatrzeć. Bądź co bądź jak jest taka okazja...

Zrobił w tył zwrot, zrobił krok i stanął. Straszny skurcz zwarł mu wargi. Tylko dlatego nie krzyknął, zajęczał przez zęby.

Polanka, beztrzciny kawałek wybrzeża. Nie ma przy nim niebieskiego kajaczka!

3.

Trwało sekundę to skamienienie. Targnął głową w lewo. Kajaczek był tam na wodzie, kołysany falami, spychany dosyć żwawo wiatrem.

Rzucił mapę, biegiem wpadł do wody. Zaraz doszła mu do kolan. Z trudem wyciągnął z niej nogi, usiłując biec. Hamowała go, chwytala, wciągała. Już po pas. Dno grząskie, ostre muszle pod nogami.

Już po pierś. Kajaczek był teraz bliski, może o dziesięć metrów. Jeszcze krok. Fale biegły sobie, trzepały go z rozpędu w barki, chlustały kroplami w oczy. Jeszcze krok. Już dalej nie można.

Już trzeba się bronić, żeby i siebie nie zepchnęło w głębinę. Fale biegną, sięgają szyi. Próbuje się cofnąć. Pięta nie może znaleźć dna. „Tonę!” krzyczy mu coś w piersi. Odwraca się do wyspy, nieprzytomnie macha nogami. Ach, oto już płycej!

Lezie z powrotem, wody znowu tylko po pas. Uprzytamnia sobie, że to zwycięstwo jest ostatecznym przypieczętowaniem tamtej klęski.

Odwraca się. Kajaczek jest już o sto metrów, a może i dalej. Ach, gdyby umiał pływać! Choćby trochę, choćby tyle, co dwa razy przez pokój!

Wiatr wionął silniejszy i nagle zęby same zaczęły dygotać.

Wylazł z wody, za wszelką cenę usiłując sam siebie pocieszyć. Wydeptana ta wyspa, dziesiątki wycieczek. No, posiedzi trochę. No, za godzinę ktoś przecież tu zawinie! No, przykro z tym kajaczkiem, Ale się go przecież znajdzie! A zresztą...

Stał, wypatrywał żaglówki. Puste było jezioro. Wybiegł na wzgórze. I stamtąd, jak na złość, ani żagla w stronie Gorzyjałek, w stronie Mikołajek. Go było przed półgodziną, to teraz poznikalo.

Za to biel nieba, za to owe obłoki już stały się chmurami. Diabelnie szybko wyrosły im brudnosine czoła i czarne brzuchy. Już ćwierć nieba zagarnęła ta niepogoda. I tym ostrzej na pozostałych trzech ćwiertkach sroży się ślepiące słońce. Wiatr nawet przycichł i jezioro wygląda się ołowianą szarością.

Andrzejek schodzi ze wzgórza. Oczywiście, próżne teraz nadzieje, że się zjawi jakaś żaglówka. Burza ciągnie, wygląda, że będzie potężna. Andrzejek cieszy się z tego. Na, zmoknie. Ale silne burze nigdy nie bywają długie. Gorzej, gdyby to miała być trzydniówka wypełniona jesiennym zimnym kapuśniaczkiem.

Szuka jakiegoś schronienia. Parę drzew starych. Można by tulić się do pnia tej rozłożystej osiny, już mocno zgrzybiałej, o próchniejącym środku. Ale tyle się słyszało, że pioruny walą w drzewa... Andrzejek oczywiście boi się i piorunów. Patrzy na chmury. Pędzą tak gwałtownie, są tak czarne... Zresztą oto raz i drugi czerwone pęknięcia. Gromu jeszcze nie słychać.

Bardzo przykre jest oczekiwanie, kiedy wreszcie zacznie się ta zawierucha. Andrzejek znalazł jakiś krzak leszczyny o wyjątkowo gęstym listowiu. Kucnął pod tym krzaczkiem. Wyglądało, że już-już burza, tak szybko narastała gromowa kanonada. Po kilku minutach zniecierpliwził się, zadął głowę. Tu był jeszcze błękit.

Znowu wylazł na pagórek. Co za widok! Cały zachód był teraz czarny, tylko rozwiana do góry grzywa dymia siwizną jak pożar. W głębi, w najczarniejszym zakątku nad horyzontem raz po raz łupiły

błyskawice, jakby kilku kowali na przemian rąbało ognistymi młotami huczące od uderzeń kowadło. I ani westchnienia w powietrzu. Nawet stara osina stoi niema.

Ta właśnie cisza wydaje się najgroźniejsza. Wreszcie daleko na jeziorze zerwie się i pobiegnie na wyspę długa płachta pierwszej chropowatości. Długimi ostrymi zagonami podmucha wiatru zaczął szorować ołowiany spokój jeziora. Nie są jeszcze zgrane, przebiegają i za nimi wygładza się wszystko znowu.

Oto zajęczała stara osina. Jakby garście kropli sypnęły na nią, tak szklany, ociekający jest jej niepokój, Ale na tę pierwszą prawdziwą kroplę długo jeszcze czeka Andrzejek. Nawołuje ją, niecierpliwi się. Bardzo mu śpieszno dać nura w burzę, aby czym prędzej z niej się wynurzyć.

Słońce tonie i z miejsca ziąb zagarnia powietrze. Andrzejek kicha, chwytając swój cały dobytek, koszulinę i spodenki, wciąga na siebie. Przez minutę jest cieplej. Potem prawdziwy szkwał wyrwa się gdzieś z zachodu, pędzi przez jezioro i oto znów w ślad za nim zaczynają fale głowy podnosić. Dobiega. Zajęczały drzewa na sąsiedniej wyspie. Dwie sekundy później runęło to wszystko na Czarcia.

Zajazgotało listowie osinowe bite pierwszymi, największymi falami kropel. Andrzejek czym prędzej skoczył pod gałęzie swojej leszczyny, gdzie ukrył już mapę. Może pół minuty wydawało się, że kryjówka dobrze wybrana.

Ale potem nadleciało coś jeszcze gwałtowniejszego. Pionowe strugi kropel przesłoniły powietrze tak gęsto, że odległe o pięć kroków pnie najbliższych sosen z miedzianych stały się cynowe. I w ogóle wszystko dokoła rozjaśniło się jakoś białawo, srebrzyście. Powietrze popłynęło wonne, pachnące niemal jabłkami.

I jednocześnie pękł leszczynowy pułap nad Andrzejkiem, potoki rzeńskie z razu, potem po prostu zimne rąbnęły chłopca w kark, pocięły zwinnie po plecach między łopatkami.

Czym prędzej ściągnął koszulę, zanim przemokła do reszty, nachylił się nad nią, przykrywając dygocącymi z zimna plecami.

Pomyślał: „No, przynajmniej pioruny...”

Te rzeczywiście były dotąd gdzieś na uboczu. Ale myśli chłopca miały zapewne zdolności ich przyciągania. W parę minut z pół tuzina ślepiących mrugnięć czerwono wybuchło za przymkniętymi powiekami Andrzejka. Odruchowo liczył sekundy. Pięć, trzy, dwie! Następny runął jednocześnie z błyskiem. Ziemia zadygotała i do nozdrzy napłynęła fala powietrza, które zapachniało nagle gabinetem fizycznym, rozpryskami iskier przy elektrycznej maszynie, ozonem.

Byłby się śmiertelnie przestraszył, gdyby to wszystko nie było takie szybkie. Raz! I już po błysku, huku, wstrząsie. Tylko ozon płynął przez kilka sekund, tak mocny, że już nie rzeźwił, ale raczej przyprawiał o ból głowy.

Długo jeszcze bębniła ulewa. Gromy przetoczyły się, przeskoczyły gdzieś daleko na wschód i niebawem deszcz stał się o wiele uciążliwszy. Ani się obejrzał Andrzejek, jak zaczęły mu szczerkać zęby. Parę razy wyglądał spod krzaka, szukał przejaśnień. Ale chmury, galopujące dotąd, jakby upodobały sobie nadzwyczajnie tutejsze okolice i tu właśnie, nad jeziorem, zarzuciły kotwicę. Wiatr znikł, fale szmerzące na Wybrzeżu Zmurszałej Trzciny (tak właśnie w myśli nazwał Andrzejek zachodni brzeg wyspy jeszcze przed burzą) też się uspokoiły. Tylko deszcz szemrał, ziębił, przyprawiał podbródek, ramiona, łokcie o nieustanny dygot. To było tak przykre, tak nie odparte, że po jakimś czasie mięśnie i stawy zaczęły boleć jak po prawdziwym nadmiernym wysiłku. Wreszcie nadeszło przejaśnienie. Dziwaczne zjawisko: Andrzejek wyskoczył na polanę i usłyszał uciezkę deszczu. Zobaczył, jak po jeziorze pędzi deszczowa ariergarda. Jeszcze tam, na zachodzie woda jest podziobana kropkami i matowa. Ale oto już głódź i spokój dobiegły do krańca północnej wyspy. Słońce wyjrzało, zanim deszcz przepadł. Andrzejek wyciągnął doń ręce rozwarł jakby w modlitewnym uniesieniu. A to po prostu przemarzył zanadto i ten gest był całkiem naturalną chętką, by jak najwięcej swego ciała wystawić słońcu pod opiekę.

Pomyślał sobie później: „Ze wszystkich religii najbardziej czysta i naturalna w swoich źródłach jest ta, która wielbić każe słońce. Nic w niej nie ma kłamstwa, może trochę literackiej obróbki”.

A teraz patrzył przed siebie, niecierpliwie szukając pierwszych żaglówek, które znów zawiną po tej przeprawie na jezioro.

Wlazał na górę. Jeszcze nie wiedział, jak ją nazwać. O, szczęście! Daleko na zachodzie, koło cieśniny bełdańskiej zobaczył aż dwa jachty. Jeden stał, załoga majstrowała coś przy grocie. Drugi szedł dość żwawo w stronę tamtego.

Wszystko byłoby piękne, gdyby nie niebo. Na wschodzie, za przybrzeżnymi dżunglami, w dalekim nieznanym końcu jeziora jeszcze bulgotała burza, rąbały pioruny, czerwono pękały węglowoczarne chmury, które tu właśnie niedawno się srożyły.

A na zachodzie dojrzywało coś nowego. Nad samym horyzontem aż w trzech miejscach niebo pociemniało. Trzema równoległymi kolumnami ciągnęły tu nowe burze. Chmury nie były tak czarne jak przedtem. Andrzejkowi wydało się to pociechą. Nic się nie znał na meteorologii.

Stał, długo patrzył. Żaglówka, która szła, zakręciła koło tamtej nieruchomej. Chwilę były przy sobie, potem jedna zawróciła i ruszyła. Niestety, pod wiatr, na zachód.

Ta druga jeszcze stała. Do diabła! Żeby jakąś raketę mieć! Żeby ognisko! Pistolet! Jakoś uwagę zwrócić na tę wyspę!

Zaczął podskakiwać wymachując koszuliną. Nie miał żadnych złudzeń. Było za daleko. Nie widział nic z załogi. Tylko kadłub. Tylko żagiel, który wlaź nareszcie na maszt. No, a koszuli daleko do żagla. Musieliby przez lornety...

Oto i drugi jacht ruszył. Ostatnie minuty nadziei. Nie, nie na pełne jezioro, do cieśniny skręciła żaglówka, na Beldan.

Cóż dziwnego - trzy kolumny burzowe ciągną szybko. Środkowa jest najbliższej, zwolna połyka tamte. Słońce gaśnie. Ziąb od razu skacze do piersi.

Andrzejek zbiega z góry. Już wie, jak ją nazwać: Góra Złudzeń.

4.

To, co teraz się zaczęło, było inne, nierównie gorsze. Jedna z pierwszych fal nowej burzy była gromowa. Pioruny tym razem wybrały akurat Czarcia na poligon. Biły przez kwadrans tak blisko, tak potężnie, że dygotała dosłownie jakby porwana trzęsieniem ziemi. W pewnej chwili jasność zalała zamknięte oczy, jakby olbrzym jakiś przemocą uniósł mu powieki. Padł plackiem na mokrą trawę: po prostu kopnął go huk. Całe szczęście, że tak szybko wszystko się uwinęło. Dwóch takich sekund z rzędu nikt by nie przeżył.

Gdy wyprostował się, dziwną rzecz ujrzał przed sobą: białe poskręcane pasma czegoś włochatego. Obejrzał się, wyciągnął rękę. Nie od razu pojął, że to tylko osinowe szczapy, skręcone, rozczochrane, ciśnięte ostatnim piorunem.

Wyjrzał spod leszczyny. Jakże słusznie zdecydował się na nią! Stara zramolała osina nie padła wprawdzie, ale z góry na dół, aż do ziemi rąbnął ją topór piorunu.

Z sześć metrów mierzyła bielejąca blizna. Andrzejkowi strach minął nie całkiem. Bał się do niej podejść. Dopiero gdy znów na wschód pogalopowało rozrukane stado błyskawic, gdy wyjrzało na chwilę słońce, znów wylazł, znów spróbował Góry Złudzeń.

Tym razem stał niedługo. Chociaż gromów nie wieściło to, co szło z zachodu, było jeszcze gorsze. Po minucie słońce przesłoniły bardzo pośpieszne, ale ciągle rozwiane, ale nader obfite obłoki. I wiatr się zerwał inny, nie taki potworny, jak ów krótkotrwały szkwał przed pierwszą burzą, za to długodystansowy, nieustający, bardzo zimny.

Tak zaczął się pierwszy wieczór na Czarciej. Andrzejek siedział jeszcze pod leszczyną. Wysuszył wprawdzie koszulę, wciągnął ją znowu, ale zimny wiatr napędził wnet jakąś deszczową obrzydliwość, drobną, przewlekłą jak rozróbka.

Rodzący się zmierech dopiero uświadomił w pełni Andrzejkowi, że noc na wyspie jest nieunikniona. Szczękając zębami, znowu ściągnął ubranie, wsadził pod krzak przykrył mapą. Nagi, zbieleły z chłodu zabrał się do budowania jakiegoś przytułku.

Jak żałował, że nie pali! Nie czuł jeszcze głodu, chłód był bardziej obcesowy. Biegając pod nieustającym deszczem widział oczami duszy jedno: garść ognia, nad którym ręce by wyciągnąć, palce osuszyć! Usiłował przypomnieć sobie, co czuł przed sześciu godzinami, uciekając przed spiekotą w trzcinach na pełnię jeziora. Wszystkie przypomniane wrażenia zdawały się jednak puste i załgane. Jak można czuć, że jest za gorąco? Czy może coś takiego przeżywać normalny człowiek?

Wymarzył potwornie, zanim zbudował jakiś nędzny szałas z jednej ściany, zwróconej pochyłością na zachód, na deszcz i wiatr. Najtrudniej przyszło łamanie gałęzi, niezbędnych do poszycia tej ściany. Leszczyna okazała się niezwykle giętka, olszyna za krótka. albo za twarda, trzcina, którą rwał z

korzeniami na pokrycie tego ścianodachu, cięta skórę. Gdy nałożył jej do szczytu, spostrzegł, że dłonie w kilku miejscach ma paskudnie głęboko pocięte.

Siadł wreszcie pod tym dachem. Wiatr zawiewał z prawa, z lewa, deszcz też tu zaglądał. Takie z grubsza są sadyby Australijczyków. Przy rzadkości deszczów może i są do wytrzymania. Na Mazury stanowczo się nie nadają.

Dopiero gdy usiadł, dopadł go drugi nieprzyjaciel, głód. Skulił się w kłębek, ręce przycisnął do żołądka. Pomogło na pięć minut.

Tak, dygocąc z zimna i głodu, bojąc się położyć, bo liście, których nazbierał zamiast materaca, ciągle jeszcze były mokre, skulony, z rękami owiniętymi dokoła kolan czekał - nie świtu jeszcze, dopiero nocy.

Nie zasnął, wpadł w jakieś półodrętwienie. Wolno napływała ciemność. Oczy zamknął, aby przyspieszyć jej nadejście. Wiatr znęcał się nad drzewami, wył, gdy był w rozpędzie, syczał, gdy zwalniał. Co kwadrans nowa fala kropli zaczynała klaskać o liście.

Odrętwiał mu wreszcie słuch i powoli rozluźniły się jakieś myślowe dyżury, pilnujące w głowie porządku. Wtedy dopiero zaczął stawać się sen.

Śnił ciągle jedno: ciepło. Zaczęła się od zwyczajnych skojarzeń odcuciowo-uczuciowych. Napływała skądś ciepła fala i zaczynało się szczęście. Dotykał rozgrzanego pieca i buchała radość.

Potem zaczął się komplikować ten schemat, obrastać w szczegóły. Matka stała w kuchni i gotowała obiad. Drzewo miała mokre, syczało, trzaskało, gałązki wyłaziły z drzwiczek pieca i dymiły.

Coraz więcej tego dymu. Przecież to pożar, jak tego matka nie widzi?

- Mamo! - krzyczy.

Jakby w przeręblę skoczył, tak zimne jest przebudzenie.

Noc, pewnie północ. Gdzie jest, na miłość boską?! Czemu tak zimno, tak ciemno? Co znaczy ta ławica ciemności jeszcze straszniejszej przed oczami?

Po głodzie i zimnie jeszcze i strach skacze mu do piersi. Przypomina sobie: północ na Czarciej. Sam. Jest beztreściowe wszystko, co go męczy. Po prostu boi się, jest głodny, marznie. Próbuje to przezwyciężyć. Sprowadza się to do żalu: czemu się obudził. We śnie było ciepło, była matka.

I był dym, ostry, aż bolały oczy.

Otóż w tym jednym sen nie okazał się całkowitym złudzeniem. Przez chwilę zdawało się Andrzejkowi, że to tylko wspomnienie bardzo jaskrawego snu. Ale niebawem zapach dymu przypląnął ze świeżą falą powietrza i tym razem nie było żadnych wątpliwości.

Skoczył na równe nogi. Błysk myśli: spał tak mocno, że nie słyszał, jak do wyspy dobijają wycieczkowicze! Rozłożyli ognisko! Są gdzieś w pobliżu! Jest dym, jest ciepła, są ludzie!

Wybiega ze swego przytułku. Rozgląda się szukając rudawej poświaty nad zagasającym już pewno ogniskiem, szukając trójkąta namiotowego, prostej linii masztu na ciemnym niebie, przy brzegu.

Gorączkowo się rozgląda. Nieszczęśliwa polanka, gdzie tyle było ognisk, jest pusta. Nie do wiary, ciemna i pusta. Kawalek brzegu najłatwiejszy do dobiecia - pusty!

Gdzież ten maszt, ten namiot, to ognisko?

Potykać się o chaszczki chwastów, biegnie te kilkanaście kroków. Jest pusto. Nie ma wątpliwości, nikt tu nie dobijał.

Zrozpaczony wciąga powietrze nosem, węszy jak zagubiony psiak. Jest smakowite, czyste. Śladu dymu! Cóż to znowu! Halucynacje węchowe? Jest coś takiego?

Stoi jeszcze chwilę, rozglądając się, węsząc. Deszczu nie ma, tylko potężny wiatr huczy nad drzewami, chmury są niskie, rozwiane, pośpieszne i fala wali o brzeg na Wybrzeżu Zmurszałej Trzciny.

A może dobili gdzie indziej? Może od północnej wyspy? Wbiega na Górę Złudzeń.

Nic nie ma. Ciemny horyzont. Stoi. Już się wzdraga przed zejściem na dół. Już niepokój góruje nad nadzieją.

Jeszcze raz sprawdza: żadnego dymu! Oglądając się po bokach, nasłuchując, czy nic poza wiatrem nie szepce w ciemnościach, schodzi z góry. Nie od razu znajduje swój szafas. Gdy wreszcie natyka się nań, krótka chwila uspokojenia - jest w domu.

Ale zaraz po pierwszym westchnieniu powraca niepewność. Dym! Znowu dym! Ogląda się oszołomiony. Nie, to nie jest dym tytoniowy. Ale może jeszcze gorzej. Skąd dym?

Może pożar daleko w lasach? .Ale patrzył przecież z góry. Horyzont jest tylko czarny, wyżej na niebie, i jeszcze czarniejszy tam, gdzie jest jezioro. Gdyby był pożar, no, najbledszy odbłask na chmurach, nie?

W tej właśnie chwili wielki bezprzedmiotowy strach. Przed zagadkowością tego dymu. Wielki strach, że uznane dotąd, sprawdzone od dziesiątków tysięcy lat przyczynowo-skutkowe metody poznawania świata właśnie zawiodły.

Dym, wyraźny, niewątpliwy i bezprzyczynowy. Więc wszystkie niesamowitości ostatnich tygodni zbierają się teraz i skaczą Andrzejkowi do oczu. Jądro ciemności! Tu właśnie, przecież mówiono, jeszcze za czasów pogańskich... Nazwa, sama nazwa!

Z trudem oddychał. I z każdym łykiem powietrza kropelka niepokoju: ten dym!

Siedział może z kwadrans. Stuliwszy ręce, zezując po bokach, czy nie wysuwa się coś jeszcze równie bezsensownego i groźnego. Słuchał. Drżał.

A potem strach ten zaszedł zbyt daleko. Czując dreszcze na plecach, wstał Andrzejek i zęby zaciskając wyszedł z szałas.

Patrzył w ciemność, wywoływał sam to wszystko nieznanne, co tu kryć się może. Powiedział zachrypłym głosem:

- No!

Znaczyło to: „No, wyłaście, pokazujcie się. Ja się was nie boję!”

I z włosami zjeżonymi ze strachu ruszył przed siebie.

Szedł wolno, nosem kręcił, szukając tego dymowego tropu. Nieco w prawo za szałasem dym zniknął. Andrzejek dobrą chwilę węszył zmartwiony, czy to znowu nie halucynacja węchowa? Potem zawrócił, obszedł szałas z lewa. Tu dym był znowu.

Teraz szedł bardzo wolno, ani na chwilę nie gubiąc tropu. Niebawem wlaź w kępę pokrzyw. Ledwo zauważył je. Cierpienia, które zadawały, miały zresztą swój wdzięk: przez sekundę zdawały się ciepłem.

A potem zoczył wreszcie, gdzie go wiedzie cieniutka pajęczynka dymu. Z nocy wynurzyła się ogromna bielejąca blizna. Niedobita, podstarzała osina!

Skoczył do niej. Nie ulegało wątpliwości: tu właśnie, z tej rozpadliny, z tej dziupli wypełnionej próchnem wypełzał dymowy strumyczek.

Gdyby go spytać, Andrzejek tę chwilę nazwałby pewnie przełomem. Choć tamta, gdy się zrywał z szałas, gdy wołał swoje „no!”, była bardziej podniosła, była wyzwaniem. Teraz właściwie przypadła już tylko nagroda, może zbyt szybka, za tamten czyn.

Rzuca się do dziupli. Jak balsamiczny zdaje mu się zapach tlejącego próchna! Dmucha z całej siły. Białawy obłok wyskakuje tak gęsty, tak szybki, że się krztusi Andrzejek, oczy przecierając uchyla się w bok.

Jakie to proste! Piorun walnął w drzewo, zaproszył iskrę w wysuszony miął osinowego serca. A że było to w dziupli, nawałnica nie potrafiła iskierek zgasić, wiatr zaś, na odwrót, ją rozdmuchał... Tak, że gdy Andrzejek spróbuje pogrzebać patykiem, dostrzeże wreszcie malinowy aksamitny żar.

Niedużo go, właśnie może dwie garście. Andrzejek, uwolniony w jednej chwili z przywidzeń, dobrą godzinę męczy się nad sprawami bardzo konkretnymi. Jak przenieść tę garsteczkę do szałas? Jak ją ożywić do rozmiarów ogniska? Wszystko dokoła jest mokre...

Wreszcie układa z liści coś takiego płaskiego, na to sypie suchego próchna, na to widelczykowatym patykiem nakłada trochę żaru. Już teraz wykazuje zbawienną przezorność: resztę żaru zostawia w dziupli, rozdmuchuje tylko i przykrywa próchnicą.

A tamte liście z rubinowym skarbem niesie do szałas. Teraz następuje potwornie przewlekłe tworzenie „domowego ogniska”. Dmucha, przeciera oczy, dmucha! Potem znajduje parę przedwcześnie zeschniętych liści, suszy je nad żarem, kładzie wreszcie.

I oto bucha pierwszy niezgrabny i nietrwały płomyczek! By go utrzymać, biega Andrzejek dokoła, szuka, grzebie, wrywa i łamie co się da. Znajduje ileś tam suchych gałązek, potem natrafia na mocno spróchniały pień sosnowy. Z całej siły napierając nań, wywraca go na ziemię.

To są skarby prawdziwe: kilka sękowatych i żółtych od żywicy kawałów drewna. Na tym ognisko zaczyna działać.

Andrzejek siedzi przy nim szczęśliwy i zmęczony, grzeje ręce, na przemian odwraca się plecami i pierś, chłonie ciepło. Nawet kolejny deszcz nie potrafi go już teraz przerazić, choć dach szałas przecieka i ciężkie skumulowane krople raz po raz walą go po karku.

Znosi pod dach wszystko co się da, kolana podciąga pod brodę i znowu przymyka oczy.

5.

Jakże inne jest przebudzenie! To słońce przedarło się z chmur na wschodzie i zajrzało w oczy Andrzejkowi.

Zerwał się pełen radości. Słońce przede wszystkim. Także ogień, który tli się jeszcze u nóg, niepotrzebny już, nieważny.

Bo przecież jest dzień, jest słońce, to znaczy pogoda! Teraz wreszcie można liczyć na wyzwolenie! Pełen tej radości Andrzejek przewycięża straszne bóle w barku, w biodrze, w całym ciele. Nie czuje ich niemal, wybiega z szałas.

Zanim jednak dochodzi do Góry Złudzeń, słońce niknie.

Andrzejek stoi na górze, ogląda pejzaż. Niestety, niedobra góra, same przykrości, same nie spełnione nadzieje ukazują Andrzejkowi.

Słońce tylko na chwilę istnym cudem wyjrzało i akurat trafiło mu do oczu. Bo chmury nie skończyły się jeszcze. Są jednolite, rozpędzone, wstrętne. Wiatr huczy w drzewach i raz po raz wałą fale o Wybrzeże Zmurszałej Trzciny.

Co gorzej, na zachodzie dojrzewa jakaś granatowa ławica, z pewnością deszczowa. Jezioro zdaje się ogromną rybą o srebrnych łuskach, tak gęsto idą po nim grzywacze. Jest pusto. I jest bardzo zimno.

Wraca do szałas, wywiało mu wszystkie radości. Siada w kucki nad ogniskiem. Na szczęście nie wygasło, pień okazał się wytrzymały. Rozdmuchując je, Andrzejek ożywia ogień, grzeje ręce.

I serce. Pocięsza sam siebie: no, dziś w ciągu dnia musi się coś pokazać. Jest jeszcze bardzo wcześnie, może czwarta z rana. Skądże o tej porze żaglówki? Ale w dzień, z rana, najpóźniej w południe... Zresztą przecież muszą się połapać tam, w Gorzyżkach. Muszą go szukać! Dobrze by rozpalic wielkie ognisko, niech widzą...

Wyrusza w nową podróż po wyspie, tym razem bardzo rzeczową. Zbiera wszystko, co się może przydać jako opał. Jeszcze jeden pień. Ten się trzyma zaciekle, Ale Andrzejek znajduje gruby drąg, podważa nim korzenie pnia, całym ciężarem naciska i pień trzaska, wyłazi. Potem trochę suchych gałęzi sosnowych, trochę trzciny. Nawet papierzyska, choć mokre.

Gdy to wszystko ułożył pod szałasem, jeszcze zajął się naprawą dachu. Granatowa ławica nadciągnęła diabło szybko. Andrzejek walił gałęzie i trzcinę, smagany zimnym, niemal poziomo lecącym deszczem Między innymi zrobił coś w rodzaju dwóch bocznych ścian. To znaczy od Australijczyków skoczył o szczybel w górę, bodajże do Dajaków z Borneo.

Teraz deszcz: i zimno przestały być nieszczęściem. Za to zjawilo się następne, wcale nielepsze.

Dopóki się kręcił ściągając gałęzie, czuł głód tylko w postaci wielkiej, obezwładniającej słabości. Teraz było znacznie gorzej. Siedział i dygotał, dla odmiany z tej straszliwej czczości żołądka.

Czas jakiś czekał, aż deszcz ustanie. Potem nie wytrzymał; zostawiwszy ogień dostatecznie obfity, skoczył na zewnątrz pod prysznic.

Czego się spodziewał? Oczywiście, w pierwszym rzędzie liczył na jeżyny. Pamiętał, że były zielone, ale w tej chwili nie wydawało mu się to przeszkodą. Błądził w gąszczach Wschodniej Dżungli. Każdy krok budził tysiące zaczajonych kropli, które natychmiast leciały nań, złośliwe jak żywe istoty, starając się wczłogać do ciepłych jeszcze zakątków ciała.

Znalazł wreszcie parę nędznych krzaczków. Ale czy dlatego, że rosły w głębokim cieniu pod olszynami, czy tu na wyspie mikroklimat był zimniejszy, dość że nie rumieniły się jeszcze nawet. Po długich poszukiwaniach znalazł jakąś gałąź, która wyprzedziła inne. Jagody na niej nie były jeszcze różowe, ale przynajmniej ich zieleń troszeczkę przybladła. Zerwał kilka, zaczął przeżuwać. Były tak kwaśne, że się szczęki zwierzały kurczowo.

Oczywiście to był główny skutek tego posiłku. Wrócił do szałas. Dzień włócił się powolny, cały w deszczu i wietrze. Andrzejek grzebał się nad ogniskiem. Pomyślał sobie, że dym mógłby zwabić jakiegoś zabłąkanego podróżnika. Dokładał więc mokrego próchna. Dym walił fenomenalny, zawieszony, zatykający gardło i nozdrza. Ale daremnie Andrzejek co pół godziny biegał na Górę Złudzeń. Jezioro było puste, pokryte tylko białymi kreskami grzywaczy.

Nie zauważył nadejścia południa. Tylko głód wyrastał, przechodził w osłabienie. Wicher, deszcz, przegaszona szarawa jasność dzienna nie zmieniły się wcale od samego przebudzenia.

Znowu ruszył z szałasu: tyle jeszcze zostało mu woli. Nazbierał garść zielonych jeżyn. Zaciekle rozgryzał pestki, zmuszał się do polykania tego straszliwie kwaśnego pożywienia.

Potem pomyślał: tyle tu było wycieczek. Może która przez roztargnienie zostawiła kawałek chleba, puszkę konserw? Zaczął łązić po kępach chwastów dokoła Polanki Portowej, Ale turyści byli roztargnieni tylko w jednym: zaśmiecili potwornie okolicę.

Słońce przetoczyło się już pewnie za wyspę, w stronę Gorzyjałek. Wiatr i deszcz. Mówi się o trzydniówkach deszczowych. Znał się na pogodzie akurat tyle, by to sobie właśnie przypomnieć,

Wtedy nowa fala słabości, już podwójnej, cielesnej i duchowej. Siedział w szałasie, tępo wpatrzony w dymiące ognisko. Trzy dni! Nie wierzył, aby tyle można było wytrzymać. Nawet nie głód, nie chłód, nie strach już pokonany. Czwarte, jeszcze gorsze: pustka!

Gdy pomyślał sobie, że trzy dni będzie tak nieruchomo siedzieć gapiąc się na bielejący popiół i szarzyznę nieba, najgłębsza słabość zatopiła mu głowę. Tak wielka, że dokonała z kolei nowego przełomu.

Skoczył na nogi. Co za brednie! Nie podda się przemocy wiatru i jeziora! Trzeba robić, coś trzeba robić! Niemożliwe, by tu nic nie było jadalnego. Trzmiel! Przypomniał sobie zielonkawą kulkę mchu na łące. Czy tu, na trzcinach nie widział tych samych żółtoczarnych, pluszowych, niezgrabnych jak niedźwiadki trzmieli?

Wiatr targał gałęziami szałasu, poprzez liście wdmuchiwał rozpylony deszcz. Andrzejek wylał na zewnątrz, znowu ruszył w trzciny, łamał je, ciągał ociekające wodą naręcza, układał na dachu. Patem zaczął nosić zmurszałą trzcinę, próbując jej jako opału.

Wreszcie ruszył na poszukiwanie trzmieli. Niestety, deszcz je także zapędzić musiał do gniazda, nie mogły więc brzęczącym lotem prowadzić za sobą. Andrzejek wziął kij. Szedł drobnymi kroczkami po zboczach Góry Żłudzeń, kijem tykając we wszystko, co zielone i kuliste na ziemi.

Poszukiwania te jednak były bezowocne. Za to zmarzył potężnie w tej koszulinie, daleko od zbawczego ogniska. Zabierał się z powrotem, gdy w kępie pokrzyw natknął się na wystający lekko kawał darni. Już myślał, że mu się poszczęściło. Ale to nie brzęczący trzmielami mech znalazł pod darnią. Z wierzchu była warstwa czegoś przezroczystego i brudnego. Dopiero później uprzytomnił sobie, że tak przed dziesięciu laty wyglądałby papier pergaminowy. Potem były zwyczajne gazety.

Zwyczajne - to przesada. Bo po pierwsze żółtkę, po drugie zetlałe, po trzecie niemieckie. Wyciągając je Andrzejek parę górnych przedarł w pół, takie były już nietrwałe. Spojrzał na daty: czerwiec 1944!

„Patrzcie państwo, kawał historii!”

W tym milczącym zawołaniu najwięcej było jednak ironii. Zbyt silny był zwyczajny głód, aby się wzruszać szczerze rozmyślaniami podnioslejszego autoramentu.

Wyciągnął jednak cały zwitek, zaniósł do szałasu. Wrócił zaraz do poszukiwań trzmieliego miodu. Zmarznięty, zgłodniały, krok za krokiem przemierzał wyspę, dżgając kijem ubogą trawę.

Zaszedł aż pod brzeg. Ze złością tknął kijem w całe pokłady gnijącej trzciny, wyrzucone falami na wierzch. A potem kij wyrzucił ciskając w niebo fontannę czarnych szczątków.

Gdy bezmyślnie zerknął w powstały stąd dołek, kłębek wstrętu zatkał mu gardło. W zgnitej trzcinie zwijało się kilkanaście czerwonych robaków. Brzydziły go niemniej niż pająki czy stonogi.

Wrócił do szałasu z niczym. Siedział przy ognisku.

Zwolna rodził się wieczór. Wiatr wyl bez zmiłowania, fale rąbały brzeg polanki.

A w Chinach podobno jedzą robaki. Opowiadał mu ktoś, kto miał znajomego, który wrócił niedawno z Korei. Podobno przyrządzają je tak jakoś, że to wygląda na bezbarwny przezroczysty makaron, tyle że trudny do przeżuwania.

A tubylcy z Melanezji specjalnie czyhają na „palolo”, takiego robaka morskiego, którego „tarło” odbywa się pewnego dnia księżycowej pełni. Zbierają to, co wypływa, suszą czy marynują...

.A Paganel z „Dzieci kapitana Granta” zachwyca się smakiem pieczonego na węglach szcúra...

Rozpamiętywał to wszystko i tylko głód zaciekle go atakował. Już nic z obrzydliwości. Tylko czyste naukowe zainteresowanie. Czy są tu szczury? Czy można je złapać?

Wieczór szedł. Krótkotrwała przerwa w deszczu. Andrzejek ruszył, żeby przygotować na noc paliwa. Odchylił zwisającą nisko gałąź leszczyny. Coś zimnego, śliskiego. Targnął ręką. Potem zobaczył: na leszczynie siedzi ślimak.

Wtedy inne opowiadanie przypomniało mu się, z Francji. Tam jest kilkanaście potraw ze ślimaków, już nie mówiąc o udkach żabich, które, zapiekane jakoś w cieście, należą do najwyszukańszych przysmaków. Więc są „eskargo”, duże lądowe ślimaki winniczki, smażone na maśle z czosnkiem. Są inne, morskie „mule”, które tworzą całe kolonie na skałach, zabarwiając je na czarno. Te się gotuje ze śmietaną i cebulą. Ci, co jedli, nachwalić się nie mogą.

A wreszcie ktoś komuś opowiadał: w ubogich zakątkach Bretanii przy odpływie każda plaża roi się od ludzi. Dzieci, starcy, dorośli idą zgięci we dwoje, raz po raz sięgają ręką, biorą znalezionego małża. Scyzorykiem otwierają skorupę... I bez niczego, bez cytryny, bez soli...

Obejrzał się jednak, czy go nikt nie widzi. Potem chwycił ślimaka, oczy przymknął. Nie, nie gryzł oczywiście.

Wtedy przypomniało mu się najważniejsze. Ostrygi! Skoczył szybko na polankę, ruszył do wody. Niełatwo było je zbierać, te małże. Więcej było pustych muszli, które kaleczyły stopy. Znalazł jednak kilka. Zaciskając je w garści, wylażł, ruszył do szafasu. Tu znowu kłopot z ich otwieraniem.

Przymykał oczy, gdy dochodziło do połknięcia. Smaku nie miały na szczęście. Trochę ilastego zapachu. Bardzo szybko nauczył się tego nie zauważać.

A przecież pomogło. Gdy zmierzch stał się zupełny, Andrzejek nie czuł się już taki słaby. Stać go było nawet na oglądanie gazet. Niemiecki znał bardzo słabo, tyle co z gimnazjum. Był to „Völkischer Beobachter”, oczywiście. Na pierwszym miejscu dawano komunikaty OKW. Andrzejek przesyłabizował coś o północnym ryglu, o straszliwych stratach bolszewików, o walkach na zachód od Mińska.

Deszcz ruszył znowu. Andrzejek ułożył się na przeschlłym w ciągu dnia, już wędnącym listowiu. Szczęśliwe natchnienie podpowiedziało mu, jaki pożytek może zrobić z gazet: przykrył się nimi. Mimo że rozlażyły się w palcach, było ich dość dużo i chroniły koszulę od bezpośredniego starcia z wiatrem. Tym razem zasnął szybko. Spał co się zowie kamiennym snem. Dopiero po tej długiej czarnej przepaści zaczęły się budzić jakieś najczujniejsze posterunki jego jaźni. Wolno płątała się fabuła snu, rozpoczęta tylko ochłodzeniem, później obrośła w szczegóły, w koloryt, w motywację. Mróz szalał nad ziemią. Andrzejek zaś miał pilnować oranżerii, w której właśnie zabierały się do kwitnięcia najrzadsze orchidee świata. I ktoś niedobry, by go pognebić, stłukł kamieniem szybę nad najpiękniejszą. I kłęby białawego mrozu spadają na czerwone płatki kwiatu. Andrzejek patrzy na to i kroku nie może uczynić.

A mróz idzie od kwiatu do kwiatu, wszystko ścina nożem białym jak szron. I do gardła Andrzejkowi... Wtedy dopiero przebudzenie. Zrywa się. Nie ma bieli, jest ciemność całkowita. Ognisko! Zajęty wieczorem poszukiwaniem pokarmu, zapomniał o paliwie! Kijem grzebie szukając zbawczej iskry. Jest nieruchoma ciemność. Wiatr nad głową i noc. Śladu iskry!

Wybiega do osiny. Ale i tam kłęska. Pewnie w ciągu dnia wiatr zmienił kierunek i skrzydło deszczu zawadziło o dziuplę. Jest tylko mokre próchno.

Wraca przez ciemność do szafasu. Jeszcze raz zabiera się do grzebania w popiele. Rękami maca macznięcie miękkie jego pokłady. Popiół jest ciepły. W pewnej chwili rękę odrywa z syknięciem.

Nachyla się. Kawalek pnia. Oto i czerwona iskierka. Dmucha długo, aż mu w głowie zaczyna trzeszczeć.

Iskierka pryska w noc. Wolno, bardzo wolno rozrasta się czerwona plamka. Wystarczy przerwać na chwilę dmuchanie, a znowu się kurczy, znika niemal.

Maca rękami pod szafasem, szuka czegoś suchego, co by można było przytknąć do czerwonej plamki, aby wreszcie buchnął płomień. Tylko wilgotne listowie...

Przypomina sobie nagle: gazety! Chwyta niewyraźnie bielejącą szmatkę, znowu dmucha. Malutkie białe kielki! Ogień nagle wybucha i jasność.

Teraz byle nie zamarł! Raz po raz dorzuca nowe „Beobachtery”. Jak na złość nic z treściwego paliwa! Wyskakuje z szafasu, pędem się rzuca w zarośla. Nie może natrafić na nic takiego. W dzień rozglądał się już, więcej pieńków nie ma.

Tak się miotając wpada w jakieś zagłębienie i nogą wyczuwa papierowy szelest. Stąd przecież wyciągnął tamte gazety! Okazuje się, że tu istny skład makulatury. Jest wilgotnawa, próchniejąca, ale lepsze to przecież niż liście czy świeże patyki.

Chwyta więc co się da, z całym naręczem tych papierzysk rzuca się z powrotem. Najwyższy czas! Znowu zagasła biała roślinka ognia i tylko czerwone iskierki przebiegają po spopielonych gazetach.

Tym razem jeszcze trudniej przywrócić ognisko do życia. Wreszcie, pchając co chwila papier za papierem, ożywia je Andrzejek. Pod listowiem znajduje parę podeschłych szczap. Siada w kucki, gapi się, dorzuca co pół minuty to garść liści, to parę arkuszy.

Rzeczywiście, przecież to już nie płachty gazetowe! Papier gładszy w dotknięciu, mniej spróchniały. Bierze pierwszy z brzegu arkusz. Też po niemiecku.

Jakieś formułki. Algebra? Nie lubił matematyki. Jakieś wykresy. Jakieś sześciokąty. Jakby skrypt? Nie, to nie powielone, przepisane tylko na maszynie.

Znowu przygasło ognisko. Wtedy zaczął ciskać raz po raz arkusiki, listy, gazety, wszystko, co jeszcze wyciągnął spod darni.

Ognisko płonęło jaskrawym i nietrwałym ogniem papierowym. Patrzył na nie, podnosił głowę, szukał śladów świtu. Ale chmury wschód przesłoniły tak dokładnie...

W wyścigu papierowego ognia i słońca ten pierwszy przegrał. Ostatni arkusik zetlał, a niebo nie zdobyło się na najłżejszy ślad poranka.

6.

Trzeci dzień przyszedł wreszcie pogodniejszy, bo przynajmniej prawie bez deszczu. Jezioro wściekało się ciągle, na brzegu polanki zebrały się kupy piany, białej zrazu, potem brązowo-brudnej, zakrzepłej jak mydliny. I wszystkie wycieczki na Górę Złudzeń skończyły się klapą: jezioro było puste jak morza koło Antarktydy.

Andrzejek ten trzeci dzień zniósł jednak dużo lepiej niż poprzednie. Ogień uratował wreszcie dzięki liściom spod szalasu, które podeschły przez dwa dni i trzymały płomień, wydmuchany znowu z niedopalonego pieńka.

Gdy wreszcie poranek wytrysnął znad czarnej ławicy chmur, zimno zrobiło się piekielne. Andrzejek zerwał się na nogi, zaczął tańczyć jakieś improwizowane tańce świętego Wita. Wtedy dopiero i ogień, właśnie rozbudzony, znowu co nieco pomógł.

Dzień wydał mu się o wiele krótszy od poprzednich. Przede wszystkim dlatego, że nie spodziewał się już co chwila wybawienia z tej robinsonady. To znaczy, poczynił cały szereg kroków, które miały mu dopomóc w przetrwaniu.

Na najbliższej olszynce trzy razy stuknął ostrym kamieniem w korę: przecież Robinson w ten sposób mierzył czas. Potem pół dnia zbierał paliwo. Było to niełatwe. Wyspę zdążył już ogołocić ze wszystkiego, co jako tako nadawało się do tego celu.

Szczęściem zobaczył przy brzegu sporo na pół zgniłych gałęzi i nawet niewielkich bierwion. Zabrał się do ich wyciągania. Były przesiąknięte wodą jak gąbki. Pierwszego dnia nie zwróciłby na nie uwagi: czekał lada chwila wybawienia. Trzeciego dnia powiedział sobie, że musi się przygotować choćby na cały tydzień przebywania na wyspie.

Wyciągnął więc całe to szerniałe, na pół zgniłe drewno, rozłożył na górze, gdzie przewiew był największy. Co się dało, kładł tuż przy ognisku: tam schło o wiele pręcej. Potem jeszcze raz zabrał się do reperacji szalasu. Naściął kijem pokrzywy, całymi naręczami ciskał ją na ściany, które dzięki temu zgrubiały i zaokrągliły się przypominając półkulistą sylwetkę eskimoskiego igloo.

Potem przyszło mu na myśl, że w Niemczech matka gotowała czasem zupę z pokrzyw. W smaku przypominało to szczaw. A właśnie, czy tu nie ma szczawiu? Oto i zajęcie na całe południe. Znalazł szczaw na niewielkiej łączce z północnej strony wyspy. Zaczął go jeść na surowo. Po jakimś czasie zbrzydło to bardzo.

Przeszukał jeszcze raz okolice Portowej Polanki. Blaszanek było sporo. Wybrał największą, chyba półlitrową, na szczęście niezbyt zardzewiałą. Długo ją szorował piaskiem. Wreszcie w ognisko włożył dwa płaskie kamienie. Do blaszanki nalał wody, postawił na ogień.

Myślał: co zagotować? Zabawne, że miał nawet pewien wybór. Szczawioną? Pokrzywową? Czy może kompot z niedojrzałych jeżyn?

Zdecydował: wszystko razem! Najgorzej było z pokrzywą. Matka gotowała ją wcześnieutką wiosną, gdy zjawiały się pierwsze pędy. Tutaj pokrzywa była aż czarna ze starości i na pół zdrewniała. Z trudem znalazł parę jasnozielonych łodyżek.

Przymknął blaszankę jakimś płaskim pudełkiem, pewnie od sardynek, też je starannie wymywszy. Sam poszedł jeszcze na wędrówkę.

Ten trzeci dzień stanowczo był szczęśliwy. Zaiste, wyspa miała swój mikroklimat, zimniejszy od otoczenia. Na skutek wielkich lodów, które przecież stąd nie spływały nigdzie, okres wegetacyjny

musiał się zaczynać później. Dlatego wprawdzie jeżyny tu dojrzewały dopiero, ale za to nie minęły jeszcze poziomki!

Na tej samej Szczawiowej Łączce, nieco wyżej, w połowie zbocza Góry Złudzeń znalazł parę ich krzaczków. Może z tuzin jagódek czerwieniło się tu małutkimi kropelkami. Zerwał je. Był na tyle już opanowany, że na wielkim liściu leszczyny przyniósł je do szałas.

Także nazbierał małżów. Dlatego w trzecim dniu obiad naszego Robinsona składał się z trzech dań. Małże połknął szybko, starając się myśleć o wspaniałych kwiatach Victoria Regia i patrzeć w pędzące górą obłoki. Potem siorbał zupę nie tyle jarzynową, ile jeżynową. Nie da się zaprzeczyć, że wszystkich zalet, z których winna składać się zupa, miała ona tylko jedną: była piekielnie gorąca. Andrzejek musiał postawić blaszankę na ziemię (niesposób było ją utrzymać w ręce!) i to nie zupa szła do jego ust, to jego usta odbywały podróże do tej zupy.

Oczywiście, o smaku jej nie mówmy. Górowała w nim kwaśność.

Za to tym słodszy wydał się po niej deser! Te kilkanaście poziomek smakowało Andrzejkowi jak marcepany.

Potem przypomniał sobie opowiadania matki z pierwszej wojny. Nie było wtedy herbaty. Z licznych jej namiastek matka wspominała o cząbrze, o marchwi, ale najwyżej cenila suszone ziele poziomkowe.

Skoczył jeszcze na łączkę, zerwał parę listków zaczynających już się rumienić. Położył koło ogniska. Miał teraz czas aż do wieczora.

Po południu ani jedna ulewa nie spadła już na wyspę, choć na zachodzie, nad Gorzyżkami niebo było całe pokreskowane strugami deszczu. Wiatr zwolna się zmieniał, skręcał z zachodu na południe. W górze pęknięcia w chmurach tyskały najpiękniejszym błękitem.

Cały pochłonięty pasją dokładnego poznania swego królestwa w celu wykorzystania jego bogactw, Andrzejek błąkał się do wieczora po wyspie, specjalnie eksplorując mało zbadane dotąd okolice północne i północno-wschodnie. Znalazł tam sporo leszczyny, ale chociaż rok zapowiadał się orzechowy, to były one jeszcze całkiem miękkie i puste, ścigały tylko wargi przy rozgryzaniu.

Już nadchodził nowy wieczór, odmienny, cieplejszy i cichszy, gdy Andrzejkowi powiodła się następna sztuka: znalazł trzmiel!

Przygrzane kilku minutami słońca, wyleciały przed wieczorem, by rozprostować skrzydła po trzech dniach niepogody. Wyczulony słuch Andrzejkowy wnet je dosłyszał. Zadzierając głowę, szedł przed siebie, wdrapał się na górę i wreszcie ulokował je celnie. Gnieździły się na południowym zboczu, przy korzeniach dużego krzaka leszczyny. Były inne niż tamte na łące, mniejsze trochę, całkiem żółte, choć równie pluszowe i dobroduszne.

Ich kuliste komórki miodowe okazały się nieźle zaopatrzone. Uzbrojony w słomkę Andrzejek spożył te zapasy w ciągu minuty. Miód wydał mu się znakomity.

Na kolację zjadł znowu z tuzin małży, a potem wypił pół litra „herbaty” na poziomkowych liściach. Aczkolwiek małże okazały się całkiem sycące, to jednak ich ilasty smak zaczynał drażnić Andrzejka coraz bardziej. Przyciągnąwszy na noc podeschłe drewno ze szczytu góry, resztę wieczoru poświęcił rozmyślaniom na temat rozszerzenia swojej bazy żywnościowej. Oczywiście myślał o rybach. Przynęty było tu w bród, wystarczyło kijem zahaczyć o zwały spróchniałej trzciny. Z czego jednak zrobić haczyk? Z kawałka blachy? Nieprosta rzecz. No, a wędkę? Skąd wziąć nylonową nitkę? Albo końskie włosie? Albo w ogóle sznurek?

Wieczór ciągnął i chmury spęzły na północ. Gwiazdy tysnęły nad wyspą. Zdecydowany cały dzień jutrzejszy poświęcić temu problemowi, Andrzejek położył spory kłoc do ognia, przykrył się paru podeschłymi gałęziami i zasnął.

Budził się kilkakrotnie: podświadomie w nim działał już wytworzony odruch, lęk przed zgaśnięciem ogniska.

Był piękny słoneczny poranek. Wstał, szczęśliwy pierwszy raz od początku robinsonady, i gotów do dalszych poczynań, które by mu miały pobyt na wyspie ułatwić, nie pojmując jeszcze, że ta pogoda wieści niewątpliwy powrót tutaj ludzi.

Myślał o Robinsonie i dlatego, gdy usłyszał czyjś krok na polance i czyjeś kasznięcie, pierwsze, co mu przyszło na myśl, to byli Karaibowie.

Dlatego nie wyskoczył, nie krzyknął. Wychylił głowę z za szałas.

Miał rację. Od polanki na Górę Złudzeń szedł dryblas w czerwonej chuście, szedł pirat Dżaki. Miał niedobrą twarz, całą przekrzywioną od jakichś myśli. Nie spodziewał się, oczywiście, że go ktoś tu podgląda, nie maskował ani twarzy, ani oczu.

Andrzejkowi znowu po dawnemu zamarło serce. Jak mógł najciszej, wymknął się z szataśu, dał nura w zarośla Wschodniej Dżungli.

Remanent tajemnic.

1.

Czwartego dnia wróciła nareszcie pogoda. Lucyna zaalarmowała z rana chłopców, znowu próbując wyjazdu na żaglówce. Ale zanim uporządkowali jacht, wodę wylali i naprawili kilka drobnych uszkodzeń jeszcze z owej dramatycznej wyprawy, na przystań wpadła końskotwarza wołając ich wszystkich do pałacu.

Stała tam jakaś okazyjna ciężarówka i paru milicjantów. Dopytywali się o Balbińskiego, w ostateczności o Sykusa. Ani jednego, ani drugiego nie było. Piękna Nelly ściągnęła więc takich mężczyzn, jakich znalazła pod ręką.

O co chodzi? Na ciężarówce leżał znajomy niebieski kajak. Niewielka niklowana tabliczka przy dziobie informowała, że to własność Eugeniusza Balbińskiego, zamieszkałego w Warszawie, tam a tam. Milicjanci chcieli mu zwrócić ten sprzęt i przy okazji pomaglować trochę w sprawie okoliczności wypadku.

Byli wyjątkowo dorzeczni: zostawili kajak mimo nieobecności Balbińskiego. Poprzestali na zapisaniu wersji wszystkich pięciorga świadków, wołanych w pojedynkę do „salonu”. Krzywili się wyrażając dezaprobatę: że nie umiejącego pływać chłopca puszczało się samego w kajaku na jezioro.

Kucyk, Zdzisio, Wojtek kiwali posłusznie głowami, godząc się oczywiście na tę ocenę i przemilczając swój wkład w tragedię: ową kretyńską rozróbkę. Żaden ani zająknął się o kartce, o napisie na poddaszu, posłuszni zaleceniom Balbińskiego w sprawie trzymania tego wszystkiego za zębami.

Dopiero gdy milicjanci pojechali, Wojtek zaczął bąkać coś innego. Przeprósiwszy Lucynę i obiecując, że za parę minut przyjdą na przystań, zaciągnął kompanów na wieżę.

- Jesteśmy kretyni! - oświadczył ważko, skoro się znaleźli w pokoju.

- Mów za siebie! - na wszelki wypadek zastrzegł się Kucyk. - Nie uogólniaj tak pośpiesznie. O co chodzi?

- Gdzie masz kartkę? - Wojtek wyciągnął rękę do Zdzisia.

- No? Co znowu?

Wojtek chwycił kartkę, mrużąc pod nosem. Zaczął czegoś w niej szukać.

- O, macie! - krzyknął wreszcie.

Był to ciągle punkt IV: „Sulamita jego się boi”.

- No i co? - Zdzisio był chłodny, pewien swego.

- A to, żeś nabił nas wszystkich w butlę. Zrobiłeś sąd boży, który nic nie znaczy!

- Gdzie to widzisz?

- A tutaj to widzisz. O!

Palcem tknął podpunkt b): „przy wejściu mau. gdy tańce.

Kucyk i Zdzisio jeszcze nic nie pojmowali i dlatego Wojtek wybuchnął:

- Właśnie za was mówię, nie za siebie. Po kretyńsku jeszcze nie widzicie. Co to znaczy? Sulamita się „jego” boi przy wejściu mauretańskim? Gdy tańce! No! Ruszcie tym, co u innych ludzi zwie się słusznie mózgiem! Pamiętacie, kiedy były tańce? Kiedyś piratów tam wpakował! Zajrzeliśmy, czy nie ma awantury. I piraci tańczyli...

- No, to co?

- A Sykus nie tańczył. I Balbiński też nie! Stali razem, gadali! Ale tam stali, nie pojmujecie? Tam, przy jadalni. A Sulamita boi się tu, po tej stronie, przy mauretańskim wejściu! No?

Zdzisio zabelkotał wreszcie coś niepojętego i Kucykowi także zaczęły rozszerzać się ślepia.

- No! - krzyczał Wojtek. - Jeszcze wam mało? Sulamita się bała, gdy Balbiński był całkiem gdzie indziej! Cały twój sąd do luftu! Przypominam sobie zresztą, jakżeśmy szli na raki, Sykusowa przy jeziorze została i z Balbińskim, i z Sulamitą. I ta nic się go nie bała!

- No, właśnie! - wybąkał Zdzisio. - To tylko potwierdza moją tezę. To nie on. Jego się nie boi...

- Fajara! - krzyknął Wojtek. - To tylko znaczy, że cały sąd boży z góry był pomyłony! Owszem, nie Balbińskiego miał na myśli Andrzejek przy punkcie IV. Ale skąd macie pewność, że to ten punkt jest naprawdę decydujący? Tam jest jeszcze pół tuzina innych!

- Sameś się zgodził...

- A idź ty! Słuchaj lepiej! Suka może bać się stu tysięcy różnych rzeczy. Jeża na przykład. A myśmy przyłapali Balbińskiego na naprawdę podejrzaną chryję. On nas zatrajłował, a ty dokończyłeś. Wymyśliłeś próbę, która, z góry można było powiedzieć, nic nie udowodni! A tamten wiedział przecież, że Sulamita idzie do niego bez wahania. I nic nas nie uprzedził. Pewnie, widzi, że na durniów trafi! Woli tę próbę...

Teraz nareszcie zrozumieli. Zdzisio był czerwony. Milczał. Kucyk zdobył się na dwa słowa:

- Co teraz?

- Cholera! - srożył się Wojtek. - Jak na złość, odkryło mi się to wszystko dopiero, gdy milicja się zabrała. Gdzie jej teraz szukać?

- Rower... - wybąkał Zdzisio, gotów dla odrobienia swojej wpadki pedałować przez narastający upał.

- Może przecież zadzwonić z lwiszek?

Roztrzęsając te techniczne warianty, zeszedli z wieży. Kucyk miał pewne skrupuły: a nuż rzeczywiście coś z opowieści Balbińskiego było prawdą? Rozpowiadać to wszystko... Musi tu obowiązywać jakaś tajemnica służbowa, choćby sam Balbiński okazał się niebezpiecznym przestępcą.

- Gdzie on właściwie? - przerwał mu Wojtek.

Nikt nie wiedział. Od rana go nie widziano w Gorzyżkach.

- No, właśnie! Przecztał pismo nosem...

Ciągnął ich za sobą do lwiszek. Zdzisio wymógł tyle, że podbiegli do przystani, by poinformować Lucynę.

Była rozgoryczona.

- Podziwiam was. Po trzech dniach nareszcie pogoda żeglowna! Jakże można rezygnować z poszukiwań!

Spojrzeni po sobie. Zdzisio powiedział:

- Właściwie możemy się podzielić. Może rowerem?...

- Rower znowu mu się popsuł! - powiedziała Lucyna. - Mówił wczoraj, że aż do Mikołajek odesłał, do mechanika...

- Kucyk, uważaj... - ciągnął Zdzisio trącając tamtego w ramię.

Ale Kucyk odwrócił się w tej chwili od nich. Za polem trzciny sunął szczyt żagla. Zagapili się zaraz wszyscy. Nic dziwnego, na maszcie powiewała czarna flaga.

- Bałwany! - warknęła Lucyna. - Z tą szmatą, jakby umyślnie zakładali żałobę... Co z wami?

Chłopcy rzucili się do jachtu.

- Prędeży! - syczał Kucyk. - Proszę pani, stawiamy żagiel!

- Co z wami? - powtórzyła Lucyna.

- On nam jeszcze nawieje...

- Kto? Zwariowaliście! Zresztą patrzcie, skręcają tutaj!

Rzeczywiście, z jeziora doleciała komenda: „Do zwrotu przez sztag!” i wysoki żagiel załopotał.

Stali znieruchomieli. Tylko Kucyk wysyczał:

- No, zobaczymy wreszcie!

Jacht piratów skręcił w dojazdowy korytarz. Miał wiatr boczny, więc bez halsowania, szybko sunął na przystań.

A gdy był o pięć metrów, Dżaki pirat w czerwonej chuście wyskoczył na dziób, roześmiany bardziej niż kiedykolwiek.

- Ahoj, na brzegu! - wrzasnął donośnie, jakby byli o kilometr. - Nie zgubiliście czego? Niceście nie zgubili? Akurat! Szykujcie znaleźne, dużo, dużo znaleźnego.

Chłopcy pochmurnie patrzyli na jego błazeństwa. Jacht wytracił szybkość, dobił wzorowo, zatrzymując się o trzy centymetry przed mołem. Ba, na sterze siedziała kobieta-szatan.

Ona to wstała, podeszła do kabiny i po chwili wyciągnęła...

- Macie waszą zgubę! A za drugim razem uważajcie, bo nie oddamy! Nasz etat okrętowego chłopca też nie obsadzony...

Andrzejek! Andrzejek to był, trochę oszołomiony jaskrawym słońcem po tych paru minutach przebywania w kabinie. Bardziej oszołomiony zderzeniem tak nagłym z tą oto czwórką ludzi, niepewny, ile jeszcze zostało zawziętości u kumplów i co tam się dzieje z Lucyną.

Bardzo szybko ta niepewność rozwiązała się: Lucyna o mało nie padła, chwyciła się masztu, wargi jej zbieleły. Wyskoczyła wreszcie na pomost i chwyciła chłopca w objęcia. Przykład ten okazał się zaraźliwy. Zaraz porwali go inni, ze Zdzisiem na czele.

Dobra godzina zesłała na przywitaniach, podziękowaniach, chaotycznej gadaninie o cudownym znalezieniu Andrzejka. Dopiero żołądki przypomniły im, że pora przerwać.

Piraci zażądali postawienia obiadu. Lucyna ich zabrała do pałacu. Chłopcy z bohaterem dnia poszli do Agnieszki. To znaczy, znaleźli się wreszcie sami.

Szybko skończyli z jedzeniem: kuchnia u Agnieszki nic się nie poprawiła. Zaciągnęli Andrzejka do wieży.

- No, gadajże wreszcie! - Wojtek wyjął kartkę. - Kto to jest?

Andrzejek ze zdumieniem oglądał zabazgrany karteluszek ze swoimi poszlakami. Czystopis mu się dawno gdzieś zapodział. Z trudem przypomniał sobie skojarzenia, które tyle dni temu kazały mu spisywać te słowa.

- No! - nalegał Wojtek. - Kto to? Balbiński?

- Dżaki? - pytał Zdzisio. - Chyba już wiesz, że nie, co?

- Kto? Kto? - Andrzejek był oszołomiony.

- No, ten, co cię prześladował! Nie pamiętasz? Tyleś nagadał wtedy, przy rozróbce! Gadałeś, że Dżaki, z tą cegłą...

- Ach, tak! - Andrzejkowi przejaśniły się oczy. - Tak, tak! Mówiłem, że Dżaki... Jak go dziś na wyspie zobaczyłem, takiego szusa dałem we Wschodnią Dżunglę! Ale on zobaczył mój szłas. No, to się zaczął kręcić, zawołał resztę. Całą obławę zrobili na mnie. I wreszcie przy Szczawiowej Łączce...

- Wschodnia Dżungla, Szczawiowa Łączka? - Kucyk położył dłoń na czoło Andrzejkowi. - Temperatura, zdaje się, normalna...

- Nic nie rozumiesz! - sarknął Andrzejek. - Trzy dni tam siedziałem, musiałem coś robić. No, to te nazwy...

- No, a Dżaki?

- Przecież widzicie. Żem się mylił! Przywieźli mnie tu, nie?

- Więc kto to?

Andrzejek milczał. Naciskali go coraz ostrzej.

- Co to jest ta „idyjotka”?! - wołał Zdzisio.

- Albo to „nie od razu się zgodził”? - ciągnął Kucyk.

- Kto jest ten, co go się boi Sulamita? - napierał Wojtek.

- Nie wiem - wyszeptał wreszcie Andrzejek.

- Nie wiesz? Piszesz „on" i nie wiesz?

Andrzejek długo się wykręcał. Wreszcie rzekł:

- Widzicie, z tym Dżakim jednego się nauczyłem - żeby z byle powodów nie oskarżać. Gadałem wam... i nie tylko wam, że Dżaki... Jak wariat przy tych rakach nawiałem, gdy usłyszałem, że idzie ku mnie. A miałem dowody? Poszlaki tylko, byle jakie...

Opowiedział o cegle, o nieobecności Dżakiego.

- Wyglądało: któż, jak nie on? Jedyń z towarzystwa, którego nie ma na miejscu, który mógłby mi cisnąć tamtą cegłę. Wreszcie wraca, cały w kurzu... A tymczasem sami widzicie, uratował mnie! Dlatego, zanim teraz na innych co powiem, muszę znaleźć dowody. Rozumiecie?

Pokiwali głowami. Tylko Wojtek nie uspokoił się.

- Tere-ferę! - krzyknął. - A ten napis na poddaszu co znaczy? Kto to się skrada?

- Nie wiem - powtórzył swoje Andrzejek.

I znowu opowiedział, jak to było, jak ich przypadkowa rozmowa uratowała go przed zderzeniem się z Nieznajomym.

- A swoją drogą - dokończył - gdybyś, Edziu, zrobił, co zapowiadałeś, gdybyś poszedł zobaczyć...

Ci trzej spojrzeli po sobie.

- A co tamten robił? - spytał Wojtek. - Grzebał w naszych rzeczach?

- Nie - powiedział Andrzejek. - Kartkował se książki, a potem zaczął ściany opukiwać. Ech, czemuście nie poszli... Mielibyśmy gościa na gorącym uczynku! Frajerzy!

- Wcale nie! - zawołał Wojtek. - Myśmy go złapali!

Andrzejek się uśmiechnął pobłaźliwie. Wojtek klepnął go po ramieniu.

- Ależ tak! - I opowiedzieli o skradającym się krokach, kartkowaniu książek, opukiwaniu ścian. Andrzejkowi zapaliły się oczy.

- No?! - krzyknął. - Kto to?

- Twój przyjaciel. Pan Balbiński.

Bładość zalała policzki Andrzejkowi. Usta zagryzł, walczył z sobą.

- Gdzie on jest? - powiedział wreszcie.

Chłopcy streścili resztę wydarzeń.

- Sfrajerowaliśmy się - skończył Wojtek. - Facet nawiął.

Andrzejek milczał. Dopiero gdy Wojtek opowiedziawszy, jak tamten wystawił ich do wiatru historią o Haushoferze i Wolfszańcu, znowu zaczął wymachiwać karteluszką, Andrzejek zachrypniętym głosem rzekł:

- Pytajcie. Spróbuję...

- No, po porządku, punkt po punkcie. Ta dykta...

Andrzejek machnął ręką.

- No, a „idyjotka”? I kto jest grzeczny przy ludziach?

Andrzejek zaczerwienił się, wyrwał kartkę.

- Mniejsza! - szepnął. - Pytałeś o Balbińskiego. Dobrze, powiem.

Opowiedział jeszcze raz o dziwacznej historii w leśniczówce „Radość”.

- O, „niewidzialne kroki” ! Kiedy po rozróbce wydusił ze mnie wszystko, zacząłem go namawiać, żebyśmy od razu do tej leśniczówki. Nie chciał, za nic! Dopiero następnego dnia pod wieczór! Jak zagroziłem, że sam pójdę! I to przed tym zwiął! Rozumiecie?

Patrzyli nań całkiem zbaraniałi.

- Mówiłem wam, niewidzialne kroki! Słyszałem, jak szedł człowiek, całkiem swobodnie, tup, tup, jak po gładkim gruncie. Wtedy w nocy. Ale nikogo nie widziałem! A tam gdzie szedł, były krzaki, ze dwa metry wysokości i gęste jak miotła. Balbiński mówi mi: przywidzenie. To znaczy, przesłyszenie się, halucynacja słuchowa! No, to idziemy. Patrzę, nic w ogóle nie ma, w domu pajęczyny, mucha nie przeleci. W stodole, w oborze zarośla osiny. A tamte krzaki, a jakże, wielkie, gęste. Ja nic, podchodzę...

Wojtek mu przerwał, wydało się, że ktoś na dole... Posłuchali. Cicho.

- Podchodzę! Aż przy domu ścieżka, rozumiecie? Zwyczajna, ani trawy, ani krzaków. Cegłą bitą była wysypana. Znaczą, każdy może iść swobodnie. I nie widać go za krzakami. Myślę: no, to nie przesłyszenie się. Coś tu uchwytne... I tą ścieżką dalej! Co tam?...

Teraz wszystkim czterem zdało się, że ktoś sunie schodami. Spojrzeli po sobie. Znowu cisza. Andrzejek ciągnął dalej, mimo woli jednak przeszedł w półszept.

- Ale za rogiem domu stop! Na ścieżce kupa suchych gałęzi! Ogromna sterta! Rozumiecie? Znaczą, przecież jednak to halucynacja! Bo ścieżką się nie przejdzie przez tę kupę! A ja słyszałem te kroki z daleka, równe, narastające, jak kogoś, co po ścieżce równiutko, coraz bliżej...

- No! - wyszeptał Wojtek.

- Wtedy Balbiński do mnie. Od razu zrozumiał, co się stało. Ale od razu, rozumiecie? Ani chwili wahania! I nuż mnie pocieszać! Że owszem, trudno. Żem się wyczerpał nerwowo. I tak dalej!

- I wyprowadza cię z leśniczówki! - podpowiedział Wojtek.

- Co znowu! - Andrzejek ramionami wzruszył. - To inteligentny człowiek. Jak już mnie tam wpuścił, to wszystko robi, by mi moje przywidzenia, jak mówi, wybić z głowy.

- To znaczy?

- To znaczy, jeszcze mnie ciągnie do stodoły, do obory, każe wywracać stare beczki, grzebać w spalonym samochodzie. Ale ja już nie chcę. Rozumiecie?

Patrzyli nań, nic nie rozumiejąc.

- Mnie to już nie bawi! - Andrzejek podniósł głos. - Tylko przez grzeczność... Bo tymczasem zobaczyłem coś takiego, co nagle jak obuchem po głowie...

- Co takiego? Czemuś tego nie napisał?

- Napisałem, a jakże!

- Gdzie?

- Przecież to proste! Tu! Dwa razy podkreśliłem. I tknął palcem w „niezleżałą trawę”.

- Rozumiecie? Kupa suchych gałęzi! A trawa pod nimi zielona! To znaczy, ktoś to zrobił niedawno, dzień, parę dni... Po co? Żeby mi wmówić, że tamto mi się przestyszało! Kto? Bardzo proste! Tylko ten, kto wiedział, że przyjdę tam i będę się głowił nad zagadką „niewidzialnych kroków”.

- To znaczy? - spytał czysto retorycznie Wojtek.

Andrzejek wzruszył ramionami.

- On - powiedział apatycznie. - Ten, któremu jeszcze ufałem. Pan Balbiński.

W tej chwili Zdzisio zerwał się z łóżka, jednym susem dopadł drzwi i targnął je z całej siły.

2.

Było to, jakby Andrzejek zaanonsował gościa. Zdzisio zaś spełnił obowiązek portiera. Balbiński stał za drzwiami. Miał głupią minę. To znaczy próbował się uśmiechać.

- Ach, łaskawco! - wrzasnął Kucyk zrywając się na równe nogi. - Teraz się nam nie wykręcisz! No, no! Bez tych sztuczek!

Balbiński bowiem sięgnął ręką do kieszeni. Wyjął ją zaraz, uzbrojoną zaledwie w chustkę do nosa. Wciągnęli go do pokoju. Oporu nie stawiał.

- No, może pan przecież głos zabierze! - robiąc dzikie oczy, wysyczał Kucyk. - Słyszał pan co nieco? Ma się tę technikę sterczenia pod drzwiami, nie?

Balbiński nie ukrywał przykrego zaskoczenia. Nos wytarł, potem wybąkał coś, zapalił.

- O co chodzi? - spytał wreszcie.

- Dobry sobie! - wrzasnął Kucyk. - Jeszcze pyta!

- Nie, poważnie! Sformułujcie jakoś te swoje oskarżenia! Drugi raz mnie napastujecie... Przyznam się, przestaje mi się to podobać. To nie jest ten sposób spędzania wakacji, o którym marzyłem przez całą zimę.

- No, niech pan nie udaje! Taaka kupa na pana się uzbierała!

- Tak wam się zdaje, Ale wystarczy raz dmuchnąć, a nic z niej nie zostanie.

- Spróbuj pan!

- Proszę bardzo. Przyłapaliście mnie wtedy na wchodzeniu do poddasza. Tłumaczyłem i tak, i owak. Nie wierzyliście. Mieliście rację. Wszystko, com wam opowiedział wtedy, to była bajeczka! Wyobraźcie sobie! Bajeczka!

Spojrzeni po sobie. Wojtek mówił im od paru godzin, że Balbiński ich zatrajlował. Ale teraz to przyznanie się jakoś ich zaskoczyło i wzbudziło kolejną nieufność.

- Z tym Haushoferem? - spytał wahająco Kucyk.

- Tak jest, proszę pana, z tym Haushoferem.

- Wszystko?

- Tak jest.

- Jak to? - krzyknął Zdzisio. - Z tym wynalazkiem, z wyjazdem do Wolfszańca? To wszystko?

- Jak najbardziej, owszem. - Balbiński nawet się uklonił.

Patrzyli na niego. Wolno wzbierały w nich jakieś procesy myślowe. Pier-Tszy wystrzelił Wojtek:

- Bardzo ładnie. To się pan wkopał nareszcie po samą szyję.

- Tak pan łaskawy sądzi?

- Tak jest! Bo bajeczką pan nazwał tylko swoje usprawiedliwianie się. Ale to, z czego się pan tłumaczył, to przecież nie bajeczka!

Był bardzo triumfujący. Popatrzył zwycięsko na kompanów i w ich oczach zebrał niezbędne minimum poklasku. Najwięcej pewnie spodobała mu się dosyć zagubiona mina Balbińskiego.

- Żeś pan się skradał tu, to nie bajeczka, co? Żeś w książkach grzebał? Ściany opukiwał, co? Balbiński głowę spuścił, ręce rozłożył.

- Nie, rzeczywiście, to prawda.

- A to przecież nie wszystko! - ciągnął Wojtek. - Mamy dane, że tę wyprawę, grzebanie się w książkach, pukanie nie po raz pierwszy pan robił! Przecież w dniu zagubienia się Andrzejka pan robił to samo! Tylko nasza rozmowa pod oknami uratowała Andrzejka przed panem. Przecież był pan już na pierwszym schodku!...

Wskazał dramatycznym gestem róg pokoju ze schodami na poddasze.

Balbiński ręce rozłożył.

- Nic się przed wami nie ukryje - rzekł ze skruchą.

Jego przesadna uległość zaczęła niepokoić chłopców. Jeden przez drugiego ciągaliby teraz oskarżenia.

- Podслуchał pan z tą trawą! Kto naściagał gałęzi?

- Proszę się nie wykręcać, nikt poza panem!

- A jeszcze przedtem, że w ogóle do tej leśniczówki nie chciał iść!

- A potem kto znikł, przed tym pójściem...

Balbiński wreszcie machnął ręką i zaśmiał się. Zmroziło to chłopców nagle i całkowicie.

- Wszystko to prawda! - zawołał. - Skradałem się tutaj, szperałem w książkach, opukiwałem ściany, owszem. I kupę gałęzi ułożyłem w leśniczówce, po to tylko, żeby Andrzejka w błąd wprowadzić, zgoda. Ale co z tego?

- Jak to? - Wojtek spojrzał na kolegów, szukając pomocy. - Co to znaczy? Cięży na panu tyle poszlak!

- Cóż one znaczą wobec tego jednego konkretnego dowodu! - rzekł Balbiński obejmując Andrzejka ramieniem.

Andrzejek zapomniał języka w gębie, jak i cała reszta.

- No, tak! - wołał uśmiechnięty Balbiński. - Macie na mnie poszlaki, tak. Ale coż one znaczą? Co znaczy sos, jeśli nie ma pieczeni? Poszlaki są, ale gdzie macie przestępstwo? Czyhaliście na mnie, łapaliście mnie. Owszem, mieliście krzywą rację, by tak czynić, pókiśmy liczyli Andrzejka jako zaginionego. Wtedy na upartego można by jakie takie poszlaki przeciwko mnie naciągnąć. Ale teraz? Andrzejek przecież jest! Panna Lucyna opowiedziała mi z grubsza jego dzieje. Wiecie, że nie ma w nich najmniejszej mojej próby porwania go czy uczynienia jakiegokolwiek krzywdy. Nie? I jak wy teraz wyglądacie ze swymi oskarżeniami?

Trzeba przyznać, wyglądali niewyraźnie. Balbiński zaciągnął się papierosem, a potem cisnął niedopałek do piecyka.

- A jednak... - półgłosem wybąkał Kucyk. - W pańskim zachowaniu się... To skradanie się, to pukanie...

- Nauczcie się, moi kochani, wystrzegać pośpiesznych wniosków. Mogę wam opowiedzieć piętnaście różnobarwnych historii, wcale niegorszych od tamtej z Haushoferem. Poszlak możecie mieć tysiące. Nic one nie znaczą, dopóki nie ma tej jedynej sprawy, która powołuje je do życia, to znaczy przestępstwa. To tak, jakbyście znaleźli sto powodów samobójstwa człowieka, który wcale go nie popełnił.

Wstał, rozprostował się, przeciągnął, podszedł do okna.

- Zapowiada się piękna pogoda. Pora by się pokąpać, popłażować. Po tych trzech dniach deszczowych obrzydliwości człowiek stęsknił się do upału! No, chłopcy, głowy do góry! Żeście się sfrajerowali, to fakt. Ale grunt, że nic się nie stało złego! Andrzejek jest. A tajemnicy żadnej nie ma. Jest tylko lato, upał, wakacje... Idźcie, używajcie...

Wstali także. Nie śpieszyło im się jednak.

- To znaczy, wszystko jasne i proste - grobowym głosem oświadczył Zdzisio.

- Ależ tak!

- A to wszystko, na co skarżył się Andrzejek, to przywidzenie?

- Tak. I przypadki. Z piratem Dżakim przywidzenia, nieporozumienia. A z cegłą -- przypadek, szczęśliwie niegroźny.

Patrzyli w podłogę. Dziwne, nie chcieli przecież wierzyć Andrzejkowi, gdy im referował swoje obawy. Wyśmiewali go, zrobili rozróbkę. A gdy teraz ten gość z nieodpartą logiką dowodził im, że mieli rację nie wierząc, poczuli się zawiedzeni, okradzeni, skazani na życie w świecie zbyt jawnym i prostym, by warto było nań czas tracić.

Patrzył na nich uśmiechnięty.

- No, jak chcecie, to zostawajcie tutaj! - powiedział. - Pójdę tam, piraci z panną Lucyną i piękną Nelly ruszają, zdaje się, na plażę.

Rozstąpili się. Przeszedł między nimi, klepnął Andrzejka po ramieniu. Ten jednak nie odpowiedział uśmiechem.

Nic nie mówiąc ruszyli za nim, głowy pochyliwszy, milczący.

Na dole nie zastali nikogo. Towarzystwo plażowe poszło sobie na przystań. Wtedy jednocześnie Balbiński i Andrzejek zaczęli mówić.

Balbiński powiedział:

- Psiakrew, macie rację. Te Gorzyjałki bez tajemnicy jakieś przaśne.

Andrzejek zaś bąknął:

- Ale z tą „idiotką” to przecież nie przywidzenie...

Opowiedział historię z pierwszego gorzyjałkowskiego wieczoru. Balbiński tylko się zaśmiał.

- Miły chłopcze! Znakomita większość małżeństw prowadzi podwójne życie tego właśnie typu. Przy ludziach gruchają jak gołąbki, a sam na sam wodzą się za włosy i kopią po nocach.

- A z tą kradzieżą, proszę pana?

I zreferował dzieje boczku, który pożarła Sulamita, krzyki o kradzieży pięknej Nelly i zdecydowane zatuszowanie wszystkiego przez Sykusa.

Ale i z tego zostały kłaki po paru słowach Balbińskiego.

- Ty wiesz, ile tego boczku zjadła suka? Może tylko skórkę? Może reszta rzeczywiście została schowana przez przezorną gospodynię albo spożyta wcześniej? No, a gospodarz wołał wytłumaczyć to bardziej elegancko, myśląc, że małżonka po prostu niezręcznie się wykręca.

I oto nawet Andrzejek został rozbrojony. Nad Gorzyjałkami niebo stało się nieskazitelnie błękitne. I w przerośni także. Chcieli się pożegnać z Balbińskim, pójść gdzieś przed siebie. Kucyk nawet westchnął.

- Koniec końców, chłopcy, nie meldowaliśmy się tu na stały pobyt. Choćby jutro możemy zaprząć Atalantę i jazda, nie? Z tymi sianokosami i tak nic już chyba nie wyjdzie. No, chodźmy.

Tyle rezygnacji było w tej przemowie, że i Balbińskiemu coś w twarzy roztajało.

- Czekajcie chwilę - powiedział.

- Na co? - wzgardliwie spytał Wojtek.

- Pał was sześć! - oświadczył nagle Balbiński. - Zaczekajcie trochę.

Spojrzał na zegarek.

- Wpół do szóstej. Zaraz przyjdzie tu Podsiadło. O, ciągnie!

Ujrzeli z daleka nadchodzącego niedźwiedzia z lwiszek.

- Niech was nie znam. I tak za was dostanę w kość. Trochę mniej, trochę więcej. Pójdziecie ze mną.

- Dokąd? - nierozumiejąco spytał Andrzejek.

- Do twego jądra ciemności. Łapać Niewidzialnego.

3.

Tyle przeskoków Balbińskiego sprawiło, że nie wybuchli radością, nawet nie rozchmurzyli się. Patrzyli tylko niepojmująco na gościa w białej furazerce.

- Jesteście jako aniołowie bezgrzeszni - westchnął. - Nasza wina! Wychowaliśmy was tak, że byle kto za nos może was wodzić. No, teraz czasu nie ma na szczegóły. Tyle powiem, że wszystko prawda, com nagadał wtedy w wieży. Idziemy łapać tego, przed kim chował się w świerczkach Andrzejek. To bardzo niebezpieczna zabawa, dlatego macie mnie słuchać z dokładnością do centymetra i sekundy! Kto nie posłucha, na zbity łeb wyrzucę! Jasne? To jazda.

Nie czekając na ich reakcje, skreślił, ruszył na spotkanie Podsiadłe. Witali się milcząco, ruszyli w las.

- Iść gęsiego! - rzekł półgłosem Balbiński. - Starać się nie hałasować. Żadnej gadaniny! Ach, psiakrew! Czekajcie!

Trwało z dziesięć minut, nim wrócił. Za nim truchtała, jakby nigdy nic, niebezpieczna Sulamita. Chłopcy zarazili się atmosferą wyprawy i nawet nie spytali, po co ta tutaj.

Gęsiego przemierzili lasek aż do jeziorka. Ostatni szedł jak zwykle Andrzejek. Tam skreślił w lewo. Balbiński idący na czele odwrócił się, zrobił groźną minę i jeszcze palec przyłożył do ust.

Tak szli kwadrans. Z prawa mignęła przez drzewa biała tafla upiornego jeziorka Radość. Oto i aleja świerczków.

Przy pierwszym gościu w cywilu i milicjant. Balbiński chwilę z nimi szeptał. Z ich gestów wynikało, że nie stało się tu nic godnego uwagi.

Wolno szli do góry. Na dziedzińcu Balbiński nie przystanął nawet, skreślił pod dom, na ową ścieżkę zasłoniętą krzakami. Za rogiem nie było już kupy gałęzi, ścieżka stawała się na pół widoczna, zarastała ją trawy i chwasty, pleniące się bujnie w zdziczałym sadzie, który przecinała na ukos.

Tu Balbiński stanął. Gestem rozkazał chłopcom zostać na miejscu, nawet się cofnąć za róg domu. Spojrzeli po sobie niezadowoleni, ale tamten zrobił minę tak wściekłą, że nie ośmielili się protestować.

Stali więc, zasłonięci rogiem domu. Kucyk wnet zauważył, że przez najbliższe okno można zobaczyć inne, wychodzące na sad. Skupili się zaraz. Widzieli, jak tamci doszli do końca sadu, do pierwszych leśnych drzew. Jak stamtąd wysunął się znowu jakiś cywil i znowu chwilę z nim poszeptano.

Potem ta trójka znikła w krzakach i zaczęło się robić po prostu nudno. Popołudnie przemijało, upał buchał od ścian domu, gdzieś z lewa ciągnęły oszołamiająco słodkie fale zapachu kwitnących lip.

Wojtek i Zdzisio zaczęli się niecierpliwic. Jeden szeptał, że wolałyby się wykapać, drugi podsuwał myśl: a nuż ten Balbiński jeszcze raz ich wystawił do wiatru? Ta opinia nie cieszyła się jednak powodzeniem. Ci cywile i zwłaszcza milicjant! Tym razem nie mogła to już być kolejna bujda.

Ale dobre pół godziny minęło absolutnie bez żadnego znaku, że tam, o te paręset metrów, dzieje się cokolwiek. Tylko Andrzejek nagle odwrócił się od okna i nawet parę kroków zrobił z powrotem, w stronę podwórza.

Popatrzyli za nim. Stał wyciągając zabawnie szyję, jakby się wsłuchując w gorący nieśpieszny oddech letniego przedwieczoru. Gdzieś bardzo daleko śpiewała jakaś dziewczyna. Ale Andrzejek wsłuchiwał się w stronę wprost przeciwną.

Trwało to zresztą krótko. Wrócił zaraz do reszty i na wszystkie zapytania, nieme czy szeptane, odpowiadał tym samym: machał ręką.

Tymczasem cierpliwość chłopców była na wyczerpaniu. Słońce spelzło już nad kędzierzawy horyzont sosenny, pierwsze fale chłodu zaczynały wypełzać z ciemnych zakamarków, pusty dom dyszał w twarz chłopcom stęchłą wilgocią.

Wreszcie Zdzisio trącił sąsiadów. Zza krzaków wyłonił się Balbiński. Był bardzo zły, widzieli go w takim stanie po raz pierwszy. Szedł ścieżką, za nim dreptali dwaj cywile, gęsto się tłumacząc. Z tyłu kroczył Podsiadło, też markotny.

Nie trzeba było zapytań, aby odpowiedź stała się jasna. Zobaczył ich, zwolnił kroku. Był czerwony na twarzy, oczka przez to wydawały się bardziej niebieskie i wylupiaсте. Włożył zresztą zaraz swoje ciemne okulary.

Stał chwilę, potem ręką machnął.

- Sknociliśmy, jak zwykle - wycedził.

Cywilie tym razem głowy pochylili, jakby to do nich wyłącznie było skierowane. Potem Balbiński z trudem przywołał swój tradycyjny uśmiech. Rzekał do chłopców:

- No, cóż! Wynudziliście się potężnie i znów myślicie, że się z was nabijam! Chodźcie, zobaczycie przynajmniej!

Odwrócił się, ruszył z powrotem. Pierwszy z brzegu cywil coś mu szepnął.

- Nie, nie zdejmować! - odparł Balbiński. Chłopcy poszli za nim niespokojni, zmieszani, że przeszkadzają, zawiedzeni.

Przecięli sad, zanurzyli się w najbliższych krzakach leszczyny, gęsto zarastających niewysokie zbocze, które zbiegało od leśniczówki w dół, nad spory kawałek łąki.

Nie zauważyliby tego, gdyby Balbiński nie przystanął. Było to między dwoma krzakami, które gęsto poplątały swoje strzeliste pędy. Stary pień sosnowy, na pół spróchniały, jeszcze gmatwał sprawę.

- No! - powiedział Balbiński. - Widzicie?

Musiał nogą kopnąć byle jak leżącą zrudziałą gałąź jałowca.

Wtedy wynurzyła się półokrągła nora. Tak nieduża się wydawała, że ani im przez myśl przeszło...

Ale Balbiński kopnął pień i ten wywrócił się bez oporu, jak klocek dziecinny.

Wtedy nisko zgarbieni weszli do środka. Balbiński dał pierwszemu, Kucykowi, latarkę. Szli gęsiego, pochyleni, przez bardzo przyzwoity korytarz, podparty z boków i z góry gęsto przeplecionymi gałęziami. Po kilkunastu krokach mogli się nawet wyprostować. Była to ziemianka wojennego typu, jakieś trzy metry na dwa. Z boku, na gęsto naciętych, już całkiem osypujących się gałęziach świerkowych leżało trochę słomy. Ciepły podmuch sprawił, że głowy podnieśli. U góry przez okrągły otwór ciągnęło leśne powietrze.

- Oto twoje jądro ciemności! - powiedział Balbiński do Andrzejka. - Miałeś nosa, chłopcze. Trafnie tu właśnie, w leśniczówce, dopatryłeś się sedna różnych zagadek gorzyjałkowskich. I to nie twoja wina, że...

- Kto to był, proszę pana?! - zawołał Andrzejek. - Co z nim?

Balbiński rozłożył ręce.

- Ba! Sameś powiedział, Niewidzialny! Przemknął się między palcami dzielnych naszych wojaków. Szukaj teraz wiatru w polu!

- Kiedy?

- Ja wiem? Trzy godziny temu był tu jeszcze.

- A tutaj, w ziemiance, nie mógł...

- Widzisz, gdyby tu był marmur czy drzewo, czy choćby cement, moglibyśmy szukać ukrytych przejść, otwierających się za pociśnięciem guzika. Ale, jak widzisz, tu na pół spróchniałe gałęzie i piaszczysta ziemia. Tu wystarczy kopnąć nogą, żeby zobaczyć, że żadnych przejść nie ma. No, macie dość?

Kucyk jeszcze podniósł gałęzie, zajrzał pod posłanie. Balbiński machnął ręką.

- Patrzyliśmy, patrzyliśmy. No, chodźmy.

Ruszyli z powrotem. Jak duszno było na świeżym powietrzu! Jak ono pachniało! Balbiński nieskłonny był jednak do liryki. Popchnął ich na ścieżkę ku leśniczówce.

Dwaj cywile i Podsiadło siedzieli tam, paląc papierosy. Ruszono dalej, skręcano już na alejkę świerków, gdy Andrzejek pociągnął za rękę Balbińskiego.

- Proszę pana - rzekł półgłosem. - A może nie tamtędy? Może zajrzemy za stodołę, tam, gdzie ten spalony samochód?...

- Co ci znowu?

- Szukaliście tam?

- Oczywiście.

- A może jednak? Niech oni idą! My z panem, pół minuty...

Balbiński wzruszył ramionami. Podsiadło z tamtymi znowu się rozsiedli pośrodku dziedzińca. Chłopcy z Sulamitą przyłączyli się oczywiście do poszukiwaczy.

I oto była pierwsza niespodzianka. Mijali bezdachą stodołę i nagle Sulamita truchcąca za Balbińskim ogon stuliła, obejrzała się na stodołę i boczkiem, boczkiem zaczęła od niej zmykać.

Skręcili oczywiście w osinowe gąszcze stodoły. Nie musieli bardzo się wysilać, by zobaczyć, że ktoś niedawno przeciskał się tędy wzdłuż ściany, tyle tu było nadłamanych ogromnych liści osinowych.

Zaraz też ujrzeni, co ten ktoś tu robił. Przy tylnej ścianie, wciśnięty w najgęstszy ścisk osinowy, stał sobie spokojniutko rower.

Wyciągnęli go zaraz na podwórze. Zdzisio nie musiał dwa razy się mu przyglądać. To na nim pedałowal przez deszcz i wiatr, szukając śladów Andrzejka.

Balbiński skinął na swoich cywilów. Skoczyli do stodoły i zaczęli tam krok po kroku się grzebać. Nareszcie coś innego błysnęło w oczach Balbińskiego, nie tylko złość, zawód czy wymuszona grzeczność.

- No, chłopcze! - położył rękę Andrzejkowi na ramię. - Dziękuję ci! Bardzo się nam przysłużył! I jakieś na to wpadł? Byłeś tu? Dostrzegłeś co? No, nie graj wielkiego Sherlocka! Musiałeś tu zajrzeć przypadkowo, przynaj się!

Andrzejek pokręcił przecząco głową.

- Wcale mi nie chodziło o stodołę - bąknął.

Balbiński nie zdążył się nadziwić tej uwadze, bo ci ze stodoły wyszli rozkładając ręce: nic już tu nie ma. Wtedy Andrzejek znowu pociągnął Balbińskiego za rękę.

- Tam! - powiedział. - Spróbujmy...

Wyszli za stodołę. Tutaj na prawo coś w rodzaju starej alei prowadziło gdzieś na dół, na tamtą samą łąkę. Na lewo było trochę podrastających świerczków. Przy nich, wśród gęsto rozrosłej trawy leżało rude pudło spalonego samochodu osobowego.

Tu właśnie stanął Andrzejek. Obejrzał się, poszukał kogoś wzrokiem. Potem zawołał:

- Sulamita! Sulamita!

Wszyscy patrzyli za nim. Zza stodoły wyjrzał wreszcie pysk kłapouchy. Zawołali na nią już chórem. Pokiwała przecząco głową. Jak wiadomo, po psiemu tak wyglądają przeprosiny, usprawiedliwianie się, nawet lekka samokrytyka. Ani myślała iść ku nim.

Zdzisio nie wytrzymał, skoczył do stodoły. Nie uciekała, tuliła się tylko do ziemi. Wziął ją skowyczącą z cicha pod pachę.

Nie ulegało wątpliwości: tu właśnie, koło samochodowego szkieletu strach jej sięgał szczytu. Puszczona padła plackiem na ziemię, oczy przymknęła, nie ośmieliła się ruszyć czy jęknąć. A gdy Kucyk spróbował nogą ją szturchnąć w kierunku samochodu, zajęczała tak dziko, że zaraz dał jej spokój.

Balbiński już nie patrzył na nią, już wołał:

- Różga! Klimczak! Do mnie!

Nadbiegli, gdy chłopcy sami chwycili porzewiałe pudło i unieśli do góry. Podsiadło zdążył jeszcze tknąć je jedną dłonią: starczyło tego, żeby żelastwo przewaliło się zgrzytając na drugi bok pod świerczki.

Wtedy na seledynowej i żółtej plamie zleżalej trawy ujrzeni jeszcze kawałek rudej blachy. Kopnęli go. Pod spodem znowu był czarny otwór.

Balbińskiemu błysnęły oczy. Chwycił Andrzejka za ramię.

- Do tyłu! Jazda! Za stodołę! I wy, już!

Odskoczyli od otworu. Paru gestami popędził ich jeszcze dalej. Sam zresztą też padł na brzuch.

- Klimczak! - syknął. - Alarm!

Wyższy cywil wyrwał z kieszeni gwizdek. Jazgocące w uszach zawrosczenie.

Sam zaś Balbiński podczołgał się do otworu i krzyknął:

- Wyłazić! Najpierw wyrzucić broń! Opór bezcelowy! Pięć minut do namysłu!

Krzyknął to i odpełznął do tyłu. Obejrzał się, zobaczył, że chłopcy wyglądają zza rogu, pogroził im pięścią.

Czarna wyrwa w ziemi milczała. Obaj cywile wyciągnęli rewolwery. Podsiadło rozejrzał się i wyłamał osinkę grubości ramienia ludzkiego.

- Trzy minuty! - krzyknął Balbiński. - Wyrzucicie najpierw broń, wtedy nie będziemy strzelać. Wychodzić z rękami na karku! Trzy minuty!

Chłopcy wyglądali przerażeni i porwani. U ich stóp płaszczyła się Sulamita. Jakby i do niej odnosił się rozkaz odejścia, sama przydreptała przy pierwszym krzyku Balbińskiego.

- Jeszcze minuta! - wrzasnął ten znowu. - Za minutę rozpalamy tu ognisko. Nie macie żadnych szans. Dym was wydusi!

Ziemia milczała. Balbiński obejrzał się, odpetł trochę i z całej siły zaczął wołać do swej świty, odległej o wyciągniętą rękę:

- Różga! Tamte gałęzie! Podsiadło, wyrwać trochę jałowca. Klimczak, słomy, słomy z samochodu. I bańkę benzyny, na jednej nodze!

Zdzisio rozejrzał się, rzeczywiście znalazł na dziedzińcu trochę suchych gałęzi sosnowych. Przyciągnęli je zaraz Balbińskiemu.

- Szybciej! Klimczak, jeszcze więcej! - krzyknął do nich, ale ręką i oczami rozkazywał im: precz!

Po minucie na otworze już leżały gałęzie.

- Zapalamy! - krzyknął Balbiński. - No, Klimczak, gdzie ta benzyna?

Nie czekając jednak na to, czego nie było, zapalił zwyczajną zapałkę i przytknął ją do pierwszej z brzegu rudej sosnowej kity. Żółte, na pół niewidoczne iskielki całym stadkiem rozbiegły się do góry i pierwsza szarfa niebieskawego dymu owinęła ognisko.

Wtedy spod niego, z głębi rozległo się przyduszone wołanie. Czyjś głos, zaiste grobowy, przemówił. Na znak Balbińskiego odciągnęli szybko palące się gałęzie na bok. Zaraz z niebieskiego, już pełnego dymu otworu wyleciało coś czarnego. Balbiński zgrabnie przydusił to do ziemi. Rewolwer.

- Dalej, dalej! - krzyknął do szybu. - Całą resztę!

Jeszcze parę magazynków. Potem wysunął się powoli sprzęt o wiele groźniejszy, wypolerowany na niebiesko sten, żelazną pustą kolbą skierowany do góry.

Balbiński szybko go wyciągnął. Zerwali się na nogi, otoczyli we czwórkę jamę. Teraz i chłopcy nie wytrzymali, wybiegli zza stodoły, stanęli o krok za tamtymi. Jedna Sulamita nie tylko nie poszła za nimi, ale jeszcze z piskiem zaczęła czołgać się do tyłu.

Nie zwrócili na nią uwagi. Zbyt czekali na głowę, która już się miała wynurzyć. Czekali i wszyscy czterej spodziewali się jednego: wydętego baniastego czoła, niedużego garbatego noska, wąskich zaciśniętych ust..

Rozstąpili się nieco Balbiński i jego ludzie. Pierwsza to była ręka. Wysunęła się, wczepiła w darń.

A gdy za nią wyszła głowa, wynurzyła się twarz - wszyscy czterej chłopcy aż westchnęli z niespodzianki. To nie był Sykus.

Co więcej, nie znali go wcale. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, mocnej budowy, o włosach jasnych, kwadratowym podbródku, długawym nosie. Był bardzo blady. Krztusił się, kichał, szarawe oczy mu łzawiły. Ręce trzymał posłusznie do góry, póki Różga i Klimczak przetrząsali mu kieszenie.

Nie miał już broni, pozwolili mu ręce spuścić. Wtedy dopiero Podsiadło nachylił się do niego.

- Panie, panie, my się skądś znamy!

Ale tęgi blondyn wzruszył ramionami.

- Nie znam pana!... - wycedził przez zęby.

- Czekaj pan, nie byłeś pan w lagrze, pod Angerburg?...

- Nein... - wyrwało się facetowi.

- Ach, wiem!... - Podsiadło palnął się w łeb, - Znamy się, panie, znamy! Pan jest Krüger, może nie?

Wtedy dopiero pierwsza iskra bezradnej nienawiści błysnęła w spojrzeniu złapanego. Odwrócił się od Podsiadły i zaczął coś mówić po niemiecku do Balbińskiego, Andrzejek zrozumiał tylko, że tamten uważa się za jeńca wojennego i prosi, żeby mu oszczędzono niewczesnej ciekawości cywilnych gapiów.

Balbiński skinął głową, gestem poprosił Podsiadłę, żeby dał spokój. Ruszyli zaraz. Chłopcy musieli odczekać parę minut, zanim uspokoiła się całkiem rozhisteryzowana Sulamita.

4.

Działo się to w parę dni później, w małym powiatowym miasteczku Pisz, rozwalonym potężnie podczas wojny i do dziś jeszcze nie ruszonym prawie przez odbudowę.

W niewielkim ciemnym pokoju siedziało sześć osób. Za oknami prażył lipcowy upał i darło się dokuczliwsze od niego radio. Kupy pisan wytaczały się z półsutereny mieszczącej największą lokalną piwiarnię. Warczały dwie ciężarówki.

W pokoju był cień i prawie chłód. Przymknęli okno, dlatego i radio stało się mniej okropne. Czterej chłopcy siedzieli rzędem, piąta, Lucyna, jak zwykle wybrała sobie miejsce koło swego „kawalera”. Szósty był Balbiński. Była także Sulamita drzemiąca koło drzwi.

- Wiele wam jestem winien - zaczął Balbiński. - Wodziłem was za nos, może i za dużo. No, sami wiecie, sprawa była pogmatwana. Muszę zresztą powiedzieć, żeście się mi zrewanżowali. Za to, żeście zmusili mnie do wygadania się o Haushoferze, dostałem straszliwą wciurę od moich przełożonych. Musiałem złożyć ostrą samokrytykę i z góry ją uznać za niewystarczającą. I ta magiczna formuła też mi nie pomogła. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze taką sprawę mi powierzają. Uważają, że mam za długi język. Ba, zapewne mają rację.

Zapalił. Słuchacze milczeli niepewni, czy to wszystko jest serio, czy nie nabija się z nich jeszcze raz.

- No, ale skoro już tak jest, korzystajcie przynajmniej z tego jęzora, pytajcie! Przecież z pewnością macie tysiące wątpliwości. No? Jazda! Andrzejek wypisał je zresztą na karteczce...

-- Proszę pana! - wyrwał się Wojtek. - To, co Andrzej mówił, gdy pan... tego... podśluchiwał za drzwiami! No, z tymi gałęziami na ścieżce!

Balbiński spojrział na Andrzejka. Ten się lekko uśmiechnął.

- Niektórzy już rozumieją - uśmiechnął się i Balbiński. - Widzicie, to się zaczęło wcześniej. Gdy Agnieszka opowiedziała nam o gorzyjałkowskich strachach i dramatycznie zaklinała Andrzejka, żeby nie szedł do leśniczówki, „choćby go tam ciągli”, ja już miałem pewne poszlaki na ten temat. Dlatego było mi bardzo nie na rękę, że Andrzejek w licznym towarzystwie zaczyna wygadywać różne historie o tej leśniczówce. Miałem podstawy przypuszczać, że tam właśnie zrzucony z nieba poszukiwacz wybierze sobie kryjówkę. Ponieważ zaś mogłem się obawiać - jak się okazało, słusznie - że wśród tamtego towarzystwa znajdzie się jakiś łącznik, sami rozumiecie... Stąd te parę niegrzecznych interwencji w doskonałe literacko opowieści Andrzejka.

- No, a gałęzie?

- To była moja wsypa! Nie doceniłem Andrzejka. Oczywiście, bałem się o niego, że z jednej strony spłoszy tamtego, z drugiej zaś, że wpadnie mu w łapy i... Sami rozumiecie, tamten nie bawiłby się w rycerskość, gdyby go Andrzejek zdemaskował. No, więc... Chciałem wmówić w chłopca, że mu się te kroki przesłyszały. Głupio to zrobiłem, przyznaję... Z tą nie zleżałą trawą, dalibóg, zasłużyłem na gorszą karę, niż mi się tam szykuje. No, ten punkt jasny?

- Zaraz, zaraz! - podniósł rękę Wojtek. - A z tą Agnieszką? Czemu tak się starała, żeby Andrzejek...

- Z tych samych powodów, dla których od razu pomyślałem sobie o leśniczówce. Widzieliście te podziemne bunkry? Zdaje się, robiono je jeszcze za Hitlera dla tak zwanego „wehrwofu”. A może później, mniejsza. Dość że w czterdziestym piątym tam właśnie bazowała jedna z działających podówczas band esesowskich. A potem, przyznajmy szczerze, krył się tam Szarpany Jasio, jeden z największych bandziorów już jak najbardziej rodzimych, kurpiowskich, całkowicie apolitycznych i nader niebezpiecznych. No, to Agnieszka nie była pewna, czy nie szwenda się tam jeszcze on lub jakiś jego następcę. Honor zaś kurpiowski nie pozwolił jej na rozszyfrowanie tego lęku. Jasne?

- Jeszcze jedno! - zawołał Zdzisio. - No, nałożył pan tych gałęzi, dobrze. Ale przecież Krüger musiał je zobaczyć! Przecież prędzej by pan spłoszył Krügera, niż zniechęcił Andrzejka, nie?

- Niby tak - westchnął Balbiński. - Ale niezupełnie. Wtedy już wiedziałem, że skoczek jest w leśniczówce. Jużśmy go śledzili. Wyczekałem więc, aż wyruszy z kryjówki, i wtedy dopiero te gałęzie... Zaraz, jakeśmy odeszli, Klimczak je z powrotem pościągał do lasu. Stąd właśnie i opory moje przed pójściem z Andrzejkiem. Dlatego „nie od razu się zgodziłem” na tę wyprawę...

- Słowem - rzekł półgłosem Andrzejek - więcej kłopotu miał pan ze mną niż pomocy...

- Nie napraszaj się na komplementy, mój drogi! - Balbiński podniósł palec. - Co do tego...

- A czemu pan nie capnął Krügera od razu, jak jego wyśledził? - przerwał Kucyk.

- Proste. Wolałem wziąć go razem z łupem. Koniec końców Kruger jest jedynym bodaj z żyjących ludzi, który z nieboszczykiem Haushoferem spędził kilka ostatnich dni życia tamtego. Łatwiej jemu by przyszło wpaść na dokument niż nam.

- A czy nie bał się pan, że tamten zwieje?

- Od tygodnia mniej więcej nie bałem się. Wszystkie drogi wyjazdu stąd były jako tako obstawione.

- Pan wiedział, że to do Gorzyjałek będzie się dobierał...

- Mieliśmy powody tak przypuszczać.

- To dlaczego pan z tym kajaczkiem zaczął z tak daleka?

- Żeby się nie rzucać w oczy. Żeby z dala pozawierać znajomości z wakacyjnymi wędrowcami. Żeby później poświadczyli, że znają mnie jako nałogowego kajakowca. Zrobiliście tak, nie?

Kucyk i Wojtek skrzywili się.

- Nie bardzo. Pan taki był od razu natrętny. Jeszcze wtedy, przed Momajnami. Od razu żeśmy pomyśleli: czy nie ten z samolotu? Bo pan wie, z pierwszego lipca na drugiego dziwny samolot o północy szedł nad Stobcem...

- Wiem.

- Czy to z niego ten?

Balbiński skinął głową.

- Tak daleko od Gorzyjałek?

- Złudzenie. Zrzucono go pod Iwizkami. Tegoż wieczora spotkał tego, na kogo liczył.

Spojrzeni po sobie.

- Tego, tego samego. - Balbiński pokiwał głową. - Tego, kogoście się spodziewali ujrzyć wyłazającego z bunkra. Pana Sykusa. Przykro mi, proszę pani...

- Mnie też przykro - odparła Lucyna. - Nelly jest bardzo przejęta. Dobrze, że ją wzięli z sobą inni jej kuzyni. Choć nie lubiłam osobiście tego całego Kazika, ale oczywiście jest mi bardzo przykro.

- Co z nim, właściwie mówiąc? - spytał Kucyk.

- Najprostsza rzecz pod słońcem. Szantaż.

- To znaczy?

- Za okupacji jakieś interesy z Niemcami. Teraz, póki siedział z boku, nie ruszali go. A jak zaczął robić „kariere”, znalazł się ktoś, kto mu to i owo przypomniał. No, i chłopak z Warszawy ofiarował się na ten bohaterski wyjazd „w teren”...

- A pan od razu go podejrzewał?

- Skąd znowu! Przyznam się, dopiero entuzjazm jego małżonki zwrócił mą uwagę.

- Jak to?

- Proste. Rozповіда, że taki zdolny, że tyle znajomości, że tak go lubią tam, w górze. Więc skąd aż na taką nędzną zapuszczoną placówkę? Myślę, buja kobieta, po prostu reklamuje ukochanego mężusia. Ale w Warszawie się sprawdza. O dziwo, wszystko zgadza się. Rzeczywiście miał znajomości, rzeczywiście ciągnięto go do góry za uszy! Wtedy dopiero taka wyjazd tutaj nabiera kolorów.

- Kazali mu?

- Oczywiście. Miał osłaniać i ułatwiać działanie Krügera.

- I ten rower...

- Tak. To właśnie było źródłem tych przerażających wrażeń Andrzejka, kiedy tulił się do ziemi w świerczkowej alei.

- I potem, jak wracałem z Iwiszek - dorzucił zmieszany Andrzejek. - W biały dzień!

- Że też tamten się nie bał!

- A kto go tu znał? O Podsiadle nie wiedział. Cała reszta dawnych mieszkańców zabrała się przecież jeszcze w czterdziestym czwartym.

- A z tą kradzieżą? Z tą „idyjotką” - dopytywał się Wojtek.

- Z „idyjotką” bardzo prosta rzecz. Kruger musiał niejedną raz zajrzeć do pałacu. Nie wiedział przecież, gdzie tamten schował swój raport. Wyobraźcie sobie, jak Sykus wracający ze spotkania z tamtym musiał się ucieszyć z odwiedzin tych młodzieńców i nadzwyczajnej gościnności swej małżonki!

- A czemu nas po prostu nie wyrzucił? Jak tamtych studentów?

- To by mogło zwrócić uwagę, że wszystkich usuwa z wieży. Poza tym mieliście polecenie od Rychlika. Jak widzicie, i wyszkolenie ideowo-zawodowe pana Purchały na coś wam się zdało! Nie wyrzucił was pan Sykus...

- A czemu zatuszował ten boczek?

- Pewnie myślał, że to Krüger. Ten przecież tegoż wieczora przyszedł pod pałac. Nie, Andrzejku? Przecież tamta - kciuk wycelował za siebie, w Sulamitę - wtedy właśnie przeżyła swój pierwszy napad metafizycznego lęku.

- A właśnie! - krzyknął Andrzejek. - Co to było z nią? Czemu się tak bała? Czy to zawsze w pobliżu był Krüger?

- Zdaje się, że tak.

- Wtedy, gdy cegła, to on?

- Energicznie protestuje. Mówi, że to przypadek. Byliśmy tam na strychu, nad sienią mauretańską. Trudno ustalić, czy kłamie. Ktoś tam się grzebał ostatnio, to pewne. Ale czy wtedy wieczorem, diabli wiedzą...

- Jak już mowa o diablach... - wtrąciła Lucyna. - Co to było z tą dyktą?

Balbiński rozłożył ręce.

- To właśnie jest sprawa niewątpliwie diabelska. Z Radostem to wiecie. Że Podsiadło znalazł wejście wyłamane - też żadna sztuka, tyle się wtedy szwendało różnych szabrowników. Ale że w nocy przekręcała się w tę i wewtę - tego już nie potrafię wytłumaczyć.

Kucyk bąknął:

- Szczury.

- Takie sprytne, że przekręciły?

- Nie. Ale tak latały, że w nocy polaziłem tam i cisnąłem pałką. Nic się zresztą nie złąły.

- Czemuś wcześniej tego nie mówił? - z pretensją skoczył doń Wojtek.

- A cóż tu nadzwyczajnego? Czym się miałem chwalić?

- Rzeczywiście! - sarknął Zdzisio. - On przecież tylko wtedy gada, gdy może się pochwalić. Gdyby zatłukł szczura, tobyśmy przez miesiąc musieli słuchać!

- Ach, więc i to diabelstwo się rozsypało - nie bez żalu stwierdziła Lucyna. - I wszystko staje się takie proste...

- No, nie wszystko. - Andrzejek chciał ją pocieszyć. - Sulamita ma w sobie przecież tę metafizyczną żyłkę poznawania przestępców. Gdyby nie jej ten zaiste nadprzyrodzony lęk...

Balbiński uśmiechnął się, podniósł rękę.

- Przykro mi, że odzieram historię z reszty poetyczności. Ten lęk jest niezwykle prosty, prozaiczny, rzekłbym, prostacki i brutalny. To wcale nie odmienność poglądów politycznych i niskie walory moralne Krügera wzbudziły popłoch w niebezpiecznej Sulamicie. To już raczej pewne szczegóły w jego życiorysie.

Chłopcy uśmiechnęli się pobłaźliwie i grzecznie, jak przystało przy nieudanym kawale, Balbiński jednak ciągnął jak najbardziej serio:

- Ależ nie, moi drodzy, naprawdę! Wiecie, czym się trudnił pan Krüger po wojnie, zanim go pewna szacowna organizacja ponownie zwerbowała do ważnych prac państwowych? Łapaniem biednych bezdomnych piesków, odzieraniem ich ze skóry i topieniem tłuszczu. No, po prostu był hyclem! Widocznie zajęcie to wytwarza koło człowieka odpowiednią... hm... atmosferę, wyczuwalną dla istot wrażliwych na zapachy. Oto i cała tajemnica.

Pięcioro słuchaczy spojrzęło po sobie. Na ogół informacja ta przyjęta została życzliwie. Niejasność pobudek lęku Sulamity wytwarzała bowiem nie tyle nimb poetycki dokoła sprawy, ile pewną chwiejność aktu oskarżenia.

- No, to chyba wszystko? - powiedział Balbiński wstając. - Są pytania?

- A jakże! - zawołał Kucyk klepiąc się z rozmachem w czoło. - Przecież najważniejszego to nam pan nie powiedział!

- Tak? Mianowicie!

- No, co ten piekielny Haushofer wyprawiał w Gorzyżkach? O co mu chodziło?

Balbiński uśmiechnął się jakoś dziwnie.

- Racja. O słoniu tośmy zapomnieli! Robił straszną rzecz. Hodował śmierć. - Popatrzył na nich. Nic w nim nie zostało z uśmiechu. - Tak, tak, moi drodzy. To ani metafizyka, ani metafora. To bardzo dokładna, matematyczna formułka. Haushofer zrobił w Gorzyżkach naukową wylęgarnię śmierci. Oczywiście, nie jakieś tam bomby atomowe, bo te wymagałyby ogromnych zakładów przemysłowych. Nie, Haushofer nie był fizykiem, był biologiem. A raczej tanatologiem. Rozumiecie? Biologia to znaczy nauka o życiu. Haushofer pracował nad nauką o śmierci.

Usiadł z powrotem, zapalił papierosa.

- Domyślałem się czegoś takiego już choćby z wybrania akurat Gorzyżek, więc miejscowości odległej od wielkich źródeł energii, ale odseparowanej od ludzi, z dobrymi warunkami pracy hodowlanej. Bardzo mi pomogły zwierzenia twojej Elfydy, Andrzejku.

- Co, z tymi nutkami?

- Nie tylko, nie tylko! Mówiła o borsukach, wiewiórkach, bardzo rozmaitych zwierzętach. Rozumiecie? Otóż zeznania Krügera dołączone do moich supozycji pozwalają przypuścić, że główny kierunek badań Haushofera to była sprawa uniwersalizacji, upowszechnienia, że tak powiem, toksycznych, czyli trujących właściwości poszczególnych wirusów przesączalnych. Wiecie, że niektóre choroby, zabójcze dla bydła, są całkiem nieszkodliwe dla ludzi. Śpiączka przenoszona przez muchę tse-tse, jak stwierdza Livingstone, w górnym biegu Limpopo zabijała bydło, nie szkodziła zaś kozom. Otóż Haushofer pracował nad wywołaniem takich zmian w poszczególnych szczepach wirusów, aby rozszerzyć ich toksyczność na możliwie największą ilość gatunków, na człowieka przede wszystkim. Jego prace nie były całkiem zakończone. Jak twierdzi Krüger, który zresztą nic się nie zna na naukowej stronie interesu, to właśnie wywołało wybuch pasji ze strony Hitlera. Jak się okazuje, pomyliłem się w pierwszej opowieści o Haushoferze. Nie rozstrzelano go tylko za znajomość ze Stauffenbergiem. Także za to, że nie zdążył na czas ze swoją nową bronią. Hitler, widocznie pod wpływem szoku pozamachowego, gdy się dowiedział, że Haushofer domaga się jeszcze całego roku, zanim nową broń da się użyć na froncie, wpadł w straszną furię i rozkazał stracić nie tylko Haushofera, ale i wszystkich jego pomocników naukowych, wszystkich tych, którzy się orientowali w kierunku prac laboratorium i później mogliby cokolwiek o tym powiedzieć. Krügera uratował jakiś kumpel z Sicherdienstu, pomysłowo degradując go na zwyczajnego szeregowca.

Balbiński zaciągnął się papierosem, chwilę milczał, gapił się na spalony słońcem chuderlawy skwerek. Wreszcie znowu zaczął:

- Wiecie, to by świadczyło, że Hitler dosyć trzeźwo oceniał wtedy sytuację na frontach. Wiedział, że roku już nie przetrzyma. Nie chciał więc, aby znano i tę potworną historię jego dwunastoletniego szaleństwa...

- Czyżby naprawdę to miało być tak potworne? - niedowierzająco szepnął Andrzejek.

- Mój kochany! W pierwszej wojnie światowej straty od tyfusu plamistego i zwykłej grypy, czyli hiszpanki, jak wtedy to nazwano, były bez porównania wyższe od strat na froncie. A przecież i jedna, i druga epidemia zjawiały się przypadkowo, nie były - w pierwszym wypadku zwłaszcza - nieznane. I mimo to miliony ludzi padły ich ofiarą. Haushofer zaś dążył do wyhodowania takich szczepów wirusów, które by powodowały epidemie dotąd całkiem nieznane. Oczywiście, to przeszłoby przez świat jak plaga wielokrotnie gorsza...

- Ale przecież to by koniec końców uderzyło i w Niemcy?

- Niby Haushofer miał opracować też zespół środków obronnych. Ale w gruncie rzeczy pod koniec Hitlerowi chodziło już tylko o to, żeby ze świata odejść z jak największym trzaskiem. Losy jego narodu ważyły już dlań wtedy niewiele.

- Ach, rozumiem! - krzyknął z pewnym opóźnieniem Kucyk. - To stąd te krowy wyzdychały...

Wojtek klepnął go po ramieniu.

- Właśnie gdy przeniesiono je do nowej obory! - dorzucił Andrzejek. - Widocznie jakieś szczepy tej zarazy przetrwały przez parę lat!

- Pewnie dzięki różnym gospodarzom przejściowym - rzuciła Lucyna. - Może dzięki szczurom?

- I kury... aha... - Kucyk nie przestawał się zdumiewać.

- Zrobimy tam dezynfekcję - powiedział Balbiński.

- W każdym razie to nauczka, żebyśmy zbyt łatwo nie odrzucali „babskiego gadania” - dodał Andrzejek. - Może ono być nietrafne w wyjaśnianiu jakichś zjawisk. Ale te zjawiska dostrzega! I już z tego choćby powodu zasługuje na naszą troskę.

- Patrzcie, jak to świetnie sformułowane! - Balbiński brwi unióś. - Masz rację, chłopcze. Myśmy zbyt łatwo się wyuczili kilku gotowych formułek. Te zaś zbyt często raczej przesłaniają nam fakty, niż je wyjaśniają.

Wstał, cisnął papierosa.

- No, ze mną koniec! Nie ma pytań?

Milczeli. Kucyk wreszcie powiedział:

- Nie, dziękujemy panu. To wszystko. Do widzenia.

- Czekaj, czekaj. Do mnie nie macie pytań, ale ja mam do Andrzejka! Jak tam było z tym szkieletem samochodowym? Natchnienie? Węch? Czemuś się uparł, żebyśmy tam...

Andrzejek zarumienił się. Ręką machnął.

- Głupstwo. Po prostu coś blaszanego... Usłyszałem taki jakiś zgrzyt. W lesie są różne odgłosy, ale to było właśnie blaszane. I szło zza stodoły. Czysty przypadek...

- No, to dobrze. Żegnajcie, chłopcy. Ruszacie przecież dalej, nie?

- Tak, pojedziemy jeszcze. Mamy miesiąc czasu! - oświadczył ważko Kucyk. - Tylko że tu zostaniemy parę dni pod Piszem...

- Czemu?

- Tak, różne sprawy... Musimy depeszować do domu.

- Po co?

- E, głupstwo.

- A pani?

- Niestety, muszę już wracać. Lipiec się kończy, a z nim urlop! Zresztą, po tych przejściach... - Lucyna urwała i żeby zmienić temat, zaatakowała Balbińskiego: - A pan dopiero na urlop?

Pokiwał głową.

- Niestety, wracam do Gorzyżalek.

- Jak to? Po co?

- Przecież to tylko dla was skończona sprawa. Dla mnie nie. Najtrudniejsze przede mną.

Patrzyli nań całkiem zdumieni.

- Cóż z tego, żeśmy złapali Krügera? Przecież nie ma on raportu! Zaklina się, że nie znalazł.

- Nie mówi, gdzie tamten mógł ukryć?

- Owszem, mówi. Ale przez dziesięć dni działał w Gorzyżalkach i nie znalazł. Rozpytujemy go, co robił Haushofer po dwudziestym lipca, licząc, że inteligentniej od niego potrafimy to rozszyfrować.

- No i ?... Co robił?

- Był całkiem przybity. Siedział całymi dniami w swoim gabinecie. Prawie nic nie jadł. Tylko raz pojechał jachtem na jezioro. To nawet dziwne...

W tym miejscu Andrzejek krzyknął, po prostu krzyknął. Myśleli, że zemdleje, tak zbieła mu twarz. Zaczęli nim potrząsać, ktoś skoczył po wodę.

- Czarcia Wyspa! - zawołał. - Ach, jaka fujara, jaka fujara!

- Kto? - dopytywali się.

Andrzejek nie odpowiadał, głowę chylił, oczy ukrywał przed nimi. Dopiero po kilku minutach opowiedział o krzyżyku na mapie, co ważniejsza, o stertach gazet, papierzysk i listów, które poszły z dymem owej dżdżystej nocy.

Balbiński zaraz wyskoczył z pokoju. Po kwadransie przez upalne zakurzone miasteczko dobrali się do nieszerokiej rzeczki Pissy. Stała tam spora płaska motorówka.

5.

Była niezgrabna, póki nie ruszyła. Za miastem, kiedy poszła wreszcie pełnym gazem, okazała się szczytem wdziałku, Gdy wylecieli na pełne jezioro, niesilny zachodni wiatr pędził irn w poprzek

regularną falę, tu i ówdzie przelewającą się białą pianą. Motorówka ślizgała się przez nią, wstrząsana regularnie, jak samochód na bruku. Trochę to męczyło.

Za to szybkość była porywająca. Piękna sylwetka Czarciej Wyspy w parę minut z plamy stała się bukietem starodrzewu. Niebawem dolecieli do Portowej Polanki. Szczęściem, nie było tam nikogo.

Andrzejek wyskoczył pierwszy, chlapiąc po wodzie pobiegł. Za nim inni.

Parę dni pogody przysporzyło wypie tłumów dalszych podróżników. Szałas Andrzejka został barbarzyńsko zużyty na ogniska. Papierzyśk znów się zebrało tyle, że polanka była brudna niemniej niż Marszałkowska czy Nowy Świat.

Ale Andrzejek nie widział tego. Dopadł do wschodniego zbocza Góry Złudzeń. Oto pęknięcie w darni. Balbiński już rękami rozdziera je, zagląda do środka.

Jamka jest nieduża, pusta. Wszystkie papiery i gazety wybrał wtedy Andrzejek, wszystkie poszły z dymem.

Andrzejek przypomina sobie: na pewno, na pewno, maszynopis był w tym także. I jakieś wzory, jakieś rysunki, jakieś sześciokąty...

- Formuły struktury chemicznej - mówi Balbiński.

Potem nachyla się. Pod grudką wyschłej na szary piach ziemi znajduje ćwiartkę stronicy. Ostrożnie ją wyciąga na wierzch.

U góry jest cyfra paginacyjna: 52. I kawałek tekstu w języku niemieckim. Balbiński czyta to, potem streszcza:

- To jest blisko zakończenia. Wynikałoby, że Krüger w tym punkcie mówi prawdę. Haushofer twierdzi, że opanował już ogólną zmianę specyficzną toksyczności danego szczepu. To znaczy, że może spowodować przerzucenie się jakiegoś wirusa z jednego gospodarza na innego. Ale że opanowanie dowolnego kierowania takimi przeskokami będzie wymagało właśnie około roku... W poszczególnych wypadkach, pisze, można by uzyskać ogromne przyspieszenie cyklu życiowego... Rozumiecie? To znaczy błyskawiczny przebieg choroby. Zaczyna nawet mówić, w jakich wypadkach. Niestety, dalszy ciąg jest urwany...

Andrzejek stał obok, zagryzał wargi, wreszcie wybuchnął:

- Bardzo mi przykro, proszę pana. Słowo daję... Powinienem być od razu się domyślić. Przecież krzyżyk, właśnie w tym miejscu... I nawet szukałem, sam nie wiem czego. Potem zaczęło się to od gazet, dlatego nie zwróciłem uwagi. A teraz widzę, gazety były tylko opakowaniem... Widocznie śpieszył się, nie znalazł lepszego. A to mnie wprowadziło w błąd... I potem już wszystko rzucałem, bałem się, że ogień zgaśnie. Bardzo mi przykro...

Balbiński klepnął go po ramieniu.

- Pewnie, że lepiej byłoby cały ten raport załączyć do akt. Ale wiesz, między nami, ten skrawek także nam starczy. Jest to dowód, że się reszta spaliła. A to przecież najważniejsze, rozumiesz? Najważniejsze, żeby tamtych jadowitych papierów nie dostali ci, którzy wierzą w tanatologię i w niej pokładają nadzieję. Rozumiesz? A dla nas ta nauka ze wszystkich jest najdalsza, najbardziej obca, najbardziej wstrętna.

Ostatki.

1.

Było oślepiające południe. Ani drzewka, ani domu koło peronu. Stali gromadką, długo czekając na pociąg, i dlatego wyczerpały się dowcipy, serdeczność niepostrzeżenie stawać się poczęła niecierpliwością i nawet w spojrzeniu trudno było uchować najwyższą miarę czułości. Dopiero gdy wtoczył się pociąg, gdy brudna rozpalona lokomotywa wionęła w twarze węglowym smrodem, a przekupki wpakowały się wreszcie do maleńkich podmiejskich wagonów, Andrzejek znalazł chwilę na wymianę kilku słów i paru spojrzeń uchronionych przed resztą.

- Pani nie zapomni? - zapytał niemądrze.

- Nie, mój kochany. - Lucyna rękę wyciągnęła i pogłaskała go po głowie.

- Napiszę... - zaczął. Potem przyszło mu na myśl, że „kochany” znaczy dosłownie „ten, którego się kocha”. I że ton Lucyny uprawniał właściwie do tego dosłownego rozumienia. Był zbyt przyciszony i oczy miała przy tym wcale nie roześmiane.

Więc Andrzejek ręce do niej wyciągnął i powiedział półgłosem:

- Pani będzie czekać?

Tamta uśmiechnęła się, skinęła głową.

- Ale długo, długo, pięć lat? - napierał.

Nic teraz nie powiedziała, zdążyła go tylko jeszcze raz pogłaskać po głowie. Musiała odwrócić się: tamci trzej wtarabani wreszcie jej bagaże do przedziału.

Odwróciła się i dlatego Andrzejek nie słyszał, jak im dziękowała i jak na pożegnanie rzuciła:

- No, trzymajcie się, moi kochani!

I nie widział, że miała dużo serdeczności w spojrzeniu, nic zaś szyderstwa. Dzięki temu długo jeszcze w momentach zmartwień i upokorzeń znajdował ucieczkę w rozmyślaniach o jej oczach, o tym ich nieroześmianym spojrzeniu, gdy go nazwała „kochanym”. Pociąg wreszcie utonął w niebieskiej mgiele nad rozgrzanymi lasami. Trącili go, pora była się zabierać.

Na poczcie czekała na Kucyka depesza od matki. Niestety, nie była pomyślna. Obiecywała przysłać pieniądze dopiero za kilka dni, po pierwszym. Z innymi jeszcze gorzej - Wawerkowie byli jeszcze na wczasach, Rudawscy zaś dopiero wyjechali.

Przegryźli coś nędznego w obszarpanej knajpie. Kłócili się, oczywiście. Optymiści chcieli prosić o pożyczkę Balbińskiego. Pesymiści mieli rację: już wyjechał do Warszawy.

Dopiero wieczorem wrócili na kanał, gdzie czekała Atalanta. Otworzyli kabinę. Pilnująca jej Sulamita skoczyła im do szyi. Po chwili ten entuzjazm udzielił się wszystkim.

Na podłodze kabiny nieco poszargany leżał Wojtkowy pugilares ze starej, wytłuszczonej i przetartej skóry. Gdy go dwóch na raz porwał, ujrzeni w środku okazałą paczkę czerwonych papierków.

Nie ulegało wątpliwości: to, co uznano za skradzione w Momajnach, teraz oto się odnalazło. I nie była trudna rekonstrukcja wydarzeń. Ich sprawczyni już na wszelki wypadek przybrała postawę skrajnie samokrytyczną: wywróciła się na grzbiet i zamarła w oczekiwaniu strasznego lania.

Oczywiście, zaczęto ją straszliwie tarmosić, ścisnąć, podrzucić do góry. Bardzo szybko przestawiła się na radosną dumę i gdy wreszcie dano jej spokój, zaczęła krążyć koło chłopców, zaglądać w oczy, trącać łapą w kolano, słowem za wszelką cenę zwracać na siebie uwagę i wymagać dalszych wylewów czułości.

Chłopcy tymczasem przypomnieli sobie wydarzenia sprzed paru tygodni. Wojtek, spity, wraca na jacht. Szuka chustki do nosa, tymczasem trafia mu się w kieszeni ohydny wytarzany w maśle pugilares. Rzuca go z obrzydzeniem na stolik, wychodzi na zewnątrz i zasypia. Niebezpieczna Sulamita, jeszcze nie ujawniona, trzęsąc się ze strachu po pożarciu wszystkich zapasów jedzenia, wyłazi ze swojej kryjówki zwabiona zapachem masła. Pugilares wędruje gdzieś pod koję Andrzejkową, tam gdzie przebywa suka. Dłuższy czas leży w kącie, bo chłopcy za szybko pogodzili się z wersją kradzieży, Sulamita zaś mimo wszystko tej skóry pugilaresowej przeżuć nie potrafi.

- I oto koniec mitu o zaczarowanym jachcie - mówi Zdzisiek. - No, co, Andrzeju? Nie smutno ci z tego powodu?

Andrzejek uśmiecha się.

- Mój drogi! Zrobiłem świństwo, ukryłem przed podziałem z wami jedną taką tajemniczkę, która jak na razie zaspokaja mój głód dziwności istnienia!

I chociaż koledzy usiłują śmiechami i nawet poszcypywaniem tę tajemnicę zeń wydostać, Andrzejek trzyma się mocno. Chodzi mu oczywiście o to, żeby go nie wyśmiali. Nie rozumie jeszcze, jak niebezpieczna dla życia jest ta awitaminoza, która cały świat doprowadza do stanu doskonale buchalterskiej jasności.

2.

Wyzwoleni z materialnych kłopotów, przeżyli jednak w tych dniach jakieś jesienne nastroje kończenia się czegoś, zamierania, pustki. Nie mieli racji.

Lato przecież dopiero nabrzmiewało, pogodne nad podziw, słoneczne, upalne. Wędrowali wąskimi jeziorami, lasy sosnowe schodziły aż nad samą wodę, woń żywicy, wystąpiła i mocna, buchająca ze słonecznych polan, rankami nad wodą pachniała świeża zieleń łąkowa, tak czysta, że wspomnienie fryzjerskich pachnideł przyprawiało o mdłości. Południa bywały bezwietrzne, stało się wtedy przy byle brzegu, Zdzisio przy trzcinkach czyhał na proste, bezpośrednie, rubaszne wzdręgi, Kucyk i Wojtek uczyli opodal pływania Andrzejkę, Sulamita szwendała się po okolicy, czatując na dobytek turystów. Chwała rozgromienia Utopii, jak widzimy, nie dawała jej spokoju.

Wieczorami jeziora tonęły w biskupim fiolecie. Na mieliznach, na podwodnych łączkach woda upstrzona była tak gęsto skokami uklejek, że gapa, nieba nie widząc, mógłby pomyśleć, iż pada deszcz. Gdy nadchodziła ciemność, ciężkie pluski bełtały wodę przy trzcinach i Zdzisiowi ścisnęło się serce: oto chodzi duża ryba, której wziąć jeszcze nie umie. A w nawisłym nad wodą lesie pokrzykiwał nieustannie ptak lelek i po jakimś czasie jego wołanie z monotonnego zaczynało się wydawać złowieszcze. Nie za bardzo wszakże. Akurat na tyle, by sąsiedztwo kompanów straciło krępujący posmaczek, a zaczęło się wydawać otuchą.

Ale najpiękniejsze były poranki, te części dnia, które mieszcuch, nie widząc ich w mieście, z rozpędu przesyfia i w lesie.

A tymczasem, jakie to bogactwo kolorów, zapachów, kształtów! Jakie bogactwo nastrojów przede wszystkim!

Mniejsza o tę chwilę, która decyduje o charakterze dnia: czy będzie jasny, czy posępnie rozmąłany. Mniejsza o tę porę, gdy mgła wybiera, czy ma opaść, czy pójść do góry.

Andrzejek upodobał sobie inną porę, nieco późniejszą. Tę jaskrawość, którą ma słońce w pół godziny, w godzinę po wejściu na niebo.

Wtedy jego ciepło jest tylko pieścizotą. Wtedy znikają już wielkie kłęby mgły i zostaje jej tylko tyle, że jezioro wydaje się lustrem, któremu czyjś ciepły oddech matowo przygasił przejrzystość. Wtedy właśnie kolory nadbrzeżnej zieleni są najbujniejsze. Wtedy gorzkawo i rześko pachnie zieleń olszyny. Wtedy na niskich, jeszcze dymiących tumanem łączkach pokrzykują dźwięcznie i chropowato żurawie. Wtedy suną łabędzie, gderliwie krzycząc w trzciny, aby któremuś z ich niepokąźnych bachorków nie zachciało się zaryzykować spotkania z natrętnymi, nie zawsze dobrze wychowanymi ludźmi.

Ta pora dnia wydaje się Andrzejkowi tak czysta, tak podniosła, że dzień w dzień spędza ją na pokładzie Atalanty, nic nie robiąc, gapiąc się tylko na to najpiękniejsze z widowisk.

Któregoś dnia, już w drodze powrotnej, pod Momajnamy, właśnie o tej porze Andrzejek zobaczył dziwne zjawisko. Wszystko było tak, jak się powiedziało przed chwilą: słońce, zapach olszyny, gładkie jezioro. I w tej ciszy tym hałaśliwsze okazały się uklejki, te drobne, srebrzystozielone rybki, hulające na samej powierzchni wody.

Jakby ogarnął je jakiś sportowy zapał! Jakby urządziły sobie spartakiadę! Zaczęły skakać nad wodą, zginając się zręcznie jak ostrza stalowych nożyków. Ale te skoki wzwyż nie wydały się którejś z nich wystarczające. Rozpędziła się i zademonstrowała nie skok wzwyż, nie jakiś trójskok, ale dosłownie dziewięcioskok, dziewięć razy odbijając się od wody leciutko i sprężysto.

Dziewięć kręgów pobiegło po zmatowiałej tafli jeziora. Andrzejek nie zdążył napodziwiać jej wyczynu, gdy zaczęło się coś jeszcze dziwniejszego.

Pływała tu zwyczajna słomka. I oto nagle jakaś uklejka dała przez nią susa. Zaraz potem druga. Trzecia skoczyła z drugiej strony. Potem dwie na raz, o mało nie zderzywszy się pośrodku. I jeszcze, i jeszcze!

Gdy opowiadał to chłopcom, oduczeni od łatwych prześmiejców zapędzili się w drugą stronę i niebawem uzgodnili istnienie u człowieka normalnego instynktu sportowego, którego początki, jak widzimy, sięgają najniższego szczebla kręgowców, sięgają uklei.

Następnego dnia spotkali się z Frankowiakiem, który wpadł z kursów na parę dni do domu. Był to bardzo wysoki podbipiętowaty blondyn, o szarych oczach, białych wąsach i kociej okrągłej twarzy. Przekazali mu Sulamitę. Ta udała, że jej odejście z leśniczówki nie miało w sobie nic hańbiącego. Lizusowska i serdeczna wpadła do domu. Na szczęście pani Frankowiakowa już jej przebaczyła.

Chłopcy zaczęli się przechwalać: czego to się nie napatryli na tych Mazurach, czego się nauczyli! Oczywiście, rzecz doszła i do rybich instynktów sportowych. Niestety, Frankowiak ich zgasił.

Dziewięcioskok był prosty: ucieczka przed zbyt upartym okoniem. Ale i te biegi przez słomkowe płatki znalazły swe wyjaśnienie.

- Ukleja żywi się muszkami, które wpadają do wody - powiedział. - Oczywiście, muszka, lecąc przez taki swój ocean, może stracić siły. Szuka więc miejsca na odpoczynek. Ta słomka to dla niej kajak czy nawet kanonierka, siada więc. A uklejki widzą to i skaczą, żeby ją spłoszyć i schwytać w locie albo zbić do wody.

Nie mogli polemizować. Acz prainstynkt sportowy został w ten sposób pogrzebany, Andrzejek nie tylko nie odczuł zawodu, ale nawet zapragnął podzielić się z Frankowiakiem najskrytszą i ostatnią z mazurskich tajemnic.

Złapał go wreszcie na osobności. Opowiedział. Oczywiście o tamtej rogatej zjawie z bagna przed jeziorkiem Radość. Był skłonny do daleko posuniętego potępienia samego siebie i dlatego wprost nazwał tę zjawę diabłem, aby tamtemu ułatwić śmiech.

Frankowiak popatrzył nań. Nie był skłonny do śmiechu.

- Owszem - powiedział. - Pan ma rację. To był diabeł.

Andrzejek teraz zaśmiał się grzecznie, choć ten dowcip nie wydał mu się olśniewający.

- Ależ tak! - powtórzył Frankowiak. - Diabeł. Prawdziwy diabeł.

Zapalił papierosa i dopiero pozwolił sobie na nieznaczne rozpogodzenie się.

- A przynajmniej to, z czego diabeł powstał. To z kopytkami, rogatę, koźlobrodę, z czego Grecy starożytni zrobili faunów, a co ponurzy mnisi średniowieczni przekwalifikowali na służebników siły nieczystej. To znaczy, był to koziołek, mąż sarny.

- Jak to? I nie bał się człowieka? Nie uciekał. Krzyczał nawet na mnie!

- Ba, z usposobienia to choleryk. Ile razy po nocy idąc przez las natknę się na niego, tyle razy na mnie szczeka. Jest choleryk i niezły psycholog. Wie, że go nie ruszę. Widać i pana szybko rozszyfrował!

Pana! Andrzejek dopiero po jakimś czasie zauważył ten dziwny tytuł, którym go obdarzono.

Potem Frankowiak pożyczył im namiot i wrócił na kurs, oni zaś popłynęli na południe, gdzie długie jezioro dzieliło się na trzy odnogi, gdzie niełatwo im przyszło zdecydować, która jest najpiękniejsza.

Gdy wracali, zobaczyłem ich pewnego ranka. Akurat naszło skądś stado komarów. Siedziałem przed wschodem słońca koło starej bindugi, bezskutecznie czyhając na okonie.

Na bindudze płonęło ognisko, obok stał namiot. Jakiś długi zgarbiony młodzieniec o białawych rzęsach skakał przy tym ognisku, wymachując kocem. Chciał, zdaje się, zapędzić chmurę dymu do namiotu i wypłoszyć komary. Nie szło mu to, bo reszta załogi zaczęła wylazić stamtąd, przeciągając się, ziewając i klepiąc po policzkach.

Przy brzegu stała duża żaglówka. Wysoki przystojny chłopak zbiegł do niej, wyciągnął wędkę, popatrzył na mnie, trzeźwo ocenił, że mi nie idzie, i poszedł szukać szczęścia gdzie indziej. Inny, czarny, zadartonosy, zszedł nad wodę, mył się krótko, za to bardzo długo tarmosił sobie włosy, usiłując im nadać rozkoszne roztrzepanie Gerarda Philippe'a.

Potem wylazł z namiotu czwarty, najmniejszy. Zobaczył, że pogoda zapowiada się dobrze. Potem zszedł nad wodę. Ujrzał mnie i bezprzedmiotowo, życzliwie się uśmiechnął.

3.

Była niedziela, gdy wrócił. Dom wariatów, jeszcze pusty, płonął od słońca. Mieszkanie pachniało pokostem i ten zapach kojarzył się z przymiotnikami „obcy”, „nieobecny”.

A potem zobaczył framugę drzwi. Była nieparzysta niedziela! Zerwał z nóg pantofle, chwycił pudełko szachów, ołówek. Raz i drugi ciągnął kreskę nad głową. Gdy po tradycyjnej chwili ściskania w sercu podszedł, spojrzął - bał się uwierzyć.

Jeszcze raz stawał, jeszcze zwieriał pięty, łopatki, wyrównywał nad głową pudełko. Kreska wreszcie wyrosła gruba, nierówna, przynajmniej o palec wyższa od owej zapomnianej sprzed wakacji.

Warszawa 1954-1956